

Mika WALTARI

Trylogia Rzymska
część druga:

TAJEMNICA KRÓLESTWA

Przełożyła z fińskiego Kazimiera Manowska
Wydawnictwo „Książnica”

LIST PIERWSZY

Marek Mezencjusz Manilianus do Tulii.

Pozdrawiam Cię.

W moim poprzednim liście, Tulio, opowiadałem Ci o swojej wędrówce z biegiem rzeki po Egipcie. Kiedy nastąpiła zima, na próżno zatrzymałem się w Aleksandrii aż do jesiennych sztormów, czekając na Twój przyjazd. W miłosnym zapamiętaniu byłem tak naiwny, że ani najbogatszy kupiec, ani najzagorzalszy obywatel nie prześcignęli mnie w gorliwości, z jaką witałem każdy statek z Ostii i Brundyzjum. Co dzień bowiem, aż do końca sezonu żeglugowego, przychodziłem do portu i natrętnymi pytaniami uprzykrzałem życie wartownikom, celnikom i urzędnikom portowym. Poszerzałem tym sposobem wiedzę, wysłuchując nowych opowieści o krainach Wschodu, lecz choć do bólu wbijałem wzrok w morze, musiałem po przycumowaniu ostatniego statku z przykrością stwierdzić, że po prostu zakpiłaś ze mnie.

W tych dniach, Tulio, minie rok od naszego ostatniego spotkania, kiedy — jak na to teraz patrzę — mając mnie kłamliwymi przysięgami i obietnicami spowodowałaś, że wyjechałem z Rzymu.

Wysłałem Ci pożegnalny list, pełen goryczy, w którym przysięgałem ruszyć do Indii i nigdy więcej nie wrócić. Są tam przecież nadal, i to piastujący godność królów, dawni greccy władcy Aleksandrii, którzy teraz panują nad obcymi im miastami. Przyznaję jednak, że już w trakcie pisania wiedziałem, iż tego nie uczynię. Nie mogłem znieść myśli, że nigdy Cię już więcej nie zobaczę, moja Tulio.

Przekroczywszy trzydziestkę mężczyzna nie może już być niewolnikiem miłości. Przycichłem zatem, moja gwałtowna namiętność wygasła, lecz to mnie zawiodło do podejrzanych miejsc w Aleksandrii i do zepsucia. Nie kajam się, nigdy bowiem człowiek nie odwróci swoich czynów i nie zmieni tego, co zrobił. Jestem pewny, że kocham Ciebie, bo w niczyich ramionach nie znalazłem takiego ukojenia jak w Twoich. Dlatego pozostaniesz w moim sercu, najdroższa Tulio, choć zwiędnie kwiat Twej młodości, zmarszczki pokryją gładkie lica, zmętnieje wzrok, włosy zrzedną i zęby będą wypadały. Może wtedy pożałujesz, że dla kariery i zaszczytów poświęciłaś naszą miłość. Albowiem wierzę, że mnie kochałaś, nie mogę wątpić w szczerłość Twych przysięg. W przeciwnym

razie wszystko na tym świecie straciłoby dla mnie sens. Kochałaś mnie, lecz czy nadal kochasz? Nie wiem.

Z rozrzewnieniem wspominam, jak wyłącznie z myślą o tym, by uchronić mnie przed utratą majątku, a może i życia, nakłoniłaś mnie kłamliwymi obietnicami do opuszczenia Rzymu. Nigdy bym nie wyjechał, gdybyś nie przysięgła, że spotkamy się w Aleksandrii i razem tam spędzimy zimę. Wiele znanych kobiet wyjeżdża samotnie na zimę do Egiptu i nadal będzie wyjeżdżało — na tyle znam rzymskie białogłowy. Wróciłabyś rzecz jasna na wiosnę, zaraz na początku sezonu żeglugowego. Przez tyle miesięcy, Tulio, mogliśmy być razem...

Ja tymczasem marnowałem zdrowie fizyczne i duchowe. Sporo podróżowałem i do obrzydzenia wydrapywałem Twe imię i symbole miłości na prastarych murach i kolumnadach świątyń. Z nudów pozwoliłem się nawet wtajemniczyć w sekretne obrzędy Izydy, choć byłem już starszy i bardziej sceptyczny niż owej niezapomnianej nocy w Bajach, kiedyśmy ślubowali w czasie misterium ku czci Dionizosa. Tamtego uniesienia już z siebie nie wykrzesalem, nie potrafiłem też dać wiary tym ogolonym kapłanom. Znowu czułem niedosyt i byłem pewien, że za marną wiedzę płacę zbyt wiele.

Nie chcę, byś z kolei pomyślała, że obracałem się wyłącznie w doborowym towarzystwie kapłanów i kapłanek Izydy. Skądże! Nawiązywałem też znajomości z aktorami, muzykami, a nawet gladiatorami. Obejrzałem kilka greckich sztuk teatralnych z dawnych lat, które można by przetłumaczyć i wystawiać po łacinie. Gdybyż mi tylko zależało na sławie! Opowiadam Ci to wszystko, abyś wiedziała, że mi się czas w Aleksandrii nie dłuży. To miasto zajmuje czołowe miejsce w świecie, jest bardziej niż Rzym wykwintne, ale zblakłe i wyniszczone. Najwięcej jednak czasu spędzałem w Muzeum, czyli w bibliotece położonej w pobliżu portu. Choć należałoby raczej mówić „w bibliotekach”, te gmachy bowiem stanowią sporą część miasta. A mimo to wszyscy skarżą się na ciasnotę pomieszczeń bibliotecznych.

Starcy, którzy żyją historią minionej epoki, są przekonani, że po spaleniu przez Juliusza Cezara, kiedy był tu namiestnikiem, floty egipskiej i portu, biblioteka nigdy nie wróci do dawnej świetności. W czasie owej strasznej pożogi spłonęło wraz z budynkami sto tysięcy zwojów bezcennych starych arcydzieł. Zanim wdrożyłem się w sztukę korzystania z tych księgozbiorów i odnajdywania w katalogach tego, czego szukałem, minęły całe tygodnie. Ocenia się, że samych komentarzy do „Iliady” jest tu dziesiątki tysięcy zwojów, nie mówiąc o objaśnieniach do Platona i Arystotelesa, którym poświęcono osobny gmach. Poza tym jest w Muzeum nieskończenie dużo zwojów nigdzie nie rejestrowanych. Podejrzewam, że po złożeniu tutaj nikt ich nawet nie tknął, nie mówiąc o przeczytaniu.

Sądzę, że ze względów politycznych nikomu nie zależy na wyciąganiu z lamusa starych przepowiedni, którymi się zainteresowałem, a tym bardziej na zaznajamianiu mnie z nimi. Musiałem docierać do nich okreśną drogą, przez osobiste kontakty z ludźmi pozyskiwanymi sutymi obiadami i podarunkami. W bibliotece opłacani są kiepsko i — jak to zwykle bywa — z mądrością idzie w parze bieda, albowiem tacy jak oni ponad wszystko kochają książki, wiedza zastępuje im cały świat, a zwoje pergaminu chleb powszedni. W ten sposób udało mi się wyłowić z bibliotecznych schowków wiele, bardzo wiele prorocत्व i przepowiedni, zarówno znanych, jak i zupełnie zapomnianych.

Ciekawe, że od prawników przepowiednie ludów się powtarzają, wszystkie są też jednakowo mgliste i niewiarygodne, podobnie jak orzeczenia wyroczni. Mówiąc uczciwie, w całym labiryncie przepowiedni wielokrotnie przewijało się pewne greckie podanie, pełne łągarstw i fałszywych sądów o kraju, którego nazwy nie pamiętam, i zamieszkujących go ludziach. Miałem wtedy ochotę rzucić w kąć te spleśniałe papirusy i zgodnie z regułami sztuki zacząć notować własne myśli i spostrzeżenia. Jednakże, pomijając moje pochodzenie, czuję się za bardzo Rzymianinem, aby pisać wyłącznie o sprawach prywatnych.

W bibliotece są także dzieła z zakresu sztuki kochania, które zawstydziłyby nieboszczyka Owidiusza i dowiodły mu, jaką się wykazał naiwnością. To dawne teksty greckie bądź tłumaczone na grecki z egipskiego i doprawdy nie umiem ocenić, które są bardziej wyrafinowane. Przeczytałem kilka i miałem dosyć. Od czasów boskiego Augusta zwoje podobnej treści zamyka się w specjalnych pomieszczeniach, zakazując ich kopiowania i udostępniając je tylko badaczom.

Wracam wszakże do przepowiedni. Jedne są stare, inne nowe. Stare interpretowano już dla potrzeb Aleksandra, a także boskiego Augusta, który świat uspokoił. Badając te omówienia coraz wyraźniej sobie uświadamiałem, że największą pokusą dla badacza jest — zależne od epoki i jego indywidualności — objaśnianie proroctw.

Jednego tylko jestem całkowicie pewien, a przekonanie owo potwierdziły zarówno wydarzenia naszych czasów, jak i układ gwiazd. Otóż świat przechodzi do nowej epoki, której znaki rozpoznawcze będą inne niż obecnej. Fakt to tak wyraźny i oczywisty, że pod tym względem panuje zgodność wśród astrologów Aleksandrii, Chaldei, Rodosu i Rzymu. Jest rzeczą ze wszech miar zrozumiałą, że z wejściem Słońca w znak Ryb wiążą się narodziny władcy świata. Czy tym władcą był Cezar August, któremu już za życia oddawano w rzymskich prowincjach cześć boską? Jak Ci już w Rzymie opowiadałem, mój przybrany ojciec Marek Manilianus nadmienia w swoim dziele „Astronomica” o spotkaniu Saturna i Jowisza w konstelacji Ryb. Co prawda z przyczyn politycznych musiał opuścić ten fragment w opublikowanej książce, niemniej ów fakt potwierdzają współcześni astrologowie. Jeśli przyszły władca świata rzeczywiście wówczas się narodził, powinien mieć teraz około trzydziestu siedmiu lat. Sądzę, że coś byśmy już o nim usłyszeli.

Dziwisz się na pewno, że tak otwarcie piszę w liście o sprawach, o których jeszcze niedawno szeptałem ukradkiem jako o największych tajemnicach. Pamiętasz świt w Bajach przy kwitnących krzewach róż? Wtedy wierzyłem, że nikt na świecie nie rozumie mnie lepiej od Ciebie. Teraz mam większe doświadczenie, do proroctw podchodzę więc w sposób dojrzały. Pewien na wpół ociemniały uczoney powiedział mi w bibliotece szydyczko, że przepowiednie są domeną młodych. Po przeczytaniu tysiąca książek budzą się bowiem w człowieku przygniatające refleksje, a przeczytawszy dziesięć tysięcy — zmienia się w ponuraka. Piszę zaś tak otwarcie, ponieważ w naszych czasach niepodobna zachować coś w tajemnicy. Najtajniejsze rozmowy dają się podsłuchać i przekazać innym, nie ma takiego listu, którego nie można by przeczytać i skopiować. Żyjemy w czasach nieufności, dlatego dochodzę do wniosku, że najlepszym lekarstwem na przetrwanie jest szczerłość wypowiedzi i wyrażanie na głos swoich myśli.

Dzięki spadkowi, o którym Ci wiadomo, jestem aż nadto bogaty, aby zaspokajać

swoje najwybredniejsze zachcianki, lecz nie na tyle majątny, by warto mnie prześladować. Z racji swego pochodzenia nie mogę — zresztą nawet bym nie chciał — starać się o stanowiska państwowe. Nie ma we mnie żądy takich zaszczytów.

Gwiazdy wskazywały na wschód. Nakłoniłaś mnie do opuszczenia Rzymu, aby się ode mnie uwolnić, niewierna Tulio, bo stałem się dla Ciebie niewygodny. Ja zaś upierałem się, a może i zaklinałem, że niemal namacalnie czuję bliskość władcy świata, albowiem czas był najwyższy, aby się pojawił. Chciałem jako jeden z pierwszych być przy nim, służyć mu, a w nagrodę zostać Twoim czwartym lub piątym małżonkiem. Jak mogłaś tak zdrześć sobie ze mnie!

Nie ma obawy. Takie idee nie mogą być powodem prześladowań. Władcy świata ani widu, ani słyhu. Wiedziano by o nim w Aleksandrii, centrum gadulstwa, filozofii i intryg. Zresztą sam Tyberiusz trzydzieści siedem lat temu wiedział o koniunkcji Jowisza i Saturna. Równie dobrze wie o tym człowiek, którego nazwiska nie ma powodu w liście wymienić. Ale on mocno wierzy, że władca świata nie nadejdzie ze wschodu.

Tulio, moja najdroższa! Mam świadomość, że badanie proroctw jest dla mnie tylko namiastką tego, czego nie mogę osiągnąć. Muszę kierować uwagę na inne tory, byle dalej od Ciebie. Rano, kiedy się budzę, pierwsza moja myśl biegnie ku Tobie, z myślą o Tobie zasypiam. Oglądałem Cię w snach i potem całe noce nie mogłem spać. Zwoje pergaminu nie zastąpią mężczyźnie ukochanej kobiety.

Wnioski, jakie wysnułem z prowadzonych badań, zdecydowały, że zabrałem się do studiowania świętych ksiąg żydowskich. W Aleksandrii dużą sławą cieszy się niejaki Filon, filozof żydowski, który omawia księgi równie alegorycznie, jak Grecy i Rzymianie dzieła Homera. Filon uważa, że dzięki greckiej filozofii religia żydowska stanie się bardziej czytelna. Żydów i ich religię znasz; przecież w Rzymie — podobnie jak w Aleksandrii — odizolowali się i nie chcieli składać ofiar rzymskim bogom. Wiele osób właśnie dlatego ich unika. Wprawdzie sporo rodzin na żydowską modłę świętuje dzień siódmy, ale większość gardzi narodem uznającym tylko jednego Boga, w dodatku Boga, który nie posiada żadnego wizerunku.

W każdym razie w świętych księgach żydowskich przetrwała, choć nie bez kłopotów, jedna z najstarszych wiekiem przepowiedni o nadejściu władcy świata. Tę przepowiednię prorocy żydowscy przekazywali przez wieki i dzięki temu zachowała się najwierniej ze wszystkich podobnych. Przyszłego władcę świata zwą „mesjaszem”. Kiedy on dojdzie do władzy, Żydzi zapanują nad światem. Takie zuchwałe proroctwo ma uzasadnienie tylko wówczas, kiedy służy pokrzepieniu poczucia narodowego. Naród żydowski przeszedł haniebne i godne pożałowania koleje losu: niewolę w Egipcie i podobne jarzmo w Babilonii. Dopiero Persowie pozwolili im wrócić do własnego kraju. Ich Świątynię wiele razy rabowano, aż w końcu — choć niechcący — spalili ją Pompejusz. Żydzi tym jeszcze różnią się od innych narodów, że mają tylko jedną świątynię. Znajduje się ona w ich świętym mieście, Jeruzalem. Synagogi, które wznoszą we wszystkich miastach na całym świecie, nie są świątyniami, tylko miejscami zgromadzeń, gdzie śpiewnym głosem odczytują i objaśniają święte księgi. Wielu ludzi nienawidzi Żydów z powodu proroctwa, iż spośród nich narodzi się król królów, któremu zawdzięczać będą swoje panowanie nad światem. Dlatego głośno się już tym nie chwala, tylko dzielą się między sobą tajemnicami proroctwa, zamknawszy drzwi przed wścibskimi.

Niemniej sama przepowiednia nie jest tajemnicą. Kiedy spostrzegają u kogoś przychylny stosunek do ich nauk, chętnie pomagają mu w zrozumieniu świętych tekstów. Tak dzieje się przynajmniej w Aleksandrii. Uczeni w Piśmie, między innymi Filon, omawiają przepowiednie za pomocą alegorii, zapewniano mnie jednak, że można je przyjąć dosłownie. Gwoli uczciwości muszę przyznać, że tylko wówczas, gdybym od dziecka wzrastał w tej religii, mógłbym uwierzyć w owe teksty, suto zdobione omówieniami. Ale przyznaję równocześnie — w porównaniu z innymi zagmatwanymi prorocत्वami teksty przepowiedni judejskich są stosunkowo klarowne.

Judejscy uczeni Aleksandrii należą do wolnomyślicieli, w ich gronie niewątpliwie znajdują się prawdziwi filozofowie, którzy nawet nie wzbraniają spożywania posiłku z obcymi. Zaprzyjaźniłem się z jednym uczonym, żydowskim młodzieńcem, i razem wypiliśmy sporo czystego wina. Takie wypadki zdarzają się w Aleksandrii. Kiedy sobie podochocił, przekonywał mnie z entuzjazmem, że wnet zjawi się mesjasz, a wraz z nim nastąpi panowanie Judei nad światem. Aby mi udowodnić, jak dosłownie wierzą Judejczycy — nie wyłączając ich władców — w przepowiednię o mesjaszu, opowiedział mi, że ich potężny król, Herod Wielki, na kilka lat przed swoją śmiercią kazał wymordować wszystkie niemowlęta płci męskiej w całym mieście, ponieważ uczeni Chaldei, śledząc pewną gwiazdę, szli jej tropem aż do owego miasta i naiwnie ogłosili, że nowy król się narodził. Herod oczywiście pragnął utrzymać tron dla swego rodu. Wydaje się, że był równie nieufny, jak pewien znany starożytny władca, który na starość znalazł schronienie w pustelni na wyspie.

Czy wiesz, Tulio, że ta makabryczna opowieść mnie zafrapowała? Znałem datę śmierci Heroda, więc z łatwością obliczyłem, że zbrodnia miała miejsce właśnie w czasie spotkania Saturna z Jowiszem. Tak więc opowiadanie potwierdziło, że koniunkcja gwiazd wzbudziła niepokój nie tylko na Rodos i w Rzymie, ale i wśród Żydów i uczonych na całym Wschodzie.

— Czy sądzisz, że przyszłego mesjasza zamordowano w kolebce? — zapytałem.

Młody uczonek judejski roześmiał się i powiedział z brodą mokrą od wina:

— A któż mógłby zabić mesjasza? Herod był już chory i rozum mu odjęło! — Ale wyraźnie był przestraszony, rozejrzał się dookoła i dodał: — Tylko przypadkiem nie pomyśl sobie, że mesjasz się wtedy narodził. Czas jeszcze nie był dany. Na pewno już byśmy o nim usłyszeli. Zresztą w każdej epoce rodzi się jakiś fałszywy mesjasz i budzi niepokój prostego ludu Jeruzalem.

Coś musiało go jednak dręczyć, kiedy bowiem wypił jeszcze trochę wina, rzekł znacząco:

— Za czasów Heroda wielu ludzi uciekło z Jeruzalem i z innych miast do Egiptu. Jedni tam zostali, inni po jego śmierci wrócili w rodzinne strony.

— Chcesz powiedzieć, że nowo narodzonego mesjasza ukryto w Egipcie, by uniknąć prześladowań Heroda?

— Jestem saduceuszem — odparł. Chciał widocznie podkreślić, że nie jest zbyt przesiąknięty tradycją żydowską. — Czyli mam wątpliwości. Nie wierzę, jak faryzeusze,

w nieśmiertelność duszy. Kiedy człowiek umiera, leży wyciągnięty i już go nie ma. Tak jest napisane. Ponieważ tylko raz żyjemy na tym świecie, rozum podpowiada, by się tym cieszyć. Nasi wielcy władcy niczego sobie nie odmawiali; nadmiar rozkoszy życia zmienił mądrego Salomona w ponurego starca. Naiwną pobożność powinny okazywać nawet najbardziej uczone głowy. Ale kiedy człowiek wypije trochę więcej mocnego wina, co też jest grzechem, przyjmuje za wiarygodne to, w co na trzeźwo nigdy by nie uwierzył. Dla przykładu opowiem ci bajkę, którą mi przekazano, gdy skończyłem dwanaście lat, a więc w chwili, gdy uznano mnie za dojrzałego. Wiedz; że u Żydów w dni świąteczne nikomu nie wolno wykonywać żadnej pracy ręcznej. Za czasów króla Heroda z Betlejem w ziemi judejskiej uciekł stary rzemieślnik z młodą żoną i nowo narodzonym synkiem. Znaleźli schronienie w Egipcie, w gajach drzew balsamowych. Ów mąż żył z pracy swoich rąk i nikt o nich źle nie mówił. Ale w pewien szabatowy dzień Żydzi z wioski spostrzegli małego chłopca, który lepił z gliny jaskółki. Zbili jego matkę, ponieważ chłopiec naruszył prawo szabatu. A on tchnął oddechem na glinę i żywe jaskółki wzbiły się w powietrze. Wkrótce po tym wydarzeniu cała rodzina zniknęła z owej miejscowości.

— Myślisz — spytałem zaskoczony, bo wiedziałem, że nie uchodzi za człowieka przesądneho — myślisz, że uwierzę w te dziecinne bajdy?

— Nie chciałem cię wcale przekonać — stwierdził. Potrząsnął głową i spojrzał przed siebie wypukłymi oczami. Był przystojny i pełen godności, jak wielu Judejczyków jego pokolenia. — Moim zdaniem ta dziecięca legenda świadczy tylko o tym, że za czasów Heroda uciekła do Egiptu nadzwyczaj bogobojna i mimo ubóstwa bardzo wyróżniająca się rodzina. Jeśli do bajki podejść racjonalnie, to można przyjąć, że matka, broniąc małego przestępcy, tak umiejętnie powoływała się na Księgi, że zamknęła usta oskarżycielom. Jej egzegeza mogła być tak skomplikowana, że po prostu o niej zapomniano. Przecież na podstawie naszych Ksiąg można udowodnić wszystko. Kiedy rodzina zniknęła równie tajemniczo, jak przybyła, ludzie upiększyli całe wydarzenie przez nadanie dziecku cech nadzwyczajności. — I zakończył swój wywód: — Chciałbym mieć umysł dziecka i tak jak ono wierzyć Księgom. O ileż byłoby mi lżej. A tak balansuję na pograniczu dwóch światów. Grekiem nigdy nie będę, w głębi serca nie czuję się już dzieckiem Abrahama.

Nazajutrz głowa mi pękała, ciało miałem obolałe, co nie po raz pierwszy zdarzyło mi się w Aleksandrii. Cały dzień spędziłem w łaźni. Po kąpeli, masażu, gimnastyce i dobrej strawie zapadłem w stan pół snu, pół jawy, zupełnie jakby realny świat oddalił się ode mnie, a ciało stało się cieniem. Miewałem już takie stany halucynacji, ich prazródłem jest moje pochodzenie — nie bez powodu nadano mi miano Mezencjusza, legendarnego króla Etrusków. Człowiek w takim stanie jest najbardziej podatny do odbioru znaków, a równocześnie najtrudniej mu przychodzi odróżnianie znaków prawdziwych od fałszywych.

Kiedy wynurzyłem się spod portyku łaźni, uderzył mnie słoneczny żar, a popołudniowe słońce błyskawicami biło po oczach. Nadal byłem w stanie halucynacji. Bez celu, nieobecny duchem błąkałem się po zgiełkliwych ulicach, aż jakiś przewodnik, biorąc mnie za cudzoziemca, uczepił się mnie i najpierw gorąco, a potem wręcz nachalnie namawiał na zwiedzanie domu publicznego w Kanopos, latarni Faros albo

obejrzenie byka Apisa w jego świątyni. Przewodnik był uparty i nie mogłem się od niego uwolnić. W pewnym momencie jego gadanie przerwał chrapliwy jazgot. Brudnym palcem wskazał na źródło tego hałasu mówiąc:

— Spójrz na Żyda!

W kącie targu warzywnego stał odziany w skóry mężczyzna. Brodę i włosy miał zwichrzone, twarz wymizerowaną, a nogi spierzchnięte i poranione. Stał z oczami w słup i monotonnym, zachrypniętym głosem wołał coś w języku aramejskim. Przewodnik uważał, że nie rozumiem tych okrzyków. Lecz — jak Ci wiadomo — po latach młodości spędzonych w Antiochii doskonale rozumiem aramejski i nawet swobodnie nim się posługuję. W tamtych dawnych czasach marzyła mi się nawet посадка skryby u prokonsula którejś ze wschodnich prowincji. Dopiero po szkole w Rodos lepiej sprecyzowałem cel swojego życia. Świetnie rozumiałem, co głosił żydowski prorok pustynny. Chrapliwym, jazgoczącym głosem dał się na całe gardło: — Kto ma uszy, niech słucha! Królestwo Boże nadchodzi! Prostujcie mu drogi!

— On głosi nadejście żydowskiego króla — objaśniał przewodnik.

— Tylu pomylericów pcha się z pustyni do miast, że strażę nie nadążają z chłostaniem. Zresztą polityka władz chętna jest skłócaniu Żydów między sobą. Dopóki będą się nawzajem okładać kijami, my, ludzie gimnazjonów, możemy spać spokojnie. Nie ma narodu bardziej krwiożerczego od Żydów. Na szczęście bardziej nienawidzą swoich sekt niż nas, których nazywają poganami.

Przez cały czas ochrypli, krzykliwy głos powtarzał wezwanie, więc utrwaliło się ono w mojej pamięci. Prorok głosił nadejście królestwa

— w ówczesnym stanie ducha nie mogłem tego przyjąć inaczej, jak tylko jako znaku dla siebie. I stało się tak, jakby wszystkie czytane przeze mnie w ciągu zimy przepowiednie nagle zrzuciły fałszywą powłokę mglistych słów i jasno określiły: „Królestwo Boże jest blisko”.

Przewodnik nadal gadał, trzymając się mego płaszcza:

— Zbliża się żydowska Pascha—mówił — ostatnie statki i karawany z pielgrzymami wyruszają do Jeruzalem. Zobaczymy, jakie w tym roku wybuchną rozruchy.

— Chciałbym ujrzyć święte żydowskie miasto — powiedziałem.

— Mądra myśl, panie! — zawołał. — Świątynia Heroda zaiste jest cudem świata! Podróżny, który jej nie zobaczył, nie widział niczego. Rozruchami się nie zajmuj, tak sobie tylko zażartowałem. W Judei drogi są bezpieczne, a w Jeruzalem panuje rzymski rygor. Dla utrzymania porządku stacjonuje tam cały legion żołnierzy italskich. Trzymaj się tylko dwa kroki za mną, a na pewno przy moich koneksjach uda się zdobyć dla ciebie bilet na statek do Joppy lub Cezarei. Oczywiście przewoźnicy najpierw będą twierdzić, że przed świętami wszystkie miejsca są już sprzedane. Ale przecież to byłby skandal, gdyby tak znamienity Rzymianin odszedł z kwitkiem.

Przewodnik tak mocno ciągnął mnie za poły płaszcza, że mimo woli szedłem za nim aż do kantoru armatora syryjskiego, usytuowanego zaledwie parę kroków od bazaru.

Okazało się, że nie jestem jedynym cudzoziemcem, który marzy o spędzeniu Paschy w Jeruzalem. Oprócz Żydów, przybyłych z całego świata, wybierali się tam liczni zwykli turyści w poszukiwaniu atrakcji. Po szaleńczym targowaniu się, jakie potrafią zademonstrować tylko Grek z Syryjczykiem, nagle zorientowałem się, że mam zakupione miejsce w kajucie statku wiozącego pielgrzymów na wybrzeże Judei. Zapewniono mnie, że to jedyny i ostatni rejs, jaki w tym okresie organizują w Aleksandrii. Opóźnienie spowodowane było koniecznością wykończenia tego zupełnie nowego statku. Właśnie nazajutrz wyruszał w dziewiczy rejs, czyli nie należało się obawiać lepkiego brudu ani pasożytów, które tak uprzykrzają turystom podróż wzdłuż tych wybrzeży.

Przewodnik zażyczył sobie za usługi pięć drachm, ale wynagrodziłem go chętnie, bo dano mi znak i podjąłem decyzję. Był zadowolony, ponieważ otrzymał dodatkową zapłatę od armatora. Jeszcze przed wieczorem załatwiłem u swojego bankiera przekaz do Jeruzalem; mam na tyle doświadczenia, że jadąc do obcego kraju nie biorę ze sobą wiele gotówki. Zapłaciłem również za noclegi i inne usługi, a wieczorem wydałem pożegnalne przyjęcie dla kilku znajomych, których nie mogłem opuścić bez słowa. Nie podałem im jednak miejsca ani celu podróży, żeby zabezpieczyć się przed ich wścibstwem. Oznajmiłem tylko, że wyjeżdżam i wrócę najpóźniej jesienią.

Tego wieczoru, choć nie mogłem zasnąć, czułem się bardziej rześki niż przez całą zimę, w czasie której aleksandryjski żar wysał moje ciało i myśli. Niechże sobie Aleksandria zostanie cudem świata dla turystów! Dla mnie wybił ostatni gong, żeby ją opuścić, bo inaczej zatracę się w gorączce użycia w tym zmęczonym grecką rriadrością mieście. Taki zblazowany mężczyzna jak ja może ulec jego urokom do tego stopnia, że jeśli posiedzi tu dłużej, zostanie w Aleksandrii na wieki.

Dlatego pomyślałem, że podróż morską i kilkudniową wędrówką po rzymskich szlakach Judei oddadzą wielką przysługę zarówno memu ciału, jak i duchowi. Ale, jak to zwykle bywa, wcześniej zerwali mnie ze snu, żebym zdążył na statek, spałem więc za krótko i wymyślałem sobie od skończonych durniów, że zostawiam wygody cywilizowanego świata i jadę do obcej mi, wrogiej ziemi żydowskiej, sugerując się iluzorycznymi przepowiedniami i znakami, płodami własnej wyobraźni.

Takiego obłąkanego stanu ducha wcale nie poprawiło odkrycie, jakiego dokonałem w porcie. Zostałem bowiem oszukany gorzej, niż mogłem się spodziewać. Statek odnalazłem dopiero po długich poszukiwaniach, wypytywaniu i oglądaniu, bo własnym oczom nie wierzyłem, aby to zbutwiałe próchno, ta płaskodenna krypa była owym najnowszym, w dziewiczy rejs wypuszczanym cudem. Niewątpliwie łajba wymagała zabiegów, gdyż bez nowych uszczelnień i smołowania raczej by się nie utrzymała na powierzchni morza. Zapachy, jakimi mnie statek powitał, żywcem przypominały duchotę burdelu, armator Kanopos bowiem dla kamuflażu okadzał pokład najtańszymi kadzidłami. Przegniłe boki osłonięto pstrokatymi tkaninami, a dla uczczenia rejsu przywieziono z bazaru cały wóz zwiędłych kwiatów.

Mówiąc wulgarnie, ta dzieża, naprędce osmołowana i ledwo przystosowana do morskiej żeglugi, była jak stara portowa dziwka, która w dziennym świetle waży się pokazywać jedynie owinięta od stóp do głów w pstrokatą fatalaszki, bruzdy zmarszczek pokrywa warstwami pudru i z daleka odurza podłymi wonnościami. Podobne tej dziwce, fałszywe i pozbawione wszelkich złudzeń, było też spojrzenie nadzorca statku, kiedy

mnie powitał i klnąc się na wszystkich bogów zapewnił, że to jest właściwy statek, po czym wskazał mi mój barłóg wśród wielojęzycznego jazgotu, wrzawy, awantur, łez i dramatów pożegnań.

Kiedy to wszystko zobaczyłem, nawet nie wpadłem w gniew, ale ryknąłem wielkim śmiechem. Zaiste, człowiek nie musi szukać niebezpieczeństw, tylko ich mądrze unikać. No, ale strach przed wszelkim ryzykiem paraliżuje życie. Nasłuchałem się tylu filozofów, że jednego jestem pewien: nawet przy zachowaniu maksymalnej ostrożności nie można bodaj o kilka chwil przedłużyć swojego życia, jako że jego miara jest określona.

Są oczywiście i w naszych czasach egoistyczni i zabobonni bogacze, którzy łamią rzymskie prawo i dla rzekomego przedłużenia swego życia poświęcają trójgłowej bogini młode niewolnice, skracając im życie. W każdym większym mieście Wschodu znaleźć można wiedźmę lub obłąkanego, który zna zaklęcia i za dobrą opłatę gotów jest spełnić taką ofiarę. Moim zdaniem jest to absurdalne samooszukiwanie się. Człowiek potrafi siebie okłamywać i w dodatku jest przekonany, że każdemu dana miara i waga jego nie dotyczy. Co do mnie, to mam nadzieję, że jeśli dożyję starości, nie będę się bał śmierci na tyle, aby oddać się władzy szarlatanów.

W groteskowej sytuacji, w jakiej się znalazłem, pocieszała mnie okoliczność, że statek miał płynąć wzdłuż wybrzeża — no i to, że dobrze pływam.

Oddałem się niezmałonej radości, nie czułem nawet urazy za oszustwo, którego padłem ofiarą. Postanowiłem cieszyć się życiem i podróżą, a w przyszłości, zabarwiając nieco, przedstawiać opis wydarzeń jako doskonałą anegdotę.

Podniesiono kotwicę. Wiosła nieskładnie uderzyły o fale, statek się zakołysał, a rufa oderwała od przystani — kapitan chlusnął przez burtę z pucharu na cześć Fortuny. Rzeczywiście, lepszej ofiarobiorczyni nie można było wybrać, bo tylko przy sporej dozie szczęścia uda nam się dotrzeć do celu. Podróżni żydowscy wznosili ręce i patrząc na groźne morze przyzywali na pomoc po hebrajsku swego Boga. Na przednim pokładzie ustrojona wieńcami dziewczyna zaczęła brzdąkać na lirze, młody chłopiec grał na flecie. Nie trzeba było długo czekać, aby przy akompaniamencie instrumentów muzycznych rozbrzmiała najnowsza aleksandryjska fry wolna piosenka. Pątnicy żydowscy ze zgrozą zorientowali się, że na statku znajduje się objazdowa trupa aktorska, ale nic nie wskórali protestami. Albowiem my, ich zdaniem nieczyści, stanowiliśmy zdecydowaną większość pasażerów. Zresztą spóźnieni pielgrzymi żydowscy nie należeli do ludzi zamożnych, więc musieli cierpliwie znosić nasz widok i tylko pamiętać o częstym szorowaniu swoich naczyń.

W naszych czasach samotność jest niezmiernie rzadkim luksusem. Osobiście nigdy nie byłem zwolennikiem gromady niewolników, którzy śledzą każdy krok i każde słowo swego pana. Z politowaniem obserwowałem ludzi, którzy — czy to ze względu na swą pozycję, czy przez wygodnictwo — przez okrągłą dobę otaczali się niewolnikami. W czasie tej podróży musiałem zapomnieć o wygodach i dzielić miejsce sypialne z różnymi często bardzo podejrzanymi osobnikami. Podróżnym żydowskim udało się szczęśliwie dostać duże pomieszczenie sypialne. Przerobili skrzynię z piachem na paleniska dla przygotowywania koszernych potraw, inaczej dotarliby do brzegów Judei tak strefieni, czyli zanieczyszczeni, że nie mogliby nawet przekroczyć bram świętego miasta. Takie

srogie są ich prawa i reguły czystości.

Sądzę, że nie dopłynęlibyśmy do celu, gdyby nie lekki pomyślny dla nas wiatr, no i zagle. Wioślarze tej krypy, podobnie jak ona sama, byli towarem wybrakowanym: astmatyczni, z trudem łapiący oddech starcy, żałośni nędzarze i kalecy. Nie wszyscy byli niewolnikami; rekrutowali się spośród najtańszej kategorii portowych szumowin, które z braku innych możliwości najmowały się do katorżniczej pracy. Zaprawdę, ci wioślarze mogli występować jako chór w przedstawieniach komediowych! Nawet ich przywódca, który na podium wybijał takt, pokładał się ze śmiechu, gdy widział, jak się grzmocą wiosłami albo przysypiają i spadają z ław wioślarskich. Myślę, że smagał ich batogiem tylko dla fasonu; naprawdę można było z nich wykrzesać tylko tyle, ile sami dawali.

O podróży nie mogę powiedzieć niczego więcej poza tym, że w żadnej mierze nie stanowiła impulsu pobudzającego pobożność ani duchowego przygotowania do przeżycia odwiedzin w świętym mieście. Przed każdym posiłkiem, rano, w południe i wieczór, żydowscy pątnicy wznosili ręce i zawodzili to smętne, to znów radosne psalmy; no, ale oni mieli wrodzoną pobożność i kult świątyni. W innych porach dnia z przedniego pokładu rozlegały się greckie piosenki ćwiczone przez trupę aktorską. A gdy czasem, na moment, udało się zwołać wioślarzy, wtedy z dolnego pokładu dochodził monotony, skrzeczący i ochryply, zawodzący skargi chór.

Ta Greczynka, która opleciona girlandami kwiatów śpiewem i grą na lirze zainaugurowała nasz rejs, miała na imię Myrina. Była chuda, o zadartym nosie i zielonych oczach, zimnych i badawczych. Mimo młodego wieku nieźle grała na instrumencie i śpiewała, była także zdolną tancerką akrobatyczną. Z przyjemnością codziennie obserwowałem jej prowadzone dla zachowania kondycji ćwiczenia. W tym czasie pobożni Żydzi zakrywali twarze i głośno wyrażali swą dezaprobatę.

Myrina jest imieniem amazonki. Ona sama szczerze przyznawała, że dostała je, ponieważ była taka chuda i nie miała piersi. Występowała już w Judei i w greckich miastach Perei, po drugiej stronie Jordanu. Opowiadała, że w Jeruzalem jest zbudowany przez Heroda teatr, ale nie odbywają się w nim przedstawienia, nikt bowiem nie chce spełniać funkcji mecenasa, a publiczności zjawia się niewiele.

Żydzi nienawidzą teatru, podobnie jak i innych wymysłów greckich z wodociągami włącznie. Arystokracja żydowska nie jest na tyle liczna, by zapełniła teatr. Dlatego trupa aktorska planuje pojechać na drugą stronę Jordanu, do miejsca wypoczynku dwunastego legionu rzymskiego. Publiczność tamtejsza jest wprawdzie ordynarna, ale zawsze zapełnia widownię. Możliwe też, że uda im się wystąpić w stolicy księstwa Galilei, w Tyberiadzie; w drodze powrotnej będą próbować szczęścia w rzymskiej Cyrenie na wybrzeżu judejskim.

Pogawędziliśmy szczerze z Myriną w ciągu dnia, a w nocy przyszła do mojej koi i cichutko powiedziała, że gdyby nie musiała, nigdy by się do mnie nie zwróciła, bo jest dziewczyną uczciwą, ale naprawdę musi kupić nowe buty i suknie niezbędne do występów, więc czy mogę jej dać kilka srebrnych grosików?

Po omacku znalazłem w sakiewce ciężką monetę i dałem dziewczynie dziesięć drachm. Była naprawdę oszołomiona. Obejmowała mnie i całowała, powtarzając, że nie

może mi się oprzeć i niechże z nią zrobię, co tylko chcę. Kiedy zorientowała się, że niczego od niej nie oczekuję, bo w Aleksandrii kobiet miałem do przesytu, spytała niewinnie, czy może wolę jej brata, który jeszcze nie ma zarostu. Taka wyuzdana grecka miłość nigdy mnie nie interesowała, chociaż kiedyś, jeszcze na Rodos, miałem w ławie szkolnej platonicznego idola. Kiedy dziewczyna upewniła się, że wystarcza mi jej przyjaźń, doszła do wniosku, że z jakiegoś powodu złożyłem czasowy ślub czystości, i więcej mi się nie narzucała.

W rewanżu za pieniądze zaczęła mówić o cnocie Żydów i zapewniła, że wykształceni Żydzi nie uważają nierządu z cudzoziemką za grzech. Nierządu z Żydówką prawo im zabrania. Dla potwierdzenia swoich słów szeptem opowiedziała mi kilka pikantnych historyjek, ale nie wierzę w ich prawdziwość. W czasie studiów i stosunków towarzyskich w Aleksandrii nauczyłem się szacunku dla Żydów.

Na wschodzie majaczyły góry Judei, morze lśniło diamentami; Myrina zwierzała się mnie, staremu przyjacielowi, ze swoich marzeń. Rozumiała, jak krótki jest blask kariery tancerki. Zamierzała zebrać pieniądze i w przyszłości w jakimś mieście nad brzegiem morza założyć skromną perfumerię i lupanar. Niewinnym wzrokiem wpatrywała się we mnie tłumacząc, że czas oczekiwania na realizację tego planu byłby krótszy, gdyby los się do niej uśmiechnął i znalazła sobie bogatego kochanka. Z całego serca życzyłem jej tego.

Czy to dzięki ofierze kapitana, czy przez pomyślny zbieg okoliczności, a może za sprawą natarczywych modłów żydowskich pielgrzymów, na trzy dni przed świętem Paschy, głodni, spragnieni, brudni i pokąsani przez robactwo, ale cali i zdrowi dotarliśmy do portu w Joppie. Święto przypadało w tym roku w dzień szabatu, było więc tym bardziej uroczyste. Żydom tak się spieszyło, że z ogromną niecierpliwością przyszykowali koszerne posiłek, który spożyli swym gronie, i jeszcze przed nocą ruszyli w stronę Jeruzalem. Noc była zresztą spokojna, niezliczone gwiazdy płonęły nad morzem, a poświata księżycy ułatwiała drogę. Port aż po brzegi zapchany był łodziami, nie brakowało też dużych statków z Italii, Hiszpanii i Afryki. Jeśli wcześniej do mnie nie dotarło, to teraz zrozumiałem dokładnie, że dla armatorów całego świata żydowskie umiłowanie Świętyni jest równoznaczne z dochodowością ich przedsięwzięć.

Wiesz, Tulio, że nie jestem odludkiem, nie miałem ochoty na przyłączenie się do greckiej trupy aktorskiej, kiedy razem z nimi schodziłem raniutko ze statku, chociaż bardzo o to prosili; liczyli, że znajdą we mnie opiekuna, bo nie mieli w swym gronie nikogo miejscowego. Ale ja postanowiłem, że w Joppie spokojnie dokończę ten list, który rozpocząłem na statku dla szybszego spędzenia czasu, abyś wiedziała, jakie przygody trafiały mi się w czasie tej męczącej podróży.

Wynająłem więc dla siebie gościnny pokój i gdy już nieco odpocząłem, zabrałem się za list. Wziąłem kąpiel, szczerze obsypałem całe ciało środkiem przeciwko pasożytom, a odzież, którą nosiłem na statku, podarowałem biedakom; zauważyłem, że się wprost przerazili, kiedy chciałem ją spalić. Zaczynam czuć się jak dawniej, pozwoliłem sobie utrefić i namaścić włosy i kupiłem nowe szaty. Dzięki prostocie moich zwyczajów nie mam zbyt wielu rzeczy: tylko spore zapasy czystego papirusu i przybory do pisania oraz drobne pamiątki z Aleksandrii, które w miarę potrzeby będę wręczał w charakterze upominków.

Na bazarze w Joppie oferuje się różne środki transportu do Jeruzalem, zarówno dla szlachetnie urodzonych, jak i dla pospólstwa. Mogłem wynająć dla siebie lektykę z eskortą, mogłem jechać w powoziku ciągnionym przez parę mułów albo skorzystać z grzbietu prowadzonego przez przewoźnika wielbłąda. Ale pisałem Ci już, że największym luksusem jest samotność. Dlatego zamierzam jutro wynająć osła, objuczę go tym drobnym bagażem, bukłakiem z winem i zapasem jedzenia i ruszę piechotą do Jeruzalem, jak robią zwykli pielgrzymi. Po gnuśnym życiu w Aleksandrii taki wysiłek cielesny jest jak najbardziej wskazany, a nie muszę się obawiać złoczyńców, bo droga zapchana jest pątnikami spieszącymi na święto Paschy, ponadto strzeżona przez patrole dwunastego legionu.

Ja, Tulio, moje kochanie, nie dlatego opowiadam ci o Myrinie czy innych kobietach z Aleksandrii, żeby Cię obrazić lub wzbudzić Twoją zazdrość. Choć mogłabyś trochę pocierpieć, nawet poczuć kłujący ból z mego powodu! Obawiam się jednak, że jesteś po prostu zadowolona, skoro tak sprytnie uwolniłaś się ode mnie. Nie znam Twoich myśli, może naprawdę coś Ci przeszkodziło w podróży? Dlatego klnę się, że najbliższej jesieni znów będę na Ciebie czekał w Aleksandrii aż do końca sezonu żeglugowego. Zostawiłem tam wszystkie swoje rzeczy, nie wziąłem ze sobą ani jednej książki. Gdybyśmy się minęli na przystani, to mój adres otrzymasz w kantorze rzymskiego armatora albo od mojego bankiera; serce mi jednak podpowiada, że następnej jesieni, podobnie jak ubiegłej, będę obecny przy przybijaniu każdego statku z Italii.

Nie jestem pewien, czy zechcesz przeczytać ten list do końca, choć starałem się pisać tak barwnie, jak tylko potrafię. W gruncie rzeczy

— i można to wysnuć z tego listu — jestem w nastroju poważnym. Przez całe życie oscylowałem między Epikurem a filozofią stoików, między uciechami życia a wstrzeźliwością. Zmęczył mnie zbytek rozkoszy w Aleksandrii, jej nędzne uciechy dla ciała i umysłu. Ty wiesz i ja doskonale rozumiem, że rozkosz i miłość to dwie zgoła różne sprawy. Do rozkoszy można przywyknąć jak do biegania czy pływania, rozkosz wprawia człowieka w przygnębienie. Natomiast niezmiernie rzadko spotyka się osobę, dla której człowiek przyszedł na świat. Ja się dla Ciebie, Tulio, narodziłem — i moje głupie serce zapewnia, że i Ty dla mnie zostałaś poczęta. Przypomnij sobie noc w Bajach, gdy kwitły róże...

Nie traktuj tylko zbyt poważnie wszystkiego, co pisałem o przepowiedniach. Pamiętam wciąż, co wyszeptowałaś na pożegnanie dumnymi ustami: „Marek jest wciąż tym samym niepoprawnym marzycielem”. Ale czybyś mnie kochała, gdybym taki nie był? Jeśli jeszcze w ogóle mnie kochasz...

Joppa jest prastarym miastem portowym, zamieszkanym głównie przez Syryjczyków. Ale kiedy pochłonięty byłem pisaniem do Ciebie, dobrze mi tu było. Tulio, moja miłości, nie zapomnij o mnie. List ten biorę ze sobą i wyślę go z Jeruzalem, ponieważ statki wracają do Brundyzjum dopiero po żydowskich świętach Paschy.

LIST DRUGI

Marek do Tulii.

Piszę w żydowskie święto Paschy, w ich świętym mieście Jeruzalem, w fortecy Antonia. Zdarzyło mi się coś niesłychanego, czego jeszcze sam nie potrafię sobie w pełni uświadomić. Tulio, uwierz — jestem całkiem spokojny. Piszę tylko po to, aby sobie i Tobie dokładnie wyjaśnić, co się właściwie wydarzyło.

Już teraz nie lekceważę proroczych znaków; zresztą w głębi serca nigdy tego nie czyniłem, choć tak lekko o nich mówiłem i pisałem. Przeraza mnie, że przez całą podróż ktoś mną sterował i choćbym się sprzeciwiał, niczego nie mogłem uniknąć. Ale jakie siły mną sterowały? Tego nie wiem.

Zaczynam od początku.

Na bazarze w Joppie, odrzuciwszy wszelkie pokusy wygodnej podróży, wynająłem osiołka i z grupą ostatnich pielgrzymów ruszyłem w kierunku Jeruzalem. Przypadł mi osiołek łagodny i przyjazny, przez całą drogę nie miałem z nim żadnych kłopotów. Prawdopodobnie tyle razy wędrował już szlakiem z Joppy do Jeruzalem, że znał wszystkie studnie i miejsca postoju w wioskach i zajazdach. Lepszego przewodnika nawet spod ziemi bym nie wykopał. Sądzę też, że czuł do mnie sentyment, ponieważ nie gramoliłem się na jego grzbiet, gdy zjeżdżaliśmy z góry, tylko dla nabrania tężyzny wędrowałem na własnych kończynach.

Legion rzymski maszeruje z Joppy do Jeruzalem niecałe dwa dni, ale dla pielgrzyma teren górzysty jest bardziej męczący niż równina. Równocześnie taka rzeźba terenu bardzo urozmaica drogę, a Judea jest krainą piękną i żyzną. Wprawdzie w dolinach nie kwitły już drzewa migdałowe, lecz cały czas na zboczach pełno było kwiatów, a ich gorzkawy i miły zapach towarzyszył mi całą drogę. Byłem wypoczęty i jak w młodości, kiedy ćwiczyłem na stadionie, zmęczenie przynosiło mi radość. Dzięki wychowaniu i wrodzonej ostrożności — do której, jak wiesz, koleje losu mnie zmusiły — nauczyłem się bagatelizować formy zewnętrzne. Dlatego nie chcę ani zachowaniem, ani szatami wyróżniać się spośród tłumu. Próżność mnie śmieszy. Nie chcę służby ani gońców, którzy ogłaszałyby moje nadejście. W czasie drogi wraz z osiołkiem pokornie ustępowałem miejsca ważniejszym, którzy w pośpiechu pędzili niewolników i

zwierzęta. Bardziej się cieszyłem, gdy mój osiołek odwracając się do mnie, strzygł mądrze uszami, niż gdyby szlachetnie urodzeni zatrzymywali się, żeby mnie pozdrowić i zaprosić do swego grona.

W rogach swych płaszczy Żydzi noszą frędzelki, na całym świecie będące ich znakiem rozpoznawczym, bo w zasadzie ubierają się jak inni ludzie. Szlak, który Rzym głównie z myślą o potrzebach armii udoskonalił, jest tak znany i tylu ludzi po nim wędruje, że chociaż przy moim płaszczu nie było frędzelków, nikt nie zwracał na mnie uwagi. W zajeździe, do którego przyprowadził mnie osiołek, dostałem jak inni wodę do picia dla nas obydwu i do umycia rąk i nóg. Panował tam tłok, zupełnie jakby nie tylko wszyscy mieszkańcy Judei, ale i wszystkie narody z wielką radością czciły wyzwolenie Żydów z niewoli egipskiej.

Gdybym się spieszył, to pod wieczór zapewne dobrnąłbym do Jeruzalem. Ale nic mnie nie goniło. Zachwycony, wdychałem rześkie powietrze judejskich gór, a mój wzrok olśnił przepych kwiatów na stokach. Po aleksandryjskim przesycie napawałem się swobodą myśli i do tego stopnia cieszyłem każdą chwilą, że suchy chleb smakował mi lepiej niż najznakomitsze frykasy. Nawet nie dolewałem po drodze do wody wina, bo sama woda była najsmaczniejsza.

Dlatego guzdrałem się; głos pasterskiego fletu, zwołującego na noc owce, zaskoczył mnie na stoku góry dość daleko od Jeruzalem. Mogłem wprawdzie trochę odpocząć i iść dalej przy świetle księżyca, ale wiele słyszałem o pięknie obrazu, jaki jawi się oczom wędrownika, gdy o świcie ujrzy wyłaniające się zza doliny Jeruzalem i marmurową biel Świątyni na tle gór w oślepiającym blasku słońca. Właśnie tak chciałem zobaczyć pierwszy raz święte żydowskie miasto. Dlatego ku zdziwieniu mojego osiołka zmieniłem kierunek wędrowki i poszedłem pogawędzić z pastuchem, który zawiódł na noc do pieczary stado owiec. Mówił chłopską gwarą, ale rozumiał język aramejski i zapewnił mnie, że tutaj, na usianym wioskami terenie, nie ma wilków. On sam nie bierze nawet psa dla ochrony owiec przed drapieżnikami, chociaż boi się szakali i dlatego sypia w pieczarze. Za pożywienie miał zeschnięty chleb jęczmienny i owczy ser. Bardzo się ucieszył, kiedy podzieliłem się z nim kawałkiem białego chleba, miodownikiem i sprasowanymi figami. Kiedy zorientował się, że jestem gojem, nie chciał tknąć suszonego mięsa, choć nie stronił ode mnie. Zjedliśmy posiłek razem przy wejściu do pieczary, a osiołek łakomie ogryzał na zboczu cierniste krzewy. Potem cały świat stał się liliowy, jak zbocze gór pokryte kwitnącymi anemonami, ciemność spadła na ziemię, na niebie zapłonęły gwiazdy. Jednocześnie ochłodziło się i poczułem, jak z pieczary napływa ciepło od stłoczonych w gromadkę owiec, ale nie odczuwałem z tego powodu przykrości. Ten zapach kojarzył mi się z woniami dzieciennych lat i domu rodzinnego. Ku mojemu zdumieniu łyzy zakręciły mi się w oczach. I nie płakałem z Twego powodu, Tulio. Sądziłem, że to trudy podróży tak zmordowały moje wątłe ciało, że były to łyzy zmęczenia. Teraz jednak myślę, że płakałem nad sobą; nad tym, co już przeżyłem, i co mnie jeszcze czekało. W tamtej chwili gdybym mógł, bez wahania wypiłbym ze źródła zapomnienia.

Potem zasnąłem jak najuboższy pielgrzym na łonie nocy, przed pieczarą i pod dachem gwiazd. Spałem tak mocno, że pasterz zdążył wyprowadzić owce, zanim mnie obudził. Nie pamiętam, bym we śnie widział choć jeden zły znak, a kiedy się obudziłem

— wszystko, zarówno powietrze, jak i ziemia wydały mi się inne niż wczoraj. Zachodnie zbocze gór spowijał cień, a światło dnia rozjaśniało stoki wzgórz przeciwległych. Ciało miałem znużone, jak po chłóście, byłem zupełnie zubożony; nawet stojący w pobliżu osiołek smętnie zwiesił głowę. Nie mogłem pojąć, skąd się wzięła ta nagła zmiana nastroju; przecież ani dwa dni marszu, ani jedna noc spędzona na twardym posłaniu nie mogły mnie tak zmęczyć! Uznałem, że chyba będzie zmiana pogody, na którą zawsze byłem wrażliwy, podobnie jak na sny i przepowiednie. Z taką trudnością oddychałem, że nawet nie myślałem o jedzeniu. Wręcz obawiałem się, że nie zdołam przełknąć nawet jednego kęsa. Wypiłem kilka łyków wina z bukłaka, ale to mnie nie orzeźwiło. Przestraszyłem się; może wczoraj napojono mnie zatrutą wodą, może jest to symptom nadchodzącej choroby?

W oddali widziałem kilku podróżnych wspinających się po zboczu. Ale dużo czasu upłynęło, nim przełamałem wewnętrzną inercję, załadowałem bagaż na grzbiet osła i wyszedłem na drogę. Wspięcie się na górski grzbiet wymagało ogromnego wysiłku. Dopiero na przełęczy zrozumiałem przyczynę mego złego samopoczucia: w twarz uderzył mnie podmuch palącego pustynnego wiatru. Taki wiatr potrafi dąć kilka dni, świszcząc przez każdy otwór zabudowań, w nocy stuka i wali w okiennice i powoduje różne dolegliwości: u mężczyzn straszliwe bóle głowy, a u kobiet wymioty.

W jednej chwili wicher wysuszył moją twarz i zaczął szczypać w oczy. Słońce, które stało już wysoko, przekształciło się w zmętniałą purpurową kulę. I wtedy właśnie ujrzałem otoczone murem święte żydowskie miasto, wyłaniające się zza doliny. Obolałymi oczyma, z suchym smakiem wiatru w ustach, patrzyłem na wieże pałacu Heroda, na zespół wielkomijskich budynków na zboczach, teatr i cyrk, a przede wszystkim na wstającą w oddali, całą w złocie i bieli Świątynię, jej mur, gmachy i kolumny.

Wskroś światło zamglonego słońca Świątynia nie rozbłysła w moich oczach, jak mi zapowiadano. Marmur nie oślepił bielą ani złoto nie lśniło. Niewątpliwie jest to potężna, imponująca budowla na miarę cudu świata i nie daje się porównywać z nowoczesną architekturą. Oczywiście, moje wrażenia były inne niż te, które są udziałem Żydów. Patrzyłem tylko ze snobizmu, bo tak wypadło, skoro przebyłem taką drogę. Nie byłem już taki młody jak wówczas, kiedy po raz pierwszy widziałem świątynię w Efezie. Teraz, gdy gorący wiatr pustynny pyłem dmuchał mi w oczy, nie odczuwałem takiego nabożnego podniecenia jak wówczas...

Zdumiony osiołek aż odwrócił się i spojrzął na mnie, kiedy ponagliłem go do marszu. Przecież gdy tylko wspięliśmy się na górski grzbiet, zatrzymał się w miejscu, skąd roztaczał się najlepszy widok, i na pewno oczekiwał, że spędzę dłuższy czas na podziwianiu, wydawaniu okrzyków radości, na śpiewie i modłach. Sam siebie ganiłem i oskarżałem o ponuractwo i uleganie słabości własnego ciała, które wraz ze złośliwym wiatrem uniemożliwiały docenienie tych wspaniałych widoków. Strzygąc ze złością uszami osiołek zaczął schodzić krętą dróżką w dół zbocza. Szedłem obok niego, trzymając się upręży, bo byłem taki słaby, że kolana się pode mną uginały. Im niżej schodziliśmy, tym wiatr był mniej dokuczliwy; w dolinie prawie się go nie odczuwało. W końcu koło południa droga z Joppy połączyła się ze szlakiem wiodącym z Cezarei i zmieniła w rzymski trakt, po którym do miasta wędrowały tłumy ludzi. Spostrzegłem, że

niektóre grupy zatrzymują się przed bramą i patrzą na pobliskie wzgórze, ale wielu zakrywało twarz i pospiesznie szło dalej. Mój osiołek zaczął nagle stawiać dziwny opór. Kiedy podniosłem wzrok, na szczycie porośniętego ciernistymi krzewami wzgórza zobaczyłem trzy krzyże i odróżniłem przybite do nich trzy ciała. Na stoku góry od strony bramy stała duża gromada ludzi.

Na trakcie utworzył się zator: choćbym chciał, nie mógłbym precyzyjnie się do bramy. Widziałem już wielu ukrzyżowanych przestępców; aby hartować swój charakter oglądaniem cudzego cierpienia, niejednokrotnie zatrzymywałem się przy nich i patrzyłem. Widywałem też okrutniejsze metody zabijania na arenie cyrkowej, ale uczestnicy tych widowisk ponosili jakieś ryzyko. Ukrzyżowanie zaś to tylko wykonywanie wyroku haniebnej i powolnej śmierci. Jeśli obywatelstwo rzymskie daje jakieś prerogatywy, to jest nią pewność, że jeśli dokonam przestępstwa, za które karze się śmiercią, wówczas wyrok wykonany będzie przez ścięcie mieczem.

Gdybym był w innym nastroju, przypuszczalnie odwróciłbym głowę, zapomniał o złych znakach i bodaj przemocą przebijał się do przodu. Ale widok tych trzech ukrzyżowanych w niewytłumaczalny sposób pogłębił we mnie uczucie depresji wywołane przez warunki atmosferyczne, choć przecież nic mnie nie łączyło z losami tych ludzi i w ogóle mnie nie obchodzili. Nie wiem dlaczego, po prostu musiałem obejrzeć ich z bliska. Zeszedłem wraz z osiołkiem z głównego traktu na stadion, precyzyjnie się przez milczącą grupę ludzi i wspiałem zboczem.

Koło krzyża leżało kilku syryjskich żołnierzy z dwunastego legionu; grali w kości i popijali kwaśne wino. W pewnym oddaleniu stał setnik, więc ukrzyżowani nie byli zwykłymi niewolnikami czy przestępcami.

Najpierw tylko rzuciłem okiem na wijące się w konwulsjach ukrzyżowane ciała; nad głową skazańca przybitego do środkowego krzyża spostrzegłem tabliczkę. Umieszczony na niej napis po grecku, łacinie i hebrajsku głosił: „Jezus Nazarejski, król żydowski”. Z początku nie wiedziałem, co czytam. Potem na zwieszanej głowie zobaczyłem głęboko wciśnięty wieniec cierniowy, który imitował koronę królewską. Spod wbitych kolców spływały po twarzy krzepnące strużki krwi.

Niemal w tej samej chwili napis i rysy twarzy ukrzyżowanego zatarły się, słońce zniknęło na niebie i w środku dnia zrobiło się tak ciemno, że z trudem odróżniałem stojących obok mnie ludzi. Głosy ptaków zamilkły i — jak to się dzieje w czasie zaćmienia słońca ludzie tak ucichli, że słyszałem brzęk rzuconej kostki i chrapliwy oddech ukrzyżowanych.

W poprzednim liście, Tulio, prawie jawnie Ci napisałem, że jadę odnaleźć żydowskiego króla. I znalazłem go — przed bramą Jeruzalem, ukrzyżowanego, choć jeszcze żywego.

Kiedy uświadomiłem sobie treść napisu na tabliczce i zobaczyłem koronę cierniową, nie wątpiłem ani przez moment, że odnalazłem tego, którego szukałem — męża zapowiedzianego koniunkcją gwiazd, króla żydowskiego, według proroctw mającego przyjść, aby rządzić światem. Nie wiem, w jaki sposób stało się dla mnie jasne, że przygniatająca mnie dotychczas depresja była przygotowaniem do tego mrocznego

obrazu.

Dzięki zaćmieniu słońca nie musiałem zbyt dokładnie widzieć hańby i cierpienia ukrzyżowanego Jezusa. Zdążyłem jednak zauważyć, że bito go po twarzy i rzymskim zwyczajem ubiczowano. Znajdował się w dużo gorszej kondycji fizycznej niż dwaj pozostali ukrzyżowani, którzy byli krzepkimi, twardymi chłopami z pospólstwa.

Na krótką chwilę cała przyroda i ludzkie głosy utonęły w ciemnościach nocy. Potem spośród gromady gapiów rozległy się okrzyki strachu i grozy. Zauważyłem, że nawet setnik podniósł głowę, aby rozejrzeć się w różne strony świata. Na tyle przyzwyczailem się do mroku, że znów zacząłem rozróżniać kontury krajobrazu i ludzi wokół siebie. Przerazenie tłumu wzrastało, gdy z cizby przedarło się do przodu kilku Żydów ubranych w płaszcze z frędzlami w rogach; sądząc po nakryciu głowy, byli to ludzie władzy i uczeni. Głośno krzyczeli, by ośmielić tłum, i szydzili z ukrzyżowanego. Wzywali go, aby udowodnił, że jest królem i zszedł z krzyża. Wznosili też inne drwiące okrzyki, zapewne nawiązujące do tego, co przedtem głosił ludowi, i w ten sposób usiłovali zjednać sobie tłuszcę. Ze środka tłumu wyrwały się pojedyncze wyzwiska i drwiny, ale większość milczała, jakby chciała ukryć swoje uczucia. Sądząc po twarzach i odzieniu, przeważali tu ludzie biedni, głównie przybyli na święto Paschy wieśniacy. Odniosłem wrażenie, że w głębi serca byli po stronie Jezusa, choć nie mieli odwagi okazać tego w obecności legionistów i starszych gminy. W tłumie znajdowało się wiele kobiet; zakrywały głowy i płakały.

Kiedy Jezus usłyszał okrzyki, podniósł drżącą głowę i wsparł ciężar ciała na przybitych do krzyża nogach. Przybito mu bowiem stopy, aby nie umarł zbyt szybko od uduszenia. Ciężko dysząc wciągnął powietrze w płuca. Jego zakrwawionym ciałem wstrząsnęły konwulsje. Otworzył oczy, poruszył głowę i rozejrzał się dookoła, jakby czegoś szukając. Na szyderstwa nie odpowiadał. Miał dość zmagań z cierpieniem własnego ciała.

Obaj pozostali ukrzyżowani trzymali się jeszcze dobrze. Wiszący po lewej stronie skorzystał z okazji, by drwić z ludzi. Demonstrując swoją hardość, odwrócił się w stronę króla i łącząc żalną uciechę z pogardą zawołał:

— Czyż nie jesteś pomazańcem Bożym? Pomóż nam i sobie! Ten po prawej stronie skarcił go z krzyża:

— My sprawiedliwie odbieramy słuszną karę za nasze uczynki, ale on nic złego nie uczynił — powiedział, a potem z pokorą zwrócił się do króla: — Jezu, wspomnij o mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa.

W takiej chwili, w obliczu męczeńskiej śmierci, on mówił o królestwie! Jeszcze wczoraj na pewno roześmiałbym się z tak nieugiętej wiary. Ale teraz nie było mi do śmiechu. Te słowa były zbyt poważne i wstrząsające. Zdziwiłem się jeszcze bardziej, gdy król żydowski z miłością odwrócił umęczoną głowę i pocieszył go zdławionym głosem:

— Razem ze mną dziś będziesz w ogrodach królewskich.

Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć. Obok przechodził właśnie jakiś uczony i podejrzliwie przyglądał się ludzkiej gawiedzi. Zatrzymałem go i spytałem:

— Co wasz król rozumie pod słowami „ogrody królewskie”? I dlaczego jest ukrzyżowany, skoro nic złego nie uczynił?

— Jesteś pewno obcy w Jeruzalem — rzekł uczony, wybuchając szyderczym śmiechem. — Wierzysz bardziej świadectwu łotra niż sanhedrynowi i namiestnikowi Rzymu, który go skazał? To nie jest król żydowski. On sam tak siebie nazwał i w ten sposób obraził Boga. Nawet wisząc na krzyżu bluźni Bogu, mówiąc o królewskich ogrodach.

Szczelniej owinął się płaszczem, aby nie dotknąć mnie bodaj jego frędzlem. Poczulem się urażony i powiedziałem:

— Muszę to wyjaśnić.

— Pilnuj lepiej swego nosa! — ostrzegł mnie, groźnie spoglądając.

— Na pewno nie należysz do tych, których podburzył. Nie ma go co żałować, to wichrzyciel i buntownik, gorszy niż wiszący po obu jego stronach złoczyńcy.

Wtedy całe moje przygnębienie i smutek wyładowałem w gniewie. Szarpnąłem go i — zapominając zarówno o osiołku, jak i o swojej pozycji — pobiegłem do setnika, wskazałem go palcem i krzyknąłem na wszelki wypadek po łacinie:

— Jestem obywatelem rzymskim, a ten Żyd mi grozi!

Mimo ciemności setnik przyjrzał mi się badawczo, po czym znudzony westchnął i pobrzękując zbroją wyszedł kilka kroków przed tłum, który musiał się cofnąć i zrobić miejsce przed krzyżami. Aby udowodnić własną ogładę, przywitał mnie po łacinie, ale zaraz przeszedł na grekę:

— Bracie, nie denerwuj się — rzekł. — Jeśli jesteś rzeczywiście obywatelem, to twemu dostojeństwu nie przystoi wszczynać awantury z Żydem, i to w przeddzień szabatu.

Potem odwrócił się do tłumu i wyraźnie nie chcąc adresować swoich słów ani do przedstawicieli władz, ani do uczonych, krzyknął:

— Wynocha stąd i jazda do domu! Dość mielenia ozorem! Żadnego cudu nie będzie! Lepiej idźcie do swych baranich pieczeni i żeby wam kości w gardle nie stanęły!

Z jego słów wywnioskowałem, że w tłumie, oprócz miotających obelgi, znajdowali się i tacy, którzy mieli nadzieję, że ich król mocą swoją zstąpi z krzyża, i oczekiwali tego cudu, choć trzymali się na uboczu, widocznie obawiając się starszych gminy i uczonych w Piśmie. Kilka osób posłuchało setnika i oddaliło się w stronę miasta. Zator na drodze został rozładowany.

Setnik protekcyjnie trącił mnie pod bok i zaproponował:

— No chodź, łyknijmy wina. Nie obchodzi mnie, co tu się dzieje, jestem na służbie. Żydzi zawsze zabijali swoich proroków. Oni się uparli, żeby przy pomocy Rzymian ukrzyżować tego swojego króla, ale nie widzę powodu, abym ja miał kłaść głowę pod topór!

Wyprowadził mnie za krzyże, gdzie leżało odzienie ukrzyżowanych. Właśnie żołdacy rozdzielili je między siebie i każdy związał swój węzełek. Setnik podniósł z ziemi bukłak wina i poczęstował mnie. Nie wypadało odmówić, więc pociągnąłem łyk żołnierskiego cienkusa. Setnik też wypił i powiedział:

— Najlepiej byłoby się zalać. Na szczęście mam służbę tylko do wieczora. Jest wigilia szabatu, a Żydom nie wolno zostawiać ciał na noc... Całe Jeruzalem jest jak gniazdo jadowitych węży. Im lepiej poznaję Żydów, tym bardziej jestem przekonany, że najlepszy Żyd to nieboszczyk. Dlatego dobrze, że w przeddzień ich święta wiszą tu ci zbrodniarze, bo to jest ostrzeżenie dla innych, by nie wzniecali rozruchów. Ale ten w środku był człowiekiem niewinnym i prorokiem.

Ciemności wciąż trwały; od czasu do czasu niebo purpurowiało i znowu stawało się czarne. Powietrze było gorące jak ogień i tamowało dech.

— Wiatr pustynny przyniósł mnóstwo piachu ze wschodu. — Setnik spojrzał na niebo. — Ale tak niesamowitej chmury w swoim życiu nie widziałem. Gdybym był Żydem, uważałbym, że słońce schowało twarz ze zgrozy, a niebo boleje nad haniebną śmiercią syna Bożego. Bo właśnie ten Jezus twierdził, że jest synem Boga.

Nie okazywał mi specjalnego szacunku, ale spostrzegłem, że po ciemku szacuje moje szaty i przygląda się twarzy, próbując odgadnąć, kim właściwie jestem. Usiłował się roześmiać, ale wcale mu to nie wychodziło, więc znów się odwrócił i patrzył w niebo.

— Zwierzęta też są niespokojne. Psy i lisy uciekają na wzgórze, a wielbłądy od rana stają dęba przy bramie i nie chcą wjeżdżać do Jeruzalem. To fatalny dzień dla całego miasta.

— Fatalny dla całego świata — potwierdziłem, wiedziony przecuciem.

Setnik drgnął przestraszony, podniósł ostrzegawczo rękę i rzekł, jakby szukając usprawiedliwienia:

— To problem żydowski, a nie rzymski. Prokurator nie chciał go skazać, lecz uwolnić. Ale tłum skandował chórem: ukrzyżować, ukrzyżować! Sanhedryn zagroził skargą do cesarza, że prokurator popiera buntowników. Dlatego namiestnik umył ręce w misce ofiarnej, żeby się oczyścić od niewinnej krwi. Żydzi wściekle wyli i krzyczeli, że krew proroka biorą na swoje głowy.

— A kto obecnie jest prokonsulem w Judei? Powinienem to wiedzieć, ale jestem w mieście obcy. Przybywam z Aleksandrii, gdzie całą zimę studiowałem księgi.

— Poncjusz Piłat — popatrzył na mnie z wyższością; wziął mnie chyba za wędrownego sofistę.

— Ależ ja go znam! — krzyknąłem zaskoczony. — A przynajmniej jego żonę poznałem w Rzymie. Czy nie jest nią Klaudia Prokula?

Swego czasu byłem gościem w domu Prokulów w Rzymie i słuchałem nudnej opowieści o ich zasługach w Azji. Wino jednak i całe przyjęcie było wspaniałe. Z przyjemnością też rozmawiałem z Klaudią Prokulą, choć była ode mnie dużo starsza. Wyglądała na wrażliwą niewiastę i oboje stwierdziliśmy, że musimy się ponownie

spotkać. Nie było to tylko takie zdawkowe powiedzenie. Mimo to więcej jej nie widziałem. Jak przez mgłę pamiętam, że zachorowała i wyjechała z Rzymu. Ty, Tulio, jesteś o tyle od niej młodsza, że raczej jej nie pamiętasz. Bywała na dworze cesarskim, zanim Tyberiusz wyjechał na Capri.

Na chwilę zapomniałem o otoczeniu i wróciłem do czasu młodości pierwszych rozczarowań. Dopiero setnik brutalnie ściągnął mnie na ziemię:

— Jeśli jesteś przyjacielem prokonsula, obywatelem rzymskim i obcym w mieście, to serdecznie zapraszam, spędź święto Paschy wśród Rzymian. W czasie świąt religijnych Żydzi są strasznie rozdrażnieni. Dlatego prokonsul chwilowo przeniósł swoją siedzibę z Cezarei do Jeruzalem, żeby od razu na miejscu gasić ewentualne zaburzenia. Teraz, gdy ukrzyżowali tego proroka, może będą trochę spokojniejsi, choć za to nie można ręczyć. Jego zwolennicy pochowali się i raczej będą cicho, bo przynajmniej ten z krzyża już nie zejdzie.

Podszedł do krzyża, uważnie przyjrzał się królowi w cierniowej koronie i obydwu pozostałym łotrom i fachowo stwierdził:

— On wkrótce umrze. Żydzi srogo się z nim obchodzili po schwytaniu, gdy go prowadzili do swojej Rady. Rzymskim zwyczajem prokonsul kazał go wychłostać, żeby tłum się nad nim zlitował i żeby trochę przyspieszyć jego śmierć. Jak wiesz, solidna chłosta przed ukrzyżowaniem jest aktem miłosierdzia. A tamtym dwóm zaraz połamię się kości goleniowe, żeby nie mieli wsparcia w nogach, więc uduszą się gdzieś pod wieczór.

W tym momencie rozległ się straszliwy ryk zwierząt. Nigdy takiego nie słyszałem. Ciemność zastąpiła falująca purpurowa poświata, tłum zakolysał się w trwodze. Także mój osiołek się spłoszył i — choć objuczony bagażami — ruszył truchtem w drogę powrotną. Jacyś obcy ludzie zatrzymali go, a on wyciągnął łeb i zaryczał przeraźliwym głosem, jakby chciał przekazać trwogę żywego stworzenia. Skoczyłem szybko na drogę. Osiołek już nie brykał, ale drżał na całym ciele i zlany był potem. Chciałem go poklepać i uspokoić, lecz potulne zazwyczaj bydlę z gniewem wykręciło szyję i omal mnie nie ugryzło! Jakiś człowiek powiedział, że dzisiaj wszystkie zwierzęta zachowują się jak wściekłe, że to się zdarza, kiedy wieje wiatr pustynny.

Podszedł do mnie zaalarmowany rykiem dozorca oślich przewoźników, obejrzał uprząż, znaki na uszach osiołka i rzekł ze złością:

— To nasze zwierzę. Coś ty mu zrobił? Będzie cię drogo kosztowało, jeśli się rozchoruje i trzeba go będzie zabić!

Sam byłem mocno zdenerwowany, bo w życiu nie widziałem, żeby jakiegokolwiek stworzenie tak dygotało ze strachu. Zacząłem ściągać sakwy z jego grzbietu, broniąc się przed zarzutami:

— Czyście wszyscy poszaleli w tym Jeruzalem? Nic. mu nie zrobiłem! Widocznie boi się zapachu krwi i śmierci, bo ukrzyżowaliście swojego króla.

Nasz spór nagle się urwał, a mnie sakwy wypadły z rąk, bo cały świat wypełnił dziwny odgłos, jakby bezgraniczne westchnienie, i ziemia zatrzęsa się pod nogami. Raz w życiu przeżyłem już coś podobnego, toteż zrozumiałem, skąd się wzięło zaćmienie

słońca, popłoch wśród zwierząt, moje uczucie depresji i trudności w oddychaniu. Wiedziałem, że schronienie się pod dachami miasta byłoby głupotą, ale najchętniej rzuciłbym się na posłanie, nakrył głowę i próbował zapomnieć o całym świecie.

— Nie kłóćmy się w takiej chwili, kiedy ziemia drży z bólu rzekłem do dozorca przewodników, dając mu srebrnego denara. Dozorca bił i kopał osła, ale ten nawet nie drgnął, więc tylko skrępował mu przednie nogi, zabrał sakwy i poszedł do swojej budy przy bramie.

Nie wiem, czy nie odważyłem się pójść do miasta ze strachu wywołanego trzęsieniem ziemi, czy też coś mnie zmusiło, bym wrócił na wzgórze do ukrzyżowanych, choć nie było widoku bardziej odrażającego niż ich cierpienia. W głębi serca bezgłośnie modliłem się do bogów znanych i nie znanych, również do opiekuńczych duchów mego rodu: „Z własnej woli zacząłem badać przepowiednie, ale to wasze znaki zmusiły mnie do opuszczenia Aleksandrii i przywiodły do tego miejsca, na tę chwilę. Przybyłem szukać władcy świata, aby zbliżyć się do niego i uzyskać nagrodę. Dajcie mi tyle siły, abym dotrwał aż do jego śmierci, choć żadnej nagrody już nie oczekuję”.

Wraz z tłumem powoli wstępowałem na górę. Skądś z tyłu nadeszły płaczące niewiasty. Głowy miały nakryte, więc nie widziałem ich twarzy. Towarzyszył im jedyny obrońca i pocieszyciel, młodzieniec, którego piękna twarz ściągnięta była bólem i grozą. Spytałem, kim oni są. Ktoś chętnie mnie objaśnił, że kobiety towarzyszyły Jezusowi aż z Galilei, gdzie podburzał naród i naruszał prawo.

— Mężczyzna jest jego uczniem, ale nie wypada go obrażać, choć zblądził, bo on i jego rodzina są znajomymi arcykapłana — tłumaczył mi, a potem szyderczo wskazał palcem niewiastę, podtrzymywaną przez młodzieńca: — A tamta, jak sądzę, jest matką ukrzyżowanego.

Nie miałem śmiałości podejść i porozmawiać z nią, choć byłem bardzo ciekaw i z chęcią dowiedziałbym się czegoś o tym Jezusie od jego zwolenników. Przeraziła mnie jednak myśl, że matka będzie oglądała haniebną śmierć syna. I nawet wśród przeciwników ukrzyżowanego widać było tyle szacunku dla cierpienia matki, że nie zaczepiono nikogo z tej zrozpaczonej grupy.

Stałem w cizbie gapiów, a czas powoli upływał. Niebo znów ściemniało, suche gorące powietrze utrudniało oddech. Natarczywe muchy wpychały się do oczu i ran ukrzyżowanych. Ciała skazańców wiły się i dygotały w konwulsjach. Jezus jeszcze raz uniósł się na krzyżu, otworzył umęczone powieki, gwałtownie wstrząsnął głową i głośno zawołał: „*Eli, Eli, lama sabachthani!*”, co z aramejskiego się wyklada: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił!”

Miał głos tak chrapliwy, że trudno było zrozumieć poszczególne słowa. Gapie poruszyli się i pytali jeden przez drugiego, co on powiedział. Jedni twierdzili, że wołał, iż Bóg go opuścił, inni zapewniali, że wzywał Eliasza. Eliasz to prorok żydowski, który w płonącym wozie wzięty był do nieba. Dlatego najzacieklej si zaczęli znów drwić z niego i wołali, by i on wzniósł się do nieba, jeśli dobrze rozumiałem. Ci, którzy oczekiwali cudu, naprawdę spodziewali się, że prorok Eliasz zstąpi z niebios, aby mu pomóc. Wielu ludzi ogarnął taki strach, że odsunęli się daleko od krzyża i pozasłaniali twarze.

Ukrzyżowany znowu coś powiedział. Stojący bliżej wołali, że ma pragnienie. Jakiś miłosierny człowiek wlał kwaśnego wina z żołdackiego bukłaka na gąbkę, którą nadział

na ostry kij i podniósł do jego ust. Ani żołnierze, ani setnik nie oponowali. Nie wiem, czy Jezus był jeszcze w stanie pić, ciemności bowiem tak zgęstniały, że nie rozróżniałem już twarzy. Na pewno zwilżył usta, bo jego głos zabrzmiał wyraźnie, kiedy zawołał: „Wykonało się!”

Ludzie ponownie zaczęli się spierać, co właściwie usłyszeli. Jedni mówili to, drudzy tamto. A ja usłyszałem trzask wyłamujących się rąk pod ciężarem spadającego ciała. W ciemnościach trzask ten rozbrzmiał straszliwie i już wiedziałem, że umarł i więcej nie podniesie głowy, którą opuścił na piersi. Dla niego było to lepiej, bo dość się nacierpiał, nawet jeśli naruszył wszystkie prawa świata.

Byłem zupełnie pewny, że umarł, bo ziemia znów zadygotała. Głuchy podziemny grzmot, głębszy i straszliwszy niż poprzedni, rozległ się spod naszych stóp i oddalił w stronę miasta. Usłyszałem pękające skały i łoskot spadających głazów; razem z innymi rzuciłem się na ziemię, bo choć to trzęsienie trwało krótko, było przerażające.

Potem wszystko się uspokoiło, tylko na drodze rozbrzmiewał tupot zerwanych z uwięzi zwierząt pociągowych. Niebo powoli się rozjaśniało, zrobiło się względnie widno, ludzie pełzali po ziemi. Krzyże nadal stały, a umęczony Jezus Nazarejski, król żydowski, wisiał bezwładnie na przegubach rąk i już nie oddychał. Żołnierze podnosili się z ziemi, zdumieni i przerażeni patrzyli na niego i coś między sobą szeptali.

Myszę, że w ich imieniu setnik powiedział odważnie:

— To był świętobliwy człowiek. — Spojrzał potem na przestraszonych Żydów i z pogardą zawołał: — To był zaprawdę syn Boży!

A ja przypominałem sobie prorocтва, które badałem przez zimę, i zdumiony szepnąłem do siebie: „Pokój tobie, władco świata, królu żydowski! Twoje królestwo nie nadeszło”.

Równocześnie postanowiłem, że muszę wyjaśnić, za co go skazano, tak haniebnie ukrzyżowano i dlaczego nikt nie stanął w jego obronie. Moim zdaniem albo miał bardzo prymitywny program polityczny, albo nie dysponował dobrymi doradcami, co zresztą jest zrozumiałe, bo jaki rozumny człowiek stanąłby u boku Żyda, którego głównym celem było zagarnięcie panowania nad światem?

Słońce znów się pokazało, ale jego światło było wciąż dziwnie obce, a ludzkie twarze wyglądały w nim wręcz niesamowicie. I do jeszcze jednego chciałbym Ci się, Tulio, przyznać. Z pewnością popełniłem gdzieś błąd. Nie potrafię Ci opisać wyglądu króla żydowskiego. Widziałem go na własne oczy w straszliwych cierpieniach, więc powinienem zapamiętać jego rysy. A mimo najszczerzych chęci nie mogę powiedzieć nic poza tym, że miał twarz spuchniętą i siną od bicia i że spływały po niej strużki krwi spod cierniowej korony. Musiało jednak być w tej twarzy coś z boskiego majestatu, skoro po przeczytaniu tabliczki nad jego głową nie miałem cienia wątpliwości, że on naprawdę jest królem żydowskim.

Chciałem jeszcze dodać, że wyczuwało się w nim łagodny majestat, ale obawiam się, że o tym określeniu pomyślałem później. Gdy wracam do tamtych chwil, pamiętam raczej o jego uległości, przez którą z pokorą przyjął swój los. Jaki król jednak, świadomy,

że narodził się, aby rządzić światem, godzi się umierać straszliwą i haniebną śmiercią? Zagadkowe są też jego ostatnie słowa. Co to znaczy: „Wykonało się”? I czy on w ogóle rozumiał, że umiera? Patrzyłem oszołomiony na jego twarz jak zwyczajny widz i czułem, że respekt nie pozwala mi na zbyt natarczywe wpatrywanie się w to cierpiące oblicze. Pamiętaj też, że prawie cały czas było ciemno, chwilami tak bardzo, że z wielkim trudem można było odróżnić kontury wiszących na krzyżach. A kiedy słońce znów zaświeciło, przez szacunek nie mogłem zuchwale wpatrywać się w tę martwą twarz.

Po śmierci króla wielu ludzi odeszło z miejsca kaźni i wokół krzyży zrobiło się przestronnie. Żydowski uczeni i starsi gminy też spieszyli na szabat, więc zostawili tylko kilku podrzędnych sług, żeby śledzili bieg wydarzeń. Jeden z dwóch ukrzyżowanych łotrów, który cierpiał niemiłosiernie, począł żałośnie jęczeć. Jakieś litościwe kobiety podeszły z dzbankami do setnika, prosząc o zgodę na podanie im odurzającego wina. Wzięły tę samą gąbkę i kij i napoiły obu przestępców.

Po położeniu słońca widać było, że według rzymskiej miary minęła już trzecia. Setnik zaczął się niespokojnie kręcić; uznał, że wykonał zadanie, i jak najszybciej chciał skończyć z tymi złoczyńcami. Wysłał żołnierzy, którzy przyprowadzili z fortecy Antonia oprawcę. Kat ze znanstwem obejrzał Jezusa, stwierdził, że nie żyje, i z zimną krwią zaczął łamać gołenie obydwu łotrom. Skazańcy wyli nieludzko, a oprawca pocieszał ich, że dokonuje aktu miłosierdzia. Jeden z żołnierzy, którzy przyprowadzili kata, niejaki Longinus, nie zadowolili się orzeczeniem śmierci Jezusa, tylko podszedł do środkowego krzyża i z wyraźną wprawą wbił od dołu włócznię w lewy bok ukrzyżowanego. Kiedy wyszarpnął ostrze, którym przebił serce, połała się krew i woda.

Wartownicy zaczęli zbierać swoje manatki i szaty skazańców. Zadowoleni, że przykry obowiązek mają już za sobą, beztrudno dowcipkowali. Tymczasem z tłumu wysunęło się paru zagorzałych fanatyków i na tle chrapliwych skarg i jęków łotrów jęli wznosić okrzyki przeciwko Rzymowi. Żołnierze bez pośpiechu natarli tarczami na tłum. W czasie przepychania komuś złamano szczękę, co zmusiło fanatyków do odwrotu. Odeszli odgrając się, że gdy tylko zdobędą broń, wyrzną wszystkich Rzymian i ich zauszników.

Setnik wyjaśnił mi, że to nie byli zwolennicy Jezusa, tylko towarzysze obu zbójców. Wyraźnie doszedł do wniosku, że powinien być dla mnie uprzejmy — podszedł i przeprosił za incydenty, których byłem świadkiem. Miał nadzieję, że zwróciłem uwagę, jak szybko i zręcznie umiał je zakończyć. Prokonsul zabronił zabijania Żydów, chyba że byłoby to konieczne w obronie własnej. Zwykłych awanturników zaś nie ma sensu zatrzymywać, bo za nimi zawsze ciągnie wyjąca hałastrą, która potem rozkłada się obozem pod bramą fortecy. W ogóle należy unikać zamieszek, szczególnie w okresie świąt żydowskich. Poncjusz Piłat przyjął taką politykę, ponieważ z początku próbował stosować środki bardziej drastyczne i miał z tego powodu same przykrości, a nawet musiał wysłuchać wymówki cezara. Na koniec setnik powiedział:

— Nazywam się Adenabar. Jak już będę wolny od obowiązków, z przyjemnością zaprowadzę cię do samego prokonsula, oczywiście po zameldowaniu się. Lepiej nie wchodzić sam do miasta. Ci łajdacy widzieli, że rozmawialiśmy i że nie jesteś Żydem. Gdyby zaś ciebie, obywatela rzymskiego, poturbowali czy zabili, trzeba by wszcząć śledztwo i przesłuchania, a w tym przeklętym mieście są setki tysięcy kryjówek. —

Roześmiał się i pospieszył załagodzić: — Unikajmy więc niepotrzebnych kłopotów. Podoba mi się twoja gęba i mam szacunek dla ludzi uczonych. Sam także umiem czytać i pisać, chociaż z łaciną u mnie kiepsko. W twierdzy jest wprawdzie trochę ciasno, ale na pewno znajdziemy godne ciebie miejsce.

Dodał w formie wyjaśnienia, że prokonsul nie ma dużych wymagań i w Jeruzalem wystarcza mu twierdza Antonia na kwaterę, którą dzieli z kohortą żołnierzy. Zbudowany przez Heroda potężny pałac z pewnością byłby bez porównania bardziej luksusowym miejscem zamieszkania, ale kohorta nie jest dużym oddziałem, toteż nauczony smutnym doświadczeniem prokonsul nie chce jej rozdzielać na dwie części. Antonia jest twierdzą nie do zdobycia i góruje nad terenem Świątyni, a wszelkie rozruchy zawsze zaczynają się w jej przedsionkach.

— W życiu nie widziałem nic śmieszniej szego, niż kiedy ten prorok, Jezus — kciukiem wskazał na wiszące na krzyżu ciało i głośno zarechotał — zawiązał węzły na sznurze, przegnał z przedsionka świątyni handlarzy gołębi i przewracał stoły bankierów. Wtedy nawet starsi gminy nie odważyli się mu przeciwstawić, bo było z nim wielu zwolenników. Kiedy wjeżdżał na osiołku do Jeruzalem, oszalały tłum rozścielał przed nim na drodze szaty, powiewał palmowymi liśćmi i wychwalał w nim syna Dawida. W inny sposób nie śmieli okazywać, że uważają go za króla. On naprawdę pochodził z rodu Dawida, i to zarówno ze strony ojca, jak i matki. Jego matka tam stoi — dyskretnie skinął głową w kierunku skupionej na stoku gromadki kobiet.

Kiedy tłum się rozpierchnął, te przygwożdżone cierpieniem kobiety padły na ziemię. Teraz już nie ukrywały twarzy, tylko wznosiły je do krzyża. I nie musiałem odgadywać, która z nich jest jego matką. Nie była jeszcze stara, a twarz jej wydała mi się najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziałem. Mimo bezbrzeżnej rozpacz był w niej jakiś blask i dostojeństwo; odnosiło się wrażenie, że już nigdy w życiu nie wymówi niepotrzebnego słowa. To oblicze było wystarczającym dowodem jej królewskiego pochodzenia, choć nosiła prostą odzież, jaka przystoi wieśniaczkom.

Chętnie wyprowadziłbym ją z tego miejsca i pocieszył zapewnieniem, że jej syn umarł i już nie cierpi więcej. Ale miała twarz tak szlachetnie piękną, tak zamkniętą w bólu, że nie śmiałem do niej Podejść. Obok stała druga niewiasta; jej pełną namiętności twarz Przebiegało drżenie, gdy bez przerwy wpatrywała się w krzyż, jakby nie w pełni rozumiała, co się stało. Była i trzecia kobieta, starsza, a w jej ostrych semickich rysach odbijała się raczej nienawiść i rozczarowanie niż rozpacz. Zupełnie jakby do ostatniej chwili oczekiwała cudu i nie mogła sobie darować, że się nie wydarzył. Za nimi stały jeszcze inne kobiety.

Jak zauroczony patrzyłem na matkę Jezusa i nawet nie słyszałem dalszych wywodów Adenabara. Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy dotknął mojego ramienia i powiedział:

— Wykonałem swoje zadanie i nie mam ochoty dłużej zostawać w tym ponurym miejscu. Niechaj Żydzi sami uprzętną ciała, jeśli nie chcą, aby w szabat wisiały na krzyżach. To już do nas, Rzymian, nie należy.

Zostawił jednak kilku żołnierzy do pilnowania krzyżów. Prawdopodobnie postanowił zapewnić eskortę oprawcy, który nie chciał ryzykować powrotu do fortecy z dwoma

tylko żołnierzami — towarzysze ukrzyżowanych łotrów mogliby przygotować na niego po drodze zasadzkę.

Pod bramą miasta nie było już tłoku. Z pobliskich domów rozchodził się aż na wzgórze aromat pieczonych mięs, ale ja wcale nie byłem głodny. Adenabar spojrział na pozycję słońca na niebie i zauważył:

— Do wieczora jeszcze daleko. Szabat żydowski zacznie się, gdy zablśnie trzecia gwiazda. Dziś wieczorem Żydzi będą zajadać jagnięta paschalne, chociaż istnieje wśród nich sekta, która spożywała baraninę już wczoraj. Ich Świątynia jest potężnym przedsięwzięciem rzeźnym. Wczoraj i dzisiaj, zgodnie ze zwyczajem, spuszczone w niej krew z wielu tysięcy jagniąt. Z każdej ubitej sztuki kapłani zatrzymują udziec dla siebie i tłuszcz dla Boga.

Mój bagaż znajdował się przy bramie. Adenabar ostrym tonem zarządził, aby nadzorca załadował sakwy na własne plecy i zaniósł je do fortecy, a ten nie odważył się zaoponować. W ten sposób maszerowaliśmy w górę przy miarowym stukocie podkutych butów legionistów. Byli to wyćwiczeni żołnierze, nie zauważyłem, aby któryś po drodze się zasapał. Jeśli chodzi o mnie, dostałem zadyszki, zanim doszliśmy do arkad bramy, bo droga przez jakiś czas była bardzo stroma. Żyd rzucił sakwy przed bramą i za nic nie chciał wejść do środka fortecy. Dałem mu kilka drobnych monet, chociaż Adenabar twierdził, że to zbyteczne. Nie okazywałem temu człowiekowi żadnej wrogości, a on mimo to, kiedy odszedł na bezpieczną odległość od bramy, przystanął, wygrażał nam pięścią i głośno przeklinał Rzymian. Wartownik groźnie wznosił włócznię i nadzorca pospiesznie umknął, na co legionieści ryknęli głośnym śmiechem.

Kiedy weszliśmy na wybrukowany dziedziniec twierdzy, Adenabar niepewnie zatrzymał się i zaczął mi się badawczo przyglądać. Sam czułem, że mój wygląd może wzbudzić wątpliwości w oczach prokonsula. Tam, na miejscu kaźni, nie raził nikogo, tu jednak panował rzymski ład i porządek, czuć też było woń koszar. Ten zapach metalu, skóry, środków czyszczących i dymu nie jest zapachem przykrym, ale zmusza mężczyznę, by krytycznie spojrział na zakurzone buty i wygładził ręką fałdy płaszcza. Na dziedzińcu znajdował się ołtarz legionu, przed którym skłoniłem się z szacunkiem, choć nie widziałem wizerunku cesarza.

Adenabar skarżył się na konieczność oszczędzania wody, co utrudniało ablucje. Zaprowadził mnie do kwater oficerskich i polecił niewolnikom zadbać, bym mógł się umyć i zmienić odzienie. Powiedział, że w tym czasie pójdzie do prokonsula złożyć meldunek i od razu mnie zapowie.

Rozebrałem się, namaściłem i uczesałem włosy oraz zmieniłem tunikę i wyszczotkowałem płaszcz. Uważałem też za wskazane wsunąć patrycjuszowski pierścień na palec, chociaż zwykle go nie noszę, aby zbytnio nie zwracać na siebie uwagi. Spieszyłem się, kiedy więc wyszedłem znów na dziedziniec, prokurator Poncjusz Piłat właśnie schodził z asystą po schodach z wieży. Miał zniecierpliwiony wyraz twarzy. Jakiś bogacz żydowski chciał z nim rozmawiać, ale odmawiał przekroczenia progu dziedzińca, aby się nie strefie przed samym szabatem. Skoro namiestnik postanowił mimo tego — i o tak niezwyklej porze — podjąć z nim rozmowę, musiał to być mąż bardzo wpływowy i żyjący w zgodzie z Rzymianami. Dołączyłem do grupy gapiących

się żołnierzy. Okazało się, że ta nieoczekiwana wizyta ma związek z dzisiejszymi wydarzeniami; bogaty stary Żyd spokojnie i z godnością prosił, aby przed szabatem pozwolono mu zdjąć z krzyża ciało Jezusa Nazarejskiego i pochować je w jego własnym ogrodzie, leżącym w pobliżu miejsca kaźni.

Poncjusz Piłat spytał stojących wokoło, czy król żydowski na pewno umarł na krzyżu, a potem rzekł:

— Wystarczająco dużo było z nim przykrości i kłopotów. Moja żona rozchorowała się przez ten niepotrzebny konflikt. Weź go i niech już w końcu będzie spokój z tą sprawą.

Żyd złożył na ręce urzędnika zwyczajowy podarunek i odszedł z tą samą godnością, z jaką przyszedł. Zdziwiony Piłat zwrócił się do swojej asysty.

— Czy Józef Arymatejczyk nie jest członkiem tej samej rady, która skazała Jezusa? Skoro Nazarejczyk miał tak wysoko postawionych protektorów, to przecież mógł wykorzystać wcześniej ich możliwości. Wtedy zaoszczędzilibyśmy sobie udziału w sprawie, która nie przyniosła nam chwały.

Adenabar dał mi sygnał. Wysunąłem się do przodu, pogratulowałem Poncjuszowi nominacji na prokonsula i wymieniłem swoje nazwisko. Okazał szczere zainteresowanie i doskonałą pamięć:

— Ależ tak, oczywiście, że cię znam. Twój ojciec, Manilianus, był słynnym astrologiem, a jesteś też spokrewniony z rodem Mecenasów. Że też trafiłeś w tak paskudny dzień do Jeruzalem! Na szczęście trzęsienie ziemi nie wyrządziło w mieście większych szkód. No więc zobaczyłeś na własne oczy, że Jezus Nazarejski umarł. Ale co tam mówić! Za rok nikt go nie będzie pamiętał. — Nie usiłował nawet słuchać mej odpowiedzi, tylko ciągnął: — Małżonka ucieszy się, gdy cię spotka. Nie jest zdrowa, ale na pewno z chęcią wstanie na wieczerzę, którą razem zjemy. Sam też nie czuję się najlepiej. Reumatyzm mi dokucza, a jak sam widzisz, moje stanowisko w Jeruzalem wymaga stałego biegania pod górę i w dół po stromych schodach.

Mimo tych wyznań poruszał się sprężysto i bez trudu, ale tkwił też w nim jakiś niepokój, który nie pozwalał mu zatrzymać się na jednym miejscu. Był szczupły i miał początki łysiny, którą maskował, zaczesując włosy od tyłu na czoło. Przypomniałem sobie, że jego kariera urzędnicza nie przebiegała błyskotliwie i że intratne stanowisko prokuratora otrzymał tylko dzięki małżeństwu. Oczywiście nie jest prokonsulem; podlega prokonsulowi Syrii. Ma zimne, badawczo patrzące oczy, umie się oschle śmiać i potrafi żartować sam z siebie. Sądzę, że głęboko wierzy, iż obowiązkiem Rzymianina jest czynić sprawiedliwość między zwaśnionymi narodami. Prawdopodobnie dlatego przypadek Jezusa Nazarejskiego wyprowadził go z równowagi.

— Mogę się założyć, że kiedy tylko wejdziesz na górę do swego pokoju

— powiedział cierpko — Żydzi natychmiast ściągną mnie na dół, na dziedziniec, bym rozwiązywał ich kłopoty. Łatwo im przychodzi zapewnić rękoma Rzymianina poszanowanie tutejszych zwyczajów, tylko że w praktyce czyni to ze mnie raczej wykonującego rozkazy sługę niż pana, który te rozkazy wydaje.

Zaczął niespokojnie krążyć po dziedzińcu i ruchem ręki zaprosił, bym mu towarzyszył.

— Widziałeś ich Świątynię? My, poganie, mamy prawo wstępu do jej przedsionka, ale na wewnętrzny dziedziniec pod groźbą kary śmierci nie może wejść nikt nie obrzezany. Trudno uwierzyć, że żyjemy w cesarstwie rzymskim. Nawet nie wolno nam wystawić wizerunku cesarza. A groźba kary śmierci nie jest żartem! Mamy przykre doświadczenia. Od czasu do czasu jakiś postrzelony wędrowiec ze zwykłej ciekawości przebiera się za Żyda, aby zobaczyć zakazane wnętrze Świątyni, choć tam nie ma nic nadzwyczajnego. Czasami przy świątecznej ciźbie to się udaje, ale jeśli prawda wyjdzie na jaw, mają prawo — i wykorzystują je bez skrupułów — ukamienować takiego intruza. Nie jest to wcale śmierć przyjemna! Mam nadzieję, że nie planujesz zwiedzania Świątyni.

Wypytywał mnie o nowinki z Rzymu i wyczytałem z jego oczu, że uspokoił się, gdy mu opowiedziałem o zimie spędzonej w Aleksandrii na studiach filozoficznych. Zapewne doszedł do wniosku, że jestem politycznie nieszkodliwy i — by zaznaczyć swoją życzliwość — zapominając o reumatyzmie zaprowadził mnie na wewnętrzny dziedziniec twierdzy i razem ze mną wdrapał się na wysoką wieżę, skąd można obejrzeć niemal cały teren Świątyni. To rzeczywiście wspaniała budowla, ma wiele dziedzińców i przepiękne krużganki kolumnowe. Poncjusz wskazał mi dziedzińce handlarzy i pogan oraz kobiet i Żydów, a także centralną budowlę, w której znajduje się największa żydowska świętość i do której nawet ich najwyższy kapłan może wchodzić tylko raz w roku. Zapytałem, czy prawdą jest, że w tej Świątyni Żydzi czczą złotą głowę kulana jako złotego cielca. Taka powiastka bardzo jest rozpowszechniona wśród różnych narodów. Prokonsul zaprzeczył z pełnym przekonaniem:

— Tam nie ma absolutnie nic. To całkiem pewne. W poprzedniej Świątyni, w czasie szalejącego pożaru, Pompejusz ze świtą kilku oficerów wszedł za zasłonę i nic tam nie znalazł.

Znowu go wezwano na dół, więc zeszliśmy na dziedziniec fortecy. Tam w asyście żydowskich wartowników Świątyni oczekiwał przedstawiciel najwyższego arcykapłana, który płaczkowo i gorączkowo zarazem domagał się, aby jeszcze przed zachodem słońca zdjęto ciała ukrzyżowanych. Poncjusz Piłat zgodził się i *pro forma* sprzeczekali się, czy to należy do obowiązków żydowskich, czy też rzymskich, chociaż było wyraźnie widoczne, że Żydzi sami chcieli przeprowadzić tę nieprzyjemną misję — nie bez powodu przedstawiciel arcykapłana wziął ze sobą wartowników. Mieli przewieźć zwłoki na śmietnik i tam je spalić.

Prokonsul ostrym tonem ostrzegł, że nie wolno im tknąć ciała Jezusa Nazarejskiego, bo już obiecał je wydać komuś innemu.

Wiadomość ta nie przypadła wysłannikowi do gustu, ale nie chciał się kłócić, bo otrzymał tylko polecenie uprzątnięcia ciał przed rozpoczęciem szabatu. Próbował wprawdzie pytać, kto, dlaczego i gdzie chce zabrać ciało Jezusa, ale prokonsul już miał dość i uciał:

— Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. — Odwrócił się plecami na znak, iż

rozmowa skończona, i poseł rad nierad wyszedł z dziedzińca wraz z wartownikami.

— Z królem żydowskim są kłopoty nawet po jego śmierci — zauważyłem.

— Tyś to powiedział — odparł Poncjusz Piłat po chwili namysłu.

— Jestem człowiekiem doświadczonego i zazwyczaj nie zawracam sobie głowy bieżącymi sprawami, ale ten fałszywy wyrok męczy mnie bardziej, niż się spodziewałem. Rano Jezus sam przyznał mi się, że jest królem żydowskim, ale dodał, że jego królestwo nie jest z tego świata. Dlatego uznałem, że nie jest groźny politycznie i nie chciałem go skazać, ale Żydzi mnie zmusili. — Rozgniewany uderzył pięścią w dłoń. — Padłem ofiarą żydowskiego wicherzycielstwa i intryg. Aresztowali go w środku nocy, w pośpiechu zwołali prawomocne zgromadzenie i wydali wyrok. Równie dobrze mogli go sami ukamienować za obrazę ich Boga. Wprawdzie nie mają prawa wykonywania wyroków śmierci, ale takie przypadki już się zdarzały. Bronili się wówczas, twierdząc obłudnie, że nie mogli przeciwstawić się słusznemu gniewowi ludu. Tym razem właśnie ze względu na lud nie zaryzykowali. Postanowili wmieszać Rzymian. Wysłałem więc Jezusa, który wychował się w Galilei i głównie tam nauczał, na przesłuchanie do żydowskiego księcia Galilei, ale ten szczywany Herod Antypas zadowolił się wysyżdzeniem podsądnego i odesłał go z powrotem do mnie, żebym ja odpowiadał za wydanie wyroku.

— Ale co miał na myśli — ośmieliłem się wtrącić — kiedy mówił, że jego królestwo nie jest z tego świata? Nie należę do ludzi przesądnych, ale przecież ziemia drżała, kiedy umierał. Również niebo pociemniało, jakby litościwie chciało osłonić jego cierpienia.

Prokonsul spojrział na mnie z wrogością i grubiańsko wrzasnął:

— Mógłbyś przynajmniej ty, jako gość, nie robić mi wymówek, co czyni moja żona od samego rana. A setnika Adenabara wsadza do paki, jeśli jeszcze raz zacznie głądzić o synu Bożym. Ta syryjska zabbbbonność jest nie do zniesienia. Pamiętaj, że jesteś Rzymianinem.

Dziękowałem bogom, że w chwili szczerości nie wspomniałem o przepowiedniach, które mnie tu przywiodły. Rozdrażnienie Piłata utwierdziło mnie w przekonaniu, że muszę wyjaśnić całą sprawę, i to tak dokładnie, jak tylko potrafię. Nie jest rzeczą normalną, żeby prokurator Rzymu miał wyrzuty sumienia z powodu ukrzyżowania jakiegoś buntownika. Król żydowski był z całą pewnością wyjątkowym człowiekiem.

Poncjusz Piłat zaczął wspinać się po schodach do swego mieszkania, zaprosiwszy mnie na wspólny posiłek, gdy tylko się ściemni. Wróciłem więc do kwater oficerskich, gdzie po służbie tęgo popijano. Słyszałem, że Judea ma doskonałe winnice, i zgodziłem się z tym, kiedy napiłem się oficerskiego wina. Zmieszane z wodą było orzeźwiająca i ani zbyt kwaśne, ani za słodkie. Pogawędziłem z oficerami i instruktorami szermierki; dowiedziałem się od nich, że Poncjusz Piłat rzeczywiście był przeciwny skazaniu żydowskiego króla i tylko pod naciskiem Żydów wydał go na ukrzyżowanie. Wprawdzie zarządził chłostę i istotnie żołnierze naśmiewali się z Jezusa na dziedzińcu, ale taki już mieli zwyczaj, po chłości zaś chcieli go wypuścić. Wyczuwałem, że teraz wszystkich męczyło poczucie winy, czuli potrzebę usprawiedliwiania się i oskarżania Żydów. Trzęsienie ziemi wywarło na nich ogromne wrażenie. Kiedy już się upili, niektórzy

opowiadali, że słyszeli od Żydów o cudach, jakie czynił król. Uzdrawiał chorych, wypędzał szatana, a kilka dni temu, niedaleko Jeruzalem, wskrzesił umarłego, który od wielu dni leżał w grobie. Uznałem te opowieści za typowy przykład rozprzestrzeniania się plotek, co zwykle ma miejsce, gdy wydarzy się coś wstrząsającego. Z najwyższym trudem skrywałem śmiech, patrząc, jak z otwartymi gębami ci stosunkowo oświeceni ludzie słuchali i dawali wiarę rzeczom nieprawdopodobnym. Ktoś nawet znał nazwisko wskrzeszonego. Z całą powagą twierdzili, że właśnie wskrzeszenie umarłego, o czym wiadomość błyskawicznie rozeszła się po całym Jeruzalem, ostatecznie skłoniło starszych gminy żydowskiej do wydania wyroku śmierci na cudotwórcę.

Inny dowód nietolerancji Żydów przytoczył dowódca oddziału jazdy na wielbłądach, który na święto Paschy zjechał do Jeruzalem z pustyni. Otóż jakiś rok albo dwa lata temu ksiązę galilejski, Herod Antypas, ukarał śmiercią proroka, który wzywał ludzi, aby chrzcili się w Jordanie na znak poddaństwa przyszłemu królestwu. Ów dowódca widział tego człowieka na własne oczy; odziany był tylko w skórę wielbłądzia i w ogóle nie jadł mięsa.

Opowiedzieli mi też, że nad brzegiem Morza Martwego, na odosobnionym i zamkniętym obszarze pustyni, żyje kilkusetosobowa kolonia Żydów. Jej członkowie mają za zadanie badać święte Księgi i czekać nadejścia królestwa. Zachowujący wstrzeźliwość mężczyźni obliczają czas inaczej niż ortodoksyjni Żydzi i przechodzą wiele stopni wtajemniczenia, zanim zostaną wyświęceni.

Zrobiło się ciemno, zapalono lampy. Nadszedł czas, aby pójść do namiestnika. Wysłuchałem nie tylko wielu opowieści — legionieści w zaufaniu poinformowali mnie, że przemycili do twierdzy muzykantów i kilka tancerek syryjskich. Gdy namiestnik pójdzie spać, powiedzieli, mogę tu wrócić, a zabawimy się wspólnie. Uważali, że zasłużyli sobie na rozrywkę w Paschę, która przyniosła tyle niespodziewanych kłopotów.

Mieszkanie namiestnika w wieży miało ponury wygląd, co usiłowano złagodzić drogimi kobiercami i kilimami. Nawet poduszki na sofach pokryte były pięknymi tkaninami. Naczynia pochodziły z Syrii, wino podawano w szklanych pucharach. Z gości, oprócz mnie, był milczący dowódca fortecy; mógł być zdolnym strategiem, ale obecność przy stole Klaudii Prokuli i towarzyszącej jej kobiety tak mu przeszkadzała, że nie potrafił ust otworzyć. Był też Adenabar i sekretarz prokonsula. W lampach palił się aromatyczny olej, a pachnidła obydwu pań rywalizowały z jego wonią.

Cieszyłem się na spotkanie z Klaudią Prokulą, choć gwoli uczciwości przyznaję, że wątpię, bym ją poznał na ulicy. Była wyschnięta i blada, a dla zatuszowania siwizny ufarbowała włosy henną. Tylko oczy się nie zmieniły i kiedy w nie spojrzałem, odczytałem w nich tę samą niespokojną tkliwość, która — kiedy jeszcze byłem młody

— pewnego popołudnia urzekła mnie w domu Prokulów w Rzymie.

Wyciągnęła do mnie obie wypielęgowane, choć wychudłe ręce i długo na mnie patrzyła. Potem, ku memu zdumieniu, bez słowa objęła moją szyję, pocałowała w twarz, płacząc i wołając:

— Marku, Marku! Taka jestem szczęśliwa, żeś przyszedł! Może ty mnie rozweselisz w ten straszliwy wieczór!

Dowódca fortecy odwrócił twarz, wstydząc się za gospodarza i za mnie. Rozdrażniony Poncjusz Piłat powiedział z wymówką:

— No, no, Klaudio. Spróbuj się opanować. Wszyscy wiemy, że jesteś chora.

Klaudia Prokula oderwała ręce od mojej szyi. Już nie była piękna, bo po uszmkowanej twarzy ciekły strumienie łez .zabarwionych niebieskim tuszem. Tupnęła nogą i ostro krzyknęła:

— To nie moja wina, że męczą mnie złe sny. Czyż nie ostrzegałam cię, byś nie podnosił ręki na tego świętego męża?

Zauważyłem zdenerwowanie Poncjusza Piłata i pomyślałem, że tak oto płaci się najwyższą cenę za pozycję uzyskaną dzięki wsparciu rodziny żony- Inny mężczyzna, jak sądzę, nakazałby małżonce spokój, prokonsul zaś tylko bezradnie głaskał ją po ramieniu i prosił, by się opanowała. Dama do towarzystwa, wybitnie piękna niewiasta, zaczęła szybko poprawiać makijaż Klaudii.

Poncjusz wziął z rąk niewolnika czerpak i własnoręcznie nalał wina do szklanych pucharów, z których był bardzo dumny. Pierwszy kielich podał mnie, a nie dowódcy fortecy. A więc kazał przejrzeć mój bagaż! Specjalnie zostawiłem na wierzchu tę szorstką, opryskliwą rekomendację, którą otrzymałem z uwagą, że nie mogłem wymyślić nic mądrzejszego niż strząśnięcie pyłu rzymskiego ze swoich nóg. Na liście jest imię, którego nie wymienię, ale które, jak stwierdziłem, i na Wschodzie ma ogromną wagę. Dziękuję Ci więc jeszcze raz, Tulio, że przywołałaś je, wysyłając mnie z Rzymu.

Kiedy spełniliśmy toast, Poncjusz Piłat słabiutko się uśmiechnął i rzekł półgłosem, że powoli zaczyna doceniać zwyczaj żydowski, który zabrania kobietom jadaania posiłków razem z mężczyznami. Klaudia Prokula już się uspokoiła i prosiła, bym legł koło niej. Sięgnęła ręką, by pogładzić moje włosy, zastrzegając się:

— Chyba nie ma w tym nic złego? Mogłabym być twoją matką. Przecież ty, sieroto, nigdy nie miałaś matki.

— Bogowie są wszechmocni — odrzekłem. — Założmy więc, że mając pięć lat urodziłaś syna.

Była to oczywiście duża przesada, między nami było co najmniej piętnaście lat różnicy, ale kobiety lubią takie pochlebstwa. Klaudia Prokula targała mnie figlarnie za włosy, nazywała obłudnikiem i ostrzegała, by moja wybranka nie wierzyła w nic, co jej powiem, według niej bowiem jestem najbardziej perfidnym uwodzicielem spośród rzymskiej młodzieży i już jako czternastolatek recytowałem z pamięci Owidiusza. Na szczęście nie napomknęła o testamencie, dzięki któremu stałem się bogaty.

Prokonsul nie czuł się dotknięty tymi żartami. Przeciwnie, zdawało mi się, że cieszy się ze wszystkiego, co wprawia jego żonę w pogodny nastrój. Radził, żebym zachował umiar i pamiętał, że żona prokonsula jest nietykalna. Sam siebie nazywał prokonsulem! Zapewniał też, że żyjąc wśród Żydów Klaudia Prokula ustatkowała się i zerwała z frywo- Inym rzymskim stylem życia.

Plotąc takie głupstwa siedliśmy do wieczerzy. Owszem, jadałem już lepsze kolacje,

ale i tej nie można było niczego zarzucić, chociaż Prokonsul jest raczej oszczędny. W każdym razie wszystko, co podali, było świeże i dobrej jakości, świadczyło też o wysokim poziomie sztuki kulinarnej. Najśmieszniejszy moment nastąpił, kiedy przyniesiono duży dzban z zapieczętowaną pokrywą i namiestnik wyrzucił z jadalni usługujących niewolników. Dopiero wtedy sam uniósł pokrywę, a aromatyczna woń pieczeni i rozmarynu uniosła się z dzbana. Zarówno Adenabar, jak i dowódca fortecy wydali okrzyk podziwu. Poncjusz Piłat śmiejąc się wyjaśnił:

— Teraz widzisz, jak rządzą Żydami? Prokonsul rzymski musi, łamiąc prawo, przemycać do fortecy Antonia wieprzowinę z tamtej strony Jordanu!

Dowiedziałem się, że po wschodniej stronie Morza Galilejskiego hoduje się całe trzody świń na potrzeby rzymskich garnizonów, ale dostawa wieprzowego mięsa do Jeruzalem jest surowo zabroniona, żeby nie drażnić Żydów. Celnicy są wprawdzie przyjaciółmi Rzymian, lecz muszą respektować ten zakaz. Dlatego przemycono wieprzowinę na stół namiestnika jako... przesyłkę kurierską cesarstwa rzymskiego.

— Właściwie — opowiadał Adenabar, włączając się do rozmowy — jedyną szkodą, jaką Jezus, król żydowski nam wyrządził, było pewne wydarzenie w Gadarze, po wschodniej stronie Jordanu. On sam nie był obskurantem i łamał żydowskie prawo, nawet szabat, o ile wiem. Ale mimo wszystko tkwił w nim żydowski wstręt do wieprzowiny. Jakies dwa lata temu, gdy włóczył się po drogach Gadaru, przy pomocy swoich uczniów rozgonił wielką trzodę świń, spędzając ją ze stromego zbocza górskiego prosto do wody. Świnie utonęły, ich właściciel poniósł duże straty finansowe, a sprawcy tego figla uciekli z powrotem w granice Galilei. Sprawa sądowa byłaby trudna, zresztą i tak nikt nie ściągnąłby odszkodowania od tych nędzarzy. Żyli z darów swoich zwolenników, od czasu do czasu gdzieś pracowali. Właściciel trzody musiał pogodzić się ze stratą. Zresztą wątpliwe, czy znalazłby świadków, bo i po tamtej stronie przez te cuda rosła popularność Jezusa, a i obawiano się go.

Adenabar mówił z przejęciem, siedząc na brzegu sofy, i w końcu parsknął głośnym śmiechem. Dopiero wtedy zauważył, że opowiadanie wcale nas nie rozbawiło, bo oto znów powróciliśmy do Jezusa, o którym rozmawiając o niczym, jak to bywa w towarzystwie; na chwilę zdołaliśmy zapomnieć. Chociaż wcale nie jestem przekonany, że rzeczywiście zapomnieliśmy.

Adenabar zmieszał się, jego śmiech zawisł w ciszy. Poncjusz Piłat ostro stwierdził:

— O tym człowieku dość już mówiliśmy.

— To był święty człowiek, uzdrowiciel i cudotwórca, jakiego nigdy przedtem na świecie nie było! — Klaudia Prokula straciła panowanie nad sobą. — Gdybyś był mężczyzną i prawdziwym Rzymianinem, nie skazałbyś go. Ale na próżno umyłeś ręce. Od winy się nie uwolnisz. Sam przyznałeś, że nie znalazłeś w nim żadnej skazy. Kto rządzi w Jeruzalem, ty czy Żydzi?

Prokonsul zbladł z gniewu i niewiele brakowało, a cisnąłby pucharem wina o ziemię. W ostatniej chwili widać pomyślał, że rozbicie drogiego szkła nie załatwi sprawy. Wziął się w garść, rozejrzał dookoła i uspokoiło go to, że w niewielkim zgromadzeniu nie było nikogo z miasta i że służba była nieobecna.

— Nie wierzę w nic, czego nie ujrzę na własne oczy — rzekł z wymuszonym spokojem. — Żadnych cudów nie czynił ani przede mną, ani przed Herodem, choć tamten domagał się, aby zademonstrował swoją moc. Chytrze nadano wymiar polityczny całej sprawie, więc nie miałem innego wyjścia, jak tylko go skazać. Chociaż z punktu widzenia jurysdykcji, to nie ja go skazałem. Pozwoliłem tylko, aby stało się zadość żądaniom Żydów. Polityka jest polityką, ważny jest cel, a nie formalne prawo. Warto pozwalać Żydom, by stawiali na swoim wtedy, gdy idzie o drobiazgi. To zaspokaja ich dumę narodową. W sprawach dużej wagi władza spoczywa w moim ręku.

— A jak to było z wodociągami w Jeruzalem? — z istic kobiecą złośliwością spytała Klaudia Prokula. — Przecież to była twoja wielka idea, to miał być pomnik twoich rządów! Pokaż mi, gdzie on jest? Przecież miałeś już gotowe rysunki i pomiary!

— Nie mogłem ograbić Świątyni — bronił się prokonsul. — Skoro Żydzi sami nie rozumieją swojego interesu, jest to ich strata, nie moja.

— Mój panie — ironicznie odparowała Klaudia Prokula — przez te wszystkie lata za każdym razem ustępowałeś Żydom zarówno w małych, jak i w wielkich sprawach. Ten jeden jedyny raz miałeś okazję wykazać swoją męskość i miałbyś rację. Dlaczego nie zawierzyłeś mi, kiedy prosiłam, abys nie skazywał człowieka niewinnego?

— Budowa wodociągów przepadła przez upór kobiet — zażartował Adenabar, chcąc ratować sytuację. — Nosząc wodę mają biedulki jedyną okazję do spotkań i plotkowania przy studniach. Im dłuższa i trudniejsza jest droga, tym więcej mają czasu na trajkotanie.

— Kobiety w Jeruzalem nie są takie głupie, jak myślicie — odrzekła Klaudia Prokula. — Gdyby to wszystko nie stało się tak nagle, niespodziewanie i niezgodnie z prawem i gdyby uczeń Jezusa nie sprzedał go radzie za pieniądze, nie byłby nigdy skazany. Gdybyś ty miał bodaj tyle męskości, żeby przełożyć rozpatrzenie sprawy na czas po świętach, wszystko mogłoby być inaczej. W całym kraju miał po swojej stronie ludzi pracy i tych, których nazywają cichymi — skromnych ludzi oczekujących królestwa. Jest ich więcej, niż myślisz. Przecież nawet członek sanhedrynu prosił cię o pozwolenie złożenia ciała we własnym grobie! Wiem o wielu różnych rzeczach, o jakich pojęcia nie mają jego nieokrzesani uczniowie. Ale teraz na wszystko jest już za późno. Tyś go zabił.

Poncjusz Piłat wznosił ręce, wezwał na pomoc bogów rzymskich i ducha opiekuńczego cesarza i zawołał:

— Gdybym nie skazał go na ukrzyżowanie, Żydzi natychmiast donieśliby do Rzymu, że nie jestem przyjacielem cesarza. Zakazałem ci, Klaudio, spotykania się z tymi łatwo wpadającymi w ekstazę babami! Ich mrzonki tylko pogłębiają twoje kłopoty. Mężowie, Rzymianie, odwołuję się do was. Co byście uczynili na moim miejscu? Czy zaryzykowałibyście swoje stanowisko dla jakiegoś podejrzanego o nieprawowierność Żyda?

— Żyd to Żyd — otworzył w końcu usta dowódca fortecy — każdy jest skrytobójcą. Bat, włócznia i krzyż to jedynie słuszny program polityczny, który może ich uspokoić.

— Ziemia się trzęsła, kiedy umierał — wzdrygnął się Adenabar.

— Myślę, że naprawdę był synem Boga. Ale ty nie mogłeś inaczej postąpić. Teraz umarł i już nie wróci.

— Chciałbym więcej się dowiedzieć o tym jego królestwie — powiedziałem, korzystając z okazji.

— A co będzie, jeśli wróci? Co wtedy zrobicie? — spytała Klaudia Prokula, patrząc na mnie rozszerzonymi źrenicami.

Powiedziała to z takim przejęciem, że dreszcz przeszedł mi po plecach, dostałem gęsiej skórki. Przypomniałem sobie, że na własne oczy widziałem, jak król żydowski wydał ostatnie tchnienie.

Poncjusz Piłat z politowaniem spojrzął na żonę, potrząsnął głową i powiedział łagodnie, jak się mówi do człowieka niezrównoważonego:

— A niech sobie wraca, jeśli o mnie idzie, moja droga. To już nie mój kłopot.

Do jadalni ostrożnie zajrzał służący i wywołał sekretarza. Prokurator westchnął z ulgą:

— No, zaraz usłyszymy nowiny z miasta. Zostawmy już ten przykry temat.

Skończyliśmy posiłek w minorowym nastroju, niewolnicy uprzątnęli naczynia, piliśmy wino. Aby rozweselić kobiety, zanuciłem najnowsze piosenki z Aleksandrii, potem Adenabar wyszkolonym głosem zaśpiewał bardzo nieprzyzwoitą piosenkę, popularną w dwunastym legionie. Wszedł sekretarz; Poncjusz Piłat, demonstrując pełne zaufanie do nas, kazał mu głośno zreferować nowiny. Widocznie opłacani przez prokonsula szpiedzy podkradali się wieczorami do twierdzy, żeby zdać meldunki.

— Trzęsienie ziemi wywołało w mieście wielką panikę, bo w tym samym czasie wewnętrzna zasłona Świątyni pękła z góry do dołu — opowiadał sekretarz. — Ten mężczyzna, który sprzedał Nazarejczyka, wrócił w ciągu dnia do Świątyni i oddał trzydzieści srebrników. W domu arcykapłana zapanowało wielkie rozdrażnienie, kiedy wyszło na jaw, że dwaj członkowie rady, Józef i Nikodem, zdjęli ciało z krzyża i pochowali je w pieczarze niedaleko miejsca kaźni. Nikodem kupił całun, a także sto funtów kadzideł, mirry i aloesu. Ale w ogóle miasto jest spokojne i zgodnie ze zwyczajem obchodzi wigilię Paschy. Zwoleńnicy Jezusa rozsypali się jak pióra na wietrze. Sanhedryn postanowił upowszechnić tezę, że „lepiej, kiedy jeden umrze za naród, niż miałby wyginąć cały naród”. To już uspokoiło nastroje. W każdym razie głośno nie mówi się o Jezusie. Prawdopodobnie zabobonna cześć, jaką go darzono, rozwiązała się, kiedy nie uczynił żadnego cudu i umarł haniebną śmiercią. — Tu sekretarz spojrzął na nas, roześmiał się i dodał: — Jest jeszcze jedna sprawa, choć nie wiem, czy warto o niej wspominać, ale wiadomość o niej pochodzi z dwóch źródeł. On, Jezus, groził, że zmartwychwstanie trzeciego dnia. Skąd ta historia się wzięła, nie wiem, ale mówią o tym w domu arcykapłana. Teraz tam debatują, w jaki sposób zabezpieczyć się przed taką ewentualnością.

— A co, nie mówiłam?! — krzyknęła triumfalnie Klaudia Prokula.

— To znaczy, oni oczywiście w to zmartwychwstanie nie wierzą szybko poprawił się

sekretarz. — Ale może się przecież zdarzyć, że jego poplecznicy spróbują wykraść ciało i w ten sposób oszukać prostych ludzi. Dlatego kapłani i członkowie Rady są wściekli, że nie udało im się spalić zwłok Jezusa razem z ciałami tamtych dwóch łotrów.

— Powinienem się być domyślić, że ten człowiek nawet nocą nie da im spokoju — rzekł cierpko Poncjusz. Był tak zdenerwowany tą głupią historią, że zawołał mnie i Adenabara i na osobności upewnił się raz Jeszcze o śmierci Jezusa. Widzieliśmy ją przecież na własne oczy, widzieliśmy też, że żołnierz przebił włócznią martwe ciało. Obaj przysięgaliśmy więc:

— Ten człowiek umarł, wisząc na krzyżu, i nie wstanie więcej.

Po winie i po tych wszystkich przeżyciach noc była niespokojna; choć zmęczony, spałem kiepsko i miałem złe sny. Poza tym do późnej nocy ze wspólnej jadalni oficerskiej dochodziły odgłosy pijackich zawodzeń, które mi przeszkadzały. O świcie ostatecznie rozbudziły mnie dochodzące z terenu Świątyni rozzwierające głosy trąb, które roznosiły się nad całym miastem. Wszystko co widziałem i słyszałem poprzedniego dnia, wróciło jak żywe. Wspomnienie króla żydowskiego i myśl o jego królestwie znów zaczęły mnie gnębić.

Aby sobie wszystko uzmysłowić i zapamiętać, co na własne oczy widziałem, zacząłem pisać. Ale wszedł pijany jeszcze Adenabar z zapuchniętymi ślepiami i powiedział, że bym zszedł na dziedziniec, jeśli chcę zobaczyć coś komicznego. Właśnie przybyła delegacja Sanhedrynu i arcykapłana, aby mimo szabatu — i to wielkiego!

— rozmawiać z prokonsulem. Poncjusz Piłat kazał im długo na siebie czekać i porządnie ich zbeształ, że wciąż mu przysparzają kłopotów.

Ale oni naprawdę byli zaniepokojeni i twierdzili, że jeśli zwolennicy Jezusa wykradną jego ciało z grobu i zaczną opowiadać, że zgodnie z obietnicą trzeciego dnia powstał z martwych, mogą wybuchnąć groźne zamieszki. Dlatego zaklinali i prosili, aby ustawił przed grobem wartę legionistów, bo nie mają zaufania do swoich żołnierzy, i aby na wszelki wypadek pozwolił opieczetować grób pieczęcią prokuratorską, której żaden Żyd nie odważy się złamać.

Piłat wyzwał ich od bab i tumanów i drwił z nich:

— Wyglądacie, jakbyście umarłego bali się bardziej niż żywego.

Na to Żydzi obiecali obsypać go podarunkami zaraz po szabacie, bo w czasie szabatu nie wolno im niczego nosić. Poncjusz Piłat uległ im wreszcie i tak jak chcieli, wysłał dwóch wartowników oraz sekretarza legionu. Sekretarz otrzymał polecenie opieczetowania grobu — wprawdzie nie pieczęcią prokuratorską, ale oficjalną pieczęcią dwunastego legionu. Na noc rozkazał wzmocnić wartę do czterech lub nawet ośmiu żołnierzy, wedle decyzji dowódcy warty, bo dobrze wiedział, że dwóch wartowników rzymskich nie może się czuć nocą bezpiecznie poza murami miasta.

Pomyślałem, że spacer dobrze mi zrobi, i wraz z wyznaczonymi żołnierzami poszedłem w towarzystwie sekretarza aż do grobu. Na miejscu kaźni ponuro sterczały trzy okrwawione drzewa; poprzeczne części krzyży oderwano podczas zdejmowania ciał. Tuż obok znajdował się piękny ogród, a w nim wykuty w skale grób, zamknięty

ogromnym głazem. Odsunięcie takiego głazu wymagało siły dwóch ludzi. Dzień był gorący, sekretarz uznał więc, że nie ma potrzeby otwierać grobu, skoro postawieni przez Żydów wartownicy twierdzili, że kamienia nikt nie tknął od czasu, gdy służba zdrajców rady, Józefa i Nikodema, przywaliła wejście. Kiedy sekretarz pieczętował grób, czułem unoszący się zza głazu silny zapach mirry. Choć może to tylko kwiaty, kwitnące dookoła, pachniały tak mocno. Obydwaj legionieści grubiańsko żartowali ze swego zadania, ale obydwaj wyraźnie byli zadowoleni, że przypadła im służba w ciągu dnia, a przed wieczorem przyjdą zmiennicy.

W drodze powrotnej rozstałem się z sekretarzem, aby obejrzeć Świątynię, ponieważ zapewnił mnie, że bez obaw mogę dojść aż do dziedzińca. Przez most nad doliną dotarłem do świętej góry i wraz z tłumem przez potężną bramę wszedłem na dziedziniec dla pogan. Od samego ranka naród walił do Świątyni z miasta, lecz na dziedzińcu było jeszcze sporo miejsca, mogłem zatem podziwiać piękno kolumnowego przedsionka. Natomiast nie kończące się pienia religijne i głośnie modlitwy, zapach krwi i palącego się mięsa, uniesienie i ekstaza wiernych wydały mi się wstrętne. Rozmyślałem o ukrzyżowanym, który spoczywał w skalnym grobie, i cała moja sympatia była po jego stronie, choć tak mało wiedziałem o tym żydowskim królu.

Wróciłem do fortecy i do późnej nocy pisałem, żeby się uwolnić od przykrych myśli. Ale nie osiągnąłem poprawy nastroju, bo nie czułem, jak dawniej, Twojej obecności, Tulio.

Historia żydowskiego króla nie może się tak zakończyć. Chcę się dowiedzieć więcej o jego królestwie, nawet poczyniłem już pewne kroki, ażeby dotrzeć do jego zwolenników i usłyszeć, czego za życia nauczał.

LIST TRZECI ?

Marek Mezencjusz Manilianus do Tulii.

Napisałem własne i Twoje imię, ale kiedy zobaczyłem je na papirusie—zdziwiłem się: czy ten, który to pisze, jest mną czy też kimś obcym we mnie? Nie jestem już tym, kim byłem dawniej, podejrzewam, że opętały mnie żydowskie czary w tych najdłuższych w moim życiu dniach. Jeśli wszystko rzeczywiście odbyło się w taki sposób, jaki ja sam, choć z powątpiewaniem, zmuszony byłem stwierdzić, to przecież wiem, że poświadczyłem coś, co się nigdy przedtem nie wydarzyło. I czy to wszystko nie zmusi mnie do uznania za prawdziwe również tego, co mówią bajki, których przenośne znaczenie filozofowie i cynicy dawno już odkryli?

Nie wiem, czy kiedykolwiek odważę się posłać Ci ten list. Poprzednie zwoje także wciąż są nie wysłane. Może to i dobrze, bo gdybyś je przeczytała, zapewne pomyślałabyś, że biedny Marek postradał resztki rozumu. Ja jednak nie jestem fantastą, tylko przez całe życie poszukiwałem czegoś więcej niż kroczenie drogą cnoty lub drogą rozkoszy. Sam przyznaję, że jak przystało na człowieka mego pochodzenia, od młodości odznaczałem się brakiem umiaru i nigdy nie umiałem znaleźć mądrej równowagi między wstrzemięźliwością a użyciem. Poza granice rozsądku wychodziłem z uprawianiem nocnych czuwań, postów i ćwiczeń fizycznych w latach szkolnych w Rodos — i bez pamięci zatraciłem się w miłości do Ciebie, Tulio, bo nigdy nie mogłem się Tobą nasycić.

Ponadto mogę Cię zapewnić, że tkwi we mnie poczucie realności i jakaś czujność; niwelują one wszelkie pokusy samounicestwienia. Gdybym nie miał takiego wewnętrznego nadzorca, prawdopodobnie nie zgodziłbym się na wyjazd z Rzymu; raczej wolałbym stracić cały swój dobytek, a może i życie, niż zrezygnować z Ciebie. Kiedy to piszę, i nadzorca stoi nade mną cały czas, abym starał się dokładnie odtworzyć, co widziałem na własne oczy, i oddzielić to od tego, co słyszałem, aby w rezultacie uzyskać dowód prawdy. Uważam za słuszne zapisać moje doświadczenia, choćbym nawet nigdy nie wysłał Ci tego listu. Będę więc notował wszystko, nawet sprawy błahę, bo jeszcze nie wiem, nie mogę sprecyzować, co jest drobiazgiem, a co rzeczą ważną. Myślę, iż będę mógł zaświadczyć pojawienie się na świecie nowego boga. Wobec tego nawet coś, co teraz wydaje się błahostką, może mieć kiedyś duże znaczenie. Chodzi tu o zakres moich

słów. Jeśli wszystko, co przeżyłem, jest prawdą — to świat się zmienia. Nie — on już się zmienił i rozpoczęła się nowa era!

Mój nadzorca czuwa i napomina, bym nie wierzył w to, co może jest tylko moim pragnieniem. Chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek pragnąłem czegoś tak niepojętego. Nie, sam nie mógłbym tego wymyślić ani nawet wyjaśnić. Jeśli o czymś myślałem, to o realnym ziemskim królestwie, które już nie wchodzi w rachubę, zetknąłem się bowiem z czymś zupełnie innym, czego jeszcze nie rozumiem. Sam siebie przestrzegam, abym przez pychę nie starał się wyolbrzymiać wydarzeń, które może wcale nie miały miejsca. Bo w końcu kimże ja, Marek, jestem, żeby właśnie mnie przytrafiło się coś takiego? Nie jestem nikim ważnym. Ale przecież nie mogę zaprzeczyć faktom. A więc opowiem.

Kiedy późno w nocy dojrzałem do końca mego poprzedniego listu, palce mi zdrętwiały i nie mogłem od razu zasnąć. Wreszcie usnąłem twardo, ale na krótko, bo przed świtem zbudziło mnie ponowne trzęsienie ziemi. Było dłuższe i bardziej przerażające niż poprzednie. Trzask rozbitych naczyń i hałas spadających ze ścian tarcz i pancerzy postawiły na nogi wszystkich mieszkańców twierdzy. Kamienna posadzka kołysała się tak gwałtownie, że padłem plackiem na ziemię. Na dziedzińcu wartownicy otrąbili alarm. Muszę z szacunkiem wyrazić się o dyscyplinie w legionie, albowiem mimo wyrwania ze snu i mimo ciemności ani jeden zaspany żołnierz nie wybiegł na zewnątrz bez broni. A przecież pierwsza myśl skłania człowieka do natychmiastowej ucieczki na zewnątrz, poza budynki, które mogą runąć.

Było jeszcze tak ciemno, że zapalono pochodnie. Po chwilowym zamieszaniu odkryto pęknięcie muru w kilku miejscach, ale ofiar śmiertelnych nie było. Stwierdzono tylko kilka niegroźnych zwichnięć, guzów i ran, które powstały na skutek przepychania się.

Dowódca wysłał niezwłocznie patrole do miasta, aby zorientować się w szkodach, i dał rozkaz gotowości bojowej wojskowemu oddziałowi straży pożarnej, ponieważ wybuchające wskutek trzęsienia ziemi pożary powodują zwykle większe straty niż samo trzęsienie. Prokonsul zerwał się z łóżka i tylko narzucił opończę. Stał bosi na schodach, ale ani nie zszedł na dół, ani nie mieszał się do wydawania rozkazów. Ponieważ drgania ziemi się nie powtarzały i koguty zaczęły już piąć, uznał, że nie trzeba wysłać kobiet za mury miasta. Oczywiście po przebytym szoku nikt nie chciał wracać do sypialni. Niebo przejaśniło się. Kiedy gwiazdy zgasły, znowu rozległ się ryk trąb z żydowskiej Świątyni — znak, że trwa nabożeństwo, jakby nic się nie stało. Pozwolono rozejść się żołnierzom, którzy normalnie przygotowywali się do służby. Otrzymali tylko suchy prowiant, bo bezpieczniej było nie rozpalać jeszcze ognia. Patrole wracały z miasta jeden za drugim i meldowały o objawach strachu i paniki — wiele osób uciekło poza mury. Zawaliły się jakieś ściany, ale nic groźnego się nie wydarzyło. Prawdopodobnie było to miejscowe trzęsienie ziemi, zlokalizowane w pobliżu twierdzy i Świątyni.

Warty zmieniły się. Minimalnie opóźniona pierwsza kohorta pomaszzerowała przez miasto do cyrku. W tej wspaniałej budowli od lat nie urządzano walk gladiatorów ani zwierząt i tylko legion wykorzystywał arenę do swych ćwiczeń.

Wróciłem do pokoju, rozdeptując rozbite gliniane skorupy. Porządnie umyłem się i ubrałem. Krzątałem się jeszcze, gdy goniec wezwał mnie do prokonsula. Poncjusz Piłat

kazał wystawić fotel na taras przy schodach. Widocznie wolał nie siedzieć wewnątrz budynku, choć nie okazywał obawy przed ponownym wstrząsem. Stali przed nim dowódca twierdzy, sekretarz legionu i Adenabar, a także dwóch legionistów, którzy zwyczajem syryjskim energicznie gestykulowali jakby w obronie własnej i dla lepszej relacji, chociaż w zasadzie usiłowali stać na baczność z szacunku dla wysokich szarż. Zirytowany Poncjusz Piłat zwrócił się do mnie:

— Przez to trzęsienie ziemi opóźniła się poranna zmiana warty. Tych dwóch cymbałów wysłano, aby zmienili nocną wartę przed wiadomym ci przeklętym grobem. Było tam w nocy na stałe sześciu ludzi i jeszcze dwóch na wypadek, gdyby któryś zasnął. Ci tutaj wrócili i twierdzą, że pieczęć legionu jest złamana, gładz odsunięty od wejścia, a nocni wartownicy przepadli bez śladu. — Odwrócił się do legionistów. — A ciało chociaż jest z grobie?

— Nie weszliśmy do środka. Nie było rozkazu wchodzić do grobu.

— Czemu bodaj jeden z was nie został na miejscu? Drugi w tym czasie mógł złożyć meldunek. Przecież pod waszą nieobecność każdy może tam wtargnąć!

— Baliśmy się zostać w pojedynkę — szczerze przyznali.

— Otrzymali stanowczy rozkaz, żeby poza fortecą chodzić wyłącznie dwójkami — powiedział krótko dowódca twierdzy. Wziął w ten sposób w obronę swych żołnierzy; przecież i tak odpowiedzialność spadnie na niego.

Z wyrazu twarzy legionistów można było odczytać, że nie drżeli o własną skórę. Najprawdopodobniej strachem napawał ich sam grób, a zniknięcie kolegów z nocnej warty ten strach pogłębiło. Prokonsul chyba myślał o tym samym, bo spiesźnie zawołał:

— Nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego! Po prostu wstrząs ziemi przesunął gładz u wejścia do grobu. Tamci syryjscy zabobonni tchórze uciekli z miejsca warty i boją się wrócić. Trzeba natychmiast ich szukać jak dezertersów. Zasłużyli na najwyższą karę. — Odwrócił się w moją stronę i dodał: — Tu idzie o honor legionu i dlatego nie ufam nikomu, bo każdy dba o własny interes. Nie potrzebuję owijania w bawełnę czy tuszowania, lecz bezstronnego stwierdzenia faktów. Ty, Marku, masz trzeźwy umysł i jesteś wystarczająco biegły w prawie. Zabierz Adenabara i tych dwóch żołnierzy. Dla bezpieczeństwa weźcie nawet całą kohortę i obstawcie teren. Tych dwóch miejcie na oku, żeby nie dali drapaków. Zobaczcie, co się stało, i przyjdźcie zameldować.

Dowódca twierdzy natychmiast wezwał trębacza, ale prokonsul rozgniewał się, trzasnął pięścią w dłoń i zawołał:

— Czyście wszyscy pogłupieli? Po co wam kohorta, wystarczy paru zaufanych ludzi. Przecież głupotą jest zwracać na siebie uwagę i robić przedstawienie z naszej hańby.

Adenabar zebrał natychmiast dziesiątkę żołnierzy i po ustawieniu ich w szyku rozkazał, by biegli. Prokonsul zatrzymał nas, wołając, że swoim tupotem przyciągniemy wszystkich ciekawskich Żydów. Ucieszyłem się, że nie muszę biec, bo wątpię, czy bez treningu zdołałbym nawet bez rynsztunku i na tak krótkiej trasie dotrzymać kroku legionistom.

Zza murów wracał do miasta tłum uciekinierów. Mieli dosyć swoich zmartwień, więc nie zwrócili na nas uwagi, zapomnieli nawet opluwać i przeklinać legionistów.

Grób przesłaniały częściowo drzewa ogrodu. Mimo to z daleka zobaczyliśmy, jak z otwartej pieczary wyszło dwóch Żydów. Byli to zwolennicy Nazarejczyka, bo z całą pewnością poznałem w jednym z nich tego przystojnego młodzieńca, który na miejscu kaźni osłaniał rozpaczające kobiety. Drugi był wysokim brodatym mężczyzną z okrągłą głową. Kiedy ujrzeli, że nadchodzimy, uciekli, chociaż wołaliśmy za nimi.

— No, do licha, mamy rybę w sieci! — wrzasnął Adenabar, ale nie posłał nikogo za nimi. Uważał, że lepiej nie rozpraszać sił, zresztą wiedział, że tamci z łatwością mogą umknąć wśród ogrodów, wiatrołomów, wzgórz i wąwozów.

Wszyscy widzieliśmy wyraźnie, że niczego ze sobą nie nieśli.

Doszliśmy do groty. Ziała otworem, bo zamykający ją gład stoczył się po zboczu, uderzył o skałę i roztrzaskał. Nie zauważyliśmy śladów używania jakichkolwiek narzędzi. Gdyby ktoś chciał otworzyć od zewnątrz, musiałby odtoczyć gład na bok po przygotowanym w tym celu wgłębieniu. Z ościeży zwisały strzępy urwanej wstęgi, na której umocowana była pieczęć legionu. W powietrzu czuło się mocny zapach mirry i aloesu.

— Pójdź przodem, to ja pójdę za tobą — prosił zszarzały od strachu i drżący Adenabar. Legioniści zostali w sporej odległości od grobowca, zbici w gromadkę jak stado baranów.

Razem z Adenabarem wszedłem do przedsionka grobowca i stamtąd wąskim korytarzykiem do właściwego grobu. Zanim oczy przyzwyczyły się do ciemności, z trudem dostrześliśmy tylko zwoje białego całunu na podłodze. Ale po chwili, kiedy wzrok oswoił się z mrokiem, stwierdziliśmy, że ciało króla żydowskiego zniknęło, zostały tylko zwoje materii. Stwardniały od mirry i aloesu całun zachował wiernie kontury ciała, natomiast chusta, którą zakryto głowę Jezusa, leżała osobno.

Z początku nie wierzyłem własnym oczom i musiałem ręką dotknąć pustego miejsca, gdzie powinna znajdować się głowa. Ale jej tam nie było! Zwoje całunu leżały nie naruszone, tylko ciało zniknęło z środka bez śladu. Wyraźnie widziałem jego zarys. Nie, zwoje całunu na pewno nie były otwierane. A przecież bez tego nie da się wyjąć zwłok! Mimo to ciało zniknęło. Mój wzrok to potwierdzał.

— Czy widzisz to samo co ja? — zapytał szeptem Adenabar.

Nie mogłem ruszyć językiem, żeby mu odpowiedzieć. Kiwnąłem tylko głową.

— A nie mówiłem, że to był syn Boga? — szepnął. Opanował się, przestał drżeć, otarł twarz i dodał: — Takich cudów nigdy dotąd nie oglądałem. Może i lepiej, że na razie tylko my dwaj to widzieliśmy.

Rzeczywiście, legionistów w żaden sposób nie można było nakłonić, by weszli do grobu. Potworny strach ogarnął ich już wtedy, gdy koledzy z warty zniknęli, a koło grobowca nie było żadnych śladów walki.

Adenabar i ja nawet nie próbowaliśmy niczego zrozumieć. Żadna ludzka istota nie

byłaby w stanie wyśliznąć się ze stwardniałego całunu i nie naruszyć go. Gdyby zwoje mocno posklejanego aloesem i mirrą całunu przecinano, z pewnością pozostałyby tego ślady. Nawet najbardziej mistrzowska ręka nie potrafiłaby złożyć całunu z powrotem, zachowując kontury ciała.

Kiedy to wszystko do mnie dotarło, uczułem głęboki spokój i niczego już się nie bałem. Najwidoczniej takie samo wrażenie odniósł Adenabar. W żaden sposób nie potrafię wyjaśnić, dlaczego przestaliśmy się bać, choć zgodnie z logiką ludzkiego umysłu właśnie wtedy powinniśmy bać się najbardziej. Zupełnie spokojnie wyszliśmy z grobowca i powiedzieli legionistom, że ciała nie ma. Żołnierze nie przejawiali najmniejszej ochoty, by to sprawdzić, zresztą chyba nie wpuścilibyśmy ich do środka. Coś bąkali o honorze legionu, jeden zauważył, że gład, który zamykał wejście do grobu, tocząc się pociągnął za sobą inne i one też się rozbiły. Widocznie właśnie w tej okolicy trzęsienie ziemi było szczególnie silne, co mnie wcale nie zdziwiło. Żołnierze zaproponowali, aby wyjąć ciało z jakiegoś grobu i podłożyć je na miejsce króla żydowskiego. Ostro zabroniłem im nawet myśleć o tym. Kiedy jeszcze zastanawialiśmy się, co robić, zza gęstwiny drzew wyszli dwaj legioniści i z ociąganiem zbliżali się do nas. Adenabar poznał w nich natychmiast dezertersów z warty nocnej i krzykiem rozkazał im, by położyli na ziemi broń i tarcze. Tamci usprawiedliwiali się gorąco, dowodząc, że pilnie pełnili wartę strzegąc wejścia, a przecież nikt nie określił, w jakiej odległości od grobu mają stróżować.

— My i dwóch innych spało — wywodzili — a dwóch innych stało na warcie. Rano, w czasie trzęsienia ziemi, gład oderwał się od wejścia grobowca i przeskoczył nad naszymi głowami. Żyjemy tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Odeszliśmy dalej od grobu, bo baliśmy się, że wstrząsy się powtórzą. Czterech z nas pobiegło natychmiast zawiadomić Żydów, bo przecież dla nich pilnowaliśmy tej pieczary, a nie dla legionu.

Już z samej gwałtowności ich tłumaczeń wynikało jasno, że nie mają czystego sumienia i że coś się za tym kryje.

— Owszem, widzieliśmy tych dwóch, co nas przyszedli zmienić — ciągnęli — ale nie wyszliśmy, chociaż nas wołali, bo czekaliśmy na powrót naszych wysłańców, z którymi wartowaliśmy przy grobie. Jeśli w tej sprawie jest jeszcze coś do wyjaśnienia, to my w szóstkę wyjaśnimy to między sobą i ustalimy, co mamy mówić, a czego nie.

Przesłuchując ich z Adenabarem dowiedzieliśmy się, że o świcie zauważyli dwie Żydówki, które zbliżyły się do grobowca niosąc coś. Zawahały się przy wejściu, tylko jedna weszła do środka, ale natychmiast wyszła. Wtedy właśnie wstało słońce i oślepiło wartowników, ale mogą przysiąc, że z grobowca niczego nie wyniesiono ani niczego tam nie wniesiono, bo zawiniątko, które kobiety miały, zostało na zewnątrz. Potem uciekły, chociaż żołnierze ich nie wystraszyli, i zabrały je ze sobą.

Tuż przed naszym przybyciem wpadli tutaj dwaj Żydzi, młodszy biegł przodem, za nim starszy, bardzo zdyszany. Młodszy nie odważył się sam wejść do grobowca, tylko zajrzał przez otwór. Dopiero kiedy starszy wszedł, to i młodszy się ośmielił. Zapewne zaalarmowały ich kobiety. Obaj tylko przez chwilę byli w grobie i niczego zeń nie wynieśli. Żołnierze twierdzili, że bacznie ich pilnowali, aby nie zabrali ciała.

— Przecież postawili nas na warcie właśnie po to, i to polecenie wykonaliśmy jak można najlepiej i zgodnie z instrukcją. Nawet trzęsienie ziemi nie zmusiło nas do ucieczki, tylko odsunęliśmy się na bezpieczną odległość od grobu — zapewniali jednogłośnie.

Dokładnie obserwowałem ich twarze i rozbiegane oczy, doszedłem więc do wniosku, że coś ukrywają.

— Ciała w każdym razie nie ma — rzekłem zdecydowanie.

— Nic nie poradzimy — zaczęli, jak to Syryjczycy, podnosić ręce. — Nawet na moment nie przestaliśmy obserwować grobowca.

Niczego więcej od nich nie mogliśmy wyciągnąć. Przerwaliśmy przesłuchanie, bo z miasta wrócili wysłani tam wcześniej czterej wartownicy, którzy dostrzegłszy kolegów między nami, z daleka krzyczeli do nich ostrzegawczo:

— Zamknijcie gęby! Nie macie ozorami! Wyjaśniliśmy sprawę z Żydami. Przyznaliśmy się do wszystkiego i łaskawie wybaczyli nam niedopatrzenie.

Razem z nimi przyszli trzej Żydzi, zapewne przedstawiciele starszyny, sądząc po nakryciach głowy — członkowie sanhedrynu. Podeszli bliżej, pozdrowili nas z szacunkiem i powiedzieli:

— Długo to trwało, ale chcieliśmy najpierw uzgodnić wszystko między sobą. Legioniści stali na warcie przy grobie z ramienia rady i na naszą prośbę. Nie chcemy, aby ich ukarano z powodu nieporozumienia. Skąd mogli przewidzieć chytre sztuczki tego przekłętego Nazarejczyka? Wyjaśniliśmy sprawy wewnątrz rady i pozwalamy strażnikom spokojnie odejść. Idźcie i wy w pokoju, albowiem ani wy, ani inni Rzymianie nie macie tu nic więcej do roboty. Niestety już się wydarzyło i obciąża nasze konto. Nie chcemy zamieszek i pustego gadania.

— O, nie, nie — przerwałem — to kwalifikuje się pod prawo wojenne i rozpatrzmy całą sprawę jak należy. Ciało waszego króla zniknęło, a ci wartownicy są za to odpowiedzialni.

— Ktoś ty i czemu wtrącasz się do naszych rozmów, choć jesteś gładko ogolony i jeszcze młody? — spytali. — Uszanuj naszą godność i wiek. Jeśli o tej sprawie należy z kimś mówić, to będziemy rozmawiać z namiestnikiem, a nie z tobą.

Po tym, co widziałem w grobowcu, poczułem nienawiść do tych mądrych starców, którzy obstawali przy skazaniu swego króla i zmusili prokonsula do ukrzyżowania go. Powtórzyłem więc twardo:

— Wasz król zniknął z grobowca. Dlatego sprawę należy zbadać od podstaw.

— On nie był naszym królem — zakrzyczeli z gniewem. — Sam siebie tak nazwał. Sprawę już zbadaliśmy. Wartownicy zasnęły, a w czasie ich snu uczniowie Jezusa weszli i chytrze wykradli ciało. Wartownicy są gotowi to poświadczyć i naprawić swój czyn. Dlatego przebaczymy im i nie żądamy kary.

Mówili wbrew logice i wbrew temu, co sam widziałem. Zrozumiałem, że coś knują i

że przekupili wartowników. Dlatego podszedłem do Adenabara i powiedziałem:

— Zgodnie z rzymskim prawem wojennym, żołnierza, który zasnął na warcie lub odszedł z posterunku bez pozwolenia, karze się chłostą i ścięciem.

Legioniści drgnęli i popatrzyli po sobie, ale ci czterej, którzy przyszli z Żydami, mrugali i uspokajali ich gestami. Żydzi jeszcze raz zapewnili:

— To dla nas pełnili wartę, a nie dla Rzymu. My możemy ukarać ich albo puścić wolno.

Chciałem koniecznie dowiedzieć się, co naprawdę się wydarzyło. Ale popełniłem błąd. Chcąc przestraszyć Żydów, zaproponowałem:

— Idźcie sami do grobowca i na własne oczy zobaczcie, co się stało. Potem znów przesłuchajcie wartowników, jeśli będziecie mieli chęć i śmiałość.

Adenabar okazał więcej rozsądku i pospiesznie wtrącił:

— Po cóż mielibyście siebie strefie, pobożni mężowie?!

Ale zarówno z moich, jak i z jego słów Żydzi wywnioskowali, że w grobie może być coś ciekawego. Naradzili się między sobą w języku, którego nie znałem, po czym schylili jeden po drugim i weszli do pieczary, czemu oczywiście nie mogliśmy przeszkodzić. Pozostali wewnątrz długo, chociaż było tam ciasno. W końcu poszedłem zajrzeć do środka. Zobaczyłem ich pochylone plecy i słyszałem, jak gorączkowo rozmawiają.

Wreszcie wyszli, mieli zaczerwienione policzki i błędny wyraz oczu. Oświadczyli:

— Strefiliśmy się straszliwie, ale teraz możemy poświadczyć, że było tak, jak opowiadali wartownicy. Już nie będziemy się zanieczyszczać, chodźmy więc wszyscy, jak tu jesteśmy, przed oblicze namiestnika, ażeby nie powstawały kłamstwa i fałszywe historyjki.

To oświadczenie wzbudziło we mnie głębokie podejrzenia. Szybko wszedłem do grobowca. Kiedy oczy oswoiły się z mrokiem, ujrzałem, że całun został porozrywany na strzępy.

Ogarnął mnie wściekły gniew. To przez moją głupotę ci Żydzi weszli i zniszczyli jedyny materialny dowód nadprzyrodzonego zniknięcia króla z grobowca! Odczułem silny zawrót głowy, będący rezultatem znużenia, braku snu i narkotycznego aromatu mirry w ciasnym pomieszczeniu. Osnuł mnie mglisty cień nierealności. Prawie namacalnie czułem obecność niewidzialnej mocy. Miałem wrażenie, że czyjeś ręce trzymają mnie za ramiona, abym nie wybiegł i nie zaczął oskarżać Żydów. Po chwili odzyskałem panowanie nad sobą i spokojnie wyszedłem z grobowca z pochyloną głową. Nic nie powiedziałem Żydom. Nawet na nich nie spojrzałem.

Natomiast krótko zrelacjonowałem ich postępek Adenabarowi. Patrzył na mnie z wahaniem, jakby się chciał mnie poradzić, co ma zrobić, ale — jak to Syryjczyk — zadowolił się rozłożeniem rąk. Jeszcze raz wezwał wartowników do oddania broni, lecz tamci uparcie obstawali przy swoim.

— Czy to rozkaz? — dopytywali się. — Jeśli złożymy broń, będzie to przyznanie się do winy. Klniemy się na świętego byka, że tego żydowskiego grobu pilnowaliśmy na prośbę Żydów. Ich zdaniem spanie na warcie nie jest przestępstwem. Przeciwnie, to oznaka naszego bohaterstwa, bo nie baliśmy się ciemności. Pozwól nam zatrzymać broń! Żydzi wyjaśnią sprawę przed prokonsulem, a ty nie pożałujesz. Za to ręczymy i my, i Żydzi.

Adenabar znów spojrzał niepewnie na mnie, jakby szukał ratunku, ale nie odważył się otworzyć ust. Poszliśmy więc w należytym szyku do miasta i do twierdzy, a Żydzi za nami. Twardo obstawali przy tym, że nie ma sensu trzymać warty przy grobie, skoro ciało zostało już wykradzione. Sześciu wartowników maszerowało razem, zawzięcie szepcząc między sobą.

Gdy wkroczyliśmy na dziedziniec twierdzy, Poncjusz Piłat siedział na tarasie na masywnym sędziowskim fotelu, wyścielonym czerwoną poduszką. Obok stał stół. Poncjusz Piłat w najlepsze ogryzał pieczoną kurę, a kości rzucał za siebie. Wina sobie nie żałował i miał znakomity humor.

— Chodźcie do mnie wszyscy, którzy stamtąd przybywacie — zapraszał łaskawym głosem. — Ty, Marku, człowieku uczony i bezstronny świadek, stań koło mnie i pamiętaj, że Żydzi to ludzie hojni. Przynieście fotele dla szanownych członków rady, którzy nie gardzą Rzymianami. Niechaj mój sekretarz sporządzi protokół, a wy, cierpiący za winy legionu, podejdźcie bliżej. Nie obawiajcie się mnie, tylko dokładnie opowiedzcie, co się wydarzyło.

Wartownicy spoglądali to na niego, to znów na Żydów i szerokie uśmiechy pojawiły się na ich kościstych syryjskich gębach. Wypchnęli z szeregu swojego rzecznika, który zaczął opowiadać:

— Klnę się na geniusza, ducha opiekuńczego cesarza, i na świętego byka, że będę mówił prawdę. Żydzi za twoją zgodą zapłacili nam za pilnowanie grobu, do którego złożono Nazarejczyka. Wieczorem poszło nas sześciu. Po stwierdzeniu, że pieczęć jest nienaruszona, zwolniliśmy dziennych strażników. Usiedliśmy przed grobem na ziemi i przyjemnie spędzali czas. Dzięki szczodrobliwości Żydów mieliśmy wystarczająco dużo wina, żeby w nocy nie zmarznąć. Powiedziano nam, aby czterech spało, a dwóch stało na warcie, ale na początku nikomu nie chciało się spać. Graliśmy w kości, śpiewali i żartowali i właściwie poza dziewczuchami nie brakowało nam niczego, żeby czuć się doskonale. Z upływem nocy pomieszała się nam kolejność wart i zaczęła się kłótnia, bo już nie wiedzieliśmy, kto ma czuwać, a kto iść spać. Byliśmy tak pijani, że faktycznie spaliśmy wszyscy, ale każdy był pewien, że dwóch z nas stoi na warcie.

Odwołał się do swoich towarzyszy. Ci bezczelnie potwierdzili chórem:

— Tak było. To prawda.

— Obudziło nas trzęsienie ziemi — ciągnął Syryjczyk — i zobaczyliśmy, że uczniowie ukrzyżowanego otworzyli grób i właśnie wynosili z niego ciało. Było ich wielu, a wyglądali groźnie i krwiożerczo. Kiedy zobaczyli, żeśmy się obudzili, zrzucili głaz w naszą stronę i w ten sposób udało im się uciec.

— Ilu ich było? — zapytał Piłat udając ciekawość.

— Dwunastu — odparł rzecznik bez wahania. — Pobrząkiwali bronią i strasznie wrzeszczeli, aby nas wystraszyć.

— Raczej nie było ich więcej niż jedenastu — wtrącił się jeden z członków rady — bo dwunastego, który z nimi zerwał, zamordowali. Pasterze znaleźli rano jego zwłoki w pobliżu murów miasta. Uduszono go własnym paskiem i zepchnięto do przepaści, brzuch mu pękł i trzewia się wylały.

— Czy zabrali ciało owinięte, czy też zdjęli z niego całun w grobowcu? — spytał Piłat. Rzecznik zmieszał się, popatrzył na kolegów i po chwili powiedział:

— Chyba był w całunie. Spieszyło im się przez to trzęsienie.

— Nie, nie — krzyczeli energicznie Żydzi, którzy aż poderwali się z siedzeń — to pomyłka. Zdjęli z niego całun w grobowcu, żeby ludzie uwierzyli, iż sam powstał z martwych. Na własne oczy widzieliśmy porozrywane tkaniny.

— Nie wiemy dokładnie, jak to było, po ciemku nie widzieliśmy, a jeszcze byliśmy odurzeni winem i trzęsieniem ziemi — tłumaczyli się wartownicy.

— Ale w zasadzie, mimo ciemności, zobaczyliście i rozróżnili wszystko — schlebiał im Piłat. — Świetni z was żołnierze, chluba dwunastego legionu. — Ton jego głosu był tak złowieszczy, że wartownicy popatrzyli na siebie, pochylili głowy i zadreptali w miejscu. Zaczęli szturchać rzecznika. Ten spojrzał oskarżycielsko na Żydów i wyjąkał:

— Właściwie... właściwie... — powtórzył, ale słowa utkwily mu w gardle.

— Panie — zacząłem, lecz Piłat kazał mi zamilknąć i obwieścił swoją decyzję:

— Wysłuchałem relacji tych godnych zaufania żołnierzy i mam głębokie powody wierzyć, że powiedzieli szczerą prawdę. Ich opowiadanie potwierdzają nasi żydowscy przyjaciele i nie żądają ich ukarania. Po cóż bym miał się mieszać do wewnętrznych spraw dyscyplinarnych legionu? Czy dobrze powiedziałem?

Starszyzna żydowska jednogłośnie i gorąco potwierdziła:

— Słusznie mówiłeś.

Wartownicy stuknęli obcasami i wykrzyknęli:

— Słusznie mówiłeś. Niechaj bogowie Rzymu i nasi bogowie obdarzą cię wszystkimi łaskami.

— Sprawę do końca rozpatrzyłem i to wszystko — zakończył prokonsul. — Jeśli ktoś ma uwagi, niech zgłosi je teraz, a nie potem.

— Pozwól mi mówić — prosiłem, ponieważ ten błazeński przewód sądowy był moim zdaniem bardziej sceną w przedstawieniu oskijskim niż ujawnieniem prawdy.

— Aaa, to znaczy, że i ty byłeś przy tych wydarzeniach? — spytał zdumiony Piłat.

— Ależ nie — odparłem — tego nie twierdzę, przecież ty sam wysłałeś mnie, abym

jako świadek sprawdził, co się stało.

— Tyś niczego nie widział — przerwał mi prokonsul. — Ci żołnierze widzieli. Trzymaj więc język za zębami w sprawach, których nie rozumiesz. Posłałem cię, ponieważ sądziłem, że żołnierze zdezerterowali i narazili na szwank honor legionu. Ale oni stają tu przede mną potulni jak owieczki i otwarcie przyznają się do wszystkiego.

Podniósł się z ironicznym uśmiechem z fotela, dając w ten sposób znak, że ma już dosyć obecności Żydów. Podziękowali mu i wyszli. Kiedy zniknęli za arkadami, wartownicy też zamierzali odejść, lecz prokonsul zatrzymał ich niedbałym gestem.

— Jeszcze nie odchodzicie. Z ponurego wyrazu twojej twarzy

— rzekł do dowódcy twierdzy — widzę, że skarbnik arcykapłana nie uważał za konieczne upewnić się o twojej przyjaźni. Jak powiedziałem, nie do mnie należy mieszanie się do spraw dyscypliny legionu. Zlitowałem się nad wartownikami, ale to nie przeszkadza, żebyś ty ich ukarał tak, jak będziesz uważał za słuszne, aby utrzymać dyscyplinę. Moim zdaniem możesz ich wsadzić tymczasem do aresztu, żeby przemyśleli, co właściwie zaszło. Nie zaszkodzi sprawdzić — dodał półgłosem — ile dostali od rady żydowskiej za umiłowanie prawdy.

Ponure oblicze dowódcy zajaśniało niebiańskim uśmiechem. Wydał rozkaz i wartowników rozbrojono, nim zdążyli się zorientować. Zamkniętych w lochu sam dowódca pilnował, aby się nie pomylili w liczeniu pieniędzy.

Kiedy wyprowadzono wartowników, prokonsul uśmiechnął się i rozkazał:

— Adenabarze, ty też jesteś Syryjczykiem. Idź, zorientuj się, co ci łajdacy naprawdę widzieli.

Wstąpił na schody i nadzwyczaj przychylnie wezwał mnie za sobą. Weszliśmy do jego kancelarii. Kazał wyjść wszystkim i powiedział:

— Mów. Widzę, że aż cię ponosi od nadmiaru wrażeń.

Z roztargnieniem wyciągnął z zanadru skórzaną sakiewkę, zerwał pieczęcie i zaczął przez palce przesypywać szczerozłote monety z wizerunkiem Tyberiusza.

— Panie — rzekłem po namyśle — nie wiem, dlaczego postąpiłeś przed chwilą tak, jak postąpiłeś. Niewątpliwie musisz mieć ku temu ważne powody. Nie mam prawa krytykować twoich działań jako urzędnika rzymskiego.

— Właśnie wyjaśniam ci, że mam ważne powody — pobrzękiwał w garści złotymi monetami — najważniejsze powody na świecie, skoro one rządzą światem. Sam wiesz, że cenzorzy siedzą zawsze prokuratorowi na karku. Teraz już w prowincjach nie można się wzbogacić jak dawniej, w czasach republiki. I jeśli Żydzi koniecznie, wyłącznie z przyjaźni, wmuszają dary, to byłbym głupi, gdybym ich nie przyjął. Muszę myśleć o starości. Nie jestem zamożny, a Klaudia sama rządzi swoim majątkiem. Ty zapewne jesteś na tyle bogaty, że nie zazdrościsz mi tych darów.

Oczywiście, że niczego mu nie zazdrościłem, ale mój umysł tak pełen był widzianych obrazów, że zawołałem:

— Powiedziałaś: one rządzą światem. Nie wierzę, aby świat nadal był taki, bo ukrzyżowany przez ciebie król żydowski wstał z martwych. Trzęsienie ziemi odwalilo głaz z grobu i wyszedł z niego przez całun i chustę, choćby nie wiem co łgali wartownicy i gadali Żydzi.

Piłat spojrział na mnie uważnie, lecz nic nie rzekł. Opowiedziałem, cośmy widzieli z Adenabarem przed grobem i co na własne oczy ujrzeliśmy w grobowcu.

— Nienaruszony, mocno sklejonny całun pogrzebowy! — wykrzyknąłem. — Aby ukryć ten fakt, starcy żydowscy porozrywali z wściekłości tkaninę. Inaczej na własne oczy mógłbyś się upewnić, że wstał trzeciego dnia z martwych i wyszedł z grobu, jak obiecał. Adenabar potwierdzi to, co mówię.

— Naprawdę sądzisz, że zniżyłbym się tak bardzo, aby iść do grobu oglądać żydowskie brewerie? — Powiedział to z takim politowaniem, uśmiechał się tak ironicznie, że przez moment zawahałem się i przypomniałem sobie wszystkie oglądane niegdyś egipskie sztuczki magiczne, które mamią prosty lud. Prokonsul zaś wsypał z powrotem pieniądze do sakiewki, ściągnął ją sznurkiem i szarpnął, aż zabrzęczała. Z powagą mówił dalej: — Jest dla mnie zupełnie jasne, że opłaceni przez Żydów wartownicy będą tańczyć, jak im zagrają. Legionista nie zasypia na warcie, strzegąc pieczęci własnego legionu. Syryjczycy są w ogóle tak zabobonni i podszyci strachem, że wątpię, czy odważyliby się spać. Prawdopodobnie istotnie trzęsienie ziemi wyrwało kamień z włazu, ale chciałbym wiedzieć, co stało się później. Wsparł łokieć na kolanie, a szczupły podbródek na ręce i patrzył przed siebie.

— To prawda — przyznał — że i na mnie wywarł głębokie wrażenie ten żydowski uzdrowiciel. Głębsze niż myślicie ty i Klaudia. Dawniej też zjawiali się w Judei uzdrowiciele, prorocy i mesjasze. To dziki, buntowniczy naród, który trzeba wiecznie temperować. Ale tamten człowiek nie był podżegaczem, był pokornym mężem. Z trudem patrzyłem mu prosto w oczy, kiedy go przesłuchiwałem. Zauważ, że miałem okazję przesłuchiwać go sam na sam, bez świadków z gminy żydowskiej. Oskarżenie Żydów głosiło, że nazwał siebie królem i w ten sposób stał się wrogiem cesarza. Ale najwyraźniej użył słowa „królestwo” jedynie w przenośni, bo — o ile mi wiadomo — nawet nie sprzeciwiał się konieczności płacenia podatku Rzymianom. On sam powiedział mi, że jego królestwo nie jest z tego świata. I jeszcze dodał, że urodził się i przyszedł na świat, aby dać świadectwo prawdzie. To mnie poruszyło, choć jestem twardym mężczyzną. Już dawno temu sofisci stwierdzili, że na tym świecie nie ma żadnej bezwarunkowej prawdy, że wszystkie prawdy są względne. Jego też spytałem, co to jest prawda. Ale on albo nie umiał, albo nie chciał odpowiedzieć. Niczego złego w tym człowieku nie znalazłem — kontynuował pogrążony w rozmyślaniach. — I choć był mocno sponiewierany przez Żydów, wydał mi się bardziej niewinny niż wszyscy inni ludzie, jakich spotkałem w życiu. Nie bał się mnie, nawet się nie bronił. Była w nim ogromna siła. Jestem prokonsulem, ale wyznam, że w pewnym sensie czułem się od niego słabszy. Ale to nie było uczucie podległości czy zniewolenia. Nie, raczej powiedziałbym, że czułem się dobrze mówiąc do niego, a on spokojnie mi odpowiadał. Nie bronił się ani nie spierał.

— Piłat podniósł na mnie wzrok, znów się uśmiechnął i dodał łągodząco: — Uważam, że powinienem ci to powiedzieć, abyś mnie mylnie nie osądzał. Chciałem jak

najlepiej, ale warunki polityczne były naprawdę przeciwko niemu. Nie można go było uratować, skoro on sam nawet palcem w swojej sprawie nie kiwnął. Przeciwnie, wyglądało na to, że tylko tego oczekiwał i z góry wiedział, jaki los go czeka.

Twarz Piłata zastygła, znowu patrzył na mnie gburowato, gdy kończył:

— Wyjątkowy człowiek, może święty, jak powiadają, ale bogiem to on nie był, Marku, wybij to sobie z głowy. Był mężczyzną, żywym człowiekiem. Sam na własne oczy widziałeś, jak umierał śmiercią człowieka. Nawet furie nie zmuszą mnie, bym uwierzył, że ciało powstanie z martwych albo że wyparuje poprzez zwoje całunu. Wszystko na tym świecie ma swoje naturalne i zwykle bardzo proste wytłumaczenie.

Tak do mnie przemawiał, ponieważ cały czas wątpliwości drażyły jego umysł, a jako namiestnik Rzymu chciał trzymać się faktów. Musiał. Rozumiałem to i nie oponowałem, trwając w posepnym milczeniu. Później tego żałowałem, bo gdybym zaczął wypytywać, w chwili szczerości zapewne opowiedziałby mi, co zaszło w czasie przesłuchania i co powiedział mu Nazarejczyk.

Po jakimś czasie do kancelarii wszedł Adenabar. Prokonsul kiwnął głową i rozkazał:

— Mów!

— Panie, co chcesz abym opowiadał? — Adenabar niepewnie pocierał dłonie.

— To nie jest już przesłuchanie sądowe, tylko poufna rozmowa w czterech ścianach. Nie powiem ci: mów prawdę, bo o prawdzie nikt z nas nie wie zbyt wiele. Powiedz tylko, co ci wartownicy sądzą, że widzieli.

— Każdy z nich dostał trzydzieści srebrników. Za taką szczodroblewość Żydzi włożyli im w usta swoje słowa. W rzeczywistości byli przerażeni i raczej wątpliwe, by odważyli się spać, bo się bali upiórów. Na początku trzęsienia ziemi przynajmniej dwóch nie spało, zgodnie z poleceniem. Wstrząs rzucił nimi o ziemię. Wszyscy się przebudzili, kiedy zamykający grobowiec głąz z hukiem oderwał się i w ciemności słyszeli, jak runął na skałę. Potem... — Adenabar przerwał z zakłopotaniem i zaczął się tłumaczyć: — Powtarzam tylko to, co usłyszałem. Nie trzeba było nawet chłosty, tak chętnie opowiadali, bo bardzo kiepsko się poczuli, kiedy zabraliśmy im pieniądze. No więc uniknęli zmiążdżenia przez toczący się głąz, ale dygotali ze strachu. Zobaczyli jasność, jakby błyskawicę, chociaż grzmotu nie było. Ten błysk ponownie rzucił ich na ziemię i leżeli jak martwi. Ale nicjiiie słyszeli, głosów ani kroków, toteż zaryzykowali i podeszli do grobowca. Po naradzie zostawili dwóch na warcie, czterech udało się do Żydów, żeby ich zawiadomić o zdarzeniu. Nie odważyli się na własną odpowiedzialność wejść do środka, żeby sprawdzić, czy ciało jest w grobie. Nie widzieli złodziei i nie wierzą, aby ktoś niepostrzeżenie wszedł do groty albo coś stamtąd wyniósł.

Piłat przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał, potem spytał:

— Marku, które opowiadanie według ciebie jest bardziej wiarygodne? Czy to, które zdaniem Żydów odpowiada prawdzie, czy to, które teraz usłyszałeś?

— Znam logikę sofistów i prawdy cyników. Uczestniczyłem też w tajnych misteriach, chociaż nie przekonały mnie one mimo swego alegoryzmu. Filozofia uczywała

mnie sceptykiem, ale ziemską prawdą była dla mnie zawsze jak kłujący nóż w sercu. Teraz to w pełni rozumiem. Na własne oczy widziałem, jak umierał. Sam stwierdziłem, że żadna ziemská siła nie byłaby w stanie otworzyć jego grobu. Prawda jest prosta, jak sam powiedziałeś. Jego królestwo dzisiaj rano zstąpiło na ziemię. Ziemia drgnęła i otworzyła grobowiec. Jasność oślepiła oczy wartowników, kiedy Jezus wstał i po prostu wyszedł z grobu. Czemu miałbym wierzyć w pokrętne historie, które nie odpowiadają prawdzie?

— Przystań się ośmieszać — przerwał mi prokonsul. — Pamiętaj, że jesteś obywatelem Rzymu. A ty, Adenabarze, które opowiadanie wybierzesz?

— Panie, ja w tej sprawie nie mam własnego zdania — odparł dyplomatycznie setnik.

— Marku — rzekł prosząco Piłat — czy rzeczywiście chcesz, abym stał się pośmiewiskiem wszczynając alarm w legionie i wszystkich garnizonach Judei dla schwytania człowieka, który wstał z grobu? Miałbym przecież taki obowiązek, gdybym ci uwierzył. Znaki szczególne poszukiwanego: rana w boku aż do serca, rany na dłoniach i stopach, no i jeszcze to, że sam ogłosił, że jest królem żydowskim. Pomogę ci wybrnąć z kłopotu — ciągnął pojednawczo. — Nie pytałem, co przyjmujesz za prawdę, tylko o to, czyja relacja jest bardziej wiarygodna na tym świecie, na którym bądź co bądź żyjemy. Albo jeszcze lepiej: czyja relacja jest politycznie wygodniejsza, zarówno z punktu widzenia strony żydowskiej, jak i Rzymu? Przecież zrozum, żebym nie wiem co sam myślał, to i tak muszę postąpić zgodnie z interesem państwa.

— Już rozumiem, dlaczego pytałeś, co to jest prawda — powiedziałem gorzko. — Niech będzie, jak mówisz. Pojmuję twoje zadowolenie. Żydzi rozwiązali problem, przynosząc wiarygodną twoim zdaniem wersję wydarzeń, dodając dary, żebyś łatwiej uwierzył. Oczywiście, że ich opowiadanie ma jasny cel. Wcale nie kładę dobrowolnie głowy w paszczę krokodyla, żebyś mógł oskarżać mnie o polityczne pieniactwo. Taki głupi nie jestem. Pozwoliłeś mi mieć własną opinię. Nie zamierzam publicznie jej ogłaszać.

— A więc wszyscy trzej jesteście tego samego zdania — stwierdził spokojnie prokonsul. — Im szybciej zapomnimy o tej sprawie, tym lepiej. Ty, Adenabarze, razem z dowódcą weźcie każdy trzecią część pieniędzy żydowskich, tak będzie sprawiedliwie. Oddajcie wartownikom po dziesięć srebrników, żeby trzymali język za zębami. Jutro możesz ich zwolnić z aresztu, a w odpowiednim czasie trzeba będzie przenieść ich do garnizonów nadgranicznych, najlepiej każdego osobno. Ale jeśli zaczną rozgłaszać bzdurne pogłoski, należy natychmiast z nimi skończyć.

Zrozumiałem, że i dla mnie będzie najrozsądniej trzymać gębę na kłódkę, przynajmniej do czasu, aż opuścę terytorium Judei. Teraz jednak, gdy dokładniej rzecz przemyślałem, doszedłem do przekonania, że w całym cywilizowanym świecie nie ma miejsca, w którym mógłbym szczerze opowiedzieć swoje przeżycia. Wszędzie zatrzymano by mnie jako pomyłonego albo oszusta, który chce zwrócić na siebie uwagę. W najgorszym wypadku Piłat mógłby ogłosić, że jestem awanturnikiem politycznym i wmieszałem się w sprawy żydowskie ze szkodą dla Rzymu. W naszych czasach za mniejsze wykroczenia grozi kara śmierci.

Przygnębiły mnie te myśli, ale równocześnie ucieszyłem się uświadomiwszy sobie, że szukam prawdy głównie dla siebie, a nie po to, aby opowiadać innym. Kiedy Adenabar wyszedł, powiedziałem pokornie:

— Pozwoliłeś mi zbadać sprawę króla żydowskiego. Nie myślę o jego zmartwychwstaniu, na ten temat będę milczał, ale chciałbym poznać jego dzieła i nauki. Może jest w nich coś godnego zapamiętania. Sam uznałeś, że był wyjątkowym człowiekiem.

Piłat podrapał się w brodę, spojrzął na mnie i poradził:

— Sądzę, że najlepiej byłoby go zapomnieć i nie zaprzętać sobie głowy religią żydowską. Jesteś młody, zamożny i wolny, masz wpływowych przyjaciół i życie się do ciebie uśmiecha. Ale każdego czeka własny los. Nie będę ci przeszkadzał, jeśli tylko ostrożnie i bez szumu zechcesz zaspokoić swoją ciekawość. Teraz w Jeruzalem szumi, ale chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak ulotna jest ludzka pamięć. Jego uczniowie jak wiatr rozlecieli się po świecie i wrócą do swych domów. Wierz mi, za kilka lat nikt nie będzie o nim pamiętał.

Zrozumiałem, że rozmowa skończona, i poszedłem coś zjeść do jadalni oficerskiej, ponieważ Piłat nie zaprosił mnie na posiłek. Byłem tak zmęczony, że niewiele słyszałem, co do mnie mówiono. Nie mogłem też zmusić się do snu. Wyszędłem z twierdzy i chodziłem po mieście bez celu. Ulice pełne były pątników, którzy po świętach wracali do swych domów. Widziałem ludzi z całego świata. Próbowałem też oglądać luksusowe towary, które żydowscy kupcy sprzedawali w wielu sklepach. Ale to samo widziałem w wielkich miastach innych krajów i nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Po jakimś czasie złapałem się na tym, że obserwuję tylko żebraków na ulicy, ich okaleczone członki, ośleple oczy i gnijące rany. Zdziwiło to mnie, bo przecież zazwyczaj wędrowcy traktują takie widoki jak natrętne muchy. Po obydwu stronach ulicy przed świątynią siedzieli szeregami, widocznie każdy z nich miał stałe miejsce. Wyciągali ręce po datki i wykrzykując swoje żale popychali i szturchali się nawzajem.

Zamiast wyrobów jubilerskich i złota, zamiast faryzeuszy z długimi frędzlami przy szatach, wschodnich kupców czy kobiet niosących na głowie dzbany z wodą, wszędzie widziałem tylko okaleczonych i nędznych żebraków. Czy mam jakąś wadę wzroku? Dlatego ulice miasta rychło mnie znużyły. Wyszędłem poza bramę i znów stanąłem przed wzgórzem kaźni. Szybko je ominąłem i wkroczyłem do ogrodu, w którym znajdował się grób. Ogród gęsto porastały drzewa owocowe i zioła; stwierdziłem, że jest piękniejszy, niż go pamiętałem. Teraz, w porze popołudniowego odpoczynku, był zupełnie pusty. Nogi same niosły mnie w kierunku grobowca. Jeszcze raz wszędłem do środka i rozejrzałem się. Ktoś zabrał całun, został tylko zapach olejków.

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, poczułem ogromne znużenie. Przez dwie noce nie spałem jak należy i zdawało mi się, jakby dwa minione dni i ten ostatni, trzeci, były najdłuższymi dniami w moim życiu. Zmęczonym, chwiejnym krokiem podszędłem do rosnącego w cieniu krzewu mirtu, położyłem się na trawie i od razu mocno zasnąłem.

Gdy słońce stało już nisko — według rzymskiej miary godzin była czwarta — zbudził mnie świergot ptaków, zapach rezedy i rześkość powietrza. Usiadłem mile

wypoczęty. Znużenie przeszło i nie dręczyły mnie żadne natrętne myśli. Wdychałem świeże powietrze. Cały świat się orzeźwił. Być może pustynny wiatr przestał dąć już rano, ale wcześniej nie zauważyłem tego. Głowa mnie już nie bolała, brak snu nie szczypał w oczy, nie byłem głodny ani spragniony. Czulem tylko, że wspaniale jest oddychać, żyć i być człowiekiem na tej ziemi.

Spostrzegłem ogrodnika, który chodząc po ogrodzie unosił gałęzie drzew owocowych i ręką badał niedojrzałe owoce. Miał na sobie prostą, wiejską opończę z krótkimi frędzlami, odkrytą głowę chronił przed promieniami słońca. Pomyślałem, że może nie jest zadowolony z mojej obecności w ogrodzie bez pozwolenia. Zwyczajnie Żydów są nader skomplikowane, a ja ich nie znam zbyt dobrze. Dlatego szybko się podniosłem, podszedłem do niego, pozdrowiłem go i rzekłem:

— Twój ogród jest piękny, mam nadzieję, że się nie obraziłeś za to, iż bez pytania przyszedłem tu odpocząć.

W tym momencie cały świat wydawał mi się cudowny, a ludzie dobrzy. Ogrodnik odwrócił twarz w moją stronę i uśmiechnął się do mnie tak przyjaźnie, jak jeszcze żaden Żyd nie uśmiechał się do gładko ogolonego Rzymianina. Ale jego słowa zdumiały mnie, ponieważ łagodnym głosem, prawie wstydliwie i nieśmiało rzekł:

— W moim ogrodzie jest miejsce również dla ciebie, albowiem znam cię.

Przypuszczałem, że źle widzi i pomylił się co do osoby. Zdziwiony powiedziałem:

— Nie jestem Żydem, czyś nie zauważył? Jakże mógłbyś mnie znać?

— Znam moich i moi znają mnie — odparł w zagadkowy, iście żydowski sposób.

Ręką uczynił gest, jakby zapraszając, bym mu towarzyszył. Sądziłem, że chce mi coś pokazać albo czymś poczęstować dla wykazania gościnności, więc chętnie się do niego przyłączyłem. Szedł przede mną i zauważyłem, że paskudnie kuleje, chociaż nie był jeszcze stary.

Przy skrzyżowaniu ścieżek znowu podniósł gałąź drzewa owocowego i spostrzegłem, że w nadgarstku ma dużą, jeszcze nie zagojoną ranę. Stałem jak wryty i na chwilę jakby mi władzę w nogach odjęło. A on jeszcze raz popatrzył na mnie znajomymi mądrymi oczyma i skrzył w kierunku stromej zbrocza.

Kiedy odzyskałem zdolność ruchu, wydałem głośny okrzyk i pobiegłem za nim, ale zniknął mi z oczu. Widziałem krętą ścieżkę, jego nie było. Nie zauważyłem żadnego miejsca, w którym mógłby skryć się w tak krótkim czasie. Kolana odmówiły mi posłuszeństwa i siadłem na ścieżce, nie wiedząc, co myśleć. Teraz opisałem wszystko właśnie tak, jak się wydarzyło, wówczas jednak, przyznając szczerze, myślałem, że ujrzałem zmartwychwstałego żydowskiego króla. Duża rana w nadgarstku ogrodnika była dokładnie w tym miejscu, w które przy krzyżowaniu oprawca wbija gwoździe, aby kości wytrzymały ciężar miotającego się ciała. Powiedział, że mnie zna. Skąd mógł mnie znać, jeśli nie spod krzyża?

Ale chwila egzaltacji minęła, ziemia znów wydała mi się szara i wróciło poczucie rzeczywistości. Siedziałem na zakurzonej ścieżce. No dobrze, sympatyczny Żyd

uśmiechnął się do mnie. Po cóż zaraz bujać w obłokach? Przecież zdarzają się Żydzi przyjaźnie usposobieni do cudzoziemców! Kulawych widziałem w mieście aż za dużo, a ogrodnicy często kaleczą sobie ręce przy pracy. Na pewno źle zrozumiałem gest jego ręki. Wcale nie chciał, bym szedł za nim, po prostu gdzieś się skrył w zaroślach.

Przede wszystkim, gdyby był królem żydowskim, to dlaczego mnie by się objawił? Kimże jestem, żeby się pokazywał właśnie mnie? Jeżeli zaś miał jakieś swoje powody, to dlaczego ich nie przedstawił i nie powiedział, czego ode mnie oczekuje? Bez tego jego pojawienie się nie miało sensu.

Potem zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko nie było tylko snem. Wróciłem pod krzew mirtu, popatrzyłem na miejsce, gdzie leżałem. Nie, to nie był sen. Padłem jak długi i kiedy o tym rozmyślałem, zarówno rozum, jak i cała moja wiedza filozoficzna buntowały się przeciwko temu, co jawiło się przecież jako absurdalne. Jak najgoręcej pragnąłem zobaczyć ukrzyżowanego i zmartwychwstałego króla żydowskiego, ale nie miałem prawa uznać za rzeczywistość swoich marzeń i sądzić, że widziałem go żywego pod postacią ogrodnika.

W ten sposób moje myśli uległy rozdarciu i zawładnęło mną przerażające uczucie, że rozdwoiłem się w sobie: jedna część mojego jestestwa chciała wierzyć, a druga szydziła z tej wiary. Szyderca zapewniał, że już nie jestem taki młody i odporny jak dawniej. Zimą pędziłem hulaszczę życie w Aleksandrii, na przemian oddając się pijaństwu, długotrwałemu łajdaczeniu się albo studiom nad ponurymi przepowiedniami. To zamąciło mi w głowie. Podróż z Joppy, wstrząsy, które przez kaprys losu przyszło mi przeżywać, czuwanie i nadmiar pisania stały się ostatnią kroplą przepełniającą puchar. Nie mogłem już polegać na własnych zmysłach, nie mówiąc o wydaniu wiarygodnej opinii. Poncjusz Piłat jest ode mnie starszy, bardziej doświadczony i zdolny do dokonania oceny. Gdybym był roztropny, usłuchałbym jego rad, odpoczął, oglądał zabytki i pamiątki świętego miasta żydowskiego i zapomniał o wszystkim. Pomyślałem o biesach, które wedle żydowskich przypowieści wstępują w słabych ludzi i władają ich ciałem. Spałem w pobliżu grobów i wystawiłem się na niebezpieczeństwo. Tylko nie wiedziałem, który ze mnie dwóch jest biesem? Czy ten, co uparcie chce, bym wierzył, że król żydowski wstał z grobu i na własne oczy widział go w postaci ogrodnika, czy ten, który zawzięcie drwi z tego wszystkiego?

Nie zdążyłem tego przemyśleć, kiedy sceptyk we mnie wziął górę i zapewnił: „Tak daleko zaszedłeś, że wierzysz w żydowskie biesy? Na własne oczy widziałeś w Aleksandrii lekarzy, którzy kroili zwłoki straconego przestępcy, i słyszałeś, jak żartowali, że będą w nich szukać duszy, a przecież niczego nie znaleźli. Wyobrażasz sobie, że jeden człowiek spośród ludzkiej gromady powstał z martwych, choć na własne oczy widziałeś, jak oddał ducha na krzyżu, a jego ciało zostało przebite włócznią przez legionistę. Coś takiego nie może się zdarzyć. A co jest niemożliwe, nie może być prawdą.”

Ale moje drugie ja odpowiedziało: „Marku, jeśli teraz tego poniechasz, to nigdy w życiu nie zaznasz spokoju, tylko będziesz się zadręczał myślami, że przed twoimi oczyma wydarzyło się coś, co nigdy przedtem nie miało miejsca. Nie bądź zadufany w sobie. Każda mądrość jest ograniczona i zawodna, udowodnili to już sofiści. Przecież ci nie zaszkodzi rzeczowe zbadanie wszystkiego. Najpierw sprawdź, a dopiero potem rozważaj. To, że przedtem coś się nie wydarzyło, wcale nie oznacza, że nie mogło się

zdarzyć. Tu zaszło coś więcej niż te wieszczce znaki, w które dotychczas przynajmniej połowicznie wierzyłeś. Zdaj się bardziej na uczucia niż na rozum. Nie jesteś jednym z siedmiu mędrców, a zresztą żadnemu człowiekowi nigdy i nigdzie nie udało się polegać wyłącznie na rozumie. Tobie dopisało szczęście. Cezar nie uwierzył, gdy przepowiedziano mu śmierć w idy marcowe. Nawet bezrozumne zwierzęta są mądrzejsze od człowieka, bo ptaki milkną, a osły i wielbłądy płoszą się przed trzęsieniem ziemi, szczury zaś zawczasu uciekają ze statku, który ma zatonać."

Trudno jest mi pisać o moim rozdwojeniu jaźni, nie sądzę bowiem, aby zrozumiał je ktoś, kto sam go nie doświadczył. Jest to przerażające odczucie i chyba postradałbym zmysły, gdyby nie wewnętrzne opanowanie, które mnie chroniło w okresie najgorszego zamętu w umyśle. Doświadczenie uczyniło mnie milczącym i zmusiło, bym uważał i nie dręczył się zbędnymi rozważaniami.

Pozbierałem się wreszcie, gdy nadchodził wieczór i cienie gór padły na doliny. Na wysokim wzgórzu lśniła pasowiejąca w słońcu Świątynia. Udałem się do miasta, aby znaleźć dom bankiera i wziąć od niego pieniądze, bo wiedziałem, że będę ich potrzebował na dalsze badania. Dom bankiera znajdował się w pobliżu teatru i domu arcykapłana w nowo zbudowanej dzielnicy miasta. Przyjął mnie, gdy tylko powiedziałem służbie, o co chodzi. Okazał się prawdziwym wyjątkiem wśród powszechnej nieżyczliwości Żydów wobec Rzymian.

Poprosił, abym zwracał się do niego jego greckim imieniem Arystenos, i rzekł:

— Słyszałem już o tobie, a i pisano mi o twojej podróży. Bałem się, czyś aby nie padł ofiarą zbójów, bo nie przyszedłeś do mnie od razu. Przybysze zawsze najpierw zjawiają się u mnie, aby wymienić pieniądze i uzyskać dobre rady, jak najkorzystniej je wydać, bo Jeruzalem, mimo ponurego wyglądu, jest w czasie świąt wesołym miastem. Później wracają, aby pożyczyć na powrotną drogę, i prawdę mówiąc, na tym zarabiam najwięcej. Jeśli się zatrzymasz na dłużej i spotkałyby cię jakieś kłopoty, niezwłocznie zgłoś się do mnie. Nie dziwię się niczemu, co robią młodzi, pełni temperamentu wędrowcy. Kiedy trąby w Świątyni ogłaszają koniec święta, zdarza mi się znaleźć przed moją bramą śpiącego na kamieniu klienta bez płaszcza i bez butów.

Mówił beztrzesko, jak światowy człowiek, a choć zajmował ważne stanowisko, był niewiele ode mnie starszy. Zgodnie z modą nosił przystrzyżoną brodę, a frędzle przy płaszczu tak krótkie, że ledwo je było widać. Włosy miał utrefione po grecku i pachniał dobrymi wonnościami — po prostu przystojny i sympatyczny mężczyzna.

Wyjaśniłem, że zatrzymałem się w twierdzy Antonia jako gość prokonsula, ponieważ ostrzegano, abym w czasie Paschy nie pchał się do miasta, gdzie zawsze grożą rozruchy. Zdumiony rozłożył ręce i aż krzyknął:

— To kłamstwo, fałsz i oszczerstwo! Nasza rada dysponuje wystarczającą liczbą straży, aby utrzymać porządek. Nasi kapłani tępią buntowników na pewno z lepszymi niż Rzymianie rezultatami. Mieszkańcy Jeruzalem istotnie nie kochają syryjskich legionistów, ale przede wszystkim z powodu ich irytującego zachowania. Cudzoziemiec, który wwozi pieniądze do naszego miasta, szanuje nasze zwyczaje i przestrzega regulaminu porządkowego, jest przyjmowany jak najlepiej. Hołubimy go i doglądamy, a

przewodnicy konkurują między sobą, żeby mu usłużyć. Wielu uczonych jest gotowych wyjaśnić mu prawdy naszej wiary; zajazdy, nawet te najwyższej klasy, są dla obcokrajowców stosunkowo tanie, a w czterech ścianach wiadomych domów dopuszczalne są wszystkie uciechy tego świata, byle tylko gościa rozweselić. Znajdziesz tu nawet hinduskie tancerki, jeśli chcesz przeżyć coś zupełnie egzotycznego. Najrozsądniej jest jednak zamieszkać w nowej części miasta, niedaleko forum.

Wtrąciłem, że wschodni wiatr bardzo mi dokuczył i nabawił bólu głowy i że *nie* było przyjemnie obudzić się o świcie, kiedy ziemia się zatrzęsała i z hukiem spadały szyldy.

— Nie warto zwracać uwagi na tych kilka nieznaczących wstrząsów, które nie spowodowały żadnych szkód. Gdybyś mieszkał w lepszej dzielnicy miasta, niczego byś nie zauważył. Sam nawet z łóżka nie wstawałem, ale może w okolicy fortecy ziemia trzęsała się mocniej.

Zdawałem sobie sprawę, że postępuję nieelegancko, lecz chciałem skierować rozmowę na Jezusa Nazarejskiego, więc udając obojętność wtrąciłem:

— Ukrzyżowaliście swojego króla właśnie wtedy, gdy do was przybyłem. Nie był to przyjemny widok.

Arystenos spochmurniał, ale zaraz klasnął w dłonie na służbę, kazał przynieść pitnego miodu i ciasta i powiedział:

— Dziwny z siebie człowiek, skoro znajdujesz same nieprzyjemne strony w tym jedynym na świecie naprawdę świętym mieście. Ale bądź tak dobry, usiądź i pozwól mi wyjaśnić, bo najwyraźniej nie wiesz, co mówisz. My, Żydzi, jesteśmy chorzy od świętych Pism i przepowiedni proroków, ale to przecież zrozumiałe, ponieważ nasza religia jest najdziwniejsza na świecie, a historia nieprawdopodobna. Tylko my na całym świecie mamy jednego Boga, który nie pozwala nam czcić innych bogów. I na całym świecie tylko my mamy tu, w Jeruzalem, jedyną Świątynię, w której służymy naszemu Bogu według zasad ustanowionych przez Niego samego za pośrednictwem wielkiego przywódcy naszego narodu.

Uśmiechnął się i zaproponował poczęstunek, ale nie podał mi wina własnymi rękami, spostrzegłem też, że ciasto położono na dwóch tackach. Zauważył mój wzrok i roześmiał się:

— Nie sądz, że jestem zabobonnym Żydem. Nie piję z tobą z jednego pucharu i nie dotykam rękami tej samej co ty tacki ze względu na służbę. Nie uważam się za coś lepszego niż ty. Jestem człowiekiem światłym i często łamię Prawo, chociaż na pozór staram się go przestrzegać. Mamy przecież faryzeuszy, którzy fanatycznymi żądaniem wypełniania Pisma co do joty zatruwają życie wszystkim dokoła. To są nasze problemy. Pismo jednoczy naród. We wszystkich miastach całego świata łączy Żydów i równocześnie zapobiega mieszanii się z innymi nacjami. Gdyby nie ono, to naród, który doświadczył niewoli egipskiej i babilońskiej, dawno by zniknął z powierzchni ziemi. Sam jestem człowiekiem wykształconym, a w sercu Grekiem, i nie mogę się zgodzić z tym, żeby Pismo pętało ducha narodu. Choć w razie potrzeby dam się porąbać na kawałki za naszego Boga i naszą Świątynię. Historia poświadcza, że my, Żydzi, jesteśmy narodem wybranym przez Boga, ale mądry człowiek rozumie, że jedzenie, picie, mycie

rąk i czyszczenie naczyń to błahostki wobec niewyobrażalnego blasku Przedwiecznego. Skomplikowane zwyczaje, tradycyjne obrzezanie, świętowanie szabatu i wszystko inne zbyt trudno wytłumaczyć cudzoziemcom, ale to trzyma nas w tej małej krainie; nie mieszałyśmy się z innymi nacjami, będziemy gotowi i właśnie tacy, jakich potrzebuje Bóg, kiedy mesjasz przyjdzie na ziemię i rozpocznie swoje tysiącletnie panowanie. — Spojrzał na mnie i szybko dorzucił: — To właśnie przepowiedzieli nasi prorocy, ale żebyś nie rozumiał tego dosłownie ani w sensie politycznym, że pod wodzą mesjasza Żydzi będą panować nad światem. Tylko prosty lud, plebejusze, jak powiedzieliby Rzymianie, jest skłonny do marzycielstwa. Cała nasza żydowska natura jest fanatyczna. Dlatego właśnie u nas pojawiają się mesjasze jeden po drugim, próbując szczęścia. Niezłym cudotwórcą trzeba być, żeby zebrać wokół siebie tłum prostaków! Możesz być pewien, że my, Żydzi, odróżnimy prawdziwego mesjasza od fałszywego, jeśli tylko przyjdzie. Mamy już doświadczenie! Nasz własny król z rodu Machabeuszy ukrzyżował trzy tysiące ślepych fanatyków. A ty użalasz się nad jakimś jednym, który wmówił ludowi, że jest królem i mesjaszem!

Jadłem ciasto, kiedy mówił, i popijałem miód, który szybko uderzył mi do głowy. Powiedziałem ze śmiechem:

— Po cóż taki potok słów i taka żarliwość, skoro sprawa jest rzeczywiście tak błaha, jak twierdzisz?

— Wierz mi, mesjasze przychodzą i odchodzą, a nasz Bóg trwa wiecznie i Świątynia od wieków gromadzi Żydów. Jesteśmy wdzięczni Rzymianom, że z racji religii uznali naszą szczególną pozycję wśród innych narodów i dali nam autonomię. Zarówno cesarz August, jak i cesarz Tyberiusz są nam przychylni i uwzględnili nasze życzenia, dzięki czemu wzrósł nasz autorytet w świecie. W gruncie rzeczy pod panowaniem Rzymu, w cywilizowanym świecie, taka sytuacja jest lepsza, niż gdybyśmy jako samodzielne państwo musieli utrzymywać armię i stale prowadzić wojny z zawistnymi sąsiadami. A tak mamy bazy i rzeczników w każdym znaczącym mieście, w Galilei, Brytanii i na wybrzeżach scytyjskich. Nawet barbarzyńskie narody nas szanują jako zdolnych kupców. Ja sam dla zabicia czasu zajmuję się eksportem owoców i orzechów do Rzymu. Żałuję tylko, że nie mamy własnej floty morskiej, ale to dlatego, że boimy się morza. Każdy pobożny Żyd, który tylko może, pielgrzymuje do Świątyni, żeby się uświęcić. Pątnicy przynoszą dary ofiarne, bogactwo Świątyni stale wzrasta. Rozumiesz więc, że nie możemy dopuścić, by ludzi podburzano mrzonkami o jakimś królestwie. Za wszelką cenę chciał mnie przekonać o słuszności polityki sanhedrynu. Przysunął się bliżej i ciągnął:

— Przecież żyjemy jak na wulkanie. Byle jaki chciwy prokurator może ściągnąć żądnych władzy prostaczków, aby wznieśli bunt czy powstanie, bo to da mu podstawę do ograniczenia naszej autonomii i zagarnięcia skarbów Świątyni. Więc zgodnie z interesem Rzymu i naszym należy zachować i umocnić obecne status quo. To znaczy

— umocnić radę. Chcę ci wyjaśnić, że nasza rada jest odpowiednikiem rzymskiego senatu i sama się uzupełnia. Należą do niej najwyżsi kapłani, najlepsi prawnicy i inne znakomite osoby, które zwiemy starszyzną. Nie wszyscy są wiekowi, ale mają dobre pochodzenie i duże majątki. Naród jest politycznie ciemny, toteż nie możemy dać mu prawa głosu. Dlatego każdą idącą z dołu inicjatywę rozszerzenia uprawnień politycznych dla Żydów czy powrotu do władzy królów należy zdławić w zarodku, nawet gdyby taki

zamysł miał niewinne oblicze, na przykład religijne czy miłości bliźniego.

Moje lekceważące milczenie zmuszało go do coraz bardziej zażartej samoobrony, jakby czuł się winnym.

— Jako Rzymianin nie rozumiesz bezgranicznego prestiżu prawdziwej religii, ponieważ przyzwyczałeś się czcić tylko wizerunki. Religia jest naszą siłą, ale równocześnie naszym największym zagrożeniem, bo fanatycy polityczni mogą powoływać się na Pismo i wykazywać, że ich cel jest słuszny, choćby faktycznie groził Żydom katastrofą. Oczywiście powiesz, że Jezus Nazarejski, którego zdążyliśmy na czas ukrzyżować w wigilię Paschy, był człowiekiem niewinnym, wielkim uzdrowicielem i nauczycielem. Niech tak będzie. Ale właśnie taki niewinny człowiek, który swoją osobowością i głoszonym programem przyciągnie do siebie masy, jest najbardziej niebezpieczny! Dlatego, że jest nie uświadomiony politycznie, że wierzy w dobro, łatwo stanie się narzędziem w ręku ludzi żądnych władzy. A tacy myślą tylko o jednym: niech się nawet zawali cały system społeczny, niech naród padnie ofiarą rzymskiej krwiożerczosci, byle oni bodaj na krótką chwilę pochwycili władzę! Wierz mi, człowiek, który sam siebie czyni mesjaszem, jest przestępcą politycznym i trzeba go zabić, choćby był nie wiem jak prostoduszny. — Zawahał się i szybko dodał: — Ponadto jako samozwańczy mesjasz winien był bluźnierstwa i już tylko za to wedle naszego Prawa zasługiwał na śmierć. Mówiąc między nami, ludźmi oświeconymi, to była okoliczność marginalna. Gdyby zjawił się w Świątyni w czasie Paschy, wybuchłyby zamieszki, buntownicy przejęliby władzę, wykorzystując go jako szyld, i krew by się połała. To zmusiłoby Rzymian do wmieszania się, a zatem do zniesienia naszej autonomii. Lepiej, jeśli zginie jeden człowiek, niż gdyby miał zginąć cały naród.

— To hasło już słyszałem — wtrąciłem.

— Zapomnij o nim — prosił gorąco Arystenos. — Nie szczycimy się jego śmiercią, przeciwnie, sam byłem przygnębiony koniecznością wydania wyroku, bo podobno dobrym człowiekiem był ten Jezus Galilejczyk. Gdyby siedział w Galilei, nic złego by mu się nie przytrafiło. Tam nawet poborcy podatkowi byli mu życzliwi, a dowódca garnizonu w Kafarnaum zalicza się do jego przyjaciół.

Doszedłem do wniosku, że najdrobniejsza wzmianka o zmartwychwstaniu Jezusa nie ma sensu, bo Arystenos straciłby dla mnie cały respekt i uważał za naiwnego cymbała. Po namyśle rzekłem:

— Udało ci się mnie przekonać i rozumiem doskonale, że ze względów politycznych jego śmierć była pożądana. Mam w podróży zwyczaj zbierania najróżniejszych dziwów, aby później zabawiać ludzi swoją wiedzą, a być może i samemu czegoś się nauczyć. Między innymi interesują mnie uzdrowiciele. W młodości widziałem w Antiochii słynną syryjską czarownicę dokonującą cudów. W Egipcie także istnieją miejsca, do których pielgrzymują chorzy, by odzyskać zdrowie. Dlatego chętnie spotkałbym się z kimś, kogo ten człowiek uzdrowił, żeby zorientować się, jakie stosował metody. — Nagle nowa myśl strzeliła mi do głowy: — Byłoby też ciekawe spotkać któregoś z jego uczniów. Wtedy z pierwszej ręki dowiedziałbym się, co o nim mówią i ku czemu właściwie dążył.

— Na pewno ci uczniowie się ukrywają albo uciekli do Galilei

— powiedział zdenerwowany Arystenos. — O ile wiem, miał dwunastu najbliższych uczniów i jeden z nich zdradził jego nocną kryjówkę Radzie. Wszyscy są ludźmi bardzo prostymi, to rybacy znad Morza Galilejskiego i tym podobni. Tylko jeden Jan, młody człowiek, który nawet studiował i zna grekę, pochodzi z dobrej rodziny. Niemniej jednak... aha, podobno jeszcze jakiś celnik przyłączył się do nich. Taka hołota, rozumiesz. Wątpię, czy coś skorzystasz ze spotkania z nimi. Ale

— zawahał się — jeśliś naprawdę ciekaw, choć mówiąc uczciwie zupełnie nie rozumiem, po co ci ta wiedza, bo mógłbyś spędzić wesoło czas w Jeruzalem, to jest tu niejaki Nikodem, który mógłby cię oświecić. To gorliwy badacz Pisma i należy do tych, którzy czekają na mesjasza. Członkowie rady byli oburzeni, że bronił Jezusa. On jest zbyt uczciwy. Dlatego nie zawiadomili go o nocnej naradzie, bo za bardzo by się wzruszył, gdyby był obecny przy skazaniu na śmierć Nazarejczyka.

— Słyszałem o nim. Czy to nie on zjął króla z krzyża i złożył go do grobu? Podobno ofiarował sto funtów pachnideł na jego całun.

Słowo „król” wyraźnie drażniło uszy Arystenosa, ale nie poprawił mnie, jak czynili inni Żydzi. Niechętnie stwierdził:

— Masz dobre informacje. To była jawna demonstracja ze strony Nikodema i Józefa z Arymatei, ale niech tam, jeśli to złagodziło ich wyrzuty sumienia. Józef jest wprawdzie starszy, ale Nikodem to nauczyciel, dlatego powinien lepiej się zachowywać! Choć w takich wypadkach nie można wierzyć nikomu. Może ci dwaj troszcząc się o pochówek Galilejczyka pragną zgromadzić wokół siebie opozycję, żeby ograniczyć władzę arcykapłana?! — Ta myśl podnieciła go. — Nie mam nic przeciwko temu. Bezczelność Kajfasza przekracza wszelkie granice. Ulokował ogromną liczbę swoich krewnych w Świątyni, przy handlu zwierzętami ofiarnymi i wymianie walut. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ja nie mam na dziedzińcu ani jednego stołu do wymiany pieniędzy! Być może Nikodem przy całej swej skromności uprawia słuszną politykę. Nie przystoi, to nawet wbrew Prawu, aby na dziedzińcu Świątyni mieścił się krzykliwy bazar. Do wymiany pieniędzy należałoby dopuścić zdrową konkurencję. To by przyniosło tylko korzyść pobożnym przybyszom, bo nie musieliby zadowalać się kursem narzuconym przez Kajfasza.

— Chętnie spotkałbym Nikodema, ale wątpię, czy mnie przyjmie, bo jestem Rzymianinem — przerwałem, nie byłem bowiem ciekaw jego interesów.

— Ależ, kochany przyjacielu — zawołał Arystenos — przecież obywatelstwo rzymskie jest jak list polecający! Jeżeli jakiś Rzymianin chce poznać naszą religię, to uczony Żyd widzi w tym znak szacunku. Możesz się przedstawić jako poszukujący Boga. To otworzy ci wszystkie drzwi, a do niczego nie zobowiązuje. Jeśli tylko chcesz, chętnie udzieli ci rekomendacji.

Zdecydowaliśmy, że prześle o mnie słowo do Nikodema. Jutro wieczorem, jak tylko zapadną ciemności, będę mógł iść do niego. Wziąłem od Arystenosa trochę pieniędzy. Chciał mi przydzielić zaufanego służącego, który otworzyłby przede mną drzwi wszystkich tajnych przybytków radości. Oświadczyłem, że po hucznej zimie w Aleksandrii związałem się przyrzeczeniem wstrzemięźliwości. Uszanował je, chociaż

biadolił, że bardzo dużo tracę.

Rozstaliśmy się jak przyjaciele. Odprowadził mnie aż do bramy swego domu i wezwał sługę, aby szedł przede mną i krzykiem torował mi drogę, nie chciałem jednak niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Jeszcze raz zapewnił, że w każdej chwili mogę się do niego zwrócić ze swoimi kłopotami. Był niewątpliwie najsympatyczniejszym Żydem, jakiego spotkałem, ale nie wiem, dlaczego nie czuję do niego prawdziwej przyjaźni. Jego wyjaśnienia ostudziły mój umysł i obudziły niepewność, chyba wbrew mojej woli.

Wróciłem do twierdzy Antonia, gdzie powiedziano mi, że Klaudia Prokula wielokrotnie po mnie posyłała. Szybko udałem się do jej pokoju w wieży. Leżała już na łóżu, ale ubrała się w cieniutką jedwabną tunikę, narzuciła płaszcz i wraz ze swoją damą do towarzystwa przyszła porozmawiać ze mną. Była jak w ekstazie — oczy miała przeraźliwie błyszczące, zmarszczki na bladej twarzy wygładzone. Obydwoma rękami chwyciła moje ręce i krzyknęła:

— Marku, Marku! Ten żydowski król powstał z martwych!

— Czyżby prokonsul nie powiedział ci — spytałem zirytowany

— że jego uczniowie wykradli ciało z grobu? Istnieje przecież oficjalny protokół, poświadczony przez legion.

— Naprawdę sądzisz, że Poncjusz uwierzy w cokolwiek poza własną sakiewką? — Klaudia Prokula w gorączce aż tupała. — Ale ja mam w Jeruzalem przyjaciółki. Może jeszcze nie słyszałeś, że o świcie poszła do grobu pewna kobieta, z której on wypędził szatana. Grób był pusty, ale ona ujrzała anioła, którego szaty były białe jak światło, a twarz płomienna jak ogień.

— W takim razie — rzekłem gburowato — szatan widać wrócił do wspomnianej przez ciebie niewiasty. Przygnębiony pomyślałem: „W co ja się zaplątałem? Czyżbym już do tego stopnia oszalał, że w duchu rywalizuję z majaczącą kobietą?” Klaudia Prokula obraziła się.

— I ty, Marku... — rzekła oskarżycielsko i zaczęła pochlipywać.

— Sądziłam, że jesteś po jego stronie. Słyszałam, że byłeś w grobie sam widziałeś, że był pusty. Czy bardziej niż własnym oczom wierzysz Poncjuszowi Piłatowi i przekupnym żołnierzom?

Wzruszyłem się, bo jej egzaltowana twarz była pełna żaru. Chętnie bym ją pocieszył, lecz wiedziałem, jak niebezpiecznie jest dać wiarę rozhisteryzowanej kobiecie. Moim zdaniem entuzjastyczne opowiadania kobiet z Jeruzalem o zmartwychwstaniu, widzeniach i aniołach mogły służyć tylko żydowskiej radzie i czyniły sprawę jeszcze mniej wiarygodną.

— Nie zdręczaj się, Klaudio — prosiłem. — Wiesz, że aż nadto zajmowały mnie nauki cyników. Dlatego trudno mi wierzyć w rzeczy nadprzyrodzone. Nie chcę jednak niczego całkowicie negować. Kto jest twoim świadkiem i jak się nazywa?

— Ma na imię Maria — wyjaśniała Klaudia, chcąc mnie przekonać. — To popularne

imię żydowskie. Ta Maria pochodzi z Magdali, wsi leżącej na wybrzeżu Morza Galilejskiego. Jest zamożną kobietą, hoduje gołębie i co roku dostarcza tysiące ptaków na ofiary do Świątyni. Straciła dobrą opinię, gdy dostała się w szpony szatana, ale Jezus Nazarejski ją wyleczył i całkiem się zmieniła, chodziła wszędzie za Nauczycielem w czasie jego wędrówek. Spotkałam ją kiedyś, gdy byłam z wizytą u mojej żydowskiej przyjaciółki, i wywarła na mnie głębokie wrażenie opowieścią o swoim Nauczycielu.

— Żebyś mógł uwierzyć, muszę usłyszeć tę historię z jej własnych ust. Może to tylko łatwowierna wizjonerka, która za wszelką cenę chce zwrócić na siebie uwagę? Czy sądzisz, że mógłbym ją spotkać?

— A czy to źle miewać sny? — sprzeciwiła się Klaudia. — Mnie sny tak straszliwie dręczyły, że ostrzegałam Poncjusza, aby nie skazywał tego pobożnego człowieka. W środku nocy doniesiono mi, że Jezus został zatrzymany, i gorąco proszono, abym wpłynęła na męża. Moje widzenia senne się spełniły. Nadal uważam, że mój mąż zrobił najgorszą rzecz w życiu, wydając go na ukrzyżowanie.

— Myślisz, że mógłbym spotkać tę Marię? — nalegałem.

— Mężczyźni nie wypada rozmawiać z Żydówką, a co dopiero cudzoziemcowi. Nawet nie wiem, gdzie ona mieszka. To kobieta bardzo wrażliwa, a ty jesteś podejrzliwy i mógłbyś odnieść z rozmowy z nią błędne wrażenie. Ja wierzę w jej słowa.

— Gdybym spotkał tę Marię z Magdali — spróbowałem jeszcze raz — czy będę mógł powołać się na ciebie i prosić, aby bez obaw opowiedziała mi wszystko?

Klaudia mruknęła, że mężczyzna nigdy nie zdobędzie u kobiety takiego zaufania jak inna kobieta i że w ogóle mężczyzna nie potrafi zrozumieć kobiety. Ale pozwoliła, bym się na nią powołał, jeśli spotkam Marię.

— Gdybyś jej sprawił jakąkolwiek przykrość lub zmartwienie, to odpowiesz przede mną! — zagroziła i na tym skończyła rozmowę.

Klaudia chciała wzbudzić we mnie entuzjazm i wiarę w zmartwychwstanie króla żydowskiego. W pewnym sensie musiałem w to wierzyć, skoro widziałem na własne oczy nie naruszony całun w pustym grobie. Ale chcę sprawę zbadać dokładnie.

LIST CZWARTY

Marek do Tulii.

Kontynuuję moje opowiadanie wedle porządku wydarzeń.

Twierdza Antonia jest ponura i ciasna. Nie chciałem tam dłużej mieszkać, stale śledzony przez wiele par oczu. Zresztą prokonsul postanowił wrócić do swej urzędowej siedziby, Cezarei. W pożegnalnym podarunku wręczyłem mu przynoszącego szczęście skarabeusza, a Klaudii Prokuli aleksandryjskie zwierciadło. Obiecałem, że w powrotnej drodze odwiedzę ich w Cezarei. Życzył sobie tego Poncjusz Piłat; widocznie nie chce mnie wypuścić z Judei bez dyskretnego przesłuchania. Klaudia Prokula także prosiła, abym wpadł do nich i opowiedział wszystko, czego się dowiem o zmartwychwstaniu.

Dowódca twierdzy otrzymał ode mnie sporą sumę pieniędzy, bo wolałem utrzymać z nim dobre stosunki, aby w razie potrzeby znaleźć w fortecy bezpieczne schronienie, chociaż już się zdążyłem zorientować, że nic mi nie grozi w Jeruzalem, jeśli tylko uszanuję obyczaje Żydów i nie będę ich drażnił swoim zachowaniem.

Setnika Adenabara uważam za swojego prawdziwego przyjaciela. Dzięki jego poleceniu nie musiałem mieszkać w jednym z zajazdów, tylko zająłem pokój gościnny u jego znajomego, syryjskiego handlarza starzyzną, który ma dom w pobliżu pałacu Hasmoneuszy. Od młodości znam zwyczaje Syryjczyków oraz ich bogów, wiem zatem, że chętnie jedzą pikantne potrawy, utrzymują pokoje w czystości i w ogóle są uczciwi, chyba że chodzi o wymianę pieniędzy.

Ten kupiec mieszka z rodziną na parterze, a ladę sklepową wystawia przed dom. Pokój gościnny ma bezpośrednie wyjście na ulicę, mogę więc wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chcę, i bez pytania przyjmować gości. Tę pozytywną stronę na wyścigi podkreślali zarówno Adenabar, jak i jego przyjaciel. Jego małżonka lub córka przynoszą mi posiłki do pokoju i dbają, by w zawieszonym u pułapu dzbanku zawsze była świeża woda, synowie zaś prześcigają się w usłudze, załatwiają różne drobne sprawy, kupują wino, owoce i wszystko, czego sobie tylko zażyczą. Ponieważ święta już minęły i przybysze zniknęli z miasta, więc chociaż ta rodzina jest stosunkowo zamożna — cieszą się, że będę u nich mieszkał i płacił za to.

Rozgościłem się na nowym miejscu, a kiedy zajaśniały gwiazdy, wyszedłem z domu. Pracownia garncarska Nikodema jest miejscem tak znanym, że bez trudu ją znalazłem. Brama otworzona była na oścież, na podwórku spotkałem służącego, który cicho zapytał:

— Czy jesteś człowiekiem, którego mój pan oczekuje?

Wprowadził mnie po schodach na dach domu, a rozgwieżdżone niebo Judei czyniło zbędnym oświetlanie drogi. Na tarasie-dachu zobaczyłem starszego mężczyznę siedzącego na poduszkach. Pozdrowił mnie przyjaźnie i spytał, czy jestem tym szukającym Boga człowiekiem, o którym pisał mu bankier Arystenos. Prosił, bym usiadł obok niego, i natychmiast monotonnym głosem zaczął mówić o Bogu Izraela. Rozpoczął od stworzenia nieba i ziemi. Zdążył opowiedzieć, jak Bóg stworzył człowieka z ziemskiego pyłu na obraz i podobieństwo swoje, kiedy opryskliwie przerwałem mu:

— Nauczycielu izraelski, to wszystko już słyszałem i sam czytałem po grecku w waszych świętych Księgach. Przyszedłem do ciebie, abyś mi opowiedział o Jezusie Nazarejskim, królu żydowskim. Z pewnością wiesz o tym, bo przyjmujesz mnie na tarasie i w ciemnościach.

— Jego krew padła na mnie i na mój naród — odrzekł drżącym głosem. — Jestem pogrążony w bólu i aż do śmierci będzie to mnie dręczyło. On był nauczycielem, a jego nauka pochodziła od Boga, bo nikt nie mógłby czynić takich cudów, gdyby go Bóg nie wysłał.

— On był więcej niż nauczycielem. Ja również drzę w głębi serca, choć jestem cudzoziemcem. Wiesz zapewne, że wstał z grobu, chociaż sam zawiązałeś go w całun i zamykałeś grób, nim szabat się zaczął.

Nikodem podniósł twarz ku niebu, ku światłu gwiazd, i żałośnie zawołał:

— Nie wiem, w co wierzyć.

— Czy on był synem gwiazd, którego przepowiedziano? — spytałem, wskazując na rozgwieżdżone niebo.

— Nie wiem, niczego już nie rozumiem i nie nadaję się na nauczyciela Izraela. Wprowadzono mnie w błąd w radzie. Mówili, że Jezus nie jest prawdziwym prorokiem, bo prorok nie może przyjść z Galilei. To prawda. W Księgach nie mówi się o Galilei. Ale jego matka, którą dopiero teraz spotkałem, twierdzi, że narodził się w judejskim Betlejem, w złych czasach Heroda. Księgi zaś świadczą, że wyzwoliciel przyjdzie właśnie z Betlejem. Wiele lat studiowałem Księgi. Sprawdziło się wszystko, co przepowiedziały, nawet to, że jego kości będą łamane.

Śpiewnym głosem zaczął odtwarzać i objaśniać przepowiednie. Po pewnym czasie zniecierpliwiło mnie to i powiedziałem:

— Przestań mi mówić, że w nim spełniły się zapowiedzi waszych proroków. Mam tylko jedno pytanie: czy on powstał z martwych czy nie? Jeśli zmartwychwstał, to jest czymś więcej niż królem i nie ma sobie równych na tym świecie. Nie jestem podstępny i nie szykuję pułapki, przecież żaden człowiek nie może mu już zaszkodzić. Odpowiedz mi. Moje serce drży we mnie i podpowiada, że znam prawdę.

— Powiedzieli mi, że zmartwychwstał, ale nie wiem, czy w to wierzyć — przyznał z wahaniem Nikodem. — Wczoraj wieczorem jego uczniowie zebrali się w izbie i zamknęli drzwi, ponieważ boją się prześladowań. Przynajmniej większość się boi. Wtedy Jezus zjawił się między nimi i pokazał im rany na rękach, nogach i w boku. I tchnął na nich oddechem. Potem zniknął z pokoju w taki sam sposób, w jaki przyszedł. Tak mnie zapewniali, ale bardzo trudno w to uwierzyć.

— Opowiedz mi o jego królestwie — prosiłem, dygocząc w ciemności. — Czego uczył o królestwie.

— Potajemnie spotkałem się z nim, kiedy przyszedł pierwszy raz na święto Paschy do Jeruzalem. Nie mogę zapomnieć, co mówił, ale nie rozumiałem tego wtedy i teraz też nie rozumiem. Powiedział, że jeśli ktoś nie narodzi się powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego.

Wspomniałem natychmiast nauki orfików i pitagorejczyków, którzy zapewniali, że w zależności od dokonywanych czynów człowiek rodzi się na nowo jako zwierzę albo roślina. Opanowało mnie rozczarowanie, bo nie była to nowa nauka.

Nikodem mówił dalej:

— Zanegowałem jego naukę i spytałem: Jak może się narodzić stary człowiek? Przecież nie wejdzie powtórnie do łona swej matki! Wtedy Jezus dał mi klucz do swych słów, zapewniając wielokrotnie: Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego. Wodę rozumiem, wielu bowiem idzie na pustynię do bractwa, modląc się i czekając, a po okresie próbnym chrzczą ich. Jan też przyszedł z pustyni i chrzczył ludzi w wodzie, aż ściął go Herod Antypas.

— W tajnych misteriach Izdy — przerwałem mu — wyświęceni wchodzą z ufnością po ciemku w głębię wody, ale mocne ręce wynoszą ich bezpiecznie i nikt nie tonie. To dobrze znany obrzęd, wcale nie nowy.

— Tak, chrzest z wody nie jest niczym nowym. Ale spytałem go, co rozumie przez chrzest z Ducha. Jezus odparł dobitnie i powoli, tak że słowo po słowie utkwilo mi w pamięci: To, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to co się z Ducha narodziło, jest duchem. Wiatr wieje tam, gdzie chce i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd pochodzi i dokąd podąża. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha.

Zamilkł na długo, a ja zastanawiałem się nad jego słowami. Gwiazdy Judei iskrzyły się na niebie, czułem silny zapach wilgotnej gliny i odór pieca do jej wypalania. W jakiś dziwny sposób słowa Jezusa trafiały do mego serca, chociaż niespokojnie myślałem, że mój rozum tego nie pojmuje. W końcu spytałem cicho:

— Czy to już wszystko, co wiesz o jego królestwie?

— Od jego uczniów słyszałem — powiedział Nikodem po chwili namysłu — że zanim zaczął nauczać, udał się na pustynię. Tam czuwał i pościł czterdzieści dni i doświadczył wszystkich fałszywych omamów i zjaw, którymi poszczonego nękają siły związane z ziemią. Diabeł zaprowadził go na wysoką górę, pokazał wszystkie królestwa świata i ich wspaniałości i obiecał mu potęgę, jeśli zgodzi się upaść na ziemię, oddać

szatanowi pokłon i w ten sposób odstąpić od zadania, z którym przyszedł na świat. Ale on zwyciężył szatana. Potem przyszli aniołowie i służyli mu na pustyni. Wrócił do świata ludzi, zaczął nauczać i czynić cuda, zgromadził wokół siebie uczniów. Tyle wiem o jego królestwie. To nie jest królestwo ziemskie. Dlatego skazanie go było przestępstwem.

Gadanie o zjawach, objawieniach i aniołach denerwowało mnie, ponieważ każdy wrażliwy człowiek, który wystarczająco długo pości i czuwa, widzi zjawy i omamy, ale te znikają, gdy znów się naje, napije i wraca między ludzi. Nalegałem więc na Nikodema:

— Co to więc za królestwo?

— Skąd mam to wiedzieć? — jęknął głośno i wznosił, ręce,

— Słyszałem szum wichru, wierzyłem, że wraz z nim królestwo zejdzie na ziemię. Wiele innych rzeczy mi mówił. Rzekł nawet, że Bóg nie posłał swego syna na potępienie świata, ale po to, by świat został przez niego zbawiony. Ale tak się nie stało. Przybito go do krzyża i poniósł haniebną śmierć. Tego nie mogę zrozumieć. Skoro jego nie ma, nie ma i królestwa. Serce podpowiadało mi co innego, lecz rozum zmusił, bym rzekł ironicznie:

— Mało mi dajesz, nauczycielu Izraela. Tylko szum wichru, a do tego sam nie wierzysz w jego zmartwychwstanie.

— Już nie jestem nauczycielem Izraela — przyznał pokornie Nikodem. — Jam najmniejszy z dzieci Izraela, zraniony w sercu i przybity do ziemi. Coś ci jednak podaruję. Siewca rzuca ziarno i nie kłopotczy się o nie, a kiedy śpi, ziarno kiełkuje, wiatr i deszcze zginają je i wyrasta, aż dojrzeje do ścięcia. Tak jest ze mną, a może i z tobą, jeśli jesteś szczerzy. Być może ziarno we mnie zostało posiane i teraz wzrasta. Może i w tobie zasiano ziarno i kiedyś dojrzeje. Nie mogę uczynić nic więcej, niż pokornie czekać, świadomy, jak mało rozumiem i jak chwiejna jest moja wiara.

— Nie zadowolę się tylko czekaniem. Nie rozumiesz, że teraz masz jeszcze wszystko świeżo w pamięci? Każdy dzień coś z tej pamięci zabiera. Skontaktuj mnie z jego uczniami. Na pewno wyjaśnił im tajemnicę królestwa bardziej zrozumiale. W sercu noszę płomień. Skłonny jestem uwierzyć, jeśli będę miał dowody, że to wszystko prawda.

— Jego uczniowie, a pozostało jedenastu, są przerażeni i ogromnie rozczarowani. To prości ludzie, jeszcze młodzi, i niewiele rozumieją. Za jego życia spierali się między sobą na temat jego nauk, przydzielali sobie miejsca w królestwie i kłócili się o nie. Żeby nie wiem co on im mówił, aż do samego końca wierzyli w królestwo ziemskie. Jeszcze ostatniego wieczora, zanim go w nocy aresztowano, zgodnie ze zwyczajem czekających na pustyni jadł razem z nimi jagnię i zapewniał, że już więcej nie wypije wina, aż dopiero razem z nimi w nowym Królestwie. Sądzę, że z uwagi na tę obietnicę nie zgodził się przed ukrzyżowaniem przyjąć wina ze środkami odurzającymi. Naiwni uczniowie uwierzyli, że zawezwie z nieba legion aniołów, którzy będą walczyć w jego obronie i założą królestwo, którym będą rządzić, jak teraz rządzą wielkie rody Izraela. Z tego wynika, że jego nauki jeszcze w nich nie dojrzały. Oni są tak prości, że nie wiedzą, co mają myśleć, chociaż byli przy wszystkich jego czynach. Gdybyś ich spytał, na pewno pogubiłbyś się w ich opowiadaniach jeszcze bardziej, niż oni sami są pogubieni.

— Dlaczego więc wybrał na uczniów tylko prostaków? Jeśli faktycznie był tak wielkim cudotwórcą, jak mi opowiadano, to przecież mógł sobie wybrać ludzi uczonych.

— Dotykasz sprawy, która mnie boli — przyznał Nikodem.

— Dotykasz jądra mego rozczarowania. Nie zapraszał uczonych, tylko biednych, prostych i obarczonych troskami. Podobno raz, gdy przemawiał do wielkiego tłumu, powiedział, że błogosławieni są prości, albowiem ich będzie królestwo. Mądrym i bogatym wszystko utrudniał. I ja mógłbym zostać jego uczniem, ale musiałbym zrezygnować ze stanowiska w radzie, nawet z rodziny, a także sprzedać warsztat garncarski i rozdać pieniądze ubogim. Stawiał takie twarde warunki, aby nam uniemożliwić przyłączenie się do niego. Miał jednak kilku przyjaciół wśród zamożnych i wpływowych ludzi, którzy po cichu go wspierali. W rzeczy samej miał kontakty, o których nie wiedzieli jego uczniowie, bo on nie przywiązywał do tego wagi.

— Mimo wszystko chciałbym spotkać któregoś z tych prostych uczniów — powtórzyłem z uporem.

— Wiem, że nie jesteś rzymskim szpiegiem — odparł ostro Nikodem — lecz oni są teraz w takim szoku, że by ci nie uwierzyli. I ty też byś im nie wierzył, gdybyś zobaczył, jacy to prostacy. Gdyby ci powiedzieli, że zobaczyli zmartwychwstałego Jezusa w zamkniętym na cztery spusty pokoju, powątpiewałbyś jeszcze bardziej i myślał, że rozczarowani spreparowali całą historyjkę w obronie własnego honoru. — Nikodem smutno się uśmiechnął. — Przecież nie uwierzyli kobietom, które wróciły od grobu i powiedziały, że jest pusty. Ci, którzy przypadkowo nie byli razem z innymi wczoraj wieczorem w zamkniętym pokoju, nie uwierzyli swoim towarzyszom. Więc jakże ty mógłbyś uwierzyć?

Usiłowałem nakłonić Nikodema, aby wskazał ukryte miejsce spotkań uczniów Jezusa albo zaprowadził mnie do nich, ale widocznie nie w pełni mi ufał, bo bezwarunkowo odmówił. Zauważyłem, że zaczyna żałować nawet swej zgody na moją wizytę, więc poprosiłem szybko:

— Poradz mi, co mógłbym zrobić, bo nie potrafię tylko czekać, aż coś się wydarzy.

— Siewca już dokonał siewu. Jeśli posiał ziarno w tobie, zrobisz najmądrzej pokornie czekając. Możesz też wyruszyć w pielgrzymkę po Galilei, iść drogami, którymi on wędrował, wyszukiwać cichych i pytać, co każdy z nich zapamiętał z jego nauk. Możesz rozmawiać z ludźmi uzdrowionymi przez niego, a upewnisz się, że tylko syn Bbga mógł czynić takie cuda, jakie on czynił za życia.

— Jakże mam poznać cichych? — spytałem, bo nie byłem zachwycony jego propozycją. — Galilea leży daleko, a ja jestem cudzoziemcem.

Nikodem namyślał się długo, ale podał mi hasło:

— Pytaj o drogę w czasie wędrówki. Jeśli ktoś potrząśnie głową i powie: Jest wiele dróg i wiele z nich wiedzie na manowce, a ja nie chcę ciebie w błąd wprowadzić, wówczas odpowiedz: Jest tylko jedna droga, poradź mi, bo jestem cichy i pokornego serca. Wtedy zaufają ci. Zresztą nie możesz im zaszkodzić, choćbyś doniósł na nich, bo to spokojni ludzie, płacą podatki i nikomu nie czynią nic złego.

— Dziękuję za radę, zachowam ją w pamięci. On chyba czynił też cuda w Jeruzalem? Nie chciałbym na razie wyjeżdżać z miasta, bo może się tu coś jeszcze wydarzyć.

Nikodem wyraźnie był już mną zmęczony, ale powiedział:

— Tutaj możesz spotkać kobietę złej reputacji, z której wypędził szatana. W odległości krótkiego spaceru za miastem leży wioska, nazywa się Betania. Mieszka tam rodzeństwo, u którego się zatrzymywał. Jednej z siostr pozwolił siadać u swoich nóg i słuchać nauk, choć to tylko kobieta. Ich brata obudził z martwych, a zwłoki już cztery dni leżały w grobie i jak powiadają, cuchnęły. Idź, spotkaj tego Łazarza. W Betanii znajdziesz wystarczająco wiele cudów. Przyjmą cię, jeśli powołasz się na mnie.

— Czy ten człowiek naprawdę umarł? — spytałem podejrzliwie.

— Naprawdę! — zawołał zniecierpliwiony Nikodem. — Wiem równie dobrze jak ty, że zdarzają się pozorne śmierci. Są tacy, którzy ku zgrozie wszystkich podnoszą się na marach, siadają i wywracają oczyma, gdy domownicy podnoszą lament. Opowiadają też o takich nieboszczykach, którzy budzili się z letargu dopiero w grobie, wydrapywali paznokcie i dusili się od krzyku, bo nie byli w stanie odwalić kamienia grobowego. Zgodnie z naszym prawem zwłoki należy pochować tego samego dnia, w którym nastąpiła śmierć, więc takie pomyłki są możliwe. Ziemskiej wiedzy mam pod dostatkiem i nie musisz mi udzielać porad. Dlaczego z góry zakładasz wątpliwości? — robił mi wymówki. — Co chcesz przez to osiągnąć? Czytam w twoich myślach: kiedy usłyszałeś, że ta rodzina była z nim zaprzyjaźniona, doszedłeś do wniosku, że z łatwością mogli uknuć intrygę dla umocnienia wiary wątpliwych i pogrążonego w letargu Łazarza położyli do grobu przed przybyciem nauczyciela. Ale co by na tym zyskali? Najlepiej zobacz ich wszystkich na własne oczy, Łazarza i jego dwie siostry. I wtedy osądź, czy mówią prawdę.

Nikodem niewątpliwie miał rację. Skoro niczego więcej nie mogłem się dowiedzieć, podziękowałem i spytałem, ile jestem dłużny za naukę. Gwałtownie odepchnął pieniądze i rzekł z pogardą:

— Nie jestem aktorem, który uciekł z cyrku i dla zdobycia środków utrzymania uczy dzieci czytać, jak to ponoć w Rzymie jest w zwyczaju. Nauczyciele Izraela nie pobierają opłat. Kto zamierza zostać nauczycielem, musi mieć jakiś zawód, żeby móc się utrzymać z pracy swoich rąk. Dlatego jestem garncarzem, jak przede mną był nim mój ojciec. Jeśli chcesz, daj te pieniądze ubogim. To przyniesie ci błogosławieństwo.

Sprowadził mnie na dół i z podwórca powiódł jeszcze do pokoju, ażeby w świetle lampy zobaczył, iż nie jest byle kim, chociaż uprawia zawód garncarza; miał jeszcze nieco ludzkiej próżności! Znalazłem się w pełnym drogich przedmiotów mieszkaniu zamożnego człowieka, którego szaty uszyto z najlepszego materiału. Uważnie przyglądałem się jego twarzy, kiedy w końcu ją ujrzałem w świetle. Miał dziecięcą pucołowatą twarz, długą siwą brodę i krótkowzroczne od wczytywania się w księgi oczy. Delikatne dłonie świadczyły, że od lat nie tknął gliny, choć zapewne znał się na garncarstwie.

On również badawczo wpatrywał się w moje oblicze, jakby chciał je dobrze

zapamiętać, a po chwili powiedział:

— W twojej twarzy nie widzę nic złego. Wzrok masz wprawdzie niespokojny, ale nie są to oczy sceptyka ani złoceńcy. Zaczynaj zapuszczać brodę, to łatwiej będzie uwierzyć, że poszukujesz Boga.

Sam o tym pomyślałem i od kilku dni nie goliłem się, ale w tym czasie wyrosła mi tylko czarna szczecina. Nikodem odprowadził mnie do drzwi, które po moim wyjściu osobiście zamknął na zasuwę. Nie chciał widocznie, aby służba mnie oglądała.

Zanim oczy przywykły znów do ciemności, potykałem się o kamienne płyty ulicy. Było już późno, lampy paliły się jeszcze tylko na skrzyżowaniach dużych ulic, ale dobrze utrwaliłem sobie w pamięci drogę i byłem pewien, że trafię do mojej nowej kwatery, do której miałem szmat drogi. Z górnej części miasta dotarłem już do przedmieścia nie widziawszy nikogo poza kilkoma żydowskimi policjantami. Gdy byłem przy murach miasta, niespodziewanie tuż obok siebie usłyszałem nieśmiały głos kobiety, która pytała:

— Co słyhać, cudzoziemcze?

Drgnąłem zaskoczony, ale odpowiedziałem uprzejmie:

— Co u ciebie słyhać, niewiasto?

— Jestem twoją sługą, rozkaż tylko, a uczynię, co zechcesz — rzekła pokornie kobieta, klękając przede mną. Domyśliłem się, jaką profesję uprawia, i odtrąciłem ją:

— Idź w pokoju, niczego od ciebie nie chcę.

Ale ona była uparta, uczepiła się połów mego płaszcza i mówiła proszącym tonem:

— Jestem biedna i nie mam pokoju, do którego mogłabym cię zaprowadzić, ale tutaj zaraz obok jest nisza w murze, nikt nas nie będzie widział.

Zwyczajem żydowskich kobiet szczerze owijała się płaszczem i zakrywała głowę, nie miałem więc pojęcia, jak wygląda i ile ma lat. Ale jej ubóstwo poruszyło mnie. Przypomniałem sobie słowa Nikodema i dałem jej tyle pieniędzy, ile moim zdaniem wyniosłaby należność za jego nauki i poradę.

W pierwszej chwili nie uwierzyła, że niczego od niej nie chcę. Kiedy jeszcze raz ją o tym zapewniłem, chciała całować mnie po nogach i wołała:

— Nikt jeszcze w życiu nie dał mi podarunku, niczego w zamian nie żądając. Niechaj Bóg Izraela pobłogosławi cię, choć nie jestem godna nikogo błogosławić, i nawet te pieniądze nie są godne, bym je złożyła na ofiarę w Świątyni. Powiedz swoje imię, abym wiedziała, za kogo mam się modlić.

Nie miałem ochoty wymieniać swojego imienia kobiecie jej profesji, nie chciałem też jej obrażać. Powiedziałem więc:

— Nazywam się Marek. Jestem w Jeruzalem obcy.

— Imię twojej sługi brzmi Maria. W Izraelu Marii jest więcej niż ziaren w owocu granatu. Dlatego powiem ci, że jestem Marią z Beeret — to taka wioska przy dużej studni

— ażebyś mógł odróżnić mnie od innych Marii, które z pewnością spotkasz na swojej drodze, skoro jesteś taki życzliwy.

— Nie jestem życzliwy — zaprzeczyłem, chcąc się od niej uwolnić.

— Spłaciłem tylko pewien dług i nie trzeba mi za to dziękować. Idź w pokoju, co i ja uczynię, i nie musimy o sobie pamiętać. Próbowała w ciemności zajrzeć mi w twarz i prosiła:

— Nie gardź modlitwą ubogiej. Może kiedyś odwdzięczę się przysługą, której się nie będziesz spodziewał.

— Nic mi nie jesteś dłużna — powtórzyłem. — Nie proszę o twoje usługi, tylko szukam drogi, ale wątpię, byś ty mi ją mogła wskazać.

— Pytasz o drogę, cudzoziemcze? — odrzekła spiesźnie. — Dróg jest wiele, często prowadzą na manowce. Na pewno zawiodłabym tam ciebie, gdybym usiłowała cię prowadzić.

To nie mogła być przypadkowa odpowiedź. Poczułem się głęboko rozczerowany, że cisi tej ziemi należą, jak widać, do najbardziej wzgardzonych i odtrąconych. Przypomniałem sobie jednak przypowieść o myszy, która uwolniła lwa, przegryzając krępującą go linę, i rzekłem:

— Powiedziano mi, że jest tylko jedna droga. Chciałbym być również cichy i pokornego serca, gdybym potrafił.

Wyciągnęła rękę, dotknęła mojej twarzy i wyczuła ostry zarost na brodzie. Bardzo chciałem być pokorny, ale jej dotknięcie było mi wstrętne. Z pewnością wzdrygnąłem się, bo natychmiast się cofnęła, mówiąc pokornie:

— Nie zdrowi potrzebują uzdrowiciela, lecz chorzy. Nie ulitowałeś się nade mną, tylko chciałeś spłacić swój dług, który był ci ciężarem. Wątpię, żebyś był tak chory, aby w swym sercu naprawdę pragnąć wejść na tę drogę. Polecono mi wybadanie twoich zamiarów. Gdybyś poszedł za mną do niszy, oboje odeszlibyśmy w podłych nastrojach, ale teraz mogę dać ci nadzieję, jeśli szczerze pytasz o drogę.

— Jestem szczery i nie życzę nikomu źle — zapewniłem. — Chcę tylko znać prawdę o pewnej sprawie, ale nie sądzę, abyś coś o tym wiedziała.

— Nie lekceważ kobiecej wiedzy. Mądrość niewiasty może w królestwie więcej znaczyć niż mądrość mężczyzny, choćby była najbardziej wzgardzoną kobietą Izraela. Intuicja powiada mi, że te dni są dniami oczekiwania. Nastąpi czas, w którym siostra spotka siostrę nie gardząc nią, a brat spotka brata i nie będzie go oskarżał. Dlatego moje myśli są jaśniejsze niż dawniej, chociaż jestem kobietą upadłą.

W jej głosie była taka radość oczekiwania, że musiałem uwierzyć, iż ma jakieś wiadomości.

— Słuchałem dzisiaj wieczorem nauczyciela Izraela, lecz on nie był pewny siebie, raczej słabo wierzył i jego nauka ostudziła moje myśli. Czyżbyś ty, Mario z Beeret, nauczwała lepiej?

Kiedy to powiedziałem, pomyślałem, że może ta Maria nie jest wcale taką złą kobietą, za jaką siebie przedstawia. Może rzeczywiście ktoś ją wysłał, żeby mnie wypróbować, ktoś, kto wiedział, że po drodze do nowego mieszkania muszę przejść przez tę właśnie bramę.

— Jaką mi dasz nadzieję? — spytałem.

— Czy znasz Bramę Wodną? — odpowiedziała pytaniem.

— Nie znam, ale na pewno łatwo ją znajdę, jeśli będzie trzeba.

— Wyjdiesz przez nią do doliny Cedronu i na drogę do Jerycha. Być może jest to droga, której szukasz. A jeśli ta nie okaże się właściwa, to któregoś dnia, kiedy urosnie ci już broda, wróc do Bramy Wodnej i rozglądaj się dokoła. Być może ujrysz mężczyznę wracającego od źródła, który będzie niósł dzban wody. Idź za nim. Może on odpowie na twoje pytanie. Jeżeli nie odpowie, nic na to nie poradzę.

— Noszenie wody nie należy do mężczyzn — rzekłem podejrzliwie. — Zarówno w Jeruzalem, jak i gdzie indziej wodę noszą kobiety.

— Po tym właśnie go rozpoznasz — zapewniła Maria z Beeret.

— Ale jeśli ci nie odpowie, nie nalegaj, tylko wróc innego dnia i próbuj od nowa. Innej rady nie mogę ci udzielić.

— Jeśli twoja rada okaże się skuteczna, czego pragnę, będę znów twoim dłużnikiem, Mario.

— Przeciwnie — odparła żywo. — To ja spłacam swój dług, gdy mogę wskazać komuś drogę. Jeśli uznasz swój dług i będzie ci ciężki, daj pieniądze ubogim, a o mnie zapomnij. Nie szukaj mnie przy tej niszy w murze, bo nigdy tu już nie wrócę.

Rozstaliśmy się i nie miałem najmniejszego pojęcia, jak wygląda, nie mógłbym więc jej rozpoznać w świetle dziennym. Poznałbym natomiast jej radosny głos, gdybym go jeszcze kiedyś usłyszał. Wróciłem do mego pokoju. Długo rozmyślałem o ostatnich wydarzeniach i zaczęło mnie gniewać żydowskie zamięłowanie do tajemniczości. Nikodem na pewno wiedział więcej, niż powiedział. Ogarnęło mnie wrażenie, iż jestem poddany czyjejś kontroli i że ktoś — może uczniowie zmartwychwstałego króla, a może żydowskie przyjaciółki Klaudii Prokuli — chcą czegoś ode mnie. Albo sądzą, że wiem o czymś, czego oni dokładnie nie wiedzą, ale nie chcą tego przede mną ujawnić, bo jestem cudzoziemcem. Choć i to prawda, że mają istotne powody do wystrzegania się obcych, ponieważ ich nauczyciela wyklęto, skazano i ukrzyżowano. Dręczyła mnie też myśl o ogrodniku, którego spotkałem przy grobie. Powiedział, że mnie zna. Więc i ja powinienem go znać, a tak nie jest. Postanowiłem jednak nie wracać do tego ogrodu; pewien jestem, że już więcej go tam nie spotkam.

LIST PIĄTY

Marek do Tulii.

Opowiem Ci o wyprawie do Betanii.

Broda nieźle mi podrosła. Kiedy włożyłem na siebie prostą tunikę i przybrudzony płaszcz podróżny, przypominałem raczej rabusia niż cywilizowanego Rzymianina. Od mojego syryjskiego gospodarza dostałem na drogę chleb, soloną rybę i kwaśne wino i przez miasto udałem się do Bramy Wodnej. Po ominięciu sadzawki Siloe zszedłem do doliny Cedronu i trzymałem się drogi przy nabrzeżu wysychającego potoku. Po lewej stronie wznosił się na górze mur miasta, a po prawej w zboczu góry znajdowało się wiele grobowców. Stok porośnięty był skarłowaciałymi ze starości drzewkami oliwnymi; minąłem wysoką górę, na której stokach rósł cienisty ciemnozielony gaj.

Powietrze było świeże i ciepłe, a niebo bezchmurne. Naprzeciw szły objuczone drewnem i węglem drzewnym osły i chłopci dźwigający kosze. Maszerowałem w wesołym nastroju, czułem się jeszcze młody i silny, otwarty na świat i chłonny. Wysilek fizyczny dobrze mi zrobił i rozproszył ponure myśli. Doszedłem do wniosku, że żyję w czasach, kiedy świat jest pełen zaskakujących oczekiwań i nikt nie wie, co się wydarzy. Ja, cudzoziemiec, mogę być równie blisko rozwiązania zagadki jak ci, którzy tu żyją stale. Ziemia przestała być tą samą ziemią i niebo jest inne niż dotychczas; wszystko wydawało mi się prostsze.

Betanię ujrzałem z daleka. Świątecznie wybielone wapnem ściany niskich domów wyzierały zza cienia drzew. Kiedy podszedłem bliżej, dostrzegłem mężczyznę, okrytego opończą ziemistej barwy. Siedział bez ruchu w cieniu drzewa figowego. Zobaczyłem go niespodziewanie, aż wzdrygnąłem się i zatrzymałem.

— Pokój tobie — zawołałem. — Czy ta wieś nazywa się Betania?

Odwrócił ku mnie wychudłą twarz, a jego szkliste oczy patrzyły tak dziwnie, że w pierwszej chwili uznałem go za ślepcę. Miał twarz młodego jeszcze mężczyzny, ale siwe włosy.

— Pokój również tobie. Czy zabłądziłeś, cudzoziemcze?

— Dróg jest wiele i wiele błędnych — rzekłem pospiesznie i nadzieja zabłysła w moim sercu. — Może umiesz wyprowadzić mnie na dobrą drogę?

— Czy to Nikodem cię tu przysłał? Ja jestem Łazarz. Czego chcesz ode mnie?

Seplenił, mówił jakby z trudem. Zboczyłem ze ścieżki i usiadłem obok niego, lecz w pewnym oddaleniu. Miły był ten wypoczynek w cieniu drzewa figowego. Starłem się nie przyglądać mu zbyt natarczywie, zwyczaj żydowski każe bowiem patrzeć w ziemię, gdy się spotka kogoś obcego. Według Żydów oglądanie drugiego człowieka twarzą w twarz jest dowodem braku ogłady.

Chyba zdziwiło go, że nie zacząłem od razu mówić, gdy tak siedzieliśmy milcząc, a ja wachlowałem twarz połamami swego płaszcza, bo nieźle spociłem się w marszu, i powiedział:

— Zapewne wiesz, że arcykapłani postanowili mnie także zabić? Jak widzisz, nie ukrywam się, mieszkam we własnym domu. Niech przyjdą i zabiją to moje ciało, jeśli będą mogli. Nie boję się ich i ciebie się nie boję. Mnie nikt nie będzie mógł zabić, bo ja nigdy nie umrę.

Te dziwne słowa, wypowiedziane groźnym głosem, i szklisty wzrok tak mnie przeraziły, że wydało mi się, jakoby szło od niego tchnienie grobu. Dlatego zawołałem:

— Czyś oszalał? Żaden człowiek nie może twierdzić, że nigdy nie umrze.

— Może już nie jestem człowiekiem? To prawda, mam ciało. Jem, piję i mówię. Ale ten świat nie jest moim prawdziwym światem. Niczego bym nie stracił, gdyby to ciało przepadło.

Było w nim coś tak niesamowitego, że wierzyłem jego słowom, więc rzekłem:

— Mówiono mi, że ten, który został ukrzyżowany jako król żydowski, obudził cię z martwych. Czy to prawda?

— Czemu pytasz, czy to prawda? Przecież siedzisz tu i widzisz mnie. Zmarłem śmiercią naturalną i cztery dni leżałem w grobie owinięty w płótna, aż on przyszedł, kazał zdjąć kamień z grobu i zawołał do mnie: „Łazarzu, wstań!” To się odbyło tak zwyczajnie.

— Mówiąc to wcale nie był wesoły. Przeciwnie. Jego głos był pełen sarkazmu. Ponieważ się nie odezwałem, ciągnął: — Wszystko to jest winą moich sióstr i nie mogę im darować, że jedna przez drugą słały do niego wiadomości i zmusiły go, żeby wrócił do Judei. Gdybym nie zachorował i nie umarł, może by już nigdy nie przyszedł tu i nie dostał się w ręce swych wrogów? Przeze mnie płakał, zanim wywołał mnie z grobu. Sądzę, że nikt, kto był po tamtej stronie, nie może być już szczęśliwy. Niepotrzebnie płakał przeze mnie. On, Jezus, był chyba synem Boga, który miał przyjść na świat, chociaż ja wierzyłem w to inaczej niż obydwie moje siostry. Nie wiem, dlaczego mnie tak umiłował. Nie miał po temu żadnego powodu.

Dalej siedzieliśmy w milczeniu i patrzyli na siebie. Nie wiedziałem, o co by go jeszcze spytać, tak był mi obcy w tej swojej szorstkości i sarkazmie. W końcu ostrożnie powiedziałem:

— Ale chyba wierzysz, że jest mesjaszem?

— On jest więcej niż mesjaszem — odparł z głębokim przekonaniem. — Tego właśnie w nim się boję. On jest czymś więcej, niż prorocy potrafili przepowiedzieć. Chyba słyszałeś, że trzeciego dnia wstał z grobu?

— Słyszałem. Dlatego przybyłem do ciebie, żeby o nim coś więcej usłyszeć.

— To jest absolutnie jasne i zrozumiałe samo przez się. Jakaż siła mogłaby utrzymać go w grobie? Nie musiałem oglądać pustego grobu, jak moje siostry. Pewnie, że wierzę. Ale powiem ci, cudzoziemcze, że z całego serca niczego tak gorąco nie pragnę, jak tylko tego, żeby na tym świecie więcej mi się nie objawił. Nie przeżyłbym spotkania z nim. Nie, nie na tym świecie. Dopiero w jego królestwie.

— Jakie jest to jego królestwo? — spytałem z zaciekawiony.

— Czemu nie zapytasz wprost, jakie jest królestwo umarłych? — rzekł, patrząc na mnie surowo. — Zapewniam cię: wszędzie tutaj jest śmierć, której doświadczyłem. Ten świat jest królestwem śmierci. Moje ciało jest królestwem śmierci. Twoje ciało jest królestwem śmierci. A przez niego jego królestwo przyszło na ziemię. Dlatego jego królestwo jest tutaj, tu i wszędzie. — Schylił głowę i dodał: — Ale lepiej nie wierz w to, co mówię, bo mogłem coś pokręcić. Wszystko jest pokręcone. Nie daj się tylko zmylić moim pesymizmem. Droga jest słuszna, to pewne. Jeśli nią pójdziesz, nie zbłądzisz. — Wstał i strzepnął opończę. — Zapewne chcesz spotkać moje siostry? Zaprowadzę cię do nich. Nie gniewaj się, że później się oddalę. Nie lubię przebywać w towarzystwie ludzi.

Czyżby czuł się lepiej jako nieboszczyk niż żywy? Poruszał się z trudem, jakby nie w pełni władał członkami. Gdyby ktoś spotkał go nic o nim nie wiedząc, natychmiast zwróciłby nań uwagę. Nie zaprowadził mnie wprost do wioski, tylko przeszedł wzdłuż zbrocza i pokazał wykuty w kamieniu grób, z którego Jezus go wywołał.

Dom Łazarza i jego siostr okazał się zamożnym wiejskim gospodarstwem. W czasie przechadzki Łazarz pokazał mi kilka swoich osiołków na pastwisku, winnicę i sad owocowy; wokół domu stadko drobiu skubało trawę. Zachowywał się tak, jakby chciał popisać się swoim bogactwem. Wszystko było realne, ciche i przytulne; aż trudno było przyjąć do wiadomości, że oto idę obok człowieka, który przynajmniej sam wierzył, iż wskrzeszono go z martwych. Ale jego wskrzeszenie nie było dla mnie takie istotne, wiedziałem już o tym. Najważniejsza była odpowiedź na pytanie, czy Jezus Nazarejczyk był naprawdę synem Bożym i czy wstał z grobu. Jeśli tak było, to oczywiście mógł wskrzesić Łazarza. Gdy tak rozmyślałem, jednocześnie pytałem sam siebie, czy jestem naprawdę tym samym Markiem, który uczył się w szkole na Rodos, a potem używał życia na gorących ulicach Rzymu; który wśród różnych krzewów w Bajach rozpaczliwie kochał się w cudzej żonie, a w Aleksandrii na zmianę studiował przepowiednie albo do świtu włóczył się w podejrzanym towarzystwie.

Co mnie opętało? Czy to jakieś żydowskie czary, że w zakurczonym płaszczu, śmierzdzący potem, biegam po żydowskiej wsi między gdakającymi kurami, żeby potwierdzić wskrzeszenie umarłego, uczynione cuda i istnienie Boga, który przyszedł na świat człowiekiem, zmarł i zmartwychwstał, aby zmienić ów świat? Bo jeśli to prawda, jeśli tak się stało, to świat nie może być taki sam jak dotychczas.

Oprowadzany przez Łazarza zająrzałem do środka ciemnego pomieszczenia, w którym stały dzbany, żłoby dla bydła i pełne worki. Powiódł mnie przed dom i poprosił, żebym usiadł na kamiennej ławeczce. Sam stał. Przywołał siostry, które wyszły i zgodnie z obyczajem zakryły twarze, opuszczając wzrok na ziemię.

— To jest moja siostra Marta, a to Maria. Pytaj je, o co chcesz — rzekł, po czym odszedł i więcej się już nie pokazał. Przywitałem się z niewiastami i poprosiłem:

— Chciałbym usłyszeć o nauczycielu. Wiadomo mi, że był waszym gościem, a nawet wskrzesił waszego brata.

Speszona kobieta spoglądała na siebie, zasłaniając usta połami szat. W końcu Marta, starsza, odważyła się odezwać:

Ale on nikogo nie oskarżał! Przeciwnie. Zdarzało się, że nawet grzesznym mówił: „Twoje grzechy są ci odpuszczone”. Dobrze zrozumiałeś; czegoś takiego człowiek nie może powiedzieć drugiemu. A on powiedział. Czy to nie świadczy o tym, że był czymś więcej niż człowiekiem?

Szczerze pragnąłem zrozumieć, lecz niczego nie pojmowałem.

— Sam widziałem, jak cierpiał i umierał na krzyżu — mówiłem.

— Cierpiał męki ludzkiej śmierci. Pot ściekał z niego, gdy wił się w konwulsjach na krzyżu, krew i woda wypłynęły z jego serca przebitego włócznią przez legionistę. Nie zstąpił z krzyża. Nie przyszli aniołowie, aby ukarać jego oprawców.

Maria zakryła twarz ręką i wybuchnęła płaczem. Marta patrzyła na mnie z wyrzutem. Wiem, że okazałem brak serca, tak realistycznie opisując cierpienie Mistrza. Ale chciałem dotrzeć do sedna rzeczy.

— Przyszedł na świat jako człowiek i jako człowiek żył pośród nas — szepnęła Maria. — Ale dokonywał czynów, których człowiek nie potrafi dokonać. Odpuszczał grzechy tym, którzy w niego uwierzyli. Z martwych powstał, abyśmy nie musieli się o niego martwić. Ale to wszystko jest jeszcze okryte tajemnicą, której nie umiemy wyjaśnić.

— Chcesz, abym uwierzył, że był równocześnie człowiekiem i Bogiem? — spytałem. — Nie mogę w to uwierzyć. Mógłbym zrozumieć Boga, który uczestniczy we wszystkich wydarzeniach i jest częścią każdego z nas. Ale Bóg to Bóg, a człowiek to człowiek.

— Na próżno chcesz mnie wprowadzić w pomieszczenie — zaprotestowała Maria. — Wiem to, co wiem, i czuję to, co czuję. Ty też się domyślasz, chociaż nie rozumiesz. Inaczej nie przyszedłbyś do nas pytać o drogę. Jak możesz rozumieć, skoro i my nie rozumiemy? Wierzymy tylko, bo nie możemy nie wierzyć.

— Wierzycie, boście go kochali — powiedziałem cierpko. — Z pewnością był niezwykłym człowiekiem i wielkim nauczycielem. Ale trudno go kochać jedynie na podstawie tego, co się usłyszało.

— Ale masz szczere chęci — powiedziała Maria. — Gdyby nie to, aniby cię nie

wysłuchała, ani nie odpowiadała na twoje pytania. I dlatego jeszcze coś ci powiem. Wpajano nam treść Pisma: „Kochaj Boga ze wszystkiego serca twego, a bliźniego swego jak siebie samego”. W nim miłujemy naszego Boga, który go wysłał.

Myśl, że Boga w ogóle można miłować, była dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Mogę zrozumieć bojaźń, strach i szacunek, ale nie miłość! Potrząsnąłem głową. Ta nauka przeszła moje oczekiwania.

Moim zdaniem jest absolutnym nonsensem kochać bliźniego jak siebie samego, ponieważ ludzie bywają dobrzy i zli.

— Kto jest moim bliźnim? — spytałem z niedowierzaniem.

— On nauczał — wyjaśniła Maria — że bliźnim jest każdy człowiek, nawet Samarytanin, którego my, dzieci Izraela, uważamy za nieczystego. Złem nie można odpowiadać na zło. Jeśli ktoś uderzy cię w policzek, odwróć się nadstawiając mu drugi.

— Dość już tego! — podniosłem obydwie ręce w proteście.

— Nigdy nie słyszałem głupszej nauki! Przecież człowiek nie może jej realizować! Ale ty, piękna niewiasto, nauczasz mnie lepiej niż nauczyciel Izraela, Nikodem.

Maria opuściła wzrok na ziemię, a jej ręce bezsilnie opadły. Cicho powiedziała:

— Jeszcze na krzyżu wzywał swego Ojca, by przebaczył tym, którzy go prześladowali i ukrzyżowali. Mówili to ludzie, którzy sami słyszeli. — Po chwili szepnęła pokornie: — Nie nazywaj mnie piękną. Zasmucasz moje serce.

— O tak. — Marta była innego zdania. — Moja siostra naprawdę jest piękna. Miała wielu starających się. Po śmierci rodziców zostałyśmy pod opieką Łazarza, toteż kiedy Jezus wskrzesił naszego brata, był to czyn prawdziwie miłosierny. Inaczej byłybyśmy bezradne. Z początku baliśmy się, bo uczeni w Piśmie grozili, że przyjdą z miasta i ukamienują Łazarza. Ale teraz chyba tego nie zrobią, skoro już zamordowali Jezusa. Żebym nie wiem co robiła, nie potrafię żyć bez opiekuna, choć on tego nie pochwałał. Nie chcę nawet wspominać mego cierpienia, gdy Jezus dobrowolnie poszedł na śmierć do Jeruzalem.

Od tych sprzecznych z rozumem nauk, które wykladała Maria, wprost wrzało mi w głowie. Zaiste nie pasowały do świata. Sporo usłyszawszy, znacznie więcej, niż byłem w stanie pojąć, uznałem, że chyba lepiej zawrócić z tej absurdalnej drogi. Jak drzazga utkwilo w mej pamięci polecenie, że każdego idiotę czy złoczyńcę mam uważać za bliźniego i każdy może mnie obrazić, a ja nie mam prawa nawet palcem kiwnąć w swojej obronie.

— Przestańmy się smucić — powiedziała Maria. — Ty też się nie smuć, cudzoziemcze. Zaczekajmy, coś się jeszcze wydarzy. On sam powiedział, że bez wiedzy jego Ojca nawet wróbel nie spadnie z gałęzi. Po co się smucić?!

Jej słowa brzmiały przekonująco. Dawniej podejrzliwie, choć chętnie, obserwowałem tylko znaki, ale teraz byłem całkowicie pewny, że nie muszę buntować się i usiłować natychmiast pojąć prawdę. Wszystko trzeba stopniowo wyjaśnić, aż spokojnie wejdem na drogę, którą będę szedł.

— Sądzę, że już za długo wam przeszkadzałem — powiedziałem podnosząc się z ławeczki. — Dziękuję, żeście tak chętnie mnie wysłuchały i udzieliły wyjaśnień. Pokój wam!

Marta zerwała się, klasnęła w dłonie i zawołała:

— Ależ nie odchodź! Jakże wyjdiesz stąd głodny i spragniony?!

Mimo mego sprzeciwu weszła do domu, by przygotować coś do jedzenia. Tymczasem, pogrążony w myślach, spocząłem znowu na kamiennej ławce, a Maria usiadła w pobliżu na ziemi. Nie rozmawialiśmy, lecz milczenie nie przytłaczało jak wówczas, gdy ludzie nie mają sobie nic do powiedzenia. Po prostu Maria podała mi tak wiele informacji, że więcej nie mógłbym już przyjąć. Trochę zrozumiałem, resztę muszę stopniowo przemyśleć, a dalsza rozmowa nic tu nie da. Maria siedziała nie opodal promieniując jakąś światłością, przy której dobrze się czułem.

Wróciła Marta. Niosła chleb, przyprawioną pikantnymi ziołami oliwę, jaja, misę posiekanych warzyw, soloną baraninę i gęsty miód winogronowy. Wszystko to postawiła na kamiennej ławie, połała mi wodę na ręce i pobłogosławiła posiłek. Ani ona, ani jej siostra nie tknęły jedzenia, także Łazarz nie zjawił się, żeby zjeść ze mną. Poczulem się odtrącony mimo całej okazywanej mi dotychczas sympatii.

Wprawdzie nie wędrowałem do Betanii zbyt długo, ale gdy zobaczyłem te wszystkie smakołyki, poczułem głód i zachęcany przez Martę zabrałem się do jedzenia. Przez chwilę zastanawiałem się, czy jeśli coś zostawię, to wyrzucą tę resztę żywności, strefionej dotknięciem ręki człowieka nie obrzezanego. Przez uprzejmość więc jadłem aż do przesytu. Potem napiłem się wody, którą Marta doprawiła winem, i wtedy ogarnęła mnie przemożna senność. Było południe.

— Nie wracaj do miasta w najgorętszą porę — rzekła życzliwie Marta — tylko przyjmij naszą gościnę, zostań i odpocznij.

Odczuwałem ogromne znużenie; nie wiem, czy bardziej zmęczenie ciała czy ducha. Obydwie kobiety były mi tak przychylnie, że wcale nie miałem ochoty się żegnać. Oczywiście, mogłem to zrobić i odejść, ale czułem ociężałość całego ciała i sama myśl o rozstaniu była mi przykra. W pewnej chwili przeleciała mi przez głowę myśl, że może Marta dołała do wina wywaru z ziół oszałamiających. Po co jednak miałyby to robić? Zresztą nie wyczułem w winie żadnego obcego smaku.

— Do Jeruzalem nie jest daleko — powiedziałem — ale jeśli pozwolicie, zostanę, żeby odpocząć. Tak dobrze tu się czuję...

Obydwie uśmiechnęły się tajemniczo, jak gdyby lepiej ode mnie wiedziały, że wyraziłem prawdę. Ta ich skryta wiedza sprawiła, że przez chwilę wydały mi się kimś więcej niż istotami ludzkimi. To nie znaczy, że się ich obawiałem. Czułem się raczej jak dziecko, które długo błądziło, a oto odnalazło dom.

Razem poprowadziły mnie na nakryte pergolą winorośli wewnętrzne podwórko. Jak przez sen zauważyłem, że ich dom jest dużo większy, niż sądziłem. Składał się przynajmniej z czterech wzniesionych w różnych latach budynków, skupionych wokół tego dziedzińca. Wskazały mi właściwe schody, weszły za mną i zaprowadziły do

gościnnego pokoju, wychodzącego na płaski dach. Pomieszczenie było małe i chłodne. Na podłodze leżał dywan, a niskie łóże pachniało cynamonem. Powiedziały razem:

— Połóż się i prześpij. W tym pokoju często odpoczywał ten, o którym mówiłyśmy. Stąd wyruszał w góry na modły. Przychodził i odchodził, kiedy chciał. Czyń tak samo.

W pokoju znajdowały się naczynia z wodą i płótna. Nie zważając na mój sprzeciw, Marta uklękła przede mną, zdjęła mi buty, obmyła zakurzone stopy i wytarła je.

— Dlaczego to robisz? — spytałem. — Przecież nie jesteś moją służącą.

— Być może kiedyś komuś zrobisz to samo, choć nie będziesz jego służącą. — Mówiąc to patrzyła mi w oczy z tym swoim tajemniczym uśmiechem. — Widzę, że jesteś zmęczony, przygnębiony i pełen niepokoju, choć wszystkie członki masz całe i zdrowe, a głowę pełną przeróżnej mądrości.

Te słowa trafiły mi do przekonania, bo wiedza tkwiła mi jak zadra w sercu, a wszystkie moje sceptyczne myśli krążyły wokół tego, co siostry przedstawiły jako prawdę i w co nie mogłem uwierzyć, bo wierzyć nie chciałem.

— On sam w ostatni wieczór uczynił taką przysługę swoim uczniom — rzekła Maria — kiedy się spierali między sobą, który z nich będzie najważniejszy w jego królestwie.

Cicho wyszły z pokoju. Natychmiast mocno zasnąłem. Jakże dobry był sen w tym pięknym pokoju, w pachnącym cynamonem łożu!

Obudziłem się z uczuciem, że nie jestem sam, że w pokoju jest jeszcze ktoś. To wrażenie było tak silne, że nie otwierając oczu nadśluchiwałem szelestu czyjegoś oddechu. Cisza. Wreszcie otworzyłem oczy; pokój był zupełnie pusty. Z bezbrzeżnego rozczarowania odniosłem wrażenie, jakby ściany i sufit zaczęły drżeć i rozpląwać się w rozproszone, niematerialne cząstki. Zamknąłem oczy i znowu wyczułem czyjąś obecność. Ogarnął mnie całkowity spokój. Pomyślałem: „Z nim przyszło na ziemię jego Królestwo. Skoro wstał z grobu, to Królestwo trwać będzie na ziemi tak długo, dopóki on tu będzie. Być może odczuwam jego bliskość.”

Ponownie usnąłem, a kiedy się znów obudziłem, czułem ciężar własnego ciała, cierpki zapach potu i masywność glinianych ścian wokół siebie. To przebudzenie było ciężkie jak ołów i nie chciałem otwierać oczu, tak przykry był powrót do cielesnego świata.

W końcu jednak otworzyłem oczy i z błogości snu powróciłem do rzeczywistości. Tym razem naprawdę nie byłem sam. Na dywanie siedziała bez ruchu pochylona kobieta, tak szczelnie spowita fałdami czarnego płaszcza, że w pierwszej chwili nie byłem pewien, czy jest realna. Nie wyczułem jej obecności zaraz po obudzeniu ani nie słyszałem przez sen, gdy wchodziła. Usiadłem na łożu, a wszystkie członki ciążyły mi ołowiem.

Kobieta widocznie usłyszała, że się ocknąłem, bo wyprostowała plecy i odsłoniła twarz. Nie była już młoda, życie zniszczyło jej dawną urodę, a bardzo bladą twarz trawił wewnętrzny płomień. Poruszyła osłoniętą płaszczem ręką, aby nakazać mi milczenie, i chrypliwym głosem zaczęła śpiewać w świętym języku Żydów. Po dłuższej chwili

przetłumaczyła śpiewany tekst na język grecki.

— „Wszelkie ciało to jakby trawa, a cały wdzięk jego jest niby kwiat polny. Trawa usycha, więdnie kwiat, gdy na nie wiatr Pana powieje. Trawa usycha, więdnie kwiat, lecz słowo Boga, naszego Boga trwa na wieki." Naprawdę, nasz bóg jest skrytym Bogiem — dopowiedziała.

Strzelały ku mnie iskierki z jej czarnych oczu, a ja potakiwałem, udając, że rozumiem. Ale jej słowa nic mi nie mówiły. Ciągnęła:

— „Teraz mówi Pan: to zbyt mało, że jesteś Mi służą dla podźwignięcia pokoleń Jakuba i sprowadzenia ocalałych z Izraela. Ustanowię cię światłością dla pogan, aby moje zbawienie dotarło aż do krańców ziemi".

Śpiewając wróciła do hebrajskiego, ale bardzo powoli, jakby poszukiwała poszczególnych słów w pamięci. I znowu powiedziała po grecku:

— Tak przepowiadał o nim prorok Izajasz, a cisi tej ziemi zapamiętali jego słowa: „Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa. Lecz On się obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze boleści... lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Wszyscyśmy pobłądzili, jak owce, każdy z nas się obrócił ku własnej drodze, a Pan zwałił na Niego winy nas wszystkich. Dręczono Go, lecz sam się dał gnębić, nawet nie otworzył ust swoich."

— Potrzęsnęła głową. Łzy płynęły jej po twarzy, gdy ciągnęła ochryłym głosem: — „Siebie na śmierć ofiarował i policzony został pomiędzy przestępców. A On poniósł grzechy wielu, i oręduje za przestępcami."

Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że czytałem to zimą w Aleksandrii, kiedy pracowałem z żydowskim uczonym, ale wówczas tamte słowa nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Schylona na ziemi niewiasta płakała i zakrywała twarz szatą, abym nie widział jej bólu.

— Tak, tak, rozumiem — powiedziałem. — Tak go przepowiadano i tak się stało, ale co to znaczy?

— Jeszcze nie wiemy, nie pojmujemy. — Niewiasta potrzęsnęła głową i odpowiedziała zza osłony: — Ale już teraz nie ma wielu dróg, nie ma własnych dróg, droga jest tylko jedna.

— Co cię zaniepokoiło, niewiasto, że zakrywasz swoją twarz? Wydaje mi się, że się znamy.

Ocierając łzy rąbkiem szaty odsłoniła oblicze, spróbowała się uśmiechnąć i potwierdziła:

— Tak, ja też znam ciebie. Dlatego tu przyszedłem. Kiedy cierpiał na krzyżu, uderzyłeś uczonego w Piśmie i odepchnąłeś na bok tych, którzy szydzili z Jezusa.

— Ach, nie — zaprotestowałem. — Nikogo nie biłem. Bardzo się mylisz. Prosiłem o poradę jakiegoś uczonego, ale ten mnie obraził. Zwróciłem się ze skargą do setnika i to

on rozpędził szyderców.

— Na własne oczy widziałam, jak biłeś bluźniercę, jak na niego krzyczałeś, choć jesteś cudzoziemcem i nie powinno cię to obchodzić.

Nie widziałem powodu, aby się kłócić. Zresztą w chwili śmierci Jezusa zrobiło się tak ciemno, że niewiasta miała prawo się pomylić.

— Chyba ciebie widziałem w towarzystwie jego matki?

— Tak, tak — potwierdziła. — Jestem Maria z Magdali. Wiem, że mówiono ci, jak wypędził ze mnie biesy. Od tamtej pory towarzyszyłam mu w wędrówkach. Pozwolił, abym za nim chodziła, choć miano mu to za złe.

Gwałtownym ruchem podniosła rękę i zapytała z napięciem, jakby cały czas tylko o tym myślała:

— Podobno z rozkazu namiestnika byłeś w jego- grobie i jako pierwszy Rzymianin stwierdziłeś, że powstał z martwych. Powiedz sam, poświadcz, co widziałeś. Mnie nikt nie wierzy, bo jestem tylko niewiastą.

Zastanowiłem się dokładnie nad słowami, bo nie chciałem kłamać jej ani zwodzić.

— Trzęsienie ziemi odwaliło kamień z wejścia grobu i wartownicy uciekli. Na własne oczy ujrzałem nie naruszone zwoje całunu i leżącą osobno chustę z głowy, ale ciała w środku nie było. Potem przyszli Żydzi i w gniewie porozrywali płótna. Jednak ja nadal wierzę, że on zmartwychwstał, choć nie rozumiem, jak to jest możliwe. Z niczym podobnym dotychczas się nie spotkałem.

Słuchała moich słów z przejęciem, że zaś chciałem być bezstronny, dodałem:

— Wiem, że były i nadal w różnych krajach są odprawiane obrzędy, w których grzebie się boga, a on potem symbolicznie wstaje z martwych. Ale te obrzędy nie są rzeczywistością, tylko ułożonym widowiskiem. Tyś była w grobie przede mną. Opowiedz, co widziałeś i czy zauważyłaś, jak leżały płótna?

— Kiedy podeszłam do grobu, było jeszcze ciemno. Dostrzegłam usunięty głaz, ale pomyślałam, że ktoś Jezusa stamtąd zabrał. Nie miałam odwagi wejść do grobowca. Nic więcej nie widziałam z powodu ciemności. Pobiegłam szybko do tajnych mieszkań jego najbliższych uczniów, zawołałam Szymona Piotra, który jest mocnym mężczyzną, i młodego Jana, którego opiece powierzył swoją matkę. Z duszą na ramieniu pobiegli do grobu, weszli do środka i zobaczyli, że jest pusty. Uciekli stamtąd natychmiast, bo bali się Żydów. Zostałam sama przy wejściu do grobowca i zerknęłam do środka. Było tam jasno, jak w biały dzień, i stał anioł, którego szaty utkane były ze światła, a twarz lśniła jak płomień. Przeraziłam się i odwróciłam do ucieczki, gdy anioł do mnie przemówił. A gdy się znowu odwróciłam, zobaczyłam jego, tylko że go nie poznałam.

Jej opowiadanie było sprzeczne z relacją wartowników. Patrzyła na mnie prosząco, jakby czuła, że wątpię w jej słowa, i rzekła tonem wyjaśnienia:

— Nic dziwnego, że go od razu nie poznałam, przecież nawet hie potrafiłam sobie wyobrazić, by to mógł być on. Jego uczniowie też nie od razu go poznali, kiedy jeszcze

za życia przyszedł do ich łodzi idąc po falach Morza Galilejskiego. Myślałam, że to ktoś obcy, kto zabrał ciało, więc oskarżałam go i gorąco prosiłam, żeby je zwrócił. Wtedy przemówił do mnie po imieniu i poznałam Jezusa. Kazał mi przekazać wiadomość swoim uczniom. Byłam tak oszołomiona, że własnych nóg nie czułam, kiedy wpadłam, żeby im o tym powiedzieć. Ale nikt mi nie uwierzył.

Ja też nie w pełni jej wierzyłem. Pomyślałem, że jest niewiastą egzaltowaną i że w trakcie opowiadania pomieszała porządek wydarzeń. Wracając do głównej sprawy spytałem raz jeszcze:

— Czy zauważyłaś, w jakiej pozycji leżały płótna całunu?

— Jak mogłabym na takie rzeczy zwracać uwagę? — ze zdziwieniem pokręciła głową. — Byłam tak oślepią blaskiem anioła, że musiałam się odwrócić. A do tego bardzo się przestraszyłam. Kobiety mi uwierzyły, uczniowie nie. Oni nadal drżą o własne skóry i o niczym innym nie potrafią myśleć. Chyba tak było, jak mówiłeś: trzęsienie ziemi odwaliło kamień z wejścia, chociaż są tacy, co twierdzą, że na pewno zrobił to anioł. — Maria, jak to kobieta, rozgadała się i mówiła z ożywieniem. — Powiadają też, że trzęsienie ziemi zburzyło wejściową bramę do Świątyni. A tamci dwaj go nie poznali, ci, do których się przyłączył tego dnia, gdy szli do Emmaus. Nie poznali go, choć im objaśniał Pismo, rozdział po rozdziale. Dopiero kiedy pod wieczór przyszli do wsi i poprosili, żeby z nimi siadł do stołu, a on wziął chleb, łamał i rozdawał im, wówczas dopiero go poznali. Ale wtedy zniknął im z oczu.

— Więc przypuszczasz — powiedziałem niewyraźnie, bo język mi zdrętwiał — że on wciąż tutaj jest, przychodzi i odchodzi, kiedy chce, i rozmawia, z kim chce? Jedni go poznają, a inni nie?

— Właśnie tak — rzekła z przekonaniem Maria z Magdali.

— Wierzę w to i dlatego czekam. Może nasze serca nie płoną jeszcze wystarczająco mocno, a zrozumienie postępuje zbyt wolno? Dlatego pozwala nam czekać, żebyśmy dojrzeliby do zrozumienia wszystkich jego zamysłów.

— Twierdzisz, że chodził po głębinie — wtrąciłem, uprzytomniając sobie, jak bardzo to jest niewiarygodne i przeciwne rozumowi.

— Tak wiele cudów czynił, że nawet kamień by uwierzył. A my ciągle nie wiemy, co mamy o nim myśleć. Prawdę mówi Pismo: „Jego wysłannik jest głuchy, a goniec ślepy”. Ale może nieświadomie spełnimy jego wolę.

— Powiedz, czemu mi zaufałaś, choć jestem cudzoziemcem?

— spytałem. — Jesteś kobietą wykształconą, mówisz po grecku i cytujesz z pamięci proroków w świętym języku hebrajskim. Słyszałem, że jesteś zamożna. Opowiedz mi o sobie, abym cię mógł zrozumieć.

— Nie stronie od cudzoziemców — powiedziała wyniośle.

— W moim domu spotykałam Greków, Syryjczyków i nawet Rzymian z dworu cesarskiego. Jeśli on jest n i m, o czym wiem i w co wierzę, to jego słowa przeznaczone są nie tylko dla Izraela, ale dla całego świata. Tak napisano w Piśmie. Kiedy władał mną

szatan, przeżyłam takie rzeczy, których nikt nie może zrozumieć. Szatan potrafi zmienić nawiedzone ciało na przykład w naczynie na wodę i takie ciało krzyczy, kiedy w sąsiednim pokoju ktoś włoży igłę w wodę. A on nie chciał wykorzystać mnie, jak wykorzystywali inni. Chciał uwolnić mnie z opętania, bo wiedział, że z całego serca tego pragnę. Z powodu tych przeżyć moja twarz zbieleła jak kamień, z którego deszcze zmyły życiodajne siły. Nie pytaj mnie o przeszłość. Rozmawiaj ze mną taką, jaka teraz jestem.

— Niech będzie, jak sobie życzysz — zgodziłem się. — Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Skąd się wzięło twoje zaufanie do mnie?

— Ponieważ pod krzyżem broniłeś go przed szydercami! — wykrzyknęła gwałtownie z płonąym licem. — Bo uszanowałaś jego cierpienie, nie wiedząc o nim nic ponad to, co na szyderstwo napisano na tablicy krzyża. Bo broniłeś go, gdy uczniowie uciekli w strachu! Przecież tam nie było nikogo oprócz nas, słabych kobiet, i młodziutkiego Jana, który nie musi się bać, bo jego rodzina jest zaprzyjaźniona z arcykapłanem. Nawet złoczyńcy odważyli się wznosić okrzyki przeciwko Rzymowi w obronie swoich umierających towarzyszy. A w jego sprawie nikt nie podniósł głosu.

Więc to tak: jej tajony żal do uczniów zamienił się w przyjaźń ku mnie! Po namyśle rzekłem ostrożnie:

— Sądzę, że jako rozumna niewiasta wiesz o nim więcej niż jego uczniowie. Ale oni uważają, że jesteś zwykłą egzaltowaną kobietą, toteż nie wierzą w to, co widziałaś. Dlatego potrzebujesz mnie jako świadka.

— Jeszcze nie rozumiałaś, ty głupcze? — Maria z Magdali przerwała mi w pół zdania. — On pozwalał niewiastom przychodzić do siebie! Był dobry dla Marii, siostry Łazarza. I dla Marty był dobry. Razu pewnego był gościem faryzeusza i w czasie posiłku pozwolił grzesznej kobiecie uklęknąć, umyć łzami i włosami osuszyć swoje nogi. Oczywiście pogorszyło to jego opinię w oczach faryzeuszy. Gotowi byli myśleć o nim wszystko co najgorsze. Okazał miłosierdzie żonie Samarytanina przy studni. Ocalił też z rąk uczonych w Piśmie kobietę, którą jak stanowi Prawo, chcieli ukamienować za zdradę małżeńską. Wierz mi, cudzoziemcze, on rozumiał niewiasty lepiej niż inni. Dlatego sądzą, że my, kobiety, rozumialiśmy go i nadal rozumiemy lepiej niż jego tchórzliwi uczniowie. — Głos załamał się jej z gniewu, ciężko oddychała. — Owszem, swego czasu radzili sobie dobrze i przy jego pomocy uzdrawiali chorych. Ale kiedy zgodnie z jego wolą trzeba było się udać w ostatnią podróż do Jeruzalem, każdy miał gotową wymówkę, żeby się wykręcić od drogi; gotowi byli nawet wyrzec się jego królestwa, choć wcześniej kłócili się między sobą o miejsce, jakie w nim zajmą. On wobec ludu wygłaszał przypowieści, ale im dokładnie wszystko wyjaśniał, a oni i tak niczego nie rozumieli i troszczyli się tylko o siebie. Jeden jedyny Tomasz, który myśli najbardziej trzeźwo z nich wszystkich, oświadczył, że gotów jest umrzeć razem z nim. Ale czy sądzisz, że choć jeden z nich stanął w jego obronie? Przynieśli do Jeruzalem dwa miecze mimo srogiego zakazu posiadania broni w świętym mieście! Ale czy go bronili, pytam? — wykrzykiwała, z trudem chwytając oddech, po chwili jednak uspokoiła się. — Tyle że tego im zabronił. Powiedział: „Którzy za miecz chwytają, od miecza giną”. Ale znów gdy szli do Jeruzalem, zachęcał ich: „Kto ma, niech sprzeda swój płaszcz i kupi miecz”. Nie rozumiem. Chyba chciał ich wypróbować. Albo im dodać odwagi. Nie wiem. Szymon Piotr odciął mieczem ucho sługi arcykapłana, Malchusa, kiedy ciemną nocą przyszli

zabrać Jezusa. On to ucho z powrotem przyłożył i przyrosło, została tylko cienka blizna w miejscu uderzenia miecza. Opowiadali to krewni tego Malchusa, bo samemu Malchusowi starsi gminy surowo zabronili o tym mówić. Ale... pozwól mi jeszcze wykrzyczeć się na tych tchórzów. Jezus czuwał sam. Wiedział, jaki los go czeka, modlił się. Mówili później, że strasznie był zgnębiony, zlany krwawym potem. Nie prosił ich o nic, tylko żeby z nim czuwali. A co oni zrobili? W ogrodzie Getsemani posnęli twardo jak prosiaki. Nie, nie pojmuję tego, nie mogę im darować! Czyżby w tych zajętych duszach miał być załączek Królestwa? Nie mieli w sobie nawet tyle hartu, by zgładzić zdrajcę. Nie, Judasz w końcu sam się powiesił. Nie rozumiem, nie wiem, co on w nich widział, dlaczego wybrał właśnie ich?

Była tak kobieca w tych oskarżeniach, że miałem ochotę się roześmiać i dotknąć ręką jej twarzy, aby raczej w potoku łez znalazła ujście dla rozpacz. Lecz nie zdobyłem się na uśmiech i nie mogłem jej dotknąć. Powiedziałem więc jak najogólniej:

— Jeśli tak jest, a oni są naprawdę zrozpaczeni i nie wiedzą, co o nim myśleć, chociaż uczył, jak go naśladować, to zupełnie rozumiałe, że ja, cudzoziemiec, tracę głowę. Sądzę, że ważne jest, aby nikt z nich nie umarł, w każdym razie nie teraz, zanim pojmą sens jego nauczania. Zrozumienie rzeczy tak dziwnych nawet u nieprzeciętnego człowieka może trwać długo. Ich wszystkich wiążą żydowskie przesady, w których wyrosli od dziecka. Dlatego może byłoby lepiej, byś nie stawiała mnie jako świadka przed nimi; nawet nie wspominaj im o mnie. Będą mną pogardzać jako Rzymianinem. Przecież ty też straciłaś dobrą opinię przez kontakty z cudzoziemcami.

Porywczo odchyliła głowę, ale ja uniosłem rękę i spiesznie wyjaśniłem:

— Jako Rzymianin, rozumiem cię, Mario, lepiej, niż jakikolwiek Żyd mógłby zrozumieć. W Rzymie niewiasty są wolne i równe mężczyznom. Czytają księgi, słuchają wykładów, chodzą do teatrów i wedle własnej woli same wybierają kochanków. No właśnie, są równe mężczyznom, a w różnych rzeczach nawet lepsze od nich, jako że kobieta zawsze jest bardziej przebiegła, a często i bardziej bezwzględna niż mężczyzna, jej myśli zaś nie wiąże logika. Zostańmy więc przyjaciółmi, ty, Mario z Magdali, i ja, Marek Manilianus z Rzymu. Szanuję cię jako niewiastę, której Jezus pozwalał chodzić za sobą. O twoich widzeniach przy grobie nie powiem ani tak, ani inaczej. Nie mogę jednak zaprzeczyć jego zmartwychwstaniu, ponieważ moje własne oczy to zaświadczyły. Z pewnością, jako białogłowa, dzięki swej wrażliwości rozumiesz go lepiej niż jego uczniowie. Mimo to — ciągnąłem możliwie najostrożniej — chętnie bym kiedyś się spotkał z którymś z uczniów, żeby poznać, jacy to ludzie.

Maria z Magdali zawahała się i z wyraźną niechęcią przyznała:

— Skoro się ukrywają, troszczę się o ich jedzenie i picie. Nie spieram się z nimi. Są tylko rybakami. Nie wiedzą, co mają robić i tak się między sobą kłócą, że muszę występować w roli rozjemcy. Wiem, że to trudno pojąć, bo przecież przed chwilą tak się na nich złościłam. Ale widzisz, oni mają w sobie wiele dobroci. Najchętniej wróciliby do Galilei, ale jeszcze nie są w stanie podjąć żadnej decyzji. Można ich spotkać na schodach świątyni, wyróżniają się z tłumu, bo mówią gwarą Zreszą i oblicza mają inne, wieśniacze. Ja, która przebywałam z nimi te dwa czy trzy lata, wiem, że nie są to twarze zwykłych rybaków. Może mówię niezbyt jasno, ale jeśli któregoś dnia będziesz miał

okazję ich spotkać, na pewno zrozumiesz, co miałam na myśli. Jezus — Maria z Magdali nagle zaczęła bronić uczniów — z pewnością miał swoje powody, kiedy wybierał właśnie takich prostych ludzi. Jedyne wykształcony między nimi to Lewi, Mateusz, który był celnikiem. A skoro mowa o ludziach wykształconych, czy tych, którzy studiują Pismo, czy waszych filozofach: cóż oni mogą pojąć z jego nauki? Wierz mi, taki uczony mógłby cały wiek zgłębiać jedno jedyne słowo Jezusa. Tak właśnie robią teraz uczeni w Piśmie, którzy długie lata poświęcają na studiowanie jednej litery w świętym tekście, czy też Grecy, piszący obszerne księgi o jakiejś zapomnianej już dawno miejscowości. Dobrze pamiętam, jak on sam kiedyś powiedział, że prawda otwiera się przed prostymi i prostodusznymi, a nie przed uczonymi.

Zastanowiłem się nad jej słowami. Była w nich jakaś racja. Gdy ma się do czynienia z zupełnie nową i niepojętą nauką, jaką przedstawiała Maria, obarczony nabytą mądrością i nawykły do dawnego myślenia umysł nie może jej przyjąć bez oporu. Tak właśnie jest ze mną — na każdym kroku potykam się z przeszłością, z tym, czego mnie uczono i do czego się przyzwyczailem.

— Czy to miał Jezus na myśli, kiedy powiedział Nikodemowi, że człowiek musi się na nowo narodzić? — spytałem szeptem, jakbym pytał sam siebie.

— Nikodem należy do cichych — rzekła Maria z Magdali.

— Wiernie czeka i ma dobre zamiary, a Pismo zna na pamięć. Cokolwiek spotka nowego, natychmiast porównuje z Pismem. Choćby się na nowo urodził, pozostanie zawsze zbyt ciasno spowitym w powijaki niemowlęciem.

Na myśl o dziecku w powijakach Maria uśmiechnęła się. Wystarczył ten maleńki uśmiech, żeby jej wybladła twarz rozpromieniła się, a w oczach zapłonęły iskierki. Musiała kiedyś być nadzwyczaj piękną niewiastą! Nie wiem, czemu pomyślałem o bladej tarczy księżycy i przypomniałem sobie, że Maria doszła do majątku hodując gołębie.

— Niepotrzebnie ubierasz się w czerń — powiedziałem nieoczekiwanie dla siebie samego. — Twoje kolory to srebro i zieleń, Mario z Magdali, twoim kwiatem jest fiołek; powinnaś nosić wieniec z mięty.

— Cóż to, bawisz się w astrologa? — oburzyła się. — Nie mów mi o rzeczach ziemskich! Choćbym znów przywdziała srebro i szmaragdy, nie będą mną władać siły ziemi. Wystarczy, żebym wymówiła jego imię: Jezus Chrystus, syn Boży, a wszelkie zło umyka i demony stają się cieniem nie mającym do mnie dostępu.

Przypomniałem sobie, że niegdyś była nawiedzona przez złego ducha. Pożałowałem więc moich słów, bo uśmiech zgasł, jej twarz skamieniała, a w głębi oczu znowu zaczęła się żarzyć iskra niepokoju. Mimo to zapytałem:

— Czy nie obawiasz się, Mario z Magdali, że zamieniłaś starego demona na nowego, jeszcze potężniejszego?

Załamala ręce i kołysała ciałem, jakby chciała uśmierzyć trawiący trzewia ból, ale patrząc mi prosto w oczy dobitnie oświadczyła:

— Jestem pewna, całkowicie pewna, że on był i jest światłością, samą światłością.

Człowiek, człowiek-Bóg. — Mimo woli ujawniła jednak toczące ją podejrzenia, przed którymi się broniła, i przekonywała raczej siebie niż mnie: — Nie, on nie był magiem ani demonem, chociaż chodził po powierzchni wód. Gdyby był bodaj najpotężniejszym magiem, z pewnością nie poszłabym za nim, bo zbyt dobrze takich poznałam. Zresztą on wcale nie kazał mi iść za sobą. Pozwolił tylko sobie towarzyszyć. W tym jest różnica, chyba rozumiesz?

Zawstydzilem się swoich podejrzeń, ale przecież musiałem zadać tamto pytanie, bo chciałem upewnić się tak dokładnie, jak tylko można. Wiedziałem, że ją uraziłem, więc błagalnie prosiłem, aby mi wybaczyła. Później powiedziałem wprost:

— Mario z Magdali, zaprowadź mnie do jęgo uczniów, żebyśmy również co do nich się upewnił.

— Jeszcze ani ty nie jesteś gotowy, ani oni do tego nie dojrżeli

— zaprotestowała Maria. — My wszyscy tylko czekamy. Czekaj i ty cierpliwie! A gdy spostrzegła, jak się zasmuciłem, wzruszyła się i powiedziała:

— Nie uważam cię za rzymskiego szpiega. Na pewno nie jesteś zdrajcą, na tyle znam się na ludziach. Gdybyś nim był, przydarzyłoby ci się coś bardzo złęgo. Nie dzięki naszej sile, ale przez jęgo moc, bo to on wybrał uczniów i chce ich zachować, jak sam powiedziałeś. Czy wiesz, gdzie jest Brama Wodna?

— Wyszedełm przez nią tu idąc — odrzekłem z uśmiechem.

— Na pewno słyszałeś o mężczyźnie, który nosi dzbany wody. Pewnego dnia, jak będziesz cichy i pokornęgo serca, spotkasz go przy Wodnej Bramie. Ale proszę, nie ponaglaj. Wszystko będzie w swoim czasie. Gdybym w to nie wierzyła, nie mogłabym żyć.

Spytałem, czy chce wrócić ze mną do Jeruzalem, ale Maria z Magdali wolała zostać sama w tym pomieszczeniu, w którym Jezus Nazarejski często odpoczywał. Powiedziała:

— Idź w pokoju. Jeśli na dole nie zastaniesz nikogo, nie czekaj, żeby złożyć podziękowanie. I tak przekonane jesteśmy o twojej wdzięczności. Idź, ale wracaj tu, kiedy tylko będziesz chciał. Choć myślę, że jeszcze nie wiesz, czego chcesz. Myślę też, że będziesz musiał iść tą jedną drogą, nawet gdybyś nie chciał. Pokój tobie.

— Pokój tobie — odparłem i mimo woli dodałem: — Pokój tobie, niewiasto. Jesteś mi więcej niż ukochaną, więcej niż żoną, więcej niż córką, ponieważ Jezus pozwolił ci chodzić za sobą.

Te słowa spodobały się jej. Wstałem i schyliłem się, by wziąć buty z podłogi, a ona wyciągnęła rękę i dotknęła moich stóp. To dotknięcie było przepelnione tęsknotą za czymś nieosiągalnym. Nigdy dotychczas nie doznałem takiego wrażenia. Wątpię, czy zrozumiałbym sens tego dotknięcia, gdybym we śnie nie doświadczył nastania królestwa Jezusowego na ziemi.

Spokojnie zeszedłem na podwórko, ocienione winogradem. Nie widziałem nikogo i zabudowania były zupełnie ciche. Bez pożegnania wyszedłem więc z domu i ku swojemu zdziwieniu stwierdziłem po słońcu, że według czasu rzymskiego jest już godzina piąta.

Cień góry wydłużył się i dotykał domu.

Maszerowałem energicznie z powrotem tą samą drogą, a tak byłem pogrążony w rozmyślaniach, że nawet się nie rozglądałem. Znów ominąłem na zboczu góry prastare drzewa oliwne — ciągle kapały się w słońcu, choć droga spowita już była głębokim cieniem. Minąłem też pełen ziół i warzyw ogród; czułem w nozdrzach ich ostry, zdrowy zapach.

Z rozmyślań wyrwał mnie dopiero monotony stukot. Dostrzegłem siedzącego przy drodze ślepcę, który kijem uderzał o kamień, aby w ten sposób zwrócić na siebie uwagę przechodniów. Zamiast oczu miał ziejące pustką oczodoły, a jego wychudłe ciało okrywały sztywne od brudu łachmany. Usłyszał, że się zatrzymałem, i zawołał natrętnym, proszącym głosem żebraka:

— Zlituj się nad ślepym!

Przypomniałem sobie o przygotowanym przez żonę Syryjczyka śniadaniu, którego nie zjadłem i już nie potrzebowałem. Wsunąłem mu je do kościstej dłoni, mówiąc:

— Pokój tobie. Weź, jedz, a torbę zatrzymaj. Nie będzie mi potrzebna. — Powiedziałem tak dlatego, że kiedy do niego podszedłem bliżej, poczułem okropny smród, który odebrał mi ochotę na wysypanie zawartości torby do jego rąk. Ślepiec nawet mi nie podziękował. Wyciągnął rękę, chcąc schwytać połę mego płaszcza, i lękliwie prosił:

— Wieczór nadchodzi, noc blisko, a nie przyszli zabrać mnie z tego miejsca, w które rano przyprowadzili. Miej litość, miłosierny człowieku, zaprowadź mnie do miasta. Tam znajdę drogę, a tutaj, poza murami, zabłądzę, potknę się na kamieniach i spadnę w przepaść.

Już sama myśl, że miałbym dotknąć tej strasznej istoty, której raczej nie można było nazwać człowiekiem, była dla mnie odrażająca. Dlatego dziękowałem losowi, że zdążyłem uchylić się od jego ręki. Szybko poszedłem dalej, usiłując nie słuchać jego jęklivego głosu i gwałtownego stukania laską, którym chciał widocznie rozładować swoje rozczarowanie. W duchu ganiłem jego niewdzięczność. Przecież dostał ode mnie smaczne jedzenie i zupełnie dobrą torbę!

Przeszedłem już jakieś dziesięć kroków, gdy doznałem nagle takiego uczucia, jakbym uderzył o mur. Coś zmusiło mnie, bym się odwrócił i obejrzał. Ślepiec odzyskał nadzieję i jęczał głośno:

— Miej zmiłowanie nad ślepcem, ty, który widzisz. Odprowadź mnie do miasta, a będę cię błogosławił. W ciemności nocy zmarznę, psy będą po mnie skakać i lizać moje rany.

Opamiętałem się. Kto tu jest ślepy, ta śmierdząca istota czy ja? Przecież oddanie jedzenia nie było prawdziwie dobrym uczynkiem, skoro go nie potrzebowałem. Naprawdę dobrym uczynkiem byłoby doprowadzenie żebraka do bramy miasta. Ale sama myśl o dotknięciu czy choćby znalezieniu się w pobliżu ślepcę była tak odrażająca, że zrobiło mi się niedobrze. Bez zastanowienia powiedziałem:

— Dróg jest wiele, niektóre prowadzą na manowce. Skąd wiesz, że nie sprowadzę cię z drogi i nie zrzucę w przepaść, żeby się od ciebie uwolnić?

— Pokój tobie, pokój tobie — wołał z nadzieją i strachem nie ruszając się z miejsca; cofnął tylko laskę. — Ufam ci. Cóż innego mogę uczynić, jeśli nie ufać, że mnie doprowadzisz? Przecież sam nie znajdę drogi.

Te słowa trafiły mi do serca. Wszak sam oczekiwałem, że ktoś mnie poprowadzi, bo nie znałem drogi! Wspomniałem przeżyta we śnie obecność tajemniczej istoty, która zniknęła, gdy otworzyłem oczy. Zdecydowanym krokiem podszedłem do ślepego, obydwiema rękami złapałem kościste nadgarstki i podniosłem go z ziemi. Podał mi jeden koniec laski, mówiąc pokornie, bym go schwycił, a wówczas nie pobrudzę swoich szat. Myśl, że będę go ciągnął jak bydlę na postronku, wydała mi się wstrętą. Ująłem go pod ramię i poprowadziłem. Mimo tego podejrzliwie badał laską drogę przed sobą, albowiem ta ścieżka wzdłuż Cedronu nie miała bynajmniej równiutkiej rzymskiej nawierzchni.

Posuwaliśmy się bardzo wolno, bo ślepiec był chudy i słaby, aż kolana się pod nim ugięły. Trzymałem go za ramię, a zdawało mi się, że trzymam ogryzioną kość. Spytałem zniecierpliwiony:

— Dlaczego wyprowadzili cię tak daleko od bramy, skoro nie możesz sam wrócić do miasta?

— Och, cudzoziemcze, jestem za słaby, żeby dbać o swoje interesy przy bramie. Kiedy miałem siły, zebrałem przed Świątynią.

Najwyraźniej uważał, że był to powód do dumy. Powtórzył tę informację kilkakrotnie, czemu się w duchu dziwiłem, sądząc, że nawet tak żalosna istota mogłaby wymyślić coś, co przyniosłoby jej więcej chwały.

— Dbalem o swoje sprawy i biłem innych tą lagą, choć jestem ślepy — chełpił się. — Ale jak osłabłem, sam zacząłem zbierać guzy i siniaki. W końcu wyrzucili mnie spod bramy i muszę codziennie prosić kogoś miłosiernego, żeby mnie wyprowadził za miasto. W świętym mieście jest mnóstwo żebraków, a wielu z nich ma dużo sił.

— Obmacał poły mego płaszcza i zauważył: — Uszyto go z dobrego materiału. I pachniesz ładnie, cudzoziemcze. Na pewno jesteś bogaty. Czemu wędrujesz poza murami miasta bez przewodnika? Czemu nikt nie biegnie przed tobą, aby wołać o wolną drogę dla ciebie?

Nie musiałem mu niczego wyjaśniać, ale powiedziałem:

— Sam muszę znaleźć swoją drogę. — Przyszło mi do głowy spytać go: — Czy słyszałeś o królu żydowskim, Jezusie Nazarejskim, którego ukrzyżowano? Co o nim myślisz?

Ślepy rozgniewał się, zaczął się trząść i wygrażał laską, wołając:

— Wiem, dosyć się nasłuchałem o tym człowieku! Dobrze, że go ukrzyżowali!

— A mnie mówiono — rzekłem zaskoczony — że był to dobry i miłosierny człowiek, że uzdrawiał chorych i zapraszał do siebie ciężko pracujących, zapewniając im

chwilę spokoju.

— Aha, spokoju — zakpił złośliwie ślepiec. — Wszystko chciał zburzyć i zniszczyć, nawet Świątynię. To był buntownik i nieżyczliwy człowiek. Powiem ci coś. Koło sadzawki Betesda zawsze leżał na macie uczciwy sparaliżowany żebrak. Od czasu do czasu pozwalał wrzucać się do sadzawki. Jak daleko sięga ludzka pamięć, nikt w tej sadzawce nie ozdrowiał, chociaż czasami woda w niej się burzyła. On nie liczył na uzdrowienie, rozumiesz, ale przez to wrzucanie budził współczucie i dobrze mu się żebrało w cieniu Owczej Bramy. Ten Jezus wpadł tam jednego razu i pyta go, czy chce wyzdrowieć. Sparaliżowany odpowiedział wykrętnie, że zawsze kto inny zdąży przed nim wejść do wody, kiedy się wzburzy. Wtedy Nazarejczyk kazał mu wstać, wziąć swoją matę i iść.

— I ten człowiek wyzdrowiał? — spytałem z niedowierzaniem.

— A jakże, wyzdrowiał, wziął matę i chodził — zapewnił ślepiec.

— Taką moc miał ten Galilejczyk! Ale żebrak stracił źródło utrzymania, z którego czerpał przez trzydzieści osiem lat, i teraz, choć stary, musi się utrzymywać z pracy swoich rąk, bo prawo już nie pozwala mu żebrać — rozgorczenie ślepca wzrastało. — Na dodatek to się stało w dzień szabatu. Biedaczysko, kiedy niósł matę, natknął się na kapłanów, no i awantura. Ale to jeszcze nie wszystko! Jezus zatrzymał go na drodze i zagroził, że jeśli będzie jeszcze grzeszył, to mu się co gorszego przytrafi. Wtedy on w obronie własnej wskazał Jezusa kapłanom, wydał go i zaświadczył, że go uzdrowił i kazał mu nieść matę w szabat. Ale cóż mogli kapłani? Jezus miał wielu zwolenników. Błuzniąc głosił, że ma prawo łamać szabat i pracować w dzień święty, jak jego ojciec. A wiesz, za czyjego syna się podawał? Bożego! Widzisz więc, że trzeba go było ukrzyżować.

Z mojego milczenia ślepiec wywnioskował, że mam odmienne zdanie, toteż dodał jeszcze:

— Jak by to było na świecie, gdyby zniszczono Świątynię? Skąd kalecy czerpaliby środki do życia, gdyby nie było bogatych grzeszników, którzy rozdawaniem jałmużny odkupują swoje winy?

— Uderzył łagą kamień przed sobą i opowiadał ze złośliwą satysfakcją: — Wtedy, wczesnym rankiem, ja też byłem wśród tych, co krzyczeli: „Ukrzyżować, ukrzyżować!” Nawet Rzymianin wahał się, czy go skazać, bo nie zna naszych praw, a zresztą oni zawsze cieszą się, gdy ktoś obraża Świątynię i Boga. Wszyscy prawdziwi żebracy są zależni od Świątyni i od władzy porządkowej. Dlatego szybko nas skrzyknęto, żebyśmy wołali z gromadą innych. Prawdę mówiąc, sam krzyczałem: „Wypuścić Barabasa!” Barabasz był niewinny w porównaniu z Jezusem. Nie zrobił nic złego, on tylko ukatrupił Rzymianina.

— Nie rozumiem cię — powiedziałem. — Musisz być bardzo zły, skoro się tym chełpisz. Gdybyś w niego uwierzył, może zdołałby uzdrowić i ciebie?

Ślepiec zwrócił ku mnie puste oczodoły i zuchwale wyszczerzył resztki zębów.

— A ty coś za jeden, że tak gadasz? Na pewno jesteś trefny, skalany — skowytał. —

Lepiej byś mnie prowadził za laskę, żebym nie musiał cię dotykać. Bóg Izraela jednym tchnieniem spaliłby cię na popiół, gdybym cię przeklął. Skoro jesteś zwolennikiem Jezusa, to niech cię żywcem zje robactwo.

Syczał na mnie z nienawiścią, aż czułem jego cuchnący oddech, a jednocześnie kurczowo się wczepił w mój płaszcz, tak że nie mogłem się od niego uwolnić.

— Patrzcie go, jaki mądry! — szydził, wskazując palcem swoje oczodoły. — Bóg nie może zwrócić mi raz wyrwanych oczu. Zresztą wcale nie chcę odzyskać wzroku, co by mi przyszło z oglądania świata?!

Uwolniłbym się, gdybym go uderzył, ale nie mogłbym nań podnieść ręki. Choćbym nie wiem jak chciał, nie mogłbym.

— Uspokój się, moje ty niewiniątko — powiedziałem. — Brama jest blisko, doprowadzę cię, tylko uważaj, żebym cię nie skalał.

— Gdybym był silniejszy... — westchnął. — Pokażę ci coś, cudzoziemcze.

Nagle niespodziewanie chwycił mnie od tyłu za gardło, a kościste kolano wbił w plecy. Czułem, jak drugą ręką po omacku szuka sakiewki z pieniędzmi. Gdyby rzeczywiście był silniejszy, mogłbym się znaleźć w niebezpieczeństwie, bo żadnej pomocy nie mogłem się spodziewać. Z łatwością jednak uwolniłem się z jego ohydnych rąk.

— Dałem ci nauzkę, cudzoziemcze — powiedział dysząc. — Ucz się! Nigdy nie spełniaj bez namysłu próśb nieznanomych, spotkanych na pustej drodze i nie odprowadzaj żebraków! Gdybym był silniejszy, tobym cię obezwładnił i przywołał na pomoc kamratów. Straciłbyś ten piękny płaszcz i sakiewkę. A gdybym był złośliwy, kciukami wgniótłbym twoje ślepie, żebyś nie mógł mnie rozpoznać i wydać. Tak, tak! A gdybyś był Rzymianinem, z radością bym cię zatłukł.

— Dzięki za ostrzeżenie! — zadrwiłem. — Dlaczego sądzisz, że nie jestem Rzymianinem?

— Żaden Rzymianin nie zechciałby mnie prowadzić. Od Rzymianina nie można oczekiwać miłosierdzia. Dostałbym kopniaka albo biczem po gębie. Oni tylko budują drogi i wodociągi i pilnują miar i wag. A ty niewiele wiesz o podłości tego świata.

Dochodziliśmy już do zbiorników wody w pobliżu bramy. Spytałem:

— Znasz tego sparaliżowanego, o którym opowiadałeś? Czy naprawdę jest zły na uzdrowiciela?

— Ja go nie znam — przyznał ślepy. — Powtórzyłem, co słyszałem. Ale czemu Jezus uzdrowił tylko jego? Czemu nie uzdrowił nas wszystkich? Czemu jeden dostał miłosierdzia, a drugi do końca życia musi być kaleką? Przyznaj, że mamy swoje powody, aby mówić źle o uzdrowicielu.

— A słyszałeś, że ten Jezus wstał z grobu trzeciego dnia?

— Babskie gadanie — zasyczał, krztusząc się ukrywanym śmiechem. — Ty w to

wierzysz? — W jego śmiechu równocześnie dawało się wyczuć skryty żal i jawne szyderstwo. — Wiadomo, że uczniowie wykradli ciało z grobu, żeby lud oszukiwać aż do końca! Bóg gdzieś tam jest i niech sobie będzie. Ale tu, na ziemi, nie ma innej władzy, tylko pieniądz i pięść.

Gorączkowo macał laską po poboczu drogi, aż natrafił na kamień, który podniósł i podetkał mi pod nos, krzyząc:

— To jest kamień! Wierzysz, że zmieni się w chleb? Tak samo nie może się zmienić świat! To jest świat nienawiści, zbrodni i rozpusty, chciwości i zemsty. Bóg Izraela też jest Bogiem zemsty. Rzymian czeka zły koniec, ale to nie będzie zasługa Galilejczyka!

Duszę ogarnął mi dziwny chłód, kończyny zdrętwiały.

— Jezusie Nazarejski — mówiłem cicho — jeśli byłeś i jesteś królem żydowskim, jeśli jesteś w swoim królestwie, a twoje królestwo aż tu się rozciąga i trwa, zamień ten kamień w chleb, a uwierzę w ciebie.

Ślepiec wsunął laskę pod pachę i miętosił kamień. Nagle bryłka ugięła się pod jego palcami. Z niedowierzaniem zdmuchnął z niej pył i podniósł do nosa, żeby powąchać. Z jeszcze większym niedowierzaniem odskrobał palcem kawałek, wsadził do ust, pogryzł i przełknął.

— Ależ to nie kamień, to ser! — zawołał, ganiąc swoją głupotę.

Ja też odskrobałem kawałek bryłki i spróbowałem. To był naprawdę kawałek wyschniętego, mocno odcisniętego sera! Z pewnością wypadł z chłopskiego kosza, pokrył się kurzem drogi i na pierwszy rzut oka nie można go było od kamienia odróżnić.

— Jesteś magiem? — spytał podejrzliwie ślepiec, żując kawałek sera. — Zamieniłeś kamień w ser przywołując imię Nazarejczyka.

— Ser czy chleb, wszystko jedno, i to, i to jest pożywieniem. Skoro Jezus potrafi zamienić kamień w ser na wezwanie swego imienia, to ty powinieneś uwierzyć w jego zmartwychwstanie.

Ale już w chwili, gdy to mówiłem, zacząłem w duchu wątpić i zastanawiać się, czy podświadomie nie zauważyłem odmienności tego pozornie zwykłego kamienia, który ślepiec po omacku znalazł na drodze. Byłby to dziwny przypadek, ale przecież zdarzają się jeszcze dziwniejsze.

Ślepiec okazał się człowiekiem praktycznym. Szybko wepchnął ser do torby, jakby się bał, że mu go wyrwę, i zaczął obstukiwać laską inne kamienie przydrożne. Potem rzucił się na kolana i podnosił je. Ale kamienie, choć tak samo okrągłe jak ser, były kamieniami i kamieniami być nie przestały, rychło więc dał temu spokój.

Wyszliśmy z doliny Cedronu na drogę wiodącą ku bramie i wkroczyliśmy w głęboki cień miasta. Za nami zachodzące słońce czerwienilo szczyty gór. Rozglądałem się wokoło w obawie przed przywidzeniami, wreszcie głośno poprosiłem:

— Jezusie, synu Boży, zmiłuj się nade mną niedowiarkiem!

Nagle padł na mnie oślepiający błysk światła. Ogarnęło mnie poczucie nierzeczywistości, przez chwilę, podobnie jak w czasie snu w domu Łazarza, prawdziwszej niż realność ziemi i kamienia. Ślepiec niczego nie zauważył, tylko prosił ze skargą w głosie:

— Nie wzywaj tego człowieka, nie wzywaj jego imienia, jeśli on rzeczywiście zmartwychwstał. Jego krew przecież padła i na mnie.

Światło zniknęło tak samo nagle, jak się zjawilo. Oślepiiony wzniosłem rękę, pragnąc zatrzymać to błogie uczucie. Ale już z powrotem padł na mnie posępny cień murów i odczuwając ciężar własnego ciała wróciłem na ziemski padół. Spoglądałem na oświetlane blaskiem zachodzącego słońca strome szczyty za doliną i myślałem rozsądnie, że to jakaś błyszcząca powierzchnia na moment odbiła na mnie jego promień. Tak właśnie lusterkiem rzuca się „zajączki”, igrając ze światłem.

Trwała jednak we mnie świadomość rzeczywistej obecności Jezusa i jego Królestwa. Ta skryta świadomość była silniejsza od mojego rozsądku: chciałem wierzyć. W duchu myślałem: „Czemu niepotrzebnie się spieszę, dlaczego chciałbym wszystko wiedzieć natychmiast i w pełni?”

— No chodź — chwyciłem ślepcę za rękę. — Jeszcze tylko parę kroków i będziemy w mieście.

— Droga jest stroma — ślepiec opierał się i wyrwał. — Dokąd mnie wieszysz? Chyba nie zamierzasz wciągnąć mnie na szczyt i zepchnąć w przepaść, żeby się odegrać za tego, do którego ukrzyżowania się przyczyniłem?

— Niewiele o nim wiem, ale nie przypuszczam, by zmartwychwstał, żeby się mścić. Nie, na pewno nie.

Wartownicy w bramie znali ślepcę i pozdrawiając go jakimś złośliwym przewiskiem pytali, ile w ciągu dnia zdołał zebrać. Zapewne przeszukaliby go, gdyby nie moja obecność. Mnie się o nic nie pytali, ponieważ materiał mego pozbawionego frędzli płaszczka i wypomadowana głowa mówiły same za siebie.

Ślepiec uspokoił się, gdy usłyszał głosy wartowników. Wymacał laską znajomą drogę, wyrwał mi się i zaczął uciekać. Koło bramy był mały plac, przy którym siedzieli kalecy i wyciągając dłonie monotonnymi głosami prosili o jałmużnę. Miasto kończyło roboty wieczorne, z domów unosiły się zapachy gorącej zupy, pieczonego chleba, czosnku i oliwy.

Ślepiec wyprzedził mnie znacznie. Wymachiwał laską i po imieniu wołał swoich kompanów.

— Izraelici, człowiek, który idzie ze mną, przyprowadził mnie tu. Świadczę, że jest opętany. W moim ręku przemienił kamień w ser, wzywając imienia ukrzyżowanego Jezusa. Ukamienujcie go! Na pewno jest uczniem tamtego i ściągnie na nas złe moce!

Po omacku chwycił garść świeżego łajna i cisnął w stronę, skąd dochodziły go odgłosy moich kroków. Trafił i pobrudził mi płaszcz. Widząc to, żebracy ujęli go, prosili mnie o wybaczenie, a jego ostrzegali:

— Czyś ty postradał nie tylko oczy, ale i rozum? Przecież to bogaty cudzoziemiec! Jakże taki mógłby być uczniem Nazarejczyka? On nie jest Galilejczykiem, to widać po jego twarzy.

Jeden przez drugiego zaczęli szlochać, wyciągać błagalnie ręce i demonstrować swoje kalectwo. Rozdzieliłem między nich parę groszy, a potem zdjąłem zabrudzony płaszcz, narzuciłem go na ślepcę i śmiejąc się głośno powiedziałem:

— Masz ten płaszcz, który tak chciwie obmacywałeś. Niech ci się w życiu przyda, abyś nie marzył, jeśli kiedyś zostaniesz na noc przy drodze, bo nie znajdzie się nikt, kto by cię odprowadził.

— No, czy teraz wierzycie, że jest opętany?! — ślepiec wygrażał pięściami i krzyczał do swych towarzyszy. — Gdybym go uderzył w jeden policzek, on nadstawiłby mi drugi! Taki jest głupi!

Te słowa zwiększyły mą radość. Być może wypełnianie nauk Jezusa Nazarejskiego nie jest aż tak niemożliwe, jak początkowo myślałem, bo oto gdy spróbowałem odpłacić dobrem za zło, ogarnęła mnie radość i uczucie pewności, że tak właśnie należy postępować. Gdybym pobił ślepcę albo oskarżył go przed wartownikami, wówczas wyrządziłbym większe zło, niż mnie wyrządzono.

Żebracy przypochlebnie wtórowali mi śmiechem i tłumaczyli swemu kamratowi:

— Ależ on nie jest opętany, tylko pijany, nie widzisz tego? Tylko pijany mógł oddać ci ściągnięty z własnych pleców płaszcz! Tylko ten, kto ma w czubie, mógł cię prowadzić do miasta i śmiać się, gdy mu ubliżałeś.

W pewnym sensie mieli rację, choć to nie wino, a jakieś nieziemskie upojenie szumiało mi w głowie i zmuszało do głośnego śmiechu; przez to upojenie nie wstydziłem się ludzkich spojrzeń, kiedy szedłem przez miasto jedynie w tunice. Powtarzałem w duchu, że przecież wszystko można było wcześniej przygotować, tylko nie ten wyschnięty ser, który wytropił ślepiec w stercie identycznych okrągłych kamieni.

Żona syryjskiego handlarza aż klasnęła w ręce, ujrawszy mnie wchodzącego do domu w samej tunice, a mój gospodarz bardzo się przestraszył, bo sądził, że dostałem się w łapy rozbójników. Ale ja tylko się śmiałem, gdy zaś wysłałem go, by kupił mi nowe szaty, uspokoił się i też myślał, że się upiłem i gdzieś zgubiłem płaszcz.

Wielokrotnie prosząc mnie o wybaczenie, przyniósł bardzo ładny pasiasty płaszcz wełniany, ozdobiony w rogach maleńkimi frędzelkami. Skubał i miętosił materiał, aby zademonstrować, że to doskonała i bezbłędnie ufarbowana judejska wełna. Zapewnił mnie również, że wytargował dla mnie przystępną cenę, i wyjaśnił:

— To żydowski płaszcz, bo gdybym chciał kupić zagraniczny, musiałbym iść aż na forum i zapłacić wielokrotnie drożej. Te frędzelki można obciąć, chociaż nikt nie zabroni ci ich nosić, zwłaszcza jeśli nadal będziesz zapuszczać brodę. Sam też się boję i szanuję Boga Izraela. Niekiedy chodzę do przedsionka Świątyni i składam dar w puszcę ofiarnej, żeby mi handel dobrze szedł.

Spoglądał na mnie z chytrym uśmieszkiem w czarnych oczach i dokładnie rozliczył

się z pieniędzy, kładąc po jednej monecie na mojej dłoni. Chciałem mu zapłacić za usługę, ale zaprotestował podniesieniem ręki i rzekł:

— W żadnym wypadku nie wezmę od ciebie ani grosza, bo sklepikarz zapłacił mi już za pośrednictwo. Jesteś dziś zbyt hojnie nastawiony, więc nie wychodź wieczorem z domu. Idź do pokoju i śpij, aż wytrzeźwiejesz. Przedtem zjedz zupę, którą ugotowała moja żona. Ona dodaje dużo cebuli i takie przyprawy, że jutro głowa nie będzie cię bolała. — Ponieważ się nie ruszałem z miejsca, zaniepokojony pokręcił głową, rozłożył ręce i zawołał: — Dobrze już, dobrze, życzę ci jak najlepiej. Skoro jednak tak bardzo chcesz, pošlę syna, żeby kupił jeszcze miarkę słodkiego wina, ale proszę, nie pij więcej i nie łaź nocą po schodach. Jeszcze złamiesz kark albo wpadniesz w złe towarzystwo.

Usiłowałem się bronić i mamrocząc wyjaśniałem, że wcale nie jestem pijany. Wzniósł ręce w geście rozpaczony i rzekł:

— Twarz ci płonie, a oczy błyszczą, więc niech będzie, jak chcesz. Poślę po młodą niewiastę, która obcuje z cudzoziemcami. Ale ona może przyjść dopiero po zmroku, inaczej straciłaby dobrą opinię. Weź się w garść do jej przyjścia. Ona zatrzyma cię w łóżku, zaśniesz jak niemowlę. Nie potrafi grać ani śpiewać, ale jest zdrowa i pięknie zbudowana, na pewno uspi cię bez śpiewania kołysanek.

Był głęboko przekonany, że mnie rozumie i wie, czego potrzebuję. Z wielkim trudem udało mi się wyperswadować te pomysły. Ku jego zadowoleniu położyłem się, osobiście okrył mnie nowym płaszczem. Po pewnym czasie jego córka przyniosła parującą misę z treściwą zupą. Oslaniając ręką usta i wstydliwie chichocząc patrzyła, gdy jadłem. Pikantna zupa aż paliła w gardle, a dzięki jej ciepłu jeszcze wzrosło we mnie zawrotne wrażenie dobrego samopoczucia.

Dziewczyna napełniła dzban wodą, lecz po jej wyjściu nie mogłem wytrzymać w łóżku. Cichutko, na palcach wyszedłem na płaski dach, nad którym płonęły gwiazdy; otulony nowym płaszczem słuchałem milknących odgłosów miasta i oddychałem rześkim powietrzem. Od czasu do czasu delikatny powiew wiatru musnął rozpaloną twarz, a mnie się wydawało, że to nie wiatr, ale czyjaś niewidzialna ręka. Drżał we mnie czas ziemski i padał wokół pył ziemny, jednakże po raz pierwszy w życiu coś mnie zapewniało, że jestem czymś więcej niż tylko prochem i cieniem. Ta świadomość uczyniła mnie cichym i pokornym. W ciemności nocy słałem modlitwę: „Zmartwychwstały synu Boga, zabierz z mego umysłu całą zbędną wiedzę. Przyjmij mnie do swojego Królestwa. Zaprowadź do jedynej drogi. Może jestem wariat, chory, zaczarowany przez ciebie. Ale wierzę, że na tym świecie nie ma większego niż ty.”

Obudził mnie rozdzierający ryk świątynnych trąb. Jutrzenka barwiła skraj nieba i pierwsze promienie słońca oświetlały odległe szczyty gór, ale miasto wciąż pozostawało pod władzą sinawej szarości. Umysł miałem jasny, choć skostniałem i dygotałem z zimna. Otuliłem się szczelnie połami płaszcza, wróciłem do pokoju i wśliznąłem się do łóżka. Chciałem się wstydzić nocnych rozmyślań, lecz nie potrafiłem. Stan upojenia przeszedł, ale nadal byłem jakby natchniony. Dlatego siedziałem w domu i spokojnie hodowałem brodę, beznamiętnie opisując w dzienniku wszystko, co mi się ostatnio wydarzyło. Kiedy skończę, pójdę do Bramy Wodnej. Gdzieś we mnie tkwi przekonanie, że wszystkie moje dotychczasowe i przyszłe przeżycia mają swój cel, że ktoś je dla mnie

zaplanował, i to przekonanie napawa mnie poczuciem bezpieczeństwa. Może pisałem o bzdurach, ale nie wstydzę się jednego słowa.

LIST SZÓSTY

Marek do Tulii.

Pozdrawiam Cię jak obcą mi przeszłość. Nasze gorące noce w Bajach wspominam jak coś, co wydarzyło się komu innemu. To było zaledwie rok temu, a jakby już minęły długie lata. Kilka ostatnich dni było dla mnie latami. Oddaliłem się od Ciebie, zmieniłem, jestem innym Markiem. Już byś mnie nie rozumiała. Gdy myślę o Tobie, wydaje mi się, że ironicznie uśmiechasz się, czytając moje wyznania.

Żyjesz w świecie, który kiedyś i dla mnie był ważny. Obserwujesz, kto Cię wita i jak. Dobierasz starannie biżuterię, którą masz założyć na wieczorne przyjęcie urządzone dla uradowania przyjaciół, a ta staranność ma doprowadzić do wściekłości zawistnych lub rozdrażnionych wrogów. Gładkie ciało otulasz cieniutkim jedwabiem. W oszlifowanych płytach marmurowych ścian studiujesz własną sylwetkę. Ostro karcisz niewolnicę, która źle utrefiła Ci włosy. Wieczorem uśmiechasz się lekko, wznosząc toast czarą wina i udając, że słuchasz wywodów filozofów czy historyków, lub zachwycasz się najnowszymi piosenkami; zawieszasz pantofelek na czubku palców, aby każdy, kto siedzi obok, dostrzegł, jak maleńkie i białe są Twoje stopy. Pozornie słaba, jesteś jednak mocna i wytrzymała. Kierowana żądzą użycia, potrafisz całe noce wytrwać w skwarnym Rzymie. W doborowym towarzystwie od niechcenia spożywasz ostrygi i owoce morza, jakby od tego zależało Twoje życie. A jeśli znużysz się igraszkami miłosnymi, zażadasz pokrzepiającego posiłku, aby móc kontynuować rozkosz.

Tak Cię teraz postrzegam, Tulio. Jesteś mi jakby cieniem, odbiciem w zwierciadle czy oszlifowanym klejnotem. Ten cień już mnie nie kusi, jak to było zimą w Aleksandrii, kiedy na próżno chciałem Cię zapomnieć. Czym innym pochłonięte są teraz moje myśli i nie ma w tym mego udziału. Już byś mnie nie poznała, Tulio, i chyba ja też nie poznałbym Ciebie. Odtąd będę pisał dla siebie, a nie do Ciebie, chociaż wysyłam Ci pozdrowienia. Będę pisał, aby badać siebie i wszystko, co mi się przydarza. Mój dobry nauczyciel na Rodos uczył, aby spisywać nie tylko to, co już przedtem przez kogoś zostało opisane, ale to, co widziałem na własne oczy i usłyszałem na własne uszy. Nie, teraz już nie piszę dla zabicia czasu i rozproszenia tęsknoty. Nie stajesz już blisko mnie, tylko oddalasz się coraz bardziej. I nie czuję z tego powodu przygnębienia, Tulio, nie czuję, abym coś utracił!

Nawet mnie nie obchodzi, czy kiedykolwiek ujrzysz to, co napisałem. Jednak pozdrawiam Cię. Dałaś mi przecież, oprócz rozkoszy i uniesienia, jedyną prawdziwą przyjaźń. Sprawy tego świata rozumiesz lepiej i doskonalej ode mnie. W gruncie rzeczy to Twoim manipulacjom zawdzięczam niezbyt uczciwie zdobyty testament, który uczynił mnie bogatym, wobec czego mogę żyć wedle własnej woli, nie słuchając nikogo i nikomu nie schlebiając. Jesteś mądra, drapieżna, żądna władzy, a przez ten rok zapewne jeszcze rozwinęłaś swoją sztukę. Nie zgorszyłabyś się słysząc te słowa. Przeciwnie, uznałabyś je za najlepszy komplement. Władzę twoich oczu, ust, szyi i ciała znasz najlepiej sama. Lecz nawet Twoje ciało nie wiąże mnie już z Tobą. Przepelniony jestem czym innym.

Brodaty, w zwykłych trzewikach na nogach i pasiastym żydowskim płaszczu na ramionach, pomaszerowałem znowu wczoraj do Bramy Wodnej. Ręce i paznokcie mam zaniedbane, nie postarałem się nawet

o pumeks, żeby zetrzeć plamy z atramentu na palcach prawej ręki. Ja, przyzwyczajony do łaźni i ciepłej wody, myję się w zimnej wodzie, bo kiedy poszedłem do kąpieliska męskiego gimnazjonu przy placu Heroda, wyproszono mnie z uwagi na brodę. Nie depiluję ciała, które stało się ciałem zarośniętego barbarzyńcy. Ale nie martwię się i wcale nie cierpię z tego powodu. Chcę się wtopić w otoczenie, aby mi bardziej ufano, choć od czasu do czasu wracam do starych nawyków, w których wyrosłem.

Nie mogę przy tym powiedzieć, bym kochał to miasto albo ten naród. Wielokrotnie widziałem Świątynię, w blasku słońca lśniąca marmurem i złotem. Wieczorna zorza nadawała jej złowieszczą barwę. Wczesnym rankiem przypominała błękitnawy sen. Z ołtarzy ofiarnych wznosi się codziennie gęsty dym na cześć ich Boga. Ale ta Świątynia jest mi obca. Nie czuję do niej takiego nabożeństwa, jakie czują Żydzi. Nie jest dla mnie świętością. Większą i potężniejszą świętością była dla mnie świątynia Artemidy w Efezie. I Antiochia. I Rodos. I Ateny. Nie mówiąc już o Forum Romanum.

Nie, nie kocham tego miasta, którego lud wziął na siebie krew Jezusa. Kiedy wychłostany Jezus ślaniał się, idąc na miejsce kaźni, a niewiasty jerozolimskie płakały nad nim, słyszano, jak powiedział, że powinny raczej płakać nad sobą i swoimi dziećmi. Nic nie mogę na to poradzić, że gdy patrzę na Świątynię, ogarnia mnie przeczucie nieszczęścia. Pamiętne trzęsienie ziemi z góry na dół rozerwało w niej zasłonę na pół, a drugie trzęsienie zburzyło wiele stopni wiodących do przybytku. To znamienne znaki ostrzegawcze.

Tak więc pod wieczór poszedłem do Bramy Wodnej. W ciasnych uliczkach roił się tłum, rozbrzmiewały wszystkie języki świata, pobrzękiwały dzwoneczki wielbłądów, ryczały osły. Święte miasto żydowskie zajmuje godne miejsce wśród innych stolic, ale czuję do niego odrazę i żal.

Pod wieczór, po skończonej pracy, wszystkie miasta są dla cudzoziemca jednakowo smutne. Wolność i niezależność od drugiego człowieka to bardzo cenne wartości, lecz wieczorem w obcym mieście samotność jest gorzkim darem.

Serce żarzyło mi się cichym oczekiwaniem, choć poczucie samotności drażyło myśli.

Równocześnie cały byłem radością, jako że miałem na co czekać. Wiem, że żyję w dniach oczekiwania na przekształcenie się świata. On powstał z grobu, jego Królestwo wciąż jest na ziemi. Tylko nieliczni o tym wiedzą i wierzą w to, a i oni wątpią w sercu, bo nigdy dotąd nie zdarzyło się nic podobnego. Ja też wątpię, ale wątpię wierząc, mając nadzieję, oczekując, że wydarzy się coś, co wszystko wyjaśni.

Przy bramie siedziało już tylko kilku żebraków, którzy nie znali mnie, a ślepcą nie dostrzegłem nigdzie. Spod arkad wyszły kobiety niosące na głowach odwrócone dzbany i zawzięcie trajkoczące między sobą. Nawet nie pofatygowały się, by unieść rąbków szat i przysłonić usta, tak im byłem obojętny.

Niebo zgranatowiało. Mrok gęstniał. Zabłyśły trzy gwiazdy. Wartownicy zapalili pochodnię żywiczną, tkwiącą w uchwycie przy bramie. Ogarniało mnie zniechęcenie. Tak się przygotowywałem, byłem gotów dzień w dzień wracać tu, do bramy, aby otrzymać znak! Miałem już zamiar wracać, ale jeszcze zwlekałem, bo właściwie było mi wszystko jedno, gdzie będę. I nagle spod arkad wynurzył się mężczyzna. Na ramieniu niósł dzban, który podtrzymywał ręką, lecz nie tak umiejętnie jak kobiety. Szedł powoli, patrząc pod nogi, aby się nie potknąć. Kiedy zniknął za zakrętem stromo pnącej się w górę uliczki, poszedłem w ślad za nim. Uliczka zmieniła się w płaskie schody. Słyszałem, jak ciężko stąpa i dyszy pod ciężarem dzbana. Szedłem kilka kroków za nim.

Szliśmy długo. Bez pośpiechu wchodziliśmy coraz głębiej w górną część miasta. Zauważyłem, że skręca w różne strony, jakby kluczył. W odludnym zaułku postawił dzban na ziemi, podtrzymał go ręką, oparł się o ścianę i czekał. Podeszedłem bliżej i zatrzymałem się nic nie mówiąc. Długo tak staliśmy obok siebie, opierając się o ścianę. Wreszcie odsapnął, odwrócił się do mnie, pozdrowił i zapytał:

— Czy zabłądziłeś?

— Pokój tobie — odrzekłem.—Dróg jest wiele i wiele prowadzi na manowce.

— Są tylko dwie drogi — zauważył filozoficznie. — Jedna prowadzi do życia, druga ku śmierci.

— Dla mnie istnieje tylko jedna droga. Własnymi siłami jej nie znajdę, ale mam nadzieję i ufam, że ktoś mi pomoże.

Bez słowa podniósł dzban na ramię i ruszył w drogę. Szedłem obok niego, czemu się nie sprzeciwiał. Po chwili zaproponowałem:

— Schody są strome. Czy mogę ci pomóc? Bo znowu się zasapiesz.

— Dostałem zadyszki nie od ciężaru dzbana wody, tylko ze strachu. Nie sądzę, aby z tego wynikło coś dobrego.

Pozwolił mi wziąć dzban, który wcale nie wydał mi się ciężki, sam zaś szedł przede mną i ostrzegał przed nierównościami, abym się nie potknął. Zaułek był brudny i śmierdział moczem. Powalałem buty.

Dom, do którego doszliśmy po schodach, był duży i najwyraźniej zamożny. W świetle gwiazd nie widziałem zbyt dobrze. Mój przewodnik zastukał do bramy, którą natychmiast otworzyła jakaś kobieta. Bez słowa zabrała ode mnie dzban i złożyła pełen

szacunku uklon owemu mężczyźnie, który najwidoczniej nie był sługą, jak myślałem.

Służąca zaprowadziła mnie na wewnętrzny dziedziniec ocieniony drzewami. Naprzeciw wyszedł młody chłopiec, może piętnastoletni, powitał mnie powściągliwie:

— Pokój tobie. Ojciec i stryj udali się do swoich pokojów, pozwól więc, że zaprowadzę cię do sali gościnnej. Chcesz umyć ręce?

Nie czekając na odpowiedź służąca szczerze wylała na moje ręce wodę z dzbana, który przyniosłem, jakby chciała pokazać, że w tym domu nie brakuje wody. Chłopiec wyciągnął do mnie ręcznik i rzekł:

— Nazywam się Marek. — Wycierając mi ręce z takim zapałem, jakby go rozpiekało poczucie własnej ważności, dodał: — Byłem tej nocy z Mistrzem, kiedy przyszedł go aresztować. Nagi wyskoczyłem z łóżka, żeby go ostrzec, bo wiedziałem, że przebywa w ogrodzie Getsemani. Mnie też złapali, ale zostawiłem w ich rękach prześcieradło i goły uciekłem.

— Przestań trajkotać, Marku — łagodnie ostudził jego zapal mój przewodnik. Ale i on pozbywszy się w bezpiecznym miejscu bojaźni, był pełen cichego entuzjazmu. — Nazywam się Nataniel. Nie widzę powodu, by skrywać przed tobą moje imię. Spotkałem go na drodze do Emmaus tego samego dnia, kiedy rano wyszedł z grobu.

— Ale go nie poznałeś — ze swadą wtrącił chłopiec, a Nataniel uspokajająco położył mu rękę na ramieniu.

Marek ufnie wziął mnie za rękę chłopięcą, nie przywykłą do fizycznej pracy dłonią. Wprowadził mnie schodami na płaski dach, a stamtąd do ogromnego pomieszczenia, słabo oświetlonego lampą. W kątach sali zalegał mrok; na środku stał wielki stół, a wokół niego dużo miękkich siedzisk. Widocznie urządzano tu ludne przyjęcia.

W półmroku oczekiwali dwaj mężczyźni. Stali ramię w ramię obok siebie w zupełnej ciszy. Jednego z nich poznałem. Był to ów młody Jan, którego widziałem w towarzystwie niewiast pod krzyżem. Patrzyłem na niego w słabym świetle lampy, ale dostrzegłem niewysłowioną czystość tej młodej twarzy. Drugi mężczyzna był starszy, miał czoło poorane zmarszczkami i wpatrywał się we mnie podejrzliwie.

— Pokój wam — powiedziałem.

Nie odpowiedzieli. Po dłuższej chwili Jan pytająco spojrział na starszego mężczyznę, zachęcając go do mówienia, tamten jednak nadal nieufnie oglądał mnie od stóp do głów. Milczenie stawało się przytłaczające. Przerwał je Nataniel, mówiąc usprawiedliwiająco:

— Szedł za dzbanem.

— Szukam jedynej drogi — zapewniłem gorliwie w obawie, że ci dwaj odtrąca mnie.

Podejrzliwy mężczyzna widocznie uznał, że wystarczająco długo mnie lustrował, skinął przyzwalająco ręką i rozkazał:

— Natanielu i Marku, wyjdźcie i pilnujcie podwórka, żeby nikt tu nie wszedł. — Wielkim kluczem zamknął za nimi drzwi i rzekł:

— Pokój tobie, cudzoziemcze. Czego chcesz od nas? Boję się, że droga, której szukasz, jest dla ciebie zbyt wąska.

— Och, Tomaszu — rzekł z wyrzutem Jan — zawsze każdego podejrzewasz. — I zwrócił się do mnie pogodnie: — Kto szuka, ten znajdzie, a kto puka, będzie mu otworzone. Mówiono nam, że jesteś cichy i pokornego serca. Stukałeś gorliwie. Dlatego otworzyliśmy ci bramę.

Wskazał mi siedzisko i sam usiadł naprzeciw, patrząc na mnie serdecznie przejrzytymi jak kryształ oczyma. Po chwili wahania Tomasz również usiadł i rzekł:

— Jestem jednym z tych dwunastu, o których ci opowiadano. On sam nas wybierał na apostołów i towarzyszyliśmy mu. Jan jest z nas najmłodszy. Muszę na niego uważać, bo jest prostoduszny. Nie oskarżaj nas o zbytnią ostrożność. Sam wiesz, że rada spreparowała oskarżenia również przeciwko nam. Twierdzi, że zawiązaliśmy spisek i chcemy spalić Świątynię. Oskarża się nas, że zamordowaliśmy tego spośród nas, który zdradził. Czemu nie miałbym się przyznać, że między sobą kłóciliśmy się o ciebie? Byłem ci najbardziej przeciwny, poza Piotrem, który nie chce nawet słyszeć o tobie, bo jesteś cudzoziemcem. Ale Maria Magdalena przemawiała za tobą.

— Znam go — bronił się Jan. — Na własne oczy widziałem go przy krzyżu i wiem, że nie przyłączył się do szyderców.

— Ja też cię widziałem, a i słyszałem o tobie — rzekłem. Trudno było na niego nie patrzeć, bo nigdy nie widziałem tak urodziwej, tak promiennej twarzy. I nie była to uroda marmurowego posągu, nie, malowała się na niej żywość myśli i namiętność, a jednocześnie spokój i ciepło, które promieniowało ku mnie.

— Więc czego chcesz od nas? — spytał nieprzychylnie Tomasz.

Pomyślałem, że chce osłaniać przed obcym wspólną tajemnicę apostołską, i rzekłem pokornie:

— Proszę tylko, abyście mi wskazali drogę.

— Zanim Jezusa zatrzymali — Tomasz mimo woli spojrzął na Jana

— zapewnił nas, że w domu jego Ojca jest dużo miejsca. Powiedział, że idzie szykować te miejsca dla nas, dla tych dwunastu, chyba myślał o nas, chociaż Judasz go potem zdradził. A on rzekł: „Znacie drogę, jaką ja idę.” — Potarł pomarszczone czoło, w oczach miał wyraz zagubienia. — Wtedy powiedziałem, że nie wiemy, dokąd idzie. Skąd więc możemy znać drogę? Teraz ty, cudzoziemcze, pytasz mnie o drogę, a przecież ja jej nie znam.

— Tomasz, Tomasz, ależ on ci odpowiedział! — przypomniał Jan. — Rzekł, że sam jest drogą, tak właśnie, drogą i prawdą. Nie możesz twierdzić, że nie znasz drogi!

Lecz zdenerwowany Tomasz zerwał się na równe nogi, pięścią uderzył o drugą dłoń i krzyknął:

— Co to znaczy? Nie rozumiem, wytłumacz mi!

Jan wyraźnie miał ochotę wyjaśnić, ale chyba się mnie krępował. Po namyśle wtrąciłem się do rozmowy, mówiąc:

— Trzeciego dnia wstał z grobu.

— No właśnie — podchwycił Jan. — Maria Magdalena przybiegła i powiedziała, że głąz odsunięty jest z wejścia. Pobiegliśmy tam, Piotr i ja, i zobaczyliśmy pusty grób.

— Tak, tak — ironizował Tomasz — Maria Magdalena widziała aniołów i ducha ogrodnika.

— Ogrodnika? — zapytałem z przestachem i zadygotałem.

— E tam, babskie gadanie — ciągnął Tomasz, nie zwracając uwagi na moje zdenerwowanie. — Podobnie Nataniel i ten drugi, gdy szli do Emmaus. Nawet go nie poznali!

— W tym pokoju zjawił się nam tego samego wieczoru, kiedy przerażeni siedzieliśmy za zamkniętymi drzwiami — rzekł Jan z pełnym przekonaniem. — Był z nami, mówił do nas i coś nam zaproponował, o czym ledwie można się ośmielić myśleć, nie mówiąc o tym, by opowiadać obcemu. Zapewniam cię, zjawił się u nas żywy i odszedł tak samo, jak przyszedł, i myśmy uwierzyli.

— Pewnie, że tak — szydził Tomasz. — Jesteście tak samo nieprzytomni jak Nataniel i ten drugi, jak Maria. Mnie tam nie było i nie wierzę w takie widzenia. Nie uwierzę, jeśli na własne oczy nie ujrzę śladu po gwoździach w jego rękach i nie włożę palca w miejsce gwoździ. Nie, nie uwierzę! To moje ostatnie słowo!

Te jego słowa i niewiara tak zmartwiły Jana, że zasłonił twarz. Ale nie zaprotestował. Myślę, że zwątpienie Tomasza podkopało wiarę tych, którzy na własne oczy widzieli, lecz teraz po cichu zaczęli się w ogóle bać widzeń. Ogarnęła mnie dziwna radość i rzekłem zdecydowanie:

— Nie potrzebuję widzieć, żeby uwierzyć. I tak wiem, że zmartwychwstał i wciąż jest na ziemi. Będę cierpliwie czekać. W tych dniach już się wydarzyły i na pewno jeszcze wydarzą takie rzeczy, jakich dawniej nie było.

— Przecież nie jesteś synem Izraela — złośliwie wtrącił Tomasz — chociaż nosisz przy płaszczu frędzle prozelity. Zastanawiam się, dlaczego tak uparcie nas szpiegujesz? Boję się twoich zamiarów. Wiem, że byłeś gościem namiestnika w twierdzy Antonia. Chyba chcesz zapędzić nas w pułapkę, żebyśmy sami siebie doprowadzili do drzewa krzyża albo do ukamienowania we wnęce muru. — Wykręcając guzowate palce niespokojnie wpatrywał się przed siebie i ciągnął: — Czy kiedyś widziałeś, jak kamieniają człowieka? Ja widziałem i nie chciałbym doświadczyć tego na własnej skórze. W każdym razie nie teraz, kiedy Jezus umarł, i to niezależnie od tego, czy grób był pusty czy nie.

— To co jeszcze robisz w Jeruzalem? — spytałem niegrzecznie.

— Czemu szybciotko nie ruszysz w drogę i nie wracasz do domu, do roboty? Na co czekasz?!

Jego spojrzenie przygasło. Robił takie wrażenie, jakby przywykł do słuchania rozkazów i nie mógł się bez nich obejść. Przesuwając palcami po płaszczu rzekł obronnym tonem:

— Przecież nie mogę odejść sam. Moim zdaniem tracimy tu tylko czas. Najrozsądniej byłoby na jakiś czas iść gdzieś na pustynię, a potem każdy powinien wrócić do swojego domu. A my tylko gadamy tak i siak, kłócimy się i nie możemy wspólnie się na nic zdecydować.

— Nie masz już domu, skoro Mistrz cię wybrał — przypomniał Jan, spoglądając na niego przejrzystymi oczyma. — Sam porzuciłeś narzędzia i poszedłeś za nim. Kto ogląda się za siebie i opuści rękę na uchwyt pługa, nie jest godny jego królestwa. On sam tak powiedział. Nie, Tomaszu, nie ma dla nas powrotu do dawnego życia.

— Jakie jest jego królestwo? — spytałem pospiesznie.

— Z pewnością nie takie, jak myśleliśmy, cudzoziemcze — odparł Tomasz, żartobliwie potrząsając głową. Znowu pięścią walnął o dłoń i krzyknął w bezsilnej wściekłości: — Czyż nie byłem gotów zamienić płaszcz na miecz i umrzeć razem z nim i w jego obronie? Boże, zmiłuj się, przecież on, syn Boży, miał władzę i moc, aby zrobić, co chciał. Tymczasem bez słowa, jak baranek, pozwolił przybić się do krzyża i zostawił nas na pastwę losu, a my nie wiemy, w co wierzyć i dokąd się zwrócić. — Po chwili dorzucił: — Kiedy człowieka kamieniują, z ust płynie mu krew, z nosa wali krew i smarki, krzyczy i płacze, kał i mocz ciekną po jego szatach, zanim wyzionie ducha. Dlaczego sami poddaliśmy się takiemu losowi, kiedy on nas opuścił?

— Wszyscy byliśmy jednakowo słabi, gdy nadeszła owa chwila

— rzekł Jan z przekonaniem, łagodnie dotykając jego ramienia.

— Pamiętaj, że obiecał przysłać nam obrońcę.

Tomasz go szturchnął, jakby tymi słowami Jan wyjawiał jakąś ich tajemnicę, i chcąc zatrzeć wrażenie, jakie na mnie wywarły, mówił gorączkowo:

— Łatwo ci mówić, Janie. Nie przeszedłeś twardej szkoły życia. Byłeś pupilkiem ojca, ty i twój brat, komenderowałeś starszymi od siebie. A ja, kiedy mnie wezwał, poszedłem za nim, by bronić pracujących i ciemężonych. Ale jaką korzyść przyniosła ciemężonym jego absurdałna śmierć, tego nie mogę pojąć. Wystawił tylko siebie i nas na pośmiewisko rady i Rzymian.

Nie udało mu się jednak zwiść mnie na manowce. Zaciekawiony spytałem:

— Co powiedziałeś o obrońcy?

Patrzyli na mnie w milczeniu. Mieli zupełnie różne rysy twarzy, a jednocześnie było w tych rysach coś identycznego, co je łączyło. Przez to ich milczenie poczułem się nieodwołalnie wykluczony z ich kręgu. Przypomniałem sobie słowa Marii Magdaleny o wyglądzie wybranych apostołów i teraz zrozumiałem ich sens. Wiedziałem, że w tłumie ludzi rozpoznałbym po twarzach nie tylko tych dwóch, których spotkałem, ale i wszystkich pozostałych apostołów, choć ich nigdy nie widziałem.

Milczenie się przeciągało i zrozumiałem, że mimo dobrej woli Jana uznano mnie za intruza. Powiedziałem więc bezradnie:

— Dobrze wam życzę. Nie jestem obrzezanym Żydem i nie zamierzam nim zostać. Ale słyszałem, że Jezus był miłosierny również dla Samarytan, których Żydzi odrzucają. Podobno uzdrowił nawet sługę dowódcy garnizonu rzymskiego w Galilei, ponieważ ten uwierzył w jego wszechmoc. Ja także wierzę w jego władzę i moc. Wierzę, że nadal żyje i przyjdzie jeszcze do nas. Jeśli tak, to błagam was, nie zostawiajcie mnie w ciemnościach. Na pewno mu nie zaszkodzę! Jakże człowiek może zaszkodzić mężowi, który po wstaniu z grobu wchodzi i wychodzi przez zamknięte drzwi? Wam też nie chcę wyrządzić szkody. Przeciwnie, jeśli będę mógł, pomogę wam. Mieszkam w pokoju gościnnym Karanthesa, syryjskiego kupca, w pobliżu pałacu Hasmoneuszy. Mam znaczny majątek i gotów jestem wam pomóc również materialnie, jeśli będzie trzeba.

— Udowodnij to — rzekł Tomasz, wyciągając pełną odcisków rękę.

— Takiej pomocy nie potrzebujemy, przynajmniej na razie — odrzucił moją propozycję Jan. — Moja rodzina jest zamożna, Mateusz też nie jest biedny, a Mistrz miał bogatych zwolenników, którzy opłacali nasze wędrowniki, kiedy sami nie mogli mu towarzyszyć. Nie, nie, ani chleba, ani odzienia nie potrzebujemy, tylko i wyłącznie tego, co on sam mógł nam ofiarować. Jeśli jeszcze wróci, nie zapomnę o tobie. Ale nie mogę cudzoziemcowi zdradzać tajemnic, które nam powierzył.

— Boję się, że popełniliśmy błąd, słuchając Marii. Ta ciekawość obcego brzydko mi pachnie — stwierdził Tomasz i odwracając się do mnie zagroził: — Pamiętaj, że kiedy chodziliśmy z nim, mieliśmy moc uzdrawiania chorych i wypędzania szatana. Teraz nasza moc być może jest słabsza, ale strzeż się! To nas wybrał do grona. Dopuszczaliśmy do niego, kogo chcieliśmy, i nie dopuszczaliśmy kogoś, kogośmy nie chcieli. Skoro nawet jeden z naszej dwunastki okazał się zdrajcą, to jak możemy mieć zaufanie do kogokolwiek z zewnątrz?

— Nie boję się ciebie ani twojej mocy — oświadczyłem. — Nie słyszałem, aby Jezus wykorzystał swoją moc nawet przeciwko tym, którzy go prześladowali, a ja przecież gorliwie go poszukuję.

— Och, co za wiedza! — kiął Tomasz. — Przecież w gniewie tak przeklął drzewo figowe, że uschło na naszych oczach, ponieważ nie znalazł na nim ani jednej dojrzałej figi. A wtedy nawet nie była na to pora.

— Raczej nie zrozumieliśmy, co miał wtedy na myśli — rzekł Jan.

— To była przypowieść, której nie pojęliśmy.

— On ludowi przedstawiał przypowieści, nam wszystko otwarcie wyjaśniał. Ale jeśli wtedy nie zrozumieliśmy, to jak teraz możemy pojąć? Dlatego byłoby najlepiej, gdybyśmy zaraz wyjechali z Jeruzalem.

— Niechaj będzie, jak chcesz — powiedziałem, zmęczony jego uporem i groźbami. — Przykro mi, że zawracałem wam głowę, gdy i bez tego macie dość kłopotów. Wyjechałem z Aleksandrii, aby szukać władcy świata, o którego narodzeniu mówiło wiele przepowiedni. Bo musicie wiedzieć, że znają je i inne narody, nie tylko Żydzi.

Symptomy koniunkcji, czyli połączenia gwiazd będącego zwiastunem jego narodzenia, obserwowano zarówno w Rzymie, jak i w Grecji. W Jezusie Nazarejskim, którego ukrzyżowano jako króla żydowskiego i którego śmierci stałem się naocznym świadkiem, odnalazłem władcę świata. Ale jego Królestwo jest inne, niż myślałem, i przypuszczalnie inne, niż wyście sądzili. Nie wierzę, abyście mogli mi przeszkodzić w odszukaniu drogi do Królestwa, o którym przekonało mnie jego zmartwychwstanie.

Łzy rozczarowania zapiekły mnie pod powiekami, odwróciłem głowę i przez te łzy patrzyłem na wielki pokój, którego kąty zasnuwał mrok. Na krótką chwilę ogarnęło mnie takie samo uczucie czyjejś obecności, jakie przeżyłem w domu Łazarza. Teraz wcale nie śniłem, przeciwnie, umysł miałem czujny i chłonny. Ogarnęła mnie ochota, by głośno wzywać go i powołać się na jego imię, jak uczyniłem w towarzystwie ślepcy, kiedy kamień przemienił się w ser w jego ręku. Ale obawiałem się postąpić tak w obecności tych dwóch mężczyzn. Przecież oni musieli znać jakieś tajemnice. Z pewnością zanim Jezus poszedł na śmierć, nauczył ich misterium, przez które miał spełnić się cel jemu jednemu wiadomy, dla nich jeszcze niepojęty.

Nie, jego imienia nie śmiałem głośno wzywać. Pokornie pożegnałem się i odwróciłem, aby wyjść. Tomasz poszedł przede mną chcąc otworzyć drzwi, ale na próżno kręcił wielkim drewnianym kluczem i przyciskał zasuwę. Szarpnął drzwiami i znowu kręcił kluczem — i nic.

— Te drzwi wypaczyły się i zaklinowały we framudze — mruczał ze złością.

— Nie szarp ich z taką wściekłością, bo zepsujesz zamek — ostrzegł Jan i poszedł mu pomóc. Ale też nie udało mu się otworzyć. Obydwaj ze zdziwieniem, a zarazem podejrzliwie popatrzyli w moją stronę, jakby to była moja wina, że nie mogą otworzyć drzwi. Poszedłem więc im pomóc, choć nie mam doświadczenia z drewnianymi zamkami i kluczami. Przekręciłem klucz i zamek odskoczył. Owionęło mnie chłodne nocne powietrze, a nad dziedzińcem ujrzałem rozgwieżdżone niebo i kometę, która złotą wstęgą przeleciała po niebie.

Zatrzaśnięte drzwi i lot komety odczytałem jako znak, że Jezus i jego Królestwo nie chcieli, abym się znalazł poza ich zasięgiem, choć życzyli sobie tego apostołowie. Bo oni nie dostrzegli w tym żadnych znaków. Tomasz ciągle obracał klucz w zamku i mruczał do siebie, że on, biedny człowiek, nie jest przyzwyczajony do kluczy i zamków, ponieważ nie posiada rzeczy, które warto by zamykać.

Obydwaj zostali na górze. Schodami podążyłem na dziedziniec, gdzie wyszedł mi na spotkanie Marek i zapytał z troską:

— Czy będziesz umiał trafić do siebie, cudzoziemcze? Już się zaczęła druga warta nocna.

— Nie martw się o mnie i o moje zdrowie. Wprawdzie zdyszany ze strachu Nataniel prowadził mnie tutaj okrężną drogą, abym nie wiedział, dokąd idziemy, ale sądzę, że znajdę drogę do dolnego miasta i mego gospodarza. Kierunek wyznaczą mi gwiazdy, a gdy znajdę teatr i forum, to one będą drogowskazem.

— Ojciec i stryj powierzyli mi funkcję gospodarza na czas twojej wizyty —

oświadczył Marek z dumą. — Nie poczęstowałem cię niczym, bo apostołowie nie zgodziliby się spożyć z tobą posiłku, ponieważ jesteś Rzymianinem. Pozwól mi dopełnić obowiązku gościnności przez odprowadzenie cię do domu.

— Jesteś młody — zaprotestowałem z uśmiechem — i potrzebujesz dużo snu. I tak przeze mnie długo czuwałeś.

— W takie noce sen nie przychodzi łatwo — zapewnił Marek.

— Zaczekaj chwilkę, wezmę tylko płaszcz.

Zaspana służąca łąła go przy bramie, ale Marek zaśmiał się, poklepał ją po twarzy i razem ze mną wyśliznął się na ulicę. Zauważyłem, że dla bezpieczeństwa wziął ze sobą laskę obciążoną ołowiem. To nie było najmilsze odkrycie, choć nie obawiałem się dorastającego młodziana. Prowadził mnie z ufnością prostą drogą w dół. Nie zauważyłem, by próbował wprowadzić mnie w błąd i utrudnić odnalezienie domu, w którym gościłem, choć początkowo podejrzewałem go o takie zamiary. W ciemniejszych miejscach prowadził mnie za rękę, żebym się nie potknął. Widziałem, że ma wielką ochotę na rozmowę, ale nie odważył się przerwać milczenia, ponieważ byłem bardzo nachmurzony, choć w głębi serca także pragnąłem pogadać. W końcu spytałem:

— Ty też znałeś Jezusa Nazarejskiego?

— Oczywiście, że go znałem — zapewnił Marek, mocno ściskając moją rękę. — Pomagałem przy szykowaniu i podawaniu wieczerzy, gdy razem z apostołami spożywał paschalnego baranka, zgodnie ze zwyczajem pustelników, w wigilię szabat. To był jego ostatni wieczór. I wcześniej też widziałem go i pozdrowiłem jako syna Dawida, kiedy wjeżdżał na grzbiecie osiołka do Jeruzalem. To mój ojciec podstawił osiołka w określone miejsce, żeby uczniowie mogli go znaleźć. Ludzie rozścielali przed nim swoje szaty na drodze, powiewali liśćmi palmowymi i wołali mu „Hosanna”. Dzięki mojemu ojcu i stryjowi dostał za darmo do swojego użytku tę salę na górze.

Moja ciekawość wzrosła, więc spytałem:

— Kim jest twój ojciec? Dlaczego czynił przysługi Jezusowi, nie bojąc się rady?

— Mój ojciec — cicho powiedział Marek i zasępił się — nie życzy sobie, żeby wymieniać jego nazwisko w związku z tą sprawą. Jest bogaty, ale należy do cichych i to chyba cisi prosili go o opiekę nad królem. Jezus nie chciał narazić mego ojca na przykrości, gdyby aresztowano go w naszym domu. Dlatego udał się na noc do Getsemani. Zdrajca Judasz znał oczywiście nasz adres i najpierw przyprowadził ich tu. Dobijali się do bramy, mieli pochodnie i broń. Wtedy wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem, żeby Jezusa ostrzec. Mój ojciec mógł bronić się przed radą stwierdzeniem, że stale wynajmuje ten duży pokój na wesela i uczy. Ponadto ma przyjaciół wśród starszych gminy. Oni chyba dobrze wiedzą, że po nadejściu mroku Galilejczycy ściągają ze swych kryjówek do domu ojca, ale nie chcą już powiększać zamieszania i prześladować ich po tak straszliwej zbrodni na synu Bożym.

— Czy on był synem Bożym? — zapytałem, chcąc wybadać młodzieńca.

— To jasne, że był synem Boga i pomazańcem! Tylko wysłaniec Boga mógł czynić

takie cuda jak on. Wstał z grobu i żyje, chociaż umarł. Mój stryj Nataniel nawet jadł razem z nim. A przecież nieboszczycy ani duchy nie jadają! Jasne, że on żyje.

W głębi serca czułem sympatię do tej prostej chłopięcej wiary, ale rozum kazał mi powiedzieć z ukrytym sarkazmem:

— Nadmiar wiedzy chyba nie obciąża ci mózgu, skoro tak gorąco wierzysz we wszystko.

— Umiem czytać i pisać po grecku i trochę po łacinie — bronił się chłopiec. — Mój ojciec prowadzi interesy na Cyprze, a nawet w Rzymie. Nie jestem nieukiem. Pamiętaj, że widziałem go wiele razy i słuchałem, gdy mówił. Raz nawet położył rękę na mojej głowie, kiedy przyszedł do naszego domu. Tobie jest trudniej uwierzyć, bo widziałeś go tylko wtedy, gdy umierał. Ja widziałem go w dniach chwały i mocy.

Doszliśmy już do muru oddzielającego górną część miasta od dolnej. Przystanęliśmy przy bramie, w której swego czasu spotkałem Marię z Beeret. Powiedziałem Markowi, że od tego miejsca z łatwością trafię do domu, ale nie ruszałem się z miejsca, a i Marek nie chciał rozstać się ze mną. Obydwaj zobaczyliśmy kometę, która znowu przeleciała przez niebo.

— Nawet gwiazdziste niebo jest niespokojne w te dni — rzekłem.

— Coś się wkrótce wydarzy. Być może dni jego władzy dopiero się zaczynają, chociaż nie potrafimy tego teraz zrozumieć.

Marek nie żegnał się ze mną ani nie wracał do domu. Nieśmiało przesuwając rękami po płaszczu i dźgał laską ziemię pod swymi nogami.

— Dziwię się tylko — powiedziałem — dlaczego Nataniel nie poznał go od razu, a Maria Magdalena dopiero wtedy, gdy zawołał ją po imieniu.

— Bo niczego takiego nie spodziewali się — bronił ich Marek.

— Także za życia był inny w rozmaitych sytuacjach. To trudno wytłumaczyć. On miał jakby oblicza wszystkich ludzi. Każdy, kto w niego wierzył, widział w nim kogoś, kogo kiedyś kochał. W jego twarz trudno było patrzeć. Oczy miał przedziwne... Wiele razy widziałem, jak starzy ludzie natychmiast schylali głowy, kiedy spojrzeli mu w twarz.

— Chyba masz rację. Widziałem, jak cierpiał na krzyżu, wcześniej nic o nim nie wiedziałem. To prawda, że było wtedy prawie ciemno, ale nie mogłem mu się przypatrywać. Myślałem, że to przez szacunek dla cierpienia, ale chyba nie mógłbym patrzeć, choćbym chciał. I nie dziwię się, bo był synem Boga. Nawet wartownicy to przyznali, kiedy ziemia zatrzęsała się w chwili jego śmierci. Nie potrafiłbym powiedzieć, jak wyglądał. Tylko szkoda — ciągnąłem, dając ujście swemu rozgoryczeniu — że wybrał takich prostaków na apostołów. Oni nie mają prawa odmawiać spotkania się z ludźmi! To jest błąd, źle robią. Przesadzają, bo pewno chcą zachować wyłączność na jego misterium. Podzielam twoje zdanie: nie sądzę, by ich prześladowano, choćby nawet wyszli z ukrycia.

— Sądzę, że się mylisz — odpowiedział Marek po namyśle. — Jest w nich coś,

czego nie mają inni ludzie. Myślę, że bez żadnych trudności mogli patrzeć na niego. Apostoł Jan na pewno patrzył mu w oczy, bo Jezus Jana bardzo kochał. Przystań na nich narzekać, cudzoziemcze!

— Wyczułem uśmiech w jego głosie, gdy mówił dalej. — To prawda, że trudno ich zrozumieć. Mój ojciec też bywa zmęczony ich kłótniami i zawiściami. Szczególnie Piotr, ten najwyższy, jest żądny władzy i kłóci się z niewiastami, które przecież ich karmią i ukrywają. Jest taki duży i silny, ale bardzo dziecinny. Galilejczycy w ogóle są inni niż mieszkańcy Jeruzalem. Nie rozumieją subtelności Pisma. Ci wieśniacy patrzą na wszystko bardzo konkretnie. — Po chwili jeszcze dodał:

— Zgadzam się, że są gburami i za jego życia rzeczywiście nie wszystkich dopuszczali do niego. Teraz też ktoś chciał z nimi mówić, ale go nie przyjęli, ponieważ uznali, że nie jest prawym synem Izraela.

— Opowiedz dokładniej — poprosiłem zaniepokojony.

— Czy słyszałeś, że kiedy Jezus niósł krzyż, przyszła chwila, że upadł na ziemię, bo już nie mógł go udźwignąć? — spytał Marek.

— Rzymianie wzięli przypadkowego mężczyznę, który akurat przyszedł z pola do miasta, i kazali mu nieść krzyż. Widocznie uznali go za zwykłego chłopca, a on jest właścicielem dużego majątku i szanowanym członkiem synagogi libertynów. Najpierw chciał skarżyć się na samowolę Rzymian, ale później odstąpił od tego zamiaru. Na początku w ogóle nie wiedział o procesie Jezusa, bo nie pochodzi z Jeruzalem, przyjechał z Cyreny i nie mieszał się do polityki. Kiedy dowiedział się, czyj krzyż niósł, zrozumiał sens tego brzemienia i chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Jezusie od jego uczniów. Ale Piotr i jemu nie dowierzał! Zresztą wtedy wszyscy uczniowie strasznie się bali o własną skórę. Cyrenejczyk już do nich nie wrócił, aby pytać o drogę. Może spróbuj go odszukać i porozmawiać z nim. Skoro ten człowiek rozumiał sens brzemienia krzyża, to można przypuszczać, że w czasie wspólnie odbywanej drogi krzyżowej Jezus powiedział mu coś wartego zapamiętania.

— Gdzie mógłbym znaleźć tego człowieka? — zapytałem.

— Nazywa się Szymon Cyrenejczyk. Zapytaj o niego w synagodze libertynów.

— Co to jest synagoga libertynów?

— Tam czytają Pismo po grecku — wyjaśnił Marek. — Założyli ją wzbogaceni wyzwolenicy z Rzymu. Wspierają ją również ci, którzy przybywają z Aleksandrii i Cyreny, ponieważ są już tak mało Żydami, że nie rozumieją świętego języka. To bogata i wolnomyślna synagoga i nie nakłada na swych członków zbyt wielkich ciężarów. Sądzę, że i ciebie dobrze by tam przyjęli, gdybyś w szabat zechciał posłuchać Pisma w języku greckim.

— Dziękuję ci, Marku — powiedziałem, bo odpowiadała mi jego rada. — Uczniowie mnie odrzucili, abym sam szukał drogi. Możliwe, że ten Szymon też jej szuka. We dwóch łatwiej szukać niż w pojedynkę. Pokój tobie.

— I tobie pokój, przyjacielu namiestnika — rzekł Marek i dodał:

— Gdyby cię pytano, możesz chyba zapewnić, że nie knujemy żadnych tajnych zamysłów.

— Sam sobie jestem przyjacielem, innych nie mam — odparowałem ostro, bo zdenerwowałem się, że taki prostoduszny młodzieniaszek podejrzewa mnie o przekazywanie uzyskanych informacji Rzymianom.

— Gdyby jednak ktoś pytał, to będę mógł z całym przekonaniem zapewnić, że przynajmniej ci dwaj, których spotkałem dziś wieczór, nie są ani podpalaczami, ani wichrzycielami. Jednak nie sądzę, aby ktokolwiek o cokolwiek mnie pytał. Co się zaś tyczy Poncjusza Piłata, to będzie chciał o całej sprawie jak najszybciej zapomnieć.

— Pokój tobie — jeszcze raz powiedział Marek i na tym się rozstaliśmy. Tego wieczoru nic mi się więcej nie przydarzyło.

Nie musiałem chodzić do synagogi libertynów, żeby odszukać Cyrenejczyka. Mój gospodarz, Syryjczyk Karanthes, którego przypadkowo spytałem o Szymona, powiedział:

— Zaczekaj chwilę, zaraz ci opowiem o tym człowieku wszystko, co tylko zechcesz wiedzieć.

Kazał swemu synowi stanąć za ladą kramu ze starzyzną i zniknął w zaułku. Zaledwie zdążyłem ugasić pragnienie siedząc na progu domu, a on już wrócił i opowiadał:

— Ten Szymon swego czasu wzbogacił się w Cyrenie tak bardzo, że kiedy kilka lat temu przeniósł się do Jeruzalem, wykupił w okolicy miasta wiele pól, winnic i gajów oliwnych. Prowadzi także interesy w innych miastach Judei. Żyje jak Grek. Ludzie powiadają, że nawet chodzi do teatru i do kąpielisk gimnazjonu, więc mimo że nosi brodę, nie uważają go za prawowierne Żyda. Niektórzy nawet twierdzą, że nie jest obrzezany, ale wobec jego majątku nikt nie kwapi się do sprawdzenia tego. Pisma przestrzega i świętuje w szabat. Przytrafiła mu się paskudna historia: Rzymianie gwałtem wyciągnęli go z tłumu i zmusili do niesienia krzyża tego buntownika, którego ukrzyżowano, gdyś tu przyjechał. Dotknęła go taka hańba, że od tego czasu zamknął się w swoim domu i z nikim nie chce rozmawiać.

Dokładnie opisał, jak mogę znaleźć dom Szymona Cyrenejczyka, a potem zapytał z chytrym uśmiechem:

— Czego od niego chcesz? Czy zamierzasz ulokować pieniądze w działkach rolnych, czy też pożyczyć pieniądze pod zastaw? Mogę podać ci wiele nazwisk ludzi znacznie lepszych w tych sprawach, a w żadnym razie nie polecam Szymona, który podobno własnoręcznie przynosi w płaszczu chrust do domu i poza chlebem i warzywami na nic sobie nie pozwala.

Te informacje były wyraźnie sprzeczne, więc moja ciekawość wzrosła i tym bardziej chciałem się spotkać z Szymonem Cyrenejczykiem. Mój syryjski gospodarz koniecznie chciał się dowiedzieć, czego ja właściwie oczekuję od tego człowieka, i okazywał troskę o mnie. Dlatego wbrew własnej woli w końcu przyznałem:

— Chcę go spotkać w związku z tym, co mu się przytrafiło. Pragnę się dowiedzieć, co wie o Jezusie Nazarejskim, królu żydowskim, którego krzyż niósł na plecach.

— Nie mów tak głośno o przykrych sprawach — ostrzegł Karanthes z przestracaniem, pociągając mnie za połą płaszcz.

— Gościnnie przyjąłeś mnie w swym domu, więc nie chcę mieć przed tobą tajemnic. Mam podstawy, by wierzyć, że ukrzyżowany król żydowski był najbardziej zdumiewającym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek pojawiło się na ziemi, i że był synem Bożym. Jestem pewny, że trzeciego dnia powstał z grobu i nadal żyje, chociaż umarł. Dlatego chcę wiedzieć o nim wszystko, również to, co wie Szymon Cyrenejczyk.

— A niechże cię лихо, w jaką biedę się wpakowałem przyjmując cię na mieszkanie — rzekł zdławionym głosem gospodarz. — Gdybyś nie był przyjacielem Adenabara, najlepiej bym uczynił pakując twoje manatki i wyrzucając cię na ulicę. O takich sprawach mówi się tylko szeptem i w czterech ścianach, a nie głośno i w takim miejscu, gdzie każdy może cię usłyszeć. Nie należy wierzyć w historyjki i przywidzenia głupich niewiast. Doszły mnie słuchy o tym, o czym mówiłeś, ale wierz mi, lepiej trzymać się z daleka od tych spraw, jeśli nie chcesz, żeby cię Żydzi zatłukli kamieniami. Czy nie wystarcza ci dobre i bezpieczne życie, wygodne łóżko i smaczne jedzenie, które gotuje moja żona? Gdybyś nadużył wina i obrzygał cały dom, gdybyś przehulał cały majątek albo się łajdaczył jak Babilonczycy czy Grecy, wszystko bym ci darował, bo jesteś dobry i jeszcze młody. Ale nie pakuj się w sprawy bogów i żydowskich czarnoksiężników! Bo ściągniesz na siebie zagładę, stracisz dom i w końcu zgłupiejesz, jak to się nieraz przytrafiało tym, którzy uczyli się żydowskiej magii i próbowali zrozumieć ich Boga.

Mówił szczerze i z przejęciem. Widziałem, że dobrze mi życzy, poczułem więc potrzebę zwierzenia mu się, chociaż to tylko Syryjczyk:

— Nie mam najmniejszego zamiaru mieszać się do żydowskiej polityki. Szukam tylko drogi dla siebie. Choć jestem młody, doświadczyłem w życiu wiele i wszystkiego zakosztowałem. Filozofia mnie nie zaspokoila, a rozkosze życia nie przyniosły zadowolenia. Podobnie jak inni zamożni, wykształceni i ciekawi życia ludzie uczestniczyłem w różnych misteriach, ale nie przyniosło mi to radości więcej niż udział w takich widowiskach teatralnych, w których widz jest równocześnie aktorem. Od czasu do czasu czuję brzemię, wyciska ono łzy z moich oczu i powoduje skurcze brzucha. Dlatego szukam drogi, którą, jak sądzę, wskazał Jezus Nazarejski, chociaż jeszcze tego nie rozumiem.

— Przyjacielu mój, Marku — rzekł Karanthes, ciężko westchnąwszy — pozwól nazywać się przyjacielem, chociaż jesteś obywatelem Rzymu i człowiekiem wykształconym. Nie odnosiłeś się do mnie ani do mojej rodziny dumnie i władczo, jak to potrafią lokatorzy. Nawet uśmiechałeś się do mojej żony i syna, a mnie traktowałeś jak sobie równego. Tego, o czym mówiłeś — myślę o udręce i niepewności — naprawdę doświadcza każdy człowiek żyjący w naszych czasach. Jest to tym dziwniejsze, że przecież Rzym przyniósł światu pokój, więc nikt uczciwy nie musi się niczego bać, wyjąwszy poborców podatkowych i mieszanie się do polityki. Gdybyś był żonaty i odpowiadał za żonę i dzieci, na pewno inaczej byś myślał. — Jego ręce drżały bezradnie, kiedy szukał odpowiednich słów dla wyrażenia swoich myśli. — To jest miasto żydowskiego Boga. Głęboko go szanuję i daję ofiary, jak ci już opowiadałem, ale nawet nie próbuję zrozumieć jego bezgraniczności i bezobrazowości, bo tylko głowa by mnie z tego rozbolała. Nam, cudzoziemcom zamieszkałym wewnątrz murów miasta, nie wolno

trzymać nawet najmniejszego wizerunku naszych bogów, aby nas bronili, Rzymianie zaś nie mogą modlić się nawet do cesarza. Od czasu do czasu żydowska straż niespodziewanie przeszukuje mieszkania cudzoziemców i niszczy każdy napotkany wizerunek, a jego właściciela bez litości karze grzywną. Mądry cudzoziemiec musi więc poddać się opiece żydowskiego Boga i bać się go. Przeróżające rzeczy o nim się opowiada, bo jest to Bóg groźny. Nie mieszaj się do jego spraw, Marku, byś nie poniósł szwanku na zdrowiu. Na pewno jeszcze nie w pełni dotarło do ciebie, że dla Żydów religia jest polityką, a polityka religią, że cokolwiek robią, nigdy nie odrywają się od religii. Ich Bóg czyha na nich wszędzie, nawet w wychodku, aby i tam zachowywali się wedle jego Prawa. Dlatego najlepiej chodzić na paluszkach i trzymać buzię na kłódkę.

— Jestem obywatelem rzymskim — rzekłem z dumą. — Żaden Żyd nie może mi zrobić krzywdy. Nie podlegam ich jurysdykcji. Gdyby nawet mnie oskarżyli o coś w związku z religią, prokonsul nie odważyłby się mnie osądzić, tylko odesłałby sprawę do Rzymu, przed oblicze cesarza.

— Powiadają, że cesarz nie mieszka już w Rzymie, tylko gdzieś na odległej wyspie — wtrącił niewinnie Karanthes. — Zamiast niego rządzi ktoś inny, człowiek chytry i chciwy, któremu trzeba płacić haracz.

Teraz na mnie przysła kolej, by memu syryjskiemu gospodarzowi, zatkać ręką usta i za przestachem rozejrzeć się, czy przypadkiem ktoś nie usłyszał jego słów.

— Gdybyś te słowa wypowiedział w Rzymie — ostrzegłem — o głowę by cię skrócili. Nie wymawiaj głośno imienia tego męża, bo myślę, że jego oczy i uszy sięgają do najodleglejszych krajów.

— Widać, że w Rzymie trzeba być ostrożnym po rzymsku, a w Jeruzalem po jerozalemsku — zauważył Karanthes, spokojnie zdjawszy moją rękę ze swoich ust. — Tutaj wymówione przez ciebie imię jest równie drażliwe jak w Rzymie imię tego drugiego.

Przez chwilę rozmyślał, rozglądając się dokoła, wreszcie przycupnął w kucki koło mnie, bo wciąż siedziałem na progu domu owinięty żydowskim płaszczem, i zaszeptał mi do ucha:

— Dopiero po wszystkim cudzoziemcy zrozumieli, jakiego wielkiego nieszczęścia uniknęliśmy dzięki szybkości działania sanhedrynu. W wigilię Paschy, nic o tym nie wiedząc, staliśmy nad kraterem ziejącego ogniem wulkanu. Lud okrzyknął go już królem, a powiadają, że skrycie wspiera go pewna pustynna gmina i tajny związek, który zwie się cichym. Podobno był plan, by w czasie Paschy podpalić Świątynię, to miał być znak dla narodu, obalić radę i utworzyć rząd spośród rzemieślników i chłopów. Chyba się domyślasz, że coś takiego byłoby pretekstem dla wtrącenia się Rzymian. Namiestnik już nawet skompletował rezerwową legion z żołnierzy ze wszystkich garnizonów, a sam rozlokował się w twierdzy Antonia, nie ryzykując, jak dawniej, zamieszkania w pałacu Heroda. Kiedy buntowników pozbawiono przywódcy, musieli znów działać w ukryciu.

— Nie wierzę ci — rzekłem. — Ze wszystkiego, co słyszałem, wynika, że jego królestwo nie jest z tego świata.

— No tak, mówi się różne rzeczy — potulnie zgodził się Karanthes. — Ale musi być ziarno prawdy w tych pogłoskach. Nie ma dymu bez ognia, nie sądzisz?

— Sądzę, że to rada, kapłani i uczeni w Piśmie rozsiewają teraz takie pogłoski, żeby usprawiedliwić nikczemną, podłą zbrodnię — powiedziałem z przekonaniem. — On nie był taki. Mówiono mi, że kazał nadstawiać drugi policzek do bicia i zabraniał zło złem odpłacać. Moim zdaniem to jedyny sposób uwolnienia się spod władzy zła, które prowadzi do zemsty i znów do kolejnej zemsty, i jeszcze raz do zemsty.

— Więc niech ma żal do siebie — zauważył rozsądnie Karanthes.

— Kto działa tu, na ziemi, czyni cuda i głosi nauki, musi się podporządkować ziemskiemu prawom. Może wykorzystano go jako narzędzie dla zrealizowania czyjegoś celu, bo rzeczywiście tylko dobrze o nim opowiadali. Ale jedyne, co mogła zrobić rada żydowska, to wyciągnąć wniosek wedle rozsądnej polityki i oczywistych faktów, bo nie wypada uzdrawiać chorych, wskrzeszać umarłych i ogłaszać się synem Boga. Wiadomo, że ich Bóg nie ma i nawet nie może mieć syna! Właśnie tym różni się od innych bogów. To musiało wzbudzać niepokój polityczny. A gdyby nastąpił przewrót, do władzy dorwałby się najmocniejszy, a nie najcierpliwszy. Bądź pewien, że zanimbym zdążył uznać się za zwolennika nowego króla, mój sklepik już by spłonął, a córka leżałaby z zakrwawioną głową i rozrzuconymi nogami w ulicznym pyłe.

Zastanowiłem się nad jego ostrzegawczymi słowami i nad wszystkim, co usłyszałem i czego doświadczyłem. Następnie z rozważą powiedziałem:

— Wydaje mi się, że jego przewrót zaczyna się wewnątrz człowieka, a nie poza nim. Tym właśnie różni się od wszystkich innych. Ale jak to ma nastąpić, jeszcze nie wiem.

Karanthes wznosił ręce na znak poddania się i rzekł:

— Dobrze ci tak mówić, bo nie jesteś żonaty. Rób, jak chcesz, tylko później nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Udałem się do domu Szymona Cyrenejczyka, który wznosił się w wąskim zaułku i zewnętrznie nie różnił od innych miejskich domów. Brama wejściowa była zamknięta na klucz, choć przyszedłem w środku dnia. Musiałem długo się dobijać, zanim przyszła służąca, otworzyła bramę i szybko nakryła głowę, gdy mnie zobaczyła. Pozdrowiłem ją i spytałem o gospodarza, a ona rzekła:

— Jest chory, leży w ciemnym pokoju i nie chce nikogo widzieć.

Podąłem swoje nazwisko, powołując się na bankiera Arystenosa, a na końcu powiedziałem:

— Twój pan na pewno będzie się chciał spotkać ze mną, bo przychodzę pomówić z nim o sprawie, która go dręczy.

Służąca wpuściła mnie do środka i poszła po gospodarza. Zauważyłem, że za zaniebaną fasadą kryje się wewnątrz urządzone w całkowicie nowoczesnym stylu greckim. W ogromnym atrium znajdował się otwór dachowy, a w posadzce basen na wodę deszczową. Na posadzce barwiła się wzorzysta mozaika kwiatów, ryb i ptaków, chociaż żydowskie prawo zabrania takich ozdób. W podcieniach atrium, jak to w

cywilizowanym domu, ustawiono brązowe trójnogi i greckie amfory. Po chwili przyszedł odziany w znakomicie udrapowany chiton niewolnik grecki, dzierżący zwój papirusu. Miał siwe włosy i zaczerwienione oczy, jakby wiele czytał przy kiepskim oświetleniu. Zwyczajem rzymskim pozdrowił mnie i poprosił, bym usiadł i zaczął.

— Co czytasz? — spytałem.

— To tylko księga pewnego żydowskiego proroka — odrzekł, chowając zwój za siebie. — Jestem nauczycielem synów gospodarza, Rufusa i Aleksandra, a mój pan jest człowiekiem prostym i nie interesuje się poezją.

— Pozwól, że zgadnę, co czytasz — zaproponowałem z uśmiechem. — Czytałem podobną księgę w Aleksandrii, a nie tak dawno recytowano mi jej fragmenty. Czy nie jest to księga proroka Izajasza?

— Czy jesteś jasnowiedzem albo magiem, że potrafisz odgadnąć, co czyta mój pan? — spytał zmieszany niewolnik, patrząc to na trzyrżany w rękę zwój, to na mnie.

— Nie jestem magiem, choć orientuję się nieco w astronomii dzięki memu przybranemu ojcu, Manilianusowi. Wątpię, abyś słyszał o jego utworze „Astronomica”.

— Istotnie nie słyszałem, ale wiem, że Rzymianie wszystko od nas, Greków, zapożyczają, tłumaczą na łacinę i wydają jako własne — siwy niewolnik był aż nadto drażliwy, potrafił też mieć swoje zdanie.

— Jak oceniasz żydowskiego proroka?

— Jestem Grekiem. Pompatyczne żydowskie wielosłowie tylko mnie nudzi. Czytam Izajasza memu panu słowo po słowie, ale równocześnie przetrawiam własne myśli. Żółw, jak udowodniono, zwycięża biegacza. Jako niewolnik wcieliłem się w rolę żółwia. Nie usiłuję biec, omijając Ezopa i Homera, jak robią Żydzi.

W tym momencie wszedł do pokoju Szymon Cyrenejczyk. Przyjrzałem mu się uważnie. Był w średnim wieku, krzepkiej budowy ciała, o ogorzałej od słońca brunatnej twarzy i dużych wieśniaczych dłoniach. Miał na sobie niedbale narzucony szary, dziurawy ze starości chiton, a brodę rozczochraną. Usiadł na wyściełanym czerwonymi poduszkami szerokim siedzisku pana domu i niecierpliwie kazał wyjść niewolnikowi. Nie przywitał mnie, tylko spytał opryskliwie:

— Jaką sprawę masz, Rzymianinie? Czego ode mnie chcesz?

Rozejrzałem się wkoło, czy nas nikt nie słucha, i powiedziałem wprost:

— Mówiono mi, że przeżywasz udrękę z powodu Jezusa Nazarejskiego. I próbowałeś kontaktować się z jego uczniami, ale cię odtrącili. Ja również szukam drogi. Wczoraj o pierwszej warcie nocnej spotkałem dwóch z nich, ale nie chcieli mi pomóc. Pomóż mi ty, jeśli możesz.

Patrząc na mnie podejrzliwie spod krzaczastych brwi, kategorycznie zaprzeczył:

— Nie szukam żadnej drogi. Kto ci takich rzeczy o mnie naopowiadał? Wiele lat temu znalazłem własną drogę i do dziś jestem z niej zadowolony.

Dalej przyglądałem się mu uważnie i dostrzegłem, że pochyla głowę jak niewolnik, a w jego podejrzliwym spojrzeniu widnieje poddańczość. Odruchowo zerknąłem na kostki jego nóg — chciałem stwierdzić, czy nie pozostały na nich niezniszczalne blizny po łańcuchu. Zauważył mój wzrok i szybko schował nogi pod siedzisko. Równocześnie uderzył pałeczką w metalowy krąg, wzywając sługę.

— Masz bystre oko — stwierdził niechętnie. — To prawda, byłem niewolnikiem, ale kartę wyzwolenia otrzymałem już dwadzieścia lat temu, a od tego czasu w Cyrenie zdobyłem majątek na handlu zbożem — przeniosłem się tu, do Jeruzalem, skąd pochodził dziadek mojego ojca. Mam dwóch synów i nie chcę, aby ludzie szydzili z powodu ich pochodzenia. Urodziłem się niewolnikiem, mój ojciec urodził się niewolnikiem i niewolnikiem był mój dziadek. Niewolnictwo wyciska swe piętno na zawsze, chociaż tutaj nie zwraca się na to uwagi. Mam swoje miejsce w synagodze i w teatrze, zapewniłem synom greckiego nauczyciela, mieszkam, jak widzisz, w cywilizowanych warunkach, być może będę mógł kupić synom obywatelstwo rzymskie.

Wszedł sługa ze srebrną tacą. Podał mi złoty puchar i nalał do niego zimnego wina z zakurzonej amfory. Na tacy leżał też miódownik, a obok pieczony w popiele szary chleb jęczmienny. Szymon Cyrenejczyk wziął z tacy gliniany kubeczek i podał słudze, aby nalał do niego wody. Potem odłamał kawałek chleba, zdmuchnął popiół, zjadł i popił wodą. Doprawdy, dziwne zachowanie.

— Chyba i mnie przejadł się miódownik — powiedziałem. — Jeśli pozwolisz, spróbuję twego jęczmiennego chleba. Ale winem nie pogardzę, skoro je dla mnie odpieczętowałeś, choć może woda byłaby lepsza, ponieważ sądzę, że to woda życia.

— Wodę dostarczają mi z daleka, z górskiego źródła. O takiej wodzie marzyłem, gdy jako chłopiec harowałem na polach uprawnych w skwarze Afryki. Marzyłem też o takim jęczmiennym chlebie, bo niewolników karmiono chlebem wypiekany z mieszanki plew i otrąb, grochu i afrykańskiego owsa. Gdy się już wzbogaciłem, przez jakiś czas piłem wino, ale szybko stwierdziłem, że mi wcale nie smakuje. Jadłem miódowniki, pieczenie z gazeli i pikantne sosy, lecz rychło dostrzegłem, że czysty chleb i świeże warzywa są smaczniejsze i lepiej podtrzymują siły mego ciała. Wiele w życiu doświadczyłem. Więcej niż odgadniesz, Rzymianinie — mówił bez goryczy, jakby opowiadał rzeczy zupełnie naturalne. — Długo trwało, zanim w pełni dotarło do mnie, że jestem wolny i mogę cieszyć się tym, co lubię. Moje łóżko jest twardym posłaniem niewolnika, ponieważ od miękkich materaców z pierza tylko plecy mnie bolą. Dobrze wiem, że ludzie wyśmiewają się ze mnie, kiedy po obejściu gruntów i wypłaceniu ludziom dniówek zbieram do swego płaszczu chrust i na plecach niosę do domu. Nie ganię innych za rozrzutność, ale mnie marnotrawstwo nie daje radości. Kiedy byłem małym chłopcem, wychłostano mnie prawie na śmierć, ponieważ nieświadomie zebrałem z cudzego gruntu łajno wielbłądzie i suche osty, aby matka mogła zawiesić gliniany garnek nad ogniem. Dlatego cieszę się, kiedy z własnej ziemi zbieram dobre drewno opałowe i mogę je nieść we własnym płaszczu do własnego domu. Zdaje mi się, że jestem srogim panem, ponieważ nie cierpię lenistwa, lecz nigdy nie bronilem zbierającemu oliwki zejść z drzewa na czas modlitwy. Gdy obchodzę mój majątek, lubię zakasać szaty i włączyć się do pracy.

Wyglądało na to, że chce pominąć milczeniem sprawę, z którą przyszedłem, bo mówił dalej:

— Taką drogę znalazłem dla siebie. Kiedy byłem niewolnikiem, wiele myślałem o wolności człowieka. Dlatego nie narzucam swojej wolności i radości innym, chętnie patrzę natomiast, gdy każdy żyje na swój własny sposób. Może dziecinadą był mój przyjazd do Jeruzalem, ale z opowiadań ojca i matki wiedziałem, że to ziemia obiecana. Mówili mi jak umieli o Przymierzu Boga z narodem Izraela, chociaż niewolnicy nie mieli synagogi ani nauczycieli. Ja, podobnie jak mój ojciec, nie zostałem nawet obrzezany wedle Prawa. Wiem wszystko, co tylko można wiedzieć o handlu zbożem i z pewnością powiodłoby mi się, gdybym pojechał do Rzymu. Tylko że zboże, które przewozi się do stolicy świata, aby je bezpłatnie rozdzielić między jego obywateli, jest opłacone krwią. Świadczą o tym blizny po chłóście na moich plecach. Człowiek tęskni do ojczystych baśni, do swego Boga i do narodu, do którego przynależy. Nigdy nie mógłbym zostać Rzymianinem ani ciągle zwiększać swego bogactwa po to jedynie, żeby być jeszcze bogatszym. Mam wystarczająco dużo dla siebie i dla synów, mądrze też rozlokowałem majątek, zabezpieczając się na różne sposoby. Teraz pragnę żyć sprawiedliwie, szanując Boga, respektując Prawo, nie krzywdząc innych ludzi i ciesząc się z tego, co innym przynosi radość. Tak prosta jest znaleziona przeze mnie droga.

— Szanuję twoją drogę — powiedziałem. — Nie ma w tobie pychy ani arogancji, które w Rzymie wstrętnymi czynią tych, co się wzbogacili. Tacy ludzie płacą każdą cenę, żeby się dostać na przyjęcia u senatora albo móc przywdziać pancerz oficerski. Sposób ich życia jest po prostu śmieszny. Zrozumiałe, że wedle własnego upodobania urządziłeś wewnątrz swego domu na modłę grecką i posiadasz złote puchary. Lecz nie jesteś niewolnikiem rzeczy; wywnioskowałem to z twoich słów.

— Ku temu zmierzałem — odrzekł Szymon Cyrenejczyk, rozkładając ręce. — Pragnę być wolny na tyle, na ile człowiek potrafi. Choćbym stracił wszystko, co posiadam, ponieważ nikt nie może uniknąć nieszczęścia, to jednak wiele nie stracę, bo wystarcza mi niewiele. To niewiele daje mi więcej radości niż nadmiar.

— Dlaczego zatem spotkanie z Nazarejczykiem tak zmało twój umysł, że ukryłeś się w ciemnej komnacie, pozamykałeś drzwi i nie chcesz się z nikim spotkać?

— Co ty wiesz o Jezusie? — zapytał, wzdychnąwszy ciężko, ocierając czoło i unikając mego spojrzenia.

— Przyjechałem z Aleksandrii jedynie dla zabicia czasu, chciałem zobaczyć święte miasto w czasie Paschy. Zatrzymałem się u bramy, aby spojrzeć na ukrzyżowanych. Zobaczyłem, jak cierpiał i umierał. Trzeciego dnia widziałem jego pusty grób i usłyszałem, że zmartwychwstał. Nie uwolniłem się od niego. Powiedziano mi, że ty niosłeś krzyż przez część drogi na miejsce straceń. Sądzę, że i ty nie uwolniłeś się od niego. Dlaczego? Czy coś szczególnego ci powiedział?

— Nie, nic mi nie powiedział — zaprzeczył Szymon Cyrenejczyk, ściskając i rozluźniając pięści. — To właśnie mnie dręczy. Nic nie powiedział, tylko na mnie patrzył. Wcześniej nic o nim nie wiedziałem. Nie mieszam się do polityki i przestrzegam Prawa, zgodnie z nauczaniem w mojej synagodze. Wracałem z pola i zatrzymałem się, by popatrzeć. Tamci dwaj byli rzezimieszkami, po gębach było widać. A on upadł pod ciężarem krzyża i nie mógł powstać. Był tłok, nie mogłem przejść. Jakaś litościwa kobieta schyliła się, aby własną chustą otrzeć mu krew i pot z twarzy. Nie miał siły

wstać, chociaż Rzymianie kopali go podkutymi buciorami. Setnik rozejrzał się wokoło i zgodnie z rzymskim zwyczajem, nie pytając wskazał na mnie. Chyba ciągle tkwi we mnie dusza niewolnika, bo posłuchałem bez protestu, a oni zwalili krzyż na moje plecy. Wtedy Nazarejczyk spojrział na mnie, podniósł się z ziemi i stanął na drżących nogach. Niosłem za nim krzyż aż do wzgórza. Gdybym złożył skargę w tej sprawie, setnik zostałby ukarany, ale nie pragnę żadnych warunków z Rzymianami. Zostałem i patrzyłem, jak rozciągnęli go na ziemi i kolanami przycisnęli jego ręce. Oprawca przybił dłonie gwoździami do krzyża. Wtedy znowu na mnie spojrział. Odwróciłem się i uciekłem do miasta. Zamknąłem się w domu. — Obydwoma rękami otarł twarz, potrząsnął rozczochraną głową i ciągnął: — Wątpię, czy mnie rozumiesz. Widziałem wielu ukrzyżowanych. Widziałem niewolników, którzy naigrawali się ze swoich współtowarzyszy przybitych do krzyża, bo w desperacji zabili nadzorcę albo puścili z dymem zboże. Moje serce skamieniało* od oglądania cierpienia. Nie przypuszczałem, że męka człowieka może na mnie zrobić jakiegokolwiek wrażenie. Ale kiedy Nazarejczyk spojrział na mnie... W głowie mi się zakręciło i uciekłem, bo się przestraszyłem, że ziemia się rozstąpi pode mną. Jak mógłbym ci to wytłumaczyć — zawołał rozpaczliwie — skoro sam nie rozumiem! Gdy patrzył na mnie leżąc na ziemi, z tą zbitą i opuchniętą twarzą, w koronie cierniowej na głowie... czułem się jak bezwartościowy przedmiot, jak proch. Na człowieka nie wolno tak patrzeć! Schowałem się w ciemnym pokoju, naciągnąłem płaszcz na głowę i nie odważyłem się nawet wybiec na podwórze, choć zatrzęsa się ziemia, a ściana pękała. Następnego dnia złamałem prawo szabatu i szukałem jego uczniów, lecz nie chcieli mnie wysłuchać. Potem opowiadano, że uczniowie spili rzymskich wartowników i po kryjomu wynieśli ciało z grobu, żeby oszukać lud. Ale coś mi mówi, że to nieprawda. Człowiek, który może spoglądać tak jak on, może też wstać z grobu. Wytłumacz mi, kim on był i czego chciał?

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem — powiedziałem ostrożnie

— ale wierzę, że Jezus przyniósł na ziemię swoje Królestwo. Teraz, gdy zmartwychwstał, Królestwo jest wciąż wśród nas. Szukam drogi do niego. Miałem nadzieję, że może tobie powiedział coś, co byłoby dla nas drogowskazem.

— Gdybyż coś powiedział! — skarżył się Szymon Cyrenejczyk.

— Widać nie uważał, abym był godny jego słów, przecież wziąłem krzyż bardzo niechętnie. Po tym, jak na mnie patrzył, źródłana woda ma smak zgnilizny, a dobry chleb staje mi w gardle. Nawet synowie stali mi się obcy i nie cieszy mnie ich widok. Zresztą naprawdę są mi obcy, bo wychowałem ich inaczej, niż sam byłem chowany. Dawniej cieszyłem się, że dobrze się zachowują, umieją czytać i dyskutować ze swoim nauczycielem o sprawach, których nie znam i nie obchodzą mnie, bo doświadczenie wystarcza mi za wiedzę. Lecz w tej sprawie doświadczenie nic nie daje. To odbiera mi całą radość, równie dobrze mógłbym wrócić do niewolniczej celi i dać sobie zakuć nogi w kajdany.

— Czy słyszałeś o cichych, którzy oczekują jego przyjścia? — spytałem po chwili milczenia.

— Skąd wiedziałeś, że każę sobie czytać proroka Izajasza? — szepnęła z wyrzutem Szymon. — W ostatnich dniach popyt na tę księgę wzrósł ogromnie, za ten grecki zwój

zapłaciłem pięciokrotną cenę. Nie mów mi o cichych. Wiem, że rozpoznają się przez specjalne pozdrowienia i tajne znaki, ale ja nie chcę mieszać się do polityki. Jestem wyzwolericem i nie dążę do zajęcia żadnego stanowiska.

— Ależ oni nie mają celów politycznych — zaprotestowałem.

— Na pewno nie. Myślę, że wierzą, iż Bóg narodził się jako człowiek na ziemi, wędrował razem z nimi, cierpiał i powstał z martwych, żeby spełniło się Pismo i żeby w niepojęty sposób otworzyć im swe Królestwo. Nikt jeszcze nie wie, jak to wszystko należy tłumaczyć.

— A więc niosłem na ramionach krzyż Boga żywego — powiedział z przerażeniem w głosie. Podniósł mocne ramiona i otrząsnął się, jakby chciał zrzucić z siebie niewidzialne brzemie. — Nie zaprzeczam temu, co powiedziałaś, nie odrzucam twych słów. Serce me potwierdza, że mówisz prawdę, bo Nazarejczyk spojrział na mnie dwa razy. Słyszałem, jak mówiono o nowym nauczycielu, który wzbudzał niepokoje, ale ani przez myśl mi nie przeszło, że to ten zakrwawiony człowiek w koronie cierniowej na głowie, który upadł pod ciężarem krzyża. Dopiero na wzgórzu straceń odczytano mi tabliczkę, bo sam nie umiem czytać. Wtedy zrozumiałem, że to właśnie Jezus, o którym słyszałem. Mimo tego w połowie tylko wierzyłem w to, co o nim opowiadali, w te cuda, które czynił. Życie nauczyło mnie podejrzliwości. Ale widzisz, w Jerychu żyje pewien dziesiętnik poborców podatkowych. Podano mi nawet jego imię. Otóż ten Zacheusz wspiął się na wysoki platan, żeby zobaczyć nowego nauczyciela. Jezus podobno nalegał, żeby zszedł z drzewa, i wprosił się do niego w gości. A przecież to był celnik! Kiedy Jezus odszedł z Jerycha, Zacheusz rozdał połowę swego majątku ubogim i w czwórnasób wynagrodził wszystkie swoje zdzierstwa. Postawiono go później w stan oskarżenia, bo w ten sposób przyznał się do nieuczciwości, ale go wypuszczono jako wariata i tylko zwolniono z urzędu. Rozumiesz, wierzę, że ktoś, kto ma moc, może rozkazać sparaliżowanemu stanąć na nogi, ale bez porównania większym cudem jest skłonić bogatego człowieka do rozdania biednym połowy majątku. Coś takiego się nie zdarza! To jest niemożliwe! Sędziowie uznali, że Zacheusz jest niespełna rozumu. W gruncie rzeczy chętnie bym tego Zacheusza spotkał i z jego ust usłyszał, co też Jezus mu powiedział, że aż tak zgłupiał.

Jeśli nie co innego, to niezależnie od całej greckiej filozofii mój rzymski rozum nauczył mnie praktycznego podejścia do rzeczy.

— Słusznie powiedziałaś! Podnieśmy się zaraz z miejsca — zaproponowałem — i jedźmy do Jerycha, żeby się spotkać z Zacheuszem. Niewykluczone, że Jezus nauczył go czegoś, w porównaniu z czym majątek ziemski traci wartość. Tak głęboka tajemnica warta jest, by ją usłyszeć. Sam powiedziałaś, że kiedy tylko spojrział na ciebie, wszystko inne przestało się liczyć.

— Do Jerycha trzeba jechać cały dzień, choćbyśmy nie wiem jak się spieszyli — zaprotestował Szymon. — Dzisiaj jest wigilia szabat i chociażby z tego powodu nie chcę wyruszać z Jeruzalem. Jeśli Nazarejczyk rzeczywiście wstał z martwych, to jego Królestwo, o którym tak żarliwie mówisz, tutaj jest bliżej nas. Tak mówi zdrowy rozum.

Zgodziłem się z tym zdaniem. Przecież apostołowie Jezusa też nie chcieli wyjeżdżać

z Jeruzalem, tylko czekali, że coś się wydarzy.

— Nas dwóch łączy to, że obaj jesteśmy obcy i tylko przypadkowo staliśmy się świadkami tych wydarzeń — powiedziałem. — Ale teraz myślę, że to wcale nie był przypadek. Moim zdaniem nie jest też przypadkiem, że właśnie ty i ja szukamy jego drogi. Niech będzie co chce, przecież obydwaj nosimy zadry w sercu i nie zaznamy spokoju, zanim nie wyjaśnimy sobie tych spraw.

— Miałem światło i drogę — odparł z goryczą Szymon Cyrenejczyk. — Ale już nie jestem wolny. Rzucam się jak ryba w sieci. Nigdy nie pragnąłem takiego wiecznego żywota, jaki faryzeusze zamierzają osiągnąć, jeśli będą postępowali zgodnie z Pismem. Widziałem zbyt wielu niewolników, którzy wyzionęli ducha, abym mógł wierzyć w drugie życie. Już raczej wierzę saduceuszom, którzy takiej nadziei nie mają. W naszej synagodze nie spieramy się o te sprawy, a musisz wiedzieć, że nasi nauczyciele siedzieli u stóp uczonych z Aleksandrii. W pewnym stopniu wierzę w czary, zarówno te szkodzące, jak i uzdrawiające, ponieważ muszę wierzyć w to, co na własne oczy widziałem. Daję jałmużnę i w granicach zdrowego rozsądku przestrzegam Prawa, co mnie cieszy, ponieważ wiem, jak wiele jest na świecie niepotrzebnego okrucieństwa i obojętności. Ale nie mam zamiaru kupować dobrymi uczynkami wiecznego żywota. Zakłamanym człowiekiem nie może obdarowywać Boga, choćby rozdawał jałmużnę głośno trąbiąc. Nie wierzę w takie życie pozagrobowe, w jakie wierzą Grecy i Rzymianie, którzy mówią o bezcielesnych cieniach snujących się gdzieś w próżni, ani w powtórne wcielenie w koguta, a właśnie coś takiego wmawiano mi w Cyrenie. — Pogrążył się we wspomnieniach i opowiadał: — W Cyrenie są psy tresowane do chwytania zbiegłych niewolników; karmi się je ich mięsem. Do ogromnych gospodarstw w Afryce aż z Rzymu przyjeżdżali tacy, którzy badali, czy wszystkie prace rolne prowadzone są celowo i oszczędnie, a także jak obniżyć koszty utrzymania niewolników i jak kojarzyć mocnych niewolników z silnymi niewolnicami, aby mieć zdrowy przychówek. Niepotrzebnie wspominam przeszłość, na pewno to nie sprzyja cieszeniu się wolnością.

Niepostrzeżenie uderzyło mi do głowy mocne wino, które popijałem, i powiedziałem obłudnie:

— Szymonie Cyrenejczyku, chociaż jesteś tylko wyzwolencem, nie gardzę tobą. Jestem obywatelem rzymskim i nawet mam prawo nosić złoty pierścień, ale na Rodos nauczono mnie, że należy się wstydzić przywilejów rodowych i dawać się poznać ludziom przez własne zasługi. Przyznaję, że nie za często poznawano mnie w ten sposób, zawsze przywiązywałem większe znaczenie do myśli niż do uczynków. Od dawna zastanawiałem się nad problemem niewolnictwa. Doszedłem do wniosku, że utrzymywanie niewolników przysparza ich panom masę problemów i że człowiek zamożny nigdy nie ma spokoju, ponieważ dniem i nocą niewolnicy kręcą się wokół niego. W ten sposób osoba lubiąca wygody staje się niewolnikiem swoich niewolników. Ty otworzyłeś mi oczy i zrozumiałem, że niewolnik jest człowiekiem podobnym do mnie, mimo że ma na czole wypalone piętno i można go wykastrować, żeby uśmierzyć złe narowy. Szymonie Cyrenejczyku, jesteś moim bliźnim i pragnąłbym pokochać ciebie jak siebie samego, jeśli potrafię. Tego właśnie uczył za życia ten, który zmartwychwstał. Na pewno jestem bardziej od ciebie wykształcony, ale w tych nowych sprawach moja wiedza nie ma żadnej wartości. Czuję się jak ponownie narodzony i muszę od nowa

wszystkiego się uczyć. Chciałbym szczerze zostać twoim przyjacielem mimo tak wielkiej różnicy w naszych pozycjach i wartościach.

Moje słowa uraziły godność osobistą Szymona Cyrenejczyka, ponieważ wyzwoleńcy mają to uczucie bardziej niż inni rozwinięte. Trzepnął glinianym kubkiem w oparcie siedziska, aż woda prysnęła mi w oczy, i wrzasnął:

— Jak ci nie wstyd, Rzymianinie! Do kloaki cisnę twój pierścień, precz wyrzucę twoją filozofię! Do diabła z tym próżniaczym marnowaniem dni przez amatora wrażeń, który nie potrafi okłócić jednej jedynej łodygi zboża! Hardo stoją tylko puste kłosa! I ta twoja ciekawość jest tylko próżniaczym zabijaniem czasu, żebyś kiedyś miał co opowiadać i czym się wyróżniać spośród tłumu. Obłudna pycha przebija przez twoją rzadką brodę i wyziera z frędzli płaszczu. Jesteś jak aktor, który za wszelką cenę łapie dla siebie nową rolę, bo wszystkie poprzednie zmarnował.

Jeszcze kilka dni temu chlusnąłbym mu w twarz winem, wyszydził go jako żalosego wyzwolenca i odszedł pełen gniewu. Teraz jego zgryźliwe słowa otrzeźwiły mój zamroczony winem umysł. W milczeniu rozważałem jego słowa. Czy miał rację, oskarżając mnie w taki sposób? To prawda, że początkowo powodowała mną zwykła ludzka ciekawość, ale im dalej szedłem tą drogą, tym bardziej oczywisty stawał się wniosek, że to wszystko również mnie dotyczy i że ja sam zmieniam się krok za krokiem.

— Wybacz mi moją pychę — prosiłem. Ja, obywatel Rzymu, zniżyłem się do proszenia ledwie okrzesanego wyzwolenca o przebaczenie! — W tej sprawie jesteśmy równi sobie. Żadną miarą nie jestem wyższy czy lepszy od ciebie. Podobno ostatniego wieczora Jezus sam na kolanach mył stopy swoim uczniom, ucząc ich pokory. Chętnie schylę się przed tobą i umyję twoje stopy, jeśli tylko chcesz, Szymonie Cyrenejczyku.

— Sam myję sobie nogi i nie potrzebuję do tego służby — ofuknął mnie Szymon, ale wyraźnie się udobruchał. — Nie przejmuj się mną. Odkąd ten Jezus spojrzał na mnie, nie mogę sobie ze sobą poradzić.

Uznając mnie za swego przyjaciela, Szymon dotknął ręką mego czoła, ramion i piersi, co wcale nie było przykre.

— Możliwe, że skierowano cię do mnie we właściwej chwili — stwierdził. — Grecki nauczyciel moich synów czytał mi księgi prorockie, ale bezustannie ziewał, toteż nic nie rozumiałem. Miałem zamiar wyjść z domu i poszukać znawcy tekstów, który by mi wytłumaczył wszystko najpierw literalnie, a potem obrazowo i jeszcze porównał te teksty z innymi, żebym nie popadł w fanatyzm. Widzisz, po tym spojrzeniu Nazarejczyka wiem, że jego nauka nie jest nauką ksiąg, ale życia... — Nagle rozejrzał się dokoła i zapytał: — Co się stało? Czuję się jakoś lekko, znikł cały mój niepokój.

Odniosłem wrażenie, że od strony atrium przesunęła się chmura i pojaśniało mi w oczach. Równocześnie wszedł do środka owinięty płaszczem rosły mężczyzna i przebył pokój, kierując się w głąb mieszkania, jakby nas nie zauważył. Szymon Cyrenejczyk krzyknął za nim:

— Czy to ty, Eleazarze? Czy coś się stało na polu? — Wyjaśniająco dodał: — To mój pracownik, Eleazar. Na pewno ktoś uciął sobie rękę albo osiołek wpadł do studni,

więc przyszedł po mnie.

Wstał i podążył za mężczyzną. Zacząłem się zastanawiać, gdzie widziałem tego obcego, bo w sylwetce było coś znajomego. Aż się roześmiałem, gdy uświadomiłem sobie, że najbardziej przypominał mi mego dobrego nauczyciela z Rodos. Miał tak samo lekko łysiejącą głowę. Gdyby się odział w grecki chiton, byłby zupełnie do niego podobny. Dobrze wiedziałem, że zmarł już dobrych parę lat temu. Posmutniałem, gdy sobie przypomniałem, jak byłem roztropny i otwarty na przyjmowanie wszystkiego co dobre w tamtych dawnych czasach.

Po dłuższej chwili wrócił Szymon Cyrenejczyk i powiedział z gniewem:

— Nie rozumiem, gdzie ten Eleazar się podział? Chyba wyszedł przez podwórze, gdy mnie nie znalazł w sypialni. — Uderzył w metalowy krąg, a kiedy zjawił się służący, rozkazał mu: — Przyrowadź do mnie Eleazara. Dopiero co przeszedł przez ten pokój, ale mnie nie zauważył, bo siedziałem w cieniu.

— Nie widziałem dzisiaj Eleazara — odrzekł zdziwiony sługa, lecz udał się na poszukiwanie. Zaraz jednak wrócił i zapewnił: — Nie, nie, pomyliłeś się panie. Nigdzie nie ma Eleazara, a brama jest zamknięta.

Szymon Cyrenejczyk sam poszedł sprawdzić. Słyszałem, jak zagniewany rozmawia ze służącą, biega po pokojach i potraça meble. Dopiero po długim czasie wrócił i powiedział:

— Tu naprawdę nikogo nie ma. Służąca zaklina się, że nikomu nie otwierała bramy i nikt w domu nie widział Eleazara.

— A ja myślałem, że widzę nieboszczyka nauczyciela, który mnie wychowywał na wyspie Rodos. Dobrze, że na kamiennej posadzce zostały ślady jego stóp. Inaczej musielibyśmy uznać, że obydwaj ujrzelśmy widmo.

Wskazałem ślady bosych stóp na gładko oszlifowanej kamiennej posadzce. Szymon Cyrenejczyk schylił się, by je obejrzeć z bliska, i rzekł z lekkim roztargnieniem:

— Eleazar chyba skaleczył się w nogę.

Przesunął palcem po posadzce i na opuszkę palca pojawiła się plamka krwi. Rzuciłem się na ziemię, by na kolanach obejrzeć ślady stóp. Zimny dreszcz przeszedł mi przez plecy. Podniosłem wzrok na Szymona Cyrenejczyka i jękając się powiedziałem:

— Teraz rozumiem, dlaczego uczniowie nie od razu go rozpoznali.

— Marnie strzegą mego domu — krzyczał rozdrażniony Szymon Cyrenejczyk, który zupełnie mnie nie rozumiał — jeśli byle kto może po nim biegać, choć brama jest zamknięta.

— Czy ty naprawdę go nie poznałeś?

— To był Eleazar, mój nadzorca — twierdził z uporem.

— Nie, nie! — krzyknąłem, podnosząc ręce. — Te ślady są święte, a twój dom błogosławiony! To zmartwychwstały przeszedł koło nas i pozwolił się nam ujrzeć,

ponieważ tak żarliwie szukamy«jego drogi.

Opalona twarz Szymona zszarzała, ale dalej się upierał:

— To był Eleazar, widziałem go na własne oczy i poznałem. Nie ścierpię, żebyś mnie pomawiał o kłamstwo!

— Możesz wierzyć, w co chcesz. Ja wiem, czemu dać wiarę. Było w nim coś znajomego dla nas obydwu. Ale jak mogliśmy w pierwszej chwili zrozumieć, że to on? Maria Magdalena też go nie poznała, dopóki nie zawołał jej po imieniu.

— Co ty właściwie próbujesz mi wmówić? — protestował Szymon Cyrenejczyk. — Widziałem, jak wywoływano duszę czarownicy; to był cień poruszający się wraz z kłębamii dymu. Ale żaden duch nie zostawia na podłodze śladów bosych stóp!

— Bo on nie jest duchem — powiedziałem. — Czy jeszcze nie rozumiesz? Powstał z grobu i nadal żyje wśród nas, przychodzi i odchodzi, kiedy chce. Nawet przez zamknięte drzwi.

— Może naprawdę zmartwychwstał, bo patrzył na mnie tak dziwnie. Ale dlaczego miałby się pokazać właśnie tobie i mnie, tego nie pojmuję. Przecież ani nie jesteśmy jego uczniami, aniśmy go nie znali. Ty, nie obrzezany Rzymianin, i ja, były niewolnik. Dlaczego miałby się nam pokazać?

— Jego Królestwo było blisko nas, zanim sam się pokazał — rzekłem z powagą. — Czy nie zauważyłeś, jak jasno zrobiło się w pokoju z jego przyjściem? Także nasze samopoczucie się poprawiło. Zresztą ciągle czuję się świetnie. Czemu dziwią nas jego zamiary? Objawiając się nam z pewnością chciał pokazać, że chociaż jesteśmy obcy, mamy prawo szukać jego drogi, jak tylko umiemy.

— Jeśli to był on, przekażę majątek synom i pójdę za nim wszędzie, gdzie zechce. Ale to nie był on, tylko Eleazar. — Zaczął gorzko żalić się na swój los, zacisnął w pięści swoje wielkie ręce i wyrzekął: — Czemu właśnie mnie to musiało spotkać? Nie mógł złapać w swoje sieci młodszego? Tak właśnie nieszczęście spada na człowieka: nagle, niespodziewanie i najmniej oczekiwanie. Co mnie sprowadziło wówczas na jego drogę? Sądziłem, że będę mógł spędzić resztę życia korzystając z tego, co posiadam.

Doszedłem do wniosku, że uwierzył w objawienie się nam Jezusa, ale broni się przed konsekwencjami swej wiary. Powiedziałem, żeby mu dodać odwagi:

— Szymonie, mój bracie, wierz mi, on z pewnością może ci dać dużo więcej, niż dotychczas miałeś. Ale nie idź za nim, skoro już teraz wydaje ci się to zbyt trudne. Nie sądzę, aby zmuszał kogokolwiek, jeśli nie jest wewnętrznie przygotowany.

— Oho, czyżbyś zaczął uważać się za strażnika jego drogi i stawiać mi przeszkody jak jego uczniowie, którzy nawet mnie nie przyjęli? Równie dobrze jak ty mogę znaleźć tę drogę, jeśli rzeczywiście nam się pokazał, w co ciągle nie wierzę.

W tym momencie obydwaj podskoczyliśmy, bo ktoś załomotał w bramę. Usłyszeliśmy zgrzyt odsuwane go rygla i otwieranie drzwi, a następnie kłótlivy głos służącej. Nagle do pokoju wpadł mały człowieczek z wielką głową, który załamywał ręce, płakał i wołał:

— Gdzie on jest? Gdzieście go ukryli? Przywiązałem osła przed bramą i cierpliwie czekałem, bo widziałem, jak wchodził do tego domu, ale dotąd nie wyszedł.

— Człowieku, o kim ty mówisz? — spytał Szymon. — Tutaj nikt nie wchodził, a razem z moim gościem długo już rozmawiamy.

Śmieszny mały człowieczek podszedł do mnie, uniósł swoją olbrzymią głowę, przyjrzał mi się krótkowzrocznymi oczyma i oświadczył:

— To nie jest ten, którego szukam. Tamten był odziany w drogie żydowskie szaty, jego płaszcz był uszyty z wełny z Miletu, znam się na tym.

— Kogo szukasz? — spytał ponownie Szymon. — I czemu bezczelnie wypychasz się do mojego domu?

— Nic ci do tego, kogo szukam — rzekł lekceważąco mały człowieczek. — Powiem ci tyle, że wyprzedził mnie na drodze. Poznałem go dopiero wtedy, gdy już się oddalił, i wołałem za nim, ale się nie zatrzymał, jakby nie słyszał moich krzyków. Poganiałem osiołka, ale dotarł do miasta przede mną i tylko dostrzegłem, że wszedł do tego domu.

Znowu zakołatano do bramy i po chwili do pokoju wkroczył wieśniak o dobroduszej ogorzalej twarzy. Szymon Cyrenejczyk odetchnął z ulgą, kiedy go zobaczył, i zawołał:

— No, przecież jesteś, Eleazarze! Czemu przed chwilą bez słowa przeszedłeś przez pokój i zniknąłeś?

— Wcale tędy nie przechodziłem — odparł zdziwiony Eleazar.

— Idę prosto z pola. Co się dzieje z tobą, gospodarzu? Od tylu dni nie pokazujesz się w swoich włościach, nie wiem, co robić, bo nie zostawiłeś żadnych instrukcji. Chyba nie jesteś chory?

Spojrzałem na nogi nowo przybyłego. Były bose i wydawało mi się, że lekko zakrwawione. Spytałem:

— Czy skaleczyłeś nogi?

— Nie, nie — Eleazar z zawstydzeniem popatrzył na własne nogi i wyjaśnił: — To farba, którą znakujemy ofiarne jagnięta. Nie umyłem ich, spieszno mi było zobaczyć się z gospodarzem, żeby ustalił, co będziemy robić w Cyrenie i żeby mnie obrugał, bo inaczej nie wykonam dobrze jego poleceń. Mały człowieczek spoglądał kolejno na nas, aż wreszcie chyba stracił panowanie nad sobą, poczerwieniał na twarzy i wrzasnął:

— Chcecie ze mnie głupca zrobić?! Co tu gadacie o polach i kozłach ofiarnych? Nie mam żadnych rogów, ale pytam was po dobroci, gdzieście go podziali?

— Co mi tu, karle, skaczesz przed oczami jak kogut? Jestem Marek, obywatel rzymski, to nasz gospodarz, Szymon Cyrenejczyk, a Eleazar jest zarządcą jego majątku. Kim zaś ty jesteś, że masz czelność awanturować się w obcym domu, jakby ci rozum odjęło?

— Jestem Zacheusz z Jerycha, były dziesiętnik poborców podatkowych — odparł

wyniosłym tonem. — Nie drwij z mego wzrostu, bo w moim mieście nikt nie ośmiela się tego czynić, w każdym razie nie przy Rzymianach.

Zdumiony klasnąłem, a Szymon Cyrenejczyk wykrzyknął:

— Słyszałem o tobie, Zacheuszu! Właśnie wybieraliśmy się do ciebie. Jakie wiatry cię tu przygnały? Gdyby nie wigilia szabat u byłibyśmy właśnie w drodze do Jerycha.

Zacheusz podejrzliwie się nam przyglądał, więc pospieszyłem z potwierdzeniem:

— Szymon prawdę mówi. Więc to ty jesteś tym człowiekiem, który z rozkazu Jezusa rozdał połowę swego majątku ubogim i w czwórnasób wynagrodził tych, których oszukał?

— Nie, on mi nie rozkazał — zapewnił Zacheusz. — Z własnej woli podzieliłem majątek, który nieprawnie nabyłem. A co ty, Rzymianinie, wiesz o nim?

— Widzę, gospodarzu, że jesteś cały i zdrowy — Eleazar niespokojnie szurał nogą po posadzce — a ja nie chcę słuchać o sprawach, które powodują pustkę w głowie i bóle brzucha.

— Nie bój się — powiedziałem. — Wyjaśniliśmy już te sprawy gruntownie. Czemu ty, który jesteś biednym człowiekiem, odczuwasz lęk, gdy wymienia się imię Nazarejczyka?

— Jego brzemię byłoby lekkie, a niewola słodka — Eleazar przebierał nogami ze wzrokiem wbitym w ziemię. — Obiecał nam pokój, gdybyśmy poszli za nim. Ale każdego, kto obiecuje służbie, pastuchom czy chłopom coś dobrego, lepszego niż dotąd, zaraz prowadzą przed oblicze sędziego. No i ukrzyżowali tego Jezusa, dlatego nie chcę już więcej o nim słyszeć.

— Nie, nie — krzyknął z zapałem Zacheusz. — Bardzo się mylisz co do jego nauki. On przyszedł szukać zbłąkanych i mnie też nazwał dzieckiem Abrahama, chociaż wiedział, że jestem chciwy i okrutny. I nie drwił z mego wyglądu, tylko zawołał mnie po imieniu, poprosił, żebym zszedł z drzewa, na które się wspiąłem, żeby go zobaczyć, i powiedział, że przyjdzie jako gość do mojego domu.

— A jego Królestwo nie jest z tego świata — dodałem od siebie.

— Kiedy mówił, wierzyliśmy, że jego Królestwo wkrótce się objawi — zapewnił Zacheusz. — Nie przybyłem do Jeruzalem razem z innymi na święto Paschy, bo jestem grzesznikiem i mojej ofiary nie przyjęto by w Świątyni. Dopiero od tych, co po świętach wrócili do Jerycha, dowiedziałem się, jak straszliwie go zamordowano, i teraz nie mam pojęcia, co myśleć. Ogarnął mnie niepokój, w końcu wsiadłem na osła, żeby jechać do Jeruzalem i wszystkiego się dokładnie dowiedzieć. I po drodze, niedaleko Jeruzalem, on mnie minął.

— Kto? — zapytał gorączkowo Szymon Cyrenejczyk.

— Jezus. — Zacheusz znów poczerwieniał, opuścił wzrok na ziemię, załamał ręce. — Tylko nie mówcie, że zwariowałem. Byłem zmęczony podróżą, bo jestem słabowity. Osiołek też kroczył ze zwieszoną głową. Dopiero kiedy przeszedł obok mnie, poczułem

tchnienie mocy i poznałem go.

— Czy naprawdę widziałeś, że wszedł do mojego domu? — natarczywie pytał Szymon.

— W żadnym innym domu nie mógł zniknąć — zapewnił Zacheusz. — W Jerychu mówiono, że zmartwychwstał, ale nie uwierzyłem, bo nigdy nic takiego się nie wydarzyło. Kiedy go teraz rozpoznałem, nie miałem odwagi zbyt głośno za nim wołać. Nie chciałem też zwracać na siebie uwagi dobijając się do bramy, żeby go nie narazić na niebezpieczeństwo. Ale zmiłujcie się nade mną i dopuście mnie do niego, żebym mógł paść na ziemię i uczcić w nim mesjasza.

Na dźwięk tego słowa Eleazar zaklął siarczyście i krzyknął:

— Przystań nazywać go mesjaszem! Chorych uzdrawiał i martwych wskrzeszał, jak król wjechał do Jeruzalem i biczem oczyścił Świątynię, a nie starczyło mu siły na obalenie rady! Wielu mężczyzn ostrzyło już topory i tylko czekaliśmy na sygnał, żeby iść za nim. No i jaki znak otrzymaliśmy? Przybili go do krzyża między dwoma zbrojami! Niech nikt więcej za mego życia nie mówi mi o mesjaszu! Widocznie tak być musiało i nie pozwolę nikomu wprowadzić się w błąd! Dzieciom swoim zostawię w spadku pewność, że mesjasza nie *ma* i nie będzie!

— Eleazarze, wiedziałeś o nim? — zapytał Szymon Cyrenejczyk. Czemu nic mi nie powiedziałeś?

— Tobie na pewno nie powinienem był o nim mówić — Eleazar wyraźnie rozzuchwalał się, bo krzyknął bez zastanowienia: — Jesteś przecie człowiekiem bogatym i tak chciwym, że nawet chrust zbierasz z ziemi, aby nie zostawić niczego wdowom i sierotom. Dla bogatych nie powinno być miejsca w Królestwie. Przede wszystkim trzeba by oczyścić jego drogi z bogaczy, a pola, winnice i gaje oliwne podzielić między lud! To prawda, że jedni mówili to, drudzy co innego, ale sądziłem, że dzieci Światłości wróciłyby do Jeruzalem i pokierowały nami. No tak, Janowi Chrzcicielowi poderżnęli gardło, a Jezusa Nazarejskiego przybili do krzyża. Bogaci, możni i uczeni w Piśmie zawsze w ten sam sposób mordowali proroków tego narodu. I nie wstrzymam już żółci wzbierającej we mnie, tylko wypluję ją na twoją podłogę, gospodarzu. Ty wiesz, co zrobili w Cyrenie, a ja dobrze wiem, co się wyprawia w Judei i Jeruzalem!

— Jeśli takie straszne krzywdy cię ode mnie spotkały — powiedział cichym głosem Szymon — i jeśli rzeczywiście zabieram wdowom i sierotom chrust, który niosę w płaszczu do domu, to uderz mnie. Zasłużyłem na to.

Jednakże Eleazar go nie uderzył. Przeciwnie, schylił głowę i zapewnił:

— Nie, nie, głupio powiedziałem. Jesteś dobrym panem, najlepszym, jaki w tych czasach może istnieć na świecie. Troszczysz się o wdowy i sieroty i niezbyt skrupulatnie obliczasz snopy i kosze z oliwkami. Wielu ludzi żyje z okruchów, którym pozwalasz spadać ze swego stołu. Przepelnia mnie gorycz i smutek przez Jezusa Nazarejskiego. Pokazał swą moc i obiecywał tak dużo, a zostały nam tylko puste ręce.

— Ależ one wcale nie są puste — wtrąciłem — tylko wypełnione czymś większym i bardziej niewiarygodnym, niż przypuszczaliście.

Wskazałem ślady na podłodze, które już prawie zniknęły i tylko pod światło można ich się było doszukać. Szymon Cyrenejczyk opowiedział o zjawie i zaproponował:

— Zacheuszu, widzę, że jednak nam nie dowierzasz i podejrzewasz, żeśmy go gdzieś ukryli. Weź Eleazara i sprawdźcie w moim domu wszystkie pomieszczenia. Zajrzyjcie do piwnic, spichlerzy i na tarasy, wszędzie, żeby cienia wątpliwości nie zostało, że zniknął stąd tak samo, jak się pojawił. Potem wróćcie, abyśmy porozmawiali i zdecydowali, co dalej robić.

Istotnie, podejrzliwe spojrzenie Zacheusza świadczyło, że nie w pełni wierzy Szymonowi Cyrenejczykowi. Przyjął jego propozycję, ale powiedział:

— Szkoda, że nie jestem już dziesiętnikiem poborców podatkowych. Miałbym wtedy włócznie celnika i odnalazłbym wszystkie tajne skrytki w twoim domu. Jeśli ja tu nie znajdę Jezusa, to nikt tego nie zrobi, choć prawie wierzę, że go tutaj już nie ma.

Zniecierpliwiony Szymon kazał służbie przynieść taką włócznie, jaka była potrzebna. Prowadzony przez Eleazara Zacheusz wyszedł niepewnym krokiem kaleki i obaj zaczęli systematycznie sprawdzać wszystkie pomieszczenia. My zaś, Szymon i ja, długo milczeliśmy bardzo przygnębieni. W końcu powiedziałem:

— Mówiliśmy o Zacheuszu i sam się zjawił. Może to dla nas jakiś znak?

Szymon nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ z ulicy dał się słyszeć wielki hałas. Usłyszeliśmy, jak służąca otwiera bramę i kłóci się z jakimiś ludźmi. Wreszcie przybiegła do Szymona i jękliwie zaczęła wywodzić:

— Co się tutaj dzieje? Przed domem zebrała się gromada żebraków. Są rozdrażnieni i mówią, że podobno dzisiaj, Szymonie Cyrenejczyku, masz przyjąć jadłem i napojem wszystkich biedaków i kalekich z całego Jeruzalem! Co mam robić?

— Sen to czy jawa?! — Szymon Cyrenejczyk obiema rękami złapał się za głowę. — Przecież żadnej uczy dziś nie wydają! — Odwrócił się w moją stronę i rzekł oskarżająco: — Jesteś z pewnością złośliwym magiem. To wszystko twoja robota, a w mojej głowie nie zostało ani krzty zdrowej myśli.

Rzucił się do bramy, a ja za nim. Otworzył i zobaczyliśmy, że cały wąski zaułek wypełniają kalecy, nędzarze i opętani. Muchy roily się w zaropiałych oczach dzieci, które wyciągały do Szymona chude rączyny. Wszyscy mu schlebiali i błogosławili w imię Boga Izraela. Na próżno Szymon próbował dociec, skąd ta absurdalna wiadomość o uczcie. Nikt z żebraków nic nie wiedział, a z obydwu stron zaułka widać było coraz więcej gorliwie wlokących się przed jego dom kalek. Szymon Cyrenejczyk załamał się, zwołał służbę i rozkazał:

— Wpuście wszystkich na dziedziniec, tylko niech zachowają porządek i uważajcie, żeby nic nie pokradli. Upieczcie chleb, weźcie wszystko, co jest w domu do jedzenia, i rozdzielcie między nich tak, aby każdy był syty. Zmieszajcie też wino z dużego dzbana. Ale wpuście tylko tych, którzy już są. Na dziedzińcu nie zmieści się więcej ludzi. — Do mnie zaś rzekł: — Nic innego nie mogę uczynić, jak podziękować niebu, że moi synowie Aleksander i Rufus zwiedzają dziś nasze dobra w Kiriacie i będą tam przez cały szabat. Przecież mogliby od tych nieszczęśników zarazić się jakąś chorobą. O siebie się nie boję.

Poszedł sprawdzić, czy służący spełnili rozkazy. Wynieśli wszystko, co tylko było do jedzenia, nie żalowali oliwy, mąki, miodu i suszonych owoców, otworzyli gary solonych ryb, podali też pikantne sosy. Zobaczywszy, że na dziedzińcu siedzi i pełza ponad siedemdziesięciu żebraków, Szymon zrozumiał, że zapasów nie wystarczy dla nakarmienia wszystkich, wysłał więc służbę po większą ilość chleba i kaszy.

Wpuszczeni do domu żebracy z nabożeństwem oglądali greckie krużganki, przycichli i nie hałasowali, aby nie zagniewać Szymona.

Po sprawdzeniu wszystkich pokoi i piwnic, po zjrzeniu do każdego worka w spichlerzu, nawet do dzbanów z konfiturami, wrócił Zacheusz. Był zakurzony, przyprószony mąką i sadzą, głośno sapał. Wytarł twarz ręcznikiem, rozcierając tylko brud, i oskarżająco zwrócił się do Szymona:

— No, no, spryciarz z ciebie! Ładnie wywiodłeś mnie w pole! Ten, którego ukryłeś, niepostrzeżenie wyszedł, gdy wpuszczałeś żebraków.

— Jeśli ty, któryś znał Jezusa, nie wierzysz, to któż inny by uwierzył w to, co opowiadamy, a co na własne oczy widzieliśmy? Pokazał się tobie na drodze, a nam w moim domu. Niech Bóg zmiłuje się nade mną, bo dzięki temu, co wydarzyło się dzisiaj, wierzę naprawdę, że zmartwychwstał i że poruszy cały świat, tak jak poruszył dzisiaj mój dom. Więc opowiedz nam o nim i jego naukach, abyśmy zrozumieli, czego od nas chce!

Żeby udobruchać Zacheusza, przyniósł wody i sam umył mu głowę, a Eleazar nogi, dał mu także czysty płaszcz. Kiedy Zacheusz zobaczył, jak gorliwie wszyscy trzej mu usługujemy, uspokoił się i powiedział z rozważą:

— Nie powierzył mi żadnych tajemnic, jeśli o to wam chodzi. To, co mówił w moim domu, mówił głośno i wszyscy słyszeli. W Jerychu przywrócił wzrok ślepcowi, który uwierzył, że to syn Dawida. Do mnie powiedział: „Syn człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło.” Powiedział też, że w jego królestwie jest większa radość z jednego nawróconego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu świętoszków, którzy nie potrzebują nawrócenia.

— To jest niesprawiedliwa nauka — wtrącił Szymon Cyrenejczyk.

— Co za radość czeka człowieka, który w życiu postępuje słusznie i jak najlepiej, skoro Pan tylko przejdzie koło niego i nawet go nie pochwali? Z jakiej racji grzesznik ma być miłszy niż człowiek pobożny?

— Zawołał mnie po imieniu — Zacheusz podniósł uciszająco rękę

— i wszedł jako gość do mego domu, choć jestem grzeszny i pogardzany. A mnie się zdało, że opada ze mnie cała gorycz życia, bo przez pokraczność mego ciała nigdy nie myślałem dobrze o ludziach i nienawidziłem ich. Skoro jednak on mnie uznał, on, król Izraela i syn Dawida, i wybaczył mi moje winy, to już nie potrzebuję ludzkiej aprobaty! Uczucie wyzwolenia było tak wielkie, że z radości rozdałem połowę majątku między biednych, ale sądzę, że wy dwaj nie możecie tego zrozumieć.

— Nie, tego nie możemy zrozumieć — potwierdził Szymon Cyrenejczyk. — Może wyrządziłeś już tyle krzywd i popełniłeś tak wiele przemieszanie, że bałeś się, co się

stanie, gdy wyjdą na jaw? Dlatego się nawróciłeś i jak mogłeś, wynagrodziłeś krzywdy, żeby ocalić chociaż część majątku.

— Nie czuję się obrażony twoimi słowami — powiedział wesoło Zacheusz — i szanuję twój zdrowy rozsądek. Ja też jestem podejrzliwy, gdy badam pobudki, które kierują ludźmi i ich czynami. Nie wiem, co mi się stało w jego obecności. Powiedział wówczas zagadkową przypowieść, której nadal nie rozumiem. Opowiadał o mężczyźnie szlachetnego rodu, który wyjechał do dalekiego kraju, aby przyjąć godność królewską i wrócić. Wyjeżdżając wezwał do siebie dziesięciu sług swoich, dał im dziesięć min i kazał im się rządzić na jego rachunek, aż wróci. Współobywatele nienawidzili go i wysłali za nim poselstwo, że nie chcą, aby królował nad nimi. On jednak otrzymał tę godność i wrócił, a wówczas kazał przywołać do siebie sługi, którym powierzył pieniądze, i zażądał rozliczenia. Pierwszy sługa dumnie opowiadał, że otrzymana mina przysporzyła dziesięć min. Wtedy król powiedział mu: „Dobrze, sługo dobry, ponieważ w drobnej rzeczy okazałeś się wierny, sprawuj władzę nad dziesięciu miastami”.

— Czy on naprawdę nie mówił o niczym innym, jak tylko o pieniądzach? Oczekiwałem od ciebie słów o życiu wiecznym.

— Jestem poborcą podatkowym. Na pewno sądził, że najlepiej zrozumiem przypowieść o pieniądzach — usprawiedliwiał się Zacheusz.

— My, Żydzi, dobrze pojmujemy sprawy finansowe, lepiej niż ty, Rzymianin wychowany na greckiej filozofii — wtrącił Szymon Cyrenejczyk. — Dziesięć min to naprawdę duża suma, choć może to były miny srebrne, a nie złote. W krótkim czasie nikt nie jest w stanie uczciwie pomnożyć jednej miny dziesięciokrotnie. W każdym razie potrzebne jest do tego szczęście i spryt.

— Czy mogę już mówić dalej? — zapytał Zacheusz. — Drugi sługa swoją minę pomnożył do pięciu i otrzymał władzę nad pięcioma miastami. Trzeci zaś przyniósł otrzymane pieniądze, które przechował w chustce, bał się bowiem, że zgubi je lub straci, jeśli zacznie nimi obracać. Na swoją obronę powiedział: „Lękałem się ciebie, bo jesteś człowiekiem surowym, chcesz brać, czegoś nie położył, i żąć, czegoś nie posiał”. Wtedy król powiedział: „Według słów twoich sądzę cię, zły sługo. Wiedziałeś, że jestem człowiekiem surowym: chcę brać, gdzie nie położyłem, i żąć, gdzie nie posiał. Czemu więc nie oddałeś mych pieniędzy do banku, skoro sam nie odważyłeś się działać w moim imieniu, abym po przyjeździe odebrał pieniądze z zyskiem?” I kazał zabrać mu minę i dać temu, który miał już dziesięć. A inni mówili: „On już ma dziesięć min”.

Zatkałem sobie ustami rękę, żeby nic nie mówić na temat przydługiej przypowieści, a Zacheusz patrząc na nas z wyrazem zwycięskiej radości, podniósł dłoń i zachęcił:

— Słuchajcie pilnie i zapamiętajcie, taka bowiem jest jego nauka. Król im odpowiedział: „Powiadam wam: każdemu, kto ma, będzie dodane, a temu, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma”. Na koniec kazał przyprowadzić swoich przeciwników, którzy nie chcieli, aby został królem, i kazał ich ściąć.

Rozmyślaliśmy obydwaj, Szymon i ja, nad tą zagadkową przypowieścią. W końcu przygnębiony powiedziałem:

— Nie rozumiem jej celu, wydaje mi się, że jest opaczna i niesprawiedliwa.

— Ja też niezupełnie rozumiem — zgodził się Zacheusz — ale ciągle o niej myślę, odkąd się dowiedziałem o jego śmierci. Nie potrafię już inaczej. Myślę, że porównywał siebie do człowieka szlachetnego rodu, którego nienawidzą ziomkowie, i że poszedł po władzę nad swoim Królestwem, które nie jest z tego świata. Na pewno zamierza wrócić i żąda od każdego, któremu coś powierzył, zdania rachunku, aby sprawdzić, jak każdy z nas gospodarzył.

— Czy pamiętasz tę przypowieść dobrze i dokładnie, tak jak on sam opowiedział? — spytałem.

— Myślę, że dobrze pamiętam, przynajmniej treść. Wielu innych to słyszało i może zaświadczyć. Niektórzy pamiętają, że mówił o talentach, inni zaś, że sług było tylko trzech, ale treść pamiętają wszyscy, tak była zaskakująca i niesprawiedliwa. — I po namyśle dodał: — Nie sądzę, żeby miał na myśli pieniądze, to porównanie ma głębszy sens. Sam przestrzegał przed gromadzeniem skarbów, które mól zjada i rdza niszczy, i mówił, że lepiej zbierać skarby jego Królestwa.

Szymon Cyrenejczyk drgnął, jakby coś sobie przypomniał, i rozkazał:

— Eleazarze, idź natychmiast do spichlerzy i magazynów, weź tkaniny wełniane i lniane i rozdaj biednym, którzy spożywają posiłek na moim dziedzińcu. — I znowu ponuro wpatrzył się przed siebie.

Eleazar zawahał się i zaszurał nogą po podłodze.

— Możesz zrobić, co chcesz ze swoimi rzeczami, gospodarzu

— powiedział — ale czy mogę najpierw wziąć sobie nowy płaszcz i tunikę? Chętnie bym też coś wziął dla dzieci i żony.

— Rób, jak uważasz, i wy także bierzcie, na co macie ochotę.

— Szymon kołysał się do przodu i tyłu, włożywszy ręce między kolana.

— Ograbcie mnie do nitki i weźcie wszystko, czego się w życiu dorobiłem. Ściągnijcie ze mnie i ten dziurawy płaszcz, jeśli tylko komuś się przyda.

— Nie popadaj w skrajność, Szymonie — powiedział zmieszany Zacheusz. — Zdrowy umiar jest potrzebny zarówno przy dawaniu, jak i braniu. Ale w ogóle postępujesz słusznie, bo Jezus powiedział: „Cokolwiek uczynicie najmniejszemu z braci moich, mnie to uczynicie.” To jest ta droga. — Nagle wystraszył się, zerwał na równe nogi i krzyknął: — A co z moim osiołkiem, którego przywiązałem przy bramie?! Na ulicy pełno żebraków. Któryś mógł w zamieszaniu odwiązać go i zabrać ze sobą. — Ucichł nagle, znowu usiadł i po chwili zastanowienia rzekł: — A niech tam, w sprawach Królestwa nie chcę być gorszy od ciebie, Szymonie. Jeśli ktoś ukradł osiołka, to widocznie bardziej go potrzebuje niż ja, nie myślę gonić go i oskarżać. Niech mu się dobrze chowa.

Szymon długo pojękiwał i drżał jak w febrze, ale potem zaczął się uśmiechać i stwierdził:

— To wszystko bardzo źle na mnie wpływa. Czuję się tak, jakby moje ciało po kawałku szarpano kleszczami, gdy słyszę* jak rozzuchwaleni żebracy zajadają młazszcząc i kłócąc się o najlepsze kąski. Domyślam się, że w swej chciwości depczą chleb i kopia solone ryby. Zapewne z tym się trzeba pogodzić, skoro tak być musi.

— Czy sądzisz — spytałem zdumiony — że to on, kiedy zniknął z twojego domu, ukazał się jakiemuś żebrakowi i żeby cię wypróbować, powiedział mu, że urządziłeś dziś ucztę dla nich?

— Myślę, co chcę — ofuknął mnie zdenerwowany Szymon. — Ale jeśli on sobie zarty ze mnie stroi, to i ja pozartuję. Zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni.

Poszedł na podwórze, a my za nim. Zobaczyliśmy, że żebracy przyzwoicie siedzą w kucki na ziemi i rozdzielają między sobą jedzenie. Nie wyklócali się, ale przeciwnie, podawali innym najlepsze kęski, zupełnie jakby naprawdę byli gośćmi zaproszonymi na ucztę. Ślepcom kroili jedzenie na małe kawałki, a tym, którzy nie mogli sięgnąć do naczynia, podsuwali je bliżej. Eleazar szedł kruzgankiem, niosąc w objęciach stertę wełnianych okryć i lnianej odzieży. Znad żarzących się węgli paleniska unosił się zapach pieczeni, słudzy zaś ciągle piekli nowe jęczmienne i pszenne chleby i przyprawione kminkiem racuchy. Stróż przy wejściu płakał, a grecki nauczyciel uciekł na dach i nie chciał zejść na dół.

Radość żebraków i zachowanie przez nich należytego porządku do tego stopnia zdenerwowało gospodarza, że krzyknął na cały głos:

— Jedzcie i pijcie, aż wam będą brzuchy pękały, a co zostanie, zabierzcie do swoich domów! Ale pamiętajcie, że ja, Szymon Cyrenejczyk, nie dałem wam ani okruszka! Gospodarzem tej uczyty jest Jezus Nazarejski, ukrzyżowany przez naszą radę. Niechaj więc Jezus pobłogosławi wasze jedzenie, abyście spożywali je dla życia, a nie dla śmierci. Sam nie jestem w stanie błogosławić, bo gorycz żółci przelewa się w moim gardle.

Żebracy sądzili, że z nich drwi; bacznie mu się przyglądali, kilku próbowało się roześmiać. To jeszcze bardziej rozgniewało Szymona Cyrenejczyka, więc krzyknął głośnie:

— Jezus Nazarejski, syn Boga, częstuje was tym dobrem, bo zmartwychwstał, a jego Królestwo jest wśród nas tak długo, jak długo on będzie między nami, przychodząc i wychodząc, kiedy zechce, również przez zamknięte drzwi.

Żebracy przelękli się i spoglądali jeden na drugiego. Bardziej zuchwali śmiali się na głos i zaczęli wykrzykiwać:

— Błogosławiony jesteś, Szymonie Cyrenejczyku, wśród mężów Izraela! Ale czemu gościsz nas tylko kwaśnym winem, podczas kiedy sam, wnioskując po twojej mowie, popijasz z twoimi szanownymi gośćmi słodkie?!

Szymon Cyrenejczyk, który omal nie pękł ze złości, zawołał służbę i rozkazał:

— Otwórzcie małe dzbany i mieszajcie z winem z dużych stągwi, aby się napili i uwierzyli, że Jezus Nazarejski, syn Boga, czyni cuda nawet po śmierci.

Słudzy uczynili, jak im przykazał, a chcąc ratować to, co jeszcze zostało, zaczęli sami pić na wyścigi z żebrakami; pił też Eleazar. Szymon zaś przyniósł flakon z drogim nardem, rozbił szyjkę naczynia i zawołał:

— Denerwują mnie muchy w waszych ropiejących oczach i ranach i ten smród waszego brudu i gnoju! Zbyt dobrze znam ten odór. Natrzyjcie tym pachnidłem twarze i włosy, a nawet książęta będą wam zazdrościć zapachu.

Rzeczywiście, kiedy otworzył małe naczynie, cudowna woń rozeszła się po całym dziedzińcu. Chodził po podwórku i smarował tą maścią włosy żebraków i w ogóle zachowywał się tak, jakby stracił rozum, bo chwilami śmiał się i chichotał, to znowu bluzgał straszhliwymi przekleństwami. W pewnej chwili podszedł do żarłocznie jedzącego chłopca, upuścił naczynie z wonnością, upadł przed malcem na kolana i rozkazał spokojnym głosem, aby przyniesiono mu gęsty grzebień, bo chce wy czesać temu dziecku wszy.

I naprawdę wyczesywał i zabijał wszy ze zlepionych włosów dziecka, a robił to tak umiejętnie, jakby całe życie wykonywał tę ohydłą pracę. Głowę dziecka pokrywały strupy po ukąszeniach insektów i mały płakał, ale tak bardzo spieszył się, aby się najeść do syta, że nie wyrwał się ani nie uciekał.

Żebracy byli już mocno przestraszeni i szeptali jeden do drugiego:

— Szymon Cyrenejczyk stracił rozum przez Jezusa Nazarejskiego. To zrozumiałe, bo przecież Rzymianie okropnie go zhańbili, zmuszając do niesienia krzyża bluźniercy. Szybko jedźmy i pijmy, zabierzmy, co nam daje, i uciekajmy, żeby nie zaczął nam odbierać tego, co podarował. Już nie raz zdarzało się, że pijany bogacz wpuszczał na swoją ucztę nie zaproszonych żebraków, ale na końcu zwykle rozgniewany zmuszał ich, aby wyrzygali z siebie, co zjedli i wypili. A więc spieszymy się. «

Patrzyli na Szymona Cyrenejczyka ze strachem, lecz ten w takim skupieniu czyścił głowę dziecka, że nie słyszał ich szeptów. Gdy skończył wyczesywanie, zaprowadził chłopca do basenu pośrodku atrium, zerwał z niego łachmany i wyszorował całego, nie zważając na jego piski. Resztkami nardu natarł głowę, piersi i stopy dziecka i dał mu najlepszy płaszcz i czerwone buciki swoich synów, mówiąc:

— Teraz pięknie pachniesz i jesteś ubrany jak syn księcia. Niech mnie, jeśli ten chłopiec nie nadaje się teraz do jego Królestwa.

Żebracy chwyтали odzienie, które im rozdzielał Eleazar, i powoli przesuwali się w stronę bramy, czatując na okazję, by wyrwać dziecko z rąk Szymona Cyrenejczyka. Ten zaś zorientował się w ich zamiarach i wrzasnął:

— Goście zaproszeni przez Jezusa, jeszcze nie odchodźcie! Każdy z was dostanie od niego podarek!

Wziął mnie i Zacheusza, abyśmy mu pomogli otworzyć liczne zamki obitej żelaznymi obręczami skrzyni. Wyjął z niej skórzaną sakiewkę, biegiem wrócił na podwórze, zerwał pieczęć i zaczął wciskać do wyciągniętych rąk srebrne monety. Kilku żebrakom dał drachmę, innym po cztery, a niektórzy dostali po dziesięć drachm, rozdawał bowiem pieniądze na chybił trafił, nie bacząc, kto ile dostał.

— Czemu tamten dostał tak dużo, a mnie dałeś tak mało?

— skamlali żebracy.

— To wina Jezusa Nazarejskiego — odpowiadał Szymon. — On bierze, czego nie zgromadził, i zbiera, czego sam nie posiał. I dodał jeszcze monet tym, którym dał najwięcej. Kiedy zaczął zabierać pieniądze tym, którym dał najmniejsze srebrne monety, żebracy doszli do wniosku, że najwyższy czas brać nogi za pas, i uciekli, zabierając ze sobą dziecko.

Szymon Cyrenejczyk otarł pot z czoła, zdumiony potrząsnął sakiewką i rzekł:

— Coś takiego nigdy mi się przedtem nie zdarzyło. Czy to znak czy rada? Sakiewka jest tylko do połowy opróżniona, chociaż zdawało mi się, że rozdzieliłem wszystkie pieniądze.

— Schowaj sakiewkę z powrotem do skrzyni — powiedziałem.

— Potem uczesz brodę, żebyś sam wszy nie dostał, i każ służbie posprzątać resztki. Nie wiem, czy twoje zachowanie przed chwilą było głupotą czy sprytem, w każdym razie jestem pewien, że żebracy wyszli zadowoleni i na pewno przez długi czas będziesz miał spokój, bo nie będą cię nachodzić.

Zacheusz siedział obok Eleazara na skraju dużej stągwi, w której mieszano wino, śmiał się wesoło i wołał do mnie:

— Chodź, Rzymianinie, weź kubek i zaczerpnij wina. Jest go jeszcze sporo na dnie i nie wypada, aby tak dobry napitek stał i kisł. Pił wino i wołał: — Niech będzie błogosławiona latorośl winna, dana nam w imię tego, który umarł i zmartwychwstał, aby przygotować Królestwo dla nas wszystkich. Na własne oczy widzieliśmy go my wszyscy trzej. Ty, Eleazarze, widziałeś tylko jego ślady na kamiennej posadzce, ale musisz uwierzyć nam, którzy jesteśmy godniejsi od ciebie prostego rolnika i pastucha. — Tkliwie objął ramieniem szyję Eleazara, pocałował go i tłumaczył: — Nie martw się, jestem godniejszy od ciebie tylko tutaj, na tym świecie. W jego Królestwie być może staniesz przed nami. On sam zapewniał, że tam pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi.

— Wszyscy zachowujecie się jak pijani, a najbardziej mój pan, Szymon! — wołał Eleazar, usiłując wyrwać się z objęć Zacheusza. — Ja zaś jestem zadowolony, bo otrzymałem nowe szaty i rozdzieliłem tak dużo, i to drogich rzeczy, między tych, którzy niczego nie mają. Na pewno wino uderzyło mi do głowy, bo nie jestem do niego przyzwyczajony.

— Pokój wam — powiedział Szymon Cyrenejczyk, ściskając oburącz głowę. — Jestem bardzo zmęczony i idę spać. Przez wiele nocy oka nie zmrużyłem, tylko czuwałem i denerwowałem się przez Jezusa Nazarejskiego. Teraz odnalazłem spokój i wydaje mi się, że będę mógł spać przez cały szabat.

Niepewnym krokiem ruszył do swego pokoju. Zacheusz i ja nie poszliśmy za nim, obydwaj bowiem zrozumieliśmy, że sen najlepiej mu zrobi. On zaś przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza, z rozczochraną czupryną wyjrzał zza drzwi, mrugnął do nas i

rzekł:

— Mam nadzieję, że to wszystko było tylko złym snem. Przekonam się o tym, jeśli po obudzeniu was nie zobaczę. Ale, Zacheuszu z mego snu, jeśli chcesz, przenocuj w sąsiednim pokoju. Ty, Eleazarze, wyśpij się i wytrzeźwiej, a zanim trzecia gwiazda zabłyśnie na niebie, idź do domu świętować szabat. Tobie, Rzymianinie, zupełnie nie wiem, co powiedzieć, bo na pewno jesteś zjawą senną i już cię więcej nie spotkam.

Eleazar usłuchał go, poszedł w cień krużganka, położył się na ziemi i z głową nakrył płaszczem. Zacheusz i ja zostaliśmy we dwóch i bacznie na siebie spoglądaliśmy. Jego twarz w moich oczach nie była już odstręczającym obliczem karła; oczy mu błyszczały, a pęczki zaczerwieniły się od wina w zupełnie ludzki sposób. Spytał mnie, czy wiem coś o wyborze apostołów, uczniów Jezusa. Powiedziałem, co mi było wiadomo od Marii Magdaleny, mówiłem także o objawieniu się Jezusa kilku uczniom w dużej sali, mimo że drzwi były zamknięte.

Przyznałem się też, że spotkałem Tomasza i Jana, ale że mi nie zaufali i nie chcieli ze mną szczerze mówić. W końcu rzekłem:

— Moje serce płonie. Nawet jeśli pójdę i opowiem im, nie uwierzą mi, ale jeśli ty pójdziesz i opowiesz[^] co nam się przytrafiło, może uwierzą, bo cię znają. I może wówczas nam zaufają i powierzą swoją tajemnicę, bo na pewno więcej niż my wiedzą o jego misterium, chociaż nie chcą innym tego wyjawić.

— Pójdę i wezmę ich w obroty — rzekł z przekonaniem Zacheusz.

— Przynajmniej jeden z nich, Mateusz, ufa mi, ponieważ sam niegdyś był celnikiem. Rozumiemy się doskonale. Być może wstawi się też u innych w mojej sprawie.

Opisałem wygląd izby, w której spotkałem Tomasza i Jana. Zacheusz powiedział, że mniej więcej wie, o którym domu mówię i kto jest jego właścicielem, chociaż nie chciał wyjawić mi jego nazwiska. Zachęcał, pewny swego:

— Idź w pokoju do siebie i czekaj na zaproszenie, a ja przygotuję ci drogę.

Tak rozstaliśmy się i wróciłem do mego domu, dziwiąc się bardzo temu wszystkiemu, co mnie spotkało u Szymona Cyrenejczyka.

LIST SIÓDMY

Marek do Tulii.

W dalszym ciągu piszę do Ciebie, Tulio, jakbym wysyłał Ci pozdrowienia. Na Rodos mój dobry nauczyciel nauczył mnie rozumieć, jak zawodna jest ludzka pamięć i jak szybko wydarzenia rozpraszają się w umyśle, płaczą jedne z drugimi, a ich kolejność ulega przemieszaniam. Nawet ci, którzy uczestniczyli w tych samych wydarzeniach, pamiętają je różnie i różnie o nich świadczą, każdy zgodnie ze swoim wrażeniem. Piszę po to, abym pamiętał, w jaki sposób i w jakim porządku chronologicznym przebiegało wszystko, co tu przeżywam.

Swoje pisanie rozpocząłem w wigilię szabat, kiedy łoskot zamykanych drzwi Świątyni rozniósł się nad miastem aż po odległe doliny. Siedziałem w domu i pisałem także przez cały szabat, ponieważ Żydzi życzą sobie, aby cudzoziemcy szanowali ich święta i nie biegali wtedy po ulicach. Oni sami, ubrani w odświętne szaty, udają się do Świątyni, aby się modlić i wysłuchać głośno czytanego Pisma; muszą przestrzegać określonej prawem liczby kroków, które wolno im przemierzyć w dniu szabat. W Świątyni kapłani dokonują podwójnych ofiar, ale powiedziano mi, że nie jest to traktowane jako naruszenie szabat.

Przed zachodem słońca, kiedy jeszcze trwało święto, odwiedził mnie Adenabar. Był bez hełmu, a ubrał się w syryjski płaszcz, aby nie wzbudzać zainteresowania na ulicy. Smutno ziewnął i rzekł: *

— Co dobrego słyhać u ciebie, jak żyjesz i czy jesteś zdrow? Bo przez wiele dni o tobie nie słyzałem. Strasznie nudno jest w żydowski szabat, nie wolno nam nawet pomaszerować na ćwiczenia do cyrku, żeby stukotem butów nie obrazić Żydów. Poczęstuj mnie łykiem wina.

W twierdzy Antonia w dzień szabat wina zamknięte jest na klucz, żeby legionieści nie spędzali wolnego dnia na bijatykach ani nie wyszli pijani do miasta i nie drażnili Żydów, pokazując im świńskie uszy.

Mój syryjski gospodarz bardzo się o mnie martwił. A żeby mnie uspokoić i zapewnić mi dobry humor, przyniósł do mojego pokoju dzban galilejskiego wina, które wychwalał

jako najzdrowsze ze wszystkich win. Jego zdaniem nie uderza ono zbyt do głowy ani nie powoduje bólu żołądka. Mówił też, że nie wymaga mieszania go z żywicą, bo dobrze się trzyma pod warunkiem, że zostanie wypite, zanim zdąży skwaśnieć. Adenabar chętnie się go napił, otarł usta, dokładnie mi się przyjrzał i stwierdził:

— Aleś zmienił wygląd! Już niełatwo cię odróżnić od zgreczonego Żyda. Zapuściłeś brodę, palce masz poplamione atramentem, a w oczach wyraz, jakiego nie lubię. Co cię gnębi? Mam nadzieję, że nie zamącił ci w głowie ten żydowski Bóg bez oblicza, co często zdarza się obcokrajowcom. Przyjeżdżają tacy obejrzyć Świątynię, a potem zaczynają rozmyślać nad sprawami, które nie mieszczą się w normalnej czaszce. Tylko żydowska głowa jest w stanie to wytrzymać, bo od dziecka wychowują ich, aby rozumieli swojego Boga. Kiedy ich chłopak kończy dwanaście lat, jest już zahartowanym wyznawcą Boga, sam może błogosławić pokarmy i nie potrzebuje pomocy rodziców, by się modlić.

— Adenabarze, mój przyjacielu — powiedziałem. — Razem widzieliśmy i przeżyli niejedno. Dlatego przyznam się, że istotnie głowę mam zmaconą i nie wstydę się tego.

— Zwracaj się do mnie rzymskim imieniem — przerwał mi — bo duchem czuję się bardziej niż kiedykolwiek Rzymianinem. Po łacinie nazywam się Petroniusz. Tym imieniem kwituję u kwestora legionu pensję, a gdy otrzymuję rozkazy na piśmie, ono właśnie figuruje na tabliczkach. Wiedz, że mam szansę otrzymać dowództwo całej kohorty i przenieść się do Galii czy Hiszpanii, a może nawet do samego Rzymu. Dlatego staram się doskonalić znajomość łaciny i przyzwyczajając do rzymskiego imienia.

I dalej badawczo mi się przyglądał, jakby oceniając, jak bardzo zajęta mam głowę i ile można mi wyznać.

— Dla mnie jesteś Adenabarem. Nie gardzę tobą z racji syryjskiego pochodzenia. Nie czuję też antypatii do Żydów, tylko staram się wyjaśnić ich zwyczaje i wierzenia. Dziwię się, że nie wysyłają cię do służby wartowniczej gdzieś na pustynię albo pod partyjskie strzały. Szybciej straciłbyś duszę i twoje informacje nikomu by nie mogły zaszkodzić.

— Co ty bredzisz o jakichś informacjach? Albo ci się w głowie zupełnie pomieszało, albo już od rana obciągałeś to dobre wino

— wyrzekął przyjaźnie. — Masz rację o tyle, że uważam się teraz za człowieka znacznie ważniejszego niż dawniej. Tylko nie wspominaj mi o pustyni, bo ona oślepią i sprowadza na człowieka omamy, a jazda na wielbłądzie powoduje morską chorobę. Żyją tam także odziani w kozle skóry mężczyźni, którzy straszą wartowników: rzucają na ziemię kij, który skręca się jak żmija. Zanimbym się znalazł w służbie wartowniczej na pustyni, rozważyłbym dokładnie pewne sprawy, o których się nie myśli w cywilizowanym świecie. — Patrząc na mnie badawczo spytał z chytrym uśmieszkiem: — Chyba słyszałeś, że Jeruzalem zmieniło się w paskudne miejsce dla rozumnych ludzi? Pamiętasz to trzęsienie ziemi o świecie? Obecnie twierdzi się, że niektóre groby wtedy się otwarły. Święci nieboszczycy wyszli z nich i objawili się wielu Żydom.

— Wiem tylko o jednym, który powstał z martwych. Ty także

o nim wiesz. Kuszą cię awansami i przeniesieniem do lepszych garnizonów, żebyś słowa o nim nie pisał. Przecież setnika nie można tak po prostu zmusić do milczenia jak zwykłego legionistę.

— W ogóle nie wiem, o czym mówisz. — Adenabar patrzył na mnie obłudnie. — Ale czy pamiętasz legionistę imieniem Longinus? Jego włócznia stała się jakaś dziwna, nie może nią prawidłowo rzucać na ćwiczeniach. Zraniła go w nogę, a kiedy ciskał w worek siana, wysliznęła mu się z rąk i o mało mnie nie przebiła, choć stałem z tyłu za nim. Ale włócznia jest dobra, natomiast Longinus jest do niczego. Na próbę sam rzuciłem włócznią, żeby dać dobry przykład, bo nikt inny nie zgodził się wziąć jej do ręki. Bez pudła trafiłem w worek siana z odległości czterdziestu kroków. Longinus też osiąga dobre wyniki, ale tylko wtedy, kiedy rzuca innymi włóczniami.

— Czy mówisz o włóczni, którą Longinus przebił bok syna Bożego?

— Przestań o tym człowieku mówić jako o synu Bożym! — Adenabar otrząsnął się, jakby strącał z siebie robaki. — To słowo działa mi na nerwy. Jeszcze ci powiem, że kat legionu ma sparaliżowane ręce do tego stopnia, że nawet różgi nie dźwignie. Z wielkim trudem, pomagając sobie drugą ręką, może podnieść jedzenie do ust. Lekarz z fortecy Antonia nie widzi w ręce Longinusa nic nienormalnego i podejrzewa, że pacjent symuluje, żeby wcześniej dostać swój kawałek ziemi i wieść wygodne życie weterana. Do dwudziestu lat służby brakuje mu już tylko dwu. Wychłostano go, bo doświadczenie wojskowej wiedzy medycznej mówi, że chłosta jest świetnym lekarstwem na liczne dolegliwości, których przyczyn trudno dociec. Jak na starego legionistę przystało, dzielnie zniósł chłostę, trzymając w zębach kawałek skóry, a mimo to władzy w ręku nie odzyskał. Przypuszczam, że jego chorobę określa się jako reumatyzm. To zawodowa choroba żołnierzy. Nas, oficerów, nęka ona jeszcze bardziej niż szeregowych, bo w czasie służby garnizonowej mamy wygodne kwatery, ale od czasu do czasu musimy spać na gołej ziemi, w zimnie i wilgoci.

— Nie przypominam sobie — ciągnął w zamyśleniu — aby Nazarejczyk przeklął kogoś z nas. Przeciwnie, wołał z krzyża do swojego ojca i prosił, aby nam wybaczył, ponieważ, jak mówił, nie wiemy, co czynimy. Pamiętam, jak pomyślałem wówczas, że bredzi. Przecież jego ojca nie było wśród patrzących.

— Nie rozumiem, co ma do rzeczy Longinus i kat legionowy? — powiedziałem zniecierpliwiony.

— Myślę, że ich wystraszył Nazarejczyk. To nie był zwykły człowiek. A od kiedy jeszcze ludzie dowiedzieli się, że wstał z grobu, tym bardziej się przerazili, bo w trakcie swego monotonnego żywota żołnierz wierzy w każdą pogłoskę. Im pogłoska jest bardziej pozbawiona sensu, tym łatwiej w nią uwierzyć. Później już nie trzeba dużo. Wystarczy, aby ciemną nocą spadła z hukiem tarcza ze ściany albo stary dzban z olejem sam się rozleciał i zawartość rozlała na podłogę, a już cały garnizon zrywa się na równe nogi i bogów wzywa na pomoc. Podobno takie same problemy mają Żydzi w mieście. Nikt już nie waży się spać samotnie. Dzieci budzą się w środku nocy i opowiadają, że ktoś obcy nachylał się nad pościelą i ręką dotykał ich twarzy. Inni znów twierdzą, że w nocy gorące krople kapią im na policzki, ale kiedy zapalają lampę, nie ma niczego. Podobno członkowie rady ciągle obmywają ręce. Ledwo raz obmyją, już zaczynają od nowa.

Dokonyują też przeróżnych rytuałów oczyszczających, zgodnie z najśroźszą literą Prawa. Postępują tak nawet saduceusze, którzy nie są przesadnie pedantyczni. Ale mnie nic złego się nie stało. Nawet złe sny mnie nie trapią. A co z tobą?

— Ze mną? — powtórzyłem. — Ja szukam drogi.

Adenabar dziwnie na mnie spojrział. Zdążył obciągnąć już pół dzbana wina i nawet nie pofatygował się rozcieńczyć go wodą, a mimo to nie widać było, żeby miał w czubie.

— Powiadają — rzekł — że dróg jest wiele i wiele prowadzi na manowce. Jakże ty, obywatelu Rzymu, chcesz znaleźć drogę, skoro sami Żydzi jej nie znają? Boję się, że zamkną przed tobą bramę i utkniesz w niej nosem.

— Tylko mi nie mów — krzyknąłem bardzo zdziwiony jego słowami — że znasz cichych i też szukasz drogi!

— Ależ dałeś się złapać! — wrzasnął. Potem parsknął śmiechem na cały głos, ręką klepnął kolano i dodał: — Nie myśl, że nie wiem, co w ostatnich dniach wyprawiałeś. Mam w mieście więcej przyjaciół niż ty. — I znowu zmienił ton, wyjaśniając: — Sądzę, że Rzymianie popełniają kardynalny błąd, latami trzymając ciągle ten sam legion w jednej prowincji. Ma to wprowadzić swoje dobre strony. Żołnierze poznają kraj, w którym mają utrzymywać porządek, a krajowcy zaprzyjaźniają się z legionistami i uczą ich swych zwyczajów. Po dwudziestu latach służby legionista dostaje działkę ziemi, zawiera małżeństwo z miejscową kobietą i uczy otoczenie zwyczajów rzymskich. Ale ani w Judei, ani tym bardziej w Jeruzalem nic takiego nie ma miejsca. Im dłużej obcokrajowiec tutaj żyje, tym bardziej albo się boi żydowskiego Boga, albo nienawidzi Żydów. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nawet w gronie rzymskich oficerów, szczególnie w małych garnizonach, są tacy, którzy po cichu przeszli na wiarę żydowską i dali się obrzezać. No, ja do nich nie należę. Zdobyłem informacje o Żydach różnych sekt nie dla celów szpiegowskich, a żeby lepiej ich zrozumieć. Za nic nie chciałbym się dostać do królestwa ich przerażającego Boga.

— Przecież tam, pod krzyżem, sam uznałeś go za syna Bożego — przypominałem. — Osobiście byłeś ze mną w grobie i na własne oczy widziałeś nie naruszony całun po jego zmartwychwstaniu.

— Prawdę mówisz — przyznał Adenabar. Nagle cisnął glinianą czarzkę na podłogę, zerwał się na równe nogi i krzyknął z twarzą ściągniętą gniewem: — Niech będzie przeklęty ten żydowski król, przeklęte całe miasto czarów i przeklęta Świątynia, w której nie ma nawet obrazu ich Boga, bym mógł go posiekać na kawałki! Do czego to podobne, żeby nie można było uśmiercić jednego człowieka! Dawniej też krzyżowano niewinnych, ale oni nie wstawali, żeby straszyć. Nazarejczyk obraca mi wniwecz dyscyplinę wojskową!

W Świątyni zagrały trąby. Żydzi zaczęli czytać wieczorne modlitwy. Przez cienką ściankę mego pokoju słyszeliśmy trzask zamykanej bramy. Szabat żydowski się zakończył. Instynktownie obydwaj odetchnęliśmy. Adenabar poprosił o wybaczenie, że w gniewie rozbił glinianą czarzkę do wina, i rzekł:

— Jestem wściekły, bo jako setnik powinienem być mądrzejszy od moich żołnierzy.

Ale też jestem zabobonny i niedouczony i dlatego włócznia Longinusa i ręce kata nie dają mi spokoju. Budzę się w nocy i nad słuchuję niewidzialnych kroków. Poradź mi, skoro potajemnie zbierasz informacje, jak mogę się uwolnić od tych żydowskich czarów?

— Co ci jest, Adenabarze? Czy przyznajesz, że jesteś człowiekiem grzesznym?

— O jakie grzechy ci chodzi? — patrzył na mnie zdziwiony.

— Zawsze przestrzegałem dyscypliny wojskowej, regulaminu i otrzymanych rozkazów tak dobrze, jak tylko umiałem. Oczywiście każdy ma jakieś grzeszki na sumieniu, ale sądzę, że nie jestem gorszym od innych żołnierzem i oficerem. Teraz, kiedy dowiedziałem się o ewentualnym awansie, uważam, że dobrze na niego zasłużyłem długoletnią służbą.

— Niech będzie, jak mówisz. Ale jeśli tak jest, to jakie sprawy może mieć do ciebie Jezus Nazarejski? Słyszałem, że nie przyszedł szukać wspaniałych, ale grzesznych. Możesz się uwolnić tylko mówiąc: „Synu Boży, bądź miłościw mnie grzesznemu”.

— Łatwiej bym uwierzył w żydowski rytuał oczyszczenia — ocenił Adenabar. — Myślałem, że powinienem raczej się obmyć, palić na wietrze kolorowe nitki i temu podobne. Sądzę, że jesteś w wielkim błędzie co do Jezusa Nazarejskiego. Nie przyszedł szukać niczego innego oprócz wybranego narodu, jak to oni mówią: dzieci Abrahama. Zobaczyłeś na własne oczy, jak mu się powiodło. Ja osobiście tylko wykonywałem otrzymane rozkazy, więc nie ponoszę odpowiedzialności za jego śmierć. Nie byłoby porządku na świecie, nawet wojen nie można by prowadzić, gdyby żołnierz zaczął według własnego rozumu osądzać rozkazy, które otrzymuje. A czy pewien rzymski dowódca, zapomniałem jego nazwiska, nie polecił ściąć własnego syna, kiedy ten, wbrew rozkazowi, przed czasem rzucił się ze swoją drużyną do ataku? Odniósł wprawdzie wspaniałe zwycięstwo, ale naruszył dyscyplinę wojskową! Tak nas przynajmniej uczono.

— Odniosłem wrażenie — powiedziałem — że Nazarejczyk sam chciał, aby z jakiegoś jeszcze dla nas niezrozumiałego powodu wszystko przebiegało właśnie tak, jak się wydarzyło. Wkrótce to pojmiemy, bo jego Królestwo wciąż trwa tu, na ziemi. Sądzę, że właśnie dlatego panczerze spadają ze ścian w twierdzy Antonia, a ciebie budzą w nocy niewidzialne kroki. To sygnał, że on czegoś od nas, od Rzymian, oczekuje. Nie musisz się bać. On sam nauczał, że złem nie odpowiada się na zło. Jeśli ktoś uderzy cię w twarz, nadstaw mu drugi policzek i zmień swoje obyczaje na takie, które są przeciwne zdrowemu rozsądkowi.

— Opowiadali mi to i owo o jego naukach. — Adenabara wcale nie zdziwiły moje słowa. — Dlatego uważam, że jest niegroźny, i nie boję się go spotkać, jeśli faktycznie krąży po mieście. Chociaż... chyba włosy stanęłyby mi dęba na głowie, gdyby nagle się zjawił i przemówił do mnie. Ale on nie objawia się nie obrzezanym, tak mnie zapewniano, tylko swoim uczniom i niewiastom, które mu towarzyszyły z Galilei.

Tak mnie zachęcił swoimi podstępными słowami, że zapomniałem o ostrożności i opowiedziałem o dziwnej postaci w domu Szymona Cyrenejczyka i o tym, jak rano po zmartwychwstaniu zobaczyłem Jezusa pod postacią ogrodnika. Adenabar z politowaniem potrząsnął głową i powiedział:

— Przypuszczam, że pędziłeś w Aleksandrii hulaszczę życie i na pewno czytałeś więcej, niż może znieść głowa. Tutejszy klimat ci nie służy. Najrozsądniej byś zrobił, gdybyś niezwłocznie stąd wyjechał. Na szczęście jestem twoim przyjacielem i nie wydam cię, jeśli tylko obiecasz, że się uspokoisz i weźmiesz w garść.

— Wystarczy, że podejrzewano mnie o donoszenie Rzymianom! — krzyknąłem zdenerwowany. — Nie zmuszaj mnie, bym doszedł do wniosku, że wysłano cię do mnie z oficjalnym ostrzeżeniem, abym się nie mieszał do spraw żydowskich.

— Gwoli uczciwości wyznam, że dowódca twierdzy prosił mnie, żebym zobaczył, co u ciebie słychać, bo w żadnym razie nie życzy sobie, aby przyjaciel prokonsula został zamieszany w jakieś incydenty.

— Adenabar unikał mojego wzroku i zmieszany tarł ręce między kolanami. — Sądzę też, że z uwagi na panującą w mieście niespokojną atmosferę, chciałby wiedzieć, czy coś istotnego udało ci się ustalić, jeśli idzie o żydowskie knowania przeciwko porządkowi i spokojowi. On nie może sobie pozwolić na szpiegowanie ciebie, ponieważ jesteś obywatelem rzymskim i masz rekomendację z tak wysokiego szczebla, że nawet nie ośmielę się głośno tego powiedzieć. Nie mam zamiaru przekazywać dalej, co mi powiedziałaś jako przyjacielowi. Najwyżej wspomnę, że jesteś podniecony i rozgorączkowany, jak w tych dniach wielu się przydarzyło. Ale o widzeniach i zjawach będę trzymał język za zębami. Dowódca jest surowym człowiekiem i w coś takiego nie uwierzy. Tylko bym siebie wystawił na pośmiewisko i naraził na szwank obiecany awans. — Otarł twarz, spojrzał w sufit i dodał: — Już myślałem, że sufit przecieka, bo czułem, że kilka kropli spadło mi na twarz. To tanie wino galilejskie jest chyba mocniejsze, niż myślałem. Zawrzyjmy umowę: pogódź mnie z Nazarejczykiem, jeśli uda ci się go złapać i jeśli cię posłucha. Chyba rozumiesz, że oficerowi rzymskiemu nie wypada za nim biegać, a chciałbym mieć od niego spokój.

Gwałtownie zaczął się drapać. Rozejrzał się dookoła i zdziwiony powiedział:

— Tutaj chyba nie ma robactwa? Nigdy bym nie polecił ci tego mieszkania, gdybym wiedział, że insekty zaczną mi łaźić po skórze, gdy tylko na chwilę usiądę.

Orał paznokciami całe ciało. Ja też poczułem świerzbiecie, jakby wszystkie włosy na skórze mi się zjeżyły. Dreszcz mnie przeszedł.

— W tym pokoju nie ma robactwa, to bardzo czyste mieszkanie — powiedziałem. — Zdaje się, że ktoś do nas idzie.

— Jeśli tak, nie będę ci przeszkadzał i zabieram się stąd — szybko wstał i owinął się płaszczem. — Obgadaliśmy, co było do obgadania, a wino też się kończy.

Ale nie zdążył uciec, bo usłyszeliśmy na dole głos mego gospodarza i zaraz potem na schodach zaskrzypiały kroki. Adenabar usunął się pod ścianę i podniósł dłoń jakby w obronie. Do pokoju wpadł Zacheusz, ciągnący za sobą mężczyznę owiniętego płaszczem, którym tak szczelnie okrywał głowę, że nie mogłem zobaczyć jego twarzy.

— Pokój tobie, Zacheuszu! Jak widzisz, siedzę w domu i czekam na wiadomość od ciebie.

— Pokój również tobie, Rzymianinie — pozdrowił mnie Zacheusz niezbyt przychylnie. Wyglądało na to, że całkiem zapomniał, jak podchmielony winem Szymona Cyrenejczyka obejmował mnie za szyję i całował. Mężczyzna, którego przyprowadził, cofnął się ujrzawszy Adenabara i zapytał:

— Kto to jest?

Mój syryjski gospodarz, który grzecznie przyprowadził gości aż do pokoju, powiedział od progu:

— To setnik z fortecy Antonia i mój dobry przyjaciel. Nie ma się co go obawiać. On rozumie Żydów i nie streficie się od niego bardziej niż ode mnie lub mego domu, skoro już tu weszliście.

— Więc jednak chytrze wciągnąłeś mnie w pułapkę. Tyś gorszy od Judy Iskarioty! — zawołał obcy. Trzepnął w ucho Zacheusza i odwrócił się, żeby uciec, ale ja zabiegłem od przodu, mocno złapałem go za ręce i przytrzymałem, bo moim zdaniem źle zrobił, że tak złośliwie uderzył ułomnego.

Zacheusz pocierał twarz, ze strachem spoglądał na mnie i Adenabara i zapewniał:

— Gdybym wiedział, nigdy bym cię tu nie przyprowadził. Rzymianin jest przebieglejszy, niż myślałem. Uderz mnie z drugiej strony. Zasłużyłem na to.

Adenabar przyjrzał się Zacheuszowi i jego towarzyszowi i rzucił twardo:

— Wydaje mi się, Żydzie, że znam twoją łotrowską gębę. Inaczej tak byś się nie wystraszył na widok rzymskiego setnika. Czyżbyś był kompanem tego żydowskiego króla, któregośmy ukrzyżowali? Mówisz też jak Galilejczyk.

— Nie, nie, mylisz się, panie setniku — przestraszony Zacheusz zaklinał się w obronie swego towarzysza — To celnik i poborca podatkowy jak ja. Obydwaj jesteśmy gorącymi przyjaciółmi Rzymian, jak wszyscy pokój i porządek miłujący synowie Izraela.

— Nie zbieraj więcej grzechów na swoje sumienie, Zacheuszu — surowym głosem rzekł obcy. — Żaden z nas nie jest przyjacielem Rzymian. To prawda, jestem byłym celnikiem, ale żałowałem swoich czynów i ten grzech został mi odpuszczony.

— Pokój tobie — powiedziałem. Szybko puściłem jego rękę i masowałem ją zakłopotany, bo piekła mnie, jakbym się oparzył.

— Myślę, że wiem, kim jesteś. Nie bój się setnika, on nie chce twojej krzywdy. Przeciwnie, pragnie pojednać się z twoim panem, jeśli to jest możliwe.

— Nie wstydzę się imienia swego pana, bo kto jego się wyprze, tego on wyprze się w swoim Królestwie — obcy wyprostował się, spojrzął na mnie, potem na Adenabara. — Jestem Mateusz, jeden z dwunastu, których wybrał. Śmierć nie ma nade mną władzy. On da mi życie wieczne w swoim Królestwie, a was, Rzymian, rzuci w otchłań. Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.

To było dla mnie coś nowego. Zdumiony krzyknąłem:

— Nie wiedziałem, że powiedział tak ostre słowa! Ale pokój tobie i niech będzie

błogosławiona ta izba, skoro wyraziłeś zgodę na przestąpienie jej progu, apostołe. Siadaj, i ty też, Zacheuszu, i opowiedz nam o swoim panie, bo pałam chęcią usłyszenia o nim czegoś więcej.

Mateusz ostrożnie usiadł, a Zacheusz w strachu prawie wcisnął się w jego objęcia; były celnik złośliwie spoglądał na Adenabara zwymyślał mu:

— Twój legion z pewnością otoczył dom w ciemności nocy. Nie podejrzewałem, że Rzymianie mogą wymyślić taką podłą zasadzkę.

— Mateuszu z Galilei — powiedział zdenerwowany Adenabar. Przestań całym złem obarczać Rzymian. Nawet prokonsul nie chciał skazać twojego nauczyciela. Żydzi zmusili go do tego. Co do mnie, nie kłóć się ani z tobą, ani z twoim królem, i możesz stąd uciekać, dokąd zechcesz, jeśli uda ci się ominąć strażę. Bo może żydowska rada ma pretensje do ciebie, ale nie my, Rzymianie.

Sądzę, że Mateusz wyzbył się strachu, gdy zrozumiał, że jest u mnie bezpieczny i że nie czatujemy na jego duszę. Zwyczajem Żydów zhardział i rzekł wyniosłym tonem:

— Nie przyszedłbym do ciebie, Rzymianinie, gdybym dużo o tobie nie słyszał. Nie znając Prawa ani proroków ty, goj, nie obrzezany cudzoziemiec, szukasz podobno drogi, wprowadzasz w błąd nieświadome kobiety i szpiegujesz nas. Nie mogę tego wyjaśnić inaczej, jak tylko że jesteś człowiekiem opętanym albo magiem, który potrafi wprowadzić w błąd nawet Jana. Zejdź nam z drogi, idź w swoją stronę i nie mieszaj się do spraw, których nie możesz zrozumieć. Przyszedłem ci powiedzieć, żebyś więcej nie przesładował zaniepokojonych niewiast.

Te odpychające słowa głęboko mnie dotknęły. Omal się z nim nie pokłóciłem, przeszkodziło mi to, że musiałem patrzeć na niego. W jego twarzy, oczach i pomarszczonym czole dostrzegłem ten nieokreślony wyraz, jaki wydawał się cechą szczególną ucznia Jezusa, różniącą go od wszystkich innych ludzi. To jasne, że znał i rozumiał króla lepiej, niż ja kiedykolwiek będę mógł zrozumieć. Dlatego rzekłem z pokorą:

— Nie będę się z tobą spierał. Sądziłem tylko, że jego drogi otwierają się dla wszystkich, którzy chcą szukać w prostocie i pokorze serca. Miałem nadzieję, że brama się przede mną otworzy, jeśli będę gorliwie stukał. Wytłumacz mi chociaż, dlaczego objawił mi się w domu Szymona Cyrenejczyka?

Zacheusz też patrzył prosząco na Mateusza, ale oblicze apostoła skamieniało, gdy odparł:

— Nasz pan przybył odszukać zbłąkanych Izraela. Dlatego zaprosił mnie, gdy siedziałem w komorze celnej w Kafarnaum. Natychmiast wstałem i podążyłem za nim. Dla niego rzuciłem swój dom i towary, rodzinę też zostawiłem. Również Zacheusz był zbłąkanym Izraelczykiem, a Szymon Cyrenejczyk jest członkiem greckiej synagogi i niósł jego krzyż. Mogę pojąć, że ukazał się tamtym dwóm, ale nigdy nie uwierzę, że objawił się nie obrzezanemu Rzymianinowi! Może jesteś magiem i czarownikiem i usiłujesz zdobyć od nas informacje dla jakichś ciemnych celów. Może jesteś tym samym człowiekiem, o którym ślepy żebrak rozpowiada, iż kamień w chleb przemienił,

używając bezprawnie imienia naszego Mistrza? W taki sam sposób zamąciłeś w głowach Szymona Cyrenejczyka i Zacheusza, bo wszystko, co wydarzyło się w domu Szymona, przypomina magię, a nie Królestwo.

— Tak, tak — potwierdził skwapliwie Zacheusz, kiwając głową

— byliśmy oszołomieni i pod silnym wrażeniem wszystkiego, co usłyszeliśmy. On wywołał w oczach Szymona Cyrenejczyka zjawę jego sługi Eleazara, choć tamten dopiero szedł z pola do miasta, i nakłonił Szymona, żeby nas upił mocnym winem, aż zupełnie zgłupieliśmy. Już prędzej wierzę tobie, Mateuszu, którego znam, niż Rzymianinowi. — Odwrócił się ku mnie i ciągnął: — Szymon Cyrenejczyk także zaczął rozsądnie myśleć i nie chce więcej o tobie słyszeć, bo nie jesteś zbłąkanym z Izraela. On ci źle nie życzy, chociaż swoimi czarami przyczyniłeś mu dużych strat majątkowych. Raczej przestań go nagabywać, bo rzeczywiście wielu jest ludzi wiodących na manowce.

Sądzę, że Mateusz zrozumiał moje przygnębienie i uszanował pokorę, gdy bez słowa sprzeciwu odwróciłem głowę, aby ukryć łzy. Wzruszony powiedział:

— Zrozum nas, Rzymianinie. Nie wyszukuję złych motywów twego postępowania, tylko próbuję wszystko wyjaśnić jak najlepiej. Może nie jesteś czarownikiem, może to mocny bies cię dręczy i każe ci powoływać się na imię naszego ukrzyżowanego nauczyciela? Przecież nie znasz ani jego, ani tajemnicy jego Królestwa. Przestrzegam cię, byś tego nie czynił, bo tylko nam, apostołom przez niego samego wybranym, dał władzę i moc uzdrawiania chorych i wypędzania szatana w jego imię. Przypnę, że nie wytrzymaliśmy próby i wiemy, że przez naszą słabość utraciliśmy tę moc, ale wiemy też, że kiedyś ją odzyskamy. Do tego czasu możemy tylko czuwając i modląc się oczekiwać jego Królestwa.

Patrzył na mnie pełen wyrzutu i podniósł rękę w moją stronę. Odczułem jego moc, bo choć on sam negował jej istnienie, siedział daleko i nie dotknął mnie ręką, odniosłem wrażenie, jakby mocno mnie przytrzymał.

— Odrzucając ciebie — mówił — muszę powołać się na słowa Mistrza. Już z góry ostrzegał nas mówiąc: „Nie dawajcie psom tego, co święte”. On nie przyszedł, żeby znieść Prawo i prorocstwa, ale żeby je wypełnić. Zabronił nam chodzić do miast pogańskich, nawet do Samarii. Jakże więc możemy otworzyć jego drogę i prawdę przed tobą, Rzymianinie?!

Nawet nie czułem obrazy, chociaż rubasznym żydowskim zwyczajem nazwał psem mnie, obywatela Rzymu. Byłem tak głęboko przygnębiony, że powiedziałem:

— Myślałem, że mówił zupełnie inaczej, ale muszę ci wierzyć, bo przecież powołał cię na swego apostoła. Niechaj więc w twoich oczach będę psem, ale i psa się trzyma w pańskim domu, a pies słucha głosu swego pana i jest mu posłuszny. Wasze święte Księgi nie są mi, jak sądzisz, nie znane. Pozwól mi powołać się na tego króla Izraela, który powiedział, iż żywy pies jest lepszy od martwego lwa. Czy nie pozwolisz mi zająć bodaj miejsca żywego psa przed bramą Królestwa?

Nie wierząc własnym uszom Adenabar, który dotąd milczał, zerwał się na równe nogi, podniósł dwa palce jak ostrze miecza i krzyknął:

— Ty, obywatel rzymski, tak zgłupiałeś, że dopraszasz się miejsca psa przed drzwiami żydowskiego króla? Naprawdę jesteś omamiony i przewróciło ci się we łbie! Ta tajemna nauka zmartwychwstałego jest bardziej przerażająca, niż myślałem.

Zacheusz ze strachem przywarł do Mateusza, ale Adenabar nie odważył się ich tknąć. Przeciwnie, uspokoił się, przepraszająco uniósł otwartą dłoń i tłumaczył:

— Jestem żołnierzem, setnikiem. Nie byłem wrogiem twego pana, choć spełniając rozkaz czuwałem nad jego ukrzyżowaniem. Pogódź mnie z nim, a ja jestem gotów zwyczajem Żydów umyć ręce albo zniszczyć starą odzież, albo wydrapać przaśne ciasto ze szczelin podłogi i w ogóle zrobić wszystko, co tylko wymyślisz, abym się oczyścił. Nie chcę być skłócony z twoim panem ani nie zmiierzam do jego królestwa. Najchętniej pójdę w pokoju swoją własną drogą.

Mateusz wyraźnie ucieszył się, gdy zrozumiał, że ani jemu, ani innym uczniom Jezusa ze strony Rzymian nic nie zagraża, przynajmniej gdyby to zależało od Adenabara. Rzekł:

— Powiedziano mi, że na krzyżu wybaczył Rzymianom, ponieważ nie wiedzieliście, co czynicie. Wprawdzie nie słyszałem tych słów, ale mówię ci: idź w pokoju.

— Tak, tak — gorąco przekonywał Adenabar — pewnie, że nie wiedziałem, co robię. Nawet gdybym wiedział, to jako żołnierz nie mógłbym postąpić inaczej. Twoje słowa przyniosły mi ulgę i sądzę, że i twój pan nie będzie szukał ze mną zwady.

Mateusz znowu odwrócił się do mnie, przetarł oczy i zmęczony powiedział:

— Nie wiem, co mam o tobie myśleć. Twoja pokora przemawia za tobą i nie mówisz jak opętany. — Wzniósł żarliwie ręce i walczył w duchu sam ze sobą, po czym stwierdził: — A jednak nie mogę uznać cię za swojego brata, ponieważ jesteś poganinem i Rzymianinem i jesz trefne pożywienie. Gdybyś był bodaj prozelitą! Frędzelki u twojego płaszcza nie uczynią z ciebie dziecka Izraela.

— Masz rację — potakiwał mu gorliwie Zacheusz, bijąc się dłonią w zapadniętą pierś — on nie jest zagubionym z Izraela, jak ja byłem! Sam Jezus uznał mnie za dziecię Abrahama, a ten człowiek jest gojem. Jakże może się dostać na łono Abrahama?

— Jeszcze wczoraj mówiłeś co innego — przypomniałem mu — nawet ręką objąłeś moją szyję i złożyłeś mi braterski pocałunek.

Ale już w chwili gdy mówiłem te słowa, rozumiałem, jak mocno tych dwóch Żydów wiąże z Bogiem przymierze Izraela, które odrzuca wszystkich nie należących do tego przymierza. Zacheusz stał się w mych oczach obrzydliwy, zwłaszcza gdy zaczął się obłudnie wykręcać:

— Byłem zmęczony podróżą i do tego zmieszany tymi wszystkimi wydarzeniami w Jeruzalem, o których słyszałem. Skusiłeś mnie, abym pił mocne wino. Nie wiedziałem, co robię, ale teraz już dobrze wiem.

— Na twoim miejscu — rzekł do mnie ironicznie Adenabar — poprzestałbym na małej wierze. Dostałeś po uszach z jednej i z drugiej strony, a im bardziej kręcisz głową, tym więcej obrywasz. Uwierz wreszcie, że ich król nie dla ciebie zmartwychwstał.

— To moja głowa i mogę z nią robić, co mi się żywnie podoba. Tylko cesarz ma prawo pozwolić, aby święta mieczem spadła na ziemię — odparłem, bo jeszcze nie straciłem nadziei. — Idź w pokój, Adenabarze, nie musisz się niczego obawiać.

— Wolę nie zostawiać cię bezbronnego w towarzystwie tych dwóch — odparł Adenabar.

— Nie, nie, to my pójdziemy. — Zacheusz ciągnął Mateusza za rękę. — Zostańcie we dwóch, Rzymianie. Wam nie po drodze z nami.

Ale nie puściłem ich. Odprowadziłem Adenabara, wróciłem do pokoju i ukorzyłem się do tego stopnia, że padłem na kolana przed bezlitosnym celnikiem, błagając:

— Zmiłuj się nade mną, ty, którego on zaprosił i wybrał! Czy coś ubędzie twojej nauce, jeśli okażesz przyjaźń mnie, twojemu bratu? Sądziłem, że nauczał miłosierdzia, a ty masz serce z kamienia! Resztki ze swego stołu bogacz rzuca psom, chociaż nimi gardzi. Naucz mnie!

Wyjście Adenabara uspokoiło Mateusza. Jego opór osłabł, usiadł ponownie i zakrył twarz rękoma. Nagle zrozumiałem, że dźwiga dużo cięższe brzemie niż ja. Zmienionym głosem zaczął mówić:

— Zrozum mnie i nie oskarżaj o okrucieństwo, bo to lamie moje serce, które już wcześniej pękło. Przecież jesteście jak owce, które stado wilków rozegnało w różne strony. Chociaż w potrzebie uciekamy się do siebie nawzajem, to każdy z nas czuje się zagubiony po stracie naszego pana. Och, Rzymianinie, dlaczego mnie męczysz? Nie możemy robić nic innego, jak tylko mocno bronić tego, co nam jeszcze zostało. Nawet w swoim gronie spieramy się i słowami ranimy nawzajem, Piotr mówi to, a Jan co innego, i nawet nie wszyscy spośród nas wierzą i pojmują jego zmartwychwstanie. Przychodzisz do nas w owczej skórze, ale skąd możemy wiedzieć, czy w środku nie okażesz się wilkiem? Z cierni nie zbierze się winogron. Jak po Rzymianach można się dobrego spodziewać? — Załamując dłonie, rozwijał swoje myśli: — Nakazał nam kochać tych, którzy nas prześladują. Ale jak człowiek może do tego dojść? Jeszcze powiedział: „Jeśli twoja ręka lub noga jest dla ciebie powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie!” Dopóki był wśród nas, wierzyliśmy mu, ale kiedy odszedł, opadliśmy z sił i błądzimy. Jak mamy odróżnić tego, kto właściwie pojął, od tego, co źle rozumie, kiedy jeszcze sami nie wyjaśniliśmy sobie wielu rzeczy?

— Ależ na pewno nauczył was właściwej modlitwy, zawarł z wami przymierze i ustalił misterium, które wiąże was z nim, bo przecież był nie tylko człowiekiem! — powiedziałem zrozpaczony.

— Popatrz, jaki jest ciekaw tajemnic, których nawet ja nie znam!

— Zacheusz ostrzegawczo uderzył Mateusza po ramieniu. — To szczwany lis, choć do owieczki podobny! Mnie też spił, żeby się wypytywać, jakie sekrety powierzył mi Jezus w moim domu.

Ale Mateusz nie zdenerwował się. Przeciwnie, wyglądało na to, że się uspokoił i zastanawia nad moimi słowami. Po chwili rzekł:

— Masz rację, cudzoziemcze. On rzeczywiście nauczył nas modlitwy i umocnił z nami więź. Ale nie mogę przekazać ci tego, co dał tylko nam. — Myślał, że tym mnie udobruchał, i zrobił się wręcz tkliwy. Uśmiechając się jak dziecko klasnął w dłonie i mówił: — On sam najlepiej wiedział, dlaczego nas wybrał. Zapewne dostrzegł w nas coś, co jest potrzebne do budowy jego Królestwa. Chociaż wtedy nie rozumieliśmy tego. Towarzysząc mu, byliśmy o sobie zawistni i kłóciliśmy się o jego nauki, i wciąż na nowo prosiliśmy, aby nam wyjaśniał lepiej swoje słowa. Jeszcze do dziś nie rozumiem, dlaczego szczególnie wyróżniał Piotra, Jakuba i młodego Jana, nauczając ich tego, czego innych nie uczył, i prowadząc ze sobą w góry, gdzie pozwalał widzieć to, czego pozostali nie widzieli. Dlaczego wybrał Judasza Iskariotę i powierzył mu opiekę nad naszą kasą, tego też nie rozumiem, ale na pewno miał ku temu swoje powody. — Mocno ściskając dłonie wpatrywał się przed siebie i tłumaczył: — Jako celnik umiem czytać i pisać po grecku, obliczać skomplikowane rachunki i używać różnych miar i wag. Dlatego w dalszym ciągu muszę w duchu skrupulatnie mierzyć i ważyć, co się mówi i co się dzieje. Ponieważ nie mam nowych miar, muszę stosować stare. Taką starą miarą jest miara Mojżesza, proroków i świętych ksiąg, a przecież nie można nią mierzyć poganina. Nie, nie potrafię tego, choćbym nie wiem jak chciał. Jednak czuję brzemię w sercu, bo właśnie z uwagi na takie właściwości, dzięki którym on mnie wybrał, szczególnie mocno zapamiętałem jego słowa: „Taką miarę, jaką mierzycie, wam odmierzą”. Przeczuję, że sam dał nam nową miarę, ale jaka ona jest, tego nie pojmuję. Dlatego muszę wciąż wracać do starych miar, których uczyłem się od dziecka.

Te słowa zapadły mi w pamięć. Wspomniałem mego dobrego nauczyciela z Rodos, który uczył mnie, że miarą wszystkiego jest człowiek. Dlatego aż do dziś jedynym miernikiem życia i faktów są niedoskonałość, nieufność i omyłność. Ta nauka uczyniła mnie wyrozumiałym na słabości innych i moje własne, a także przekonała, że w duchu nigdy nikogo nie mogę surowo osądzać. Człowiek może dążyć do dobra, ale jego spełnienie, czyli osiągnięcie pełni szczęścia, nie jest możliwe, bo jest tylko człowiekiem. Świadomość tego przygnębiała mnie, lecz jednocześnie umożliwiała obiektywne patrzenie na siebie i dążenie do utrzymania równowagi. Rację mają stoicy, że przesada w spełnianiu dobra jest równie uciążliwa jak zbytek rozkoszy. Przez swój temperament nigdy nie znajdowałem złotego środka, tylko przechodziłem z jednej skrajności w drugą. Ale uważam, że same dobre chęci są wystarczającą miarą człowieka.

Teraz słowa Mateusza oświeciły mnie jak błysk płomienia. Odgadłem, że Jezus Nazarejski naprawdę przyniósł ze sobą na świat nową miarę! Jako człowiek i syn Boga zarazem, wędrował po ziemi i wrócił zza grobu, aby poświadczyć swoje boskie pochodzenie. Nowa miara dana przez człowieka byłaby tylko jeszcze jedną więcej w gromadzie innych, podlegających dyskusjom, natomiast dana przez niego, nie może być rozpatrywana rozumem ani stanowić przedmiotu sporu, tylko będzie jedyną prawdziwą miarą, której przyswojenie może ocalić człowieka.

Ale jaka jest ta nowa miara? Skąd mogłem wiedzieć, jeśli wybrany przez niego apostoł czegoś takiego dopiero się domyślał? I czy nie jest ona przeznaczona tylko dla Żydów, którzy uważają się za naród wybrany przez Boga, i w ten sposób izolują się od innych narodów? A przecież właśnie Żydzi odrzucili swego króla.

Mateusz jakby towarzyszył moim myślom, bo powiedział:

— Błądzimy po omacku między starym i nowym i jeszcze nie rozumiemy jego Królestwa. Wierzyliśmy, że wybrał nas dwunastu do władania dwunastoma plemionami Izraela. Poprzez mesjasza Izrael ma zawładnąć wszystkimi narodami świata. Przecież nie możemy odstąpić od naszych proroków ani Ksiąg. Ta sprzeczność jest za duża, żebyśmy mogli ją zrozumieć. On sam, kiedy oczyszczał Świątynię, nazwał ją domem swego ojca. Jak możemy odrzucić przymierze, które Bóg zawarł z Abrahamem i Mojżeszem? Cały Izrael by się rozpadł. Dlatego nie wolno nam otworzyć jego drogi dla ludzi postronnych i pogan. Równie dobrze moglibyśmy jeść niekoszerne potrawy. Idź precz, szatanie!

— Przez jakiś czas służyłem Rzymianom i poznałem ich — dorzucił Zacheusz. — Dlatego moje wyzwolenie było tak wspaniałe! Cudownie było wrócić z błędnej drogi na łono Abrahama! Przystań już nas dręczyć! Mamy dość innych spraw, które trzeba wyjaśnić.

Spojrzałem na tego kalekę, ale kiedy dostrzegłem jego zadowolenie z siebie, zrozumiałem swoją pychę, więc powiedziałem:

— Niech będzie, jak sobie życzycie. Ukorzyłem się przed wami jak pies, ale was obydwóch dręczy żydowska chciwość. Chcecie skrupulatnie skryć wszystko przed innymi, chociaż sami jeszcze nie rozumiecie, co się wydarzyło. Ja też nie rozumiem. Jeśli jednak Bóg rodzi się jako człowiek, cierpi i umiera jako człowiek, a potem wstaje z martwych, musi to dotyczyć każdego człowieka na ziemi, a nie tylko was, Żydów. Dlatego zamierzam nadal badać jego zagadkę i szukać go, jeśli nie razem z wami, to bez was. Idźcie w pokój.

Mateusz podniósł się do wyjścia, a Zacheusz przykleił do niego, spoglądając na mnie z nienawiścią. Ale Mateusz nie był zły. Pocierając czoło ręką powiedział:

— Nie mogę pojąć twoich myśli. Może naprawdę nie rozumiem, co się wydarzyło? Czy Bóg Izraela chciałby przenieść przymierze na wszystkie narody, aby nikt więcej nie był zgubiony? Nie, nie, przecież Jezus powiedział za życia, że wielu jest zaproszonych, ale mało wybranych! — Gorączkowo pocierał twarz i ciało, jakby chciał zetrzeć z siebie pajęczynę, i wołał: — Nie, nie, to jest pokusa, przekleństwo! Sam nas ostrzegał i mówił, że wcale nie każdy, kto uznaje go za Pana, wejdzie do Królestwa. Dokładnie pamiętam jego słowa: „Wielu powie mi w owym dniu: Panie, Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia i nie wyrzucaliśmy złych duchów mocą Twego imienia i nie czyniliśmy wielu cudów mocą Twego imienia? Wtedy oświadczę im: Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości!” Te słowa osądzają ciebie, choćbyś w jego imieniu nie wiem jakie czary wyczyniał. Sam sobie tylko zaszkożysz, a nie nam, których on znał i zna.

Zatrząsałem się ze strachu, gdy przypomniałem sobie, jak po spotkaniu ślepcy na drodze spróbowałem swojej siły w jego imieniu i jak kamień przemienił się w ser w rękę żebraka. Ale przecież nie miałem wówczas żadnych złych zamiarów! Dlatego ufałem, że Jezus Nazarejski wybaczył mi ten czyn, chociaż jego uczniowie by mi nie wybaczyli. Zrozumiałem także, że nie miałem prawa w jego imieniu wzywać mocy, skoro nie znałem go tak jak ci, których wybrał. Dlatego powiedziałem pokornie:

— Wyznaję, że nie znałem go wystarczająco. Nie miałem prawa używać jego

imienia. Dałeś mi dużo tematów do myślenia. Chyba Jezus Nazarejski nie jest tak czuły i miłosierny, jak myślałem, skoro każe mi wyłupić z głowy oko lub odciąć rękę, aby go móc naśladować. Czy na pewno dobrze zrozumiałeś, czy naprawdę tak powiedział?

— Nie sądzę, aby mój pan czegokolwiek od ciebie wymagał, skoro jesteś poza nami, obcy, i będziesz potępiony — rzekł Mateusz. — Nie wierzę, aby było dla ciebie miejsce w jego Królestwie, zanim nie uznasz Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba, a także Pisma, i dopiero wtedy pójdziesz szukać jego drogi.

Zastanawiałem się nad jego słowami, gdy wyszedł już za próg, prowadząc za sobą Zacheusza. Zrozpaczony zawołałem za nimi:

— Gdybym ci mógł uwierzyć, człowieku! Przecież zdarzało się już w Rzymie, że jakiś obywatel z miłości do bogatej Żydówki pozwolił się obrzezać i podporządkował się waszemu jarzmu. Ale sądzę, że droga Jezusa Nazarejskiego jest czymś więcej niż najpiękniejsza kobieta z bogatym wianem. Gdybym znalazł jego Królestwo, byłbym na pewno gotów zrobić wszystko, w głębi serca czuję jednak jakiś opór i nie wierzę ci. Sam przyznajesz, że wracasz do starych miar, bo jeszcze nie rozumiesz nowej.

Ale Mateusz już owinał się płaszczem, zakrył głowę i zszedł po ciemku schodami, zabierając ze sobą Zacheusza. Żaden nie życzył mi pokoju. Kiedy wyszli, rzuciłem się na łóżko tak przygnębiony, że pragnąłem śmierci. Obydwoma rękami ścisnąłem głowę i sam siebie pytałem, kim właściwie jestem i w jaki sposób zaangażowałem się w to wszystko. Trzeba uciec z tego upiornego miasta, gdzie nic się nie dzieje tak, jak gdzie indziej, i którym włada Bóg bez wizerunku. Wszyscy okazują mi antypatię i odtrącają z racji pochodzenia. Niepojęte Królestwo Jezusa Nazarejskiego nie jest dla mnie. Gdybym zabrał swoje manatki i wyjechał do rzymskiej Cezarei, mógłbym znaleźć do syta rozrywek w teatrze czy cyrku, czy w grze na wyścigach.

W trakcie tych rozmyślań jakby w omamie zobaczyłem siebie samego, jakim mógłbym być po latach. Widziałem siebie z zewnątrz: otyłe cielsko i opuchniętą twarz, łysinę na głowie i bezzębne usta, które tysięczny raz tymi samymi słowami powtarzają ciągle tę samą opowieść. Byłem unurzany w winie i rzygowinach, a otaczali mnie fleciści i ladacznicę, które na próżno usiłowały pobudzić do życia otępiałe zmysły. Oto jaka będzie moja przyszłość, jeśli zrezygnuję i wyjadę, aby nadal szukać „złotego środka”. A potem płomienie stosu pogrzebowego. I popiół. I mrok.

Nie buntowałem się przeciwko tej halucynacji, chociaż była bardziej obrzydliwa i wstrętna, niż wynikało z mojej dotychczasowej filozofii. Mogłem ją zaakceptować, tyle że wcale mnie nie pociągała. Dano mi wszakże alternatywę. Tę, która przywiodła mnie z Aleksandrii i Joppy na wzgórze straceń przed bramą Jeruzalem, a potem do pustego grobu. Tej prawdy nikt nie mógł mi zabrać. Znowu dochodziłem do przekonania, że to nie była bezcelowa wędrówka, że wciąż mogę w jakiś sposób zaświadczyć o czymś, co nigdy wcześniej nie miało miejsca!

Jego Królestwo istnieje nadal na ziemi, skoro wstał z grobu. Mimo osamotnienia, mimo wrogości upiornego miasta, poczułem niemal namacalną bliskość tego Królestwa, oddalonego ledwie o wewnętrzny impuls. Zapragnąłem głośno wezwać Jezusa Nazarejskiego, syna Bożego. Nie odważyłem się na to. Nagle uświadomiłem sobie coś,

co poraziło mnie do tego stopnia, że zerwałem się z łoża. Mianowicie że gdyby jego uczniowie mnie nie odtrącali, tylko przyjęli do swego grona, nauczali i używali wszelkich sposobów, bym uwierzył w czynione przezeń cuda i w zmartwychwstanie, to na pewno wątpiłbym w ducha, zadawał im podchwytliwe pytania i usiłował doszukiwać się sprzeczności w ich słowach. Natomiast nieprzychylny opór uczniów utwierdza mnie w upartej wierze w istnienie Królestwa i w zmartwychwstanie Jezusa Nazarejskiego do tego stopnia, że co do tych najbardziej niewiarygodnych spraw nie ma już we mnie żadnych podejrzeń — uznaję je za fakt bezsporny. Oni otrzymali za wiele na raz, aby mogli wszystko przetrwać. W porównaniu z nimi ja otrzymałem mało, zaledwie okruchy, ale w to, co otrzymałem, głęboko wierzę! Dotychczasowe życie i uprawiana filozofia przygotowały mnie do ogarnięcia nowej miary, ponieważ z jednej strony już mnie nie zadowala przyjęcie człowieka za najwyższą miarę wszystkiego, a z drugiej — nie ciąży na mnie jarzmo żydowskich praw i obyczajów. Nie ma nic, co hamowałoby mego ducha!

W lampce oliwa wypaliła się do końca, płomień zblękitniał, zamigotał i zgasł. W nozdrzach poczułem swąd spalenizny. Nie przestraszyłem się ciemności, choć tak bywa, gdy lampa nagle gaśnie. Ciemność była poza mną. Zamknąłem oczy i stwierdziłem, że w moim wnętrzu panuje jasność. Czegoś takiego nigdy dotąd nie doświadczyłem! Miałem jakby drugie oczy wewnątrz siebie. Te drugie, wewnętrzne oczy widziały jasność, gdy zakryte powiekami — ciemność. Przypomniał mi się spotkany ogrodnik i jego słowa: „Ja znam swoich, a oni mnie znają”. Pokorny i drżący powiedziałem głośno z zamkniętymi oczyma: „Nie śmiem powiedzieć, że cię znam, ale z całego serca chciałbym poznać i pragnę, abys i ty mnie poznał i nie odtrącił”.

W ciszy, która nastąpiła, odczułem pewność, że cokolwiek się stanie, będzie tym, co powinno się stać, i że niczego nie zwojuję niecierpliwością. Muszę podporządkować się i czekać. Czas się jakby zatrzymał, jakby razem ze mną zastygł w oczekiwaniu cały świat.

Z zapamiętania wyrwało mnie dotknięcie ręki. Drgnąłem i otworzyłem oczy. Wciąż siedziałem na skraju łożka. To mój syryjski gospodarz wszedł do pokoju z lampą w ręku i dotknął mojego ramienia. Postawił lampę na podłodze i kucnął przede mną. Zaniepokojony potrząsał głową, macał brodę i pociągał kolczyk w uchu. W końcu spytał:

— Co cię gnębi? Czy jesteś chory, że mrużysz do siebie po ciemku? To kiepski znak! Boję się, że twoi żydowscy goście tak cię zaczarowali, że już nie jesteś sobą.

Dopiero jego zatroskane słowa w pełni wróciły mnie do rzeczywistości. Nadal byłem w dobrym nastroju, więc wybuchnąłem wesołym śmiechem, poklepałem go po łysinie i zapewniłem:

— Absolutnie nie jestem chory, ba! jestem zdrowszy niż kiedykolwiek, bo w końcu zrozumiałem, że proste życie jest lepsze niż skomplikowane, i nie męczą mnie już dokuczliwe myśli. Żydowscy goście dali mi całkowity spokój i wcale nie chcą mieć ze mną do czynienia. Nie masz się co o mnie niepokoić, wyleczyłem się z moich zmartwień.

Moja wyraźna radość uspokoiła Karanthesa, ale poskarżył się:

— Ten mały Żydek przeklinał na moim progu, a obydwaj wzniecili niepokój w całym domu: dzieci płakały przez sen, a kiedy sam próbowałem zasnąć, czułem się tak,

jakby na mnie padał deszcz. Dlatego przyszedłem zobaczyć, jak się miewasz. Przyniosłem też drugą lampę, żebyś się nie bał ciemności.

— Wydaje mi się, że nigdy już więcej nie będę się bał ciemności i że nigdy nie będę już samotny nawet wtedy, kiedy będę zupełnie sam. Ten świat jest kapryśny, ale nie mam ochoty rozważać jego kaprysów. Kiedy ogarnęło mnie przygnębienie i przygasłem jak ta lampka, w której olej się skończył, w moim wnętrzu rozbłysło światło. Jestem tak niewypowiedzianie radosny, że mam ochotę poskubać cię za brodę, aby i ciebie rozweselić.

— Zbuduj sobie dom, posadź drzewa, weź żonę i spłodź z nią dzieciaki, a wtedy twoja radość będzie pełna. Dopiero będziesz wiedział, że żyjesz.

— Na wszystko przyjdzie czas. Sądzę, że dla mnie jeszcze nie nadeszła pora, bym uczynił, co proponujesz.

Nie chciałem psuć nastroju, rozmawiając z nim o Jezusie Nazarejskim. Natomiast powiedziałem, że strasznie zgłodniałem, bo jedzenie mi nie smakuje, gdy piszę. To ucieszyło go ogromnie. Zeszliśmy razem na dół, gdzie spała jego rodzina, wyciągnęliśmy na stół chleb, oliwki i sałatę, razem jedliśmy i wypiliśmy tyle wina, że Karanthes zaczął chichotać.

LIST OSMY

Marek do Tulii.

Trwa we mnie radość. Myślę, że to radość wyzwolenia, ponieważ już się nie muszę zadreć z zbytecznymi pytaniami ani zawiścią, że u innych coś się dzieje, a ja w tym nie mam żadnego udziału.

Kiedy spisałem wszystkie minione wydarzenia, zacząłem spacerować po zaułkach Jeruzalem. Oglądałem pracę kotlarzy, tkaczy i garncarzy. Pozwoliłem przewodnikom oprowadzać się po pałacu Hasmoneuszy i wdrapałem się na budowane właśnie wieże pałacu Heroda, a także na odwieczne stare wieże, w których mieszkają już tylko nietoperze. Odwiedziłem dziedziniec Świątyni i jakiś czas spędziłem na forum, udałem się również poza miasto, aby popatrzeć na Jeruzalem ze stoków gór. W mieście życie toczy się normalnie, jakby nic się nie wydarzyło. Większość mieszkańców wnet zapomni o Jezusie Nazarejskim i jego straszliwej śmierci, nie będzie chciała, żeby ktokolwiek o nim wspominał.

Zmęczyło mnie to żydowskie miasto, którego obyczaje są mi obce i w którym nie widziałem już nic szczególnego, nawet w Świątyni, choć jej sława jest tak ogromna. W istocie wszystkie wielkie miasta są do siebie podobne, różne są tylko obyczaje ich mieszkańców. Także najświetniejsze świątynie są identyczne, choć zmieniają się ofiary i formy posługi. Charakterystyczny jest zwyczaj zbierania datków. Żydzi sprzedają w przedsionku Świątyni święte zdania z żydowskich ksiąg zawarte w kunsztownych futerałach, które przywiązuje się do ręki lub czoła; moim zdaniem ten obyczaj niewiele się różni od sprzedawania w Efezie miniaturek posągu Artemidy lub talizmanów.

Kiedy następnego wieczoru wracałem do domu przez szarzejący w zmroku zaułek, mój gospodarz zobaczył mnie już z daleka i wybiegł naprzeciw. Chytrze się uśmiechając i zacierając ręce mówił:

- Pytano o ciebie i ktoś na ciebie czeka.
- Kto może mnie oczekiwać? — spytałem radośnie zdziwiony.
- Nie mam w tym mieście przyjaciół. Czemu jesteś taki tajemniczy?

Karantes nie mógł już dłużej wytrzymać, tylko wybuchnął śmiechem i krzyknął:

— Ach, jakże się cieszę, że jesteś znowu zupełnie zdrowy i żyjesz jak człowiek. Nie interesują mnie twoje drogi, ale żeby uniknąć złych języków, zaprowadziłem ją po kryjomu do twojego pokoju. Siedzi tam grzecznie na podłodze, a nogi okryła płaszczem. Można by oczywiście znaleźć lepszą, ale każdy ma swój gust. Tak czy owak, jest ślicznie zbudowana i ma piękne oczy.

Wywnioskowałem, że czeka na mnie jakaś kobieta, lecz nie miałem pojęcia, kto to może być. Szybko wszedłem na górę, nie poznałem jej wszakże, chociaż na moje powitanie odkryła twarz i patrzyła na mnie jak dobra znajoma. Tyle że wcześniej widziałem ją po ciemku, po głosie natomiast poznałem od razu.

— Z pewnością źle uczyniłam, wdzierając się do ciebie, nie chciałabym narazić na szwank twjej opinii, jeśli jesteś na nią wrażliwy. Kobieta taka jak ja nie powinna w dzień zdradzać, że zna mężczyznę, z którym rozmawiała w nocy, ale mam ci do powiedzenia coś, co na pewno cię zaskoczy.

— Mario z Beeret, znam cię, ale nie przypuszczałem, że jesteś tak piękna i że oczy masz jak gwiazdy. Wcale nie jestem czuły na punkcie swojej opinii. Przeciwnie, bardzo się cieszę, żeś przyszła, choć nie wiem, jak mnie odnalazłaś.

— Nie mów o mojej twarzy i oczach, bo one są moim przekleństwem — prosiła. — A miasto jest mniejsze, niż myślisz. Wiele osób już zna ciebie i twój upór w dociekaniu spraw, które nie powinny cię obchodzić. A więc znalazłeś mężczyznę, który niósł dzban z wodą? Chyba nie miałeś z tego tyle pociechy, ileś się spodziewał?

— To prawda, i przyznaję, że jestem twoim dłużnikiem — powiedziałem szybko, bo przypuszczałem, że przyszła prosić o zapłatę za radę, jakiej mi udzieliła.

— Nie, nie, nic mi nie jesteś winien — potrząsnęła głową.

— Przeciwnie, to ja jestem twoją dłużniczką i właśnie dlatego bez zaproszenia przyszedłam do ciebie.

Patrzyłem na nią i naprawdę nie wiedziałem, o co jej chodzi i czego ode mnie chce. Sądząc po wyglądzie, była młodsza, niż myślałem. Miała okrągłą typową buzię pięknej żydowskiej dziewczyny, której nie szpeciły żadne cechy uprawianego zawodu.

Stojący przy drzwiach Karantes, zakrywając usta, dyskretnie kaszlnął, aby zwrócić moją uwagę. Ciekawy jak sroka, przyszedł w ślad za mną.

— Wieczera gotowa — powiedział — ale oczywiście może poczekać, jeśli chcesz się najpierw zabawić ze swoją przyjaciółką. Każ tylko, a przyniosę wam wody i czyste ręczniki. Zrobisz też dobrze, jeśli sprawdzisz, czy nie grzebała w twoich rzeczach i nie schowała czego w fałdach szat.

Maria z Beeret poczerwieniała i zawstydzona opuściła wzrok na ziemię.

— Jesteś w błędzie, gospodarzu. Wcale nie mam takich zamiarów, o jakich myślisz — powiedziałem prędko. — Bądź tak dobry i poleć żonie lub córce, żeby podały nam posiłek, albo sam nam przynieś, co uważasz za stosowne, bo jestem głodny i będę jadł z

moim gościem.

Maria z Beeret przeraziła się, w geście protestu podniosła rękę i krzyknęła:

— Nie, nie! Mężczyźni nie przystoi jeść razem z niewiastą, zwłaszcza z taką jak ja. Pozwól, abym ci usługiwała, chętnie zjem resztki po tobie.

— Widzę, że jesteś mądrą i dobrze wychowaną dziewczyną.

— Karanthes spojrział na nią życzliwie. — Ten Rzymianin nie zna jeszcze wystarczająco dobrze naszych obyczajów. Moja żona wolałaby raczej umrzeć, niż usługiwać tobie, a nie mogę też pozwolić, aby moja córka zobaczyła coś, czego nie przystoi oglądać niewinnej dziewczynie. Jeśli chcesz, możesz przynieść z dołu posiłek, podasz go w roli służebnej i zjesz, co zostanie. — Zwrócił się do mnie: — Wiesz, że nie lubię przesady, ale wszystko ma swoje granice. Gdyby zjawiła się tutaj w lektyce, w naszyjnikach i kolorowych sukniach, w haftowanych złotą nitką jedwabiach, ciągnąc za sobą smugę wonnych perfum, poczułbym się zaszczycony mogąc jej osobiście usługiwać, chociaż wdychałbym z niepokoju z uwagi na ciebie. To mądra dziewczyna, zna swoje miejsce i nie przysporzy ci kłopotów. *

Poprosił Marię, aby poszła z nim na dół. Po chwili dziewczyna wróciła, niosąc moją wieczerzę. Podwinęła suknię jak służebna, tak że widziałem jej gołe łydki aż do kolan. Uprzejmie zaprowadziła mnie na taras, polała mi ręce wodą i osuszyła je czystym ręcznikiem. Kiedy usiadłem, uniosła pokrywę glinianego naczynia, położyła chleb przede mną i rzekła:

— Jedz, Rzymianinie, a oczy twojej sługi będą radośnie błyszczały za każdym kąsem, jaki włożysz do ust. Chciałabym zawsze ci usługiwać.

Dostrzegłem, jak łakomie patrzy na chleb, który łamałem na kawałki. Przyciągnąłem ją i zmusiłem, żeby usiadła koło mnie, umoczyłem chleb w pikantnym sosie i włożyłem jej do ust, choć się sprzeciwiała. Dopiero za trzecim razem zgodziła się sama to zrobić.

Po posiłku ucałowała moje ręce i rzekła:

— Naprawdę jesteś taki, jak opowiadano i jak sobie wyobrażałam, gdy rozmawialiśmy po ciemku przy starej bramie. Traktujesz kobiety na równi z mężczyznami, choć u nas kobieta nie jest warta nawet tyle co osioł albo muł. Kiedy rodzi się dziewczynka, mężczyzna rozdiera szaty i nie chce nawet zobaczyć dziecka ani powiedzieć żonie dobrego słowa. — Wpatrując się przed siebie ciągnęła: — Życie na wsi jest godne litości. Ładne dziewczyny wydaje się za mąż za starców, którzy mają więcej niż inni ziemi i winnic. Mnie własna próżność doprowadziła do zguby. Z lubością przyglądałam się odbiciu swej twarzy w zwierciadle wody. Z głupoty szłam na pole z każdym, kto podarował mi kolorowe wstążki i korale, a do ucha szeptał kłamliwe obietnice. Moja historia jest tak krótka i prosta, że nie warto jej opowiadać, bo zakończenie zna się z góry. Gdybym mieszkała w innym kraju, to póki byłabym młoda, nie miałabym większych trosk niż dziewczyny do mnie podobne. Ale ja jestem wzgardzoną, przeklętą córką Izraela, brzemień grzechu tak mnie przygniata, że oddałabym wszystko, aby się z niego oczyścić. Bóg Izraela jest straszliwym Bogiem, a nieczysta kobieta jest przed Jego obliczem tyle warta co pies albo ścierwo.

— Mario z Beeret, nie możesz być bardziej grzeszna niż wiele innych, które na całym świecie muszą żyć tak jak ty — powiedziałem, aby ją pocieszyć.

— Nie rozumiesz — popatrzyła na mnie i lekko potrząsnęła głową.

— Cóż mi pomoże myślenie, że wiele popełnia większe grzechy ode mnie? Znam siebie, wiem, że wewnątrz mego ciała to tylko robactwo i zgnilizna. Był ktoś, kto mógłby mi pomóc. Nie potępił nawet kobiety cudzołożnej, zlitował się nad nią i uratował przed ukamienowaniem. Błogosławił dzieci, również dziewczynki, i nie było w nim grzechu. Nie odważyłam zbliżyć się do niego, patrzyłam tylko z daleka. Wątpię zresztą, czy dopuszczono by mnie przed jego oblicze. On mocą swoją leczył chorych fizycznie. Na pewno i nade mną by się zmiłował, bo serce mam chore i wstydę się siebie i swego życia.

— Myślę, że wiem, o kim mówisz — powiedziałem.

— Tak, tak — Maria z Beeret skinęła głową—lecz pobożni, uczeni i bezgrzeszni ukrzyżowali go. Potem wstał z martwych i ukazał się uczniom. Wiem o tym z pewnego źródła, choć to tak niewiarygodne. Mówiono mi, że ty również wiesz o tym, chociaż jesteś cudzoziemcem i odtrąconym. Dlatego przyszedłam do ciebie. — Nagle wybuchnęła płaczem, rzuciła się przede mną na ziemię, ramionami obejmowała moje kolana i błagała: — Zaklinam cię, weź mnie ze sobą i idźmy razem do Galilei, aby go szukać! Kto tylko mógł, wyszedł dzisiaj z miasta. Kobiety także. On ukazał się późno wieczorem uczniom i obiecał prowadzić ich do Galilei. Tam mają go spotkać. Może i ja będę go mogła zobaczyć, jeśli zgodzisz się wziąć mnie ze sobą.

Potrząsnąłem ją mocno za ramiona, podniosłem, poprosiłem, by usiadła, i powiedziałem stanowczo:

— Przestań płakać i nie mów tak chaotycznie, tylko powiedz, co wiesz, żebyśmy się zastanowili, co mamy uczynić.

— Przecież spotkałeś tę bogatą niewiastę, hodowczynię gołębi, która mu towarzyszyła. — Maria zorientowała się, że skłonny jestem ją wysłuchać, otarła więc łzy z oczu i uspokoiła się. — Ona jest po twojej stronie i wie, że gorąco szukasz nowej drogi. Ale uczniowie zabronili jej spotykać się z tobą, ponieważ nie jesteś synem Izraela. Poradziła mi, abym zwróciła się do ciebie, ponieważ nie mogła wziąć mnie ze sobą, a ty, jako Rzymianin, jesteś tak samo odtrącony jak ja. Powiedziała, że Mistrz wie najlepiej, kto może słuchać jego głosu. Wieczorem cała jedenastka zebrała się w sali w górnym mieście i Jezus przyszedł do nich przez zamknięte drzwi, jak pierwszego wieczoru po zmartwychwstaniu. Zapewnił, że jest z ciała i kości i pozwolił, aby Tomasz dotknął jego ran. I wszyscy uwierzyli, że zmartwychwstał. Nie powtórzyli dokładnie niewiastom tego, co mówił, ale natychmiast zaczęli szykować się do wyjścia z miasta. On już wcześniej powiedział, że będzie przed nimi szedł do Galilei. Wszyscy wierzą, że tam go spotkają.

Zastanowiłem się nad jej opowieścią. Wydawała się wiarygodna, bo jakież powód miałaby Maria, żeby coś takiego wymyślić? Mogłem również ufać, że Maria Magdalena dobrze mi życzy, chociaż z uwagi na uczniów nie odważyła się ze mną spotkać.

— Ale dlaczego właśnie do Galilei? — spytałem. — I co tam ma się wydarzyć?

— Nie wiem. Po co mi to wiedzieć? — Maria z Beeret potrząsnęła głową. — Czy nie wystarczy, że tak polecił uczniom? Zapalili się do wyjścia, pierwsi z nich opuścili miasto o świcie, zaraz po otwarciu bram. — Nieśmiało dotknęła ręką mego kolana i poprosiła: — Przygotuj się i ty do wyjścia z Jeruzalem i pozwól mi być twoją sługą! Nikt inny mnie nie przygarnie, a sama nie mogę wędrować do Galilei. Nie mam pieniędzy na opłacenie przewodnika, a bez przewodnika wpadnę w ręce legionistów albo zbójców.

Chciałem jej wierzyć. Z pewnością nie miała zamiaru oszukiwać mnie. Najlepiej świadczył o tym jej entuzjazm. Ale przecież opowiedziała tylko to, co słyszała od innych. W tych niespokojnych dniach krążące z ust do ust pogłoski mogły zmieniać swą treść i wprowadzać w błąd. Dlatego doszedłem do wniosku, że muszę znaleźć ich potwierdzenie z innych źródeł. Prośba Marii postawiła mnie w kłopotliwej sytuacji. Nie miałem wcale ochoty brać sobie na kark obcej kobiety w tak trudną podróż, której rezultat był bardzo niepewny.

— Rozumiem... — Zauważyła, że się waham i spochmurniała, odwracając głowę. — Nie musisz nic wyjaśniać. Co by pomyśleli twoi znajomi Rzymianie, gdybyś ty, przyjaciel prokonsula, jechał z taką prostą żydowską dziewczyną! Chyba popełniłam błąd zwracając się do ciebie, ale jesteś jedynym mężczyzną, który dał mi coś, niczego w zamian nie oczekując.

Wstyd mi się zrobiło za siebie i za swoje wygodnictwo. Jestem przecież wolny i bogaty, nie muszę przed nikim tłumaczyć się ze swoich czynów. Jeśli obecność Marii okaże się zbyt uciążliwa, to dam jej pieniądze i odeślę. Jeżeli zaś naprawdę Maria Magdalena poradziła jej, aby przyszła do mnie, to przecież rad będę znaleźć się w Galilei, skoro zmartwychwstały Jezus Nazarejski istotnie tam się udaje.

— To wszystko jest mocno niepewne. Równie dobrze mógłbym budować most ze słomy, żeby się dostać na drugą stronę rzeki. Ty wiele wiesz o cichych i równie gorliwie jak ja pragniesz znaleźć zmartwychwstałego króla żydowskiego. Musiałbym mieć serce z kamienia jak jego uczniowie, gdybym cię odtrącił, jak oni mnie odtrącili. Może Jezus istotnie nie chce znać nas obojga, ale to nie jest przeszkodą w staraniach.

— Przez wszystkie dni życia będę się modliła o błogosławieństwo dla ciebie, jeśli weźmiesz mnie ze sobą do Galilei! Naprawdę nie śmiałam o tym marzyć, idąc do ciebie wyrzucałam sobie głupotę. Jeśli nie znajdziemy go, będziesz mógł mnie sprzedać w niewolę, bo nie dbam już, co się potem ze mną stanie. Ale z nadzieją w sercu ruszajmy razem w drogę.

— Przecież nie możemy ruszać na noc — hamowałem rozgorączkowaną Marię. — Poza tym nie będę na oślep rzucał się w tę przygodę. Trzeba to dobrze przemyśleć. Jeśli jutro uzyskam z innych źródeł informacje potwierdzające twoje opowiadanie, wówczas zaplanuję podróż, wybiorę trasę i miejsca postoju i w ogóle zaopatrzę się we wszystko tak, byśmy możliwie wygodnie i szybko dotarli do Galilei. Tam rozejrzemy się i postanowimy, co dalej robić.

— Już cały dzień czekałam — biadoliła Maria — a serce mam tak skołatane, że chyba nie usnę. Czemu nie możemy jechać, tak jak stoimy, bez bagaży i sprzętów? Prześpimy się gdzieś u cichych albo pod gołym niebem, bo noce już nie są zimne. Taka

podróż będzie tania i nie przysporzę ci wydatków.

— Na pewno mam więcej niż ty doświadczenia, jeśli chodzi o podróże — powiedziałem, rozbawiony jej dziecinnymi pomysłami.

— Tania podróż szybko może się okazać droga, jeśli weźmiesz pod uwagę możliwość choroby albo zaatakowania przez włóczęgów. Pozwól, że już ja wszystko zaplanuję, ty za to w Galilei będziesz doradzać, dokąd mamy się kierować.

— Nie znam w Galilei żadnej miejscowości poza Kafarnaum, które leży na wybrzeżu Morza Galilejskiego. Tam musimy się udać, jeśli po drodze nie dotrą do nas inne informacje o nim.

— No to idź w pokoju. Jutro koło południa możesz tu wrócić.

Chyba jednak Maria z Beeret bała się, że jej nie wezmę ze sobą, bo szybko odparła, że nie ma gdzie iść, i prosiła, bym jej pozwolił przespać się przed drzwiami albo gdzieś w kąciku. Pomyślałem, że i tak będę musiał przywyknąć do jej obecności, skoro mamy razem podróżować i sypiać w tych samych pomieszczeniach. Okazało się, że wcale mi nie wadziła, całą noc przespała w kącie na dywanie, zawinięta w swój obszerny płaszcz.

Rano, kiedy zagrzmiały trąby świątynne, na głos wyrecytowała modły, zgodnie z żydowskim obyczajem, ale w ogóle starała się zachowywać jak najciszej i nie przeszkadzać mi w niczym. Kazałem jej czekać w pokoju, a sam zeszedłem na dół. Tuż za progiem spotkałem mego gospodarza, który rozstawiał swój kram ze starzyzną. *

— Karanthesie — powiedziałem — przyszedł czas, bym wyjechał z Jeruzalem. Dziewczyna jest w moim pokoju, mam zamiar wziąć ją ze sobą. Kup jej nowe szaty i ubierz ją przyzwoicie od stóp do głów. Zadbaj też o potrzebne ozdoby, żeby w czasie podróży nikt jej nie lekceważył ani nie uważał za zbyt tanią jak dla mnie. Nie przesadz jednak w zakupach, bo wcale mi nie zależy, żeby zbytnio zwracała na siebie uwagę.

— Nie wiem, czy mądrze postępujesz — Karanthes aż klasnął w ręce — ale chyba wiesz najlepiej, co robisz. Takie same dziewczyny znajdziesz w każdym mieście, a zaoszczędziłyś na transporcie. Pocieszam się, że to rozsądniej sze niż pchanie się do żydowskiej polityki, której w ogóle nie rozumiesz.

Nie wypytywał mnie, dokąd mam zamiar się udać, bo i tak miał sporo do myślenia, jak spełnić moje życzenia z korzyścią dla nas obu. Ja zaś udałem się wprost do domu Arystenosa. Zostałem go na nogach, przy tablicach obliczeniowych i akredytywach. Pozdrowił mnie okrzykiem radości, obejrzał od stóp do głów i rzekł:

— Stosujesz się do moich wskazówek bardziej, niżbym się spodziewał. Brodę masz dłuższą niż ja, a frędzle przy płaszczu wskazują, że dopuszczany jesteś co najmniej do bramy prozelitów. Czy mogę spytać, czego sobie życzysz i czy jesteś zadowolony?

— Wiadomości mam więcej, niż mi potrzeba — wyznałem ostrożnie — a zadowolony jestem do tego stopnia, że dość mam Jeruzalem. Pod niebo wychwalano mi piękno Galilei i nowego miasta Heroda Antypasa, Tyberiady, na wybrzeżu jeziora Genezaret. Można tam podreperować zdrowie kąpielami w gorących źródłach, bywać w teatrze i cyrku i żyć na grecką modłę, nie wzbudzając zgorszenia.

Arystenos zrobił jakąś dziwną minę i unikał mego wzroku. Dlatego szybko dodałem:

— Zimą w Aleksandrii podupałem zarówno fizycznie, jak psychicznie. Potrzebuję kąpieli, masażu i greckiego teatru, żeby mi głowa nie pękła od tego wszystkiego, czego się dowiedziałem i nauczyłem.

— Widać dostałeś się w sidła jakiegoś wygadanego poplecznika Heroda — zauważył z uśmiechem Arystenos. — Tetrarcha wydał wiele pieniędzy, chcąc uczynić swoje miasto jak najbardziej nowoczesnym i greckim zarazem w nadziei, że podróżni i rekonwalescenci będą tam licznie ściągać. Czy masz zamiar podróżować przez Samarię czy też świętą trasą pielgrzymów po wschodniej stronie Jordanu?

— Tego chciałbym się dowiedzieć od ciebie. Chciałbym również podjąć pieniądze i wziąć od ciebie list polecający do któregoś z twoich znajomych bankierów w Tyberiadzie. Żeby być zupełnie szczerym, znalazłem sympatyczną dziewczynę jako towarzyszkę podróży. Z Bajów wyniosłem przekonanie, że każdy jeszcze młody mężczyzna powinien przez rozsądek udawać się do wód z własnym zaopatrzeniem, inaczej łatwo może stracić głowę i sakiewkę.

— Jako bankier jestem tylko twoim sługą — uśmiech Arystenosa zmienił się w złośliwy grymas — i nie mam prawa ani potrzeby wtrącać się do twoich spraw. Ale czy się mylę, czy też dowiedziałeś się wystarczająco dużo o nauce ukrzyżowanego Jezusa Nazarejskiego?

Miałem początkowo zamiar po prostu skłamać. Dobierałem już odpowiednich słów, a on cały czas obserwował mnie chytrze. W końcu powiedziałem:

— Przyznaję, że słyszałem o nim dużo, i to ciekawych rzeczy. Być może w Galilei jeszcze czegoś się dowiem. Wiem, że w waszym świętym mieście po jego śmierci były jakieś objawienia. Tak, dużo myślałem o nim w tych dniach.

— Zaskoczyła mnie twoja nagła chęć wyjazdu do Galilei — powiedział Arystenos po chwili namysłu, w czasie którego nie spuszczał ze mnie wzroku. — Opowiadano mi, że wczoraj w ciągu dnia wielu ludzi wyruszyło na pielgrzymkę do Galilei. Podobno wśród prostego ludu rozeszła się pogłoska, że mają tam się zdarzyć jakieś cuda. Oczywiście wiem, że jako mąż wykształcony nie będziesz szedł śladami rybaków i cieśli, niemniej ta zbieżność mnie zaskoczyła. Bądźmy wobec siebie uczciwi. Ja mam powody wierzyć, że nasza rada ma dosyć Galilejczyków, którzy towarzyszyli temu człowiekowi, oraz dość pogłosek, które szerzyli zarówno oni, jak i ich kobiety. Przecież prosty naród gotów jest uwierzyć w najbardziej bzdurne historie! Pogłoski zwalczać jest bardzo trudno, a jeszcze trudniej oskarżać kogoś tylko na ich podstawie. Wtedy wszyscy mówiliby między sobą, że nie ma dymu bez ognia. Jeden ukrzyżowany wystarczy jako nauczka, prześladowanie uczniów byłoby tylko dolewaniem oliwy do ognia. Lepiej, żeby o nim zapomnieli. Dlatego moim zdaniem rada dała do zrozumienia Galilejczykom jakąś pośrednią drogą, że nie będzie ich prześladować, jeśli tylko strząsną z sandałów pył Jeruzalem. Niech sobie idą z powrotem do Galilei. Tam rządzi Herod Antypas, który postąpi z nimi, jak będzie uważał za celowe. Sądzę, że we własnym środowisku, gdzie wszyscy ich znają, ci ludzie są nieszkodliwi. Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Wyjaśniam to wszystko, żebyś sobie nie wyobrażał czegoś, czego rozsądniej szy mężczyzna nawet w

słowa nie obleka.

Mówił to, siedząc w wytwornym kantorze, zabezpieczonym grubymi ścianami, bramami i ryglami, a jego rozważne słowa były jak pył, którym chciał ugasić płomienie moich myśli.

— Jeśli są to sprawy tak błahe, jak powiadasz, to wiesz o nich nadspodziewanie dużo — stwierdziłem wyniośle. — Dlaczegoż i ja nie mam być uczciwy? Słyszałem, że on zmartwychwstał, objawił się swoim uczniom i obiecał iść przed nimi do Galilei.

Arystenos schwycił się za szatę na piersiach, jakby ją chciał rozerwać. Ale natychmiast się opanował, spróbował fałszywie uśmiechnąć i rzekł:

— Przeklęte niech będzie niedbalstwo, przez które przebiegli uczniowie wykradli jego ciało w czasie trzęsienia ziemi! Na tej podstawie mogli głosić nawet największe brednie. Oczywiście taką historyjkę mogą wmawiać swoim skrytym zwolennikom, aby uszlachetnić swoją ucieczkę z Jeruzalem. Jeszcze mógłbym cię zrozumieć, gdybyś był urzeczonym księgami Hebrajczykiem, skisłym w czekaniu na mesjasza. Ale przecież jesteś Rzymianinem i filozofem! Człowiek umarły nie może wstać z grobu! Coś takiego nigdy się nie wydarzyło i nie może się zdarzyć.

— Czemu więc tak się gorączkujesz i taki jesteś wstrząśnięty, ty, człowiek rozumny? — spytałem. — Pojmuję twoje przywiązanie do domu, pieniędzy i interesów; pojmuję, że pragniesz zachować wszystko w takim stanie, w jakim jest. Ja natomiast mogę swobodnie przychodzić i odchodzić, kiedy zechcę, a nawet myśleć o tym, o czym ty nie odważysz się pomyśleć. Jadę kąpać się w gorących źródłach Tyberiady i nie twój interes, jeśli równocześnie mam nadzieję dowiedzieć się, a może i samemu zobaczyć coś, co nigdy przedtem się nie wydarzyło.

Popatrzyłem na jego małą bródkę, wypiełgnowaną twarz i ręce oraz utrefione na wzór grecki kędziory włosów i ogarnął mnie wstręt do niego i jego całego świata. Wspomniałem siostry Łazarza, Marię Magdalenę i Marię z Beeret. One miały nadzieję — i przez to były mi bliższe niż ten przywiązany do swoich pieniędzy i przywilejów człowiek. On nie miał żadnej nadziei, dlatego tak kategorycznie negował możliwość nadziei dla innych.

Arystenos chyba wyczuł moje myśli, bo zaraz zmienił temat rozmowy. Otworzył ramiona i oświadczył:

— Wybacz mi, sam przecież wiesz najlepiej, co czynisz. W głębi serca jesteś poetą, stąd twoja skłonność do takiego myślenia, które ja, jako człowiek interesu, odrzucam. Na pewno nie staniesz się ofiarą naciągaczy i nie uwierzysz w ich bajeczki. Jaki więc rodzaj podróży ci odpowiada? Mogę dać do twojej dyspozycji doświadczonego przewodnika karawany, wielbłądy lub osły. I najelegantsze wyposażenia namiotowe, abyś uniezależnił się od domów zajezdnych. Unikniesz wówczas brudu i robactwa, no i podejrzanego towarzystwa. Najrozsądniej byłoby, gdybyś opłacił kilku syryjskich legionistów jako eskortę. Wtedy nie będziesz się bał niczego w nocy ani w dzień. Oczywiście to wszystko będzie kosztowało, ale stać cię na to.

Właśnie taką organizację miałem na myśli, dlatego zwróciłem się do niego.

Rozumiałem również jego gorliwość — przecież dobrze zarobi na zorganizowaniu mi podróży. Ale jego zaufany człowiek będzie pilnował każdego mego kroku i każdego słowa, aby potem donieść mu

o wszystkich moich poczynaniach. Arystenos z kolei, mając na względzie własne korzyści, będzie informował członków rady o wszystkim, co tylko zechcą wiedzieć. Dlatego znalazłem się w rozterce i nie umiałem natychmiast podjąć decyzji.

— Właściwie — powiedziałem — myślałem o wycieczce na własną rękę. W Jeruzalem nie uczęszczałem do gimnazjonu, nie uprawiałem też żadnych ćwiczeń fizycznych, więc chciałem, aby trudy podróży rozruszały mi trochę ciało. Ale oczywiście muszę też myśleć o wygodzie niewiasty, która pojedzie ze mną.

— No właśnie — potwierdził entuzjastycznie. — Nawet małe trudności czynią kobietę rozdrażnioną i kapryśną. Wątpliwe też, abyś się cieszył, gdy zobaczysz jej białą skórę pogryzioną przez robactwo. Pozwól, że zanim przemyślisz sprawę, dam jej podarunek.

Wyszedł z pokoju i wrócił z pięknym greckim lusterkiem, na którego odwrocie znajdowało się wyobrazenie satyra obejmującego opierającą się nimfę. Było to pięknie oszlifowane, zapewne drogie lustro, toteż przyjmując je zaciągnąłem dług wdzięczności, a tego wcale sobie nie życzyłem, Arystenos jednak siłą wcisnął mi je do rąk i rzekł:

— Nie bój się, to nie jest zaczarowane zwierciadło, ale skieruje ku tobie sympatyczne myśli twojej przyjaciółki, kiedy najpierw się w nim przejrzy, a potem ujrzy satyra. Powiadają, że istnieją lustra, które zabijają, kiedy się w nie spojrzy. Rozsądny człowiek w nic takiego nie wierzy, najlepiej jednak zachować ostrożność. Dlatego z całego serca życzę ci, abyś w czasie podróży nawet przypadkiem nie zerknął do takiego zwierciadła i nie ujrzał niczego, czego człowiekowi widzieć nie wypada.

Nie dając mi czasu na przemyślenie sensu tych słów, zaczął liczyć na palcach, po czym obwieścił, że będę potrzebował kucharki, służącej dla mojej przyjaciółki, woźnicy, bagażowego, obozowych, a wywód ten zakończył słowami:

— Sądzę, że dwanaście osób wystarczy. Taka grupa nie wzbudzi niczyjej uwagi, a jest konieczna z uwagi na twoją pozycję.

W duchu widziałem już tę rozpaplaną, klóącą się, wrzeszczącą i śpiewającą świtę, świadomy, że nie potrafię utrzymać w niej dyscypliny. Wizja ta wzbudziła mój sprzeciw, toteż odparłem:

— Nie unikam wydatków, ale moim luksusem jest samotność. Zaproponuj coś lepszego, a w każdym bądź razie zabierz z powrotem lustro. To bezwstydnie malowidło jest nawet śmieszne, tyle że nie sądzę, by podniosło mój autorytet w oczach Żydów.

Bez słowa zabrał zwierciadło i powiedział:

— Już wiem, co zrobimy. Pracuje u mnie od czasu do czasu niejaki Natan. Jediną jego wadą jest milkliwość, ale to człowiek godny zaufania, zna tereny Judei i Dekapolii, Samarię i Galileę. Gdy wyjmowałem to lustro, widziałem go na dziedzińcu. To oznacza,

że chce pracy. Nie mam dla niego żadnych poleceń, a nie chcę, żeby co dzień siadywał na podwórku i czekał, bo jego milczenie denerwuje służbę. Wiem, że prowadził karawany aż do Damaszku. Wyjaśnij mi, dokąd chcesz się udać i jak podróżować, a on wszystko zorganizuje jak najlepiej. Bez obawy możesz mu wręczyć sakiewkę, żeby opłacał noclegi. Nie marnuje języka na targowanie się, ale też nie płaci, ile żądają. Poza tym nie bierze żadnej prowizji od właścicieli zajazdów, bo wystarcza mu umówione wynagrodzenie.

— Takiego człowieka mi potrzeba — przyznałem, choć obawiałem się podstępu ze strony Arystenosa. Śmiejąc się bankier wyprowadził mnie na dziedziniec i pokazał mi Natana. Siedział bosy w słonecznym skwarze, miał włosy krótko ucięte, a na sobie nigdy białą krótką opończę. Kiedy podniósł na mnie wzrok, zobaczyłem najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Nie wiem dlaczego, ale od razu poczułem do niego zaufanie.

Prosiłem Arystenosa, aby przedstawił Natanowi moją sprawę, lecz on tylko się zaśmiał. Wrócił do kantoru i rozkazał, aby rachmistrz odliczył mi do sakiewki potrzebne na podróż pieniądze i napisał polecenie wypłaty gotówki do znajomego bankiera w Tyberiadzie. Wyglądało na to, że chce umyć ręce od całej sprawy, jednakże gdy jeszcze raz spojrzałem na Natana, upewniłem się, że nie może być niczym szpiegiem.

— Ty jesteś Natan, a ja Marek, Rzymianin — powiedziałem.

— Jadę w towarzystwie niewiasty do Tyberiady i chcę podróżować zupełnie zwyczajnie, nie wzbudzając, na ile to możliwe, niczyjej uwagi. Zapłacę ci wedle twego życzenia, a na czas podróży powierzę ci sakiewkę.

Natan spojrzał najpierw na moją twarz, potem na nogi, jakby szacował moją sprawność. Nic nie powiedział, tylko skinął potakująco głową. Zauważyłem jednak zdziwienie na jego twarzy.

— Myślę, że wystarczą nam trzy albo cztery osły — ciągnąłem.

— Moja towarzyszka i ja potrzebujemy też mat do spania i naczyn. Postaraj się o to, co uważasz za niezbędne, i koło południa przyjdź do domu Karanthesa, handlarza starzyzną, w zaułku obok pałacu Hasmoneuszy.

Kiwnął ponownie głową i wypuścił z rąk do połowy okorowaną gałązkę. Gdy zobaczył, że upadła na ziemię korą do góry, skinął głową po raz trzeci. Rzeczywiście nie był gadatliwy. Po wypytywaniach Arystenosa byłem zadowolony, że ten człowiek o nic nie pytał. Poszedłem do kantoru pożegnać się z bankierem. Przygotował oficjalny blankiet rachunkowy i polecił, żeby rachmistrz wręczył mi sakiewkę i polecenie wypłaty_

— Szczęśliwej podróży—życzył. — Po twoim powrocie spotkamy się jeszcze w Jeruzalem.

Wróciłem na dziedziniec i podałem sakiewkę Natanowi. Zważył ją w ręku i umocował sobie za pasem, chwilę zastanowił się, spojrzał na pozycję słońca, po czym wyszedł z podwórka. Cała nasza umowa i jego zachowanie tak odbiegało od handlowych obyczajów Wschodu, że byłem zupełnie skonsternowany. Mimo wszystko wydawało mi

się, że ten człowiek mnie nie zwiedzie.

Teraz udałem się do części miasta między murami, gdzie w ciemny wieczór szedłem za mężczyzną niosącym dzban wody. Krętymi zaułkami i schodami wchodziłem coraz wyżej, aż po dłuższym poszukiwaniu odnalazłem właściwą bramę. Mimo mocnego postanowienia, że więcej nie będę się zwracał do apostołów, którzy mnie odtrącili, chciałem jednak w miarę możliwości upewnić się, że naprawdę opuścili miasto.

Poznałem duży dom, w którym gościłem. Jego masywna brama otwarta była na oścież, lecz na podwórku nikt się nie kręcił. Nagle ogarnął mnie niezrozumiały strach. Nie odważyłem się wejść do środka. Niepewny przechodziłem obok domu i po własnych śladach wracałem, by jeszcze raz go minąć. Do środka jednak wejść nie mogłem. W żaden sposób nie mogłem.

Po dłuższym wahaniu odwróciłem się, żeby wracać, chociaż byłem zły i sam siebie oskarżałem o brak odwagi. Równocześnie dziwiłem się, że tak tu pusto, bo minęło mnie zaledwie kilku przechodniów. W pobliżu muru usłyszałem monotony stukot. Siedzący na ziemi żebrak próbował zwrócić moją uwagę uderzając laską o kamień, ale był zbyt dumny, aby do mnie przemówić.

Zdążyłem się już przekonać, że najmądrzej jest nie dawać jałmużny, inaczej żebracy stają się natarczywi i nie sposób się od nich uwolnić. Ale ten jednonogi kaleka nic nie mówił, tylko na mnie patrzył, a gdy stwierdził, że go zauważyłem, przestał uderzać laską o kamień. Musiałem się zatrzymać i rzucić mu monetę.

Podniósł ją bez podziękowania, po czym zapytał:

— Czego tutaj szukasz, przybyszu? Gdy siedzę na ziemi, widzę wiele, nawet to, co nie wszyscy chcieliby zobaczyć.

— W takim razie podaj mi hasło, jeśli możesz — poprosiłem.

— Wyposażenie na drogę i szybkie odejście to jedyne hasło, jakie znam. Ruszyli już przecież ci, co w dzień niechętnie pokazywali swoje oblicza. O ile wiem, są to rybacy i widocznie spieszyli się do sieci. Czy hasło ci pasuje?

— Pasuje lepiej, niż myślisz — powiedziałem uradowany i dorzuciłem mu jeszcze drugi pieniążek. Z roztargnieniem podniósł go z ziemi, przyglądając się mojej twarzy, jakby mnie rozpoznawał. Nagle zapytał:

— Czy nie jesteś tym człowiekiem, który pewnego wieczoru odprowadził ślepcę i oddał mu własny płaszcz w pobliżu Bramy Wodnej? Jeśli tak, to radzę ci, byś także kupił sieci i poszedł za innymi. Może być bogaty połów.

— Kto ci kazał to powiedzieć? — spytałem ze ściśniętym gardłem i roztrzepotanym sercem.

— Nikt mi niczego nie kazał mówić. Powiedziałem to z rozżalenia, bo gdybym miał obie nogi, też bym poszedł z pielgrzymką do Galilei.

— Nie mówisz jak żebrak — zauważyłem.

— Nie zawsze byłem żebrakiem — odparł wyniośle. — Znam Pismo! Beznogi człowiek siedzący w ulicznym brudzie łatwiej zrozumie i uwierzy w to, czego ludzie zdrowi i o całych członkach nie pojmują. Przez własną głupotę nieraz obrywałem po gębie. Teraz też lepiej byłoby, gdybym milczał, lecz nie mogłem oprzeć się pokusie, gdy tak krążyłeś lekliwie wokół domu, który i ja z daleka oglądałem. J, — Więc do Galilei! Umacniasz moją nadzieję.

— Do Galilei! — powtórzył z entuzjazmem. — A jeśli go spotkasz, proś, żeby pobłogosławił również nas, tych najmniejszych, którymi pomiatają wszyscy.

— Z pewnością jesteś bliżej jego Królestwa niż ja — dotknąłem ręką jego ramienia i dłoni — chociaż mam zdrowe nogi i mogę wędrować jego śladami do Galilei. Pobłogosław mnie i moją podróż, bo chcę być cichy i pokornego serca.

Uśmiechnął się zatroskany i patrzył poprzez mnie gdzieś w dal. Śpiewnym głosem wyrecytował po hebrajsku i po aramejsku, abym zrozumiał:

— Wiem, że Zbawiciel żyje i żył będzie do końca świata. A kiedy moja powłoka cielesna zostanie ze mnie zdarta, wtedy ujrzę Boga.

Nic już nie dodał, tylko zakrył głowę i pochylił się aż do ziemi. Ja zaś nie ośmieliłem się więcej do niego mówić. Zastanawiałem się nad różnicą między ślepcem, którego kiedyś odprowadzałem, a tym beznogim żebrakiem. Nieszczęście uczyniło ślepcę złym i zawistnym, ten zaś człowiek, który wszystko stracił, całą nadzieję złożył w przyszłości, jakby wszystko, co przedtem posiadał, tylko oddalało go od jego Boga. Zaakceptował swoje oczekiwanie w pyłe ulicy, ponieważ nie mógł udać się do Galilei. Na jego przykładzie lepiej niż dotychczas rozumiałem pokorne oczekiwanie cichych.

Tak rozmyślając schodziłem do przedmieścia. Gdy zbliżałem się do domu Syryjczyka Karanthesa, czułem wprawdzie zmęczenie nóg, ale radość oczekiwania rozgrzewała moje serce, a w duszy jak pieśń i hymn tryumfalny dźwięczały mi słowa: „Do Galilei! Do Galilei!” O niczym innym nie potrafiłem myśleć.

Nie mogłem od razu wejść do swojego pokoju, musiałem usiąść na progu i czekać, ponieważ żona gospodarza wraz z córką ubierały na górze Marię. Karanthes wyjaśnił:

— Niewiasty są niewiastami i nie mogły się oprzeć, gdy ujrzały piękne stroje i ozdoby. Dzięki nim moja żona przekonała się, że Maria z Beeret nie jest ladacnicą, lecz nieszczęśliwą dziewczyną, której ty chcesz zapewnić przyzwoity wygląd.

— Zdaje mi się, że w tym świętym mieście zatraciłem poczucie cnoty i przyzwoitości. Dzień w dzień dym ofiarny wznosi się ze Świątyni do nieba na cześć bezpostaciowego Boga, jakby ofiary i obrzędy oczyszczające mogły pogodzić człowieka z Bogiem, który jest tak święty, że jego imienia nie wolno głośno wymawiać, jeśli dobrze rozumiałem. Tutaj pobożni są zbyt pobożni, a złoczyńcy we frędzelkach i szatach rytualnych ukrywają swoje odrażające czyny. Grzeszną Marię darzę większym szacunkiem niż biało odzianych kapłanów w Świątyni, ponieważ uznaje siebie winną swych grzechów.

— A czym w końcu jest grzech? — spytał filozoficznie Karanthes.

— W miastach syryjskich młode niewiasty zarabiają na swój posąg lub służą bogini czyniąc to samo, co ta przyciśnięta biedą Żydówka, która nie potrafiła nic innego. Kapłani nakazują grzesznicy wymazać się kałem i siedzieć przez określony czas na skraju drogi, żeby ludzie się z niej natrzęsali, ale nie rozumiem, w jaki sposób może to kogoś oczyścić z grzechów. Tak samo nie rozumiem, dlaczego kapłani Matki-Ziemi uważają, że odnoszą nad sobą zwycięstwo, kiedy w ekstatycznym tańcu tracą rozum i kaleczą swoje ciało, a niektórzy nawet się kastrują na cześć bogini. Chyba jestem nieszczęśliwym człowiekiem, bo żyjąc tu, w Jeruzalem, odwykłem od swoich bogów, natomiast boję się żydowskiego Boga bezpostaciowego. No, tak bardzo nieszczęśliwy nie jestem, przynajmniej dopóki interes idzie, dzieci rosną, a żonie wystarczy, gdy rano i wieczorem mi dokuczy, i jeszcze raz w południe, aby mi przypomnieć, że jestem śmiertelny.

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, bo jego żona i córka zawołały z tarasu i radośnie trajkocząc zaprosiły, bym popatrzył na narzeczoną. Zaskoczony zmianą ich nastawienia, wszedłem na górę i ze zdumieniem obejrzałem Marię z Beeret. W nowych szatach wyglądała jeszcze młodziej niż wieczorem. Miała też na sobie ozdobiony świecidełkami pas, na czole piękną przepaskę, na szyi naszyjnik z różnokolorowych kamieni, w uszach ogromne kolczyki, łańcuszki na kostkach nóg. Powitała mnie rozgorączkowaną z wrażenia twarzą i pytaniem:

— Dlaczego ubierasz mnie jak córkę bogacza, która wybiera się na ucztę? Umyli mnie, namaścili, uczesali... Kwefem będę mogła zasłaniać twarz w czasie podróży, a płaszczem owinę się cała, aby nie pobrudzić sukien.

Zakwefiła twarz, otuliła się płaszczem i defilowała przede mną, pobrzękując ozdobami. Wzruszył mnie jej dziecinny zachwyty, bo naprawdę włożywszy nowe szaty, jakby zrzuciła z siebie złą przeszłość. Przyszedł Karanthes i patrzył na nią niby na dzieło własnych rąk. Dotykał każdego kawałka garderoby i biżuterii, kazał mnie dotykać, przy każdej sztuce wymieniał cenę, zupełnie jakby chciał Marii dać do zrozumienia, ile wydałem dla takiej taniej dziewczyny. Twarz Marii zaczęła się wydłużać, jej radość gasła, w końcu zaczęła niepewnie spoglądać na mnie.

Podziękowałem Karanthesowi za jego starania, podobnie uprzejme słowa skierowałem do jego żony i córki, aż wszyscy troje zrozumieli, że są zbędni, i chichocząc, rękoma zakrywając usta, wyszli z pokoju. Kiedy zostaliśmy we dwoje, przestraszona Maria wpatrując się we mnie, przyjęła postawę obronną, oparta plecami o ścianę.

— Czego właściwie ode mnie chcesz? — spytała. — Raz już spotkało mnie coś podobnego. Kiedy uciekłam z rodzinnej wioski do miasta ubrana w zgrzebną odzież, pewna stara kobieta znalazła mnie na ulicy, zaprowadziła do swego domu i ubrała w zachwycające szaty. Sądziłam, że dobrze mi życzy, dopóki nie zrozumiałam, do jakiego trafiłam domu. Biła mnie, gdy nie chciałam usługiwać jej gościom zgodnie z ich życzeniami, i dopiero trzeciego dnia udało mi się uciec. Myślałam, że ty jesteś inny, i modliłam się o wszystko co dobre dla ciebie, kiedy w nocy mnie nie tknąłeś, chociaż bardzo się tego bałam. Ale teraz domyślam się, jakie masz zamiary. Widać w ubogim stroju i nie uczesana nie byłam wystarczająco ładna w twoich oczach.

— Nie bój się — uspokajałem ją ze śmiechem — nie pożądam rozkoszy ziemskiego królestwa. Gdyby tak było, mógłbym równie dobrze zostać z tobą w Jeruzalem. Z doświadczenia wiem, że takie królestwo jest tylko rozpalonym grobem, który nie daje krzty ochłody, a żarzy się tym goręcej, im niżej człowiek upada. Dlatego pragnę innego królestwa, które wciąż jest na ziemi. Aby je znaleźć, pojedę z tobą do Galilei.

Ale moje przyjazne słowa nie trafiły jej do przekonania. Nagle łzy popłynęły z jej czarnych oczu, zerwała naszyjnik i opaskę, rzuciła je na ziemię i tupiąc krzyczała:

— Rozumiem teraz, dlaczego sam nie trudziłeś się wybraniem mi naszyjnika, tylko zleciłeś to komu innemu! Obraża mnie twoja obojętność i w ogóle nie potrzebuję tych klejnotów, chociaż nigdy w życiu tak pięknych nie miałam. — Było jej tak trudno zrezygnować z tych wspaniałości, że wybuchnęła jeszcze większym płaczem. — Czy nie rozumiesz, że nad te drogie metalowe kosztowności przedłożyłabym ozdoby z nanizanych na sznurek nasion i pestek, bylebyś ty dla mnie je zrobił?

— Przestań natychmiast beczeć! — też się rozzłościłem i tupnąłem. — Chyba nie rozumiesz, jak złośliwie się zachowujesz, Mario z Beeret. Jak sądzisz, co myślą teraz o nas tamci ludzie na dole, słysząc to tupanie i jęki? Kobieta płacząca jest brzydka jak noc. Doprawdy nie wiem, czy będę mógł wziąć cię ze sobą, skoro tak obraźliwie i fałszywie pojmujesz moją przyjaźń!

Maria przestraszyła się, natychmiast przestała płakać, otarła oczy i nagle podbiegła, objęła mnie za szyję, ucałowała kąciki moich ust i pięknie prosiła:

— Wybacz mi głupotę, spróbuję się poprawić, tylko weź mnie ze sobą.

Jej pieszczoty były pieszczotami niegrzecznego dziecka, toteż się rozczuliłem, pogłaskałem ją po twarzy i powiedziałem:

— Zatrzymaj te klejnoty, żeby ludzie cenili moją towarzyszkę podróży. Będzie przecież jeszcze okazja, żeby nanizać naszyjnik z jagód i pestek, jeśli taki bardziej ci się podoba, chociaż nie jesteśmy już dziećmi.

To prawda, żadne z nas nie było już dzieckiem. Z całego serca pragnąłem jednak wrócić do lat dziecińczych, abym nie czuł zła ani żądy, tylko beztrósco mógł się radować każdym nadchodzącym dniem. Nie wiedziałem, co mnie czeka w Galilei. Być może na próżno wybierałem się w tę podróż. Ale chciałem cieszyć się podróżą i nadzieją. Samym oczekiwaniem chciałem się cieszyć.

Karantes krzyknął, że przyprowdzono osły. Po słońcu zorientowałem się, że zbliża się południe. Szybko zeszedłem na dół. Maria z Beeret podążyła za mną. W zaułku przed domem stały cztery dobrze wyglądające osły. Dwa z nich objuczono matami do spania, trzeciemu przytroczono" po bokach kosze na bagaże, a na grzbiecie czwartego siedziała biednie ubrana kobieta, która nie śmiała podnieść wzroku. Natan skłonił się z szacunkiem, ale nic nie powiedział; spojrział tylko na słońce, aby podkreślić, że przyszedł o umówionym czasie.

— Kim jest ta obca niewiasta? Nie pozwalam jej zabrać! — krzyknąłem zapalczywie.

Natan nic nie odpowiedział. Patrzył w inną stronę, jakby jego ta sprawa nie dotyczyła. Karanthes poszedł porozmawiać z kobietą, po chwili wrócił i skubiąc z zakłopotaniem brodę wyjaśnił:

— Nazywa się Zuzanna. Twierdzi, że Natan obiecał zabrać ją jako waszą służbę, ponieważ chce wrócić w rodzinne strony w Galilei, a nie jest w stanie długo iść piechotą. Dlatego siedzi gotowa do drogi na grzbiecie osła i nie chce żadnego wynagrodzenia, byle mogła jechać z wami. Jak zrozumiałem, zachorowała w czasie Paschy w Jeruzalem i jej towarzysze ją zostawili, gdy wracali do domu.

Niewiasta nieruchomo siedziała na grzbiecie osła nie podnosząc oczu. Na dobre rozgniewany, krzyknąłem:

— Nie potrzebujemy służby! Jedno będzie usługiwać drugiemu! Nie mam zamiaru brać ze sobą do Galilei całej nędzy z Jeruzalem!

Natan pytająco popatrzył na mnie, a gdy doszedł do wniosku, że mówię poważnie, wzruszył ramionami, rozłożył ręce, odwiązał sakiewkę od pasa, rzucił ją przede mną na ziemię i odszedł, zostawiając osły. Obca kobieta zaczęła głośno lamentować, lecz nie ruszyła się z grzbietu osła.

Zrozumiałem, że wyjazd opóźni się jeszcze bardziej, jeśli będę teraz musiał szukać nowego, a może i mniej pewnego przewodnika. Gniew aż we mnie kipiał, ale się wstrzymałem, zawołałem Natana, kazałem mu wziąć sakiewkę i powiedziałem z goryczą:

— Poddaję się, bo muszę. Rób, jak chcesz, byleśmy zdołali wyjechać, zanim tłum zbierze się koło nas, rozdziwiając gęby.

Szybko wszedłem do domu, uregulowałem rachunki z Karanthesem, dając mu więcej, niż żądał, i poprosiłem:

— Zostawiam tu resztę rzeczy, bo jeszcze wrócę do Jeruzalem.

Karanthes podziękował nadzwyczaj wylewnie, po czym z przekonaniem potwierdził:

— Właśnie tak, jestem pewien, że wkrótce wrócisz do Jeruzalem.

Tłum gapiów zebrał się wokół osiołków i przyglądał się, jak Natan mistrzowsko układa w koszach bagaże, które brałem ze sobą. Mężczyźni obmacywali kończyny naszych zwierząt i sprawdzali im zęby, niewiasty użalały się nad chorą Zuzanną, która pochlipywała na grzbiecie osła i nie śmiała bodaj słowa z kimkolwiek zamienić. Ściągnęli żebracy i wyciągając ręce życzyli nam szczęścia w podróży. Natan wydzielił im z sakiewki jałmużnę, jaką uważał za stosowną, aby ich przekleństwa nie przyniosły nam w drodze nieszczęścia. W zaułku handlarzy panował straszny rwetes, zanim w końcu Maria i ja usadowiliśmy się na grzbietach osłów i Natan ruszył przodem, prowadząc całą kawalkadę. Równie dobrze mógł mi zawiązać worek na głowie, bo ani jednym słowem nie wspomniał, którędy będziemy jechać i gdzie się zatrzymywać na noclegi po drodze do Galilei.

Wyprowadził nas przedmieściem na śmierdzący soloną rybą placyk przed Bramą Rybną i przez nią poza obręb miasta. Wartownicy znali go i zamierzali sprawdzać bagaże, lecz kiedy zawołałem, że jestem Rzymianinem, zaniechali kontroli i tylko się za

nami oglądali. Ku mojemu zdziwieniu Natan ruszył drogą biegnącą w górę wzdłuż muru do twierdzy Antonia i zatrzymał osły przed arkadami jej bramy. Na widok wartujących przy bramie legionistów Zuzanna znowu zaczęła jęczeć i ukryła twarz na karku osła. Na próżno nakłaniałem Natana, by ruszał dalej. Ręką wskazywał, że mam się udać do twierdzy. Zacząłem już podejrzewać, że jest głuchoniemy, bo nie słyszałem, żeby bodaj słowo padło z jego ust. Zauważyłem jednak, że ma ucięte króciutko włosy, pomyślałem więc, że być może złożył śluby milczenia. Niechętnie wszedłem przez bramę do środka. Wartownicy mnie nie zatrzymali, choć musiałem wyglądać obco z tą długą brodą i w pasiastym chałacie. Jak na zawołanie właśnie schodził z wieży dowódca twierdzy. Podeszedłem do niego, pozdrowiłem go, podając mu rękę, i wyjaśniłem:

— Wyjeżdżam na kąpiele do Tyberiady. Mój przewodnik uznał za wskazane, abym zboczywszy nieco z drogi przyszedł się tutaj pożegnać i prosić o wskazówki co do podróży. Podróżuję zwyczajnie, w asyście dwóch kobiet.

— Będziesz jechał drogą przez Samarię czy wzdłuż Jordanu?

— zapytał.

— Którą mi radzisz? — zapytałem, bo wstydziłem się przyznać, że nie mam pojęcia.

Posępny i pokręcony reumatyzmem dowódca skubnął górną wargę i wyjaśnił:

— Samarytanie są złośliwi i robią różne świństwa samotnym podróżnym. Wody Jordanu zaś są wciąż wysokie, możesz więc mieć kłopoty z przeprawą przez bród, a w nocy będziesz słuchać ryku lwów w zaroślach. Jeśli chcesz, dam ci dwóch legionistów jako eskortę pod warunkiem, że zapłacisz im żołd. I nie zapomnij napomknąć prokuratorowi o mojej życzliwości.

Najwyraźniej jednak nie miał zbytnej ochoty do choćby tymczasowego pomniejszenia garnizonu o dwóch ludzi.

— Nie, nie — odmówiłem — przecież będę podróżował po spokojnym rzymskim terytorium i nie mam się czego bać.

— W takim razie dam ci miecz zamiast eskorty — powiedział z ulgą. — Jesteś obywatelem Rzymu i masz prawo podróżować z mieczem, ale na wszelki wypadek polecę wypisać ci pozwolenie na broń, bo jesteś dziwnie ubrany i zapuściłeś solidną brodę.

Udałem się zatem do zbrojowni po miecz z rzemieniem na rękę, a w kantorze kwestora wykupiłem pozwolenie na broń. Przełożony zbrojowni niezłe skorzystał na moim wyjeździe, więc po przyjacielsku odprowadził przez dziedziniec aż do bramy, choć nie udało mu się skryć uśmiechu, gdy przypasałem miecz do mego żydowskiego płaszcza.

Natan nie uśmiechał się, tylko z zadowoleniem kiwnął głową i zachęcił osiołki do truchtu.

Objechaliśmy teren Świątyni i przez dolinę Cedronu udaliśmy się na znaną mi już, wijącą się wśród porośniętych gajami oliwnymi wzgórz drogę do Betanii. Gdy miasto zniknęło nam z oczu, zlaźłem z grzbietu osiołka i szedłem piechotą. Dotarliśmy do

wioski, a wówczas krzyknąłem, żeby Natan się zatrzymał, i udałem się do domu Łazarza.

Po kilkakrotnym nawoływaniu wyszedł z ogrodu i odpowiedział na moje pozdrowienie. Spytałem go o siostry.

— Poszły do Galilei — odparł.

— Czemuś nie poszedł z nimi?

— Nie mam po co iść do Galilei — potrząsnął głową.

— Ależ powiedziano mi, że twój pan poszedł do Galilei i tam czeka!

— Co mnie to obchodzi? Doglądam ogrodu i nie oddalam się od mego grobu.

Mówił sepleniąc i miał posępne oczy; zdawało się, że pogrzebał w sobie zagadkę, której nie można objaśnić żadnemu człowiekowi. Zrobiło mi się zimno i żalowałem, że zboczyłem z drogi, aby go pozdrowić.

— Pokój tobie — rzekłem odchodząc.

— Pokój!... — powtórzył ironicznie. — Gdybyś wiedział, czym jest pokój, raczej byś mi go nie życzył. — Pożółkłą ręką musnął czoło i ciągnął: — Głowa mi pęka, myśli się rozprasza. Przestraszyłem się, gdy zawołałeś. Zawsze się boję, ilekroć ktoś wzywa mnie po imieniu. Powiem ci coś. Gdybyśmy obydwaj, ty i ja, byli wielkości główki szpilki i wszystko dookoła miało takie same rozmiary albo było mniejsze, na pewno byśmy sądzili, że jesteśmy tacy duzi jak teraz, ponieważ porównywalibyśmy nasze rozmiary do wielkości tego, co by nas otaczało. Dla mnie ten świat i wszystko wokół zmniejszyło się do rozmiarów główki szpilki. Dlaczego Jezus zgodził się narodzić, umrzeć i zmartwychwstać w tym maleńkim świecie, który nie jest większy od główki szpilki? Tego nie mogę zrozumieć.

Natarczywie nasunęła mi się myśl, że na skutek długiego przebywania w grobie w głowie mu się poprzestawiało i dlatego rozumuje zupełnie inaczej niż reszta ludzi. W milczeniu odwróciłem się od niego i wyszedłem na drogę. Natan badawczo wpatrywał się we mnie z takim samym wyrazem twarzy, jaki już kiedyś zaobserwowałem, ale nic nie powiedział. Ruszyliśmy dalej.

Droga zeszła w dolinę, przecięliśmy koryto wyschłego potoku. Wędrowaliśmy po zboczach górskich i tylko raz zatrzymaliśmy się przy studni, aby napić osły. Milczenie Natana udzieliło się także Marii, więc niewiele rozmawialiśmy ze sobą. Przyznam zresztą, że milczenie Natana nie było mi przykre. Przeciwnie, pod jego przewodnictwem czułem się bezpieczny. Przestałem też żywić niechęć do chorej niewiasty, która jechała z tyłu za nami i starała się być jak najmniej dostrzegalna. Gdy wieczór zaczął wydłużać cienie, nawet zmartwiłem się o nią, czy zniesie trudy podróży. Bo Natan bezustannie popędzał osły i sam szedł obok niez mordowanym krokiem, jakby mu się spieszyło. Zorientowałem się, że chce ominąć drogę z Samarii przez Jerycho, z którego korzystają tłumnie pielgrzymi galilejscy.

Dopiero kiedy zapłonęły pierwsze gwiazdy, zatrzymaliśmy się w maleńkiej wiosce i Natan wprowadził osły w zamknięte podwórko. O siebie sami musieliśmy się zatroszczyć. Natan szybko i umiejętnie zdjął bagaże z grzbietów zwierząt i wniósł nasze

maty do pustej, nieco śmierdzącej obornikiem, ale jednak czystej izby. Zuzanna sprawnie rozpałała ogień na podwórku i postukiwała garnkami, aby szykując posiłek, wykazać swoją przydatność. Dorzuciła kawałki baraniny do kaszy, nalała wody, postawiła garnek na ogniu i koniecznie chciała umyć mi nogi. Umyła nogi Marii i w ogóle odnosiła się do niej z wielkim szacunkiem. Kiedy posiłek był gotowy, najpierw podała jedzenie mnie, potem Marii.

Czułem się wyśmienicie. Zawołałem życzliwie Natana i powiedziałem:

— Nie wiem, czy nie naruszam waszych obyczajów, ale razem podróżujemy, będziemy spać w tej samej izbie i jeść tę samą kaszę, więc proszę, siądźcie do jedzenia razem z nami.

Umyli ręce i kucnęli na ziemi. Natan przełamał chleb, zwyczajem żydowskim pobłogosławił go i podał mi kawałek. Na kobiety nie zwracał uwagi. Jadł niewiele, a mięsa nawet nie tknął. W czasie posiłku wpatrzony był przed siebie i pogrążony we własnych myślach, ja zaś nawet nie próbowałem zagadać do niego. Opatrzył potem osły, z głową owinał się w opanoczę i ułożył przed progiem do snu, dając tym sygnał, że czas najwyższy na odpoczynek. Zuzanna rzuciła się przede mną na ziemię i usiłowała całować me nogi, dziękując, że wziąłem ją pod swoją opiekę.

— Nie mnie dziękuj, tylko Natanowi — powiedziałem. — Mam nadzieję, że ta podróż nie będzie dla ciebie za ciężka i że się nie rozchorujesz znowu.

— Ach, nie, my, niewiasty z Galilei, mamy twardą skórę. Byłam chora ze zmartwienia, a wyzdrowieję z radości, gdy tylko wrócę do rodzinnej chaty na brzegu jeziora Genezaret.

Natan obudził nas jeszcze przed wschodem słońca i tak ponaglał do odjazdu, że nawet nie wiem, kiedy ocknąłem się, drżąc od porannego chłodu, na grzbiecie osła z kawałkiem chleba w ustach. Różowe słońce dopiero wstawało zza gór. Wkrótce jego promienie zaczęły przygrzewać, a mnie ogarnął radosny nastrój. Błękitnawe góry, srebrnosiwe drzewa oliwne i winnice na zboczach wypiękniały w mych oczach. Radość była zresztą udziałem nas wszystkich, bo zupełnie nieoczekiwanie i ku mojemu ogromnemu zdumieniu Natan zaczął chrapliwym głosem śpiewać po hebrajsku jakąś pieśń.

Spojrzałem pytająco na Marię, lecz potrząsnęła głową na znak, że nie rozumie słów. W nierównomiernie wznoszącym się i opadającym tonie głosu Natana było coś radosnego, a równocześnie uroczystego. Kiedy zamilkł, zsunąłem się z grzbietu osła i zająłem miejsce obok Zuzanny. Zapytałem, co śpiewał Natan; spojrzała na mnie z ufnością i wyjaśniła:

— To pieśń podróżna — i kołysząc się zaczęła nucić po aramejsku:

— Pan będzie twoim obrońcą, Pan twoim cieniem przy twym boku prawym. Za dnia nie porazi cię słońce ni księżyc wśród nocy. Pan cię uchroni od zła wszelkiego, czuwa nad twoim życiem, Pan będzie strzegł twego wyjścia i przyjścia teraz i po wszystkie czasy.

Nagle ku mojemu zdziwieniu wybuchnęła płaczem. Aby ją pocieszyć, dotknąłem

ręką jej ramienia i prosiłem zakłopotany:

— Nie płacz, Zuzanno, powiedz, jakie masz zmartwienie. Może mogę ci pomóc?

— Nie, nie — wzbraniała się — płacząc z radości, że z głębokiego smutku jak ze szponów śmierci wyszłam znów na światło dnia.

Mimo woli przyszło mi na myśl, że dostałem się w towarzystwo dwojga pomyleńców. Ale zaraz się roześmiałem, bo przecież człowiek rozsądny orzekłby, że to ja, Rzymianin, jestem pomyłony, skoro bez wytchnienia spieszę na poszukiwanie zmartwychwstałego króla żydowskiego.

Koło południa zeszliliśmy do doliny Jordanu i ujrzeni przed sobą rozległą żyzną krainę i szare mury Jerycha. Powietrze stało się gorące i pełne żaru, ale wiatr od czasu do czasu niośł ze sobą lekki powiew i równocześnie przenikliwy zapach ogrodów palmowych, które stanowią bogactwo tego miasta. Wiosna była tu dalej posunięta niż w okolicach Jeruzalem, widzieliśmy już przy pszenicznych łąkach żeńców z sierpami.

Natan nie poprowadził nas do miasta. Jechaliśmy połą drogą wzdłuż jego murów, a w połowie dnia przystanęliśmy w cieniu w pobliżu źródła. Osły pasły się spokojnie. Natan oddalił się* na modlitwę, Zuzanna też coś pobożnie szeptała. Było to dla mnie czymś nowym, znałem dotychczas jedynie modły wznoszone zgodnie ze zwyczajem przy składaniu ofiar albo — w zależności od miejsca, gdzie zdarzyło mi się przebywać — w dni uroczystości na cześć bogów. Nie wierzę zresztą, żeby te modlitwy odnosiły jakikolwiek skutek. Poczulem zazdrość i jako że chętnie dostosowuję się do innych, zapragnąłem poprosić, aby mnie nauczyli swojej modlitwy. Ale oni byli Żydami, narodem wybranym przez Boga, więc obawiałem się, że Natan i Zuzanna odrzucą moją prośbę, modlitwa Marii zaś była zbyt dziecinna, by nadawała się dla mnie.

W czasie popasu jedliśmy chleb, cebulę i ser. Ja z Marią napiliśmy się kwaskowatego wina, Natan i Zuzanna pili tylko wodę. Chciałem poczęstować Natana, lecz bez słowa wskazał na swoje obcięte włosy. Miałem więc rację, naprawdę złożył jakieś śluby. Ponieważ jednak patrzył na mnie przyjaźnie, odważyłem się zapytać:

— Czy ślubowałeś też milczenie?

— Gdzie jest wiele słów, tam i grzechów nie brak — odpowiedział, uśmiechając się pojednawczo.

Nie pozwolił na dłuższy odpoczynek, tylko kazał się szykować do odjazdu. Znowu wróciliśmy na szeroką drogę i już z daleka ujrzelśmy przelewające się przez koryto wody Jordanu. Po znojnnej i parnej wędrówce każdy miał dość kłopotów z samym sobą. Do tego utrapione muchy dręczyły nie tylko nas, ale i osiołki, aż zaczęły się narowić. Te chmary much zapewne przywlokły ze sobą zaprzęzone w jarzma woły, które ciągnęły na płozach snopy pszenicy.

Nim nadszedł wieczór, zrobiliśmy kawał drogi i wszyscy byliśmy spragnieni i odrętwiali ze zmęczenia. Nocowaliśmy w wiosce, w której było ujęte w studnię żywe źródło, więc można było się porządnie umyć. Zauważyłem już, że Natan specjalnie omija miasta, choć tam można mieszkać wygodniej i dostać gotowe posiłki. Niczym nie dawałem jednak poznać po sobie, że jestem z tego niezadowolony. W gruncie rzeczy

bardzo mi odpowiadało takie proste życie po dniach spędzonych w Jeruzalem.

Maria miała dość beczynności, toteż zakasała suknię i w najlepsze pomagała Zuzannie w rozpalaniu ognia i przygotowaniu posiłku. Słyszałem, jak po babsku z przejściem ze sobą rozprawiają. Obserwowałem gwiazdy zapalające się na niebie. Po posiłku Maria przyciągnęła swoją matę w pobliże mojej i wyszeptła mi wprost do ucha:

— Ta Zuzanna jest prostą kobietą i można ją wziąć za niezbyt rozgarniętą, ale zdaje mi się, że należy do cichych i wie coś o ukrzyżowanym Jezusie. Tyle że boi się nas i nie ma odwagi się przyznać.

Zerwałem się i usiadłem. Natan położył się już przed progiem, okryty po czubek głowy, lecz Zuzanna wciąż jeszcze klęczała, półgłosem odmawiając modlitwy. Nie mogłem się oprzeć pokusie. Zawołałem ją szeptem po imieniu i poprosiłem:

— Naucz mnie twojej modlitwy, żebym wiedział, jak należy się modlić.

— Jestem prostą niewiastą — wymówiła się tonem usprawiedliwienia. — Nie znam Pisma. Nie umiem się modlić jak należy. Śmiałyś się tylko ze mnie i z mojej modlitwy.

— Nie będę się śmiał ani drwił z ciebie, bo chciałbym być cichy i pokornego serca — zapewniłem.

— Odmawiasz jakąś nową modlitwę. Nigdy nie słyszałam takiej — poparła mnie Maria.

Widocznie Zuzanna odczuwała wdzięczność, bo mimo przestrachu powiedziała:

— Nauczyłam się jej, bo łatwo ją zapamiętać. Zapewniono mnie, że zastąpi wszystkie inne, ponieważ niczego do niej nie można dodać. Więc modlę się tak: Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje, przyjdź Królestwo twoje, bądź wola twoja jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Poprosiłem, żeby to jeszcze raz powtórzyła. Modlitwa była prosta i rzeczywiście łatwa do zapamiętania. Powtarzałem ją na głos, zastanawiając się nad każdym zdaniem. Naprawdę niczego nie trzeba było dodawać, zawierała wszystko, czego potrzebuje prosty człowiek. Nie była to wyszukana modlitwa uczonego, niemniej tyle mi dała do myślenia, że już więcej Zuzanny nie męczyłem.

Następnego wieczoru z powodu wezbranej rzeki musieliśmy przenocować na skraju lasu. Gdzieś daleko na północy stopniały śniegi w górach, skąd Jordan czerpał wodę, a powódź wygnała dzikie zwierzęta z kryjówek, chociaż dopływy Jordanu już prawie wyschły. Gwiazdy na niebie zapłonęły i słyszeliśmy niespokojne poszczekiwanie szakali w górach. Później rozległ się ryk przypominający daleki huk gromu. Znałem ten głos, choć słyszałem go dotychczas jedynie w Rzymie, gdy wydobywał się nocą zza murów cyrku. Osły zaczęły dygotać, toteż musieliśmy je zabrać do izby, w której nocowaliśmy. Maria, która nigdy nie słyszała ryczącego lwa, przerażona wcisnęła się tuż koło mnie i drżącym głosem prosiła, abym objął ją ramieniem, chociaż noc była gorąca.

Natan uspokoił osiołki, zamknął na zasuwę drzwi i usiadł, oparty o nie plecami,

czujnie nasłuchując. Zuzanna także nie mogła zasnąć. Korzystając z sytuacji ośmieliłem się spytać:

— Od kogo nauczyłaś się modlitwy, którą nam wczoraj powtórzyłaś?

W dali znów zaryczał lew, zdawało się, iż zadrżały cienkie gliniane ściany naszego schronienia. Przerażona Zuzanna zasłoniła usta ręką i zawołała:

— Nie masz prawa zadawać mi tego pytania!

— Odpowiedz! Nie bój się! — Niespodziewanie Natan otworzył usta.

Zuzanna niespokojnie rozejrzała się dookoła w drgającym świetle lampki oliwnej. Chyba miała ochotę uciec, ale się przemogła i powiedziała:

— Jezus Nazarejski, którego ukrzyżowano w Jeruzalem, nauczył jej swoich uczniów i nas, niewiasty, któreśmy towarzyszyły mu w Galilei. Zapewnił, że ta modlitwa nam wystarczy i że innych nie potrzebujemy.

— Tylko nie kłam! — krzyknąłem zdumiony. — Czyś naprawdę szła za nim w Galilei?

— Jestem prostą kobietą i nie umiem kłamać, choćbym chciała — odparła Zuzanna. — Pięć wróbelków kosztuje dwa asy, a jednak Bóg o żadnym nie zapomniał. Przez całe życie byłam sknerą, nawet sobie skąpiłam pieniędzy i nigdy nie jadałam do syta. Wszyscy szli oglądać nowego proroka, to poszłam i ja. Myślałam, że może coś dostanę za darmo, bo w Świątyni nic darmo nie dają. Słuchałam jego nauki i niczego nie rozumiałam, choć mówił do zwykłych ludzi. Spojrzał prosto na mnie i powiedział: „Strzeżcie się wszelkiej chciwości, bo nawet gdy ktoś opływa we wszystko, życie jego nie jest zależne od jego mienia.” To było nad brzegiem jeziora. Pomyślałam, że albo mnie zna, albo ktoś mu powiedział o moim skąpstwie. Później mówił o bogatym człowieku, któremu obrodziły pola. Zaczął burzyć stare spichrze i budować nowe, większe, żeby przez wiele lat wypoczywać i używać tego, co nagromadził. Ale Bóg powiedział temu człowiekowi: „Ty głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował?” Tak stanie się z każdym, kto zbiera skarby dla siebie, a nie jest bogaty przed Bogiem. — Westchnęła i mówiła dalej: — Byłam na niego oburzona. Wróciłam do domu, ale pamiętałam dobrze jego słowa, bo stały się dla mnie jak wrzody, które boleśnie doskwierają we wnętrzościach. Znowu poszłam go słuchać.

Mówił o krukach, które Bóg karmi, i o kwiatach polnych, co nie pracują ani nie przędą. Zabronił swoim uczniom szukać jedzenia i picia, kazał im szukać tylko Królestwa, a wtedy wszyscy będą ich karmić. Zrobiło mi się go żal, bo słyszałam wprawdzie, że nakarmił kilkoma bochenkami chleba i rybą tłumy ludzi, ale przecież nie będzie tego robić co dzień. Nie miałam ochoty rozdzielać majątku między leniwych i tępych nędzarzy, w zamian sprzedawałam utkane płótna, puściłam pole w dzierżawę i poszłam za Jezusem i jego uczniami, aby ich utrzymywać, jak długo starczy pieniędzy. Bałam się, że ten cudotwórca umrze z głodu, jeśli nikt go nie nakarmi. Kilka innych niewiast postąpiło podobnie jak ja. Też go żałowały, bo to był bardzo niepraktyczny człowiek. — Zuzanna westchnęła kilka razy, wspomniawszy swoje wędrówki za

Jezusem. — To nie znaczy, że widziałam w nim cokolwiek złego. Nie, po prostu nie rozumiał wielu spraw tego świata. Dlatego niewiasty musiały chodzić koło niego, a uczniowie od czasu do czasu łowić ryby, żeby zarobić trochę pieniędzy. Ludzie z Nazaretu twierdzili, że wyuczył się wprawdzie zawodu ojca, ale wcale nie był dobrym cieślą. Umiał robić pługi i jarzma dla bydła, tylko wychodziły mu niezbyt okrągłe. Był też zbyt łatwowierny i powierzył prowadzenie kasy skąpcowi, Judaszowi Iskariocie, który na pewno część zagarniał sobie. To mu z oczu patrzyło. Ja nie twierdzę, że rozumiałam nauki Nazarejczyka. Uczniowie też nie zawsze go rozumieli. Ale w jego obecności było mi dobrze. Dlatego choć wiele razy zamierzałam, nie odstępiałam Jezusa i nie wróciłam do domu. On gniewał się na świątobliwych ludzi, nie mogłam też znieść tego, że pozwolił takim niewiastom, jak handlarka gołębiami Magdalena, chodzić za sobą...

— Maria Magdalena to dobra kobieta i mądrzejsza od ciebie! — przerwała jej krzykiem zdenerwowana Maria. — Ty szkaradna chłopko odziana w zgrzebny worek!

— Skoro jej bronisz, to już wiem, coś ty za jedna i czemu co wieczora tak gorliwie pchasz się w objęcia tego Rzymianina! — Zuzanna też się zdenerwowała. — To prawda, jestem brzydką wiejską babą, odzianą w zgrzebną płachtę, ale tymi rękami umiem prząć i tkać, piec chleb, gotować i sprzątać do czysta, pług też poprowadzę, żeby nie wyrzucać pieniędzy na najemników. W ogóle Jezus Nazarejski był za dobry jak na ten świat, był też nierozsądny i łatwowierny. Cuda robił i leczył chorych nie zważając, czy mają zasługi i czy są grzeszni. Wystarczyło dotknąć jego szaty, a dolegliwości mijały. Uważałam go za lekkomyślne dziecko dopuszczone do władzy w zepsutym świecie. Gdyby posłuchał mądrej rady, nigdy nie pojechałby na Paschę do Jeruzalem. Ale był uparty. Myślał, że również o sprawach tego świata wie wszystko. No i stało się to, co się stało.

Jeszcze teraz Zuzanna narzekała na Jezusa Nazarejskiego jak na nieposłusznego chłopca. Aż nagle, uprzytomniwszy sobie, co powiedziała, wybuchnęła płaczem.

— Nic mi po nim nie zostało, tylko to zgrzebne odzienie i modlitwa, której nas nauczył. Po jego śmierci rozpierzchliśmy się jak stado wróbli. Chora z przerażenia uciekłam, gdy zobaczyłam go ukrzyżowanego! Przez wiele dni nic nie mogłam przełknąć. Leżałam w pieczarze pod Świątynią i pragnęłam tylko, żeby nikt mnie nie poznał. W końcu spotkałam ubranego na biało Natana, który dla Nazarejczyka obciął włosy. Natan przekazał mi wiadomość, że Jezus powstał z martwych i wraca do Galilei.

Zakryła usta ręką i jęła wpatrywać się w Natana z obawą, że powiedziała za dużo. Lecz Natan rzekł:

— Gadanie babskie jest jak trzask suchej gałęzi w płomieniach. Wiedziałem, że niedalekie jest przyjście Królestwa, ale Jezusa nie znałem. Obciąłem włosy, kiedy usłyszałem, że zmartwychwstał, bo w takim razie jest mesjaszem, na którego czekamy.

— Ja go znałam — potwierdziła Zuzanna — i to najlepiej, skoro prałam jego szaty. Był człowiekiem, znał głód i pragnienie, nie raz zmęczony był swoimi uczniami i ludzkim uporem. Ale niewątpliwie powstał z martwych, jak zapowiedział, i wcale się temu nie dziwię. Przeciwnie, płaczę z radości z tego powodu i wierzę, że całe zło w dobro się obróci. Może Jezus założy w Galilei Królestwo, jeśli cierpliwie poczekamy i

jeśli aniołowie będą o niego walczyć? W przeciwnym razie nic z tego nie będzie. Ale cokolwiek się stanie, ja i tak rano, w południe i wieczorem będę odmawiała jego modlitwę. Zapewniał, że to wystarczy.

Jej słowa wywarły na Marii ogromne wrażenie. Spytała z niedowierzaniem:

— Czy naprawdę prałaś jego szaty?

— A któż by inny utrzymał je w nieskazitelnej bieli? — odrzekła chętnym głosem. — Twoja Maria Magdalena chyba nigdy w życiu nie prała, a Salome miała dość roboty z odzieniem uczniów. Jan miał własną służącą, która nosiłaby nawet lektykę za Jezusem, gdyby się tylko nie wstydziła. Dobrze, że chociaż nauczyła się chodzić na własnych nogach.

— Właściwie — nie mogłem już opanować zdumienia — dlaczego poświęciłaś majątek i poszłaś za nim, chociaż nie akceptowałaś zachowania ani jego, ani uczniów, ani reszty otoczenia?

— Przecież on był jak nieszczęsne jagnię w gromadzie wilków!

— Zuzanna patrzyła na mnie równie zdumiona. — Któż by go nakarmił, kto by się o niego troszczył? Nawet jego matka myślała, że zeszedł z właściwej drogi. Mieszkańcy Nazaretu chcieli go zaprowadzić na skraj przepaści i strącić, ale się nie odważyli.

— Więc go kochałaś? — spytałem.

— A co ja tam wiem o miłości, stare babsko! — niknęła ze złością Zuzanna, niespokojnie się wiercąc. — Świat jest pełen leniwych łajdaków, chciwych kapłanów, bezlitosnych poborców podatkowych i innych oszustów. Wystarczy, by wiejska kobieta weszła do miasta, a natychmiast ostrzygą jej włosy! Chyba mi go było żal, bo był taki niewinny i nie miał pojęcia o podłości świata. — Zaciśnęła złożone ręce i dodała niskim głosem, jakby ze wstydem: — Poza tym mówił o życiu wiecznym.

— Co przez to rozumiesz?

— Nie zastanawiałam się, co znaczą jego słowa — odparła niecierpliwie. — Po prostu wierzyłam.

— I nadal wierzysz?

— Nie wiem! — krzyknęła ze złością. — Kiedy na krzyżu z jego ciała spływała krew i pot męki, przestałam wierzyć i uciekłam, bo nie mogłam patrzeć na takie cierpienia. Rozchorowałam się z tego rozczarowania i myślałam, że na próżno straciłam majątek. A może nie... Najbardziej bolało mnie, że tak cierpiał, bo nie zasłużył na taką śmierć, chociaż źle mówił o uczonych w Piśmie i faryzeuszach. Zresztą nie mówił o nich gorzej niż każdy prosty wieśniak, który musi zniszczyć swoje zbiory owoców albo wyrzucić warzywa na śmietnik tylko dlatego, że nie dość dobrze zna przepisy Prawa. Ale teraz wszystko będzie znów dobrze i z pewnością znowu będę wierzyła, jeśli jeszcze raz go zobaczę i usłyszę jego głos.

Rozum nakazywał mi powątpiewać w szczerość jej udręki w tę upalną noc, gdy osły niespokojnie kręciły się przy żłobie, a lwy ryczały. Podejrzywałem, że celowo

przedstawiła się jako osoba bardziej prostoduszna, niż była, że chytrze skryła przede mną to co najważniejsze. Bo przecież jeśli faktycznie towarzyszyła Jezusowi Nazarejskiemu, widziała dokonywane przez niego cuda, słuchała, jak nauczał naród, i słyszała tu i ówdzie o tym, jak nauczał apostołów, to z pewnością musiała mieć i takie wiadomości, które nie były przeznaczone dla wszystkich.

— Nie zapamiętałaś nic więcej z jego mądrości? — spytałem.

— Dzieci i kobiet nie uczy się mądrości — zauważyła Zuzanna, spoglądając na mnie nieprzychylnie. — Właśnie dlatego nie mogłam znieść Marii Magdaleny, która stale się do niego pchała i wyobrażała sobie, że wszystko rozumie, podczas gdy my, pozostałe kobiety, obsługiwałyśmy wszystkich. To nam wystarczyło, ba, było aż za wiele. Boże uchovej, przecież ich nie było tylko dwunastu, ale czasami nawet siedemdziesięciu do obsłużenia i nakarmienia! Dla mnie mądrością był sam Jezus. Był dla mnie chlebem życia, jak sam powiedział. Nie wiem, co przez to rozumiał, ale wierzyłam, kiedy to powiedział.

Wzruszyłem ramionami nad jej beznadziejną prostotą i zaprzestałem dalszego wypytywania. Płomień glinianej lampki słabiutko dygotał, a Zuzanna z takim natężeniem coś rozważała, aż wyłamywała palce i kołysała się, w końcu zaczęła mnie przekonywać:

— Jego Ojciec w niebie jest też moim Ojcem. Tak mówił. Pozwolił również przyjść do siebie dzieciom i zapewnił, że jego Królestwo jest otwarte dla ludzi podobnych dzieciom. To zrozumiałam od razu. Skoro jestem dzieckiem, to nie muszę dociekać, jaki jest cel mego Ojca, bo on wie najlepiej, co jest dla mnie dobre. To jedyna tajemnica, jakiej dostąpiłam.

Nie zasnąłem w tę niespokojną noc. Stłumione ryki lwów jako żywo przywodziły mi na pamięć Rzym. Chwilami zdawało mi się, że znajduję się w Rzymie i za moment ocknę się na purpurowych poduszkach, oszołomiony zmysłowym zapachem olejku różanego. Ten sen był dręczącą zmorą. Potem zasnąłem i znów się obudziłem, a wówczas ogarnęło mnie ponure wrażenie bezsensowności moich poczynań. Leżę oto tutaj zarośnięty, nie uczesany, śmierzący potem, w brudnej lepiance i w towarzystwie osłów i Żydów, a wyobrażam sobie, że w ten sposób osiągnę coś, czego niepodobna ogarnąć zmysłami! W Rzymie uczesałbym się, starannie udrapował togę, wszystko jak należy. Mógłbym sobie poczytać albo poszedłbym posłuchać interesującej rozprawy sądowej, albo jeszcze inaczej spędzałbym czas, oczekując kolejnego spotkania z Tulią. Tam, w Rzymie, moje obecne myśli wywołałyby tylko salwy śmiechu, i to zarówno w kręgach nowobogackich głupców, jak i u wykształconych mądrali, gdzie dobrą manierą jest w nic nie wierzyć. Ja sam śmiałybym się najgłośniej.

A przecież lekkomyślne niewiasty i rzekomo rozsądni młodzieńcy ustawiają się w długich kolejkach po talizmany zalecane przez proroków, wróżbitów czy wieszczki. Śmiałem się z tego i nie wierzyłem, a mimo to żywiłem nadzieję, że może jednak jakoś działają. Traktowałem to jak grę. Szczęście ma swoje kaprysy, a możliwość wygranej jest niepewna, lecz lepiej uczestniczyć w grze, niż zrezygnować i zadowolić się pustką.

Czy kontynuuję tę grę teraz, tej nocy nad Jordanem, wahając się w głębi duszy, ale z uwagi na niepewną wygraną uważam to za lepsze niż rezygnacja z gry? Co właściwie

chcę uzyskać? A może to Królestwo jest jedynie snem i imaginacją? Królestwo, które — jak to sobie wyobrażam — istnieje na ziemi i do którego mam nadzieję odnaleźć drogę... Pod wpływem tych męczących myśli poczułem wstręt do oddychającej koło mnie Marii, do upartej Zuzanny i milczącego Natana. Co ja, Rzymianin, mam z nimi wspólnego?

W myśli powtarzałem modlitwę, której mnie nauczyła Zuzanna. To była pierwsza tajemnica uczniów Jezusa Nazarejskiego, jaką przede mną odkryto. W tej modlitwie może być zamknięta magiczna siła. W myśli obracałem jej tekst na wszelkie sposoby, ale ciągle pozostawała dopasowaną do potrzeb prostego człowieka formułą uległości, której pobożne powtarzanie może uspokoić umysł i zdjąć ciężar trosk z ramion. Nie byłem wystarczająco prostolinijny, aby przyjąć, że mogłaby pomóc także mnie.

Tej nocy wszyscy spaliśmy kiepsko, a rano byliśmy niewyspani i skorzy do kłótni. Maria z Beeret zaczęła grymasić i żądała, byśmy szli trasą przez Samarię. Nie chciała więcej spotkać się ze lwem uciekającym z puszczy przed powodzią. Zuzanna raz po raz sprawdzała zapasy i naczynia kuchenne, bo zdawało jej się, że coś zginęło, wobec czego odjazd się opóźniał. Niespokojny Natan bacznie rozglądał się dookoła, nawet dręczone przez insekty osiołki były tak płochliwe, że musieliśmy je cały czas uspokajać.

— Słuszna jest droga, która biegnie w różne strony i prowadzi ku śmierci — powiedział zdenerwowany gadaniną Marii Natan, znacząco patrząc na miecz u mego boku. Zdecydowanym krokiem ruszył do przodu, ciągnąc za sobą objuczone osły. Dał nam do zrozumienia, że możemy robić co chcemy, on zaś będzie kontynuował podróż według starego planu.

— Łatwo wam mówić, ale ja jestem najmłodsza — lamentowała Maria. — Lew jest mądrą bestią i zawsze wybiera najdelikatniejsze mięso. Tak słyszałam.

— Skoro Jezus Nazarejski szedł tą drogą, to i my możemy tędy iść!

— zawołała Zuzanna. — Jeśli się boisz, jedź przodem i przepędź lwa. Mnie on na pewno nie ruszy.

Rozdrażniony zauważyłem, że nikt z nas nie wie, którą drogą Jezus Nazarejski szedł do Galilei, ponieważ wiadomość o tym mogła być spreparowana. Mogli ją rozpuścić na przykład członkowie Sanhedrynu, żeby Jeruzalem oczyścić z Galilejczyków. Nie miałem najmniejszej ochoty iść na lwa z gołym mieczem, chociaż widywałem w cyrku odpowiednio wyszkolonych ludzi, którzy z takich opresji wychodzili cało. Natan zna drogi i bezdroża, więc najrozsądniej będzie iść za nim.

Szliśmy w agresywnym nastroju. Powódź zalała bród, musieliśmy więc zakasać szaty i wlec za sobą opierające się osły. Zaraz po przeprowieniu się przez rzekę wpadliśmy wprost w ramiona legionistów, którzy wydali okrzyk zachwytu na widok Marii. Ujrawszy mój miecz, ściągnęli mnie z grzbietu osła na ziemię i przypuszczalnie by mnie zasiać, gdybym w śmiertelnym strachu nie zaczął krzyczeć do nich po grecku i po łacinie, że jestem obywatelem Rzymu. Mimo pozwolenia na broń przekopali nam wszystkie bagaże, z uciechą obmacując szaty Marii, i gdybym nie był Rzymianinem, na pewno siłą zaciągnęliby ją w krzaki.

Gdy później wyjaśniano ich niesubordynację, okazało się, że ani nie stanowili stałego

patrolu drogowego, ani nie byli na ćwiczeniach, tylko ich przełożony wbił sobie do głowy upolowanie lwa. Ustawił łuczników w zasadzce na wzgórzu, a ci legioniści mieli hałasem i stukaniem w tarcze wypłoszyć zwierzę z kryjóWKi. Nie było to miłe zadanie! Lwa zapewne już nie było nad brodem, ale nieszczęśni legioniści i tak dodawali sobie animuszu gęsto popijając.

Doświadczenie na sobie żołdackiej przemocy było tak poniżające, że w duchu zacząłem sympatyzować z Żydami i rozumieć, dlaczego zapiekli się w nienawiści do Rzymian. Zły nastrój przeobrażał się w gniew, toteż gdy nieco dalej, na wzgórzu, spotkałem tego żadnego lwa setnika, ostro zwymyślałem go i zagroziłem, że złożę u prokuratora skargę na zachowanie jego ludzi.

To był błąd z mojej strony. Poorany bliznami setnik przyjrzał mi się krytycznie i złośliwie spytał, kim właściwie jestem, skoro noszę żydowskie szaty i podróżuję w towarzystwie Żydów. Rzucił mi w twarz:

— Chyba nie należysz do tego plemienia, które w ostatnich dniach zalewa drogi w kierunku Morza Galilejskiego? To nie jest okres pielgrzymek, ale żniw. Ci pielgrzymi mają intrygi w głowie.

Musiałem sprawę łagodzić i prosić, żeby mi wybaczył niewyparzony język. Potem dopytywałem się, kogo widział w drodze do Galilei.

Okazało się, że nie widział nikogo, bo peregrynujący Żydzi zazwyczaj starają się omijać urzędy celne i strażnice. Natomiast wiele o nich słyszał i ostrzegł:

— Uważaj, żebyś nie dostał się w ich łapy, bo wszyscy mieszkańcy Galilei są fanatykami. Kraina jest gęsto zaludniona, a z pustyni stale przybywają chętni do wywołania zamieszek. Jakies dwa lata temu właśnie tu, nad Jordanem, działał taki fanatyk, który ogłosił królestwo żydowskie i chrzcil ludzi w wodzie Jordanu, żeby dzięki tym magicznym zabiegom nie odnosili ran w czasie przyszłego powstania. Herod, żydowski książę Galilei, kazał w końcu ściąć mu głowę. Co dowiodło, że nawet sam wieszcz nie wymigał się od śmierci. Ale podobni mogą się jeszcze gdzieś kręcić koło Jordanu.

Chyba i mnie traktował jako człowieka niskiego pochodzenia, skoro podróżowałem tak nędznie, szybko skończył zatem rozmowę i odprawił mnie z taką wyniosłością, jakby mi okazywał wielką łaskę.

Kiedy znowu ruszyliśmy w drogę, Maria z Beeret spojrzała na mnie pogardliwie i powiedziała:

— Zapewne nie jesteś nikim znacznym wśród Rzymian, skoro taki spocony i pokiereszowany setnik tak cię potraktował.

— Czy byłbym w'twych oczach lepszy, gdybym nosił hełm na głowie, a na nogach buty z ostrogami? — spytałem ironicznie.

— Legioniści przynajmniej wiedzą, czego chcą. Jesteś Rzymianinem, czemu więc nie podróżujesz jak Rzymianin i nie korzystasz z należnych przywilejów? Nie musiałabym wtedy wstydzić się twoich obrośniętych łydek i rozłożystej brody.

Nie wierzyłem własnym uszom. Ogarnęła mnie ochota, by ułamać różgę z przydrożnego krzewu i złoić jej skórę. Drżącym z wściekłości głosem zapytałem:

— Kim była ta dziewczyna, która obiecała błogosławić mnie przez wszystkie dni swojego żywota, jeśli tylko wezmę ją ze sobą, i która deklarowała, że może spać pod gołym niebem? Co ty właściwie o sobie mniemasz?!

Maria rzuciła się jak dźgnięta ościeniem i zawołała:

— Nie przypuszczałam, że właśnie ty będziesz mi wypominał przeszłość, z której z całą ufnością ci się zwierzyłam. Ja to mam pecha! Jeśli jednak spotkam Jezusa Nazarejskiego i on oczyści mnie z grzechów i wybaczy mi, wtedy nie będziesz już mógł mi wymawiać tego, co było. Można sobie wyobrazić, jakie straszne winy ty chcesz odkupić, skoro tak pokornie szukasz nowej drogi!

Prawdopodobnie nie była świadoma tego, co wygaduje, po prostu jak kapryśne dziecko musiała wyładować z siebie całą złość i zmęczenie trudami podróży. Nic jej nie odpowiedziałem. Obrażona została w tyle, skierowała swego osiołka do boku Zuzanny i słyszałem, jak najpierw się ze sobą okropnie klóciły, a potem wspólnie psioczyły na Natana i na mnie.

Tego wieczora słońce zachodziło za górami przeraźliwie czerwono, na moment powietrze w dolinie zabarwiło się upiornie, a w dole Jordan poczerniał w głębokim korycie. Ten niecodzienny koloryt odrealnił całe otoczenie i rozproszył moje złe myśli. Przypomniałem sobie, jak pociemniał dzień, gdy król żydowski cierpiał na krzyżu, i jak ziemia zatrzęsała się w chwili jego śmierci. Przez swoje zmartwychwstanie dał świadectwo prawdzie o swoim Królestwie. A ja w sercu gardziłem towarzyszami podróży, uważałem się za lepszego od nich i nosiłem w duszy żal! Przez głupotę dziewczyny oddaliłem się od jego Królestwa!

Gdy więc na postoju umyliśmy się, podszedłem do Marii i powiedziałem:

— Wybaczam ci złe i nieprzemyślane słowa i zapomnę o nich.

— Ty mi chcesz wybaczyć?! — krzyknęła rozgniewana jeszcze bardziej, aż oczy pociemniały jej ze złości. — Najpierw głęboko mnie uraziłeś, a potem cały dzień odwracałeś się do mnie plecami. W głębi duszy byłam gotowa ci wybaczyć i rzec dobre słowo, bo Zuzanna powiedziała, że nie można niczego oczekiwać od mężczyzny. Ale nie ścierpię, byś ty mi wybaczył, zanim ja zdążyłam wybaczyć tobie.

Natan słyszał to wszystko, podniósł wzrok do nieba i w beznadziejnym geście rozłożył ręce. Jego uległość i mnie się udzieliła, więc nie zdenerwowałem się.

— Niech będzie, jak sobie życzysz, Mario z Beeret — powiedziałem. — Wybacz mi więc, a ja szczerze przyznaję, że nie mam ci nic do wybaczenia, chcę jedynie pogodzić się z tobą.

Maria wsparła się pięściami pod boki i wrzasnęła piskliwie do Zuzanny:

— Chodź, popatrz i sprawdź, czy ten człowiek to faktycznie mężczyzna czy może rzymski eunuch!

Zuzanna, która zbierała trzcinę i suchy nawóz na ognisko, zachichotała zasłaniając ręką usta, a ja nie mogłem już się opanować, bo krew uderzyła mi do głowy — uderzyłem Marię w twarz, aż plasnęło. Nie zdążyłem opuścić ręki, a już żałowałem swego czynu i gotów byłem nie wiem co zrobić, żeby go cofnąć. Maria zaczęła szlochać, głośno chwytała powietrze i masowała piekący policzek. Chciałem przeproszać, ale wstrzymał mnie Natan podniesieniem ręki. Po chwili Maria opuściła wzrok ku ziemi. Cichutko podeszła do mnie i pokornie powiedziała:

— Słusznie mnie uderzyłeś. Cały dzień specjalnie cię drażniłam. Twój gniew oznacza, że lubisz mnie trochę więcej niż osła, którego poklepywałeś po szyi. Teraz mnie pocałuj na dowód, że naprawdę wybaczasz moje złośliwe zachowanie.

Nieśmiało objęła mnie ramieniem, a ja pocałowałem ją raz i jeszcze raz, aby pokazać, że znowu wszystko jest między nami w porządku. Po tym gniewie przyjemnie było trzymać ją w objęciach i całować, więc ucałowałem ją jeszcze trzeci raz. Potem Maria odepchnęła mnie od siebie, nadal trzymając szyję, spojrzała badawczo i spytała:

— Czy tak samo całowałbyś Zuzannę, gdyby cię obraziła i potem prosiła o wybaczenie?

Spojrzałem na pomarszczoną, starczą twarz Zuzanny i porównałem w myśli jej suche usta z miękkimi wargami Marii. Dotarła do mnie świadomość pułapki, w jaką chytrze wpędziła mnie moja młoda przyjaciółka. Podeszedłem do Zuzanny, przytrzymałem ją za łokieć i poprosiłem:

— Jeśli w jakikolwiek sposób cię obraziłem, pocałuj mnie na znak przebaczenia.

— Oj, biedny człeku, że też pozwalasz tak sobą igrać tej lekkomyślnej dziewczynie! Ale w głębi ducha Maria nie jest zła — rzekła z politowaniem. Zawstydzona wytarła wierzchem dłoni usta i pocałowała mnie, patrząc z ukosa na Marię, która spieszyła się, ale zaraz zbesztła Zuzannę:

— Jakże to? Ty, córka Izraela, całujesz nie obrzezanego Rzymianina? Ja mogę, bo i tak jestem grzeszna, ale ty się strefiłaś.

— Nie znam wystarczająco Pisma — usprawiedliwała się Zuzanna

— ale i tak już jadłam z nim z tego samego naczynia. Wydaje mi się, że w głębi serca jest dzieckiem tego samego Ojca co ja, chociaż jest Rzymianinem.

Jej słowa bardzo mnie wzruszyły. Przestała też wydawać mi się wstrętną staruchą, chociaż jej oddech mocno czuć było czosnkiem, który gryzła całą drogę dla wzmocnienia.

— Zuzanno — rzekłem — skoro Jezus sam zgodził się, byś prała jego szaty, to zrobiłaś mi wielką łaskę, że zgodziłaś się mnie pocałować.

Po posiłku odprowadziłem Marię na bok i wprost spytałem:

— Chyba nie masz ochoty nakłaniać mnie do grzechu? Inaczej nie mogę zrozumieć twego zachowania. Przecież nie po to wziąłem cię ze sobą!

— Obchodziłeś się ze mną lepiej niż inni mężczyźni i nie rozumiem sama siebie, ale twoja obojętność mnie denerwuje — szepnęła mi do ucha. — Może poczułabym, że nie jestem ci obojętna...

— Ciało jest tylko ciałem — rzekłem gorzko. — Nie musisz długo mnie namawiać, żebym się skusił. Nie jestem związany ślubami wstrzemięźliwości ani nikomu nie przysięgałem wierności. Ale równie dobrze możemy wówczas tą samą drogą wrócić do Jeruzalem.

— Życie jest dziwne... Bardzo się boję Jezusa Nazarejskiego

— westchnęła Maria. — Wierzę też, że tylko on potrafi mnie rozgrzeszyć i przywrócić mi czystość. Zapewniano mnie, że nie był surowy dla grzeszników, jeśli wierząc żalowali za swe winy. Gdybym jednak zgrzeszyła z tobą, prawdopodobnie wcale bym tego nie żałowała. Przeciwnie, wydaje mi się, że zrobiłbyś dobry uczynek, gdybyś mnie wziął w ramiona. Widzisz więc, że jestem grzesznicą aż do szpiku kości, bo przecież żadna niewinna dziewczyna nigdy by tak nie pomyślała. No, ale nikt nie może ustrzec się grzechu. Maria Magdalena pocieszała mnie, że dla Jezusa mężczyzna, który patrzy na niewiastę z pożądaniem, już w swoim sercu cudzołoży. W ten sposób Nazarejczyk postawił żądania, których żaden człowiek nie jest w stanie spełnić.

— Mario z Beeret — prosiłem gorąco — czy nie mamy dość kłopotów cielesnych przez trudy podróży? Musimy jeszcze zadręczać się grzesznymi myślami? Nie wymyślaj dziś w nocy żadnego lwa, żeby się przysuwać do mnie. Obojgu nam będzie za gorąco.

— Nie będę ci przeszkadzać ani się narzucać, chyba że sam zapragniesz popełnić grzech ze mną.

— Niech i tak będzie — odburknąłem. — W sercu już zgrzeszyłem z tobą.

— Tak bardzo chciałabym być bez grzechu i niewinna — szepnęła, przyłożywszy moją rękę do gorącego policzka. Więcej mnie jednak nie prowokowała ani nie przysuwała swojej maty do mojej.

Z pewnością niewiele wiedziała o Królestwie, do którego szukała drogi, ale też nie można było od niej wiele wymagać. Zacząłem się zastanawiać, czego Natan chciał od Jezusa Nazarejskiego, skoro nawet obciął włosy, aby zyskać jego przychylność. A czy ja przypadkiem nie chcę czegoś, co w skali Królestwa jest tak samo dziecinne jak życzenie Marii?

Na drugi dzień zostawiliśmy kapryśne koryto Jordanu, odbiliśmy od szlaku wytyczonego dla karawan i weszli na zbocza górskie. Rozpostarło się przed nami Morze Galilejskie.

Wionął ku nam świeży wiatr, woda kipiała spienionymi falami, a dalej, bardzo daleko wznosił się ku niebu pokryty śniegiem grzbiet górski. Wędrując wzdłuż zachodniego wybrzeża dotarliśmy pod wieczór do gorących źródeł i z daleka zobaczyliśmy krużganki miasta Heroda Antypasa. Ostry zapach siarki rozchodził się dokoła, bo woda z gorących źródeł była doprowadzona do wielu basenów, wokół których książę wybudował wspaniałe kąpielisko. Na wybrzeżu wzniesiono greckie domy letniskowe i domki rybackie, a także pomieszczenia dla przyjezdnych Greków i Żydów.

Miałem dość niewygód podróży. Zamieszkałem z Marią w luksusowym zajezdzie greckim, natomiast Natan zabrał osiołki i Zuzannę do zajezdnego domu dla Żydów. Uważałem, że rozsądniej będzie nie pokazywać się tutaj w ich towarzystwie, bo przecież uczniowie Jezusa mnie się obawiali. Poprosiłem Zuzannę, żeby zorientowała się w sytuacji i dała nam jakiś sygnał. Miałem nadzieję, że to uczyni, wszak wyświadczyłem jej dużą przysługę zabierając ze sobą do Galilei. Natana poznałem już tak dobrze, że pozwoliłem mu nadal rządzić moją sakiewką, no i zleciłem mu opiekę nad osłami.

Po przenocowaniu w Tyberiadzie Zuzanna i Natan mieli udać się do Kafarnaum u północnego wybrzeża Morza Galilejskiego. Z Tyberiady był tam najwyżej dzień drogi. Zuzanna mówiła, że o ile jej wiadomo, Jezus Nazarejski nigdy nie był w Tyberiadzie, natomiast w Kafarnaum kilkakrotnie nauczał.

Następnego dnia obudziłem się nad ranem i utykając wszedłem na płaski dach zajazdu. Jakże łatwo było oddychać świeżym powietrzem Galilei po upalnej dolinie Jordanu! Kryształowo czystą wodę jeziora barwiły płomieniste wstęgi wschodzącego dnia. Mocno pachniały krzewy mirtu. Zdawało mi się, że wszystko widzę wyraźniej i jaśniej niż kiedykolwiek przedtem. Czuję wszystkie zapachy ziemi, a równocześnie wydawało mi się, że w ogóle nie mam ciała. Moje istnienie było jednym upojeniem! Rozkoszowałem się tym stanem aż do chwili, gdy chwyciły mnie gwałtowne dreszcze, a lewa noga ugięła się pode mną i zobaczyłem, że jest bardzo spuchnięta.

Pod wieczór gorączka mną trzęsła, od otartej pięty podłużna czerwona pręga szła aż do kolana. Grecki lekarz otworzył ropień skalpelem i poił mnie oczyszczającymi krew lekami. Przez czternaście dni chorowałem i myślałem już, że umrę. Maria z Beeret pielęgnowała mnie troskliwie, a zapewne gorąca woda siarczana także pomogła w rekonwalescencji. Przez wiele dni nie mogłem zatrzymać jedzenia w brzuchu, dlatego gdy wreszcie zacząłem wylizywać się z choroby, byłem bardzo osłabiony. Lekarz ostrzegł mnie przed forsowaniem nóg, toteż najwięcej czasu spędzałem na opisywaniu w pamiętniku wszystkich wydarzeń w czasie podróży z Jeruzalem. O Natanie i Zuzannie przez cały ten czas nie usłyszeliśmy ani słowa.

LIST DZIEWIĄTY

Marek do Tulii.

Wyzdrowiałem wreszcie, ale byłem słaby i przygnębiony. Prześladowała mnie myśl, że ta nagła choroba, niosąca groźbę śmierci, była ostrzeżeniem, żebym się nie mieszał w sprawy, które do mnie nie należą. Przesiadywałem w pokoju i nie nawiązywałem kontaktu z innymi gośćmi, chociaż w tym słynnym kąpielisku przebywało wielu ludzi różnych narodowości, najczęściej bogatych, którzy leczyli niedomagania wynikające z wystawnego i wygodnego życia. Byli tu także oficerowie rzymscy kurujący się ze skutków życia obozowego.

Korzystałem z usług masażystów, a nawet zaprosiłem fryzjera, aby uczesał mnie na modłę grecką. Pozwoliłem mu również zadbać o moją brodę i usunąć z ciała owłosienie, bo w zasadzie było mi wszystko jedno. Być może zachowywałem się jak obrażone dziecko, w swej prostoduszności uważając, że nie zasłużyłem na karę, za jaką poczytywałem chorobę. Również o Tobie, Tulio, myślałem od czasu do czasu, i to inaczej niż w Jeruzalem; może z oporami, ale jednak tęskniłem za Tobą. W stosunku do głupiutkiej Marii czułem tylko niechęć — co prawda wiernie mnie pielęgnowała i doprowadziła do poprawy zdrowia, ale teraz była bardzo z siebie zadowolona i patrzyła na mnie jak na swoją własność.

Pewnego dnia w całym kąpielisku powstał głośny szum. Maria przybyła z nowiną: to małżonka Poncjusza Piłata przybyła z Cezarei leczyć się u gorących źródeł. Widziałem z tarasu jej lektykę i całą świtę. Miała eskortę legionistów, a oprócz tego Herod Antypas przydał jej oddział konnicy, która w purpurowych płaszczach towarzyszyła orszakowi od granicy Galilei aż do Tyberiady. Zarezerwowano dla niej pałac letni księcia, jego ogród i własny basen kąpielowy.

Klaudia Prokula jest chorowita i znerwicowana jak wiele kobiet, które się starzeją, ale nawet przed sobą nie chcą się do tego przyznać. Niewątpliwie potrzebuje kąpeli, a u progu lata klimat Morza Galilejskiego jest z pewnością najświeższy i najlepszy na całym wschodnim wybrzeżu. Dzięki aktywności agentów Heroda Antypasa przybywają do Tyberiady goście z Damaszku, nawet z Antiochii. Mimo to podejrzewałem, że istniały jeszcze inne, skryte powody niespodziewanego przybycia Klaudii Prokuli.

Po dwóch dniach nie mogłem już powstrzymać ciekawości i na podwójnej tabliczce woskowej napisałem do Klaudii z zapytaniem, czy mogę przyjść ją powitać. Służący wrócił szybko oznajmiając, że Klaudia Prokula bardzo się zdziwiła i ucieszyła z otrzymanego listu. Zapraszała mnie natychmiast do siebie.

Ze względu na nogę kazałem się zanieść w lektyce aż do krużganków pałacu, po czym utykając i opierając się na lasce wszedłem do środka. Okazane mi przez żonę prokonsula objawy przychylności wzbudziły ogromne zainteresowanie. Wielu gości kąpieliska zbiegło się, aby obserwować moje wejście, bo wcześniej Klaudia ogłosiła, że ze względu na chorobę nie będzie przyjmowała żadnych gości ani wizyt oficjalnych.

Zaprowadzono mnie wprost do niej, do chłodnej słonecznej sali. Klaudia Prokula spoczywała na leżance, wsparta na purpurowych poduszkach. Twarz miała bladą, a oczy znużone. Obok niej, w postawie pełnej szacunku, siedziała odziana we wspaniałe szaty żydowska niewiasta mniej więcej w jej wieku.

— Och, Marku! — Klaudia krzyknęła z radości i wyciągnęła do mnie obydwie wąskie dłonie. — Jakże się cieszę, że widzę dobrego znajomego i rozumiejącego mnie człowieka! Co ci się stało? Jak z twoją nogą? Jestem bardzo chora i spać nie mogę po nocach, tylko śnią mi się koszmary, żołądek mam zupełnie rozstrojony i wątroba mnie boli.

— I odwróciwszy się do swojej towarzyszki wyjaśniła: — To ten młody człowiek, o którym ci opowiadałam, Marek Mezencjusz Manilianus, przyjaciel z lat dziecińczych. Jego ojciec był najzdolniejszym astronomem Rzymu. Pochodzi z rodu Mecenasów, a to znaczy, że wywodzi się z Etrusków, którzy swego czasu rywalizowali o władzę z Eneaszem. Ostatnio spotkałam go w Jeruzalem w czasie Paschy, ale zupełnie nie spodziewałam się go zobaczyć w Tyberiadzie.

Pozwoliłem jej mówić, choć nie wszystko w tym opowiadaniu było zgodne z prawdą, ale skoro jej przesadzona relacja miała podnieść moją wartość w oczach tej bogatej Żydówki, nie widziałem powodu, aby się temu sprzeciwić.

Klaudia Prokula obróciła się w moją stronę i wskazując swoją towarzyszkę wyjaśniła:

— To Joanna, małżonka kwestora księcia Heroda Antypasa, którą poznałam w Jeruzalem. Zobowiązała się dotrzymywać mi towarzystwa w czasie pobytu tutaj i mam do niej całkowite zaufanie.

Kobieta uśmiechnęła się, przyglądając mi się badawczo. Miała okrągłą twarz o zwiótczałych rysach, a jej oczy świadczyły, że dysponuje dużym doświadczeniem i wcale nie jest głupia.

— Witam cię, Marku Mezencjuszu. Jakże to? Ty, Rzymianin, nosisz brodę i ubierasz się jak dzieci Izraela?!

— W każdym kraju trzeba się trzymać miejscowych zwyczajów

— stwierdziłem nonszalancko. — Jestem filozofem i pragnę poznać obyczaje różnych narodów. Przy tym naprawdę czuję głęboki szacunek do Boga Izraela i jego

Prawa, oczywiście jeśli to nie przeszkadza uznawaniu duchów opiekuńczych cezara.

— Rzeczywiście bardzo się zmieniłeś. — Klaudia Prokula dopiero teraz zwróciła uwagę na moje odzienie. — Nie wiem, czy mojemu mężowi spodobałbyś się w tych szatach. — Gawędząc swobodnie opowiadała o samopoczuciu i kłopotach Poncjusza Piłata i poleciła, by poczęstowano mnie lodowato zimnym winem, ciasteczkami i owocami. Później odesłała służbę i poprosiła: — Joanno, zobacz, czy nikt nas nie słucha. Nie znoszę, gdy mnie ktoś podsłuchuje.

Joanna spełniła polecenie bardzo umiejętnie: leniwie wyjrzała do przedpokoju, przespacerowała się na pozór niedbale po całym pomieszczeniu, skontrolowała zasłony i wychyliła się przez okno. Klaudia Prokula gestem poprosiła, aby zajął miejsce obok niej, wreszcie ściszone głosem spytała:

— Czy pamiętasz jeszcze Jezusa Nazarejskiego, którego ukrzyżowano w Jeruzalem?

— Pamiętam, niepokoi moje myśli — potwierdziłem z wahaniem, patrząc na Joannę. — Chętnie dowiedziałbym się o nim czegoś więcej, ale jego uczniowie są podejrzliwymi ludźmi i nie akceptują obcych.

— Uczniowie wrócili do Galilei — rzekła Klaudia Prokula — i do swoich dawnych zajęć. Większość łowi ryby w jeziorze.

— Na wyjeździe z Jeruzalem słyszałem pogłoski, jakoby opuścili miasto. Podobno wielu ludzi wyjechało za nimi. Czy tu ich nie prześladują?

— Nie, nie prześladują — rzekła szybko Joanna. — Mądrzy doradcy przekonali księcia Heroda, że nic nie zyska na prześladowaniu. Uzyskali nawet zapewnienie tolerancji. W gruncie rzeczy Herod się ich boi i wolałby nic o nich nie wiedzieć. Popęnił kiedyś błąd polityczny, ścinając Jana Chrzciciela. Teraz nie chce nawet słyszeć o żadnych prorokach.

— Chyba pamiętasz, że zrobiłam wszystko, aby mój mąż nie zaszkodził temu świętemu człowiekowi? — spytała Klaudia Prokula.

— Czemu się zadręczasz starymi historiami? — zagadnąłem przebiegle. — Przecież i przedtem zabijano niewinnych. Świat jest taki, jaki jest. Nie możemy go zmienić. Zapomnij o królu i zajmij się swoim zdrowiem, przecież po to tu przybyłaś.

— Nie rozumiesz, o co chodzi — rozgniewała się. — Świat nie jest wcale taki sam jak przedtem, bo Jezus Nazarejski powstał z grobu, chociaż wtedy w to nie uwierzyłeś. Objawił się swoim. Możesz wierzyć lub nie, ale on jest tutaj.

— Nie wiesz, co mówisz, *dominai* — wykrzyknęła Joanna, zamykając dłonią usta Klaudii.

Przyjrzałem się jej pilnie. Przypomniałem sobie, że Zuzanna wspominała to imię, i śmiało zagadnąłem:

— Joanno, czy to ty poszłaś za Jezusem, kiedy żył? Chyba nie zaprzeczysz?

— Nie zaprzeczam i nie chcę zaprzeczać — przyznała wpatrując się we mnie ze

strachem. — Opuściłam dla niego dom i męża, poszłam za nim, ale z uwagi na pozycję męża musiałam wrócić. Skąd o tym wiesz? Przecież jesteś cudzoziemcem.

— Wierzę w jego zmartwychwstanie — zapewniłem, bo czułem się słaby i przygnębiony, nie chciałem już dłużej udawać. — Dlatego wierzę, że jest synem Boga. Ale nie wiem, co to znaczy. Nic podobnego wcześniej się nie wydarzyło. Chciałem szukać jego Królestwa, ale bliscy Jezusa nie uznali mnie i nie przyjęli do swego grona. Usłyszałem, że poszedł przed nimi do Galilei, więc przybyłem tu w nadziei, że go tutaj znajdę. Ale — ciągnąłem rozgoryczony — dostałem zakażenia krwi i nie mogłem go szukać, nie mogłem w ogóle się poruszać. To chyba był znak, że Jezus nie chce mnie uznać. Klaudio, przyznaj szczerze, że ty także przybyłaś do Galilei dla niego!

Obydwie kobiety były zdumione moim oświadczeniem, patrzyły wzajem na siebie i na mnie, aż jednym głosem spytały:

— Naprawdę wierzysz, ty, Rzymianin i filozof, że Jezus powstał z martwych i przybył do Galilei?!

— Wierzę, bo muszę wierzyć — powiedziałem wciąż rozgoryczony. Ogarnęła mnie nieprzewyciężona ochota, by wyrzucić z siebie wszystko. Opowiedziałem im, jak gościłem w domu Łazarza i spotkałem Marię Magdalenę, jak apostołowie Tomasz i Jan odtrącili mnie, co wydarzyło się w domu Szymona Cyrenejczyka i jak Mateusz w towarzystwie Zacheusza przyszedł do mnie i surowo zabronił mi nawet wymieniać na głos imię Jezusa Nazarejskiego.

— Źle postąpił — stwierdziła Joanna. — Dobrze pamiętam, że pewnego dnia jakiś nieznający go człowiek jego imieniem uzdrowił chorego. Uczniowie zakazali mu tego, ale wówczas Jezus ich zganił, mówiąc, że ten człowiek przynajmniej nie mówił o nim nic złego. Nie rozumiem więc, dlaczego miałbyś nie wzywać jego imienia, skoro w niego wierzysz.

Powiedziałem jeszcze, że przywiozłem z Jeruzalem Zuzannę i spytałem Joannę, czy ją zna. Joanna z trudem skrywała pogardę:

— Znam tę głupawą zadziore. To prosta wieśniaczka i nie zna Pisma. Ale Jezus i jej pozwolił iść za sobą.

— Naprawdę zmieniłeś się, Marku, od czasów rzymskich.

— Klaudia Prokula patrzyła na mnie ze zdumieniem, a zarazem podejrzliwie. — Przez tego Jezusa na pewno i o Tulii zapomniałeś. Nie myśl, że o niej nie wiem. Plotki z Rzymu dochodzą aż do Cezarei. Trudno mi pojąć, czego właściwie szukasz w Jezusie Nazarejskim?

— A czego ty szukasz? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

— Jestem kobietą i mam prawo marzyć — kapryśnie wzruszyła kościstymi ramionami. — Marzę, że gdybym go spotkała, wyleczyłby moją bezsenność i odjąłby wszystkie moje bóle. I szalenie chciałabym ujrzeć proroka, którego ukrzyżowano i który wstał z martwych.

— We mnie wygasła ciekawość i chęć marzeń — powiedziałem.

— Będę szukał tylko jego Królestwa, jak długo ono będzie na ziemi. Mówiono mi, że on ma słowa życia wiecznego... Ale co tam ja! Powiedzcie raczej, czy naprawdę przybył do Galilei i czy tutaj objawił się swoim?

— Nie wiem tego na pewno. — Joanna rozchmurzyła się i zaczęła opowiadać. — Swoim uczniom powierzył tajemnicę Królestwa, a do ludu i do kobiet mówił przypowieściami. Patrzyliśmy, a jednak nie widzieliśmy, słuchali, a jednak nie słyszeli. Uczniowie trzymają się razem i niczego już nie opowiadają kobietom. Dlatego zagniewana Maria odeszła od nich i wróciła do siebie, do Magdali. Wiem tylko, że siedmiu uczniów wypłynęło kilka dni temu rano na połów. Wrócili z pozrywanymi od obfitości ryb sieciami i coś im się musiało przydarzyć, bo aż pojaśniali i śmiali się ze szczęścia. Ale nie chcieli zdradzić przyczyny.

— Dziwię się wielce, że ci rybacy rozgniewali Marię Magdalenę, która przecież dla nich poświęciła majątek. Należałoby też oczekiwać, że z wdzięczności powinni zatrzymać ciebie, Joanno, bo przecież jesteś znamienitą niewiastą. Mniemam, że twoją zasługą jest tolerancja tutejszych władz.

— To niewdzięczni ludzie — poskarżyła się Joanna, lecz zaraz spróbowała ich usprawiedliwić: — Chyba muszą strzec tajemnic, które im powierzono. Ale dlaczego Jezus wybrał właśnie tych ludzi?

— Jako małżonka prokuratora Judei — wyniosłym tonem ozwała się Klaudia Prokula — zajmuję wysoką pozycję. Ci rybacy muszą powiedzieć swemu panu, że chcą go spotkać. Przecież dla takich prostych ludzi jak Jezus jest oznaką największej przychylności, jeśli raczę się do nich zwrócić za czymś pośrednictwem. Wiele może znaczyć dla nich wszystkich moja cicha życzliwość.

— Klaudio, sądzę, że niewiele rozumiesz z jego Królestwa — musiałem się wtrącić. — Jezus nie jest magiem ani szarlatanem. Spróbuj zrozumieć, że to syn Boga.

— Nie zapominaj — obraziła się Klaudia — że jestem krewną cesarza i wielokrotnie jadłam z nim przy jednym stole, gdy jeszcze był w Rzymie.

— Jestem tylko niewiastą, a Izrael nie przyznaje kobiecie duszy — Joanna rozłożyła porozumiewawczo ręce. — Jezus pozwolił, byśmy mu towarzyszyły, i w głębi serca przeczuwam coś z jego Królestwa. Uczniowie wciąż się spierają i kłócą między sobą, czy Jezus w ogóle zbuduje Królestwo dla Izraela i kiedy to zrobi. Ale Izrael go odtrącił i przez to przestał być narodem przez niego wybranym. To mówi mi mój kobiecy rozum.

Zaczynało już mnie męczyć to bezowocne gadanie. Klaudia Prokula wiele straciła w moich oczach. Niecierpliwie spytałem:

— Niech będzie, co chce, ale co mamy zrobić, aby go spotkać?

— Nie wiem — przyznała Joanna. — Możemy tylko czekać. A jeśli zapomniał o nas, kobietach? Przeraza mnie także myśl, że zachorowałeś i nawet nie możesz się poruszać, żeby go szukać.

— Jestem już prawie zdrowy. Łodzią albo w lektyce wszędzie mogę się dostać. Ale jestem przygnębiony i nie chcę niczego robić na siłę. Sądzę, że Jezus objawi się temu,

kogo sam wybierze. Jeśli tak musi być, podporządkuję się, wierzę, że nie jestem godzien, aby mnie się objawił.

— Nie rozumiem twojej bierności — wtrąciła się ironicznie Klaudia Prokula. — Osobiście niecierpliwie oczekuję spotkania z nim, bo nie spodziewam się, żeby kąpiele wyleczyły mnie z bezsenności. Gdybym była mężczyzną, coś bym zrobiła. Jestem jednak kobietą i muszę pamiętać o swej pozycji.

— Mógłbyś popłynąć do Magdali i spotkać się z Marią — zaproponowała Joanna po chwili namysłu. — Ze względu na męża nie mogę złożyć jej wizyty, ma złą opinię. Z tego samego powodu nie możemy zaprosić jej tutaj, aby po kryjomu zobaczyła się z Klaudią Prokulą. Ale ty popłyn do niej i poproś o radę. Wytłumacz, że nie wstydzę się jej towarzystwa teraz, skoro nie wstydziłam się go w czasie wędrówek z Jezusem, ale w obecnej sytuacji muszę myśleć o pozycji mego męża na księżęcym dworze. To skomplikowana sprawa, której ty jako mężczyzna raczej nie rozumiesz, ale ona na pewno dobrze pojmie.

— Spostrzegła, że się waham, więc roześmiała się ironicznie i dodała:

— Jesteś młodym, żądnym uciech Rzymianinem, bez obaw możesz złożyć jej wizytę. Nikt się nie będzie dziwił. Swego czasu miała w sobie siedem biesów. W całej Galilei jest z tego sławna, chociaż poprawiła swoje obyczaje.

Byłem coraz bardziej przekonany, że nie powinienem mieszać się w kłótnię między babami. Niemniej obiecałem to przemyśleć i rozmawialiśmy już o sprawach zupełnie prozaicznych. Klaudia Prokula pytała, czy będę chciał jej towarzyszyć na wyścigach, ponieważ czuje się znacznie lepiej. Herod Antypas jest dumny ze swego miasta i z wybudowanego przez siebie toru wyścigowego i teatru. Klaudia uważała, że przez grzeczność powinna pokazywać się na niektórych imprezach. Potem pozwoliła mi odejść, na pożegnanie zaś obiecaliśmy sobie, że niezwłocznie zawiadomimy się nawzajem, gdyby któreś z nas dowiedziało się czegoś o Jezusie Nazarejskim. Klaudia zapowiedziała rychłe zaproszenie mnie na ucztę.

Wracałem do swego zajazdu, gdy zobaczyłem siedzącego w cieniu krużganków kupca z Sydonu. Zatrzymałem się i kupiłem jedwabną, haftowaną złotymi nićmi chustę, którą niezwłocznie wysłałem jako podarunek dla Klaudii Prokuli.

Maria z Beeret niecierpliwie mnie oczekiwała. Prawdopodobnie widziała z daleka, jak dobijałem targu z sydońskim kupcem o kędzierzawej brodzie, i myślała, że kupiłem prezent dla niej. Skoro zaś niczego się nie doczekała, jęła głośno wyrzekać:

— Widzę, że jeśli tylko coś idzie po twojej myśli, dobrze się trzymasz na nogach! Ukrywasz mnie za zasłonami w zamkniętym pokoju, jakbyś się wstydził mojego towarzystwa. A przecież tutaj znają mnie tylko jako tę, która cię pielęgnowała, gdy byłeś blisko śmierci. Ja też chętnie przeszłabym się po tych przepięknych ogrodach, spotkała z ludźmi, porozmawiała z kobietami, posłuchała muzyki i popływała łódką pod baldachimem. Ale ty nie pomyślisz o mnie, masz w głowie tylko własne wygodę...

Uświadomiłem sobie, z jakim zapalem wyruszaaliśmy z Jeruzalem i jak wszystkie nasze nadzieje spełzły na niczym. Ogarnął mnie ponury nastrój. Zupełnie inaczej Klaudia

Prokula mówiła o Jezusie Nazarejskim w dniu popełnienia na nim zbrodni w Jeruzalem, kiedy ziemia zadrżała. Jej towarzyszką, Joanna, też z pewnością była inna, gdy towarzyszyła Jezusowi w Galilei nie myśląc ani o domu, ani o wysokiej pozycji swego męża, kwestora Heroda Antypasa. W Tyberiadzie, wśród marmurowych krużganków i wspaniałych ogrodów, aromatów mirtu i siarki, w rytmie muzyki fletów, wszystko zdawało się wracać do starego świata. W tym luksusie i przepychu nie mogło być nic nadprzyrodzonego.

— Mario z Beeret, czy nie pamiętasz, po co ruszyliśmy w tę podróż?

— Pamiętam lepiej od ciebie. — Maria odrzuciła głowę do tyłu, patrząc na mnie pustymi oczyma w okrągłej twarzy. — I niecierpliwie oczekuję na wieści od Natana czy Zuzanny. Nic innego nie mogę uczynić. Dlaczego w tym czasie nie mogłabym cieszyć się tym wszystkim, co jest dla mnie nowe?

— To wszystko jest stare — powiedziałem. — Takie towarzystwo i takie otoczenie nudzi się szybciej niż każde inne. Wszystko to bym oddał, gdybym choć z daleka mógł zobaczyć zmartwychwstałego.

— Oczywiście, oczywiście—potakiwała Maria. — Ja również. Ale dlaczego nie mogę się cieszyć czekając? Jestem tylko biedną wiejską dziewczyną, która pierwszy raz w życiu w czasie wycieczki do miasta dostała się do sklepu z zabawkami. Nie pragnę tych zabawek otrzymać na własność, czy jednak nie mogę na nie popatrzeć i dotknąć?

— Doczekasz się — obiecywałem, a w myślach gorąco pragnąłem uwolnić się od niej. Nie rozumiałem jej i męczyła mnie jej kłótność.

— Jutro wynajmę łódź i popłyniemy do Magdali. Dowiedziałem się, że hodowczyni gołębi odeszła od uczniów Jezusa i wróciła do domu. Pojedziemy złożyć jej wyrazy szacunku.

— Maria Magdalena to zapalczywa kobieta. — Maria z Beeret wcale nie ucieszyła się z tej zapowiedzi, ale powiedziała potulnie: — Co prawda okazała mi wiele życzliwości, rozmawiała ze mną jak z człowiekiem i nauczyła mnie wierzyć, że Jezus Nazarej ski jest królem, mimo to boję się jej.

— Czemu? Przecież to właśnie ona wysłała cię w nocy, żebyś mnie spotkała przy bramie starego muru, i powiedziała, co masz mówić.

— Bo może zażądać ode mnie tego, czego nie będę więcej chciała, odkąd mnie wzięłaś pod swoją opiekę — tłumaczyła Maria. — Ma bardzo silną wolę i skoro coś mi rozkaże, będę musiała to uczynić.

— Cóż takiego może ci kazać zrobić? — pytałem zdziwiony.

— Maria z Magdali ubiera się tylko na czarno. Może mi kazać ściągnąć te piękne szaty, które od ciebie dostałam, i włożyć pokutny worek. A także odejść od ciebie, skoro już mnie przywiozłeś do Galilei. Tego najwięcej się boję.

— Mario z Beeret! — krzyknąłem zapalczywie. — Czego ty właściwie chcesz i oczekujesz ode mnie?!

— Niczego nie pragnę ani sobie nie obiecuję! — krzyknęła równie porywczo i mocno potrząsnęła głową. — Nie wyobrażaj sobie za dużo! Chcę tylko przeżyć jeszcze jeden dzień w twoim towarzystwie! Jeszcze kilka dni temu wszystko było inaczej: trawiony gorączką rzucałeś się w pościeli, a ja zwilżałam twoje spieczone wargi. Błagałeś mnie, żebym kładła dłoń na twoim czole, i nawet zasypiając żądałeś, żeby całą noc trzymać cię za rękę. Nie myśl jednak, że sobie coś wyobrażam! To były dobre dni, najlepsze w moim życiu. Nie chciałabym, aby się nagle skończyły. Oczywiście, zrobimy, jak zechcesz, przecież nigdy nie będzie tak, jak ja bym chciała.

Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas się z nią pożegnać. Im dłużej byliśmy razem, tym bardziej z dnia na dzień wiązała mnie ze sobą w rozmaity sposób, tym bardziej się od niej uzależniałem, jak człowiek, który bezmyślnie kupił niewolnika lub psa tym samym zaciągnął zobowiązanie wobec tego człowieka czy zwierzęcia.

Nazajutrz wynająłem łódź rybacką z dwoma wiosłarzami i popłynęliśmy po jasnych falach Morza Galilejskiego w kierunku Magdali. Maria z Beeret starannie osłaniała twarz przed promieniami słońca, żeby zapobiec opaleniznie. W Tyberiadzie nie tylko unikała światła dziennego, ukrywając się za zasłonami, ale jeszcze — podobnie jak inne kobiety z kąpieliska — pilnie nacierała twarz sokiem ogórkowym. O czymś takim nawet nie myślała, jadąc na grzbiecie osła z Jeruzalem!

Podjąłem rozmowę z wiosłarzami, aby oswoić się z gwarą galilejską. Byli to posępni chłopcy i opryskliwie odpowiadali na moje pytania. Gdy przepływaliśmy obok Tyberiad, wyraźnie okazywali odrazę do tego pięknego, na grecką modłę wzniesionego miasta, które Herod Antypas zbudował zaledwie dwadzieścia lat temu znacznym nakładem środków. A żeby szybciej minąć miasto, próbowali nawet podnieść żagle, ale wiatr nie był pomyślny i zmieniał się kapryśnie, toteż musieli się zadowolić wiosłowaniem.

Przypomniałem sobie, że gdzieś tu Jezus Nazarejski chodził po , powierzchni fal. W skwarze jasnego dnia, w orzeźwiający wiatr i plusku fal jeziora, za którym rysowały się brązowe i błękitne góry, wydarzenie to wydawało się zupełnie niewiarygodne. Ogarnęło mnie przygnębiające wrażenie, że absurdalnie gonię za mirażem, za snem czy bajką spreparowaną przez zabobonnych rybaków. Od czasu choroby wydawało mi się, że od wydarzeń w Jeruzalem minęło nieskończenie dużo czasu i że nigdy nie było żadnego króla żydowskiego.

— Czy zdarzyło się wam kiedyś widzieć Jezusa Nazarejskiego, gdy tu, nad brzegiem morza, nauczał ludzi? — spytałem.

— Czemu cię to interesuje, cudzoziemcze? — odpowiedzieli pytaniem na pytanie, podniósłszy wiosła i podejrzliwie patrząc po sobie i na mnie.

— Byłem w Jeruzalem, kiedy go ukrzyżowano. Moim zdaniem tak haniebnym los był dla niego krzywdzący.

— To prawda, ale on był Galilejczykiem, a w Jeruzalem nami gardzą. Po co oddawał się w ręce chciwych kapłanów i świętoszkowatych faryzeuszy?

— Czy widzieliście go kiedy? — spytałem ponownie.

— Pewnie, że widzieliśmy, i to nieraz — zapewnili, gdy poczucie dumy narodowej

przewyciężyło ich strach. — Raz było nas z pięć tysięcy, którzyśmy słuchali jego nauk. Nakarmił nas wszystkich do syta pięcioma bochenkami jęczmiennego chleba i dwiema rybami. Samych resztek zebrano dwanaście koszyków. Taki to był człowiek!

— A co mówił? Czy pamiętacie jego nauki? — pytałem rozgorączkowany.

— Nie wypada, żeby tacy prości ludzie jak my mówili o tym, czego nauczał — odrzekli z przestachem. — Jeszcze byśmy ściągnęli gniew Sanhedrynu na nasze głowy.

— Opowiedzcie cokolwiek, co pamiętacie. Jestem cudzoziemcem, nie doniosę na was.

— Pamiętaj zatem, że to on mówił, a nie my — powiedzieli i chórem wyrecytowali: — Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie. Nikt nie może służyć dwóm panom. Nie smućcie się. Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego.

Odniosłem wrażenie, że dobrze utrwalili w pamięci naukę Nazarejczyka i między sobą wielokrotnie ją powtarzali. Więcej nie pamiętali albo nie chcieli zdradzić. Dostrzegłem natomiast w ich oczach wyraz złośliwej satysfakcji, gdy patrzyli na moje szaty i poduszki w łodzi.

— Co jeszcze o nim pamiętacie?

— Był dobrym rybakiem. Potrafił wskazać ławicę ryb, choć inni na próżno szukali przez całą noc. Raz wyszli na łąd, a ich łódź była głęboko zanurzona od bogatego połowu, podczas gdy inni dopłynęli do brzegu pustymi łodziami. Umiał też uspokoić burzę i w krótkim czasie uciszyć spienione fale. Podobno chorych też uzdrawiał, chociaż na to nie zwracaliśmy uwagi, bo sami nigdyśmy nie chorowali. Najbardziej nas dziwiło, że tak doskonale znał wody i wiatry i ruchy ławic rybnych, chociaż pochodził z wnętrza kraju, z Nazaretu.

Więcej nic od nich nie wydobyłem — choć bardzo się starałem, zyskałem tylko tyle, że stawali się coraz bardziej nieufni.

— Babskie brednie — powiedzieli w pewnej chwili. — Człowiek nie wstaje z grobu. A Jezus był takim samym człowiekiem jak my, chociaż nauczał i czynił cuda. Nas w pułapkę nie złapiesz, choćbyś nie wiem jak pięknie dobierał słówka. — Nie zgodzili się mówić nic więcej, tylko dodali: — To są historie z Kafarnaum, my jesteśmy rybakami z Tyberiady.

Energicznie zagarniali wiosłami wodę, aby przyspieszyć bieg łodzi, i wnet dopłynęliśmy. Magdala jest dużą wsią rybacką, zamieszkaną przez tysiące ludzi. Już z daleka czuliśmy smród solonych ryb. Wioślarze wskoczyli do wody i wyciągnęli łódkę na łąd, a ja zapłaciłem im i kazałem wracać. Dopiero gdy wsparty o łaskę i ramię Marii kuśtykałem przez wieś, pozwoliłem sobie zapytać o miejsce zamieszkania Marii Magdaleny. Dobrze ją tu znano i od razu pokazano oddalony od wioski duży zespół budynków. Jakiś wracający z targu hodowca warzyw zaproponował mi przyjaźnie

miejsce na osiołku. Mówiąc o Marii Magdalenie porozumiewawczo się uśmiechał, ale przyznał:

— To mądra i bardzo bogata niewiasta. Zatrudnia wielu hodowców gołębi i sama też je hoduje w dużej wylęgarni. Sprzedaje ptaki na ofiary do Świątyni. Ma też duży ogród zielarski i udziały w solarniach ryb. Wiele podróżuje, ale słyszałem, że właśnie wróciła do domu.

— Spojrzał na mnie, skrzywił się porozumiewawczo i zauważył: — Nie jest już taka młoda. Powiadają też, że zmieniła styl życia i rozdaje jałmużnę ubogim. Ale ty sam najlepiej wiesz, czego chcesz od niej.

Wybrałem się na tę wycieczkę niewiele sobie po niej obiecując, lecz gdy zbliżałem się do jej domu siedząc na grzbiecie osiołka między pustymi koszami, nieoczekiwanie poddałem się uczuciu tęsknoty i chęci ujrzenia jej bladej twarzy, jaką zapamiętałem ze spotkania w domu Łazarza. Zdawało mi się, że nigdy jeszcze w taki sposób nie tęskniłem za żadną kobietą. Właściciel osiołka, który mnie obserwował, znaczącym tonem powiedział:

— Widzę, że z tobą dzieje się to samo, co z innymi! Im bliżej jesteś tego domu, tym bardziej się niecierpliwisz, aby ją zobaczyć... Wybacz, że cię zostawię na tym rozdrożu.

Rozstaliśmy się i ponaglił osiołka, żeby prędzej dostać się do swego domu. Maria z Beeret zaś ciężko westchnęła i powiedziała:

— Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Wracajmy. Słońce pali mnie w oczy, choć zakrywam głowę. Jestem spocona i ciężko mi oddychać.

Lecz ja śmiało pokuśtykałem przez bramę i na środku dużego dziedzińca zobaczyłem ubraną na czarno kobietę. Karmiła gołębie, które całą chmarą trzepotały się koło niej, siadały na ramionach i jadły jej z rąk. Gdy nas dostrzegła, rzuciła resztę ziarna, wytarła ręce i wyszła nam naprzeciw, odkrywając twarz. Powitała nas ze zdumieniem i radością, wołając:

— Widziałam, jak nadchodziliście, ale nie odgadłam, że to ty, Marku, i ty, Mario z Beeret.

— Pokój tobie, Mario z Magdali — powiedziałem patrząc na pomarszczoną bladą twarz i pełne radości błyszczące oczy. Chętnie rzuciłbym się przed nią na ziemię i objął jej nogi.

Obydwoma rękami odepchnęła gołębie, które wciąż trzepotały skrzydłami koło jej głowy, po czym zaprowadziła nas przed podwórze do altany w ogrodzie. Przyniosła wody i schyliła się, aby mimo mego sprzeciwu umyć mi nogi. Dotknięcie jej rąk było miłe i przyniosło ulgę moim obolałym stopom. Umyła również nogi Marii z Beeret, choć ta oponowała i prychała, zasłaniając usta. Podała nam świeżej wody źródlanej do picia, na koniec zaś zachęciła Marię:

— Idź, obejrzyj wylęgarnię, mój dom i wszystko, co chcesz, tylko nam już nie przeszkadzaj, głuptasku.

Maria z Beeret popędziła, jakby tylko czekała na zaproszenie i rada była uwolnić się

od nas. Maria z Magdali dłuższą chwilę patrzyła za nią potrząsając głową, po czym odwróciła się do mnie.

— Coś ty zrobił z tą dziewczyną? Czy to ty ubrałeś ją w te jaskrawe szaty? Wygląda, jakby miała diabła za skórą. W Jeruzalem była skromna i skruszona.

— Nic złego jej nie zrobiłem — usprawiedliwiałem się. — Nawet jej nie tknąłem, jeśli to masz na myśli. Pielęgnowała mnie z wielkim oddaniem, kiedy w Tyberiadzie dostałem zakażenia krwi.

— Często mężczyzna mający najlepsze zamiary przynosi kobiecie więcej zła, niż gdyby świadomie chciał jej zaszkodzić. Żaden z ciebie dla niej wychowawca, lepiej się od niej oddal.

— Ona szuka Jezusa Nazarejskiego — tłumaczyłem się i ze ściśniętym sercem opowiedziałem, jak podróżowaliśmy z Jeruzalem, jak Zuzanna i Natan zostawili mnie nie dając znaku życia i jak w Tyberiadzie spotkałem Klaudię Prokulę z Joanną. Maria Magdalena kiwała głową, na jej bladej twarzy zjawił się powściągliwy uśmiech.

— Znam skąpą Zuzannę i zrozumią ją Joannę — powiedziała nieprzychylnie. — Miałam chyba bielmo na oczach, traktując je jak siostry, gdy wędrowaliśmy razem. Ale wtedy dostrzegałam tylko Jezusa. Poznałeś już jego uczniów na tyle, że zorientowałeś się, jak nieugięcie strzegą tajemnicy Królestwa. Sądzę, że podobnie jak ja zastanawiasz się nad rodzajem materiału budowlanego, z którego chciał to Królestwo zbudować. Wróciłam do mojego domu, aby po prostu czekać, bo dość miałam uporczywych mężczyzn i zawiści między kobietami. Wiem, że Jezus poszedł przed nimi do Galilei, ale nie zdziwiłabym się, gdyby nie chciał już nigdy oglądać nikogo z nas. Być może i myśmy go rozczarowali, skoro w głębi serca w ogóle nie zmieniliśmy się. Zostawiłam rybaków, żeby łowili, a jego matka wróciła do domu, do Nazaretu. — Zacisnęła dłoń, w bólu pochylała się do przodu i tyłu i skarżyła się: — Czemu jestem tylko człowiekiem, i to kobietą w głębi duszy surową, chociaż jego nie ma już między nami? Jego Królestwo wyslizgnęło mi się spod nóg. Och, to moje niedowiarstwo! Nie ufam mu już tak bezgranicznie jak dawniej.

— Rozejrzała się wokoło przerażonymi oczyma, jakby widziała w pobliżu czyhające zjawy, i krzyknęła: — On był światłością świata! Odkąd go nie ma, ciemność wkrada się zewsząd, chociaż dzień jasny świeci. Boję się, że biesy znowu wstąpią we mnie. Gdyby wróciły, nie chcę żyć. Raczej się powieszę. Dość już wycierpiałam.

Jej udręka przygnębiła mnie i zaciążyła mi kamieniem na sercu. Chciałem ją pocieszyć, więc opowiedziałem, jak to Joanna myślała, że Jezus objawił się uczniom któregoś ranka, kiedy łowili ryby.

— Słyszałam o tym — przerwała mi Maria. — Ale tych prostaków najbardziej ucieszyło złowienie stu pięćdziesięciu dużych ryb. Sieć była tak pełna, że musieli wyciągnąć ją na brzeg, żeby się nie porwała. Jeżeli naprawdę spotkali Mistrza, to dlaczego nie opowiedzieli o tym innym, aby ich pocieszyć?

Wyglądało na to, że w sercu nosi żal i jest zazdrosna, że Jezus objawił się uczniom, a nie jej. Poniekąd ją rozumiałem — przecież ona pierwsza o świcie wyruszyła do grobu i

jej pierwszej Jezus ukazał się po zmartwychwstaniu.

— Mario Magdaleno, nie wpadaj w rozpacz. Skoro wrócił do Galilei, to jego Królestwo nadal jest blisko. Może ja nie będę miał w nim żadnego udziału, może Jezus mnie odtrąci, jak odtrącili jego uczniowie. Ale jestem pewien, że ty go jeszcze spotkasz.

— Pocieszasz mnie, Rzymianinie, choć swoi nie mają dla mnie słów pocieszenia? — powiedziała z wyrzutem, ale jej twarz pojaśniała, jakby padł na nią blask słońca, chociaż siedzieliśmy w cieniu altany. Dotknęła ręką mojej dłoni, a było to dotknięcie pełne energii. — Czy naprawdę w to wierzysz? Bo z pewnością i ja wierzę, choć biję się z myślami, gdyż nie odczuwam dostatecznie wiele szacunku wobec jego uczniów, których przecież sam wybrał. Jestem przewrotną niegodziwą babą, skoro nie uznaję jego własnej woli! Naucz mnie pokory, Rzymianinie.

— Powiedz lepiej, czy twoim zdaniem przyjmie mnie do swego Królestwa, mimo że jestem Rzymianinem? — spytałem z zapartym tchem.

— Uczniowie oczekują wciąż, że zbuduje Królestwo dla Izraela — fuknęła pogardliwie. — Ja uważam go za światłość całego świata. Dlaczego miałoby to nie dotyczyć tak samo ciebie, jak i dzieci Izraela, jeśli wierzysz, że jest Chrystusem? Jego Królestwem jest życie wieczne. Wiem, że ono jest w nim i u niego. Niczego innego mi nie potrzeba.

— Jak więc mam żyć? — spytałem, zastanawiając się nad jej słowami. — Czy wystarczy, że będę starał się być cichy i pokornego serca?

— Kochaj bliźniego jak siebie samego — odrzekła Maria Magdalena z niejakim roztargnieniem. — Czyń innym, co pragniesz, żeby tobie uczyniono. — Nagle zakryła twarz ręką i wybuchnęła płaczem.

— Jakże mam cię nauczać, skoro sama się rozczarowałam do jego nauki? Kiedy wędrowaliśmy za nim, byliśmy jak bracia i siostry. Niewiele trzeba było czasu, odkąd nas zostawił, abym w głębi serca wyhodowała zawiść i niechęć do swoich sióstr i braci. Może Jezus przysłał cię tutaj, żebym poskromiła w sobie zło? — Położyła dłoń na mojej opuchniętej nodze i głośno zaczęła się modlić: — Jezu Chryste, synu Boga, zmiłuj się nade mną grzeszną. Jeśli taka twoja wola, niechaj ta noga stanie się zdrową, jakby nigdy nie była chora. — Podniosła głowę i patrzyła na mnie z zapartym tchem. — To będzie znak. Odrzuć laskę i idź.

Wstałem i bez laski przeszedłem kilka kroków. Nie kulałem i nie czułem żadnego bólu.

— Niechże to będzie dla ciebie znak, o który prosiłaś — powiedziałem, wróciwszy do altany. — Nie potrzebuję znaków, i tak wierzę. Zresztą noga była już prawie zdrowa, nowa skóra wyrosła na wyczyszczonym przez greckiego lekarza miejscu, gdzie był ropień, kulałem chyba z przyzwyczajenia, no i dlatego, że napominał mnie, abym oszczędzał nogę.

— Czy mam odwołać swoją modlitwę, żebyś znowu zaczął kuleć? — spytała Maria Magdalena z uśmiechem, podnosząc z ziemi laskę.

— Nie rób tego! — zawołałem spiesznie. — Znowu zacząłbym kuleć i chyba bym kuśtykał całe życie, gdybyś go o to poprosiła.

— Nie, nie! — zawołała Maria Magdalena, rozglądając się dookoła, jakby ją przyłapano na złym uczynku. — Nie można się modlić w jego imieniu o nic złego dla drugiego człowieka. W ten sposób można tylko sobie zaszkodzić. W jego imieniu nie można też nikogo przeklinać, tylko błogosławić. — Uśmiechając się promiennie wpatrywała się na wskroś mnie, postrzegając coś, czego nie mogłem zobaczyć. W zamyśleniu wyginała grubą i twardą dębową laskę, jakby to była cienka witka wierzbowy. Szeroko otworzyłem oczy, nie dowierzając im, aż wróciła do rzeczywistości, poczuła na sobie mój wzrok i spojrzała na mnie. — Czego się gapisz? — spytała i przestała zginać laskę w rękę.

Uniosłem ostrzegawczo obie ręce i mimowolnym szeptem poprosiłem:

— Zegnij moją laskę ponownie, jak to przed chwilą robiłaś...

Próbowała. Wytężała wszystkie siły, ale nie mogła zgiąć laski ani na jotę. Odebrałem ją — była to ta sama mocna i twarda laska, którą wspierałem swe kroki. Maria nie robiła tej sztuczki specjalnie, była zamyślona i nie zdawała sobie sprawy, że zgina laskę, toteż nie rozumiała, co mnie tak dziwiło. Przyszło mi na myśl, że zginanie twardego drewna jak witki wierzbowej jest cichym znakiem dla mnie, który nie wierzyłem w uzdrowienie nogi siłą imienia Jezusa Nazarejskiego. Nie zamierzałem jednak zwierzać się z tej myśli, bo ani nie rozumiałem, dlaczego tak się stało, ani nie czekałem na żadne znaki. Nadzieja wszakże znów zapaliła się w moim sercu. I jeszcze dodam, że to zginanie laski nie było spowodowane czarami; wcale nie odczuwałem wewnętrznego zziębnięcia, którego doświadczałem za każdym razem, gdy uczestniczyłem w seansie sztuk magicznych. Przeciwnie, byłem rześki i zupełnie przytomny. Powiedziałem więc:

— Mario Magdaleno, szczęśliwa niewiasto! On jest twoim panem, więc przestań się niecierpliwic. Jest przy tobie, chociaż go nie widzisz. Nie pojmuję, jak to możliwe, ale w to wierzę. Naprawdę jesteś błogosławioną pośród kobiet.

Wyszliśmy z altany, oboje przepelnieni radością i nadzieją. Maria Magdalena pokazała mi ogród, w którym hodowała zioła, i wylęgarnie gołębi. Opowiadała też o łapaniu dzikich gołębi — gdy była młodą dziewczyną, wspinała się po stromych zboczach zamieszkanego przez te ptaki wąwozu i nie bała się ani zbójów, ani przepaści.

Weszliśmy do domu, wypełnionego pięknymi kobiercami i drogimi meblami; powiedziała, że gdy wyzwoliła się z opętania, usunęła wszystkie greckie wazy i rzeźby, ponieważ Pismo zabrania trzymania w domu wizerunków ludzi czy zwierząt. Przypomniała sobie, że często pogrążony w myślach Jezus rysował coś gałązką na ziemi, ale zawsze ścierał nogą rysunek, zanim Maria albo ktokolwiek inny zdążył nań popatrzeć. Gdy tak spacerowaliśmy po tym wielkim domu, same nasuwały się jej na myśl wspomnienia o Jezusie i wiele ich opowiedziała.

Kazała służbie przygotować posiłek. Nie siadła jednak razem ze mną, tylko prosiła o zgodę na przestrzeganie żydowskiego obyczaju usługiwania mi w czasie jedzenia. Zawołała Marię z Beeret, pozwoliła, by wodą poląła moje ręce, i z uśmiechem dawała jej wskazówki, jak najlepiej usłużyć się jedzącemu mężczyźnie. Podała też własnoręcznie

zmieszane lekkie białe wino galilejskie, które szło do głowy jak tchnienie wiatru. Po przekąsce" słonej i słodkiej była pieczona ryba i kawałki mięsa gołębiego w sosie rozmarynowym. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek jadł tak dobrze i smacznie przyrządzone potrawy.

Gdy już się tak nasyciłem, że nie mogłem zjeść ani kęsa więcej, zgodziła się przysiąść na dywanie u moich nóg i zjeść wraz z Marią. Była łagodna, promienna i pięknie się uśmiechała. Patrzyłem na nią przez leciutką zasłonę wypitego wina. Naprawdę musiała być swego czasu jedną z piękniejszych i powabniej szych kobiet swego kraju. Marię z Beeret również ośmieliła jej życzliwość, tak że odważyła się odezwać:

— Kiedy się tak uśmiechasz, Mario Magdaleno, wierzę absolutnie, że mężczyźni aż z Damaszku i Aleksandrii przyjeżdżali, żeby spotkać się z tobą. Za otrzymane od nich podarunki wybudowałaś duży dom i kupiłaś piękne meble. Naucz mnie, w jaki sposób można otrzymywać od mężczyzn tak wspaniałe dary za to samo, za co poganiacze wielbłądów w Jeruzalem godzą się płacić ledwie kilka asów?

— Nie pytaj mnie o te sprawy — nachmurzyła się Maria Magdalena. — I wierz mi: żadnej kobiety tego nauczyć nie można. To jest udziałem opętanej, często opętanej przez kilka biesów na raz. Taki bies wyczerpuje kobietę i szczuje na samą siebie, więc ma stale jakby kłującą pętlę na gardle. I nic już jej nie zaspokoi, nic nie daje radości, aż znienawidzi siebie więcej niż mężczyzn, a mężczyzn bardziej niż cokolwiek.

— Może to i prawda. — Maria z Beeret spoglądała na nią z niedowierzaniem. — Mimo to chętnie przyjąłabym biesa, jeśli uczyniłby mnie piękniejszą w oczach mężczyzn.

— Zamilcz, głupia dziewucho, bo nie wiesz, co mówisz! — krzyknęła Maria Magdalena, uderzając ją dłonią po ustach.

Maria z Beeret przestraszyła się i wybuchnęła płaczem, a Maria Magdalena, oddychając ciężko, jakby była w gorączce, pokropiła wszystko dookoła wodą i rzekła:

— Nie będę cię przeproszała, bo nie uderzyłam cię z nienawiści, tylko dla twojego dobra. Żałuję, że mnie tego nie uczyniono, kiedyś plotła równie lekkomyślnie jak ty przed chwilą. Szatan może cię zmusić, byś zamieszkała w grobowcu i żywiła się odpadkami. Żadne łańcuchy cię nie utrzymają ani najmocniejsi mężczyźni cię nie uspokoją, gdy bies w tobie wpadnie w szal. I sama nie wiem, które szatany są gorsze: czy te, które gryzą ludzkie ciało, czy też te, które pożerają duszę człowieka, aż zostanie mu tylko przeraźliwa pustka. Zmartwiłaś mnie, ale nie mam do ciebie żalu. Dobrze się stało, że przypomniałaś mi moją przeszłość. Pod tą powabną powłoką krył się do nagości obgryziony szkielet! Przeze mnie diabły doprowadziły do zguby wielu mężczyzn! Moja wina jest ogromna, choć mi wybaczone. Powinnaś się modlić: Nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Ty natomiast w swoim sercu zanosisz modły: Powiedz mi na pokuszenie i doprowadź do złego. Widzę to po twoich oczach i ustach, i po stopach, które tak niecierpliwie postukują o podłogę. Czy nie pamiętasz już, jak w Jeruzalem obiecywałaś do końca życia zadowalać się kawałkiem chleba jęczmiennego, jeśli wydobędziesz się z nędzy? Dlatego wysłałam cię do tego Rzymianina, ale ty zamiast

patrzeć w ziemię i dziękować, próbujesz zarzucić na niego sieci.

Maria z Beeret chlipała przerażona, nie śmiać się nawet na mnie spojrzeć. W głębi serca było mi jej żal, lecz Maria Magdalena srogo popatrzyła na nią spod zmarszczonych brwi.

— Pomyśl dobrze, czego chcesz: pokusy, grzechu i zła, które doprowadzą cię do zguby, czy prostego życia?

— Chcę przebaczenia za grzechy i oczyszczenia, abym znów była nieskalana — szybko odpowiedziała Maria z Beeret, unosząc na chwilę głowę. — Nie zmuszaj mnie, żebym wyznała, czego chciałabym później. Ale czy to może się spełnić, choćbym nie wiem jak gorąco się modliła?

— Rozumiem cię lepiej, niż sądzisz, czytam w twoich prostych myślach — rzekła Maria Magdalena. — Zaufaj mi, bo jestem bardziej doświadczona od ciebie. Zdejm z siebie te pstrokate łańszki i tanie ozdoby i dla swego dobra zostań u mnie. Nauczę cię łapać gołębie, a twoje serce oczyszcze ze złych myśli. Jeśli objawi mi się Jezus Nazarejski, może zechce ci okazać miłosierdzie.

— Tego się właśnie bałam! — krzyknęła Maria z Beeret i przyłgnęła do moich kolan, zanosząc się jeszcze większym płaczem.

— Marku, nie zostawiaj mnie u tej kobiety! Zapędzi mnie do roboty albo sprzeda w niewolę! Ma straszną opinię, tylko ty jeszcze o tym nie wiesz!

— Gdybyś była bardziej doświadczona, tobyś zrozumiała, że już najwyższy czas, abyś odeszła od Marka, zanim będzie miał cię dosyć i odprawi, a ty najesz się wstydu. Skąd wiesz, czy u mnie nie nauczysz się, jak stać się bardziej interesującą?

Odetchnąłem z ulgą widząc, jak Maria Magdalena z dużym taktem stara się uwolnić mnie od coraz bardziej nieznośnego ciężaru. Maria z Beeret ścisnęła i zwilżała łzami moje kolana, ale po jakimś czasie uspokoiła się i pogodziła ze swym losem. Maria Magdalena posłała ją, aby umyła twarz i przebrała się, a kiedy tamta wyszła, powiedziała:

— Czuję się odpowiedzialna za tę dziewczynę. Jest jeszcze taka młoda, że jej serce jest równie podatne na dobro, jak i na zło, a przy tym kusi mężczyzn. Dobrze o tobie świadczy, że przetrzymałaś próbę i nie uległaś złu. Maria z Beeret jest taka niewinna w swojej prostocie! Gdybyś ją zgorszył, lepiej by ci było kamień młyński zawiesić u szyi i utopić się w głębokim morzu.

— Wcale nie zamierzałem jej zgorszyć — stwierdziłem obrażony.

— Odwrotnie, to ona próbowała mnie uwieść. Gdybym się nie rozchorował, może nawet wziąłbym ją z nudów, kiedy Zuzanna i Natan zostawili mnie. Ale lepiej jej będzie u ciebie. Zaopekuj się nią, a ja będę mógł swobodnie szukać Jezusa Nazarejskiego.

— Wiesz — powiedziała Maria Magdalena — sądzę, że Zuzanna wcale cię nie oszukała. Jest na to zbyt prostolinijna. Może tkwi bezradna w Kafarnaum, przekonana, że nic się nie dzieje. Ale pozwól, że zapytam: czego ty chcesz od życia, Marku Mezencjuszu?

Jej pytanie kazało mi uporządkować myśli i zastanowić się nad sobą.

— Miałem w życiu szczęście. W młodości studiowałem języki w Antiochii, kształciłem się w szkole retoryki na Rodos. Szczytem moich marzeń było wówczas stanowisko kancelisty namiestnika w którejś prowincji wschodniej albo filozofa domowego przy jakimś rzymskim patrycjuszu. Byłem rozgoryczony, gdy po przybyciu do Rzymu nie dostałem się do konnicy, choć wcześniej wcale nie marzyłem o służbie wojskowej. Dzięki spadkowi otrzymałem prawo noszenia sygnetu rycerskiego, ale wtedy już nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Raczej lekceważyłem zaszczyty, a pierścień noszę w sakiewce. Ilekroć otrzymywałem to, o co zabiegałem, przestawało mieć dla mnie prawdziwą wartość. Potem oślepiła mnie namiętność, aż musiałem uciekać z Rzymu, żeby mnie nie zamordowano... Czego oczekuję od życia? Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Bezsukutecznie dociekam, jaka siła zmusiła mnie do wyjazdu z Aleksandrii do Jeruzalem i zatrzymała przy krzyżu żydowskiego króla, gdy cały świat pociemniał. Przez kaprys Fortuny w początku wieku męskiego mogłem mieć wszystko, czego wcześniej nadaremnie pożądałem: przyjaźń, życzliwość, rozkosze ciała. Władzę też bym otrzymał, gdybym tylko po nią sięgnął, ale nigdy nie mogłem zrozumieć żądzy władzy. Szybko zresztą czułem smak popiołu w ustach. Po bezgranicznej rozkoszy byłem tylko niespokojny. Ale wiem, że nie chcę jako opuchnięty zgrzybiały starzec tępo powtarzać zużytych myśli i wyświechtanych frazesów. A to jedyna rysująca się przede mną przyszłość. Gdybym wrócił do Rzymu, zapewne skrócono by mnie o głowę w czasie zbliżającego się nieuchronnie przewrotu. Na tyle szanuję duchy opiekuńcze cesarza, że nie chcę mieszać się w intryki żadnych krwi ludzi niskiego pochodzenia. Wolę być cichy i pokornego serca.

— Czego oczekujesz od Jezusa Nazarejskiego? — dociekała Maria Magdalena.

— Odgadłem, na czym polega jego Królestwo. Nie jest ono tylko marzeniem i poezją, jak królestwo zmarłych Wergiliusza, jest realne jak rzeczywistość, w której żyjemy, wkracza w nią i narusza jej spokój. Maria Magdaleno, jestem szczęśliwy, że mogę żyć teraz, gdy on jest w Galilei. Nie, nie proszę go o nic, nie chcę niczego, czego on sam nie chciałby mi dać. Rozumiem, Królestwo nie może być ziemskim królestwem, to na pewno coś zupełnie nowego, inaczej nie miałoby sensu. Przecież różne królestwa budowano od początku świata i wszystkie się rozpadły, nawet władztwo Aleksandra. Chociaż Rzym może się utrzyma...

Rozmawialiśmy też o innych sprawach, aż wróciła Maria z Beeret. Zmyła szminkę z twarzy i gładko uczesała włosy, włożyła prostą białą tunikę, a nogi miała bose. Była taka młoda i urocza, że rozczuliłem się i przestałem źle o niej myśleć. Ażeby nasze rozstanie nie było zbyt bolesne, postanowiłem zaraz wracać do Tyberiady. Maria Magdalena obiecała bezzwłocznie wysłać mi wiadomość, gdyby dowiedziała się czegoś ważnego, i prosiła o przekazanie pozdrowień Joannie i Klaudii Prokuli.

Poszedłem pieszo do wioski, noga w ogóle mi nie dokuczała. Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy nie byłoby dobrze przespacerować się wzdłuż wybrzeża do Tyberiady. Nad brzegiem spotkałem rybaków, którzy przywieźli nas łodzią. Wbrew mojemu poleceniu zostali i czekali na mój powrót, ponieważ nie spieszyli się, a dobrze im zapłaciłem. Niebo zaciągnęło się chmurami i zerwał się wiatr, fale huczały spienionymi grzywami. Obydwaj rybacy spoglądali na niebo i czarne chmury, wiszące

nad przełęczą górską, przestrzegając:

— Morze Galilejskie jest zdradliwe. Mogą nadejść nagle uderzenia wiatru od strony łądu i zalać łódź. Czy umiesz, panie, pływać?

Odpowiedziałem, że w młodości wygrałem zakład przepływając z Rodos na kontynent grecki i nie bałem się prądu morskiego, ale oni nigdy nie słyszeli o wyspie Rodos i nie potrafili docenić mojego wyczynu. Muszę dodać, że wówczas towarzyszyła mi całą drogę łódź i nic nie zagrażało memu życiu, a bardziej niż chęć wygrania zakładu dopingowała mnie pamięć o podniecającej dziewczynie, która obiecała mnie uwieńczyć, jeśli dopłynę. Wytrzymałem siły do granic wytrzymałości, po zwycięstwie przestałem nagle żywić sympatię do dziewczyny.

Położyłem się na poduszkach na rufie i obserwowałem szybko przebiegające po niebie chmury. Rybacy zawinęli tuniki do pasa, zepchnęli łódź na wodę i chwycili za wiosła. Oczywiście doskonale wiedzieli, iż gościłem w domu Marii Magdaleny. W wiosce rybackiej wszyscy się znają, a obcych obserwują szczególnie starannie, więc moja wizyta nie mogła pozostać tajemnicą. Nawet nie dziwili się, że zostawiłem Marię z Beeret, wymienili między sobą na ten temat, śmiejąc się, kilka dwuznacznych uwag.

— Co przez to rozumiecie? — spytałem z gniewem.

— Ależ nic złego. Tylko wygląda na to, że hodowczynie gołębi wraca do starych obyczajów. Czy dużo ci zapłaciła za dziewczynę?

— Ona wzięła ją z dobroci serca, żeby nauczyć fachu! — krzyknąłem, choć nie musiałem się tłumaczyć, ale zirytowałem się uszczypliwościami pod adresem Marii Magdaleny.

— Tak, tak! Dobrze nauczy fachu dziewczynę! — rybacy ryknęli śmiechem. — Przedtem też kształciła dziewczuchy w grze na pogańskich instrumentach, wykonywaniu rozpustnych tańców i łapaniu gołębi, ale jakich gołębi, tego nie powiemy z poczucia przyzwoitości.

Nie zdążyłem im odpowiedzieć, bo gwałtowny poryw wiatru przechylił łódź, bałwany wzniosły ją wysoko i spieniona fala chlusnęła do środka, zalewając moje posłanie. Krzyknąłem tylko, że powinni potraktować to jako karę za niegodziwe słowa, i zaraz wszyscy mieliśmy mnóstwo roboty z utrzymaniem ciężkiej łodzi w kierunku przeciwnym do wiatru. Wicher miotał nią jak szczapą, a gdybyśmy spróbowali płynąć z falami, łódź natychmiast wypełniłaby się wodą.

A ci dwaj, gamonie, chcieli postawić maszt i żagle! Stanowczo się temu sprzeciwiłem, ponieważ łódź nie miała balastu. Zza gór sunęły sztormowe chmury, ściemniło się i błyskawice rozdzierały niebo. Na wyścigi wylewaliśmy wodę z łodzi, lecz nie na wiele się to zdało. Wichura pchała nas na wschodni brzeg, zaczęliśmy dryfować. Przemoczeni do nitki i przestraszeni rybacy, groźnie na mnie spoglądając, wyrzekali:

— Ty pogański Rzymianinie, razem z tobą wzięliśmy do łódki przekleństwo! Popełniliśmy bezbożny czyn, pomagając ci zawieźć żydowską dziewczynę do lupanaru. Ale nie znaleźliśmy twoich zamiarów.

— Sami ściągnęliście na siebie przekleństwo, źle mówiąc o Marii Magdalenie— odgryzłem się, zanurzony w wodzie po szyję i trzymając się burty.

Woda nie była wprawdzie bardzo zimna, lecz i tak zdążyliśmy dobrze zziębnąć, zanim wiatr na tyle się uspokoił, że mogliśmy ją wylać z łodzi i wpłynąć do ujścia wyschniętego potoku. Płaski odcinek brzegu był tutaj węższy niż zachodni, wprost przed nami wznosiły się strome góry. Wicher wciąż dał, a fale biły o brzeg z taką siłą, że pod wieczór rybakom przeszła ochota na wiosłowanie pod wiatr, chociaż przypuszczali, że na noc ucichnie.

Zacząło się zmierzchać i było nam zimno, choć wykręciliśmy odzienie z wody jak można najlepiej. W oddali, tam, gdzie z niskiego brzegu wystrzelały góry, dostrzegliśmy maleńki szałas, a przed nim migocący ogień. Zaproponowałem, żeby tam się udać i wysuszyć ubrania, ale rybacy wahali się i ostrzegali:

— Jesteśmy na obcym brzegu. Na szczęście nie mamy sieci, inaczej zapłacilibyśmy karę za połowy w niedozwolonym miejscu. Na tę stronę uciekają rozbójnicy i przestępcy z Galilei, w grotach zaś mieszkają trędowaci.

Rybacy mieli ze sobą krzemień i żelazo, lecz fale sztormowe tak zmoczyły wszystko na brzegu, że nie mogliśmy rozpalić ognia. Skierowałem się do szałasu, a rybacy szli za mną z ociąganiem. Z bliska zobaczyłem, że przed szałasem siedzi mężczyzna i dorzuca chrust do ognia, którego płomień strzelał wysoko w górę. Poczulem zapach smażonej ryby i chleba. Obok szałasu wisiała susząca się sieć.

— Pokój tobie — powitałem samotnego rybaka. — Wpadliśmy w sztorm. Czy pozwolisz, żebyśmy wysuszyli się przy ogniu?

Zrobił nam miejsce, więc rozebrałem się i rozwiesiłem odzienie na kiju. Na rozgrzanych płaskich kamieniach piekł się chleb, a na rozżarzonych węglach dwie duże ryby. Według miary rzymskiej minęła godzina szósta. Zacieniony górami brzeg, na którym się znajdowaliśmy, ogarnął już zmierzch, chociaż na zachodnim brzegu nadal jarzył się odblask światła nad budynkami i krużgankami Tyberiady.

Nieznamomy rybak miał czyste oblicze, wyglądał na potulnego i prostego człowieka, którego nie trzeba się bać. Przyjaźnie powitał rybaków i zrobił im miejsce koło ognia. Obmacali jego sieci i spytali o połowy. Powiedział nieśmiało, że ma nadzieję, iż sztorm przygna ławicę do zatoczki i że rano będzie próbował szczęścia.

Nie zapraszał nas oficjalnie do posiłku, lecz — jakby to rozumiało się samo przez się — wziął chleb, pobłogosławił, odłamał po kawałku dla każdego z nas i dla siebie. Miał też kwaśne wino. Nalał go do kubeczka zrobionego z korzeni winorośli, też pobłogosławił i podał nam do picia: wszyscy czterej piliśmy z tego samego kubka. Rybę piekł po mistrzowsku, a że nie miał soli, przyprawił ją rosnącą na brzegu polną cebulą i cierpkimi ziołami. Jedliśmy w milczeniu. Zauważyłem, że moi rybacy od czasu do czasu spoglądają podejrzliwie na samotnika, który patrzył w ziemię, uśmiechał się do siebie i jakby delektował każdym kęsem. Po posiłku, zapewne dla ukrycia swej nieśmiałości, w roztargnieniu rysował coś patykiem po piasku.

Mokre ubrania wyschły przy ogniu. Czułem, jak ziąb ustępuje z mych członków,

ciepło rozchodzi się po ciele. Było mi bardzo dobrze. Ogarnęło mnie senne znużenie, oczy same się zamykały. Patrzyłem na mężczyznę, który tak gościnnie i bez słowa podzielił się z nami posiłkiem. Miał blizny na rękach i nogach, a w twarzy coś jakby pozostałości gorączki i niemocy — chyba przechodził ciężką chorobę i dla jej przezwyciężenia usunął się w samotność. Ale nie chciałem być natrętny, bo i rybacy go o nic nie pytali. W ten sposób nawet się nie spostrzegłem, gdy nagi zasnąłem przy ognisku i tylko przez sen czułem, że ktoś okrywa mnie moimi osuszonymi szatami.

Potem miałem sen i obudziłem się jak w gorączce. Zerwałem się i usiadłem. Moi rybacy spali mocno, lekko pochrapując. Gorące łzy piekły, spływając mi po twarzy, ogarnęło mnie wrażenie niewysłowionego osierocenia. Ognisko prawie wygasło. Po gwiazdach i księżycu widziałem, że musiała już minąć trzecia godzina nocnej warty. Jezioro przede mną skrzyło się gładkie i błyszczące jak lustro. Ale czwartego spośród nas nie było. Zaniepokojony zerwałem się na równe nogi. Z uczuciem ulgi zobaczyłem, że stoi kilka kroków dalej, odwrócony do mnie plecami, patrząc w jezioro. Okryłem się płaszczem, szybko podszedłem do niego i przystanąłem obok.

— Na co patrzysz? — spytałem.

— Zobaczyłem otwarte niebo i jasność mego Ojca i zatęskniłem do domu Ojca mego — odrzekł nie odwracając się.

Mówiłem do niego po grecku i w tym języku otrzymałem odpowiedź. Dlatego też, a także na podstawie jego słów, doszedłem do przekonania, że jest być może uczniem zamężzonego Jana Chrzciciela, uciekł przed prześladowaniem Heroda do pustelni i żywi się samymi rybami. /

— Ja także szukam Królestwa. Obudziłem się we łzach tęsknoty. Zaprowadź mnie na właściwą drogę — poprosiłem.

— Droga jest tylko jedna: co uczynisz jednemu z najmniejszych, mnie uczynisz. — A po chwili dodał: — Nie tak jak daję świat, ja wam daję. Niech się nie trwoży serce twoje ani się nie lęka. Duch prawdy przyjdzie po mnie, ale świat przyjąć go nie może, ponieważ świat go nie widzi ani nie zna. Ale jeśli go poznasz, będzie przebywać u ciebie i w tobie. Nie zostawię nikogo sierotami.

Serce topniało mi jak воск, oczy zasnuły się łzami i podniosłem bezradnie ręce, lecz nie odważyłem się go dotknąć.

— Nie mówisz jak zwykły człowiek — szepnąłem. — Mówisz jak ten, który ma władzę.

— Dana mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi.

Dopiero teraz odwrócił się do mnie. W świetle gwiazd i księżyca widziałem jego czarowny uśmiech, z którym patrzył na mnie. Jego spojrzenie rozbierało, jakby jedna warstwa odzienia po drugiej spadała ze mnie, i stawałem się coraz bardziej obnażony. Jednakże to uczucie nie było przykre — było wyzwalające.

— Tam — wskazał na drugą stronę jeziora — w księżęcym mieście, w teatrze greckim, płacze w tej chwili dziewczyna, której umarł brat i nie ma znikąd pomocy. Co ci

się śniło?

— Widziałem we śnie białego konia — przypomniałem sobie.

— Niech tak będzie. Za kilka dni będziesz oglądał wyścigi. Postaw na biały rydwan. Potem odszukaj dziewczynę i daj jej wygraną.

— Jak w tym wielkim mieście mam znaleźć dziewczynę, która straciła brata? I ile mam postawić?

— Ileż zbędnych pytań, Marku!... — zganiał mnie. Uśmiechnął się znowu, ale tym razem jego uśmiech był tak smutny, aż mnie zabolalo.

— Skąd znasz moje imię? Czy ja ciebie znam? Wydaje mi się, jakbym cię gdzieś wcześniej spotkał.

— Czy nie wystarczy, że ja znam ciebie? — odrzekł potrząsając głową.

Pomyślałem, że specjalnie się maskuje, i utwierdziłem w przekonaniu, że musi być jednym z cichych, któremu rozmyślania religijne i samotność pomieszały rozum. Bo jakże inaczej mógłby się chełpić, że ma pełnię władzy na niebie i ziemi? A może ma zdolności jasnowidza? Dlatego postanowiłem zapamiętać jego rady. On wszakże jeszcze powiedział:

— Och, człowieku! Patrzysz, a nie widzisz. Słuchasz, ale nie słyszysz. Zapamiętaj sobie, Marku. Będziesz musiał umrzeć dla mojego imienia, aby zajaśniało w tobie, tak jak mój Ojciec zajaśniał we mnie.

— Tyle złego mi przepowiadasz — przestraszyłem się, lecz tak naprawdę w ogóle nie pojąłem jego słów. Pomyślałem, że pewnie mówi źle po grecku, więc nie mogę dokładnie zrozumieć.

Westchnął głęboko i zsunął z barków płaszcz aż do pasa, obnażając górną część tułowia. Był tak ubogi, że nie miał na sobie nawet tuniki. Odwróciwszy się do mnie plecami polecił, abym dotknął jego pleców.

Wyciągnąłem rękę, zrobiłem, co kazał, i palcami wyczułem blizny po biczowaniu. Ponownie westchnąwszy dotknął boku — przesunąłem tam dłoń i znalazłem głęboką szramę. Był torturowany i męczony, więc nic dziwnego, że rozum mu się pomieszał. W duchu przeklinałem Żydów, którzy dla swojej religii w tak straszliwy sposób prześladowali się nawzajem. W tym człowieku nie było zła, chociaż mówił tak nieskładnie. Ogarnął mnie głęboki żal i zaproponowałem:

— Podaj mi swoje imię. Może będę mógł spowodować, żeby cię już więcej nie prześladowali.

— Jeśli uznasz mnie przed ludźmi, gdy nadejdzie chwila, to i ja uznam cię przed Ojcem moim.

— Ale jak się nazywasz? — nalegałem. — I kim jest twój ojciec, skoro tak się nim chełpisz, dziwny człowieku?

Nie odpowiedział, tylko narzucił płaszcz na ramiona i odszedł wzdłuż wybrzeża.

Tak, był dziwny, ale był człowiekiem z krwi i kości, co sam ręką wyczułem. Nie ośmieliłem się iść za nim i zamęczać go dalszymi pytaniami. Wróciłem do szałas, gdzie zasnąłem natychmiast i nic mi się nie śniło.

Obudziłem się, gdy słońce świeciło mi w oczy zza gładkiego jak lustro jeziora i wyłożonych słońcem gór. Po drugiej stronie wody lśniły kolumny Tyberiady i wszystko w moich oczach wydawało się świeże i piękne, jakbym nowo narodzony obudził się w nowym świecie. Obydwaj rybacy byli już na nogach, właśnie wzniesli ręce i modlili się słowami „Słuchaj, Izraelu”. Nie było ani samotnego rybaka, ani jego sieci. Ułożył natomiast pozostałości posiłku wieczornego, jakby zapraszał nas do zjedzenia. Chętnie to uczyniliśmy, a następnie udaliśmy się do zatoki, zepchnęli łódź na wodę i wsiedli. Rozglądałem się, chcąc ujrzeć samotnego rybaka, lecz nigdzie go nie widziałem, chociaż wczoraj mówił, że rano będzie łowić ryby. Nie został po nim ślad.

Rybacy ostro zabrali się do wiosła. Łódź przecinała wodę, w której odbijały się grzbiety gór i płonące smugi wstającego słońca. Ja nadal miałem to dziwne uczucie obnażenia, a im więcej myślałem o tym, co wydarzyło się w nocy, tym bardziej zaczynałem się zastanawiać, czy aby to wszystko mi się nie przyśniło. Bo jaki pustelnik znad Morza

Galilejskiego zna język grecki?

Rybacy napierali na wiosła, wypatrując właściwego kierunku, i ani razu nie obejrzeni się za siebie. Zapewne chcieli jak najszybciej oddalić się od obcego brzegu. Ja oglądałem się wielokrotnie, usiłując wypatrzeć sylwetkę samotnika, lecz nigdzie nie było go widać. W końcu spytałem:

— Kim był ten człowiek, przy którego ognisku nocowaliśmy? Czy znacie go?

— Nie bądź taki ciekawy, Rzymianinie. Przecież byliśmy na obcym brzegu — rzekł jeden.

Po chwili drugi dodał:

— Chyba kiedyś widziałem, jak przemawiał do ludzi. Ale zdaje się, że go wychłostali i wyrzucili z Galilei. Do tego niewiele trzeba. Jana skrócili o głowę, gdy odważył się zakazać naszemu księciu ożenku z żoną jego brata.

— Z twarzy i oczu było w nim coś z Jezusa Nazarejskiego. — powiedział pierwszy. — Zrazu omal nie wziąłem go za Mistrza. Ale Jezus był wyższy i bardziej władczy, nie taki potulny jak ten. Czy to przypadkiem nie jego brat albo jakiś towarzysz, który się ukrywa?

Nieprawdopodobna myśl jak błyskawica uderzyła mi do głowy i przeszła na wylot całe ciało.

— Zawracamy! — krzyknąłem, zrywając się na równe nogi.

Nie usłuchali mnie, dopóki nie zagroziłem, że skoczę do wody i popłynę wpław do brzegu. Niechętnie zawrócili łódź i powiosłowali z powrotem. Dziób łodzi jeszcze nie zdołał otrzeć się o brzeg, a ja już wskoczyłem do wody i zdyszany pobiegłem pędem do szałas. Wszystko było jak przedtem, palenisko i wgłębienie w ziemi, ale nie zastaliśmy

żywej duszy. Jak wariat biegałem po wybrzeżu w obydwie strony, na próżno wypatrując bodaj śladów stóp, aż rybacy siłą schwytali mnie i wsadzili do łodzi.

Zakryłem twarz, wyrzucając sobie głupotę, że go nie poznałem. Potem znów mnie ogarnęło zwątpienie, bo przecież ten mężczyzna był żywym człowiekiem, co stwierdziłem własnymi rękami. Nie zauważyłem w nim żadnej boskości, która byłaby zgodna z moim wyobrażeniem istoty nadprzyrodzonej. Jego słowa odbierałem jako świadectwo zaćmienia umysłu. Dlaczego jednak boskość ma być właśnie taka, jak sobie wyobrażam? A może boskość jest równie prosta jak chleb, którym nas karmił, i wino, które wypiliśmy? Czy mogę wyrokować, do czego ma być podobny syn Boga i w jaki sposób ma się objawiać ludziom?

Ogarnęła mnie dręcząca niepewność i nie wiedziałem już, czemu dać wiarę. Dlatego jeszcze raz w myślach słowo po słowie powtórzyłem swoje pytania i jego odpowiedzi. Nadal nic nie rozumiałem, ale pomyślałem, że wkrótce okaże się, czy rzeczywiście będę oglądać wyścig rydwanów w tyberiadzkim cyrku.

— Sam wam wczoraj opowiadałem, że Nazarejczyk powstał z grobu trzeciego dnia — ze złością wypominałem rybakom. — Skoro domyśliliście się, że to on, czemu nie rozmawialiście z nim?

— A po co mieliśmy do niego mówić? — odpowiedzieli pytaniem na pytanie, spoglądając po sobie. — Gdyby miał do nas sprawę, toby nam powiedział. Poza tym baliśmy się. — Po czym dodali: — Nie mamy zamiaru nikomu opowiadać o tym spotkaniu i ty też lepiej zrobisz milcząc. Jeśli to rzeczywiście był Jezus Nazarejski, w co trudno uwierzyć, to ma swoje powody, żeby ukrywać się przed Rzymianami.

— Jeśli to był on, to nie musi obawiać się niczego na świecie. Zresztą w Jeruzalem ukazał się swoim uczniom, którzy znajdowali się za zamkniętymi drzwiami.

— Cudzoziemcze — zaśmiali się serdecznie — nie wierz wszystkiemu, co opowiadają Galilejczycy! Mamy bardzo bogatą wyobraźnię!

Dotarłem wreszcie do swojego pokoju w luksusowym greckim zajeździe i poczułem ogromną ulgę na myśl, że w końcu jestem sam i mogę spokojnie rozmyślać i spędzać dzień, jak mi się podoba. Dotąd Maria z Beeret bez przerwy płątała się koło mnie. Jak bardzo mi przeszkadzała, uświadomiłem sobie dopiero teraz, kiedy uwolniłem się od niej dzięki Marii Magdalenie.

Usiłowałem przemyśleć wydarzenia znad jeziora, lecz cisza wokół mnie stawała się pustką, a serce ogarnęło niespokojne rozdrażnienie. Tutaj, w wygodnym otoczeniu, gdzie do rangi spraw najważniejszych urasta kwestia przyjemnego spędzenia czasu, omawiania dolegliwości i zjadanie posiłków, nie mogłem w żaden sposób przyjąć do świadomości, że naprawdę spotkałem Jezusa Nazarejskiego. Wstrząs spowodowany sztormem zmaćcił mój umysł i narzucił taką pokrętną interpretację faktów. Przecież nawet rybacy sztydziłi ze mnie. Gdyby to był Jezus i gdyby chciał mi się objawić, to chyba mówiłby ze mną otwarcie i sam by się przedstawił.

Niepokój narastał, aż stał się tak męczący, że nie mogłem usiedzieć na miejscu. Chodziłem tam i z powrotem po pokoju i już nie umiałem cieszyć się samotnością. W

końcu wysłałem wiadomość o swoim powrocie do Klaudii Prokuli, ale odpowiedziała, że nie ma dla mnie czasu. Posłaniec doniósł, że przybyli do niej dostojni goście z pałacu Heroda Antypasa.

Dopiero następnego dnia Klaudia Prokula przysłała przez służącego zaproszenie na obiad. Nie byłem jedynym gościem, przybył bowiem również rzymski doradca Heroda Antypasa, małżonek Joanny imieniem Chuza, oraz osobisty lekarz Heroda przysłany przez księcia dla zbadania dolegliwości Klaudii Prokuli. Lekarz ten był liberalnym Żydem, studiował na wyspie Kos i tak przesiąknął greckim duchem, że był bardziej grecki niż rodowici Grecy. Przed przyjściem Klaudii Prokuli podano nam wino i ostre przekąski. Dworzanie księcia zadawali mi różne podchwytliwe pytania, ale ograniczyłem się do wychwalania leczniczych właściwości tyberiadzkich wód i na dowód ich skuteczności pokazywałem nogę, którą tak szybko wykurowano z zakażenia krwi.

Klaudia Prokula życzyła sobie, aby w obiedzie uczestniczyła Joanna, chociaż jej mąż wyraźnie tego nie pochwałał. Joanna cały czas milczała, natomiast bardzo błada Klaudia Prokula skarżyła się, że nadal cierpi na bezsenność, a kąpiele ją tylko znużyły. Jeśli uda jej się zasnąć, mówiła, męczą ją koszmarnie zjawy, aż służba musi ją budzić, bo strasznie jęczy przez sen.

— Ach, Marku, nie zgadniesz, w jakie wpadłam tarapaty, choć jestem chora. Mój mąż przestrzegał mnie przed taką ewentualnością, ale nawet się nie domyślał, że znajdę się w tak trudnej sytuacji. Nigdy nie wymagałam zbyt wiele i nie mieszałam się do polityki. Księżę Galilei i Perei, Herod, jest aż za bardzo łaskawy. Pragnie za wszelką cenę zorganizować wyścigi rydwanów pod moim patronatem, aby w ten sposób okazać przyjaźń dla Poncjusza Piłata. Nie chciałabym jednak wywoływać sensacji, już i tak uczynił dla mnie wiele, bo na wieść o moim przyjeździe wysłał aż do granicy eskortę jeźdźców w purpurowych płaszczach. Spójrz tylko — wyraźnie złośliwie popatrzyła na dworzan księcia — chcą, abyśmy jego piękna małżonka Herodiada i ja siedziały obok siebie w książęcej łoży i razem przyjmowały oklaski tłumu. Ale ja nawet nie znam Herodiady! Słyszałam, że jej małżeństwo jeszcze nie jest ważne w myśl żydowskiego Prawa.

Dworzanie szybko podnieśli ręce, jakby odzegnując się od takiej zniewagi; zauważyłem też, że długobrody Chuza jest zaniepokojony. Nie miałem nic do stracenia i nie zależało mi na przychylności księcia, dlatego powiedziałem otwarcie, bo zrozumiałem, że Klaudia Prokula tego pragnie:

— Rozmawiamy wśród przyjaciół. Lis jest mądrym zwierzęciem, a słyszałem, że księcia Heroda Antypasa pochlebnie nazywają lisem. A więc książę-lis chciałby, aby kobieta mająca najwyższą rangę we wschodnich prowincjach, Rzymianka i krewna cesarza, publicznie się pokazała w towarzystwie jego żony na dowód, że akceptuje to małżeństwo, które już tyle krwi napsuło, a nawet doprowadziło do zamordowania pewnego proroka. Można sobie wyobrazić, jaką burzę życzliwości wzbudziłaby twoja osoba, gdyby fanatyczni Galilejczycy zademonstrowali w cyrku swoją miłość równocześnie do Rzymian i do księżnej. Sądzę, że w cyrku będą potrzebne ze dwie kohorty żołnierzy dla utrzymania porządku, a widzów przydałoby się sprawdzać przy wejściu, żebyś nie dostała czymś po głowie.

— Nie mam nic przeciwko księżnie Herodiadzie — zastrzegła się szybko Klaudia. — Jeśli jednak będę patronować wyścigom, a powstaną z tego powodu jakieś rozruchy, mój mąż nie będzie mógł nawet zdecydować, czy są to zamieszki skierowane przeciw Rzymianom, czy tylko przeciwko księżnej. Słyszałam, że naród nie chce jej pozdrawiać i gdy pokazuje się na ulicach, ludzie uciekają albo odwracają się plecami.

— Gdyby doszło do rozruchów — zabrał głos rzymski doradca Heroda — zawsze można stwierdzić, że są wymierzone przeciwko Rzymianom. Da to księciu możliwość wykazania się lojalnością wobec Rzymu i udzielenia narodowi nauczki. Także księżna byłaby zadowolona z takiego obrotu rzeczy.

— Ale mój mąż tego by nie pochwalał — odparła Klaudia Prokula.

— Poncjusz Piłat jest bardzo umiarkowany i stara się unikać niepotrzebnych zamieszek. Oczywiście byłyby to sprawa księcia, a nie prokuratora Judei, ale nie można przewidzieć, kto i jak tego rodzaju historie będzie relacjonować w Rzymie. Dziękuję ci, Marku, że mnie bronisz. Podjęłam już decyzję: przyjmę zaproszenie, ale jako osoba prywatna. Oznacza to, że zasiądę we własnej łoży, chociaż oczywiście po wyścigach jestem gotowa powitać księżną Herodiadę i zawrzeć z nią przyjaźń. Nie jestem sprzedana, to mi nawet nie przystoi jako małżonce prokuratora Judei.

— Nie wiedziałem, że Galilejczycy organizują gonitwy konne

— powiedziałem, aby skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

— Ci rybacy i oracze w ogóle się nie znają na koniach — rzekł pogardliwie lekarz. — Ale cyrk i teatr to najlepsze środki dla szerzenia cywilizacji i przewycięzania uprzedzeń. Nie żyjemy w czasach ucieczki Żydów z Egiptu i wędrówki przez pustynię. W różnych krajach wyścigi rydwanów są bardzo popularne. Do Tyberiady przysłano na przykład zaprzęgi z Idumei, Cezarei i Damaszku, a książęce konie krwi arabskiej są nieokielznane! Nic nie może przeszkodzić wyścigom!

— Wyścigi potrafią jednak szerzyć nienawiść plemienną — zauważył Chuza. — Arabowie są rozgoryczeni, jako że poprzednia żona księcia była Arabką i została odesłana do namiotów ojca.

— Dziwny kraj — powiedziałem ironicznie — w którym wyścigi konne powiększają spory między narodami. W Rzymie zwolennicy różnych barw cyrkowych okładają się czym się da, zarówno przed, jak i po wyścigach, ale na tym się kończy.

— Jeśli z powodu wyścigów będą jakieś guzy i potłuczone czaszki, to trzeba je uznać za przejaw cywilizacji — orzekł rzymski doradca księcia. — Znacznie gorsze są awantury na tle religijnym. Ale mamy nadzieję, że będziemy mogli znów kilka lat żyć w spokoju, skoro pozbyliśmy się króla, którego twój mąż, Klaudio, tak sprawnie kazał ukrzyżować w Jeruzalem.

— Masz na myśli Jezusa Nazarejskiego? — spytałem. — A czy wiesz, że on zmartwychwstał i wrócił do Galilei?

Powiedziałem to w tej samej lekkiej tonacji, jakiej użyłem wcześniej, aby myśleli, że żartuję. Mimo to nagle wszyscy sposepniali, aż dopiero Chuza zauważył:

— Galilejczycy są narodem zabobonnym. Proszę bardzo, oto przykład: przecież z początku sam ksiązę, gdy usłyszał o Jezusie, myślał, że zmartwychwstał ten święty prorok, co nosił odzienie z wielbłądziej sierści. Ale prawdę mówiąc nie sądziłem, że te nieprzyjemne pogłoski dotarły już do uszu przyjezdnych.

— Kiedy o tym usłyszałem, dużo rozmyślałem i rozpytywałem tych, którzy widzieli go umierającego — żywo gestykulując mówił upodobniony do Greka lekarz. — Nie połamano mu goleni, chociaż ciało trzeba było szybko zdjąć z krzyża. Powiadają również, że z jego boku ciekła krew, gdy dla potwierdzenia zgonu żołnierz przebił go włócznią. Sztuka medyczna stwierdza, że martwe ciało nie wydała krwi. Jest więc możliwe, że napojono go odurzającym winem i zapadł w podobny do śmierci sen. Bo niby dlaczego jego uczniowie wykradli ciało z grobu? Może ocucili go i rzeczywiście teraz gdzieś się tu kryje w jaskiniach? Był przecież zdolnym magiem.

— Człowiek ukrzyżowany przez Rzymian nie wraca do życia

— rzekł ostro rzymski doradca. — Ciężko obwiniasz Poncjusza Piłata. Licz się ze słowami!

— Akurat wtedy przybyłem do Jeruzalem i przypadkiem widziałem na własne oczy, jak umierał — wtrąciłem się do rozmowy.

— Dlatego ta sprawa mnie interesuje. Mogę zapewnić, że naprawdę umarł na krzyżu. Gdyby się tylko dusił do utraty przytomności, to i tak by zmarł w chwili przebicia serca. Podkreślam, że widziałem to na własne oczy.

— Laikowi trudno jest orzekać o zgonie — grecki lekarz uznał za stosowne odwołać się do własnej profesji. — Do tego potrzebny jest doświadczony lekarz. — I zaczął opowiadać o przypadku, który sam widział, aż Klaudia Prokula zatkała uszy ręką i pisnęła:

— Nie mów takich potwornych rzeczy, bo znowu będą mi się śniły koszmary!

— Czy Maria Magdalena, jak powiadają, rzeczywiście skończyła z wiadomą profesją? — zapytał zmieszany lekarz, chcąc zmienić temat rozmowy.

Po tych słowach zapadła martwa cisza. Zdziwiony lekarz rozejrzał się dookoła i zapytał:

— Czy powiedziałem coś złego? Czy o tym nie należało mówić? Ale dlaczego?! Galilea ma milion mieszkańców, a może i więcej, ale to mały kraj, gdzie wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Przecież swego czasu Maria Magdalena stanowiła swego rodzaju ciekawostkę, tak że wieczorami niesiono do niej z Tyberiady lektyki, które w świetle pochodni tworzyły kolejkę! Podobno byłeś u niej i zostawiłeś na wychowanie dziewczynę, którą przywoziłeś aż z Jeruzalem. Co w tym złego?!

— Ponieważ nie odpowiadałem, ciągnął beztrosko: — Wielu uważało ją za niewiastę niebezpieczną. Podobno swego czasu jakaś czarownica z Samarii wodziła ją za sobą, przy jej pomocy wzywając duchy. Rozsądny lekarz oczywiście uważa takie opowieści za bzdury.

— Moja żona ją zna — rzekł niechętnie Chuza — ale oczywiście już się z nią nie

spotyka. Jezus Nazarejski uzdrowił ją, tak że Maria Magdalena nie ma już nic wspólnego z czarami, tylko rozdaje jałmużnę i żyje jak zwykła kobieta. W ogóle uważam, że ten Jezus uczynił więcej dobrego niż złego. Nie był żadnym buntownikiem ani bluźniercą, chociaż go za to skazano. Moja żona, Joanna, chodziła za nim jakiś czas, aby spełnić przyrzeczenie, jakie złożyła, gdy uzdrowił naszą krewną z gorączki, i nie słyszałem, żeby opowiadała o nim coś złego.

— Zdenerwował się, walnął pięścią w dłoń i ciągnął: — Nic by mu się nie stało, gdyby nie poszedł do Jeruzalem. Wielokrotnie przychodzili tu faryzeusze, żeby spreparować oskarżenie przeciwko niemu, ale im się nie udawało. Moim zdaniem bezmyślnym marnotrawstwem jest wysyłanie z całego kraju dziesięcin podatkowych do Świątyni. O ile wiem, Jezus Nazarejski nauczał modlitwy do Boga w duchu i w prawdzie. Sanhedryn oczywiście doszedł do wniosku, że takie nauki zmniejszają dochody Świątyni. A przecież to szaleństwo, żeby ubogi wieśniak płacił jedną dziesięcinę Świątyni, drugą księciu, daninę i cło Rzymianom i jeszcze podatek drogowy, podatek solny i opłaty targowe. Jeszcze trochę, a chłopci stracą swoje ziemie i sady, bo już więcej nie są w stanie płacić. Tak już się stało w Judei, gdzie bogaci skupują coraz większe obszary ziemi i tworzą wielkie majątki. Konsekwencją jest zwiększanie się liczby włóczęgów, ogólny niepokój i niezadowolenie oraz nienawiść wszystkich do wszystkich. Zapewniam księcia Heroda, że nie musi się bać Jezusa.

Rzymski doradca chciał coś powiedzieć, lecz Klaudia Prokula uprzedziła go i rzekła z naciskiem:

— Jestem tego samego zdania co ty, Chuzo! Jezus Nazarejski był dobrym i pobożnym człowiekiem i Poncjusz Piłat nie byłby go skazał, gdyby Żydzi go do tego nie zmusili.

Po obiedzie Klaudia Prokula zaczęła narzekać na ból głowy i odeszła do swoich pokojów. Lekarz troskliwie jej towarzyszył, przygotowując jakiś napój uspokajający. Chuza również oddalił się, aby porozmawiać z żoną o sprawach, jak to określił, natury gospodarczej. Zostałem sam z rzymskim doradcą. Wyciągnęliśmy się na leżankach i popijali wino, a rozmowa toczyła się wokół sytuacji w Rzymie. Próbował wypytywać mnie o wpływy Sejana, ale bardzo uważałem na to, co mówię. Gdy wyjaśniłem, że już rok minął, jak wyjechałem z Rzymu, doradca przestał się mną interesować. Ja z kolei pytałem o księcia Heroda i jego dwór. Parsknął śmiechem i ostrzegł:

— Nie radziłbym publicznie nazywać go lisem. Wszyscy potomkowie wielkiego Heroda są mściwi i bardzo drażliwi, jeśli chodzi o ich pozycję. Niewątpliwie są wyjątkowo zdolni i rozważli, a także niezachwianie lojalni wobec Rzymu, któremu zawdzięczają swoje stanowiska. Stosunki pokrewieństwa w ich rodzinie są okropnie poplątane! Herod Wielki był dziadkiem Herodiady, a równocześnie ojcem Heroda Antypasa. Żydzi mają więc powody do podważania legalności tego małżeństwa. Na szczęście książę potrafi dochodzić swoich praw. Na jego dworze każdy adwokat znajdzie się w opałach. Ja mam prawo weta wobec wyroków za przestępstwa karane śmiercią, ale oczywiście nie jestem taki głupi, żeby z tego korzystać. Staram się tylko zgromadzić kapitał z mojej dobrej posadki. Tyberiada jest niezłym miejscem dla takich starań. A może byśmy sobie popili i poszli zabawić się do miasta? Pokażę ci, jak roztropny mężczyzna potrafi współżyć z Żydami, nie mieszając się do spraw, które do niego nie

należą. Odmówiłem, powołałem się na chorą nogę, on zaś jął się usprawiedliwiać:

— Oczywiście, mam informatorów w wielu miastach, i legion też ma swoich. Dbam, aby potajemnie nie przywożono do kraju broni i aby księżę też jej nie magazynował. Równocześnie pilnuję jego spraw zagranicznych. Na szczęście zirytował Arabów, a Partowie są zbyt odlegli, zresztą nic sobie nie robią z takiego małego księcia. Moja pozycja w Rzymie nie jest podważana.

Byłem ciekaw, jak zdołał się ustrzec przez zarażeniem religią żydowską w kraju, który roi się od proroków i świętych ludzi. Odżegnał się obydwoma rękami i zapewnił:

— Wystrzegam się wkładania rąk w gniazdo szerszeni. Mamy wizerunek cesarza i składamy mu ofiary mimo nieśmiałego sprzeciwu Tyberiady, ale oczywiście miejscowych nie zmuszamy do udziału w tych ceremoniach. Ten naród jest jeszcze tak zacofany, że książęcy dworzanie uciekają z teatru w czasie spektaklu. Nie można nawet pomyśleć, żeby ktoś skazany na śmierć został zgładzony na scenie, jak w Aleksandrii, toteż przy wystawianiu tragedii musimy się zadowalać użyciem zakrwawionych worków. Żydzi nie cierpią oglądania w teatrze nawet dowcipnych świristewek, a wystawienie farsy jest tu nie do pomyślenia.

Coś sobie przypomniałem. Spytałem, czy aktualnie gości w Tyberiadzie jakaś trupa aktorska. Potrząsnął głową i powiedział:

— Nic o tym nie słyszałem. Jeśli księżę sam nie opłaci przedstawienia, trudno znaleźć kogoś, kto by pokrył koszty. Wobec braku zainteresowania teatr nie ucywilizuje tego narodu, jak bywało w innych krajach.

Wreszcie postanowił odejść, a Chuza mu towarzyszył. Na dziedzińcu z szacunkiem pożegnałem ich, kiedy wsiadali do swoich lektyk; przecież niczego nie traciłem okazując uprzejmość obu wpływowym mężom. Osobisty lekarz Heroda wykorzystał okazję, aby pokręcić się po kąpielisku i upolować tłustego pacjenta dla podreperowania sakiewki. Kiedy odeszli, Klaudia Prokula poprosiła mnie do siebie i trzymając się za głowę spytała słabym głosem:

— Czy Maria Magdalena miała jakieś nowiny? Kazała mi coś powtórzyć?

— Ona czeka — wyjaśniłem. — Nikt nie wie niczego, o czym byśmy już nie wiedzieli.

— Przekazano mi informację — powiedziała Joanna — że w głębi kraju, niedaleko Nainu, krążył człowiek, którego brano za Jezusa, ale zniknął, zanim cisi zdążyli go odnaleźć.

— Możliwe, że ci, którzy go spotkali, z jakiegoś powodu nie chcą o tym rozpowiadać.

— Przyjechałam z entuzjazmem, bo chciałam dać mu możliwość uzdrowienia moich dolegliwości, a przez to poprawienia jego opinii po zmartwychwstaniu — skarżyła się Klaudia Prokula. — Dlaczego więc mnie się nie objawia? Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, skoro potrafi przenikać przez zamknięte drzwi. Wcale bym się nie przeraziła. Co noc straszą mnie przecież okropne zmory! Zaczynam być zmęczona tym

oczekiwaniem, a kąpiele w śmierdzącej siarką wodzie męczą mnie i nie wiem, jak mam się ubrać na te wyścigi... Mimo wielu dobrych cech Poncjusz Piłat jest skąpy, bo wychował się w prymitywnych warunkach. Jego matka pochodzi z barbarzyńców zamieszkujących północną część Brytanii, gdzie jedzą klenie.

— Wspomniałam Chuzie o twoim kłopotcie — wtrąciła Joanna.

— Jego zdaniem, książę powinien ci podarować jedwabną suknię, jeśli zechcesz zaszczycić swą obecnością jego wyścigi.

— Jeśli Herod wetknie mi jakąś starą szatę Herodiady, potraktuję to jako obelgę — rzekła Klaudia Prokula ze złością. — Postaraj się, żeby to wziął pod uwagę. W ogóle nie mam ochoty na prezenty od tej żydowskiej ladacznicy. To, co dostanę, musi być zakupione z funduszu spraw zagranicznych księcia. — Odwracając się w moją stronę wyjaśniła: — Ty wiesz najlepiej, Marku, że nie jestem małostkowa, że bardziej kocham samotność niż rozgłos. Lecz jeśli już wyrażam zgodę na publiczne wystąpienie, to muszę się ubrać, jak na Rzymiankę i żonę prokuratora Judei przystało. Są to jednak sprawy, których żaden mężczyzna naprawdę nie zrozumie, choćby nie wiem jak się zaklinał, że wszystko jest dla niego jasne.

— Rzeczywiście nie bardzo cię rozumiem — przyznałem. — Wygląda na to, że wyścigi są dla ciebie ważniejsze niż Nazarejczyk, którego chciałaś szukać. Zmartwychwstały syn Boży może właśnie teraz buduje wokół nas niewidzialne Królestwo, a ty myślisz o tym, co na siebie włożyć, żeby się przypodobać arabskim książętom i bogatym hodowcom koni!

— Mam dosyć rzeczy nadprzyrodzonych w moich snach — fuknęła rozdrażniona Klaudia Prokula. — Każdej nocy przeżywam grozę królestwa zmarłych i nie mogę ruszyć ręką ani nogą, ani nawet krzyknąć, bo mi się wydaje, że umieram. W miarę wzrostu księżyca moje cierpienie staje się coraz dotkliwsze: wprost boję się, że tracę rozum.

Przygnębiony i odurzony winem wyszedłem, aby wrócić do greckiego zajazdu. Pod murem pałacu siedział odziany siermiężnie staruszek, szczelnie osłaniający głowę. Okazało się, że oczekiwał na mnie, pozdrowił moim imieniem i rzekł niskim głosem:

— Idę na wybrzeże. Chodź za mną, ale tak, żeby cię nikt nie widział.

Poszedł przede mną, a ja jego tropem. Zaprowadził mnie na wybrzeże, gdzie nikt nie mógł nas widzieć ani słyszeć, o czym rozmawiamy. Dopiero tam odkrył twarz — to była Zuzanna! Nie uśmiechała się ani nie witała mnie radośnie. Przeciwnie — wzdychała, pojękiwała i załamywała ręce, jakby dręczyła ją boleść i nie wiedziała, od czego zacząć. Zganiłem ją ostrymi słowami za tak długie milczenie i spytałem, gdzie jest Natan wraz ze stanowiącymi moją własność osłami i sakiewką. Jęknęła jeszcze głośniejszym głosem, lecz zapewniła:

— Ani ja, ani Natan nie oszukaliśmy cię i nic ci nie zginęło. Przeciwnie, Natan wozi na osiołkach piasek i glinę na budowę nowego budynku celnego w Kafarnaum, żeby nie tracić daremnie czasu, za który mu płacisz. Ze wszystkiego dokładnie się rozliczy. Osły pracują na twoją korzyść i zarabiają sporo, powiększając jeszcze twoje bogactwa. Ale naprawdę nie wiem, czy postępuję źle czy dobrze, zdradzając ci tajemnice. Z pewnością

nie ośmieliłabym się przyjść do ciebie, gdybyś mnie wtedy nie pocałował w usta, chociaż jestem tylko staruchą i niewiele mam zębów. Wiele moich rówieśniczek z Galilei ma jeszcze wszystkie. Nie wiem, czemu tak to jest...

— Przystań mi pleść o swoich zębach — burknąłem — i powiedz natychmiast, czy coś słyszałaś o Jezusie Nazarejskim.

— Tak, tak... Och, łatwo ci mnie łajać!... Dowiedz się zatem, że Jezus Nazarejski już jakiś czas temu ukazał się wielu uczniom nad brzegiem jeziora, jadł razem z nimi, nauczał ich i mianował Szymona Piotra ich zwierzchnikiem. Chcę powiedzieć, że wskazał Piotra jako pasterza, który począwszy od zaraz powinien paść jego trzodę. Ale niech mnie biesy porwą, jeśli kiedykolwiek Piotr zgodzi się ciebie nakarmić albo prowadzić jako członka trzody, jeśli nie jesteś obrzezanym synem Izraela! Nie rozumiem, dlaczego wybrał do tego zadania właśnie Piotra, który zanim kur zdążył zapaść, wyparł się go w Jeruzalem. Choć rzeczywiście, z nich wszystkich Piotr jest największy i najmocniejszy, a poza tym entuzjastycznie doradza innym.

— Czy aby oni to wszystko ci powiedzieli? — spytałem podejrzliwie.

— Oj... — westchnęła Zuzanna, trzymając ręce między kolanami

— jakże nogi mnie bolą! Nie dałabym rady dotrzeć pieszo aż do Kafarnaum, gdybym nie przyplłynęła łodzią poborcy podatków do Tyberiady, tego pogańskiego miasta. Jestem tylko prostą starą babą i nikt mi nic nie opowiada. Ale uszy mam dobre, a przecież trzeba komuś oczyścić i nasolić ryby, uprać odzienie i ugotować strawę. W ten sposób słyszę to i owo, może nawet więcej niż potrzeba, bo wszyscy uważają mnie za tak mało rozgarniętą, że na pewno nic nie zrozumieję. Ze swojej słabości i tęsknoty za Jezusem nie mogę spać po nocach, więc chodzę modlić się nad brzeg morza. Jeśli wówczas zdarzy mi się usłyszeć coś takiego, co nie jest przeznaczone dla moich uszu, to nie ma w tym mojej winy, tylko raczej wola niebios, bo wbrew nim do tego by nie doszło. Wątpię, by uczniowie naprawdę byli tacy święci, za jakich się uważają! Aż skwierczą z pychy, że Jezus już wielokrotnie im się ukazywał i nauczał ich. A Piotr, Jakub i Jan są jego największymi pupilami, nawet ich twarze stały się promienne. Widać ich po ciemku bez lampy i latarni. Natan nie jest oszustem — ciągnęła jednym tchem Zuzanna. — Złożył też śluby, a ponieważ mężczyzna jest zawsze mężczyzną, więc bardziej wierzę jemu niż memu babskiemu rozumowi. Powiedział, że powinnam cię poinformować, skoro przywiozłeś mnie z Jeruzalem do Galilei, chociaż święci mnie odtrącili, a ty byłeś dla mnie jak miłosierny Samarytanin, którego za przykład dawał Jezus w swoim nauczaniu. A moim zdaniem Rzymianin nie jest gorszy od Samarytanina, bo Samarytanie gardzą Świętynią i czczą Boga na swojej górze, i po swojemu obchodzą Paschę, a Rzymianie przecież o niczym nie wiedzą, oczywiście oprócz ciebie.

W tej nieprawdopodobnej paplaninie Zuzanna wyładowała swój strach i zmartwienie. W końcu musiałem jej przerwać i spytałem:

— Więc Jezus Nazarejski jest Chrystusem, synem Boga i tym, który zmartwychwstał?

— On naprawdę zmartwychwstał i chodzi po Galilei, i ukazał się już wielu ludziom — zapewniła Zuzanna i wybuchnęła płaczem.

— Niechaj mi wybaczy, jeśli postępuję źle zdradzając ci to. Ale przecież ty mu źle nie życzysz.

— Ale dlaczego nie ukazał się ani Marii Magdalenie, ani Joannie czy tobie? — spytałem zdziwiony.

— Och, panie, przecież jesteśmy tylko niewiastami — odrzekła Zuzanna szczerze zaskoczona. —Dlaczego miałby się nam pokazywać?

— Zakryła usta ręką i głośno zachichotała, widać sprowokowana moim głupim pytaniem. Zaraz jednak znów spoważniała. — Synowie Zebedeusza z pewnością coś opowiadali swojej matce, Salome, bo to tak samolubna i żądna władzy niewiasta, że nie ośmieliliby się przed nią czegoś przemilczeć. Innym niewiastom, przynajmniej na razie, Salome nic nie przekazała. Wiem jednak na pewno przynajmniej tyle, że przez Galileę puszczono w obieg wiadomość do tych, którzy szli za Jezusem, a teraz pełni byli trwogi. Oni mu wierzyli i do nich uczniowie mieli zaufanie. To siedemdziesiąt osób, które kiedyś posłał, by głosiły jego imię, ale jest również dużo innych, cichych. Wieść przekazywano z ust do ust, z wioski do wioski: Pan zmartwychwstał, bądźcie gotowi. Czas się wypełnia. Jezus będzie przebywał na ziemi tylko czterdzieści dni. Ale nim stąd odejdziesz, wezwie wszystkich swoich na górę, aby się z nimi pożegnać. Zresztą nie wiem, czy sam wezwie, czy też zorganizują to jego uczniowie.

— Na górę? Na którą górę?

— Nie wiem — Zuzanna potrząsnęła głową — ale sądzę, że ci którzy w niego wierzą i cisi, wiedzą. Jest wiele gór, na które wchodził, aby modlić się w samotności, zarówno w Kafarnaum, jak i po tamtej stronie jeziora, ale myślę, że ta góra jest w głębi Galilei i blisko szlaku pielgrzymiego, aby ci, którzy dostaną wiadomość, mogli zgromadzić się szybko i nie zwracając na siebie uwagi. Mówi się również o eliksirze nieśmiertelności, ale czy dał go swoim uczniom, czy też zamierza dać wszystkim swoim dopiero tam, na górze, tego nie wiem.

— Zuzanno — powiedziałem — nie wiem, jak mam ci dziękować za wierność! Niech nam Jezus pobłogosławi cię za ten dobry uczynek, za to, że nie opuściłaś mnie w ciemności. Pragnę iść za nim na tę górę, kiedy chwila nadejdzie, choćby mieli mnie zabić. Każ, aby Natan miał osiołki przygotowane do wyjazdu i żeby zarezerwował osiołka dla ciebie, jeśli tamci się o to nie zatroszczą.

— Tak, tak właśnie myślałam i błogosławię cię, Rzymianinie, że jesteś od naszych litościwszy! — ucieszyła się Zuzanna. — Dręczy mnie strach, że nagle odejdą, a ja zostanę z tą kulawą nogą i już nigdy nie ujrzę mego Pana. Obiecuj, że ty mnie nie zostawisz!

Naradzaliśmy się jeszcze, czy nie powinienem zbliżyć się w Kafarnaum do uczniów. Zuzanna podejrzewała jednak, że rozpoznają mnie, zanim czas nadejdzie, i będą się mnie obawali. W każdym bądź razie przez Tyberiadę prowadzi główny szlak do centrum Galilei, a w ogóle odległości wzdłuż wybrzeża są stosunkowo niewielkie. Jej zdaniem najlepiej będzie spokojnie pozostać na miejscu i oczekiwać na Natana albo na nią. Przypuszczała, że na górze zbierze się tak wielu ludzi, przybywających z różnych stron, że jedni drugich nie będą znali. Dlatego we właściwym czasie będzie można dojść na

górze na hasło cichych, choćby uczniowie pod osłoną nocy ulotnili się z Kafarnaum.

Rozstaliśmy się więc pełni nadziei. Zuzanna odeszła wybrzeżem nie posiliwszy się, chociaż chętnie bym ją ugościł. Obawiała się jednak bardzo, by ktoś nie odkrył naszego spotkania i nie opowiedział o nim uczniom Jezusa.

W taki oto sposób znów moje serce wypełniła nadzieja. Uciszyłem myśli, napelniłem się pokorą. I zniknął mój niepokój. W głębi serca powtarzałem modlitwę, której nauczyła mnie Zuzanna, i pragnę wierzyć, że nie istnieją żadne ziemskie zaszczyty, sukcesy, dowody uznania lub mądrości, których bym z radością nie oddał za Królestwo Jezusa Nazarejskiego, gdyby mi je otworzył. Badałem głębię swojej duszy i sądzę, że nie pożądam nieśmiertelności ani życia wiecznego. Pragnę tylko, aby Jezus pojrzał na mnie i uznał za swojego.

Po odejściu Zuzanny przez wiele dni zajmowałem się wyłącznie opisywaniem tego, co się wydarzyło.

LIST DZIESIĄTY

Marek znowu pozdrawia Tulię.

W głębi serca już dawno z Tobą, Tulio, skończyłem. Wiem, że żadne moje pisanie nie będzie w stanie Cię o tym przekonać. Gdybyś przeczytała to, co piszę, drwiłabyś ze mnie i sądziła, że Żydzi zamęcili mi w głowie. A jednak moje serce nurtuje dziwne przekonanie, że gdybym raz mógł spojrzeć na Ciebie i zaczęłyby z Ciebie opadać jedna po drugiej poszczególne części garderoby, a ciało również stałoby się tylko zbędnym ubiorem, mógłbym wtedy zobaczyć Twoje myśli i przekonać Cię, byś uwierzyła w to, w co i ja wierzę.

Sądzę, że oznaczałoby to konieczność rezygnacji z wielu rzeczy, do których przywiązujesz wagę i które są Ci miłe. Lecz gdybyś mogła w taki sposób na siebie spojrzeć, wszystko inne straciłoby w Twoich oczach wartość. Czyli zrezygnowałabyś tylko z tego, co byłoby dla Ciebie zbędne, jak używane szaty. Takie moje myślenie z pewnością jest całkiem beznadziejne. W to, w co ja wierzę, można uwierzyć tylko wówczas, jeśli samemu się to przeżyło i widziało na własne oczy. Zresztą wielu spośród tych, którzy widzieli, nie uwierzyło.

Będę opowiadał następne wydarzenia.

W dzień wyścigów Klaudia Prokula wezwała mnie i oznajmiła, iż zabiera mnie do swojej łoży, gdzie będę mógł za nią siedzieć. Podkreśliła, że to wielkie wyróżnienie. Ubrała się w jedwab i purpurę, co nie było chyba rozsądne, chociaż mogła powoływać się na bliskie pokrewieństwo z cesarzem. Włosy miała pięknie ułożone, a na czole drogocenny diadem. Dla mnie przygotowała rzymską togę i fryzjera, który czekał, żeby zgolić mi brodę i utrefić włosy.

— Najwyższy czas, żebyś skończył udawać Żyda i wystąpił przed barbarzyńcami jako Rzymianin — oznajmiła.

Na próżno tłumaczyłem, że w kąpielisku istnieje całkowita dowolność strojów, i przypomniałem, że rzymski doradca Heroda również zapuścił brodę i ubiera się na modłę wschodnią, aby dwór książęcy zbytnio nie zaznaczał swojej rzymskości. W końcu musiałem jej powiedzieć wprost:

— Nie gniewaj się, Klaudio, ale nie mam ochoty stąd się oddalać i jechać z tobą na wyścigi. Przeciwnie. Muszę być w każdej chwili gotów, bo mam podstawy wierzyć, że zwolennicy Jezusa Nazarejskiego wkrótce zbiorą się, żeby go spotkać. Mam nadzieję, iż otrzymam na czas wiadomość, abym mógł ruszyć w pewnym oddaleniu za uczniami i znaleźć się na tym spotkaniu.

— To dla mnie żadna nowina — rzekła opryskliwie Klaudia Prokula. — Joanna zna sprawę. Gdybym była młodsza i gdyby to się działo w Rzymie, znalazłabym aż nadto wielu mężczyzn, którzy umieliby trzymać język za zębami, a pod ich opieką i ja skusiłabym się na szukanie przygód i w białych szatach udałabym się w góry. Bo to na górze mają się zebrać, czyż nie?

— Dlaczego Joanna mi nic nie powiedziała? Czyżby mi nie ufała?

— pytałem zaskoczony.

— Sądzę, że nakazano jej milczenie — zauważyła beztróska Klaudia. — Ale obiecała, że osobiście powie o mnie Nazarejczykowi. Już i przedtem Jezus uzdrawiał chorych na odległość, a może da Joannie dla mnie jakąś szatę, którą nosił? Ty więc, Marku, wcale nie będziesz tam potrzebny. Wracaj do swej rzymskiej postaci i bądź rozsądny. Wyścigi są największym wydarzeniem roku zarówno w całej Galilei, jak i w sąsiednich krajach.

— A więc przedkładasz wyścigi nad syna Bożego?! — krzyknąłem oskarży cielsko, nie wierząc własnym oczom i uszom.

— Wszystko w swoim czasie — oświadczyła. — Kąpiele dobrze mi zrobiły, więc nie jestem już tak zaślepiona jak ty. Wydaje mi się, mówiąc serio, że nie potrafisz ustalić hierarchii ważności.

— Klaudio Prokulo, twój mąż skazał go na ukrzyżowanie i tego nie zmieni już, choćby nie wiem ile razy umywał ręce. Czy ty się nie boisz?

— Ależ, Marku — rozłożyła ręce — ja przecież zrobiłam wszystko, aby go uratować! Z pewnością wie o tym, a przynajmniej powinien wiedzieć. Ponadto Joanna dokładnie mi wyjaśniła, że tak właśnie musiało się stać, aby spełniły się przepowiednie świętych Ksiąg żydowskich. Dlatego w istocie rzeczy Jezus powinien być wdzięczny Poncjuszowi Piłatowi, który pod naciskiem Żydów pomógł mu spełnić Pismo. Filozofia żydowska jest wprawdzie mglista i skomplikowana, ale z tym większą chęcią daję wiarę Joannie. Zresztą Joanna także będzie mi towarzyszyć na wyścigach, chociaż przez to mogłaby się spóźnić na spotkanie w górach. Rozumiesz teraz, jak ważnym wydarzeniem są te wyścigi.

Nie miałem już argumentów. Ale nie pozwoliłem fryzjerowi zgolić brody. Przyciął ją tylko umiejętnie, namaścił i powiedział, że właśnie taki zarost noszą herodianie.

Cyrk Heroda Antypasa nie jest budowlą monumentalną. Nie sądzą, aby na widowni zmieściło się bodaj trzydzieści tysięcy osób. W każdym razie był do ostatniego miejsca wypełniony ciekawską szumiącą gawiedzią. Moim zdaniem wśród widzów było więcej obcokrajowców niż rodzimych Galilejczyków.

Herod Antypas kazał wznieść dla Klaudii Prokuli łożę naprzeciwko swojej wysokiej łoży, po drugiej stronie toru, i pokryć balustrady drogimi dywanami. Wszystko wskazywało na to, że chce utrzymywać dobre stosunki z Poncjuszem Piłatem, bo łoża Klaudii była zaledwie o jeden stopień niższa od jego własnej. Skonstruowano też wiele innych łoż dla arabskich władców i innych goszczących w Tyberiadzie osobistoci. Dworzanie księcia musieli otrzymać ściśle instrukcje, bo gdy tylko Klaudia Prokula zjawiała się ze swoją świtą w łoży, zewsząd rozległy się potężne wiwaty. Tłum chętnie podchwytywał okrzyki, gdyż w ten sposób wyładowywał emocje.

Zobaczyliśmy Herodiadę i jej młodą córkę, gdy wchodziły do łoży. Szaty miały bez porównania wspanialsze niż Klaudia, o ile mogłem ocenić, siedząc z drugiej strony toru. Klaudia Prokula zaś westchnęła i rzekła, iż ta żadna władzy cudzołożnica bodaj przez grzeczność dla niej i dla Rzymu mogła być ubrać się nieco skromniej. Potężne wiwaty podnosiły się na jej cześć z różnych stron widowni, ale pospólstwo się do nich nie przyłączyło. Obcokrajowcy także milkli, zauważywszy, że wiwatujących się popycha, szturcha i wygwizduje. Herodiada musiała się tym zadowolić i usiąść. Na końcu przyszedł Herod Antypas, który wesoło rozkładał ręce, witając obecnych na wszystkie strony. A ludzie, jakby chcąc okazać swoje nastawienie do księżnej, pozdrawiali jej męża na stojąco, wrzawą, wściekłym wyciem i tupaniem.

Na arenie pokazali się gladiatorzy, którzy walczyli parami i grupowo, ale mieli tępą broń, tak że krew się nie polała. Zgodnie z prawem żydowskim Herod nie pozwalał na arenie walczyć skazanym na śmierć.

Potem były pokazy sztuki jeździeckiej, dopóki tłum nie zaczął tupać i domagać się wyścigu rydwanów.

Bezsprzecznie rydwany były wspaniałe i konie wyborne. Gdy kolejno wykonywały pokazowe okrążenia, organizatorzy zakładów chodzili z wielkimi tablicami między rzędami widzów i przyjmowali zakłady. Faworytem wydawał się czarny jak smoła rydwan Heroda Antypasa. Nie we wszystkich zaprzęgach konie miały jednakową maść, bo barbarzyńcy wybierali je ze stajen gospodarzy według własnego uznania. Kolory, na które stawiano zakłady, trzeba więc było określać według barw uprzęży i ubrań powożących. Słyszałem, że oprócz kolorów wykrzykiwano nazwy rydwanów idumejskiego i syryjskiego.

Ostatni wyjechał rydwan księcia arabskiego zaprzężony w śnieżnobiałe konie. Ale właśnie wtedy wozy, które wcześniej wyjechały na tor, zdążyły się splątać w jeden kłęb tuż przy wjeździe. Białe rumaki aż padły na kolana, gdy ich woźnica musiał nagle wstrzymać je z pełnego galopu. To był tak kiepski prognostyk, że wiele osób wybuchnęło głośnym śmiechem. Woźnica wpadł w furię i siekł konie biczem, co jeszcze bardziej je sploszyło.

W przyzwoitych i bezpiecznych wyścigach, które znawcy lubią ustawiać tak, by napięcie wzrastało, wypuszcza się po dwa rydwany równocześnie, aby kilkakrotnie przejechały po torze. Rydwan, który przegrywa, zostaje wyeliminowany z wyścigu i dwa ostatnie rozgrywają bieg finałowy. Ale barbarzyńcy kochają ryzyko i skandale. Ogromnie byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem, że wszystkie rydwany ustawiły się jednocześnie w rzędzie. Słyszałem, że mają zrobić w jednym biegu czterdzieści okrążeń. Żal mi było

koni, bo wiele z nich połamie nogi, a nie ulegało wątpliwości, że takie rozgrywanie wyścigu spowoduje także śmiertelne ofiary w ludziach.

Patrzyłem na spłoszony i stawiający opór biały zaprzęg. Przypomniałem sobie, co mi powiedział w nocy samotny rybak, lecz w duchu zastanawiałem się, czy rzeczywiście warto na niego stawiać. Zacząłem się wypytywać, odpowiedziano, że to był faworyt, ale z uwagi na to, co pokazał na wstępie, nikt już nie chciał na niego stawiać. W takim trudnym wyścigu grupowym odniosą zwycięstwo zapewne mocne konie i cierpliwi jeźdźcy.

— Rydwan Heroda! — krzyknęła Klaudia Prokula, entuzjastycznie wznosząc ręce. Lśniące czarne konie oraz ich czarnoskóry woźnica wyglądali rzeczywiście imponująco. Występowali jednak jako zaprzęg czerwony, a nie czarny; przecież żaden rozsądny człowiek nie będzie obstawiał czarnego koloru! Klaudia niedbale na wpół odwróciła się w moją stronę i spytała: — Masz chyba dość pieniędzy?

Powinienem być odgadnąć, dlaczego tak gorąco namawiała, żebym z nią jechał. Nie spotkałem dotąd kobiety, która by robiła zakłady własnymi pieniędzmi! Jeśli przegra, może bez kłopotu zapomnieć o pożyczce i tylko narzekać na fatum. Jeśli wygra, w najlepszym razie odzyska się stawkę.

— Sto drachm — powiedziałem niechętnie.

— Marku Mezencjuszu Manilianusie! — Klaudia Prokula odwróciła się do mnie całkowicie i zdumiona spytała: — Czy specjalnie mnie obrażasz, czy też naprawdę stałeś się Żydem? Powiedz chociaż: sto złotych monet. I to byłoby zbyt mało na tak wspaniałe konie.

Znalazłem się w tarapatach, lecz między ławami zajętymi przez arystokrację kręcili się tyberiadzcy bankierzy i też przyjmowali zakłady. Zawołałem imię, które mi podał Arystenos, i wskazano mi człowieka, który — sądząc po twarzy i ubraniu — mógł być bliźniakiem jerozolimskiego bankiera. Zwierzyłem mu się ze swego kłopotu. Udzielił mi szczodrego kredytu i po cichu poinformował, że przy obstawianiu koni Heroda nie ma co oczekiwać przyzwoitej wygranej, najwyżej jeden do jednego. Udało mu się w końcu skłonić do przyjęcia zakładu pewnego arystokratę z Idumei, a i ten oświadczył, że robi to wyłącznie z grzeczności dla żony prokuratora Judei.

— Pamiętaj o mnie, gdy będziesz liczyła pieniądze po zwycięstwie — zawołał uśmiechając się do Klaudii Prokuli i wpisując swe nazwisko na tabliczce woskowej, jakby złożył jej dar.

Jeszcze raz spojrzałem na zaprzęgi, którym było trudno ustać w miejscu. Długie oczekiwanie na start jest potrzebne nie tylko w celu obstawienia koni — ma też zdenerwować woźniców i konie. Bałem się, że któryś rydwan wywróci się jeszcze na wybiegu. Biały zaprzęg arabskiego wodza wyraźnie nie był przyzwyczajony do okrutnej jazdy grupowej, konie kopały wóz i kasały wędzidła, w kącikach ich pysków widziałem pianę.

— Ile dałbyś za biały rydwan? — spytałem bankiera.

— Jeśli już chcesz mi te pieniądze podarować — powiedział z uśmiechem — to sam

przyjmę zakład i dam jeden do siedmiu. Ile mam zapisać?

— Czterdzieści złotych monet od Marka na biały rydwan, siedem do jednego — zdecydowałem w ostatniej chwili, bo Herod już podnosił włócznię.

Bankier zanotował dokładnie wtedy, gdy opatrzona chorągiewką włócznia wbiła się w piasek. Jeźdźcy krzyknęli i zaprzęgi ruszyły z impetem. Doświadczeni woźnice z całej siły ściągnęli lejce, odchylając się do tyłu, aby powstrzymać konie przed gnaniem na złamanie karku. Ale było prawie niemożliwe, by człowiek mógł wstrzymać spłoszone konie, które poniosły. Dwa pierwsze rydwany mknęły pełnym galopem, a pochyleni woźnice okładali batami rumaki, aby zwiększyć odległość dzielącą ich od pozostałych i dojechać do wirażu jako pierwsi. Była to walka o życie, bo pędzące za nimi konie łatwo mogłyby ich stratować.

Zerwałem się z miejsca, nigdy bowiem nie oglądałem na arenie tak potwornej gonitwy. Rydwan Heroda umiejętnie torował sobie drogę w gromadzie innych, jego woźnica zuchwale wymachiwał ciężkim batem, spychając na boki pędzące konie. Widziałem, jak smagnął biczem po oczach białego rumaka, usłyszałem nawet kłaśnięcie. Arabski rydwan otarł się o kamienną balustradę, aż poszły iskry, i nie wiem, jakim cudem koło się nie rozleciało.

Na drugim wirażu woźnica kasztanowego zaprzęgu dowódcy kohorty jeźdźców Cezarei umyślnie przewrócił ciężkim rydwanem wóz idumejski. Spłoszone konie wlokły na lejcach woźnicę po torze, aż upadł koń boczny. Kasztanowy rydwan zyskał sporą przewagę, ale ruszył za nim rydwan Heroda. Zakrwawiony woźnica idumejski dźwignął się z toru i choć chwiał się na nogach, złapał leżącego konia za pysk, zmuszając go do powstania, odwrócił wóz i pojechał dalej. Podniesiony koń paskudnie kulał, więc zaprzęg nie liczył się w wyścigu i stanowił tylko przeszkodę dla innych zawodników. Podejrzałem, że wraca na tor jedynie po to, aby się zemścić na rzymskim woźnicy.

W takich rozgrywkach, kiedy szanse rydwanów są wyrównane, praktycznie nie można osiągnąć większej przewagi niż jedno okrążenie. Tu ostatnie rydwany zatarasowały drogę, a woźnica jadący w czołówce mógł tylko liczyć na ślepe szczęście, aby je ominąć. Biały rydwan całkowicie wybił się z rytmu, bo boczny koń, oślepiiony uderzeniem bicia, rozpaczliwie rzucał łbem. Jego woźnica stracił cierpliwość, chłostał, kłął i wygrażał Herodowi pięścią, kiedy przejeżdżał obok jego łoży. Czarny zaprzęg zaczynał dochodzić potężnych kasztanowych rumaków ciężkiego rzymskiego rydwanu. Klaudia Prokula stała w łoży, krzyczała i poślaczanymi sandałkami tupała o podłogę.

Nie byłem w stanie liczyć okrążeń. Nie widziałem dokładnie przyczyny, ale nagle jakby wyrzucony z katapulty z grupy rydwanów wyskoczył na środek areny wóz syryjski. Konie padły łamiąc karki, a woźnica, wciąż opasany lejcami i bezmyślnie wymachujący biczem, runął wprost pod końskie kopyta. I nie potrafię powiedzieć, co zabrzmiało bardziej przeraźliwie — czy jego przedśmiertny krzyk, czy śmiertelne rżenie któregoś z koni.

Chwilę później biały rydwan przycisnął do balustrady inny zaprzęg i zmusił go do zmniejszenia szybkości, a sam przemknął obok bez szwanku. Okazję wykorzystał też zaprzęg arabski. Ten manewr udał się chyba tylko dlatego, że boczny siwy koń nadal był

na wpół ślepy

— gdyby widział na oboje oczu, nie przybliżyłby się tak bardzo do drugiego wozu. Śmiertelnie zagrożony woźnica potrąconego rydwanu z trudem zdążył skierować konie na środek areny, unikając splątania z następnym zaprzęgiem. Naprawdę podziwiałem sztukę powożenia tego człowieka, który dostrzegłszy biegnących ku niemu stajennych, zrobił parę kroków, padł twarzą do ziemi i więcej nie wstał.

Rozentuzjasmowani widzowie podbijali zakłady. Kasztanowy zaprzęg zyskał chyba zwolenników; wiele osób obstawiało go przeciwko zaprzęgowi Heroda. Wyróżniali się zwłaszcza Arabowie, którzy wyciągali palce, machali chustami i nawet odstępowali od własnego zaprzęgu, obstawiając raczej rydwan rzymski niż Heroda. Woźnica księcia Galilei wielokrotnie usiłował wyminąć Rzymianina, ale ten z zimną krwią parł do przodu, wywijając świszczącym biczem. Herod powstał w swojej łoży, tupał nogami i głośno krzyczał, zachęcając swego woźnicę do przeciśnięcia się obok Rzymianina bodaj przemocą. Wszystkie konie były już spienione, a tumany kurzu wzbijały się w powietrze, chociaż tor przed wyścigami starannie skropiono wodą.

Najdziwniejsze było jednak to, że biały zaprzęg dzięki swej szybkości niepostrzeżenie znalazł się na trzecim miejscu, mimo że wielokrotnie zderzał się z innymi. Nieco zmęczone piękne białe rumaki znowu pędziły zgodnym rytmem. Ten, którego wcześniej oślepiło uderzenie bicia, podniósł łeb i zarżał. Woźnica pochylił się, uspokajająco przemawiając do niego, i koń przestał się wrywać.

Znowu jakiś zawodnik wypadł z wyścigu, ponieważ oderwało się koło. Woźnica zdążył skrócić na środek areny, lecz koło potoczyło się po torze wprost pod kopyta jadącego tuż za nim kasztanowego zaprzęgu, który musiał je ominąć. Woźnica Heroda wykorzystał okazję. Ryzykując wybiciem się z rytmu, wściekle chlasnął konie biczem, pociągnął do przodu i udało mu się wyprzedzić Rzymianina. Tłum wrzeszcząc i wyjąc zerwał się na równe nogi, a Klaudia Prokula skakała i krzyczała na całe gardło, zapomniawszy, że radość z powodu porażki Rzymianina nie przystoi żonie prokuratora Judei. Ale to zachowanie wzbudziło dużą przychyłność otaczającej gawiedzi i wielu ludzi uśmiechało się do niej.

Liczba rydwanów zmniejszyła się, jednakże maruderzy przeszkadzali woźnicy Heroda w wykorzystaniu uzyskanej przewagi. Woźnica idumejski, broczący krwią z twarzy na wpół odartej ze skóry, odwrócił się ku niemu, pomachał znacząco ręką i zjechał na bok, dając mu wolną drogę, po czym z rozmysłem zjechał drogę Rzymianinowi i zwolnił. Stało się to na prostej, a nie na zakręcie. Rzymski woźnica miotał przekleństwami, bo istotnie postępek Idumejczyka był sprzeczny z regulaminem wyścigów. Ale któż by dbał o regulamin! Zresztą zawsze można wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Arabowie, którzy obstawili rzymski rydwan, teraz wrzeszczeli i zaciskali pięści. Równocześnie biały zaprzęg przemknął torem po zewnętrznej, mijając zarówno Idumejczyka, jak i Rzymianina, po czym wpadł na środek toru tuż za zaprzęgiem Heroda. Cała widownia zamarła i na moment ucichły krzyki, czegoś takiego bowiem nikt się nie spodziewał.

Za zakrętem Rzymianin znowu wybrał tor zewnętrzny i bez wysiłku zrównał się z zaprzęgiem idumejskim. Równie dobrze zdążyłby wyminąć okaleczony rydwan przed

następnym wirażem, ale mocno trzymał konie i z rozmysłem walił batem po głowie idumejskiego woźnicę, aż ten padł w swym wozie na kolana. Ten nieludzki wyczyn podniósł znowu na widowni lawinę gniewnych okrzyków, ale zyskał też wielu zwolenników; wściekłość Rzymianina udzieliła się widzom, ludzie między ławkami brali się za łby.

Wszystko przebiegło błyskawicznie. Idumejczyk z trudem dźwignął się z kolan, poderwał konie do ostatniego wysiłku, wyprzedził Rzymianina i tuż przed nim ostro zawrócił, doprowadzając do czołowego zderzenia. To już nie były zawody, ale walka na śmierć i życie. Olbrzymie kasztanowe konie w pełnym galopie wpadły na rydwan idumejski. Nagłe zahamowanie z pełnego galopu wyrzuciło Rzymianina w powietrze — mimo skórzanej osłony i hełmu roztrzaskał głowę o kamienną balustradę tuż przed ławkami widzów. Idumejczk zginął pod kopytami koni.

Ten wypadek zmusił pozostałe rydwany do zmniejszenia szybkości. Woźnica Heroda ryczał i tak groźnie wymachiwał batem, że służba cyrkowa, która próbowała znieść Rzymianina z toru, rzuciła ciało i uciekła, ratując własne życie. Woźnica usiłował zmusić czarne konie, aby przejechały po trupie, lecz to nie były konie bojowe i nie chciały wziąć człowieka pod kopyta. Spłoszone stawały dęba i tak miały rydwanem, że omal go nie przewróciły. Równocześnie rydwan arabski, jadąc prawie stępa, przemknął tuż obok zaprzęgu Heroda. Koło arabskiego wozu wpadło na kamienne obrzeże toru i przejechało po nim, ale rydwan nie przewrócił się i dojechał do wirażu, zanim woźnica Heroda zdążył opanować konie i ominąć zwłoki. I oto, choć wydawało się to nieprawdopodobne, biały rydwan prowadził wyścig na niewiele okrążeń przed metą! Teraz ja z kolei zerwałem się na nogi i jałem krzyzczeć, a wtórowali mi wszyscy Arabowie na widowni.

Nawierzchnia toru, zryta kopytami jak orne pole, stała się niebezpieczna dla jadących. Woźnica czarnego rydwanu stracił panowanie nad sobą i kilkakrotnie próbował różnymi sposobami siłą zepchnąć biały zaprzęg z toru. Arabskie konie uratowała szybkość i dobry rytm. Takim lekkim wozem nie warto było robić dużych objazdów, bo jedynie dzięki prędkości mógł nie dopuszczać do siebie rydwanu Heroda.

Na torze pozostały jeszcze trzy rydwany poza arabskim i książeńcem. Biały starał się je omijać, jadąc uczciwie po zewnętrznej, natomiast woźnica Heroda rykiem usiłował utorować sobie drogę. Dwaj woźnice przestraszyli się i posłuchali, ale trzeci, powożący krzepkimi, spokojnymi końmi, których nikt nie obstawiał, nie chciał ustąpić. Woźnica Heroda z premedytacją zaciął swe konie, złamał rytm galopu i piastą swego koła wjechał na koło przeciwnika, przewracając go. Woźnica odniósł ciężkie obrażenia, a zaprzęg został wyeliminowany z wyścigu. Dwa pozostałe rydwany utrzymały się na torze, licząc na łut szczęścia, który mógłby jeszcze zmienić ich z pretendentów w zwycięzców.

Próżne to były nadzieje, albowiem lotem jaskółki, w przepięknym harmonijnym rytmie, białe rumaki mknęły po zwycięstwo. Publiczność wiwatowała, oklaskiwano też konie Heroda, które od zwycięstwa dzieliła zaledwie długość wozu. Obydwaj woźnice zgodnie z regulaminem jechali teraz ramię w ramię, zatrzymali konie i obłudnie, lecz z szacunkiem pozdrowili się, składając sobie gratulacje. Wódz plemienia arabskiego przeskoczył przez balustradę swojej łoży i w rozwianych szatach pobiegł witać konie. Przemawiał do nich, poklepywał je i zalany łzami całował zapuchnięte oko zranionego zwierzęcia. Na widowni zaczęły się awantury, lecz żołnierze Heroda szybko je uciszyli.

Ci, którzy przegrali zakłady, przynajmniej usiłowali być zadowoleni z dobrych wyścigów.

Bankier wraz z idumejskim kupcem przyszli mi pogratulować. W mojej obecności kupiec wypłacił bankierowi sto sloty eh monet, które przegrała Klaudia Prokula. Dla mnie bankier odliczył sto osiemdziesiąt złotych monet. Trzeba od tej kwoty odjąć czterdzieści sztuk złota, ale i tak na czysto zyskałem ich sto czterdzieści, co dla wielu ludzi na świecie oznacza małą posiadłość. Toteż nie czułem żalu do Klaudii Prokuli.

Przypomniałem sobie, że w nocy po burzy na jeziorze miałem sen o białym koniu. Ten sen z jakiegoś powodu był tak wyraźny, że obudziłem się zalany łzami. Jest więc możliwe, że gdy ujrzałem piękny biały zaprzęg, potraktowałem ten sen jako wyrocznie i z własnej inicjatywy postawiłem na siwki. Nie jest to jednak pewne. Wszak konie przed wyścigiem padły na kolana. Można nie wierzyć w wyrocznie, ale przecież rozsądny człowiek nie będzie działał przeciwko nim. Dlatego uznałem za swój obowiązek odszukanie dziewczyny, której brat umarł. Nie miałem żadnych innych wskazówek poza słowami samotnego rybaka, że tamtej nocy opłakiwała brata w greckim teatrze.

Klaudia Prokula prosiła, żebym poszedł z nią na przyjęcie do Heroda, chociaż nie otrzymałem zaproszenia od księcia. Z pewnością sądziła, że taki gest przychylności wart jest stu złotych monet. Ale ja nie miałem ochoty iść między setki ludzi, których Herod Antypas uważał za słuszne zaprosić ze względów politycznych. Zresztą Klaudia Prokula nie obraziła się, kiedy ją opuściłem, chociaż na pewno uznała mnie za głupca, skoro nie korzystam z okazji.

Ulice Tyberiady zapełniały tłumy ludzi różnych narodowości i podejrzewałem, że wieczorem będzie niespokojnie mimo oddelegowania oddziałów straży żydowskiej i legionów rzymskich dla utrzymania porządku. Bez trudu znalazłem maleńki grecki teatrzyk, na którym nie wisiało żadne ogłoszenie o spektaklu. Wejście było jednak otwarte i biedacy, którzy przyszedli do miasta, a nie znaleźli dachu nad głową, koczowali tutaj na ławkach. Kilku rozpaliło nawet ognisko i szykowało sobie jedzenie; mogłem sobie wyobrazić, jak ten piękny nowy teatrzyk będzie nazajutrz wyglądał.

Wszedłem między scenę a widownię. Nikt nie bronił mi wstępu do podziemi, gdzie znajdują się rekwizyty, a niekiedy nocują aktorzy, jeśli nie znajdą chętnych, którzy by ich gościli u siebie. Wszędzie było głucho, pusto i w pewnym sensie upiornie, jak zwykle bywa pod sceną, kiedy wyjdą aktorzy — zupełnie jakby bohaterowie odegranych przedstawień wciąż byli obecni, a wypowiedziane przez nich słowa wisiały w powietrzu. Takie ciemne pomieszczenia w podziemiach teatru zawsze przybliżały mi pojęcie królestwa zmarłych, jakie przedstawiają poeci. Jakże kiedyś byłem zachwycony, gdy udało mi się po spektaklu wpaść pod scenę, aby wręczyć prezent aktorowi, który potrafił mnie poruszyć! Za każdym razem ogarniało mnie tam chłodne uczucie nierealności. Aktor po zdjęciu stroju staje się zupełnie inną istotą niż na scenie.

Kiedy tak krążyłem po królestwie podziemi, zrozumiałem, jak daleko odszedłem od mego poprzedniego życia i wszystkiego, co dawniej przynosiło mi radość i zadowolenie. Cała przeszłość była już tylko wspomnieniem, które dławiała myśl, że już nigdy więcej nie potrafiłbym o to zabiegać.

W ciemnym korytarzu ujrzałem nagle kuśtykającego brzuchatego Greka ze spuchniętymi od przepicia oczami; zdawało mi się, że widzę upiora. Wyciągnął do mnie laskę i klnąc zapytał, czego szukam i jak wszedłem pod scenę. Uspokoiwszy go spytałem, czy ktoś nocuje w podziemiu teatru. Rozgniewał się jeszcze bardziej i wrzasnął:

— Chyba nie myślisz o tych egipskich włóczęgach, krętaczach, którzy przyciągnęli za sobą nieszczęście wnosząc do teatru trupa?! Zniknęli w nocy i nic nie zapłacili. Och, jakże chciałbym ich złapać!

— Powiedziano mi, że znajdziesz tu dziewczynę, która straciła brata.

— Chyba nie jesteś jednym z nich? — staruch popatrzył na mnie podejrzliwie. — Co ty knujesz? Trzymam dziewczynę jako zakładniczkę, zabrałem jej odzienie i buty i nie wypuszczę, póki nie zapłaci długu.

— Przesłano mnie, żebym ją wykupił — wyjaśniłem i potrząsnąłem sakiewką. — Zaprowadź mnie do niej, a nie pożałujesz.

Z wahaniem i podejrzliwością stary powiódł mnie długim korytarzem i zdjął zasuwę z drzwi małej komórki. Gdy je otworzył, zobaczyłem skuloną we wnęce chudą nagą dziewczynę z twarzą okrytą potarganymi włosami, która tak skamieniała w swej żałobie, że nawet się nie poruszyła. W komórce nie było ani wody, ani jedzenia, ani żadnego okrycia.

— Czy jest chora? — spytałem.

— To złośliwa dziewczucha, wytargała mnie za brodę, gdy próbowałem ją zmusić, żeby poszła tańczyć koło bram miasta — wyjaśnił stary.

— Przyjechało wielu gości, może by jej co rzucili, gdyby zatańczyła. Zrozum, muszę przecież zapłacić za pogrzeb jej brata! Nikt nie powinien się dowiedzieć, że podrzucili mi zwłoki do teatru. Ci perfidni Egipcjanie są mi winni dużo więcej.

— Posłano mnie, żebym ci przyniósł sto czterdzieści złotych monet — powiedziałem głośno, dotykając ramienia dziewczyny i rzucając jej sakiewkę. — Zapłać swoje długi, zabierz ubranie i rzeczy. Możesz iść, dokąd chcesz.

Dziewczyna ani drgnęła.

— Sto czterdzieści monet w złocie! — wrzasnął staruszek i prawą ręką zrobił gest odpychający złe moce. — Tego się bałem! Koniec z winem! Mam przywidzenia i źle słyszę.

Próbował złapać sakiewkę, ale na wszelki wypadek zabrałem ją z powrotem, skoro dziewczyna jej nie tknęła. Spytałem, ile jest winna. Stary zaczął zacierać ręce, w zamyśleniu wpatrywał się zapuchniętymi ślepiami w sufit, mruczał, liczył na palcach i w końcu chytrze powiedział:

— Nie jestem chciwy, chociaż ta uparta dziewczyna ściągnęła nieszczęście na moją głowę. Zaokrąglimy dług do dziesięciu złotych monet. Zapłać, to zaraz przyniosę jej rzeczy, wino i strawę. Na pewno z głodu jest taka słaba, że ust nie może otworzyć. W

tym stanie nie będziesz miał z niej wiele pociechy. Sto czterdzieści złotych monet to straszliwa cena za taką dziewczuchę — ciągnął mnie za ramię, szepcząc wprost do ucha. — Chyba oszalałeś. Wystarczy, jeśli spłacisz jej długi. Weź ją, dokąd chcesz, i zrób z nią, co chcesz. Dodaj mi jeszcze jedną złotą monetę, to dostarczę ci potrzebne dokumenty. Będziesz mógł sędownie uznać ją za swoją niewolnicę i wypalić znak na jej tyłku, bo nie ma żadnego opiekuna.

— Daj temu upartemu staruchowi pięć złotych monet — syknęła dziewczyna nie unosząc głowy, ale odrzucając włosy z oczu. — Wielokrotnie spłacisz dług i mój, i reszty naszej trupy. A potem daj mu kopniaka!

Otworzyłem sakiewkę i odliczyłem staremu pięć złotych monet. Był tak zachwycony, że nawet się nie targował, tylko natychmiast pognął po ubranie dziewczyny. Wrzucił węzełek do komórki i pełen animuszu krzyknął, że idzie po jedzenie i wino. Znowu wetknąłem sakiewkę do rąk dziewczyny i odwróciłem się, aby wyjść. Ale ona zatrzymała mnie, pytając:

— Czego chcesz ode mnie? Nie dam ci radości nawet za sto czterdzieści sztuk złota. Tej nocy miałam się powiesić na własnych włosach.

— Niczego od ciebie nie chcę. Posłano mnie, żebym ci dał pieniądze.

— Takie rzeczy się nie zdarzają — rzekła sceptycznie i wreszcie podniosła głowę, by na mnie spojrzeć. Ku mojemu zdumieniu poznałem ją. To była Myrina, tancerka, którą poznałem na statku w drodze do Joppy. Nie od razu mnie rozpoznała z uwagi na brodę i żydowski ubiór.

— Myrina! Nie wiedziałem, że to ty. Co się stało? Co za nieszczęście cię spotkało, że chcesz się wieszać?

— Nie patrz na mnie! — Myrina zwinęła się w kłębuszek i wstydliwie okrywała włosami gołe ciało. — Odwróć się, żebym przynajmniej mogła się ubrać.

Otworzyła węzełek z rzeczami, znalazła grzebień, uczesała włosy i związała je wstążką, nałożyła krótką tunikę i ozdobne sandały. Nagle wybuchnęła gorzkim płaczem. Tuliła się do mnie całym ciałem, przycisnęła głowę do mojej piersi, zraszając mi łzami płaszcz. Głaskałem ją po ramionach, pocieszałem dobrymi słowami i wreszcie zapytałem:

— Czy dlatego płaczesz, że twój brat umarł?

— Już dawno go opłakałam — wy szlochała. — Teraz płaczę, że mam na świecie jeszcze kogoś życzliwego. Tej nocy chciałam się powiesić i nie miałam nawet jednego ropo, aby go włożyć do ust i zapłacić przewoźnikowi do krainy śmierci.

Tuląc się mocno do mnie, zaszlochała jeszcze rozpaczliwiej. Trudno było wydobyć z niej jakieś rozsądne słowa, ale w końcu uspokoiła się na tyle, że opowiedziała o złym fatum, jakie prześladowało cały czas ich trupę aktorską. Krążyli po Perei i dawali przedstawienia dla legionistów w miejscach wypoczynkowych, lecz padli ofiarami gorączki. Żeby przeżyć, w drodze powrotnej musieli występować w stodołach, a Żydzi obrzucali ich kamieniami. Przy okazji wyścigów w Tyberiadzie chcieli dać

przedstawienie, ale wtedy jej brat utonął w czasie kąpieli. Wyłowili go, obracali na ziemi, wytrząsali zeń wodę, nie udało się go jednak przywrócić do życia. Po kryjomu przenieśli ciało do teatru i w końcu ten stary Grek dopomógł w potajemnym pochówku, aby nie trzeba było — zgodnie z religijnymi przepisami Żydów — oczyszczać całego budynku. Inni aktorzy uciekli, a Myrina została sama jako zakładniczka. Nie była w stanie tańczyć, bo przerwali ją Żydzi, którzy obrzucali ją kamieniami.

— Dopóki żył mój brat, broniliśmy jedno drugiego i nie czułam się samotna na świecie. Po jego śmierci, po pogrzebie rozumiałam, że gdziekolwiek się udam, zły los będzie mnie prześladował, że jestem bezbronna i że nie chcę dłużej żyć. Nie mogę jeść ani pić, ciało mam odrętwiałe i nic już mnie nie interesuje na tym świecie, niczego nie chcę widzieć, słyszeć ani próbować. Wszystkiego już zakosztowałam, została mi tylko rozpacz po bracie. A ciebie nie rozumiem — ciągnęła.

— Te pieniądze to na pewno jakiś nowy podstęp i pokusa, żebym dalej męczyła się i czekała na nowe ciosy zdradzieckiego losu. Nie, nie, zabierz swoje pieniądze i skoro wrócił mi rozum, pozwól mi raczej umrzeć tu samotnie, żebym już nie doznawała rozczarowań na tym świecie, gdzie żyjemy bezbronni i wyzuci z nadziei.

Wrócił stary Grek, przyniósł chleb i kaszę w misce. Drżącą ręką nalał jej do kubka wina, zachęcając do picia.

— Przejdźcie do pokoju warty przy scenie — prosił. — Tam jest widniej i stoi łoże. Wygodnie wam pościele.

— Każde miejsce jest równie dobre — odrzekłem. — Zostaw nas samych, musimy porozmawiać.

Usłużnie zawołał, że możemy tu być sami choćby do rana, a gdybyśmy chcieli jeszcze wina, to możemy od niego wziąć. Wyszedł z dzbanem wina pod pachą, Myrina zaś zabrała się do jedzenia, początkowo opornie, potem coraz łapczywiej, aż zjadła wszystko do ostatniego kęsa i nie zostawiła nawet okruszynki chleba.

— Co złego jest w moim tańcu? — zaczęła wyrzekać po posiłku.

— Dlaczego rzucono na mnie klątwę i nie mogę już polegać na sobie, tylko się boję? Przecież widziałeś, jak tańczyłam na statku. Wcale nie kusiłam mężczyzn, tańczyłam dla zabawy i aby wzbudzić swoją sztuką radość widzów. Jeśli nawet tańczę nago, to dlatego, że w powiewnych sukniach potykam się i tracę równowagę. Niewiele jest zresztą do oglądania w moim chudym ciele, zostały tylko wyćwiczone mięśnie, nawet nie mogę skusić nikogo piersiami. Nie pojmuję, dlaczego Żydzi tak bezlitośnie obrzucali mnie kamieniami... — Pokazała siniaki na swoim ciele i nie zagojoną ranę na głowie pod włosami. — Na wsi chcieliśmy coś zjeść i w podzięce zabawić ludzi w najlepszym tego słowa znaczeniu, śpiewem, muzyką i tańcem. A oni omal na śmierć mnie nie ukamienowali! Dręczy mnie myśl, że zrobiłam coś niedozwolonego i na pewno już nigdy nie będę tańczyła tak jak dawniej.

— Sądzę, że wiem, skąd bierze się ich nienawiść — tłumaczyłem Myrinie. — Słyszałem, że księżna Herodiada pozwoliła swojej córce tańczyć rozpustnie przed Herodem Antypasem, aby skłoniła go do ścięcia pewnego proroka żydowskiego, który

źle się wyrażał o księżnej. Dlatego na tym krańcu świata bogobojni Żydzi nienawidzą pogańskich tańców.

— Dawniej byłam dumna ze swej sztuki i kochałam wolne i urozmaicone życie aktorki — rzekła Myrina, spuszczać głowę.

— Ale spotykały nas niepowodzenia jedno po drugim, aż w końcu ogarnęło mnie zniechęcenie i bałam się każdego następnego dnia. Śmierć mego brata była ostatnią kroplą.

Gdy wreszcie Myrina wyzaliła się, wpadła w zdziwienie. Otworzyła sakiewkę, przesypywała w palcach złote monety i pytała, dlaczego właściwie chcę jej to dać i jakim cudem ją znalazłem. Opowiedziałem jej o samotnym rybaku i o wygranej na wyścigach, na koniec zaś powiedziałem:

— Sądzę, że ten człowiek przez jezioro usłyszał, że płaczesz tutaj pod sceną teatru. Ale jak to jest możliwe i skąd się dowiedział, że twój brat umarł, tego nie ośmielę się wyjaśnić. W każdym razie pieniądze należą do ciebie i możesz odejść lub zostać, jak zechcesz.

— Przypomnij sobie tego człowieka — poprosiła Myrina marszcząc w zamyśleniu czoło. — Czy wyglądał tak, jakby dużo wycierpiał i zupełnie opadł z sił? Czy miał kłiwą i poważną twarz, której nie można zapomnieć? Czy miał blizny na rękach i nogach?

— Mówisz o tym samym człowieku. A więc spotkałeś go?

— Kiedy uciekaliśmy od rozwścieczonych Żydów, nie mieliśmy do jedzenia nic poza kłosami, które zbieraliśmy z pola — opowiadała, wygrzebując szczegóły z pamięci. — Wreszcie znaleźliśmy studnię i przygnębieni postanowiliśmy na noc przy niej zostać. Wówczas nadszedł ten człowiek bardzo zmęczony i poprosił: „Dajcie i mnie się napić”. Ale my wszyscy byliśmy wściekli na Żydów, mężczyźni więc odegнали go od studni, a mój brat szydził z niego, wołając: „Choćbyś był w żydowskim piekle, nie umoczyłbym czubka palca, aby cię orzeźwić, bo jesteś przeklętym Żydem”. Ale mnie w końcu żal się go zrobiło. Zaczerpnęłam wody, dałam mu pić i umyłam jego poranione nogi, bo sam nie mógł. Nikt mi nie przeszkadzał. W gruncie rzeczy artyści są ludźmi wrażliwymi. Mój brat także tylko żarty sobie stroił, na pewno by go dopuścił do studni. W tamtej chwili byliśmy na Żydów bardzo rozgoryczeni. Kiedy już ugasił pragnienie i miał nogi umyte, popatrzył ciepło na mnie, pobłogosławił i powiedział: „To, co mnie uczyniłaś, uczyniłaś temu, który mnie posłał. Tylko za ten jeden uczynek wiele będzie ci wybaczone. Książęta i królowie będą ci zazdrościć, że napiłaś mnie, kiedy byłem spragniony”.

— Naprawdę ci tak powiedział, Myrino? — spytałem zdumiony.

— Właśnie tak! Jego słowa zostały mi w pamięci, chociaż ich nie zrozumiałam. Zapamiętałam je, ponieważ były takie dziwne. Kiedy odwróciłam się do kolegów, on zniknął. Dla zabicia głodu gryźliśmy korę drzew i na noc położyliśmy się koło studni. W jakiś czas później szła drogą staro winka i rozglądała się dookoła. Miała ze sobą w koszu chleb jęczmienny i baraninę. Poczęstowała nas, ale powiedzieliśmy, że nie mamy ani grosza, żeby jej zapłacić. Kobieta rzekła: „Bierzcie i jedzcie. Obiecano mi, że cokolwiek dam od siebie, wielokrotnie mi się to zwróci”. Wzięliśmy więc i jedli wszyscy do syta.

Mężczyźni domyślali się, że Żydów dręczyło sumienie z powodu złego potraktowania nas i dlatego próbują nas udobruchać. A staruszka zebrała okruchy do koszyka i poszła swoją drogą. Myślę, że to ten wycieńczony człowiek spotkał ją i kazał przynieść nam jedzenie, bo byłam dla niego życzliwa. Kimon właściwie jest, jeśli to rzeczywiście ten sam człowiek, którego spotkałeś po tamtej stronie jeziora?

— Nie wiem, sam tego nie rozumiem — odrzekłem po dłuższym zastanowieniu. — W każdym razie po królewsku odwdzieczył ci się za ten łyk wody, którym go ugościłaś. Nawet w najskrytszych myślach nie przyszło mi do głowy, że to ciebie, Myrino, miałem tu spotkać i właśnie tobie podarować wygrane pieniądze. Nie mogę tego zrozumieć inaczej niż jako znak i przypomnienie, że nie tylko z własnej woli wsiadłem na statek w Aleksandrii. Ale pokój tobie, Myrino. Zrób z pieniędzmi, co chcesz. Muszę iść, bo czekam na pewne wezwanie.

— Nigdzie nie pójdziesz. — Myrina zdecydowanie schwyła moją rękę i zmusiła, bym znów usiadł na podłodze. — Tak łatwo cię nie wypuszczę. Ten, o kim mówiłeś, nie może być zwykłym człowiekiem. Człowiek nie zachowuje się i nie mówi tak jak on.

— Otrzymałaś od niego, co miałaś otrzymać, a jest to więcej, niż zasługujesz. Przestań mnie męczyć — odpowiedziałem niechętnie, bo nie miałem ochoty wyjawiać tajemnicy Królestwa obcej dziewczynie uprawiającej tak podejrzaną zawód.

— Trzymaj więc swoje pieniądze i niech parzą twoje sumienie do śmierci! — krzyknęła ze złością, wciskając mi sakiewkę do ręki. — Tym nie uwolnisz się ode mnie, bo w moim cierpieniu pieniądze nie mają znaczenia. Już raczej wolę się powiesić. Opowiedz wszystko, co o nim wiesz, i zaprowadź mnie do niego.

— Jego czyny są czynami ponadludzkimi, nie pojmuję ich rozumem człowieka! — zawołałem, bo wyczułem kłopotliwość własnej sytuacji. — Czy w tym kraju brakuje żydowskich wdów i sierot, które czczą Boga i szukają Królestwa? Czemu ku memu utrapieniu wybrał właśnie grzeszną od dzieciństwa Egipcjanke?

— Nie jestem żadną pospolitą Egipcjanke — obraziła się Myrina.

— Pochodzę z dobrej greckiej rodziny i nie rozumiem, co miałaś na myśli mówiąc, że byłam od dzieciństwa grzeszna. Mój zawód nie jest haniebny, swą pracą daję rozrywkę i uśmiech ludziom. Nie twierdzę, że miałam tylko jednego chłopca, ale do takiego grzechu potrzeba dwoje. Nie wiem, czy bardziej winna jestem ja czy też mężczyzna, który wykorzystując moją nędzę zapłata skłania mnie do grzechu. Zresztą skończyłam z poprzednim życiem tak definitywnie, jakbym się już powiesiła. Pragnę dla siebie nowego i lepszego życia. Pieniędzmi tego nie da się załatwić. Musisz mi pomóc, jakbyś był moim bratem.

Chciało mi się płakać. Ledwie pozbyłem się Marii z Beeret, a już na kark wpakowała mi się druga, jeszcze bardziej obca i niebezpieczna dziewczyna! Musiałem jednak coś powiedzieć. Dobierając ostrożnie słowa rzekłem:

— Nie wiem, jak wiele z tego zrozumiesz, ale widziałaś świat i doświadczyłaś zapewne rzeczy, których się nie da wyjaśnić. Ja mam podstawy wierzyć, iż człowiek, którego ugościłaś wodą przy studni i z którym ja rozmawiałem w nocy na wybrzeżu, jest

niejakim Jezusem Nazarejskim.

— Ależ ja o nim słyszałam! — ku mojemu zaskoczeniu zawołała Myrina. — Legioniści z Dekapolis rozpowiadali o nim szeroko. Czynił cuda, uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, a Żydom obiecał otworzyć królestwo. Dlatego go ukrzyżowali w Jeruzalem, ale uczniowie wykradli jego ciało z grobu sprzed nosa Poncjusza Piłata i wmawiają ludziom, że wstał z martwych. Twierdzisz, że naprawdę zmartwychwstał i że właśnie jego spotkałam przy studni?

— On powstał z martwych — zapewniłem. — Przecież jest synem Boga i mam podstawy, by wierzyć, że ma pełnię władzy w niebie i na ziemi. Nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło! Po zmartwychwstaniu poszedł do Galilei. Przypuszczalnie widziałas go w czasie tej wędrówki. Obiecał, że spotka jeszcze swoich na górze.

— Ależ — zaprotestowała racjonalnie Myrina — jakże mógł odczuwać pragnienie, skoro jest synem Boga?

— Skąd mogę wiedzieć? — rozżłościłem się. — Sam wyczułem palcami ślady biczowania na jego ciele, jeśli to był rzeczywiście on. Mogę zaświadczyć, że jest z krwi i kości. Jest człowiekiem wśród ludzi, ale równocześnie synem Boga. I przestań mnie wypytwać, co i dlaczego, ponieważ właśnie to jest w nim najdziwniejsze. Dlatego też jego Królestwo nie może być królestwem ziemskim, jak to sobie Żydzi wyobrażają.

Myrina rozglądała się wokół szeroko otwartymi oczyma, przerażona rozmyślała nad moimi słowami i w końcu rzekła:

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to wysłał cię do mnie na miejsce mego zmarłego brata, na pewno nie tylko po to, żebyś mi dał pieniądze. W ten sposób związał nas ze sobą, jak łączy się parę gołębi, wiążąc im nogi. Ja również tęsknię za jego Królestwem, choćby było nie wiem jakie, byle różniło się od tego ziemskiego padołu, którego mam już dosyć. Chodźmy więc razem na górę i razem rzućmy mu się do stóp, aby nas zabrał ze sobą, skoro ciebie uczynił moim bratem, a mnie twoją siostrą.

— Myrino, wcale nie chcę ani nie potrzebuję siostry. Naprawdę. Ogromnie się pomyliłaś. A już w żadnym wypadku nie zabiorę cię ze sobą na górę, ponieważ sam jeszcze nie wiem, czy tę górę znajduję. A kto wie, może jego uczniowie mnie zabiją, sądząc, że szpieguję ich święte tajemnice? Spróbuj zrozumieć: oni wierzą, iż jego Królestwo przeznaczone jest wyłącznie dla Żydów, którzy są obrzezani. I nie dopuszczają tam Rzymian, Greków czy nawet Samarytan, ponieważ ci nie uznają ich Świątyni. Cała sprawa jest bardziej skomplikowana i ryzykowna, niż sądzisz. Ale jeśli obiecasz mi grzecznie poczekać i nie przeszkadzać, to zaraz po spotkaniu z nim wrócę, żeby ci wszystko opowiedzieć. Oczywiście jeśli od razu nie zabierze do swego Królestwa tych, których uzna za swoich. W takim wypadku już nie wrócę, ale mam nadzieję, że zachowasz o mnie dobre wspomnienie.

— Zgoda — rzekła Myrina z goryczą, porywczo ciskając przede mnie sakiewkę. — Tonący brzytwy się chwyta. Dlatego byłam gotowa przystać do Jezusa Nazarejskiego i przyjąć ciebie za brata, chociaż nie możesz się z nim równać. Z nim rozumieliśmy się w pół słowa i w drgnieniu oka, śmialiśmy się z tego samego i żartowali ze wszystkiego, nawet z poniżenia, żeby tylko przetrwać w tym podłym aktorskim życiu. Idź swoją drogą,

ty bezduszna kukło, która pieniędzmi chce kupić człowieka! Biegnij prosto na tę górę! Ciekawa jestem, co to za Królestwo, do którego się spodziewasz dostać, skoro mnie wtrącasz w biedę i śmierć. Czym dla ciebie jest bezbronna dziewczyna, bogaczu?

Spojrzałem na nią i w jej rozniewanych zielonych oczach wyczytałem, że naprawdę z żalu i gniewu gotowa będzie powiesić się — jeśli nie z innego powodu, to żeby mi zrobić na złość. Mówiła z takim przekonaniem, że zaczęły mną targać wątpliwości. Może rzeczywiście Jezus Nazarejczyk chciał, abym się wzruszył i wziął Myrinę za siostrę? Choć to zupełnie idiotyczne. Zacząłem rozumieć, że jego Królestwo to nie same przyjemności, bo stawia wymagania, których realizacja nie jest łatwa.

— Siostrzyczko Myrino — powiedziałem kwaśno — chodźmy więc razem i żebyś mnie potem nie winiła.

— Nie mów do mnie z takim przekąsem. — Myriny nie zadowolily moje słowa. — Jeśli masz mnie wziąć ze sobą, to zrób to z chęcią, jak brat. Inaczej nigdzie z tobą nie pójdę.

Trudno i darmo, musiałem po bratersku zamknąć jej chude ramiona w swoich objęciach, ucałować policzki i pocieszyć dobrym słowem. Jeszcze parę łez wylała, ale potem wyszliśmy razem z teatru, nie zatrzymywani przez starego Greka, który w wartowni podśpiewywał sobie przy dzbanie wina.

Dzień właśnie chylił się za górami ku końcowi. W huczącym mieście rozpalono niezliczone lampy i kuchnie domowe. Tak się spieszyłem, by wrócić do zajazdu, że nie pomyślałem o kupieniu dla Myriny nowej odzieży. Jej aktorski strój i zdobne sandały wywoływały niedwuznaczne zaczepki i okrzyki przechodniów. Miałem sporo kłopotów z bezpiecznym wyprowadzeniem jej z miasta na drogę, wiodącą do kąpieliska. Wewnętrzny głos mówił mi, że uczniowie Jezusa właśnie tej nocy wyruszą na górę — to byłby najlepszy termin, bo przecież jutro rano będą wyjeżdżać z Tyberiady ludzie z całego kraju, więc wędrowcy na drogach nie wzbudzą najmniejszego zainteresowania. Dlatego się spieszyłem.

Dopiero gdy zdyszany i spocony stanąłem w greckim zajeździe, w świetle jasnych lamp zrozumiałem, że wykazałem się brakiem rozsądku. Wytworny właściciel zajazdu, który przyzwyczał się bez mrugnięcia powiek patrzeć na dziwactwa bogaczy, podszedł do mnie, wzrokiem zmierzył Myrinę od stóp do głów i rzekł z wyrzutem:

— Jesteś, Rzymianinie, jak dziurawy worek. Najpierw przywozisz ze sobą do zabawy Żydówkę, tyle że nic mi do tego, skoro trzymałeś ją w swoim pokoju. Ale przyprowadzać w świąteczny wieczór brudną aktorkę, to już szczyt wszystkiego. Przecież gdy zaśniesz, zaczniesz się sprzedawać innym gościom za parę drachm, wywoła niezadowolenie i jeszcze na odchodnym cię okradnie. Wiemy, co potrafią aktorki.

Jego oczami spojrzałem na Myrinę i zobaczyłem zniszczony brudny krótki płaszcz aktorski, spłowiałe barwy ozdobnych sandałów i brudne kolana. Twarz miała zapuchniętą od płaczu i wyglądała, jakby przyszła tu prosto z orgii. Pod pachą trzymała pięciogłosowy flet swego brata, instrument nie rekomendujący do bogatego zajazdu. Zrozumiałem intencje gospodarza.

Myrina opuściła wzrok na ziemię i uważała, że lepiej milczeć, choć na pewno język ją świerzbiał. Mimo to słowa gospodarza uraziły mnie, ponieważ śmiał powątpiewać w mój dobry smak, a przecież dużo podróżuję i jestem obywatelem Rzymu. Byłem tak oburzony, że oburącz złapałem się za głowę i krzyknąłem:

— Jesteś w błędzie, dobry człowieku! Ta dziewczyna jest moją siostrą! Pokłóciliśmy się na statku w drodze z Aleksandrii i na złość mnie przystała do trupy aktorskiej. Odnalazłem ją w teatrze w Tyberiadzie. Ma już dość przygód. Zaczekaj, aż weźmie kąpiel, uczesze włosy i ubierze się jak należy. I milcz na jej temat, a nie pożałujesz.

Właściciel zajazdu uwierzył mi tylko połowicznie, gniewnie mrużąc coś pod nosem, że cichaczem ściągam mu ładacznice i że nigdy nie pisałem słówka o siostrze. Doszedł jednak do wniosku, że nie jestem pijany, znałem Myrinę już dawniej i nie zabrałem jej z ulicy, więc wpuścił nas do środka i polecił niewolnicy, by zaprowadziła Myrinę do łaźni i do fryzjera. Wezwał też garderobianą, aby rozłożyła do sprzedaży różne fatalaszki. Miałem zamiar kupić tylko praktyczną odzież, aby nie rzucała się w oczy w czasie wędrowki, ale kiedy Myrina wróciła z kąpeli, chciała bodaj przymierzyć różne szatki i oglądać się w lustrze, które trzymała niewolnica. Tak mi dokuczyła, że rzuciłem się twarzą na łóżko i zatkałem uszy, by nie słuchać ich paplaniny.

Myrina zauważyła wreszcie, że jestem naprawdę zły. Cisnęła suknie na stertę, odesłała niewolnicę, usiadła obok mnie, ostrożnie dotknęła mego ramienia i rzekła:

— Żal i rozczarowanie kobiety mija, kiedy jej ciało natrą wonnymi olejkami, włosy pięknie utrefią i kiedy może włożyć nowe szaty. Ale zechciej zapamiętać, że mój rozlatujący się płaszcz i zniszczone buty byłyby mi bez porównania droższe, gdybym mając je na sobie mogła podzielić się z żywym bratem kawałkiem jęczmiennego chleba. Więc spróbuj się roześmiać, a ja spróbuję cię rozweselić, aby opuściły cię złe myśli.

— Och, moja siostrzyczko — wyrzekałem, ściskając głowę rękami

— chciałbym gorąco, aby minęły twoje smutki, gotów jestem pomóc ci nieść to brzemię. Nocy już sporo ubyło, a we mnie z każdą chwilą narasta strach. Nie wiem, czego się obawiam, ale w głębi serca modlę się do Jezusa Nazarejskiego, żeby nas nie odtrącił. Nie mów mi o fryzurze czy ubiorach! Nie obchodzi mnie, co na siebie włożę, co będę jadł albo pił, kiedy bliska jest godzina spełnienia i niedługo Jezus objawi się swym bliskim.

Myrina położyła się koło mnie, objęła mnie ręką, chudy policzek przycisnęła do mego ramienia i spytała cicho:

— Czy nazwałeś mnie siostrą z głębi serca? Jeśli tak, nie pragnę niczego innego. Właśnie tak spałam w objęciach brata, w poczuciu bezpieczeństwa opierając głowę na jego ramieniu.

I za moment zasnęła w mych objęciach, westchnąwszy jeszcze przez sen kilka razy. Ja z niepokoju nie mogłem usnąć. Na granicy jawy i snu miałem idiotyczne widzenie. Zestarzałem się, głowę miałem siwą i szedłem po pustyni nie kończącą się drogą, boso i w porwanym chitonie. Razem ze mną wędrowała zniszczona i wychudzona Myrina, niosąc ciężar na plecach. Nadjechała na kosmatym ośle Maria z Beeret, tak otyła i z

takim grymasem niezadowolenia wokół ust, że poznałem ją jedynie po oczach. Gdzieś daleko przede mną posuwała się jakaś jaśniejsza zjawia, która od czasu do czasu oglądała się na nas, ale choć bardzo się spieszyłem, wiedziałem, że nigdy jej nie doścignę.

Obudziłem się, zlany zimnym potem. Jeśli to miała być zapowiedź mojej przyszłości i jeśli Jezus Nazarejski takie Królestwo chciał zaproponować swoim, to nie byłem pewien, czy chcę go szukać. Przypomniałem sobie, że dawał mi jeszcze i inne złe przepowiednie owej nocy nad brzegiem jeziora, jeśli to rzeczywiście był on. Opanowała mnie pokusa i czułem, jakby ciemność mroczniejsza od ciemności nocy podchodziła coraz bliżej i usiłowała mnie oplatać.

— Jezu Nazarejski, synu Boży, zmiłuj się nade mną — krzyknąłem głośno pełen bólu. Ciemność oddaliła się ode mnie. Zaciśnąłem dłonie i w myślach odmówiłem modlitwę, której nauczyła mnie Zuzanna. Kiedy na zakończenie powiedziałem: „Amen”, natychmiast usnąłem i spałem spokojnie aż do rana.

Obudziłem się, gdy Myrina usiadła obok mnie. Przez szpary okiennic widziałem wstający świt. Myrina patrząc gdzieś przed siebie błyszczącymi oczyma, z uśmiechem rzekła:

— Och, bracie mój, Marku, miałam przedziwny sen! Szliśmy w ogniu po schodach, ty, ja i ktoś trzeci, ten ogień nie płonął, wchodziliśmy coraz wyżej i wyżej ku większej światłości. Ty się zmęczyłeś i nie chciałeś iść dalej, a ja wzięłam cię za rękę i poprowadziłam do przodu. To był najpiękniejszy sen, jaki kiedykolwiek śniłam. To dobra wróżba dla nas.

— Ja też miałem sen — odrzekłem i zdążyłem pomyśleć, że obydwa sny mówią o tym samym, bo przecież na każdą rzecz różne osoby mogą patrzeć zgoła inaczej. Właśnie w tej chwili zapukano do drzwi, do pokoju zajrzał przestraszony i zaspany służący, wywołał mnie i powiedział:

— Nie gniewaj się, panie, ale pytają o ciebie. Nie odważyłbym się budzić, lecz na dole czeka jakiś uparty człowiek z dwoma osiołkami. Zapewniał mnie, że musisz natychmiast ruszać w drogę.

Narzuciłem tunikę i zbiegłem na dół; słońce jeszcze nie wzeszło, toteż drżałem z zimna. Ujrzałem Natana i krzyknąłem z radości, gdy go poznałem. Podniecony oczekiwaniem Natan przełamał swoje milczenie.

— Nocą wyszli z Kafarnaum — oświadczył. — Wszystkim swoim przekazali wiadomość. Wyszli grupami, niektórzy z rodzinami i krewnymi. Zuzannę też wzięli ze sobą, dałem jej jednego osiołka. Drugiego pożyczyłem Szymonowi Piotrowi, którego teściowa jest stara i schorowana. Sądziłem, że przyda ci się, żeby miał wobec ciebie dług wdzięczności, choć on jeszcze nie wie, czyjego osła mu pożyczyłem. Oni chyba nikogo, kto dostał wiadomość, nie odtrącają, bo to czas miłosierdzia. W najbliższą noc zapewne zostanie utworzone królestwo Izraela.

— Czy mam wziąć miecz? — spytałem szybko.

— Nawet nie myśl o tym — ostrzegł Natan. — On powiedział, że kto mieczem wojuje, od miecza zginie. Jak będzie trzeba, to nawet legion aniołów wezwie do pomocy.

A więc żywo w drogę i wędrujemy jak ci, co widzą sen.

Spytałem, czy na tę górę daleko. Natan powiedział, że ją zna i zna dojście do niej. Oddalona jest o dzień drogi z okładem. Jego zdaniem najrozsądniej będzie przybyć tam dopiero o zmierzchu, żeby nie wzbudzić niczyjej uwagi. Poprosiłem o chwilę cierpliwości, żebym mógł się ubrać i przygotować do drogi swoją towarzyszkę.

Dopiero gdy już zesliśmy z Myriną na dół, zrozumiałem, że Natan myślał o Marii z Beeret jako o mojej towarzyszcze. Z ukosa spojrział na Myrinę, a potem karcąco na mnie. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, jakbym zawiódł jego zaufanie, więc szybko wyjaśniłem usprawiedliwiająco:

— To cudzoziemka jak ja, po śmierci brata przybrałem ją za siostrę. Na Jezusa Nazarejskiego zaklinam, bądź dla niej miłosierny! Jeśli nie zechcesz jej zabrać, to i ja nie mogę z tobą jechać, ponieważ wiąże mnie obietnica, że doprowadzę ją na górę.

Mój autorytet wyraźnie zmalął w jego oczach i z całą pewnością uważał mnie za rozpustnika. Ale rozłożył ręce i bez sprzeciwu przyjął moją decyzję. Może okres wyczekiwania był już tak długi, że wzięłby nawet Heroda Antypasa, gdyby ten ładnie poprosił? Humor mi się poprawił i pomyślałem, że może w radosnym nastroju oczekiwania uczniowie pozostawią samemu Jezusowi decyzję, kogo ma do siebie dopuścić, a kogo odtrącić.

Omijając miasto Natan wiódł nas na przełaj, na główny szlak prowadzący w głąb kraju. Było tak, jak odgadłem — miasto opuszczało mnóstwo ludzi, którzy przybyli obejrzeć wyścigi rydwanów i nocowali w Tyberiadzie. Trakt wspinał się na strome zbocza. Obejrzałem się za siebie na wspaniałą panoramę Morza Galilejskiego i miasto z jego kolumnadami. Drogę za nami wypełniał barwny tłum, a tumany kurzu przed nami wskazywały kierunek. Przy drodze w niewielkich odstępach, a także przy każdym moście stały posterunki legionowe. Widocznie władze poleciły zarzucić gęste sieci tego dnia, bo legionieści zatrzymywali każdy środek transportu — osły, wielbłądy, konie i woły — i pobierali podatek drogowy. Pieszycy nie zmuszali do płacenia, ale od czasu do czasu wybierali z tłumu mężczyznę, który wydał im się podejrzany, przesłuchiwali go i rewidowali w poszukiwaniu broni.

Po pokonaniu zbocza ruszyliśmy w głąb kraju. Cała Galilea wydawała się jednym wielkim ogrodem, tak bujne były pola uprawne. Wielu pieszych omijało drogę, aby nie natknąć się na legionistów rzymskich, toteż okoliczni chłopcy wybiegali na szlak, klnąc i lamentując, że wędrowcy rozdeptują im pola i niszczą okalające winnice murki.

Nikt nas nie sprawdzał ani o nic nie wypytywał, ale musieliśmy trzy razy zapłacić podatek za obydwie osły. Koło południa zrobiliśmy popas przy studni. Dopiero wtedy coś sobie przypomniałem i bardzo się zdenerwowałem. Zapytałem Natana, czy Maria Magdalena na pewno otrzymała wiadomość, czy nie należałoby zawrócić, żeby ją zabrać ze sobą. Natan uspokoił mnie zapewnieniem, że wszyscy oczekujący niewątpliwie o spotkaniu wiedzą.

W czasie odpoczynku obserwowałem ludzi, którzy szli traktem, nie zatrzymując się na odpoczynek w najgorętszej porze dnia. Próbowiałem zgadywać, ilu z nich i którzy zmierzają na górę. Dostrzegłem kilku wędrowców, na których obliczu malowała się

radość oczekiwania i jakiś blask i którzy zdawali się nie odczuwać zmęczenia ani dokuczliwego kurzu. Ci, co oglądali wyścigi, szli pochyleni i najwidoczniej znudzeni. Wiele osób ucięło gałęzie z drzew liściastych i osłaniało się nimi przed skwarem, dzień bowiem był gorący. W pewnej chwili minął nas przystojny młodzieniec, który prowadził ślepego mężczyznę.

Zaczęliśmy się szykować do dalszej drogi, gdy usłyszeliśmy z daleka stukot kopyt, turkot kół i pokrzykiwania woźnicy. Obok nas przemknął rydwan, który poprzedniego dnia brał udział w wyścigach. Woźnica dostał widocznie polecenie utrzymania porządku na drodze i wykorzystał tę okazję, aby rwać do przodu nie zważając na pieszych. Obawiałem się, że przy swojej szybkości spowoduje w tym tłoku wypadek.

Dojechawszy do zakrętu zobaczyliśmy, że wypadek już się wydarzył. Tłum ludzi przy drodze wygrażał pięściami za znikającym w oddali rydwanem. Młody chłopiec, który prowadził ślepcę, zdążył wyszarpnąć swego podopiecznego spod kół, ale sam dostał się pod końskie kopyta. Miał rozbitą głowę, krew spływała mu po czole i najprawdopodobniej złamał nogę, nie mógł bowiem wstać. Ślepiec pojękiwał, nie rozumiejąc, co się właściwie stało.

Skoro okazało się, że potrzebna będzie pomoc, momentalnie ludzie się rozpiechli i powędrowali każdy swoją drogą. Młodzieniec otarł krew z czoła i obmacywał nogę. Patrzyłem na niego z zaciekawieniem; powinien dziękować losowi, że żyje, myślałem. Zaciskając zęby gniewnym wzrokiem odpowiedział na moje spojrzenie i odwrócił się do ślepcę, aby go uspokoić.

Przeszlibyśmy obok nich obojętnie, ale Myryna krzyknęła do Natana, żeby się zatrzymał, i szybko zeskoczyła z grzbietu osła. Uklękła przy młodzieńcu na drodze, zbadła jego nogę i zawołała do nas:

— Złamana!

— Jeśli zaspokoiliś już swoją ciekawość — odkrzyknąłem ze złością — to ruszajmy dalej, bo nie mamy czasu.

— Izraelici, okażcie miłosierdzie, zlitujcie się nad moim ślepym ojcem — zwrócił się do nas młodzieniec. — Cieszymy się dobrą opinią. Mój ojciec stracił wzrok i obiecano mu, że znajdzie uzdrowiciela, jeśli dotrze do niego jeszcze dziś wieczór. Jutro będzie za późno. O mnie nie chodzi, ale błagam was: zabierzcie mojego ojca i dowieźcie do miejsca, gdzie zaczyna się równina Nazaretu. Tam na pewno znajdzie się ktoś, kto się zlituje i doprowadzi go na właściwe miejsce.

— Dróg jest wiele i wiele prowadzi na manowce — wtrącił się Natan. — Czy jesteś pewien swojej drogi, chłopcze?

— Jest tylko jedna droga — odpowiedział radośnie młodzieniec, uśmiechając się mimo bólu, a uśmiech rozjaśnił jego umazaną krwią twarz, czyniąc ją piękną.

— W takim razie mamy przed sobą tę samą drogę — stwierdził Natan i spojrzał pytająco na mnie. Bez słowa sprzeciwu zsunąłem się z osiołka i powiedziałem:

— Chodź, ślepcze, pomogę ci dosiąść osła, a sam pójdę pieszo.

— Jeśli rzeczywiście idziemy tą samą drogą, i to przez góry — wtrąciła Myrina — nie możemy zostawić chłopca na pastwę losu! Przewiążę mu ranę i posadzę na osiołku. Mam wprawę w pieszach wędrówkach.

— Nie chciałbym być dla was zawadą, ale skoro jesteśmy dziećmi tego samego ojca, on z pewnością pobłogosławi was za to — dziękował młodzieniec.

Trudno mi było pogodzić się z myślą, że ten biedny galilejski chłopiec ze złamaną nogą i jego gniewnie pomrukujący ojciec są równi mnie i mają takie samo, jeśli nie większe — jako Żydzi — prawo szukać Jezusa Nazarejskiego. Byłem jednak wdzięczny Myrinie, ponieważ jej wrodzona życzliwość była szybsza od powolnego toku moich rozważań. Razem umyliśmy twarz chłopca, przewiązali głowę, założyli usztywniające łubki na złamaną kończynę i daliśmy mu mocny kij, za pomocą którego skacząc na jednej nodze dotarł do osiołka. Jego ojciec przez cały czas siedział na grzbiecie osła, gotów do odjazdu, i zniecierpliwiony kręcił głową, nasłuchując, o czym rozmawiamy. Nagle zawołał ostrym tonem:

— Kim jest ta dziewczyna, której głos słyszę, a która tylko kilka słów mówi w naszej mowie? Nie pozwól, by cię dotknęła, synu, nie rozmawiaj z nią i nawet nie patrz na nią, bo się strefisz w tej wyprawie.

— Mój ojciec dobrze zna Pismo i przez całe życie dokładnie przestrzegał przepisów — rzekł zawstydzony młodzieniec. — To nieszczęście spotkało go nie przez brak pobożności. Zrozumcie go. On nie chciałby się strefie przed spotkaniem uzdrowiciela.

Złoszczący się ślepiec obydwoma rękami tak wczepił się w osiołka, że trudno byłoby nawet siłą ściągnąć go na drogę. Moje dobre myśli rozproszyły się i ostro skarciłem starego:

— Twoje własne plemię porzuciło cię tu przy drodze. Dziewczyna jest Greczynką, a i ja jestem nie obrzezany, chociaż ubieram się na modłę żydowską. Mam nadzieję, że mój osiołek cię nie strefi, skoro tak mocno się w niego wczepiłeś.

— Nie bój się ich, ślepcze — urzekł ugodowo Natan. — Jestem Żydem i należę do cichych. Oni szukają tej samej drogi co ja. Wiedz, że swego czasu mieszkałem na pustyni w zamkniętym domu, uczyłem się czytać Księgi, a swój dobytek oddałem dzieciom światła i jadłem z nimi pospołu. Ale nie zostałem uczonym w Piśmie. Wyruszyłem z pustyni szukać nauczyciela nowej pobożności i znalazłem proroka odzianego w szaty z wielbłądziej sierści, który głosił nadejście Królestwa. Od niego otrzymałem chrzest. Kiedy go ścięto, złożyłem ślub milczenia, aby nic nie kusilo mnie do głoszenia tego, co tylko prawdziwy mistrz pobożności może wiedzieć. Teraz nadeszła chwila: jest wszechobecna. Dlatego zwolniłem się ze ślubowania. Wierz mi, ślepcze, ani w tych czasach, ani w tym narodzie, ani w żadnym plemienu nie ma nikogo, kto by był czysty i bezgrzeszny. Żadne obmywanie ani ofiara cię nie oczyści, nawet najprawdziwszy mistrz pobożności nie może tego zrobić. Ale słowo stało się ciałem i krąży między nami, chociaż go nie poznaliśmy. Ukrzyżowano go, a on wstał z grobu, aby nas uwolnić od naszych grzechów. Jeśli w niego uwierzysz, uzdrowi twoje oczy, aby przejrzały. Lecz jeśli uważasz, że ty jeden spośród nas jesteś czysty, to nie sądzę, aby cię uzdrowił.

Niewidomy głośno zajęczał i oderwał jedną rękę od osła, wyciągając szew odzienia,

by je rozerwać. Chłopiec przytrzymał go za rękę i rzekł:

— Ci cudzoziemcy okazali nam miłosierdzie, kiedy Żydzi nas porzucili. Nie okazuj zatwardziałości serca i nie doprowadzaj ich do gniewu. Słońce naszego Ojca świeci zarówno dobrem, jak i złym, tak samo dzieciom Izraela, jak i poganom. Nie wyobrażaj sobie, że jesteś jaśniejszy pod jego słońcem, skoro zostałeś ukarany ślepotą.

Ślepiec kazał mu zamilknąć i poprosił, by Natan prowadził osiołka przodem, w pewnej odległości od nas. Myrina i ja pozostaliśmy w tyle; młodzieniec zatrzymał swego osiołka, aby się z nami zrównać, i patrząc na nas bez strachu tłumaczył:

— Trudno jest staremu uwolnić się od przeszłości. Choćbym się rozerwał dla wypełnienia Pisma, nie uwolni mnie to od grzechu. Nie sądzę, że jestem lepszy od poganina, ani nie wierzę, żeby wasze miłosierdzie mnie strefiło.

Przyjrzałem mu się. Oblicze miał pożółkłe z bólu i zaciskał zęby, byle utrzymać się na grzbiecie osła.

— Twarz masz czystą i oczy jasne. Nie sądzę, abyś dobrowolnie upadł w grzechu.

— Bóg stworzył człowieka na swój obraz — wyjaśniał. — Ale przez upadek naszych praojców, Adama i Ewy, obraz Boga we mnie uległ zaciemnieniu, czuję się nagi przed Bogiem i jest mi wstyd.

— Czytałem i słyszałem o tym — rzekłem — ale nigdy tego nie mogłem zrozumieć. Uczony Żyd w Aleksandrii wyjaśnił mi, że to opowiadanie należy rozumieć wyłącznie alegorycznie.

— Cóż ja, prosty chłopiec, mogę wiedzieć? — młodzieniec próbował się uśmiechnąć. — Ale widziałem Jezusa z Nazaretu nad brzegiem jeziora. Uzdrawiał ślepych, a kulawych i sparaliżowanych stawiał na nogi. Mówił, że jest chlebem życia. Bardzo chciałem iść za nim, ale mój ojciec jest surowym człowiekiem. Gdyby był dobry i czuły, uciekłbym od niego, a tak serce mówiło mi, że pogłębiłbym jego srogość, gdybym poszedł za Jezusem. Mój ojciec wierzy uczonym w Piśmie, którzy skazali Jezusa, bo obcował z grzesznikami. Wielokrotnie bił mnie za Jezusa, kiedy słuchając go zanieczyściłem pracę. Uważał go za wicherzyciela. Aż stało się coś nieoczekiwanego. Wieczorem normalnie czytał modlitwy i poszedł spać. Rano obudził się i nic nie widział. Z początku nie wierzył, że dzień zaświtał. Popadł w rozpacz i nikt nie był w stanie mu pomóc. Stał się skłonny uwierzyć w Jezusa, chciał go znaleźć, ale Jezus powędrował do Judei i Jeruzalem, gdzie został ukrzyżowany. Ojciec szukał pomocy u cichych, którzy wyjawili mu, że Jezus zmartwychwstał, i podali dzień i drogę, którą teraz idziemy. Mocno wierzy, iż Jezus może go uzdrowić, jeśli tylko zdążymy dotrzeć na czas. Jak także w to wierzę, chociaż wolałbym, aby ojciec raczej szukał jego Królestwa niż odzyskania światła oczu.

Myrina zapytała mnie szybko, o czym chłopak tak długo mówił.

Przetłumaczyłem jego wypowiedź. Była bardzo zdziwiona i rzekła:

— Ten jasnooki chłopiec jest tak czystego serca, że nie wiem, czy istnieje jeszcze drugi taki na ziemi. Dlaczego właśnie jego musiało spotkać to nieszczęście?

— Nie pytaj o to — ostrzegłem — skoro on sam poddaje się losowi i o nic nie pyta. Zapominając o swoim bólu pragnie dobra dla nieczulego ojca. Pismo żydowskie nakazuje czcić ojca swego i matkę swoją.

Natan usłyszał moje wyjaśnienia, a rozumiał po grecku. Odwrócił się do nas, prowadząc nadal osiołka ślepego, i powiedział:

— Takie było Prawo. Lecz mówiono mi, że Jezus Nazarejski nauczał, aby dla Królestwa mąż odstąpił od żony, syn od ojca i matki, braci i sióstr, bogaty od swoich bogactw, domów i towarów. Kiedy on zawoła, rybak musi zostawić swoją sieć w jeziorze, a chłop wołu przy pługu. Nie dopuścił do siebie nawet tego, który chciał najpierw pochować własnego ojca.

— Dostałem się w szpony bluźnierców — głośno jęczał ślepiec — i sam szatan prowadzi osła! Czy można czegoś dobrego spodziewać się po drodze, której wyznawcy słowami zabijają Pismo?

— Nie słyszałem, żeby Jezus tego nauczał — pocieszał go posmutniały syn. — On powiedział, że błogosławieni będą cisi i pracujący dla pokoju. Zabronił mówić źle i złem odpłacać za zło, nakazywał kochać swych wrogów i modlić się za prześladowców. Zapewniał, że jego Ojciec zna wszystkie nasze potrzeby i spełni je, jeśli nie bacząc na jutro przede wszystkim szukać będziemy Królestwa.

— Dużo już słyszałem o nim i o jego słowach — rzekłem gorzko.

— Jego nauczanie jest wewnętrznie sprzeczne, wygląda, jakby zależało od tego, kto je powtarza. Już naprawdę nie rozumiem, co mam o tym wszystkim myśleć!

— Czemu klóćcie się o niego, skoro do niego idziemy? — spytała Myryna, która patrzyła na nas zdumiona. — Myślę, że jestem z was najszcześniejsza, bo jeszcze nic o Jezusie nie wiem i jestem jak pusty dzban, który on, jeśli zechce, będzie mógł napęlić.

Jej słowa dotknęły mnie do żywego. Kiedy tak maszerowaliśmy za osiołkami, wpatrywałem się w kurz pod nogami i myślami przebiegałem wszystko, co mi się przytrafiło i co przyjmowałem zmiennymi uczuciami. Nie znalazłem w sobie już nic dobrego ani wystarczająco dużo miłości. Mimo to jednak zapewniałem sam siebie, że szukam tego, który zmartwychwstał, nie ze zwykłej taniej ciekawości. W głębi serca modliłem się do Jezusa i prosiłem, aby wyrzucił ze mnie pychę i egoizm, wiedzę i moje ziemskie pojmowanie zjawisk, a nawet mój własny rozum, żebym i ja był jak pusty dzban gotów przyjąć jego prawdę, jeśli zechce we mnie ją przelać.

Modląc się tak podniosłem wzrok i ujrzałem wznoszącą się za rozległą równiną górę. Popołudniowe słońce wyłączało jej kopulasty szczyt. Już na pierwszy rzut oka wiedziałem, że to jest właśnie ta góra. Wysoka, harmonijna i przepięknie zaokrąglona, dominowała nad całym krajobrazem. Po przejściu wyschniętego koryta strumienia szliśmy kawałek głównym traktem, a później ścieżką po zboczu góry na południe, omijając miasto, które — jak powiedział Natan — leżało na północnym stoku. Pola uprawne skończyły się, ścieżka wiodła przez gęste zarośla. Szliśmy w cieniu góry. Wokół była cisza. Nie widzieliśmy żywego ducha, nie słyszeliśmy nawet głosów zwierząt. Wszystko było tak wyciszone, że zacząłem się lękać, czy aby jesteśmy na

właściwej drodze. Lecz od ziemi, drzew i zboczy płynęła ku mnie świadomość, że stąпам po świętej ziemi. Ogarnął mnie spokój, odpłynęła gdzieś niecierpliwość.

Natan też się nie spieszył. Myślę, że celowo wybrał tę trudną drogę, aby uniknąć wędrowców i zbędnych wypytywań. Spojrzał na niebo, na gęstniejący cień i zatrzymał osiołki na popas. Jako Rzymianin dziwiłem się, że nie spotkaliśmy żadnych chat wystawionych przez cichych. A przecież skoro w grę wchodziło tak duże tajne zgromadzenie, zwolennicy Jezusa powinni byli wysłać na górę przewodników, by wprowadzali przybywających i zatrzymywali nieproszonych gości!

Kiedy na niebie zajaśniała trzecia gwiazda, ruszyliśmy w drogę, po ciemku dotarliśmy w pobliże szczytu i zobaczyliśmy dużą grupę, która rozłożyła się na ziemi.

Wszystko odbywało się w nieprawdopodobnej ciszy. Ludzie rozmawiali ze sobą szeptem. Można by usłyszeć nawet najłżejszy powiew wiatru znad wierzchołka góry. Natan przywiązał osły w lasku i pomógł ślepcowi zejść na ziemię. Myrina i ja pomagaliśmy chłopcu. Podeszliśmy do zgromadzonych i usiedli na ziemi z boku, kilka kroków od najbliższej grupki. Również z drugiej strony widzieliśmy na tle nieba ruch i kontury nadchodzących ludzi. Przybysze siadali na ziemi bez słowa, by czekać podobnie jak my. Z dolatujących do mych uszu szeptów dowiedziałem się, że na wierzchołku zgromadziły się setki ludzi. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak ogromny tłum może oczekiwać w takiej ciszy.

Upłynęła już pierwsza nocna warta, ale nikomu nie sprzykrzyło się czekanie i nikt nie wstawał ani nie odchodził. Księżyc nie świecił, lecz gwiazdy lśniły jasno, a ich blask padał na ziemię jak srebro. Stopniowo coraz silniej odczuwałem obecność jakiejś mocy. Objąłem Myrinę ramieniem, czując, jak jej chude ciało stężało w oczekiwaniu. Miałem takie samo uczucie, jakie przeżyłem kiedyś w pokoju Nikodema w Jeruzalem — jakby padały na mnie ciężkie krople. Dotknąłem twarzy, nie wyczułem jednak żadnej wilgoci.

Zauważyłem, że ludzie podnoszą się, jakby chcieli lepiej widzieć, więc i ja się podniosłem. Spośród tłumu wstała ku światłu gwiazd potężna postać i przemówiła donośnym głosem:

— Mężowie, bracia! — Wszystko pograżyło się w niezgłębionej ciszy. — Ziarno dojrzewa do młócki, żniwa pukają do drzwi, a czterdzieści dni, które nam dano, zbliża się ku końcowi. Chwila jest bliska i czeka nas pożegnanie. Tam, gdzie on pójdzie, my nie możemy podążyć. On był tym chlebem, który przyszedł z nieba. Kto spożywa ten chleb, żyć będzie wiecznie. Chleb, który nam dał, jest jego ciałem złożonym za życie świata. I już nie spieramy się, jak mógł dać nam swe ciało ku spożywaniu, bo w grupie jedenastu doświadczyliśmy tego i to potwierdzamy. To nam powierzył tajemnicę Królestwa. Zaprawdę, jeśli nie skosztujecie ciała syna człowieczego i nie wypijecie jego krwi, nie będzie życia w was samych. Ale ten, kto będzie spożywał ciało syna człowieczego i pił jego krew, będzie miał żywot wieczny i obudzi się w ostatnim dniu. Jego ciało jest prawdziwym pokarmem, a krew prawdziwym napojem. Kto spożywa jego ciało i pije jego krew, jest w nim. Lecz jeśli w gromadzie jest ktoś, kto temu bluźni albo uważa to za puste słowa, niechaj wstanie i odejdzie, a nikt go nie będzie osądzał.

Jednakże nikt nie wstał, aby odejść, ja też nie, chociaż bałem się tego misterium. Nie

mógłbym nawet się podnieść, bo ręce i nogi miałem zwiotczałe i tchu mi brakowało.

Mówca milczał dłuższą chwilę i stał potężny jak skała w świetle gwiazd wśród bezgłośnego tłumu. Ale zaraz podjął znowu. Opowiadał zwyczajnie, jak dziecko, jakby sam sobie się dziwił:

— Jedliśmy mięso baranie razem z nim tamtej nocy, kiedy go wydano. Wtedy wziął chleb, pobłogosławił, przełamał i podał nam mówiąc: To jest ciało moje. Wziął kielich, podziękował, podał nam i rzekł: Pijcie z niego wszyscy, to jest bowiem krew moja, która za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów. — Wzniósł obydwie ręce:

— Bierzcie więc i jedzcie i pijcie wszyscy, którzy go kochacie i którzy tęsknicie za nim i wierzycie, że jest Chrystusem, synem Boga. Błogosławcie chleb w jego imieniu, przełamujcie i dawajcie innym, i błogosławcie wino w jego imieniu i dawajcie pić innym, aby każdy, kto ma, dał tym, którzy nie mają, i aby wszyscy otrzymali. Jedzmy i pijmy i czekajmy na niego.

Powiedziawszy to usiadł na ziemi, a w tłumie powstało poruszenie, ludzie bowiem wstawali myć ręce i pomagali sobie, wzajem lejąc wodę. Nie mieliśmy dużo wody, ale Natan polał ręce nam oraz ślepcowi i jego synowi, potem ja wziąłem naczynie i polałem jemu, a on nie przyjął tego jako obrazy. Jedzenia mieliśmy dosyć, lecz ślepiec zaczął się trząść i prosił szeptem, czy jednak nie mógłby jeść własnego chleba i pić własnego napoju. Nadal nikt nie mówił głośno, tylko szepty ludzi były jak szum wzbierającego wichru.

Nie obraziłem się, że trzymając się swych Ksiąg ślepiec nie chciał jeść naszego chleba. Natan pobłogosławił jego chleb imieniem Chrystusa, przełamał na pół i podał jemu i chłopcu. Potem w taki sam sposób pobłogosławił nasz biały chleb, dał mnie i Myrinie, sam jadł i mówił:

— Niechaj ten chleb będzie chlebem nieśmiertelności, o której mówiono. Niech stanie się dla ciebie chlebem życia, a nie śmierci.

— Niech się stanie jego wola, bo jest synem Boga — odrzekłem pokornie. — Jeśli wedle jego woli miałby mi przynieść śmierć, ponieważ jestem cudzoziemcem, będę temu posłuszny.

Po spożyciu chleba Natan pobłogosławił napój ślepca i dał pić jemu i chłopcu, dla nas zaś zmieszał wodę z winem i pobłogosławił naczynie z winem i czarkę. Kolejno wypiliśmy i czarka została w ręku Myriny. Wszyscy wokół nas także jedli i pili, dzieląc się pokarmem z innymi.

Ślepiec zjadł tylko parę kęsów, po czym rozplakał się, siedząc na ziemi kiwał głową i jęczał:

— Jadłem ciało syna Bożego i piłem jego krew. Wierzę, że on wszystko może. Niech się zmiłuje nad moją niewiarą.

Myrina podała mi czarkę. Wypiłem i podałem Natanowi, który też wypił. Czarka znów wróciła do rąk Myriny, która napiła się i przechyliła ją, patrząc ze zdumieniem. Cicho szepnęła:

— Czarka wcale się nie opróżnia.

— Sądziłem, że zjedliśmy wszystek chleb, a obok mnie leży nadal bochenek — powiedziałem równie zdziwiony. — Natanie, czy to ty go położyłeś?

— Nie, nie kładłem chleba obok ciebie, ale może mieliśmy go więcej, niż myślałem.

Jeszcze raz wypiliśmy po czarce, a ona nadal się nie opróżniła. Ale już więcej się nie zastanawiałem, wszystko to działo się jak w pogodnym śnie. Siedziałem na ziemi, czułem jej chłód, widziałem nad sobą niebo i słyszałem szmer ludzkich głosów, który jak ciężkie fale rozlegał się wokół. Nie było we mnie żadnej innej myśli poza dominującą pewnością, że Jezus Nazarejski nadchodzi i że go zobaczę. Jego chleb nie utkwiał mi w gardle ani jego winem się nie zakrzusiłem.

Tak upłynęła druga nocna warta i nie sądzę, aby ktokolwiek zasypiał, bo wszyscy czekali. I w tym oczekiwaniu nie było nic denerwującego, było ono przygotowaniem. Nagle ślepiec podniósł głowę i spytał:

— Czy dzień świta?... Zobaczyłem jasność... — Radośnie wpatrywał się w środek tłumu.

I my podnieśliśmy się, aby popatrzeć, i ujrzeliśmy, że zmartwychwstały jest wśród swoich uczniów. Jak i kiedy przyszedł — nie mogę wytłumaczyć, ale nie mogłem się mylić. Miał na sobie białe szaty, jasne światło gwiazd odbijało się od nich, lecz cała jego postać i twarz jakby promieniowały światłem. Bardzo wolno chodził wśród tłumu, chwilami zatrzymywał się przy swoich i wyciągał do nich ręce, jakby ich witał i błogosławił.

Stopniowo wszyscy unieśli głowy i wpatrywali się weń, ale nikt nie ośmielił się powstać i biec ku niemu. Nagle usłyszeliśmy nienaturalnie głośny krzyk kobiety. Rzuciła się przed nim twarzą ku ziemi i wołała głosem nabrzmiałym łzami i radością: „Pan mój i Bóg mój!” Tłum się zakotłosał, a Nazarejczyk pochylił i ręką dotknął jej głowy. Kobieta natychmiast ucichła. Usłyszeliśmy westchnienie tłumu i mnożące się szepty: „To On, Pan przyszedł do nas.”

Ślepiec wyciągnął szyję, położył ręce na kolanach i rzekł:

— Nie widzę go. Widzę tylko jasność, jakby słońce świeciło mi w oczy.

Nie jestem w stanie stwierdzić, jak długo był między nami. Czas się zatrzymał, chociaż równocześnie żyłem pełnią ludzkiego życia. On chodził wśród tłumu, zatrzymując się często i nie zapominając o nikim. Wszystko przebiegało zupełnie prosto i naturalnie, a we mnie nie było ani cienia zwątpienia czy zdziwienia. I nie mogłem tego przyjmować inaczej, jak tylko być pewnym, że gdy Go zobaczyłem, znajdowałem się w Jego Królestwie.

W końcu podszedł blisko nas. Wszystko zakotłosało się we mnie i przelewało, jakby moją istotę stanowiła zawiesina. Zdawało mi się, że rozmawia z ludźmi błogosławiąc ich, ale nie słyszałem głosów, choć słyszałem, jak ktoś gorąco potakuje, chyba mu odpowiadając. Jezus stanął przed nami i patrzył na nas. Miał zmęczoną i prześwieconą blaskiem twarz, a w Jego oczach jaśniało Królestwo. Widziałem, jak poruszają się usta

ślepcą, lecz głosu nie słyszałem, nawet pomyślałem, czy nagle nie ogłuchłem. On wyciągnął rękę, dotknął oczu ślepcy, później położył ją na głowie chłopca. Obydwaj padli przed nim na ziemię i nie wstawali. Nieco dalej leżało na ziemi kilka osób, których nawet nie tknął.

Potem popatrzył wprost na mnie. To było takie spojrzenie, że byłem pewien: umrę, jeśli mnie dotknie. Poruszałem ustami i na pewno mówiłem, choć nie słyszałem swego głosu. Sądzę, że prosiłem:

— Panie, weź mnie do swego Królestwa.

— Nie każdy, który mi mówi: „Panie, Panie!” wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten kto słucha moich słów i spełnia wolę mego Ojca.

— Jakie są twoje słowa i jaka wola twego Ojca?

— To już wiesz. Cokolwiek czynisz jednemu z tych najmniejszych, mnie czynisz.

Chyba jeszcze raz ponowiłem pytanie o Królestwo, bo wybacząco uśmiechnął się do mnie, jak do natarczywego dziecka, mówiąc:

— O królestwie niebieskim nie można powiedzieć, że jest tutaj czy tam, bo ono jest w tobie i we wszystkich, którzy mnie znają. — I dodał:

— Nie odtrącam nikogo, kto mnie wzywa. Gdzie dwóch albo trzech zbierze się pod moim wezwaniem, tam będę z nimi aż do końca. I nigdy nie będziesz samotny, gdyż ja będę z tobą, jeśli mnie wezwiesz.

Odwrócił wzrok ode mnie, zatrzymał się i spojrzał na Natana. Widziałem, jak usta Natana poruszały się, ale ani słowa nie słyszałem. Później spojrzał ciepło na Myrinę, lecz nawet ust nie otworzyła. Odwrócił się od nas i przeszedł do innej grupy.

Ślepiec i jego syn leżeli jak martwi na ziemi. Natan, zauważywszy moje przerażenie, potrząsnął głową i wyszeptał:

— Oni nie umarli. Tylko śpią. Nie dotykaj ich.

Widziałem jeszcze, jak jedenastu apostołów skupiło się wokół Jezusa. Zdawało mi się, że coś mówił do nich z miłością i podobnie oni mu odpowiadali. Jednakże łzy przesłoniły mi oczy mgłą do tego stopnia, że wyraźnie widziałem tylko jego w postaci jasnej mgły wśród tych jedenastu. Wreszcie przestałem płakać i otarłem łzy z oczu. Zobaczyłem, że już go nie ma, że odszedł — nie potrafię powiedzieć, jak i w którym momencie. Właściwie raczej to poczułem, ponieważ wraz z nim zniknęła jego moc. Jakbym obudził się ze snu, kichnąłem i znów mogłem poruszać kończynami jak przedtem.

Wróciło mi poczucie czasu. Widziałem po niebie, że to trzecia zmiana warty i zbliża się świt. Ludzie podnieśli się i rozglądali dookoła. Słyszałem nawoływania i zażarte dysputy, zupełnie jakby jeden przez drugiego każdy chciał opowiedzieć, co komu powiedział.

— Natanie, Natanie, rozmawiałem z nim i on mi odpowiedział!

— ja też wołałem zachwycony. — Bądź mi świadkiem, że nie zabronił mi wejścia do swego Królestwa.

— Nie mogę być twoim świadkiem — odparł zdziwiony Natan, potrząsając głową. — Widziałem wprawdzie, że ruszałeś ustami, ale chyba ci język skołowaciał, bo nie słyszałem ani słowa. Ja natomiast mówiłem do niego i mi odpowiadał.

— Nie śmiałam do niego przemówić — wołała w ekstazie Myrina, oburącz ściskając moje dłonie — ale on mnie poznał! Uśmiechnął się i powiedział, że nigdy w życiu nie będę łaknąć, bo napoiłam go, kiedy był spragniony.

— Zupełnie rozum wam odjęło! — rozżłościł się Natan, tracąc cierpliwość. — Nie mówił wcale do was! Z naszej trójki mówił tylko do mnie i wskazał mi drogę. Pouczał mnie, że nic z tego, co idzie do wnętrza człowieka, nie jest skalane, trefne jest to, co z niego wychodzi. W jego Królestwie jest dużo miejsca. Każdy otrzyma wedle swojej miary, jeden dostanie więcej, drugi mniej, ale każdy, kto gorąco prosi, będzie wysłuchany. A tym jedenastu mam wierzyć, bo sam wybrał ich na apostołów. Jego Królestwo jest podobne ziarnku gorzycy. Wschodzi powoli, ale wyrasta z niego drzewo, na którego gałęziach gnieźdzą się ptaki ze wszystkich stron świata. — Natan umilkł, wbił wzrok w przestrzeń, jakby nasłuchując, i zakończył apatycznie: — Wielu jeszcze innych rzeczy mnie nauczył, ale boję się, że zapomniałem. Gdy przyjdzie czas, to sobie przypomnę.

Byłem zdumiony, ale Królestwo wciąż we mnie trwało i duch mój był spokojny.

— Nie gniewaj się, Natanie — prosiłem. — Naprawdę zdawało mi się, że mówi także do mnie. Być może rozmawiał z każdym, kto tego oczekiwał. Gdybym to wiedział i mógł zanotować wszystko, o czym tej nocy rozmawiał ze swoimi, na pewno nie pomieściłbym tego w żadnej księdze. Może dlatego inni nie słyszeli, o czym z kim rozmawiał.

— W każdym razie widziałem, że patrzył na ciebie i nic złego ci się nie stało — udobruchany Natan położył mi rękę na ramieniu.

— Dlatego dotykam cię i nie jesteś dla mnie nieczysty.

Naradziliśmy się i obydwaj doszliśmy do wniosku, że najlepiej zejść z góry przed dniem, ażeby mnie nie rozpoznali. Ale ślepiec i jego syn wciąż spali na ziemi jak zabici, a my nie śmieliśmy ich rozbudzić. Nie mogliśmy też zostawić ich na los szczęścia. Dlatego usiedliśmy na ziemi, żeby zaczekać. Kiedy zaczęło świtać, w tłumie coraz bardziej narastało podniecenie i uczucie radości. Wiele osób intonowało pieśni pochwalne. Inni biegali zdyszani od grupy do grupy, by witać przyjaciół i zaświadczyć, iż na własne oczy widzieli zmartwychwstałego Jezusa. Z zaczerwienionymi z emocji twarzami wołali jedni do drugich:

— Pokój tobie. Czy i tobie też odpuszczono grzechy? Czy i tobie obiecał życie wieczne? Naprawdę my, którzyśmy widzieli go tutaj na górze, nigdy nie umrzemy.

Czułem twardy grunt pod nogami, napinałem mięśnie i ugryzłem się w rękę, aby poczuć swoje żywe ciało.

Gdy już rozwidniło się i ludzie rozpoznawali jedni drugich, w tłum ruszyła jedenastka apostołów, idąc pod dwóch lub po trzech. Widziałem, jak budzą i stawiają na nogi tych, których dotknął Zmartwychwstały i którzy omdleni padli na ziemię.

Trzech apostołów zbliżało się do nas. Jednego z nich poznałem

— to on zabierał tej nocy głos i mówił twardym głosem. Poznałem go po okrągłej głowie i szerokich barach, a przy jasnym świetle poranka stwierdziłem, że jego brodatą twarz cechuje zapalczywość i upór. Towarzyszył mu młody Jan. Miał twarz bladą od czuwania, lecz najczystsza i najjaśniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem, aż miło było na niego spoglądać. Trzeciego nie znałem, ale z jego twarzy wyczytałem, że także jest jednym z jedenastu. Nie umiem tego wytłumaczyć inaczej jak tylko tak, że było w niej coś z twarzy Jezusa Nazarejskiego, chociaż była inna, o rysach rozmytych, jakby przysłonięta całunem.

I wtedy przypomniał mi się ów samotny rybak, z którym rozmawiałem w nocy nad brzegiem jeziora. Gdy przed godziną patrzyłem na zmartwychwstałego Jezusa Nazarejskiego, próbowałem w pamięci odtworzyć wygląd rybaka. I nadal nie jestem pewien, czy to był naprawdę Jezus! Wierzę jednak, że nad jeziorem widziałem jego i z nim rozmawiałem, chociaż go wtedy nie znałem. Ale dlaczego zechciał się mnie objawić, tego w żaden sposób nie pojmuję.

Im bliżej była ta trójka, tym większe poczucie winy mnie ogarniało, aż wreszcie spróbowałem odwrócić głowę i ukryć przed nimi twarz. Jeszcze nie zwracali na mnie uwagi. Pochylili się nad ślepcem, potrząsnęli nim, postawili na nogi i rozkazali:

— Obudź się, śpiochu!

— Widzę was — rzekł ślepiec, przecierając dłonią oczy. — Jest was trzech, ale was nie znam.

— Jesteśmy przez Jezusa Nazarejskiego, syna Bożego, wybrani na apostołów. Ja jestem Szymon, którego nazwał Piotrem. A kim ty jesteś, bo cię nie znamy?

— Ujrzałem w nocy wielką jasność — powiedział ślepiec, dotknął ręką czoła, rozejrzał się dookoła widzącymi oczami i ucieszył ogromnie. — Siła dotknęła moich oczu tak boleśnie, że straciłem przytomność. A teraz widzę na oboje oczu, choć byłem ślepy, gdy tu przyszedłem. — Zachwycony pochylił się nad chłopcem, potrząsał nim, aż go obudził, postawił na nogi i chwycił w ramiona, wołając:

— Zmartwychwstały Jezus Nazarejski uzdrowił mnie tej nocy! Niech będzie błogosławione jego imię! Do końca życia chcę słać Boga, który go wysłał!

Chłopiec, jeszcze zaspany, zerwał z głowy bandaż. Rana na jego czole zasklepiła się, została tylko maleńka blizna. Stał na obydwu nogach, nie czując bólu. Zauważył, że coś go uwiera, pochylił się, zdjął łubki i zdumiony zawołał:

— Nie mam już złamanej nogi!

— Ubiegłej nocy uzdrowił wszystkich, których zaprosił spośród narodu, aby było wystarczająco wielu świadków jego zmartwychwstania i wniebowstąpienia — powiedział Szymon Piotr. — Razem i wszyscy równocześnie widzieliśmy go. I nie tylko

uzdrowił oczy, by przejrzały, i uszy, by słyszały, i kalekie nogi, by chodziły, ale uwolnił nas od grzechów i otworzył bramy wiecznego żywota. W tym momencie młody Jan spojrział na mnie, dotknął Piotra i rzekł:

— Nie znamy tych dwóch i nie zapraszaliśmy ich, ale sam Jezus uwolnił ich od trosk. W tłumie są i inni nieproszeni, lecz w nocy nikogo nie odtrącił. — Oskarżająco wskazał palcem na mnie i ciągnął: — Ale tego człowieka znam. Nagabywał nas w Jeruzalem, nękał pytaniami i wodził na pokuszenie Szymona Cyrenejczyka i Zacheusza, aż Mateusz musiał go przestrzec, aby nie powoływał się na imię naszego Mistrza. To jest Marek, goj i Rzymianin. Nie rozumiem, skąd się tu wziął...

— A więc i tutaj mamy zdrajcę?! — zawołał Szymon Piotr, zaciskając rękę w ogromną pięść.

— Nie róbnmy zbiegowiska — powstrzymali go towarzysze — tylko odprowadźmy ich na bok. Ludzie przestraszą się i ukamienują go, a my poniesiemy odpowiedzialność, bo to obywatel Rzymu.

— Wśród zgromadzonych tu ludzi są i fanatycy. — Piotr sapał gniewnie, wpatrując się we mnie piorunującym wzrokiem. — Co powiesz, Rzymianinie, jeśli cię oddam w ich ręce? Zaprowadzą cię do pieczary, skąd nigdy nie wyjdiesz.

— Nie boję się ani ciebie, ani żadnych krwi ludzi. Czemu miałbym się bać, skoro twój Mistrz ubiegłej nocy nie odtrącił mnie? Z pewnością mógł zatrzymać mnie w drodze i nigdy bym tu nie przyszedł, gdyby on tego chciał. Czyżbyś w to wątpił?

Cała trójka bardzo zręcznie wprowadziła nas do zagajnika, gdzie mogliśmy przywiązać osiołki, a oni spokojnie naradzali się. Z ich rozmowy wynioskowałem, że Nikodem, Szymon Cyrenejczyk i Zacheusz, których znałem, są na górze wśród tłumu. W końcu Jan apostoł powiedział:

— Im więcej osób tutaj zwołamy, tym większe powstanie zamieszanie. Rzymianin ma rację. Pan nie odtrącił go od siebie. Nie wiem, dlaczego tego nie zrobił, ale przecież sługa nie powinien być mądrzejszy od pana.

Ślepiec i jego syn stanęli w naszej obronie, opowiedzieli, co im się na drodze przytrafiło i jak zlitowałem się nad nimi i przywiozłem na górę. Ale Szymon Piotr obstawał przy swoim:

— A czy to, że wpadliście pod końskie kopyta i chłopak złamał nogę, nie było wystarczającym świadectwem, że jesteście nieproszonymi gośćmi i że on nie chciał was tu widzieć?

— Wybaczcie mi, święci mężowie! — błagał chłopiec, rzuciwszy się na kolana przed Piotrem. — Nie miałem nic złego na myśli! Uczyniłem to tylko dla ojca. I wcale nie prosiłem, żeby mi Jezus uzdrowił nogę, nawet o tym nie pomyślałem. Ale on w swej dobroci dotknął mnie i wyleczył. Chyba w ten sposób mi wybaczył. I wy też wybaczcie mnie i mojemu ojcu.

— Jeśli chcecie, rzucę się przed wami na ziemię, święci mężowie.

— Ja też nie miałem oporów przed ukorzeniem się wobec tych trzech

zaniepokojonych ludzi, którzy surowo na mnie spoglądali. — Proszę was o wybaczenie, bo jesteście przez niego wybrani i najwięksi w jego Królestwie. Ale nie jestem zdrajcą i nie życzę wam niczego złego. Będę milczał o wszystkim, co tutaj widziałem, jeśli uważacie, że tak będzie najlepiej, ale jeśli zechcecie, gotów jestem zaświadczyć jego zmartwychwstanie przed całym światem i bodaj przed samym cesarzem.

— Zamilcz, szalony głupcze! — zawołał Szymon Piotr, który sięgnął do chlaminudy, jakby chciał ją rozedrzeć. — Co by powiedział lud Izraela, gdyby Rzymianin i poganin zaczął świadczyć o Królestwie? Lepiej by było, gdybyś nigdy nie usłyszał o drodze. Ubiegłej nocy udało ci się na chwilę wyleźć z rynsztoka, a teraz wracaj do niego! Wróc do swojego świata, jak pies wraca do swoich rzygowin. Dla nas nie jesteś od rzygowin lepszy. — Pełen gniewu odwrócił się w stronę Natana i rzekł oskarżająco: — Widziałem cię w Kafarnaum i zawierzyłem ci, a ty oszukałeś nas, przyprowadzając poganina na ucztę wiecznego żywota.

— Słuchaj, Szymonie, rybaku wiernych... — Natan potarł nos palcem. — Czy nie pożyczyłem ci w Kafarnaum oślicy, żebyś mógł przywieźć tu swoją teściową?

Piotr zmieszał się, zerknął w poczuciu winy na swoich towarzyszy, lecz fuknął:

— I co z tego? Zaufałem ci, bo i Zuzanna cię poparła.

— Oślica jest własnością tego Rzymianina — powiedział Natan, przeciągając słowa. — Marek jest potulnym człowiekiem, ale jak go rozzłościsz, zabierze osła, choć jest miłosierny. I zostaniesz na górze razem ze swoją teściową. Do towarzystwa będziecie mieli Zuzannę, bo przyjechała na drugiej oślicy Rzymianina.

Szymon Piotr w zakłopotaniu, przestępował z nogi na nogę. W końcu przyznał:

— Mam groźną teściową. Kiedyś sam jej ubliżyłem, bo gdy dla Jezusa zostawiłem swoje sieci, oskarżyła go, że namawia mnie do próżniaczego życia. A później Jezus uzdrowił ją z gorączki, kiedy już myślała, że umrze. Od tej pory złego słowa nie powie. Nie chcę, żeby popadła w jakieś tarapaty. Nasza jedenastka musi dzień i noc spieszyć do Jeruzalem, aby zdążyć tam przed upływem czterdziestu dni i czekać na spełnienie obietnicy. Jeśli moja teściowa zostanie bez osła, który ma ją zawieźć z powrotem do Kafarnaum, to nie wiem, co pocznę.

— Złem ci za zło nie odpłacę — zapewniłem gorąco — i pozwolę ci zatrzymać osiołka, choć w twoich oczach jestem tylko psią rzygowiną. Pozostałe osły też możesz wziąć i dać je niewiastom. Nie będą nam już potrzebne, możemy równie dobrze iść pieszo. Umówimy się więc, że zatrzymasz osły, a Natan zabierze je w Kafarnaum. Odejdę stąd nikomu nie przeszkadzając. I nie wyklinajcie mnie ani nie wysyłajcie za mną fanatyków, bo jak sądzę, nie jest to zgodne z waszym Prawem.

— Zrozum nas, Rzymianinie — wmieszał się do rozmowy Jan.

— Jeszcze nie wszystko rozumiemy, a i obietnica też nie jest spełniona. Nie wiemy nic ponad to, że droga będzie ciasna, a brama wąska. Nie mamy odwagi na własną rękę drogi i bramy poszerzać.

— Jezus rozkazał nam uczynić swymi uczniami wszystkie narody

— rzekł trzeci apostoł. — Ale kiedy i jak to się stanie, jeszcze nie wiemy. Przecież najpierw powinien zbudować Królestwo dla Izraela. Wyjaśnimy to w Jeruzalem.

Patrzyłem, gdy tak stali ramię przy ramieniu jak bracia, i myślałem o spuściźnie, jaką im zostawił Jezus Nazarejski. Ogarnęła mnie zawiść i trwoga. Upadłem przed nimi na ziemię i jeszcze raz błagałem ich żarliwie:

— Wam jedenastu zostawił Jezus słowa życia wiecznego. Nie buntuję się przeciw jego woli, choć jesteście ludźmi prostymi. Chyba każdy z was wykłada jego nauczanie wedle swojej mądrości i dodaje do niej swoje jej rozumienie. Z pewnością chcecie urzeczywistnić jego wolę tak, jak potraficie. Ale przecież on mnie nie odtrącił, mogłem go zobaczyć i nie przeszkodził mi przyjść tutaj. Wiem, że w nocy mówił do mnie, lecz jeśli chcecie, mogę to wymazać z pamięci. Nie proszę was również o eliksir nieśmiertelności. Pozwólcie tylko, że zatrzymam w sercu jego Królestwo, i nie odtrącajcie mnie całkowicie, bo pragnę wierzyć we wszystko tak, jak wy to wyjaśniacie, nie dodając niczego od siebie. I nie proszę was o żadne tajemnice. Jestem też gotów wspierać was materialnie, a jako obywatel Rzymu mogę dużo zdziałać, gdyby was przesłuchiowano albo gdybyście byli prześladowani za niego.

— Ani za złoto, ani za srebro — odmówił Szymon Piotr, wznosząc odpychająco rękę.

— Ja, Jakub, pamiętam — rzekł drugi apostoł — jak zapewniał, że nie musimy się martwić o to, co będziemy mówić przed urzędnikami, bo wówczas wypłyną z naszych ust takie słowa, jakie będą potrzebne.

Ale w oczach Jana pokazały się łzy. Patrząc na mnie z czułością rzekł:

— Kocham cię, Rzymianinie, za twoją pokorę i wierzę, że nam źle nie życzysz. On zszedł do królestwa cieni, złamał bramę śmierci i wskrzesił umarłych. To wiem od jego matki, którą pod krzyżem powierzył mojej pieczy. Czyżby więc nie uwolnił narodów pogańskich? Ale jak to się ma stać, tego naprawdę jeszcze nie wiemy. Bądź cierpliwy, módl się, pość i pokutuj. Ale nie mów o nim innym, abyś nie wprowadził nikogo w błąd przez swój brak zrozumienia. Mówienie nam pozostaw.

Z pochyloną głową podniosłem się z ziemi i usiłowałem przewyciężyć swoją pychę, chociaż dręczyło mnie podejrzenie, że dziedzictwo Jezusa Nazarejskiego rozleci się i rozwieje na wietrze, jeśli zostanie powierzone tylko tym jedenastu prostakom. Ale — pocieszałem się — z pewnością Jezus sam wie najlepiej.

— Weź osły, idź i pomóż niewiastom — powiedziałem do Natana — ochroń je, odprowadź do Kafarnaum czy gdzie indziej. Potem solidnie odpocznij i przyjedź po mnie do kąpieliska w Tyberiadzie.

— Taka samotna wędrownia z dziewczyną po Galilei nie jest bezpieczna — ostrzegł Natan. Rozejrzałem się dokoła i stwierdziłem, że ślepy starzec, który odzyskał wzrok, wykorzystał sytuację i zniknął wraz z synem.

Ale przekora wzięła górę. Pomyślałem, że Jezus Nazarejski na pewno mnie nie odtrąci, chociażby ludzie to zrobili.

— Pokój wam wszystkim — rzekłem, wziąłem Myrinę za rękę i poszedłem, prowadząc ją w dół po stoku góry tą samą ścieżką, którą przyszliśmy po ciemku. Obejrzałem się, zobaczyłem krążącą po zboczu grupę ludzi, którzy szukali znajomych i witali się, żywo dyskutując. Ale wiele osób zmęczonych nocnym czuwaniem zwinęło swoje węzélki i przed powrotną drogą ułożyło się do drzemki.

W czasie marszu przypominałem sobie wszystko, co wydarzyło się w nocy, i wcale się nie dziwiłem, że ślepy odzyskał wzrok i że noga chłopca się zrosła, choć kość była złamana. Te cuda wydawały mi się zupełnie naturalne i najmniej znaczące. Jego miłość była tak wielka, że choć objawił się swoim, to również nieproszonych wybawił z cielesnych bolączek.

Mijało czterdzieści dni i jak słyszałem, miał wrócić do domu swego Ojca. Usiłowałem przywyknąć do myśli, że mimo wszystko przyjdzie do mnie, gdy go będę wzywał, toteż nigdy już nie będę samotny. Myśl ta była zdumiewająca i gdyby powiedział to ktoś inny, wydawałaby się nonsensem, ale ja musiałem wierzyć. Tak głęboko przeżyłem spotkanie z Jezusem.

Zamyślony szedłem ścieżką przez zarośla w dół po stoku, prowadząc Myrinę za rękę. Drogę przebiegł nam lis. Myrina spojrzała na mnie i zauważyła:

— Zupełnie zapomniałeś, że nie jesteś sam, chociaż trzymasz mnie za rękę.

Popatrzyłem na nią jak wyrwany ze snu i pomyślałem, że chyba Jezus Nazarejski dał mi miejsce brata Myriny, ażeby nie zginęła. Nie mógł jej powierzyć Żydom, bo oni by się nią nie zajęli. Dlatego wybrał mnie, Rzymianina. A to wszystko uczynił w nagrodę za łyk wody!

A ja, pomyślałem zmieszany, nigdy nic nie dałem Jezusowi. Przeciwnie, to on był stroną dającą, nakarmił mnie na brzegu Morza Galilejskiego, pozwolił się ogrzać i wysuszyć odzież przy jego ognisku — jeśli to rzeczywiście on był tym samotnym rybakiem. Ale jeżeli będę uważać Myrinę za siostrę, przysłużę się Nazarejczykowi.

— Myrino, od tej chwili jesteś moją prawdziwą siostrą i nigdy cię nie opuszczę. Wszystko, co posiadam, stanowi również twoją własność. I spróbuj wybaczyć mi moje uchybienia i próżność.

— Marku, bracie mój... — Myrina mocno ścisnęła moją rękę.

— Postaraj się wytrzymać ze mną, ale przede wszystkim wyjaśnij mi, co się właściwie stało, czego chcieli tamci trzej mężczyźni i dlaczego tak źle na mnie spoglądali?

Ponieważ jednak apostołowie zabronili mi mówić, nie ośmieliłem się nawet Myrinie opowiedzieć o Jezusie Nazarejskim i jego Królestwie zgodnie z moim własnym rozumieniem tych spraw. Powiedziałem tylko:

— To byli trzej święci mężowie z tych jedenastu, którym Jezus Nazarejski powierzył tajemnicę swego Królestwa. Oni nas odrzucają, bo nie jesteśmy dziećmi Izraela; w ich oczach jesteśmy nieczystymi poganami. Zabronili mi mówić i wyjaśniać, na czym polega Królestwo Nazarejczyka wedle mojego rozumu. Ale powiedz, co ty sądzisz o tym, co się

nam przydarzyło?

— Najpierw zjedliśmy pożywienie ofiarne, jak się dzieje w Syrii, kiedy grzebie się Adonisa, a potem on wstaje z martwych. Ale to było inne pożywienie, ponieważ Jezus Nazarejski sam siebie dał w ofierze i sam powstał z grobu. Ubiegłej nocy uwierzyłam, że to syn Boga. Przypomnij sobie, że ani chleba, ani wina nam nie ubywało. To jednak dla mnie nie jest ważne. Najważniejsze było to, że kiedy patrzył na mnie, kochałam go z całego serca i w tamtej chwili nie było takiej rzeczy, której nie byłabym gotowa zrobić dla niego. To jest wielkie misterium, na pewno większe od misteriów greckich czy egipskich. Sądzę, że jego Królestwo jest niewidzialne dla moich oczu, ale jednak istnieje, że jestem w nim, chociaż nogi noszą mnie po ścieżkach tego świata. Nie, nie mogłabym sama otrząsnąć się z jego Królestwa, choćbym chciała. Niczego się nie boję, bo cudownie jest przebywać w Królestwie, gdzie nie ma we mnie grzechu.

— Na pewno pobłogosławił cię na górze i jesteś szczęśliwsza ode mnie — patrzyłem z podziwem i zawiścią na wychudzoną twarz Myriny i jej zielone oczy. — Jego prawda musi być rzeczywiście prosta jak chleb i wino, żeby i prości mogli ją posiłkować. Mądrość ziemską jest we mnie czarną ścianą, wiedza siecią, w której się plącze, a logika sofistów pułapką, w której grzęzną. Pomóż mi, siostrzyczko, żebym przypomniawszy sobie o tym, kiedy pokusy nadejdą.

Rozmawiając zdążyliśmy dojść do podnóża góry. Rozejrzałem się dokoła i zrozumiałem, że zgubiliśmy ścieżkę, której trzymaliśmy się w nocy, i że jesteśmy na złej drodze. Nie spieszyło mnie to, bo mogłem kierować się słońcem i wiedziałem, że dojdziemy do głównego traktu. Nigdzie się nam nie spieszyło. To sobie uświadomiłem. Nigdy już i nigdzie nie musiałem się spieszyć, ponieważ z pewnością otrzymałem już wszystko i nie ma niczego, czego bym jeszcze pożądał. Władalem skarbem. Jeśli będziemy umieli żyć, to zarówno Myrinie, jak i mnie wystarczy do końca życia.

— Myrino — powiedziałem, bo ogarnęło mnie takie zmęczenie, jak jeszcze nigdy — nawet kroku więcej nie zrobię. Każde miejsce mi odpowiada. Zostańmy tutaj i prześpijmy się w cieniu drzewa figowego. Mamy całe życie do wspólnej wędrówki. Odpocznijmy tu, gdzie Królestwo jest jeszcze blisko i jest nam dobrze.

Położyliśmy się u stóp sykomory i wziąłem ją w ramiona. Oboje usnęliśmy mocnym snem. Obudziliśmy się dopiero o ósmej. Poszliśmy wzdłuż pól i zagonów, szukając dojścia do traktu. W drodze nie rozmawialiśmy ze sobą, ale po przebudzeniu czułem się jak nowo narodzony i odczuwałem w Myrinie pokrewną bliskość. Pożółkłe pola Galilei oraz brunatne i niebieskawe zbocza pagórków wydawały się piękne w moich oczach. Było mi lekko oddychać i o nikim na świecie źle nie myślałem.

Bardzo się zdziwiłem, gdy pierwszymi ludźmi, których ujrzałem na traktach, były Maria Magdalena i Maria z Beeret. Maria Magdalena siedziała na grzbiecie osła, a Maria z Beeret szła boso po zapylonej drodze, popędzając osiołka różgą. Zdumiony klasnąłem w ręce i skoczyłem, żeby je powitać. Ale Maria Magdalena obojętnie na mnie spojrzała i wcale się nie ucieszyła, że mnie widzi.

— Czy to naprawdę jesteś ty i czy wracasz z góry? — spytała cierpkim tonem. — Ale bym się zawiodła, gdybym poległa tylko na tobie! I cóż to za dziewczynę masz ze

sobą, skoro z takim trudem ledwie pozbyłeś się pierwszej?

Zarówno ona, jak i Maria z Beeret zmierzyły wzrokiem Myrinę; widocznie Maria Magdalena oczekiwała, że ją zabiorę na górę. Ale wcale na ten temat nie rozmawialiśmy, zresztą ona też żadnej informacji mi nie przysłała. Gdyby Natan nie był mi taki oddany, nigdy nie dostałbym się na górę. Podejmowanie na ten temat dyskusji uznałem za bezsensowne.

— Pozwól, że cię odprowadzę i będę chronił, bo jak widzę, nie masz męskiego towarzysza — zaproponowałem. — Nadchodzi wieczór. Poszukajmy zajazdu, zjedźmy razem, przenocujemy, a jutro bezpiecznie doprowadzę cię do domu.

— Dawniej miałam do dyspozycji lektykę, a i opiekunów nie brakowało — arogancko fuknęła Maria Magdalena, widocznie urażona moimi słowami. — Dzisiaj zobaczyłam Pana na górze i on jest moim opiekunem, więc nie musisz mnie zawstydząć, że nie mam męskiego towarzystwa.

Jeszcze bardziej zdziwiłem się, gdy Maria z Beeret nagle odwróciła się do mnie i rzekła:

— Ależ z ciebie lekkoduch i uwodziciel, skoro tak szybko się pocieszyłeś! Mogę ci tylko pogratulować, bo na mnie nie masz co liczyć. Otrzymałam rozgrzeszenie i znów jestem czysta jak dziewica. Nic mnie już z tobą nie może łączyć, bo jesteś Rzymianinem i gojem. Nie patrz więc na mnie tak lubieżnie i nie pozwalaj, aby ta kurnosa wlepiła we mnie swoje wstrętne gały.

Na szczęście Myrina niewiele zrozumiała z tej rozmowy, jednakże domyśliła się czegoś ze spojrzeń kobiet, więc schyliwszy się opuściła głowę. Zrobiło mi się przykro z jej powodu i spytałem:

— Co się wam stało? Dlaczego tak wrogo do mnie mówicie?

— Dzisiaj rano na górze spotkałam młodzieńca, którego oczy są czyste jak źródło, a policzki ma jak owoc granatu i zarost jeszcze nie stężał na jego podbródku — rzekła Maria z Beeret. — Patrzył na mnie z upodobaniem i obiecał niezwłocznie przysłać przyjaciela do domu Marii Magdaleny, aby umówić się, kiedy wspólnie rozbijemy puchar wina. On jest niecierpliwy w miłości, ja też chętnie się pospieszę, póki jestem czysta. Jego ojciec ma pole, winnicę, gaj oliwny, owce, a mnie nic więcej nie potrzeba do dobrego życia. Sprzyja naszym planom i szczerze wierzy w moją niewinność, ponieważ Jezus Nazarejski ubiegłej nocy uzdrowił mu wzrok i nie musi za mnie płacić wykupu.

— To wszystko prawda! — powiedziała Maria Magdalena. — Wystarczyło, że na chwilę spuściłam ją z oczu, a tamten już się oświadczył! I dobrze, bo inaczej musiałabym ją wydać za ciebie, a to byłby grzech. Niewiasty Izraela nie mogą poślubiać gojów, choć mężczyźnie to uchodzi. Trzeba też uznać za wielkie szczęście, że ojciec chłopca został uzdrowiony ze ślepoty i uradowany wierzył w oczyszczenie Marii ze wszystkich grzechów. Inni, choćby uwierzyli, mieliby opory ze względu na jej przeszłość.

Patrząc na podobną do białego kamienia twarz Marii Magdaleny zrozumiałem, że ona naprawdę miała nade mną władzę i mogła mnie zmusić do ożenku z Marią z Beeret, choćbym nie wiem jak tego nie chciał. Odetchnąłem z ulgą.

— Pozostaje mi tylko złożyć gratulacje i życzyć ci szczęścia, Mario. Miałem proroczy sen, którego nie rozumiem. We śnie szedłem przez pustynię z tą oto Greczynką i razem z nami była Maria z Beeret.

— Opowiedz dokładnie! — rozkazała Maria Magdalena, podnosząc bacznie głowę.
— Czy jesteś pewien, że Maria z Beeret była z tobą?

Opowiedziałem sen szczerze i możliwie najdokładniej; w trakcie opowiadania czułem, że traci na ważkości i wydaje się jeszcze bardziej niejasny.

— Maria z Beeret była z nami. Siedziała na grzbiecie osiołka, jak ty teraz. Była gruba i spuchnięta, a w kącikach jej ust krył się grymas niezadowolenia, jednak po oczach ją poznałem.

— Nie masz prawa mieć takich snów o mnie! — krzyknęła rozzłoszczona Maria z Beeret. — Nie wierzę ci zresztą! Sam roztyjesz się i spuchniesz od swoich grzechów, zęby ci wypadną i do tego jeszcze wyłysiejesz.

— Niechaj ten sen okaże się senną marą! — rozłożyłem ręce, zaklinając się. — Ale czemu wykrzykujemy sobie wzajem złe słowa? Przecież wszyscy widzieliśmy na górze Zmartwychwstałego, a on nikogo z nas nie odrzucił, tej dziewczyny, Myriny, także nie!

Opowiedziałem, jak znalazłem Myrinę, o jej spotkaniu z Jezusem przy studni i o tym, że nie ubywało wina z jej czarki. Opowiedziałem jeszcze, jak rydwan na drodze potracił młodzieńca i jak wraz ze ślepym ojcem zabraliśmy go na górę. Maria Magdalena wyrozumiale pokiwała głową i stwierdziła:

— Z pewnością wszystko to się wydarzyło, bo tak było przeznaczone. Wynika stąd, że Jezus kojarzy pogan z poganami, a córki Izraela z Izraelitami... Ale cienie się wydłużają i boję się dalej jechać, bo mam w sakiewce dużo pieniędzy. Nie dałam ich uczniom, skoro nie zgodzili się wziąć mnie ze sobą do Jeruzalem, Piotr zaś kazał mi wracać do domu. Tylko nie rozumiem, czego oni jeszcze szukają w Jeruzalem... Ruszajmy więc i szukajmy noclegu. Jeśli pomyślnie dojedziemy do domu, zostaniemy w dobrej komitywie.

Na drodze nie było już zbyt wielu ludzi. Myrina milczała i pochylona wpatrywała się w ziemię, dopiero gdy ruszyliśmy, spytała szeptem, kim są te kobiety. Odpowiedziałem, że Maria Magdalena towarzyszyła Jezusowi w wędrówkach i pierwsza weszła do pustego grobu. Myrina natychmiast poczuła szacunek dla niej, przyspieszyła kroku, żeby się zrównać z osiołkiem, i poprosiła potulnie:

— Opowiedz mi o Zmartwychwstałym, najszczęśliwsza z niewiast.

Jej pokora ujęła Marię, która zaczęła na nią przyjaźnie spoglądać i mówić po grecku. Na górze spotkała parę małżeńską z Kany, na której weselu Jezus uczynił pierwszy cud, przemieniając wodę w wino ku radości gości weselnych. Potem mówiła o narodzinach Jezusa, o aniele, który objawił się jego matce, a ta w cudowny sposób stała się brzemienną, o tym, że Józef, z którym była zaręczona, zamierzał uciec od Maryi, ale miał we śnie objawienie, by tego nie robił. Słuchałem tych opowiadań i doszedłem do wniosku, że lepiej rozumiem, dlaczego mężowie, których Jezus wybrał na apostołów, twierdzą, iż Maria Magdalena jest zbyt gadatliwa. Ale Myrina słuchała, wstrzymując

oddech, a oczy jej błyszczały z ciekawości.

— Mity mówią — uznałem za konieczne wtrącić — że bogowie Grecji i Rzymu wplątywali się w życie córek ludzkich i te rodziły im dzieci. Według tych legend prarodzcę Rzymu jest latoroślą Afrodyty. Obecnie mędracy uznają te podania za przenośnie, alegorie. Podobnie studiujący w Aleksandrii Żydzi interpretują przekazy swoich świętych Ksiąg. Moim zdaniem Jezus Nazarejski jest synem Boga i nie potrzebuje żadnych baśniowych opowieści.

— My, kobiety, jesteśmy takie same, czy pochodzimy z Grecji, czy z Izraela. — Maria Magdalena zasmuciła się i położyła rękę na ramieniu Myriny. — Mężczyźni nigdy nas nie rozumieją. I przestań mówić, Rzymianinie, o bóstwach i idolach tego świata, które dają człowiekowi fałszywy obraz życia na ziemi. Odkąd Jezus przyszedł na świat jako Chrystus, straciły wszelką władzę nad człowiekiem, chyba że sam dobrowolnie wybrałby zło i poddał się jego władzy. A ja opowiadam to, co wiem i co jest najprawdziwszą prawdą. Maria, matka Jezusa, sama powiedziała to mnie i innym niewiastom, które szły za Jezusem. Nawet Herod, ten stary potwór, wiedział, że urodził się król Izraela, dlatego kazał wymordować w Betlejem wszystkie niemowlęta płci męskiej, bo chciał się w ten sposób go pozbyć. Żyje jeszcze mnóstwo świadków tej rzezi.

Jej słowa dały mi dużo do myślenia. Maria Magdalena mogła doznawać wielu widzeń i wierzyć w sny, ale matki Jezusa o to nie podejrzewałem. Pamiętam jej zmartwiałą twarz pod krzyżem; odniosłem wtedy wrażenie, że nie mówiła na próżno, że milczała, gdy inni mówili. Z jakiegoż więc powodu miałaby opowiadać coś, co nie jest prawdą? Za Jezusem wystarczająco przemawiały czynione przezeń cuda. Jeśli w nie wierzyłem, a nie mogłem wątpić od czasu spotkania Łazarza, to dlaczego miałbym wątpić w opowiadanie Marii Magdaleny? Dlaczego duch nie mógł zapłodnić kobiety, gdy Bóg miał przyjść na świat jako człowiek? W porównaniu z tym cudem wszystkie inne były mniej ważne.

Myrina nadal pytała o nauki Jezusa. Maria Magdalena popatrzyła na mnie z ukosa, lecz opowiadała:

— Wielokrotnie mówił o siewcy, który poszedł siał. Kilka ziaren upadło na skałę i nie miało na czym wzrastać. Kilka spadło między ciernie, a te rozrosły się i zdusiły rozwój ziaren. Ale kilka upadło na żyzną glebę i przyniosły stokrotny plon. Tak więc nie wszyscy nadają się do Królestwa, choćby słyszeli słowa Jezusa i w nie wierzyli. Ty, Rzymianinie, nie masz twardego serca, lecz za miękkie. Dlatego jesteś słaby. Gdy wrócisz do swoich, ciernie i osty wyrosną wokół ciebie i zamkną ci drogę do Królestwa.

Jej słowa zabolaly. Popatrzyłem na czerwone wzgórza Galilei i ciemnozielone winnice pograżające się w wydłużających się cieniach i rzekłem:

— Jakżebym mógł o tym wszystkim zapomnieć?! Jeszcze w dzień śmierci będę myślał powracał do widoków Galilei, do gór i do Jezusa, jakiego tu widziałem. I nigdy nie będę samotny, bo on będzie ze mną, jeśli go tylko zawołam. — Po chwili dodałem: — Kiepski ze mnie sługa. Mój król ma wyjechać w podróż do dalekiego kraju. Nie wiem, czy powierzył mi talenty, ale jeśli tak, to w myśl polecenia wybranych przez niego apostołów muszę zakopać je w ziemi. To mnie dręczy. Ale złożyłem pewien ślub,

któremu chcę być wierny, chociaż ci go nie zdradzę, żebyś mnie nie wyśmiała.

Podobno kiedyś mam umrzeć, aby rozślawić jego imię, myślałem. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale przecież tak powiedział mi samotny rybak w nocy nad brzegiem jeziora. Zawsze gdy myślałem o nagłej śmierci, byłem rad, że jestem obywatelem Rzymu i dlatego muszą mnie ściąć mieczem; kaźni na krzyżu bym nie zniósł. A tej przepowiedni nie uważam za złą, bo jej realizacja pozwoli mi okazać Jezusowi Nazarejskiemu, że całkowicie należę do niego.

Przed wieczorem zesliśmy z głównego szlaku na ośłą dróżkę, która według Marii Magdaleny prowadziła górami do Magdali. Maria wiedziała też, gdzie się mamy zatrzymać na nocleg. Doszliśmy tam już po zachodzie słońca, ale zanim jeszcze zupełnie się ściemniło. Chałupa była ponad miarę zapchana ludźmi, zapasy żywności także się kończyły. Dla Marii Magdaleny znalazło się jednak miejsce wewnątrz chaty. Kilku ludzi siedziało przy ognisku i szeptem rozmawiało z roziskrzonymi oczami. Z płaskiego dachu dochodziły szmery ożywionych rozmów. Najwidoczniej wszyscy ci goście przywędrowali tutaj ze spotkania na górze. Wszyscy też byli dla siebie serdeczni, kto miał jedzenie, dzielił się z innymi; Myrina i ja również maczaliśmy chleb we wspólnej misie.

Noc była chłodna i o niczym bardziej nie marzyłem, niż żeby usiąść razem z innymi przy ognisku i słuchać o objawieniu się Jezusa, o jego Królestwie, o darowaniu grzechów i o życiu wiecznym. Ale czułem się obco wśród Galilejczyków, którzy nie uznawali mnie za swojego brata, i nie chciałem na siłę pchać się do nich. Gospodarz wyprowadził osiołki na podwórko, uprzątnął zajmowaną dotąd przez nie przegrodę i wymościł ją słomą — tak więc oboje z Myriną nie musieliśmy spać pod gołym niebem.

W czasie gdy Galilejczycy w słabym świetle jedynej lampy szeptali między sobą, nauczyłem Myrinę modlitwy, którą mnie przekazała Zuzanna. Myrinie modlitwa spodobała się i podniosła ją na duchu. Uznała ją za znacznie lepszą od śledzenia faz księżyca, rozsypywania soli, wygłaszania niezrozumiałych zaklęć lub wróżenia z korzeni winorośli. Przy takich czynnościach nigdy nie jest człowiek pewien siebie, może niechcący popełnić błąd albo pomylić kolejność czynności i cała modlitwa traci swą moc.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłem rano po przebudzeniu, była Maria z Beeret. Siedziała obok na słomie i wpatrywała się we mnie. Gdy zobaczyła, że otworzyłem oczy, zaczęła kręcić głową, wyłamywać palce i szeptać niskim głosem:

— Zrobiło mi się gorąco i nie mogłam spać. Chciałam na własne oczy zobaczyć, co robisz i jak trzymasz w objęciach tę obcą dziewczynę. Ja też wolałabym tutaj spać na słomie i przytulić głowę do twego ramienia, niż leżeć z Marią Magdaleną w śmierdzącym potem i pełnym pcheł ciasnym łóżku. Pamiętasz? Tak właśnie spaliśmy nad Jordanem, w drodze do Tyberiady. Wybacz mi wczorajsze złośliwe słowa. Byłam zaskoczona, gdy nieoczekiwanie zjawili się na drodze razem z tą Greczynką, i nie wiedziałam, co myśleć. Nadal nie wiem, co to ma znaczyć. Przez całą noc miałam straszne wyrzuty sumienia, że tak nagle poczułam sympatię do tego młodzieńca i przystałam, aby przysłał do Magdali swojego przyjaciela. A może przyjaciel oblubieńca nigdy nie przyjdzie?

— W tym młodzieńcu nie ma obludy — zapewniłem ją szybko.

— Jego przyjaciel z pewnością przybędzie i w swoim czasie zgodnie z obyczajem Galilei zaprowadzi cię do komnaty weselnej. Cała wioska pić będzie wino i wytupywać takt o podłogę, a grajkowie będą grali i śpiewali pieśni na waszą cześć.

— Udajesz tylko, że mnie nie rozumiesz — zawołała podniesionym głosem Maria z Beeret; nachmurzyła się i przestała wyłamywać palce. — Całą noc denerwowałam się myśląc o tym i prawie oka nie zmrużyłam. Z pewnością wyglądam źle, bo dwie noce nie spałam i oczy mam jak królik. Wiem, że wybaczone mi grzechy i że znowu jestem niewinna, jakbym nigdy nie znała mężczyzny. Ty mi wierzysz, bo wiesz o Chrystusie. Zresztą temu młodzieńcowi, żeby go nie zrazić, nie opowiadałam za wiele o przeszłości, tylko to, co było konieczne. Przeraza mnie jednak myśl, że jego rodzina i mieszkańcy wsi przyjdą rano sprawdzić prześcieradło. Nie znajdują śladów mojej niewinności, ze wstydem przepędzą mnie, obrzucą kamieniami i zabiorą pierścionek z palca. Wy, Rzymianie, nie jesteście tak skrupulatni w tej sprawie, ale moje plemię znam, a naród galilejski nie różni się od ludu z Beeret.

— Maria Magdalena jest doświadczoną kobietą i hoduje gołębie

— pocieszałem ją. — Zaufaj jej, nawet Rzymianie na wszelki wypadek, żeby narzeczona nie musiała się wstydzić, ofiarowują na weselu parkę gołębi dla Wenus.

— Przestań bredzić i wykręcać się! — Maria z Beeret jeszcze bardziej podniosła głos. — Spróbuj jeszcze twierdzić, że zabrałaś mnie ze sobą do Jeruzalem, żebym oczyściła się z grzechów i była ciebie godna. To prawda, że sprzeniewierzyłabym się swojemu narodowi, gdybym wyszła za Rzymianina, ale dla Jezusa gotowa jestem to uczynić, żeby uratować jednego z najmniejszych. — Spoglądając ironicznie na Myrinę ciągnęła: — Nie czuję żalu do tej dziewczyny. Nie jest tego warta. Nie będę też ciebie winiła, jeśli zechcesz ją zatrzymać jako nałożnicę, bo to nie jest wielkim grzechem i nawet faryzeusze nie są tu bez skazy. Lubię ją zresztą i wskażę jej właściwe miejsce, żeby cały czas była równie pokorna jak teraz.

Myrina już od dłuższego czasu nie spała i spod oka obserwowała nas, próbując zrozumieć, o czym mówi Maria z Beeret. Potem otworzyła szeroko oczy, usiadła i rzekła:

— Byłam bezpieczna i szczęśliwa kładąc się spać, ale blady poranek zmroził mnie chłodem. Chwila prawdy jest chyba w bieli poranku, a nie w ciepłej nocy. Wszystkiego nie zrozumiałam, ale czuję, że ta żydowska dziewczyna ma do ciebie o coś pretensje. Jeśli stanęłam jej na przeszkodzie albo stałam się balastem, jestem gotowa pójść swoją drogą. Mam przecież złote monety, które mi zapewniają bezpieczne życie. Więc o mnie się nie martw i nie uwzględniaj w rachubach, dogadując się z tą piękną Żydówką.

— Nie wierz ani jednemu jej słowu! — zawołała Maria z Beeret, bo choć nie rozumiała po grecku, i tak podejrzliwie patrzyła na Myrinę.

— Mówi potulnie i składnie, ale znam grecką chytryść, ty natomiast wcale nie znasz się na kobietach. — Wybuchnęła płaczem, zakryła twarz rękami i jęczała: — Masz serce z kamienia. Czy nie rozumiesz, że dla ciebie gotowa jestem wyrzec się wszystkiego i podążyć za tobą, żeby cię wyrwać z brudu pogaństwa?

— Czemu doprowadzasz ją do rozpaczki? — spytała przerażona Myrina, patrząc na

nią zielonymi oczyma. — Czy nie widzisz, jaka jest piękna i jakie ma lśniące włosy, a wargi miękkie i czerwone? Już wczoraj byłam o nią zazdrosna. Ja nie mam takich piersi, jak przystoi kobiecie, nos mam za krótki i brzydkie oczy.

Zupełnie zdezorientowany patrzyłem na obydwie i myślałem, że właśnie realizuje się mój sen. Nigdy nie myślałem o małżeństwie z Marią z Beeret. Jest córką Izraela, więc zawsze uważałyby się za lepszą ode mnie. Podporządkowałyby sobie Myrinę jako służącą, a w końcu kto wie, czy przez ciągle awantury nie doprowadziłyby do tego, że dla świętego spokoju wyraziłbym zgodę na obrzezanie. Podobnie postąpiło wielu słabych Rzymian, chociaż starali się utrzymać to w tajemnicy.

Potem błysnęła mi w głowie przerażająca myśl. A może tak musi być? Może wrota Królestwa Jezusa otwierają się tylko poprzez żydowskiego Boga, który nie ma oblicza? Może jego uczniowie już by mnie nie odtrącali, gdybym dzięki Marii z Beeret stał się prawdziwym prozelitą? Opuściłem Rzym z własnej woli i mogę budować życie, jak sam zechcę. Jeśli od związku ze zwolennikami Jezusa dzieli mnie tylko piekący zabieg kamiennym nożem, to jest to niewielka ofiara. W swoim życiu doświadczyłem większych cierpień. Zresztą służący w pustynnych garnizonach rzymscy oficerowie często poddawali się obcięciu napletka ze względów czysto higienicznych, bo dość mieli opuchlizny wywołanej miążskim piachem. Identyczny zwyczaj jest u Egipcjan i Arabów.

Jednakże buntowałem się przeciwko tej myśli. Przecież to najdostojniejsi kapłani, uczeni i starszyzna Izraela skazali Jezusa Nazarejskiego! W głębi serca czułem, że zdradzę Jezusa, jeśli pójdę do ich Świątyni, do tej olśniewającej rzeźni, i będę prosić, aby mnie przyjęli do swej społeczności. Wolę raczej być cichy i pokornego serca, niż gdybym miał pod kłamliwym pretekstem dać się obrzezać, aby wejść w środowisko apostołów, które mnie teraz odrzuciło.

Maria z Beeret przestała chlipać i w napięciu patrzyła na mnie, Myrina zaś spoglądała tak, jakby mnie już utraciła. Porównywałem ją z wygadaną Marią i czułem do niej tylko tklivość. Wiedziałem, że będzie mi zawsze bliższa niż Maria. Wrócił rozsądek i rzekłem stanowczo:

— Nie musisz się dla mnie poświęcać, Mario z Beeret. Czekalaby cię tylko zguba, gdybyś dla mnie odłączyła się od narodu wybranego przez waszego Boga. Pamiętaj, że na grzbiecie własnego osiołka przywiozłem na górę tego młodzieńca, kiedy miał kość strzaskaną. Nie możesz złamać danej mu obietnicy. Muszę od ciebie odejść, ale szczerze obdaruję cię tak wielkim prezentem ślubnym, że będziesz całkowicie od męża niezależna.

Widocznie Maria mi uwierzyła, bo przestała płakać.

— Świat niewdzięcznością stoi i wiem już, że Rzymianie są jak psy — powiedziała. — Na próżno będziesz mnie wspominał, leżąc na miękkich poduszkach. Pomyśl wtedy, że tymi stworzonymi do pieszczot rękami zgarbiona kręcę żarna i wypiekam chleby z oczyma zaczerwienionymi od dymu.

Jej słowa wcale mnie nie wzruszyły. Już im nie wierzyłem. Pomyślałem, że Maria należy do takich kobiet, które nad wszelką miarę wykorzystują swych mężów, a krewnych mają za chłopców na posyłki. Gdy się zestarzeje, będzie udręką swojej

synowej i uprzykrzeniem zięcia. Ale mogłem się oczywiście mylić.

W końcu doszła do wniosku, że już wystarczająco poniżyła mnie słowami, raczyła więc udzielić mi przebaczenia i dodała:

— Właściwie powinnam cisnąć ci w twarz twoje słowa, ale muszę przyjąć od ciebie podarunki weselne, bo nie chcę uchodzić za bezwartościową w oczach rodziny mego męża. Ale to nie jest prezent, tylko kara, jaką płacisz za złamanie wszystkich obietnic.

Chciałem zapytać, kiedy jej cokolwiek obiecywałem, lecz na tyle zmadrzałem, że się nie odezwałem. W czasie naszej rozmowy pielgrzymi wyruszyli już w dalszą drogę. Przyszła Maria Magdalena, a choć miała promienną twarz, skarciła nas:

— Czemu się klóćcie? Wyrzycie na dwór, jak piękny jest świat w promieniach słońca, gdy Królestwo Jezusowe zstąpiło na ziemię. Już nie czuję żalu do nikogo, nawet do Piotra. W nocy miałam sen i zrozumiałam, że łaska przyszła na świat. Białe gołębie spłynęły z nieba i siadły ludziom na głowach. Nawet na twojej głowie, Rzymianinie, dostrzegłam białego gołąbka. Nie potrafię nikogo odtrącić, bo każdemu należy się miara wszechogarniającej miłości Boga, jednemu za zasługi, drugiemu za nic, ale nikt nie będzie pominięty. Ojciec może ukarać nieposłuszne dziecię, nie ma jednak takiego ojca, który całkowicie by to dziecię odtrącił. Dlatego dzisiaj nie czynię różnicy między Rzymianinem i Hebrajczykiem, bo wszyscy ludzie pod sklepieniem nieba są moimi siostrami i braćmi. Nie odwracam się też od Samarytan, chociaż samarytańska wiedźma wykorzystwała szatana, który mieszkał we mnie, i wzięła go na swoje usługi.

Objęła mnie za szyję i pocałowała. Odczułem promieniującą od niej siłę, wszystko pojaśniało w moich oczach, chciałem skakać i śmiać się jak dziecko. Objęła również Myrinę i Marię z Beeret, przyciągnęła je czule ku sobie i ucałowała, nazywając swoimi córkami. W taki sposób radość ogarnęła nas wszystkich i ruszyliśmy w dalszą podróż, zapomniawszy o jedzeniu i picciu, tak byliśmy przepelnieni Królestwem Jezusowym! Tego dnia przemierzaliśmy je, chociaż wciąż byliśmy na tej ziemi.

Po południu dotarliśmy do domu Marii Magdaleny i znów ujrzeliśmy Morze Galilejskie. Słudzy witali ją z radością, bo nic nikomu nie mówiąc wyszła z domu ukradkiem z Marią z Beeret.

Martwili się już o nią i bali, że znowu została nawiedzona przez szatana.

— Niech każdy weźmie dziś z mojej komory nowe szaty dla siebie

— powiedziała do sług. — I przygotujcie wielkie przyjęcie. Zróbcie to jak najlepiej, bo świętujemy dzień radości i wesela. Pan nasz, Jezus Nazarejski, powstał z martwych i objawił się swoim wiernym. Świadkiem tego było ponad pięćset osób. Idźcie więc do Magdali i zaproście na moją ucztę wszystkich, kto tylko zechce tu przybyć. Lecz nie zapraszajcie faryzeuszy ani dostojników synagogi, ani starszyzny, ani bogaczy. Zaproście biednych i cierpiących, celników i poborców podatkowych. Cudzoziemców też zaproście na ucztę. Powiedzcie wszystkim: Maria Magdalena zaprasza dziś na ucztę tylko grzeszników. Nabożnych nie zaprasza. Pan też nie zapraszał nabożnych i dla niego nie było nieczystych. Razem z nim przebaczenie za grzechy spłynęło na ziemię.

Mówiła do służby z taką emfazą, aż ci kręcili nad nią głowami, ale słuchali

rozkazów. Mnie odprowadziła na bok, spojrzała mi z miłością w oczy, położyła rękę na ramieniu i rzekła:

— Nadeszła chwila rozstania. Uznaję cię za dziecko Królestwa, chociaż inni cię odtrącili. Złe dni przyjdą jeszcze na ciebie, a grzechów nikt nie może ominąć. Ale nie pozwól, by twoje serce skamieniało, nie rób się pobożnym na oczach ludzi i nie składaj zbyt wiele obietnic. Grzechy nazwij grzechami nawet wtedy, gdy sam w nie popadniesz. I nie usprawiedliwaj się próżnymi wykrętami, tłumaczeniami, że w gruncie rzeczy nie jesteś gorszy od innych. Lecz jeśli popełnisz grzech i będziesz przez niego cierpieć, jeśli grzech stanie się twoją rozpaczą, a nie radością, wtedy będziesz dojrzały do poprawy. I nie ma tak wielkiego grzechu, którego ci Jezus nie podaruje, jeśli żałując w głębi serca zwrócisz się do niego z modlitwą. Nie przebaczy tylko wtedy, gdy serce ci skamienieje, ponieważ w takim wypadku człowiek z własnej woli odłącza się od niego. Jednakże nikt na tyle od niego nie odejdzie, aby nie mógł znaleźć ścieżki powrotu, tak bezmierne jest jego miłosierdzie! Jeśli będziesz szedł drogą Królestwa, unikniesz złego. I powierzę ci przepowiednię, którą zobaczyłam we śnie: „Sama droga jest już Królestwem”. — Patrzyła na mnie ze łzami w oczach i ciągnęła:

— Taka jest moja nauka, nauka Marii Magdaleny, która z pewnością dojrzewała we mnie, gdy słuchałam przypowieści u jego stóp. W przyszłości jeden będzie mówił o nim to, inny tamto, każdy tak, jak sam zrozumie. Nie jestem bardziej prawowierna od innych, ale sądzę, że nie popełniam gorszych błędów. Uczniowie kazali mi zamilknąć jako kobiecie, więc odtąd będę pokornie milczała w ich obecności. Lecz tobie powiem, że Jezus narodził się jako człowiek i przyjął na siebie cielesne męki, aby zbawić świat. On wiedział, co się z nim stanie, i wielokrotnie mówił o tym jasnymi słowami. Chciał sam poświęcić się za wielu i w ten sposób, jako syn człowieczy i Boży utworzyć nowe przymierze i wziąć na swoje barki grzechy całego świata. Moje serce jest uszczęśliwione dzięki niemu.

Pouczała mnie w sposób emfaticzny, a ja zachowałem jej naukę w pamięci, choć nie wszystko wówczas rozumiałem. Następnie rozmawialiśmy o powszednich sprawach i umówiliśmy się co do prezentu ślubnego dla Marii z Beeret, który miałem wysłać z Tyberiady. Po wydaniu Marii za mąż, a znając ją, chciała zrobić to jak najszybciej, zamierzała pojechać do Jeruzalem, aby sprawdzić, czy apostołom niczego nie brakuje, ponieważ przy wyjeździe nie wiedzieli, jak długo przyjdzie im tam zostać. Tomasz powiedział, że będą czekali na spełnienie obietnicy, choćby miało to trwać dwanaście lat.

W końcu odprowadziła mnie pod samą bramę. Maria z Beeret gorzko płakała, aż oczy jej napuchły, a Myrina szlochała ze szczerzego współczucia dla Marii. Unosiłem w sercu promienną pewność, że choćby jeszcze nie wiem co mi się przydarzyło, to gdybym nigdzie nie znalazł spokoju, zawsze mogę wrócić do tego domu, do Marii Magdaleny. Oczywiście nie zamierzałem tu wracać, ale człowiekowi zawsze jest łatwiej, gdy wie, że istnieje miejsce, gdzie zawsze go chętnie powitają, chociażby nigdy tam się nie zjawił.

Powędrowaliśmy — Myrina i ja — w milczeniu do Magdali, a stamtąd na szlak prowadzący do Tyberiady. Żadne z nas nie czuło zmęczenia, więc nie było sensu wynajmować łodzi, chociaż na pewno bez kłopotu znaleźlibyśmy ją w Magdali. W drodze rozglądałem się wokoło, wdychałem zapach czystej wody i myślałem, że nie mam już co szukać w Galilei. Ale nigdzie indziej też mi się nie spieszyło. Dlatego miło było

iść w milczeniu wzdłuż jasnego brzegu jeziora. I nie byłem sam. Miałem przy sobie Myrinę.

Pod wieczór doszliśmy do miasta. Miałem zamiar iść prosto do kąpieliska przy gorących źródłach, lecz na forum Heroda Antypasa wpadł na mnie głęboko zamyślony mężczyzna. Stało się to tak nagle, że nie zdążyłem odskoczyć i żeby nie upaść, musiałem złapać go za ramię. Potężnie zbudowany człowiek podniósł wzrok na mnie, jakbym wyrwał go z głębokiego snu i — ku swemu zaskoczeniu — poznałem Szymona Cyrenejczyka.

— Pokój tobie — pozdrowiłem go odruchowo, choć jednocześnie bałem się jego gniewu, jeśli mnie rozpozna. Nie rozgniewał się jednak, smętnie się uśmiechnął i odparł:

— To ty, Rzymianinie? Pokój również tobie.

Zdjąłem rękę z jego ramienia, lecz nie mogłem od razu iść dalej. I tak staliśmy naprzeciwko, patrząc na siebie. Po wydarzeniach, które miały miejsce w jego domu, nie widzieliśmy się ani razu — teraz zdawało mi się, że przez ten krótki czas, jaki upłynął, bardzo się postarzał. Oczy miał posępne, a głowę trzymał hardo, jakby mu się ten świat nie podobał. Równie dobrze mógłbym z nim w ogóle nie rozmawiać, ale przyszło mi na myśl, że nie bez powodu na niego wpadłem. Dlatego spytałem potulnie:

— Czy wybaczyłeś mi to, co zdarzyło się w twoim domu? Bo mnie obarczono odpowiedzialnością za to, choć uważam, że wina była nie tylko moja. Jeśli jednak czujesz do mnie żal, przebacz mi.

— Nie mam do ciebie żalu. Sam odpowiadam za swoje czyny. Przecież powiedziałem, że nie życzę ci nic złego.

— Dobrego też mi nie życzyłeś—odparłem oskarżająco — Chciałeś się ode mnie uwolnić. Czy teraz wierzysz, że nie jesteś magiem? Co sądzisz o tym wszystkim?

Podejrzliwie rozejrzał się dookoła, ale o tej porze forum było opustoszałe. Podniosłem rękę i powiedziałem:

— Nie obawiaj się mnie. Ja też wracam z góry. Więc co o tym myślisz?

— Cóż, było tam przecież ponad pięćset osób — westchnął. — Nic dziwnego, że ciebie nie widziałem w tym tłumie. A skoro tam byłeś, to wiesz, co myślę. Na łeb, na szyję wyruszyłem z Jeruzalem, gdy tylko dowiedziałem się, że obiecał być przed nami w Galilei. Wielu ludzi wyjechało wówczas, ale wiadomości były niepewne i nawet sprzeczne; nie wszyscy też wierzyli, że pokazał się apostołom na brzegu jeziora. Niektórzy znecierpliwili się i wrócili do Jeruzalem. Ale mnie życie nauczyło cierpliwości, bo niewolnik musi być cierpliwy. Zresztą to oczekiwanie w Galilei miało dla mnie swoje plusy. Nie marnowałem czasu. W głębi serca myślałem, że apostołowie kłamią. Oczekiwanie mnie uspokoiło. Wierzyłem, że znów wrócę do Jeruzalem, do poprzedniego trybu życia, który mi odpowiada. Dałem przecież obydwu synom najlepsze co można: wiarę Izraela, wykształcenie greckie, rzymski spokój i mądrą lokatę pieniędzy. Ale po otrzymaniu wiadomości poszedłem na górę i tam go zobaczyłem. — Mięśnie twarzy mu zadrżały i zdenerwowany ciągnął: — Zobaczyłem, że naprawdę zmartwychwstał. Uwierzyłem, że jest Chrystusem. I teraz muszę znowu zaczynać

wszystko od początku. Na świecie jest coś więcej niż to, co oko widzi, a ręka stwierdzi i zmierzy miarą i wagą! To straszliwa świadomość. Chciałoby się przeklinać dzień, w którym natknąłem się na niego i włożono mi jego krzyż na ramiona. Przez niego za mało mi tego, co jak sądziłem, tak rozsądnie zbudowałem dla synów. Pytałeś, co myślę o tym wszystkim. Myślę, że muszę tak postępować, żeby być godnym Królestwa i doprowadzić obydwu synów do wiary w nie. Prawa dawane przez niego są bardzo niesprawiedliwe. Są bezlitosne dla człowieka, który najpierw był niewolnikiem, a potem dorwał się do wolności i bogactwa. Ale teraz, gdy upewniłem się, że zmartwychwstał, muszę podporządkować się tym prawom. Miałem nadzieję, że będę się mógł z nim chociaż potargować, jak przy każdej umowie handlowej między ludźmi. Ale on jest nie tylko człowiekiem. Kiedy zobaczyłem go w nocy na górze, zrozumiałem, że z nim targować się nie można. Do jego niewoli muszę wejść ze skórą i całym owłosieniem. Nic na to nie poradzę. A już od niego będzie zależało, czy da mi kartę wyzwolenia, czy nie. Ja sam nic tu nie mogę uczynić. Nad tym wszystkim właśnie tak mocno się zadumałem, aż wpadłem na ciebie, Rzymianinie.

— Ależ — rzekłem zdumiony — czy nie uraża cię, że jestem Rzymianinem i poganinem?

— A dlaczego Żyd ma być przed jego obliczem lepszy od Rzymianina czy Greka? — Szymon Cyrenejczyk patrzył na mnie równie zdziwiony. — Tego nie można zrozumieć, gdy patrzy się po nowemu. Do Jezusa należy odróżnianie dobra od zła. Byłbym szalony, gdybym wyobraził sobie, że jestem w stanie jednych ludzi traktować jako jego własność, a innych odtrącać. W tym też jest niesprawiedliwy. Nie, rozmyślanie mi w rozumieniu nie pomoże. Nie należę do tych, którzy sądzą, że znaleźli wieczną szczęśliwość, jeśli zaszyją się w leśnych ostępach z dala od innych. Jestem człowiekiem czynu. Dla mnie czyny liczą się bardziej niż myśli. Muszę przeżyć swój żywot wśród ludzi, niezależnie od tego, czy będą to Żydzi czy Rzymianie. Prócz tego podejrzewam, że on rzeczywiście stworzył nowe Przymierze chleba i wina. Podobno płakał nad losem Jeruzalem. Może uda mi się z przeznaczonego na upadek gniazda w porę ocalić to, co moje. Jeśli rzeczywiście będzie tak, że Świątynia nikogo nie uratuje, to razem z moimi pisklętami przeniosę się do innego kraju. Ale nie wiem jeszcze nic pewnego.

Mówił bardzo kategorycznie, choć jego myśli przeskakiwały z jednej sprawy na drugą. Zaciekawiony spytałem:

— Czy rozmawiałeś z nim na górze?

— Jakżebym śmiał? — ofuknął mnie Szymon Cyrenejczyk, patrząc jak na głupiego. — Wystarczy, że go ujrzałem.

— Jedenastu nie chce mnie znać — powiedziałem nieśmiało.

— Piotr zabronił mi nawet mówić o nim, bo jestem Rzymianinem.

— Jak dożyją moich lat i przejdą w życiu twardą szkołę, to się zmienią i do wszystkiego będą inaczej podchodzić — zapewnił Szymon, który wcale nie przejął się moimi słowami. — Są tylko ludźmi, a nie ma ludzi, którzy nie popełniają błędów. Zresztą ludzie proszą, gdy dorwą się do odpowiedzialnych stanowisk, powodują mniej szkód niż przemądrzali i żądni sławy. Mnie wystarczy, jeśli tego dziedzictwa nie

zaprzepaszczą. Nie, daleko nie zajdą, jeśli całe Królestwo będzie w rękach jedenastu. Chociaż i to lepsze, niż gdyby mieli się kłócić o dziedzictwo. Będą się chyba rozwijać wraz ze swym posłannictwem. Takie rzeczy i dawniej się zdarzały...

— A co myślisz o jego dziedzictwie? — ośmieliłem się spytać.

W trakcie rozmowy machinalnie chodziliśmy długimi krokami tam i z powrotem po forum, jak sofisci. Myrina usiadła na kamieniu, żeby dać wytchnienie nogom. Szymon Cyrenejczyk zatrzymał się, by spojrzeć na mnie posępnym wzrokiem. Ręka, która uniosła się, by świadczyć, bezradnie opadła.

— Gdybym to wiedział!... — wyrzekął zboląły. — W czasie oczekiwania słyszałem wiele relacji o jego naukach, ale gorąco pragnąłem, aby okazały się tylko gadaniem szalonego proroka. Przecież kiedy zaczynał nauczanie w Galilei, matka i bracia uważali go za szaleńca i usiłowali ściągnąć z powrotem do domu! Był zbyt okrutny dla pobożnych i zbyt łagodny dla grzeszników. Poważni ludzie uważali za pewne, iż czynił cuda przy pomocy Belzebuba. Wyjaśnię ci, bo może nie wiesz, że Belzebub to taki zły duch, który zachował się od czasu pradawnych bogów. W rezultacie nie usiłowałem zapamiętać wszystkich jego nauk, bo jedni mówili zupełnie co innego niż drudzy. Nawet ci, którzy słuchali go równocześnie, twierdzili, że mówił różne rzeczy. Możesz sobie wyobrazić, jak strasznym przeżyciem było ujrzeć go na własne oczy! Przecież na własnych barkach niosłem jego krzyż na Golgotę! Nie mogę obalić jego nauk, ale ich nie rozumiem.

— Opuść nam nasze winy — ciągnął, przyciskając mocno obie dłonie do siebie — tak jak i my odpuszczamy naszym winowajcom. Rozumiem tę spuściznę, ale mocno przeciwko niej się buntuję. Czy powinienem darować długi Herodowi Antypasowi? Jego zarządca Chuza przybiegał do mnie po pożyczkę, ilekroć książę odwiedzał Jeruzalem. Właściwie miałem niewielką nadzieję na odzyskanie pieniędzy, raczej traktowałem te pożyczki jak delikatne łapówki, żeby mi nie szkodził w interesach w Perei i Galilei. Jednak męczy mnie myśl, że miałbym stawić się przed księciem i ze szczerego serca, a nie przez przemilczenie darować mu, co jest mi winien. Wiem, że się naigrawał z Jezusa przed ukrzyżowaniem. Darowałem długi pewnemu biedakowi z Galilei, chociaż jego małeńki skraweczek ziemi chciałem przyłączyć do dużego majątku ziemskiego, który nabyłem na imię mojego syna Rufusa. Ale ten biedak miał rodzinę, a zadłużył się nie z własnej winy, tylko przez potrójne podatki i szarańczę. Nie opowiadam tego, żeby się chwalić, bo Jezus podobno powiedział, że lewica nie ma wiedzieć, co czyni prawica, nie mówiąc o pośrednikach. Ale poradź mi, co mam zrobić? Czy nie byłoby rozsądniej domagać się od księcia tyle, ile się uda od niego wyciągnąć, i rozdać to biednym? Bo niby dlaczego miałbym mu darować?

— Moim zdaniem za bardzo troszczysz się o swój majątek i zyski. Mówił serio o tym, nad czym ja też się zastanawiałem. W końcu powiedziałem ostrożnie: — Jestem także zamożny, ale zbyt mało dbam o to. Może dlatego, że stałem się bogaty bez swego udziału i zdaniem wielu, nieuczciwie. Radziłbym ci, abyś się wstrzymał i nie postępował lekkomyślnie. Słyszałem, że apostołowie zamierzają czekać w Jeruzalem choćby dwanaście lat, aż spełni się obietnica, która wszystko wyjaśni. Czemu miałbyś się spieszyć bardziej niż oni?

— Dlatego, że jestem człowiekiem złym i srogim — szybko odrzekł Szymon Cyrenejczyk, jakby tę odpowiedź miał od dawna przemyślaną. — Spieszę się, aby otrzymać przebaczenie za moje winy i okrucieństwa.

— Umiesz myśleć tylko jak kupiec starej daty — stwierdziłem.

— Zamierzasz coś dać, aby coś w zamian otrzymać. Myślę, że Jezus Nazarejski nie będzie nikomu dawał według zasług. On przyszedł na ten świat, aby zgładzić jego grzechy, ponieważ sam człowiek nie jest w stanie tego zrobić. To niby nonsens, ale jak sam powiedziałeś, w jego nauczaniu rozpatrywanym na modłę mędrców znajdziesz wiele pozornych nonsensów.

— Nie rozumiem, o czym mówisz. — Szymon Cyrenejczyk przyłożył rękę do czoła i ciężko westchnął. — Głowa boli mnie bardziej niż kiedykolwiek. Czy naprawdę twoim zdaniem chęć kupienia przebaczenia jest wyrazem tylko niewolniczej i kupieckiej pychy? Zresztą, co ty będziesz mnie uczył! Przecież sam powiedziałeś, że zabronili ci o nim mówić.

— Wybacz mi, Szymonie Cyrenejczyku — prosiłem, gorzko żałując swej nierozwagi. — Gdzieżbym śmiał cię pouczać? Prosiłeś o radę i popełniłem ten błąd, że ci odpowiedziałem, choć z pewnością nie rozumiem jego nauk lepiej niż ty, przeciwnie, raczej gorzej, bo jesteś człowiekiem starszym i bardziej doświadczonym. Szukaj Królestwa swoimi sposobami. Ja będę próbował po swojemu.

W roztargnieniu Szymon Cyrenejczyk podniósł spracowaną rękę i pogładził po policzku Myrinę, która w dalszym ciągu siedziała na kamieniu.

— Szkoda, że nie mam córki — pożałował się. — Zawsze chciałem mieć córkę. Może byłbym lepszy, gdybym oprócz synów miał również dziewczynkę?... Za dużo gadaliśmy. — Zdumiony patrzył na swą rękę. Było już ciemno i przed domami zapalono lampy. — Im więcej mówiliśmy, tym bardziej się denerwowałem, ale wystarczyło, bym dotknął twarzy twojej córki, a głowa przestała mnie boleć i dobrze się czuję.

— To nie jest moja córka, taki stary znowu nie jestem — zaperzyłem się. — To moja siostra, Myrina. Nie rozumie twojej mowy.

— Na pewno była z tobą na górze — odgadł Szymon Cyrenejczyk, jak lunatyk wpatrując się w swą rękę. — Poczulem to, kiedy ręką dotknąłem jej twarzy. Nie odniosłem takiego wrażenia, kiedy wpadłeś na mnie i złapałeś za rękę. Jej spokój przeniknął mnie i już się nie przejmuję głupstwami. Nie było sensu słuchać twego przemądrzałego gadania, skoro wystarczyło dotknąć twarzy twojej siostry.

To było moim zdaniem zupełnie niesprawiedliwe, ale nie chciałem mącić jego spokoju, jeśli rzeczywiście go uzyskał przez muśnięcie ręką twarzy Myriny. Poczulem się tylko ogromnie wyczerpany, jakby to gadanie zmęczyło mnie bardziej niż całodzienna wędrownia. Dlatego chciałem iść do mego greckiego zajazdu, lecz Szymon Cyrenejczyk nas prowadził, trzymając Myrinę za rękę. Szliśmy więc we trójkę, z Myrina w środku, aż dotarliśmy do oświetlonego zajazdu. Szymon koniecznie chciał, żebyśmy coś zjedli. To był taki zajazd, w którym wolnomyślni Żydzi jadali z jednego garnka z gojami.

Podzieliliśmy się chlebem i wspólnie jedli rybę i sałatę. Nikt się nie obruszał, że

Myrina je razem z nami. Szymon kazał nalać nam wina, choć sam pił tylko wodę. Oczy Myriny rozbłysły, a na chudych policzkach wystąpił rumieniec. Ja także czułem, jak dobre jedzenie i wino wypełniają moje ciało. Po posiłku Szymon Cyrenejczyk zaczął mówić zupełnie inaczej niż przedtem. Żeby nas rozbawić, miłym głosem opowiedział po grecku cyrenejską powiastkę.

— Na drugim końcu świata leży potężne cesarstwo, z którego przywożą do Rzymu jedwab. Jedwabny szlak wiedzie przez wiele krajów, a droga do Tyru trwa aż dwa lata. W cesarstwie rzymskim ziemia jest czerwona, w cesarstwie jedwabiu żółta i skóra jego mieszkańców także jest żółta. To nie jest bajka, bo sam spotkałem w Tyrze człowieka o żółtej twarzy, co wcale nie wynikało z choroby; ten człowiek zapewniał, że w jego kraju wszyscy ludzie są żółci od czubka głowy aż do stóp. A jego kraj jest potężniejszy od cesarstwa rzymskiego i tak cywilizowany, że kultura grecka w porównaniu z nim wydaje się barbarzyńska. Na pewno przesadzał z pochwałami swojego kraju, bo był banitą i tęsknił. Opowiadał, a to samo słyszałem i od innych ludzi, którzy dużo podróżowali, że w jego kraju narodził się król, który zniszczył poprzedniego i sam ogłosił się synem nieba. Zmienił poprzedni system rządów i ogłosił, że ziemia jest wspólną własnością. Nikt nie mógł już posiadać swojej działki, tylko każdy musiał uprawiać wspólną ziemię, a król pilnował, aby każdy żył zgodnie z potrzebami. I nie upłynęło dużo czasu, bo panował tylko dwadzieścia lat, jak doszła do Tyru wiadomość, że chłopci zrobili powstanie i obalili go, a nowy władca przywrócił dawne porządki. Tamten banita natychmiast wyjechał z Tyru, aby wrócić do swego kraju, gdzie poprzednio piastował wysokie stanowisko.

— Oczywiście w tym wszystkim jest sporo fantazji — ciągnął Szymon Cyrenejczyk. — Na przykład ten człowiek twierdził, iż w jego kraju jedwab przędą gąsienice, a ludzie tylko zwijają nici i tkają z nich materiał. Dużo myślałem o tym synu nieba i o wymyślonym przez niego idiotycznym porządku. Taka sama zmiana mogłaby mieć miejsce w cesarstwie rzymskim, gdyby za dużo ziemi skupiło się w niewielu rękach, a wszyscy pozostali byłiby niewolnikami i płatnymi najemnikami. Wówczas dla dużej grupy ludzi byłoby obojętne, czy ziemia jest wspólna i uprawia się ją na rachunek państwa, czy też jest własnością kilku osób. Dlatego kiedy myślałem o Jezusie Nazarejskim, rodziła się we mnie przerażająca myśl, że on jako król zamierza zrealizować na ziemi taki sam system: nikt niczego nie będzie posiadał, tylko wszystko będzie wspólne. Absurdalność tego może zrozumieć tylko dawny niewolnik. Żeby żyć, każdy musi mieć coś własnego, choćby niewiele. Zdarzało się, że niewolnik z Cyreny chętnie chwycił się własnymi kajdanami, jeśli były większe i cięższe od innych! W każdym razie odetchnąłem zrozumiawszy, że Królestwo Jezusa nie jest z tego świata. Gdyby dążył do takiego systemu, narodziłby się jako cesarz rzymski, a nie król żydowski.

— Czy rozsądnie jest mówić o polityce w zajeździe? — ostrzegłem.

— A Królestwo Jezusa Nazarejskiego, jak myślę, zstąpiło na ziemię w momencie jego narodzenia i wciąż tu trwa. To Królestwo niewidzialne, więc żaden obcy najeźdźca nie może nim zawładnąć. Jego zwolenników będzie można torturować, ale Królestwa nikt nie może obalić, ponieważ ono jest w nas, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, bo ja sam tego dobrze nie pojmuję.

— Och, jakże jesteś niedoświadczony i jak mało znasz ludzi! — jęknął Szymon Cyrenejczyk, smutno potrząsając głową. — Królestwo syna nieba rozpadło się w

dwudziestym roku jego panowania, chociaż to był system zupełnie zrozumiały. W jaki sposób ma się utrzymać Królestwo niewidzialne, skoro Jezus jest nieobecny? Wierz mi, kiedy wymrzemy my, którzyśmy go widzieli, niewiele lat przetrwa pamięć o nim na ziemi. Jak można zmusić kogoś, by wierzył w niewidzialne Królestwo, jeśli na własne oczy nie widział syna Bożego? Być może coś o nim zachowałoby się, no, powiedzmy, przez sto lat, gdy jego nauki były rozsądne i zgodne z naturą ludzką. Ale one są sprzeczne ze wszystkim, co było dotychczas.

— Więc nie wierzysz, że świat zmieni się dzięki niemu i jego imieniu?

— Nie wierzę — odparł szczerze Szymon Cyrenejczyk. — Nie, tego świata ani natury ludzkiej nawet sam Bóg nie jest w stanie odmienić. Słuchaj! Przecież wtedy, kiedy nakarmił pięć tysięcy ludzi, Galilejczycy chcieli przemocą zrobić z niego króla! Jeśli oni, którzy jedli i go słuchali, tak opacznie rozumieli jego słowa, to jak będą je rozumieć ci, co go nawet nie widzieli? Weź pod uwagę i to, że jego nauczanie jest podejrzane i niebezpieczne. Zapraszał grzeszników. Jeszcze na krzyżu obiecywał swoje Królestwo łotrowi, którego obok niego ukrzyżowali. Innymi słowy, tylko śmieciarze, którzy nie mają żadnej nadziei, mogą słuchać jego nauk. Ci, co mają władzę, na pewno postarają się, aby taka nauka zbytnio się nie rozprzestrzeniła.

— Czemu jesteś taki niespokojny i martwisz się o szerzenie jego nauki? — spytała Myrina. Uśmiechając się podniosła rękę i pogładziła jego zarośniętą twarz. — To chyba nie twoja sprawa ani mego brata Marka, ani moja. Lepiej radujmy się, że mogliśmy go zobaczyć na górze. On jest dobrym światłem i od kiedy go ujrzałam, już nigdy nie będę bezbronna. A ty mówisz tylko o złej ciemności.

Myrina cały czas tak pokornie milczała, że gdy podniosła głos, obydwaj byliśmy zaskoczeni, jakby nagle przemówił martwy stół. Ucieszyliśmy się i wpatrując się w jej jasne oblicze zawstydziliśmy naszego pustosłowia. Królestwo znowu się w nas objawiło i serce zapłonęło mi prawdziwą miłością do Myriny i do Szymona Cyrenejczyka. Długo milczeliśmy, patrząc tylko na siebie. Wcale nam nie przeszkadzał zgiełk i hałas panujący w zajeździe. Szymon Cyrenejczyk zapłacił z nawiązką rachunek i odprowadził nas aż do greckiego zajazdu u gorących źródeł. Tam rozstaliśmy się.

Oboje, Myrina i ja, spaliśmy w naszym pokoju aż do południa, tak byliśmy znużeni wędrowką i wszystkim, czego doświadczyliśmy. Nasza radość nie zniknęła, trwała po obudzeniu i cieszyliśmy się na nowy dzień.

Nagle przypomniałem sobie Klaudię Prokulę i to, że muszę jej opowiedzieć, co widziałem na górze. Spochmurniałem. Myrina zaraz zapytała, co mi jest. Opowiedziałem jej o Klaudii Prokuli i jej chorobie, a ona ufnie zaproponowała, że może oboje udamy się do niej i razem przekażemy radosną nowinę.

Wpierw musiałem doprowadzić się do porządku po trudach wędrowki. Czuję się tak, jakby ta podróż zaczęła się już w Jeruzalem. Mój żydowski płaszcz śmierdział potem, a ciało było brudne. Zapragnąłem nałożyć czyste szaty i nie miałem już ochoty na noszenie długiej brody ani na ukrywanie, że jestem Rzymianinem. Dlatego poszedłem do łaźni, pozwoliłem się ogolić, ułożyć włosy i usunąć owłosienie z całego ciała, aby czuć się zupełnie czystym. Kazałem się wymasować i natrzeć wonnościami, potem włożyłem

nowe szaty. Stare podarowałem służbie. Teraz wyglądałem jak dawniej, zacząłem też w duchu się wstydzić, że przez noszenie brody i frędzelków w rogach płaszcz użyłowałem wkraść się w łaski Żydów. Po powrocie do pokoju wyciągnąłem z sakiewki i wsunąłem na duży palec złoty pierścień rycerski.

Myrina wróciła z łaźni z pięknie uczesanymi włosami i makijażem na twarzy, ubrana w białą szatę haftowaną złotymi nićmi. Długo patrzyliśmy na siebie, bo nie mogliśmy się poznać. Powinienem się cieszyć, że nie muszę się jej wstydzić przed bogatymi gośćmi kąpieliska ani przed Klaudią Prokulą, ale ta jej elegancja nie uradowała mnie. Strój i makijaż — to nie jest moja Myrina. Wolałem dziewczynę z zabiedzoną twarzą i wychudłym ciałem, która spała w mych ramionach na zboczu góry, okryta wybrudzonym płaszczem.

Zdawałem sobie sprawę, że z pewnością zrobiła to wszystko, żeby mnie ucieszyć. Dlatego nie mogłem jej ganić ani przyznać się, że bliższe mi są jej zniszczone sandały aktorskie niż barwne pantofle i złote hafty na szacie. Myrina dziwnie na mnie spojrzała i rzekła:

— Takiego zobaczyłam cię po raz pierwszy na statku płynącym do Joppy. Taki byłeś, kiedy dałeś mi ciężką srebrną monetę. Właściwie dobrze się stało, że mi chcesz przypomnieć, kim jesteś ty, a kim ja. Byłam lekkomyślna proponując, abyś mnie wziął ze sobą przed oblicze żony prokuratora Rzymu.

Przypomniałem jej, jaką radość oboje czuliśmy po obudzeniu, i powiedziałem:

— Zrozum, zmęczył mnie już ten przepocony płaszcz i zarośnięta twarz, chcę być po prostu czysty. Jeśli posłuszni Zakonowi Żydzi nadal będą unikali nawet mego cienia, to może kiedyś doświadczą tego samego: inni będą spluwać na ziemię, gdy tylko zobaczą Żyda. Sądziłem, że się ucieszysz widząc mnie takiego jak dawniej.

Ale już się wkradł między nas chłód. Zacząłem się zastanawiać, że może rzeczywiście nie wypada prowadzić jej do Klaudii Prokuli.

W głębi serca uznałem tę myśl za zdradę, a tego za żadną cenę nie chciałem. Długo musiałem nalegać, aż zgodziła się mi towarzyszyć. Równocześnie przyszedł służący z oznajmieniem, że Klaudia Prokula może mnie przyjąć. Kiedy zbliżaliśmy się do letniego pałacu Heroda, stwierdziłem, że goście kąpieliska już nie tłoczą się wokoło i nie zaglądną do ogrodu; nie było też widać honorowej warty żołnierzy księcia Galilei, odzianych w czerwone płaszcze. Była tylko osobista eskorta Klaudii. Syryjski legionista poruszył leniwie ręką na znak, że mogę wejść do środka.

Wszystko świadczyło o spowszednieniu wizyty małżonki prokuratora Judei w Tyberiadzie, była już tylko znamienitym gościem w gronie -innych kuracjuszy.

Klaudia Prokula odpoczywała w chłodnym pokoju, za przewiewnymi kotarami. Nie użyłowała się nawet upiększyć na spotkanie ze mną, więc dostrzegłem zmarszczki w kącikach oczu i ust oraz grymas niesmaku na twarzy. Poza tym była spokojna, czujna i już nie drżała ani nie wyciągała ku mnie rąk. Z zaciekawieniem obejrzała Myrinę od stóp do głów, uniosła pytająco brwi i znacząco popatrzyła na mnie.

— To moja siostra, Myrina — wyjaśniłem. — Była ze mną na górze. Dlatego

przyprowadziłem ją do ciebie, Klaudio. Będziemy mogli rozmawiać w trójkę bez zbędnych słuchaczy.

Po chwili namysłu Klaudia Prokula odesłała swoją damę do towarzystwa, ale nie zaprosiła, abysmy usiedli, tylko jęła szybko paplać, przez cały czas spoglądając na Myrinę:

— Nie zdajesz sobie sprawy, ileś stracił i jak wiele byś się nauczył z obyczajów tego kraju, gdybyś pojechał ze mną po wyścigach na przyjęcie do księcia! Muszę przyznać, że Herodiada jest znacznie lepsza, niż o niej mówią, i sama cierpi z powodu niedorzecznej sytuacji. Podarowała mi potrójny sznur pereł i rozmawialiśmy zupełnie szczerze o wszystkich sprawach. Oczywiście, jej córka Salome jest bezwstydną małą ladacnicą, która owija sobie Heroda Antypasa wokół małego paluszka, ale dla jej matki to tylko lepiej. Przecież Herodiada nie jest już młoda. Poza tym potomkowie Heroda Wielkiego nie wstydzą się kazirodztwa w żadnej formie. Widocznie jest to ich dziedziczny zwyczaj, a przecież my, Rzymianie, nie jesteśmy od tego, aby osądzać zwyczaje Wschodu. Herodiada jeśli chce, potrafi być czarująca. A bądź co bądź jest kimś i wydaje się, że jej głównym celem jest popieranie zabiegów męża o godność królewską. O tej sprawie też jasno mówiliśmy. Dla Poncjusza Piłata jest sprawą życiowej wagi, aby Herod Antypas nie skarżył się listownie cesarzowi Tyberiuszowi. Z kolei Herodiada doskonale wie, że Tyberiusz jest już tylko niedołężnym starcem. Piłat ma oparcie w Sejanie. Jemu zawdzięcza stanowisko prokuratora Judei. Na obecnym etapie zarówno Herod, jak i Poncjusz najwięcej skorzystają, jeśli będą przyjaciółmi i umyją ręce jeden drugiemu. Tę sprawę wyjaśniliśmy między sobą. Dlatego uważam wyjazd do Tyberiady za udany i jestem gotowa wracać do Cezarei.

W gruncie rzeczy nie wyjawiała żadnych tajemnic, są to bowiem sprawy jasne dla każdego myślącego człowieka. Cesarz Tyberiusz jest niedołężnym starcem, a już samo imię Sejana budzi taką grozę, że każdy rozsądny obywatel cesarstwa zadawała się milczącym oczekiwaniem, kiedy dostanie stanowisko trybuna i zagarnie tym samym całą władzę w swoje ręce. Sądziłem, że Klaudia spyta, czy Myrina zna łacinę, ale wskazała tylko palcem dziewczynę i zawołała:

— Na Hekate i czarne szczenięta, ta dziewczyna kropka w kropkę przypomina Tulię!

Zaskoczony spojrzałem na Myrinę i przez krótką chwilę zdało mi się, że rzeczywiście podobna jest do Ciebie. W tej samej chwili doznałem uczucia pewności, że nigdy Ci tych listów nie wyślę oraz że nigdy więcej nie chcę Cię już widzieć, bo ogarnął mnie wstret, kiedy ujrzałem przed sobą Ciebie w postaci Myriny. Jednakże złudzenie prysnęło i kiedy rys po rysie badałem jej twarz, zrozumiałem, że niczego z Ciebie w niej nie ma. A mimo to Klaudia Prokula ciągnęła złośliwie:

— No właśnie, gdyby miała ciemne i lśniące oczy, szlachetny zarys nosa, włosy czarne, a wargi pełne, to naprawdę z daleka przypominałaby Tulię!

Już sam nie wiedziałem, czy nie naigrawa się z Myriny. Myślę jednak, że mówiła serio i sama się zastanawiała, co w niej może Ciebie, Tulio, przypominać, skoro obydwie nie macie ani jednej cechy wspólnej. Rozgniewałem się i zawołałem:

— Zostaw Myrinę w spokoju! Ona sama wie, że nie jest piękna. A ja nie mam ochoty

przypominać sobie Tuli. Rozmawiajmy po grecku. Chcesz się dowiedzieć, co działo się na górze, czy nie?

— Ach, istotnie! — przypomniała sobie Klaudia. — No więc co się tam działo? Widziałeś Jezusa Nazarejskiego?

— Widzieliśmy go oboje. Powstał z martwych i żyje.

— Tak, tak, żyje — potwierdziła uroczystym tonem Myrina. Wtedy Klaudia Prokula zadała dziwne pytanie:

— Skąd wiesz, że to był naprawdę Jezus Nazarejski?

O tym nie pomyślałem. Na moment zaniemówiłem. Potem powiedziałem:

— Oczywiście, że to był on, a któż by inny? Było tam ponad pięćset osób, które go znały. — Musiałem się roześmiać. — Sam patrzyłem mu w twarz. To wystarczy. On nie był człowiekiem przeciętnym.

— Człowiek nie może patrzeć tak jak on — poparła mnie Myrina.

— Widzieliście go w nocy. Czyż nie była to noc bezksiężycowa i bardzo ciemna? — wypytywała Klaudia, pilnie przyglądając się nam.

— Było ciemno — przyznałem — jednak widziałem go wystarczająco wyraźnie. Co do niego nie można się mylić.

— Nie, ja oczywiście nie wątpię, że to był on i tak dalej — rozłożyła ręce Klaudia Prokula. — Ale osobisty lekarz Heroda Antypasa cały czas opiekował się mną i przychodził z pozdrowieniami. Herodiada poufnie mi się zwierzyła, że wie na pewno, iż po Galilei kręcił się obcy człowiek, w którym wielu rozpoznawało Jezusa Nazarejskiego. Ale relacje są sprzeczne i nikt nie potrafi jednoznacznie opisać jego wyglądu. Na dworze nie wierzą, że to Jezus Nazarejski. Sądzę, że w grę wchodzi jakiś pomyłony albo opętany, który specjalnie przebił sobie ręce i nogi. Albo jego uczeń. Po wykradzeniu ciała z grobu podstawili kogoś, aby go udawał i ciągnął to błazeństwo. — Spostrzegłszy mój wzrok, usprawiedliwiła się: — Powtarzam tylko to, co słyszałam. Nie twierdzę, że to moja opinia. Ale przyznaję, że jest bardzo dużo wątpliwości. Na przykład mój lekarz rozmawiał na ten temat z uczonymi ludźmi. Przecież wiesz, że nad Morzem Martwym mieści się zamknięta sekta żydowska, której członkowie przez post, modlitwy, celibat, wspólne posiłki i chrzest wodą stają się tak święci, że przestają być zwykłymi ludźmi. Mówi się, że ich białe szaty promieniają w ciemności. Mają poufne kontakty w Jeruzalem i gdzie indziej. Herod Wielki uważał ich za tak niebezpiecznych, że nakazał prześladowania. Musieli uciekać do Damaszku i dopiero po jego śmierci wrócili do swojej pustelni. Niewiele o nich wiadomo, ponieważ nie przyjmują do swego grona obcych, ale być może najświętsi z nich wiedzą więcej niż inni ludzie. Otóż wczoraj mój lekarz, po rozmowie z uczonymi w Piśmie, wysunął przypuszczenie, że ta pustynna sekta z jakiegoś powodu śledziła działalność Jezusa Nazarejskiego i ochraniała go, chociaż o tym nie wiedział. Szczególnie podejrzane jest to, że dwóch wysokiej rangi członków tej sekty grzebano zaraz po ukrzyżowaniu Jezusa. Maria Magdalena zobaczyła o świcie białą olśniewającą zjawę i wzięła ją za anioła. Uczniowie Jezusa są ludźmi prostymi, mogli więc być zbyt przestraszeni, aby wykraść jego ciało, ale dla członków pustynnej sekty nie

przedstawiało to żadnej trudności. Może zaczarowali martwe ciało, przywracając je do życia?... Może kazali jednemu ze swych członków ukazywać się ludziom w Galilei?... Trudno powiedzieć, dlaczego chcą, żeby naród uwierzył w zmartwychwstanie Jezusa Nazarejskiego. Zapewne pragną w ten sposób podważyć autorytet Świątyni. Lekarz jest wprawdzie człowiekiem przyzwyczajonym do myślenia w kategoriach polityki, ale sam mówi, że nie zawsze należy się doszukiwać politycznych motywów postępowania. Równie dobrze ci sekciarze mogą mieć powody religijne, zrozumiałe tylko dla nich. W każdym razie są zbyt mądrzy, aby długo podtrzymywać to oszustwo. Moim zdaniem to już końcowa faza działań człowieka, kimkolwiek był, który pokazał się na górze w ciemnościach wiernym i zaufanym zwolennikom Nazarejczyka.

Klaudia Prokula przerwała swój wywód, bo zauważyła, z jakim zdumieniem jej słucham. Jeszcze raz rozłożyła ręce i zapewniła:

— Ja w to nie wierzę. Opowiadam tylko, co inni mówią. Przecież chyba jego najbliżsi uczniowie nawet po ciemku nie mogli się pomylić, chyba że sami byli wciągnięci w te intrygi. Powiedz mi tylko jedno: czy wspomniałeś mi o mnie?

— Nie mogę ci tego jasno wytłumaczyć — rzekłem dyplomatycznie, mocno zmieszany — ale nie mógłbym mu o tobie powiedzieć, choćbym chciał. Kiedy go zobaczyłem, wszystkie myśli uciekły mi z głowy.

— To samo mówiła mi Joanna — przyznała zadowolona Klaudia. Ku mojemu zdziwieniu wcale mnie nie skarciła. — Ale ona zebrała do chustki ziemię z miejsca, po którym, jak zapamiętała, stąpił Jezus, i przyniosła mi, abym mogła jej dotykać albo zrobić sobie okład na noc. Ale już nie potrzebuję. — Patrzyła na mnie tajemniczo i zupełnie mnie zaskoczyła, mówiąc: — Widzisz, byłam na górze i on mnie uzdrowił.

— Dostrzegłszy moje osłupienie, parsknęła wesołym śmiechem, klasnęła w dłonie i zawołała: — Ale cię zaskoczyłam! Siadaj koło mnie, Marku, i ty też usiądź, dziewczę, gdzie chcesz. Nie, nie znaczy to, że byłam fizycznie na górze, ale tamtej nocy miałam po raz pierwszy od bardzo dawna dobry sen. Wiesz, że jestem kobietą wrażliwą i kapryśną. W moich snach szczypano mnie, targano za włosy, bito po twarzy, a wszystko było wyraźne i prawdziwe! I nie mogłam się poruszać, choć bardzo chciałam i próbowałam, aż w końcu wracał mi głos i od własnego krzyku budziłam się tak spocona i zboląta, że bałam się zasypiać na nowo. Ale mówiliśmy o górze... Dużo o niej myślałam, więc nic dziwnego, że tamtej nocy, dzięki mej wrażliwości, znalazłam się na niej we śnie. Było tak ciemno, że raczej odgadłam, niż zobaczyłam kilka nieruchomych postaci trwających na kolanach w oczekiwaniu. I we śnie wcale się nie bałam. Potem podeszła do mnie jakaś świetlista istota, a ja nie śmiałam podnieść głowy, aby na nią spojrzeć. Naprawdę się nie bałam, ale we śnie czułam, że lepiej nie patrzeć w jej twarz. Ta istota ciepło do mnie przemówiła: „Klaudio Prokulo, czy słyszysz mój głos?” Odpowiedziałam: „Słyszę”. On powiedział: „Jestem Jezus Nazarejski, król żydowski, którego twój mąż Poncjusz Piłat dał ukrzyżować w Jeruzalem”. Odparłam: „Tak, ty jesteś”. Potem mówił do mnie o owieczkach, czego nie rozumiałam, ponieważ nie znam się na hodowli owiec i dlatego wszystkiego nie zapamiętałam. A on patrzył na mnie jakby z wyrzutem, gdy na końcu rzekł: „Jestem drzwiami owczarni. Nie pozwolę, by złodzieje i rabusie zabijali moje owce”. Od razu zrozumiałam, że uważa Poncjusza Piłata za złodzieja i rabusia, więc szybko zapewniłam: „On na pewno już więcej nie będzie prześladował twoich owiec.

Ciebie też by nie zabił, gdyby nie musiał ze względów politycznych". Ale on nie słuchał moich wyjaśnień. Doszłam więc do wniosku, że cała ta sprawa jest dla niego tylko historią i że już nie czuje żalu do Poncjusza Piłata. Mówił jeszcze dalej o owcach i rzekł: „Mam też inne owce”. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, więc szepnęłam: „Wiem, że jesteś dobrym pasterzem”. Zdaje się, że się ucieszył z moich słów, bo zaraz rzekł: „Tyś to powiedziała. Jam jest dobry pasterz, a dobry pasterz odda życie za owce swoje”. We śnie zaczęłam szlochać i nawet pomyślałam, żeby go prosić, abym mogła zostać jego owieczką. Ale się nie odważyłam. Poczułam tylko, że położył rękę na mojej głowie, i z tym się zbudziłam, ale nawet wtedy czułam dotyk jego ręki. To był dobry sen, najlepszy, jaki kiedykolwiek wyśniłam. Chciałam dokładnie wszystko zapamiętać, niczego nie uronić, a potem zasnęłam i spałam długo. Od tej nocy nigdy już nie dręczyły mnie koszmary senne. Myślę, że mnie uzdrowił pod warunkiem, że Piłat nie będzie prześladował jego zwolenników.

Klaudia Prokula zachichotała jak mała dziewczynka, lecz zaraz z zakłopotaniem położyła palec na wargach i kontynuowała:

— Spokojnie mogłam złożyć taką obietnicę. Przecież Poncjusz Piłat nie ma żadnego powodu do prześladowania zwolenników Nazarejczyka! Przeciwnie. Jeśli utworzą partię polityczną, to co najwyżej będą siał niezgodę wśród Żydów. A to idzie w parze z polityką Rzymu. Oczywiście sny są tylko snami. A o owieczkach mówił mi z pewnością dlatego, że jak słyszałam, często w swoim nauczaniu nawiązywał do owiec. Ale co tam!... Sen był wyraźny i widziałam go tej samej nocy, kiedy ty z dziewczyną byliście na górze. A najważniejsze, że jestem wyleczona z upiornych snów. Lekarz Heroda Antypasa zapewniał mnie, że na poprawę wpłynęły kąpiele w gorących źródłach siarkowych i jego opieka. Nie chcę go urazić, więc obdaruję go odpowiednimi prezentami. Ja jednak, i śmieję się, jeśli chcesz, wierzę, że Jezus Nazarejski uczynił mi łaskę i uzdrowił mnie we śnie, ponieważ dużo o nim rozmyślałam i cierpiałam przez niego koszarne sny. — Po czym chępliwie oświadczyła: — Wy mogliście sobie widzieć na górze kogokolwiek, a ja w moim śnie widziałam prawdziwego Jezusa Nazarejskiego. Niemniej Joanna zapewnia, że na górze rozpoznała Jezusa Nazarejskiego, i ja w to nie wątpię.

— Czy w twoim śnie naprawdę powiedział, że ma również inne owieczki? — spytałem szybko, drżąc z radości, bo przemyślałem już jej sen. — Jeśli tak, to i za te inne oddał życie. Myrino, słyszałaś? Nie uważa nas za obcych!

— No nie, ta owcza pasja idzie już za daleko! — zawołała Klaudia Prokula, parszkając głośno śmiechem. — Znam Jezusa Nazarejskiego i prawie wierzę, że zmartwychwstał i jest synem Bożym. Joanna nauczyła mnie modlitwy, którą mogę odmawiać w razie potrzeby. Zamierzam też przestrzegać jego nakazów... Oczywiście jeśli będę to mogła robić po kryjomu i bez uszczerbku dla swojej pozycji. W każdym razie muszę składać ofiary bóstwu opiekuńczemu cezara, ale inni bogowie rzymscy już mnie nie obchodzą. Tylko w żaden sposób nie potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, co z tego wszystkiego mam zdradzić Poncjuszowi Piłatowi. On jest ogromnie konserwatywny, studiował prawo i w cuda nie wierzy.

— Myślę — powiedziałem po chwili namysłu — że będzie najlepiej, jeśli jak najmniej będziesz mu mówiła o Jezusie Nazarejskim. Cała ta historia była dla niego nieprzyjemna i naruszyła jego poczucie sprawiedliwości; jeśli mu ją przypomnisz,

niewątpliwie się rozgniewa.

— Trudno zrozumieć, co on myśli naprawdę — zauważyła Klaudia Prokula. — Jako urzędnik Rzymu przyzwyczał się kryć swoje uczucia tak głęboko, że chwilami zastanawiam się, czy je w ogóle posiada. Nie jest jednak złym człowiekiem. Judea zasługuje na gorszego. Nazywają go złodziejem i rabusiem, ale to wynika ze zwykłego fanatyzmu żydowskiego. Chyba masz rację. Nie będę mu nic opowiadać, chyba że sam spyta... Pomówmy o czymś innym — ciągnęła, przyglądając mi się badawczo. — Ucieszył mnie twój obecny wygląd, jesteś gładko ogolony i ubrany jak przyzwoity człowiek. Widzę, że spotkanie na górze dobrze ci zrobiło, bo już się bałam, że Żydzi zamęcili ci w głowie. Miałeś tak zacięty wyraz twarzy, że lekarz Heroda pytał mnie, co ci właściwie jest. Może już czas, byś wracał do Rzymu? Właśnie teraz kwitną róże w Bajach. Stamtąd blisko do Capri. Jeden z tutejszych przyjaciół byłby ci wdzięczny, a wdzięczność tę wyraziłby konkretnie, gdyby od czasu do czasu otrzymał za twym pośrednictwem wiadomości o stanie zdrowia cesarza. Oczywiście wstępnie należałoby się umówić co do sposobu prowadzenia korespondencji, bo otwarte pisanie o tych sprawach grozi śmiercią.

Przechyliwszy głowę Klaudia długo patrzyła na Myrinę. Chyba się jej nie spodobała, bo wzruszyła pochyłymi ramionami i powiedziała z gniewem:

— Roczna banicja powinna wystarczyć dla ostudzenia zbyt gorącego amanta, więc znowu będziesz się nadawał dla Tulii. Zdaje się, że w ciągu tego roku jedno małżeństwo udało się jej rozwiązać, a drugie zawiązać, czyli możecie zaczynać od początku. Nikt cię w Rzymie nie będzie prześladował, skoro to ona cię namówiła do wyjazdu.

Chyba mówiła prawdę. W Rzymie nic mi już nie grozi. Poczułem w sercu ból. Nie przez Ciebie, Tulio, tylko przez swój głupi egoizm, bo udało Ci się wmówić mi, że przyjedziesz za mną do Aleksandrii.

— Sądzę, że nigdy już nie wrócę do Rzymu — powiedziałem z goryczą. — Mdl mi na samą myśl o różach.

— W każdym razie zwiedź Cezareę — kusiła Klaudia Prokula.

— To nowe, cywilizowane miasto, bez porównania wspanialsze od Tyberiady Heroda Antypasa. Odpływają stamtąd statki, dokąd tylko chcesz. Tam też otrzymasz wskazówki, które ci pomogą zorganizować życie. Rzymianinowi nie wystarczą ani piękne Żydówki, ani miniaturowe Greczynki.

Niespodziewanie Myrina zakończyła rozmowę. Podniosła się spokojnie z krzesła i uroczo podziękowała Klaudii Prokuli za zaszczytne przyjęcie u niej. Potem spokojnie poklepała mnie po twarzy, najpierw z jednej, potem z drugiej strony, wzięła za rękę i wyprowadziła. Przy drzwiach odwróciła się jeszcze i rzekła:

— Dostojna Klaudio Prokulo, nie martw się, dokąd Marek pójdzie i czym się w życiu będzie zajmował. Już ja, Myrina, zadbam, aby przynajmniej ta owieczka nie zginęła...

LIST JEDENASTY

Marek Mezencjusz Manilianus pozdrawia dawnego Marka.

Poprzedni list przerwałem i nie będę go pisał dalej, tego zaś nie adresuję do Tulii, bo nie miałyby to najmniejszego sensu. W głębi ducha wiedziałem, że także poprzednich listów nie pisałem do niej. A teraz już samo jej imię wywołuje we mnie złość i sprawia, że całe wcześniejsze życie wydaje mi się ohydne. Nie chcę tego listu adresować do Tulii także z uwagi na Myrinę.

Pozdrawiam siebie takiego, jakim byłem niegdyś, bo piszę, abym po latach mógł przywołać z pamięci wszystko tak, jak się wydarzyło. Czas i odległość rozprasza dzieje, pamięć zawodzi i — mimo najlepszych chęci — człowiek pamięta fałszywie. W trakcie pisania często ogarniają mnie wątpliwości, czy czegoś nie przesadzam lub nie dodaję od siebie. Oczywiście nie robię tego rozmyślnie. Przecież nawet świadkowie zeznający pod przysięgą opisują te same wydarzenia każdy zupełnie inaczej!

Pisanie jest dla mnie tym ważniejsze, że mówić mi zabroniono. O Królestwie nie mógłbym głosić nic ponad to, że widziałem, jak Jezus umierał i na własne oczy ujrzałem go zmartwychwstałego, żywego tak bezspornie, że nigdy w to nie będę mógł wątpić. Ale nawet to zakazano mi mówić, ponieważ nie jestem Żydem, nawet nie zostałem obrzezany.

Jeśli zatem ktoś inny, lepiej wprowadzony w tajniki Królestwa, opowie wszystko inaczej, uznam, że ma rację, bo wie więcej ode mnie. Mój opis potrzebny będzie mnie samemu, żebym mógł na starość, jeśli jej doczekam, wspominać wszystko równie żywo, jak teraz tkwi to w mej pamięci. Stąd w poprzednich listach znalazło się wiele słów pustych i niepotrzebnych, które tylko dla mnie mają znaczenie.

Podobnie będę pisał nadal, bo wiem z doświadczenia, że jeśli skrupulatnie pamiętam drobiazgi i głupstwa, to równie dokładnie zapamiętałem sprawy istotne.

Przy pisaniu chcę być obnażony. Badając siebie muszę przyznać, że jestem człowiekiem chwiejnym, skłaniającym się ku wszelkim nowinkom i nie ma we mnie

niezłomności. Jestem zarozumiały, samolubny, zależny od swej cielesnej powłoki, jak powiada Myrina, i nie ma we mnie niczego, czym mógłbym się chełpić.

Kazali mi zamilknąć. Podporządkuję się temu i przyznam otwarcie, że jest to słuszne. Nie jestem wewnętrznie wystarczająco mocny: we wszystkim, co robię, jestem jak woda, którą przelewa się z jednego naczynia do drugiego, a ona za każdym razem przybiera inny kształt. Chciałbym być przynajmniej wodą trwale czystą, ona jednak mętnieje i z czasem ulega zepsuciu. Kiedy będę już tylko taką zepsutą wodą, przeczytam wszystko od nowa, aby sobie przypominąć, że dane mi było widzieć Królestwo.

Dlaczego ja, cudzoziemiec, miałem świadczyć o zmartwychwstaniu Jezusa i poznać jego Królestwo? Tego nie wiem. Nadal jednak jestem w głębi duszy pewny, że nie bez powodu właśnie mnie się to wszystko przytrafiło. Ale znając samego siebie, obawiam się, że ta moja pewność z biegiem lat się rozwieje.

W czasach gdy życie wiodłem rozwiązałem i tylko się domyślałem tajemnicy, czułem — mimo zepsucia wynikającego z mej słabości — że przepowiednia, jaką otrzymałem w nocy nad brzegiem jeziora od samotnego rybaka, zapowiada pomyślność. Ale jak ona ma się ziścić? Nie wiem, lecz mam słabą nadzieję, bo człowiekowi trudno bez niej żyć. Inni są bezgranicznie bogaci, w porównaniu z nimi ja jestem nędzarzem. Mam za to Myrinę; być może dano mi ją, bo jest w niej niezłomność, której mnie brakuje. Myrina powiada, że to ja zostałem jej dany, aby mnie pasła z braku lepszego pasterza, aczkolwiek wymaga to od niej wiele cierpliwości.

Piszę to w Jeruzalem, dokąd mnie przywiodła, ale wrócę jeszcze wspomnieniem do Tyberiady.

Nie potrafię wyjaśnić, od czego zaczął się nasz spór, bo przecież była w nas pełnia szczęścia. Chyba od Klaudii Prokuli. W każdym razie Myrina straciła panowanie, trzasnęła mnie po głębie i wyciągnęła z letniego pałacu Heroda.

Po powrocie do naszego pokoju usprawiedliwiała się, jeśli dobrze pamiętam, że gdy styka się z dostojnymi kobietami, nabiera większej pewności siebie, ponieważ jest taka, jaka jest, i nie zamierza udawać innej. Schwyciła swoje stare ubranie, żeby natychmiast ode mnie odejść. Nie zatrzymywałem jej, bo się obraziłem, a ona mówiła do mnie tak zjadliwie, że tylko Tulia w najgorszych chwilach mogła z nią konkurować. Fanaberie Myriny także nie zostawały daleko w tyle! Twierdziła na przykład, że zdradziłem Jezusa Nazarejskiego wobec Klaudii Prokuli, zgadzając się słuchać jej czczego gadania. Nie uwierzyła w prawdziwość snu Klaudii. Przestałem cokolwiek rozumieć — przecież dotychczas była cicha i potulna. Pomyślałem, że chyba teraz pokazała pazurki i widocznie wcześniej nie poznałem się na niej. Tak złośliwie demonstrowała mi swoje wady, jakby zły duch w nią wstąpił. Przy tym gadała niczym jasnowidz o rzeczach, których o mnie nie mogła wiedzieć. Krótko mówiąc, przenicowała mnie tak dokładnie, że suchej nitki nie zostawiła. We wszystkim, co mówiła, była sama prawda, więc musiałem jej słuchać, ale w myśli postanowiłem sobie, że do końca świata nie odezwę się do niej ani słowem.

W końcu uspokoiła się, usiadła, po czym trzymając się za głowę i patrząc gdzieś przed siebie powiedziała:

— Taki więc jesteś! Postanowiłam już odejść od ciebie! Powinam zostawić cię dla własnego szczęścia. Ale ze względu na Jezusa Nazarejskiego nie mogę tego uczynić, nie mogę cię porzucić, skoro on mi ciebie powierzył. Przecież jesteś jak owieczka w gromadzie wilków i nie potrafisz się sam obronić. Ani się obejrzysz, a już przepadniesz. Nie cierpię patrzeć, jak cmokasz wspominając Tulię i swoje dawne rozpustne życie. Zdejm natychmiast z palucha ten złoty pierścień i wsadź do sakiewki! — Powąchała mnie i wrzasnęła:

— Śmierdzisz jak aleksandryjski bałamut! Stokroć wołałabym, byś miał głowę pełną rzepów, a nie tych misternych loków! Naprawdę odeszłabym od ciebie, gdybym nie przemierzyła razem z tobą ścieżek Galilei i nie widziała, jak łykasz pył i ocierasz pot z czoła, nie skarżąc się na umęczone nogi.

Tak właśnie do mnie mówiła, aż jej to obrzydło. Nie raczyłem jej odpowiadać. Nie chciałem też patrzeć jej w oczy, bo powiedziała

o mnie dużo prawdy. Nie chce mi się nawet pisać wszystkiego, co wygadywała, ponieważ moją słabość najlepiej widać w tym tekście, chociaż pisząc go nie wiedziałem tego.

— Zastanów się — powiedziała na ostatek — czy prawdą jest to, co mówię, czy też przesadzam? Nie mam ochoty dalej mieszkać z tobą w jednym pokoju.

Wyszła i tak trzasnęła drzwiami, aż cały dom zadrżał. Za jakiś czas przyszła zdumiona służba i zabrała jej rzeczy, ale ja się tym nie przejąłem. Wiedziałem dobrze, że właściciel zajazdu da jej inny pokój, skoro była przyjmowana przez Klaudię Prokulę. Bardzo sposepniałem, zastanawiając się nad tym wszystkim, co o mnie mówiła, i od razu zacząłem to spisywać. Starłem się pisać o Myrinie możliwie jak najsprawiedliwiej i usiłowałem nie łączyć tych notatek z własną goryczą. Pracowałem w swoim pokoju przez wiele dni pod rząd i nawet posiłki kazałem sobie przynosić. Raz Myrina weszła do środka i oświadczyła, że idzie do miasta, by zamówić kamień nagrobny dla swojego brata. Później znowu przyszła, powiedziała, że Natan przyszedł z osiołkami i szuka mnie. Ale się zaciąłem i nie rzekłem ani słowa. Pokazałem tylko, że nie chcę, aby mi przeszkadzano w pisaniu. Od tej chwili już nie przychodziła w ogóle. Dopiero później dowiedziałem się, że kilkakrotnie opuszczała kąpielisko; odwiedzała Marię Magdalenę i była w Kafarnaum, dokąd zaprowadził ją Natan.

Nie liczyłem dni. Czas mi się poplątał, bo pisywałem również w nocy, jeśli nie mogłem zasnąć. W końcu gorycz rozeszła się gdzieś po kościach. Myślałem o Myrinie i o tym, co o mnie powiedziała, zarówno rano, jak i w nocy. Chyba była już najwyższa pora, aby mi ktoś wyłożył kawę na ławę. Wprawdzie od czasu do czasu bywałem cichy i pokornego serca, ale zaraz potem wybuchałem, stawałem się butny, przekonany o własnej wyjątkowości i wyższości.

Pewnego ranka przez sen usłyszałem, że Myrina wchodzi do pokoju. Byłem pewien, że patrzy na mnie, sądząc, że śpię. Potem poczułem, jak ostrożnie gładzi moje włosy. Od samego dotknięcia wróciła do mnie radość i zrobiło mi się wstyd, że tak długo trwałem w zaciętości, byłem też ciekaw, jak się zachowa wobec mnie, więc przewróciłem się w łóżku, jakbym się powoli budził. Otworzyłem oczy, a Myrina odskoczyła i ze złością

rzekła:

— To bardzo dobrze, żeś ślubował milczenie, Marku. W ten sposób nie gadasz głupot i nikomu nie zaszкодzisz, bezcelowo przelewając atrament na te zwoje. Ale teraz wstawaj! Czterdzieści dni już dawno minęło i musimy natychmiast jechać do Jeruzalem. Natan czeka z osłami na dole, więc zbierz manatki, zapłać rachunek i chodź ze mną. W drodze będziesz mógł dalej dąsać się równie dobrze jak tu, w zamkniętym pokoju.

— Myrino — prosiłem — ponieważ jestem taki, jaki jestem, przebacz mi wszystkie głupoty, jakie myślałem o tobie... Ale co ja będę robił w Jeruzalem? Nie wiem, czy wyraziłem zgodę na to, byś zdecydowała, dokąd mam iść.

— O tym będziemy mogli porozmawiać w czasie podróży — rzekła Myrina. — Wkrótce będzie żydowski święto i do Jeruzalem idzie wielu pielgrzymów. Nie grzeb się.

W istocie jej propozycja mnie nie zaskoczyła. Już w trakcie pisania dojrzewała we mnie chęć przekonania się, na co czekają apostołowie Jezusa w Jeruzalem. Nagły wyjazd też był mi na rękę, bo już mnie znużyło pisanie, a także milczenie. Patrzyłem na Myrinę i nie mogłem ukryć radości; chwyciłem ją w ramiona, uściskałem, wycalowałem w oba policzki i zawołałem:

— Jeśli chcesz, możesz mi prawić nie wiem jakie przykrości. I tak wiem, że pragniesz mego dobra. Byłem szczęśliwy, gdy przed chwilą myśląc, że jeszcze śpię, gładziłaś moje włosy.

Myrina najpierw próbowała zaprzeczyć i mówiła, że to mi się tylko przyśniło, lecz później rozczuliła się, wycalowała mnie i rzekła:

— Mówiłam wtedy ze złością, ale w końcu musiałam powiedzieć ci prawdę. Kocham cię takiego, jaki jesteś, i nie udawaj nikogo innego. Innego bym nie chciała i nigdy bym tak ostro nie mówiła, gdybym cię nie kochała. Zdecyduj, czego chcesz, jeśli masz zamiar jechać ze mną do Jeruzalem.

— Pałam chęcią dotarcia do Jeruzalem — stwierdziłem pospiesznie. — Od dawna tliła się we mnie iskra nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone. A dokąd miałbym jechać? Nie ma miejsca na ziemi, które nazywam swoim domem, więc jak pielgrzym krążyć po tym świecie i wszystkie kraje są mi jednakowo bliskie.

— Ja też jestem pielgrzymem na tej ziemi. — Myrina dotknęła ręką mego czoła i piersi. — Jego Królestwo jest moim jedynym domem, choć tak mało wiem o nim. On mi ciebie powierzył. Dlatego chcę być twoją opoką, przyjacielem, siostrą i czym tylko chcesz, również domem, na dobre i na złe.

Ja też dotknąłem jej czoła i piersi i jeszcze raz ją pocałowałem. Potem szybko spakowaliśmy rzeczy i ubrałem się do podróży. Dopiero przy płaceniu rachunku okazało się, jak drogo sobie właściciel wycenił nasz pobyt. Musiałbym wyciągnąć wszystkie pieniądze z kieszeni i z sakiewki i jeszcze by nie wystarczyło. Na szczęście Myrina przyszła z pomocą i wykazała jego pomyłki. Ucieszyłem się, gdy na dziedzińcu zobaczyłem Natana i znajome osiołki. Ruszyliśmy w drogę bez zbędnego gadania.

O samej podróży opowiadać nie będę. Wędrowaliśmy przez Samarię, omijając

rozpaloną dolinę Jordanu i pielgrzymów z Galilei spieszących na święto Pięćdziesiątnicy i nowego chleba. Jeszcze przed świętem dojechaliśmy przez Sykanie do Jeruzalem. Znowu zobaczyłem Świątynię, miasto i wzgórze ukrzyżowania; dostałem takich dreszczy, że omal nie spadłem z grzbietu osła. Zeszedłem na ziemię, całym ciałem dygotałem tak mocno, jakby mnie chwycił atak febry. W oczach mi pociemniało, szcząkałem zębami, mówiłem jękając się i zdawało mi się, że nade mną rozciąga się ogromna chmura gradowa. Ale niebo było przeczyste.

Ten atak szybko minął i nawet nie miałem rozpalonej głowy, kiedy Myrina dotknęła czoła ręką. Bałem się jednak wsiąść z powrotem na osła. Wolałem iść pieszo. Weszliśmy do miasta przez Bramę Rybną i nikt nas nie zatrzymywał, bo legionieci widzieli miecz za moim pasem; zresztą powiedziałem, że jestem obywatelem Rzymu. Tłumy waliły do miasta, więc nawet nie byli w stanie wszystkich sprawdzać.

Syryjski handlarz starzyzną, Karanthes, ucieszył się widząc mnie. Ja również byłem rad, ujrawszy jego zarośniętą gębę i chytre oczy. Karanthes spojrział na Myrinę, zmrużył powieki, znowu je otworzył i w końcu powiedział:

— Aleś wychudła w czasie podróży, Mario z Beeret! Zmienił się też kolor twoich oczu i włosów i nos masz krótszy. Galilea to rzeczywiście kraina czarów. Nie można wierzyć w nic, o czym tam opowiadają.

Sądzę, że powiedział to tylko na żarty, lecz Myrinie wcale się te żarty nie spodobały.

Musieliśmy się rozstać z Natanem i pozwolić mu już odejść swoją drogą. Drapiąc się po głowie zaczął się ze mną rozliczać. Kiedy rozchorowałem się w Tyberiadzie, zatrudnił osły w Kafarnaum i odkładał zarobione pieniądze dla mnie, zostawiając sobie jedynie dniówki. Zgodnie z jego wolą przyjąłem rachunek, ale powiedziałem:

— Jesteś dobrym sługą i dobrze mi służyłeś. Nie chcę cię obrażać, dając ci te pieniądze, ale proszę, przyjmij ode mnie na pamiątkę te cztery osiołki.

— Nie mam prawa posiadać nic własnego poza tym, co potrzebuję, aby przeżyć — odmówił bardzo zdenerwowany Natan, choć poządlawie patrzył na zwierzęta. — Cieszę się, kiedy mogę rozdać biednym to, co otrzymuję za pracę. W ten sposób gromadzę swój skarb w Królestwie. Dla człowieka takiego jak ja cztery osiołki to majątek. Wiecznie bym się o nie troszczył, bał, żeby złodzieje ich nie ukradli albo żeby któryś nie zachorował. Moje myśli odwróciłyby się od spraw ważnych do mało istotnych, wraz z przywiązaniem do osiołków zgubiłbym siebie samego.

— W każdym razie, Natanie, weź osiołki — powiedziałem, poruszony jego słowami. — Dobrze służyły nam w czasie podróży i nawet nie chcę myśleć, że można by je sprzedać komuś obcemu. Wielu ludzi znów pielgrzymuje z Galilei do Jeruzalem. Są wśród nich chorzy i kobiety. Zaprowadź osiołki do apostołów Jezusa Nazarejskiego. Ci święci mężowie z pewnością będą najlepiej wiedzieć, jak wykorzystać osiołki dla dobra najsłabszych, i na pewno nie będą się przy tym spierać!

— Tak, tak, oddajmy je uczniom Jezusa, to słuszne! — rozpromienił się Natan, któremu spodobała się moja propozycja. Zawahał się przed odejściem i spytał: — Czy chcesz, abym cię zawiadomił, gdybym się dowiedział o jakichś istotnych wydarzeniach?

— Nie, Natanie, nie chcę już szpiegować i wypytywać o sprawy, od których mnie odsunięto. Jeśli będzie mi dane, że mam o nich usłyszeć, to i tak się dowiem. Nie musisz się o to martwić. Troszcz się tylko o to, abyś miał skarb w Królestwie.

Rozstaliśmy się. Zachodzące fioletowo słońce zabarwiło niebo i zrobiło mi się smutno, choć Myrina była ze mną. Nie chciałem nawet unieść oczu w stronę olśniewającej żydowskiej Świątyni i w nadchodzącym mroku nocy ogarnęło mą duszę takie samo uczucie jak przed wyjazdem z Jeruzalem do Galilei.

Ogromne miasto było znów przepelnione ludźmi, i to nie tylko z Judei i Galilei, ale ze wszystkich krajów, gdzie Żydzi mieszkają w diasporze. A mimo to czułem wszzechogarniającą pustkę. W pokoju gościnnym pod dachem Syryjczyka Karanthesa miałem wrażenie, że bezkresna moc wibruje nad miastem, w każdej chwili może mnie wciągnąć w swój wir i wyrwać z posad ziemię, aby zginęła jak iskra w płomieniach. Ogarnięty złym przeczuciem mocno ścisnąłem dłoń Myriny, ona zaś objęła mnie za szyję i tak siedzieliśmy blisko siebie razem w ciemniejszym pokoju. Ale już nie byłem i nie chciałem być sam.

W pewnym momencie Karanthes przyniósł zapaloną lampę. Zobaczył, że tak siedzimy przytuleni, więc zniżył głos, chodził na palcach i nawet nie próbował jak zwykle pleść głupot. Spytał tylko, czy coś zjemy, lecz oboje potrząsnęliśmy głowami, bo nie zdołalibyśmy przełknąć ani kęsa. Zresztą nie usiłował nas namawiać. Skłonił się przed nami aż do ziemi i w migotliwym świetle lampy patrzył na nas, a w jego spojrzeniu nie było krzty szyderstwa, raczej strach i szacunek. W końcu spytał pokornie:

— Co ci jest, Marku, mój panie? Co się stało i co wam obojgu dokucza? Ciarki mnie przechodzą, gdy patrzę na was. Chyba nadciąga burza, chociaż niebo jest rozgwieżdżone. Kiedy wносиłem lampę, wasze twarze jaśniały w ciemnościach.

Żadne z nas nie mogło mu odpowiedzieć, więc po chwili wstał i z pochyloną głową wyszedł cichutko z pokoju.

Tej nocy spaliśmy razem z Myriną. Budziłem się wielokrotnie i zawsze po obudzeniu stwierdzałem, że jest przy mnie — i nie bałem się. Przez sen czułem, jak wiele razy dotykała mej twarzy — ona także czuła się przy mnie bezpieczna.

Nazajutrz był żydowski szabat. Widzieliśmy masę ludzi, którzy zdążali pod górę do Świątyni, ale my nigdzie nie ruszaliśmy się z pokoju. Nic nie stało na przeszkodzie, abyśmy wyszli i rozejrzeli się po mieście, przecież nas nie dotyczył szabatowy zakaz chodzenia ulicami. Po prostu nie mieliśmy ochoty opuszczać pokoju. Chwilami rozmawialiśmy, Myrina opowiadała mi o swoim dzieciństwie. W jej ustach moje imię brzmiało jakoś szczególnie ciepło, a i ona rada była, gdy głośno wołałem ją po imieniu.

W taki oto sposób w Jeruzalem zaczęliśmy się powoli przyzwyczajać do wspólnego życia. Był to dla mnie akt łaski, jako że trudno by mi było dalej żyć samemu. Nadal jednak nie w pełni rozumiałem, jak wielki skarb otrzymałem w darze od nieznanego rybaka, gdy posłał mnie, abym znalazł Myrinę w tyberiadzkim teatrze. Tego dnia nie powiedzieliśmy sobie ani jednego złego słowa, wieczorem zaś razem zjedliśmy posiłek, a kiedy zaświtał poranek — obudziliśmy się w żydowskie Zielone Świąta, czyli Pięćdziesiątnicę.

Byłem bardzo niespokojny. Tam i z powrotem chodziłem po pokoju na dygoczących nogach, było mi zimno, choć zapowiadał się upalny dzień. I nie mogłem się uspokoić, mimo że Myrina dotykała mego czoła i gładziła mnie po twarzy, natomiast sarkałem:

— Właściwie po co przyjechaliśmy do Jeruzalem? Co mamy tu do roboty? To nie jest nasze miasto, tylko ich. I to święto także nie jest nasze, tylko ich.

— Czy nie potrafisz być cierpliwy? — skarciła mnie Myrina.

— Zaproszono cię, byś jako cudzoziemiec świadczył o zmartwychwstaniu. Czy nie możesz jeszcze trochę poczekać, żeby być świadkiem wypełnienia obietnicy? Oni są gotowi czekać dwanaście lat, a ciebie jeden dzień zmęczył?

— Nie wiem, co im obiecano, ja ani nie biorę udziału w tej obietnicy, ani nie uczestniczę w żadnej tajemnicy — powiedziałem z niecierpliwością. — Wdzięczny jestem za to, co już otrzymałem. Wystarczy mi na całe życie. Po co miałbym prosić o więcej, kiedy dostałem już tyle, że księżęta i królowie mogliby mi pozazdrościć?

— Przecież w tym mieście ukrzyżowano Jezusa, tutaj cierpiał, zmarł i zmartwychwstał! Zostanę tu, choćbym miała dwanaście lat czekać — twierdziła z uporem Myrina.

Z powodu narastającego niepokoju nie mogłem usiedzieć na jednym miejscu. Chaotycznie myślałem: Może pójść do fortecy Antonia, żeby spotkać się z setnikiem Adenabarem? Może spróbować pójść z pozdrowieniami do Szymona Cyrenejczyka albo do uczonego Nikodema? W końcu zaproponowałem:

— Przynajmniej wyjdźmy z tego dusznego pokoju. Muszę się spotkać z bankierem Arystenosem, żeby sprawdzić, ile mam pieniędzy. Na pewno jest w domu, bo w święto ma największy obrót.

Myrina nic nie miała przeciwko temu. Wyszliśmy z domu, ale na otwartej przestrzeni niepokój wzrósł tak gwałtownie, że czułem, jakby mi pierś rozrywało, a kości chciały się wyrwać z ciała. Musiałem stanąć i chwycić Myrinę za rękę. Spojrzałem na niebo, czyste, lecz przesłonięte lekką mgłą; słońce świeciło jasną czerwienią. Nie wyczuwałem żadnych symptomów burzy i dzień nie był bardziej upalny niż zwykle o tej porze roku, po skończeniu zniw. Dlatego nie mogłem zrozumieć, skąd się bierze ten mój niepokój.

Za wszelką cenę starałem się uspokoić. Zaprowadziłem Myrinę, ku jej zadowoleniu, na górę do Świątyni, na dziedziniec pogan i do krużganków, gdzie w najlepsze szedł handel i wymiana pieniędzy, choć był wczesny poranek. Chodziliśmy trzymając się za ręce. Potem poszliśmy do wschodniej części Świątyni, aby obejrzeć wielką bramę z korynckiej miedzi, którą Żydzi uważają za jeden z cudów świata. Ale w pobliże murów dolatywał smród ścieków kanalizacyjnych od doliny Cedronu; kiedy tu chodziłem po święcie Paschy i po zimowych deszczach, wcale się go nie czuło. Zawróciliśmy i udaliśmy się w stronę domu Arystenosa.

Właśnie zdążyliśmy dojść do forum, kiedy niespodziewanie usłyszeliśmy jakby potężne uderzenie wichru. Szum był tak silny, że wiele osób odwróciło się i patrzyło w stronę górnego miasta. Na niebie nie było widać nawet chmurki, mimo to wiele osób pokazywało palcami i twierdziło, że widzieli błyskawicę uderzającą w górne miasto.

Grzmotu nie było słyhać. To niezwykle uderzenie wichru było czymś tak zagadkowym, że natychmiast przyszedł mi na myśl dom, w którym kiedyś gościłem. Złapałem Myrinę za rękę i pobiegliśmy w tamtym kierunku. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że mnóstwo ludzi biegnie w tamtą stronę; dziwny odgłos roznosił się nad miastem.

Tłum był tak duży, że w bramie starego muru powstał zator. Rozgorączkowani ludzie przepychali się i przewracali, aby szybciej dostać się za bramę. W wielu językach słyhać było pytanie: „Co tam się stało?” Niektórzy krzyczeli, że dom się zawalił w górnej części miasta, inni zaś — że to trzęsienie ziemi.

Ale duży dom stał nienaruszony. Jego kamienne mury wciąż wznosiły się ku niebu, kryjąc w swym wnętrzu tajemnicę. Setki ludzi zebrało się wokół domu i ciągle przybywali nowi, powiększając tłok. Brama była otwarta. Ujrzałem, że uczniowie Jezusa Nazarejskiego wychodzą z domu na chwiejnych nogach, z błyszczącymi oczyma i czerwonymi twarzami, jakby byli pijani albo w ekstazie. Wchodzili w tłum, który rozstępował się przed nimi, i przemawiali z wielką pasją. Wszyscy słydzeli, że mówią różnymi językami, do każdego zwracając się w jego własnym języku. Najbliżej stojący uciszali pozostałych i przez jakiś czas z samej ciekawości ludzie stali zupełnie cicho — przed domem słyhać było jedynie wielojęzyczne głosy uczniów Jezusa.

Jeden z nich, którego imienia nie znałem, pojawił się przed nami, w jego pełnej napięcia twarzy malowało się nadludzkie uniesienie, a nad głową unosił się wąski język ognia. Patrzył prosto na mnie i w natchnieniu mówił po łacinie, ale mnie nie widział. Jego wzrok był skierowany wprost na Królestwo, nie na ten świat. Przemawiał czystą łaciną i tak szybko, że nie nadążałem za tokiem jego myśli. Potem odwrócił się do Myriny i przeszedł na grecki, wciąż wołając głośno i tak szybko, jakby słowa same wypływały mu gwałtownie z ust i same się mieszały; dlatego też nie można ich było zrozumieć. Nie mogłem pojąć, w jaki sposób ten nieokrzesany, gruboskóry wieśniak spieczony słońcem potrafi mówić tak szybko i bez wysiłku zarówno po łacinie, jak i po grecku!

Ale on już ruszył dalej, a jego moc zmiotła nas z drogi, jakbyśmy byli liśćmi na wietrze. Ta moc usuwała przed nim ludzi, robiąc mu miejsce, aż znowu zatrzymał się i mówił językiem, którego nigdy nie słydziałem. Tak samo postępowali i inni apostołowie; tłum jakby się wokół nich kręcił, kiedy przechodzili. Elamicy i Medowie, Arabowie i Kreteńczycy i z innych krajów przybyli nabożni Żydzi zdumieni wznosili ręce i pytali innych, jak to się dzieje, że ci niewykształceni Galilejczycy mogą przemawiać do każdego w jego własnym języku. Zrozumieli, że natchnieni mężowie głoszą im wielkie dzieło Boga, ale trudno ich było zrozumieć, tak nieprawdopodobnie szybko mówili.

— Oni nie mówią sami z siebie — powiedziałem Myrinie — to Duch przez nich mówi.

Zebrały się już tysiące ludzi, ci, którzy przyszli na końcu, zażarcie dyskutowali i rozpytywali, co to wszystko może oznaczać. Znaleźli się też szydery, którzy żarty sobie stroili i twierdzili, że Galilejczycy już od świtu popijają i teraz brzuchy mają pełne słodkiego wina. Ale i szydery musieli ustępować apostołom i nie byli w stanie wyjaśnić, jaka to siła zmiata ich sprzed nich.

Moc apostołów syjących kaskadą słów w obcych językach nie ustawała, ale mnie zrobiło się słabo, ziemia zakolysała mi się pod nogami i musiałem się schwycić Myriny, aby nie upaść. Ona zaś zobaczyła, że jestem bardzo blady i czoło złane mam potem, więc szybko wprowadziła mnie w cień domu, a potem przez bramę i podwórze aż na taras. Nikt nam w tym nie przeszkadzał, chociaż na podwórku znajdowała się gromada kobiet i zdumionej służby, która wyglądała przez bramę na zewnątrz. Myrina kazała mi się położyć na ziemi w cieniu drzewa i wzięła moją głowę na kolana. Byłem tak wstrząśnięty, że straciłem przytomność, a kiedy się przecknąłem, nie wiedziałem, gdzie jestem i jak długo byłem nieprzytomny. Ciało miałem rześkie, a w sercu spokój, jakbym się uwolnił od wszystkich trosk. Nie podnosząc głowy z kolan Myriny otworzyłem oczy i ujrzałem w pobliżu grupkę kobiet. Wśród nich poznałem Marię, siostrę Łazarza, Marię Magdalenę i Marię, matkę Jezusa. Z ich twarzy biła tak olśniewająca jasność, że w pierwszej chwili wziąłem je nie za istoty ziemskie, lecz za anioły wcielone w ludzką postać.

Zwróciłem wzrok ku bramie, usłyszałem potężny szum głosów i ujrzałem, jak Szymon Piotr zbiera wokół siebie apostołów i przemawia twardo i nieustraszenie, bez krzty fanatyzmu. Używając własnej gwary galilejskiej, powoływał się na proroków z wielką pewnością siebie. Opowiadał o Jezusie Nazarejskim i o jego zmartwychwstaniu,

o uzyskaniu od jego Ojca obietnicy Ducha Świętego i o tym, jak Duch Święty w nich wstąpił, co naród może zaświadczyć, bo widział na własne oczy i na własne uszy słyszał. Piotr wszem wobec głosił, że jest Żydem i że mówi do Żydów. Rozczarowany przestałem go słuchać i skierowałem pytający wzrok w stronę świętych wieści. Maria Magdalena dostrzegła to, wstała z ziemi, podeszła i przywitała się, wołając mnie po imieniu, jakby chciała pokazać wszystkim, że przynajmniej ona mnie nie odtrąca. Słabym głosem spytałem, co się stało. Usiadła obok na ziemi, ujęła mą rękę i opowiadała:

— Zebrali się razem w górnej sali, jak w wiele innych dni, jedenastu uczniów i Maciej, którego dobrali do swej grupy na dwunastego. Nagle usłyszeli szum z nieba, jakby wichur, który wypełnił całe pomieszczenie. Zobaczyli języki ognia, które rozdzielały się i padały na ich głowy. Duch Święty wypełnił ich i zaczęli mówić obcymi językami, jak sam słyszałeś.

— Czy to właśnie obiecał im Jezus Nazarejski i na spełnienie tej obietnicy czekali?

— Nie wiem — potrząsnęła głową. — Słyszysz Piotra, który przed narodem głośno i jawnie ogłasza Jezusa Chrystusem, a pozostali apostołowie stoją dokoła. Skąd by ta odwaga i moc przyszła do nich, jak nie za sprawą Ducha?

— Ale on wciąż mówi tylko do ludu Izraela — skarżyłem się jak dziecko, któremu odebrano podarunek. Jakby na potwierdzenie tych słów Piotr zawołał właśnie:

— Wiedz przeto, rodzie Izraela, że Bóg uczynił Panem i Chrystusem tego Jezusa, którego ukrzyżowaliście!

— Teraz ludzie się rzucą i ukamienują ich! — zawołałem, unosząc się na łokciach, bo zląkłem się o niego, zapomniawszy o własnym bezpieczeństwie. Ale nic podobnego się nie stało. Przeciwnie, tłum zastygł w bezruchu, jakby oskarżenie Piotra trafiło w samo sedno. Po chwili usłyszałem zatrwożone głosy ludzi, pytających:

— Mężowie, bracia, co powinniśmy uczynić?

Wówczas Piotr zawołał głosem tak donośnym, że zda się, słychać go było nad całym Jeruzalem:

— Ukorzcie się, kajajcie i niechaj każdy przyjmie chrzest w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów, a otrzymacie dar Ducha Świętego. Albowiem dla was i dla dzieci waszych ta obietnica została spełniona, i dla wszystkich, którzy są daleko, lecz których w każdej chwili może wezwać Pan, nasz Bóg.

Tak ogłaszał tajemnicę Królestwa, a ja pochyliłem głowę, bo zrozumiałem, że nadal, nawet z mocy Ducha Świętego, nie ulitował się nade mną; wzywał tylko Żydów i zesłanie Ducha przeznaczał dla nich, dla tych, którzy są obrzezani, przestrzegają Pisma i służą Bogu Izraela, choćby żyli w diasporze. Rozwijała się moja ostatnia, nieświadomie żywiona iskierka nadziei, że dołączę do ich społeczności. Pocieszałem się tylko, że samej wiedzy o Jezusie Nazarejskim i jego zmartwychwstaniu Piotr nie mógł mnie pozbawić.

— Piotr jest powolny i uparty — Maria Magdalena zauważyła moje przygnębienie i pocieszała mnie — ale jego wiara jest jak opoka i z pewnością będzie się rozwijała na miarę nowych zadań. Powołując się na proroka Joela przed chwilą głosił dni ostateczne, ale przecież one jeszcze nie nadeszły! Odchodząc od apostołów na Górze Oliwnej Chrystus ostrzegł ich, że nie do nich należy znajomość czasu i godziny ustanowionej mocą Boga Ojca. Po czterdziestu dniach Jezus im się objawił i mówił o królestwie niebieskim, ale ciągle rozumieli tak niewiele, że jeszcze na Górze Oliwnej, zanim zniknął w obłokach, nadal pytali: „Panie, czy w tych czasach budujesz królestwo dla Izraela?” A więc, Marku, nie trać nadziei!

— Czy już nie tają przed niewiastami tych wydarzeń i opowiadają, jak skrył się w obłokach? — spytałem, bo jej słowa były dla mnie nowością, więc słuchałem z zapartym tchem.

— Niczego już nie tają przed nami — zapewniła zadowolona Maria Magdalena. — A na górze odkryli tajemnicę ciała i krwi w chlebie i winie. Wokół siebie mają już stu dwudziestu wiernych. Czterdziestego dnia Jezus doprowadził ich do Góry Oliwnej w pobliżu Betanii, zabronił opuszczać Jeruzalem i kazał czekać na spełnienie obietnicy, którą od niego usłyszeli. Jan chrzczył wodą, powiedział, a wy będziecie ochrzczeni Duchem Świętym, i to już wkrótce. Ten chrzest nastąpił dzisiaj, co jest oczywiste, bo moc jest w nich! Natomiast o obłoku nie wiem nic poza tym, że na Górze Oliwnej na ich oczach Jezus wznosił się do nieba i obłok zabrał go ze sobą. Zrozumieli, że już się im nie będzie objawiał. Nie zamierzam się z nimi spierać, ale mam prawo się uśmiechać, kiedy wolno i nieporadnie usiłują ubrać w słowa to, co już za życia Jezusa uznałam w moim sercu za prawdę.

Patrzyłem na otaczające nas drzewa, których liście iskrzyły się srebrem, i na schody wiodące do górnej sali, na masywne drewniane drzwi i chciałem to wszystko wbić sobie na zawsze w pamięć. Byłem słaby, a w tej słabości znowu pokorny i cichy; myślałem, że na całe życie wystarczy mi, że mogłem widzieć miejsce, gdzie zapanowało Królestwo.

— Muszę odejść, aby nie spowodować kłótni i nie przeszkadzać świętym mężom — dźwignąłem się i stanąłem na chwiejnych nogach.

— Moc powaliła mnie na ziemię, a oni z pewnością przyjęliby to za znak odrzucenia od bram Królestwa.

Z chęcią pobłogosławiłbym Marię Magdalenę za jej dobroć, ale czułem się zbyt marnym prochem, aby kogokolwiek błogosławić. Ona chyba jednak wyczytała z mej twarzy te intencje, bo jeszcze raz dotknęła mi ręką czoła i rzekła:

— Nie zapomnij, że dla niego pomogłeś jednej z zagubionych Izraela. Maria z Beeret szczęśliwie wyszła za mąż i mieszka w nowym domu. Nie sądzę, aby którykolwiek z uczniów tak wiele dla niej uczynił. Również Zuzanna błogosławi twoją przyjaźń. Pamiętaj zatem, że gdziekolwiek się udasz, wśród nas zawsze będzie kilkoro, którzy modlić się będą za ciebie, choć jesteś obcy.

— Nie, nie, wszystkie moje czyny były egoistyczne i brudne — odparłem. — Nie wydaje mi się, aby któryś z nich można było uznać za zasługę. Nie ma we mnie nic dobrego poza tym, iż wiem, że Jezus Nazarejski jest Chrystusem i synem Boga. Nie jest to jednak wielka zasługa, ponieważ na własne oczy mogłem to zobaczyć i zaświadczyć.

— Marek nie ma żadnych zasług poza swoją słabością — rzekła Myrina. — Być może kiedyś, gdy Królestwo rozszerzy się aż do krańców ziemi, słabość ta stanie się jego siłą. Do tego czasu będę jego pocieszycielką. Nigdy nie będę spragniona w tym życiu, bo jest we mnie źródło żywej wody, z którego i dla niego wystarczy.

Spojrzałem na nią nowymi oczami. Ciało odmawiało mi posłuszeństwa i wzrok mnie zawodził, ale dobrze widziałem, że jest olśniewająco jasna i podobna aniołom; wręcz nie wierzyłem, że jest człowiekiem, bo wydawała się ubranym w ciało aniołem stróżem wysłanym, abym nie zbłądził. To była zdumiewająca myśl — przecież dobrze znałem jej przeszłość, spotkałem ją już na statku w drodze do Joppy!

Myrina ujęła mnie pod ramię i wyprowadziła w niespokojnie szmerzący tłum. Coraz więcej zatrwożonych ludzi wypytywało, co mają robić, niektórzy rozdierali szaty na znak pokuty za swoje grzechy. Tych, którzy chcieli się ukorzyć i otrzymać odpuszczenie grzechów, dwunastka apostołów z Piotrem na czele poprowadziła uliczką w dół, poza miasto, aby ich ochrzcić w sadzawce w imię Jezusa Chrystusa. Myrina martwiła się o moje zdrowie, ale zgodziła się, byśmy poszli za tłumem i zobaczyli, co będzie dalej.

Na własne oczy widziałem, jak poza murami miasta apostołowie chrzcili przy sadzawce każdego Izraelitę, który chciał do nich podejść, i kładli rękę na jego głowie, aby otrzymał odpuszczenie grzechów i żywot Ducha Świętego z ich ducha. Niewiasty także chrzcili. Im większej liczbie ludzi dawali żywot z Ducha, tym bardziej radość wzrastała w tłumie i tym więcej chętnych pchało się do nich, by otrzymać chrzest. Mężczyźni śpiewali uroczyste pieśni Izraela i obejmowali się. Niektórzy mówili obcymi językami, inni rytmicznie tupali, oczy wychodziły im z orbit, a na czerwonych twarzach malowało się upojenie. To wszystko trwało aż do wieczora. Później słyszałem, że liczba ochrzczonych tego dnia sięgała trzech tysięcy.

Apostołowie nikomu nie odmawiali chrztu, przyjmowali zarówno bogatych, jak i biednych, kaleki i żebraków, nawet niewolników, nie robiąc żadnej różnicy między nimi. A ich siła nie wyczerpywała się, każdemu wystarczało mocy.

Wróciłem do mieszkania jeszcze przed wieczorem. Przygnębiony i zatroskany myślałem, jak łatwo otrzymali przebaczenie za grzechy nawet ci, którzy przed Piłatem wznosili okrzyki: „Ukrzyżować go, ukrzyżować go”, bo wielu było takich w gromadzie przerażonych i skruszonych Żydów.

W ten dzień ekstazy mogłem wśliznąć się w tłum Żydów i razem z innymi otrzymać chrzest, ale nie chciałem oszukiwać apostołów. I cóż byłby wart taki chrzest, nawet gdyby położyli mi rękę na głowie? A gdyby Duch, którego mieli w sobie, rozpoznał we mnie Rzymianina i odtrącił mnie? Nie znam odpowiedzi na te pytania, bo nie chciałem próbować podstępu.

Następnego ranka także czułem się niepewnie, a Myrina, która krzątała się i pielęgnowała mnie, w mych oczach żarzyła się blaskiem anioła. Gdy już zacząłem wylizywać się z tej słabości, przeanalizowałem siebie i doszedłem do wniosku, że kiedy nieprzytomny leżałem na tarasie, zaszły w mym wnętrzu jakieś zmiany, stałem się bardziej otwarty i nie przywiązuję tak dużej wagi do drobiazgów.

Któregoś dnia mój syryjski gospodarz Karanthes wszedł do gościnnego pokoju i powiedział:

— Nic mi jeszcze nie opowiadałeś o Galilei. Czemu zrobiłeś się taki milczący? Chyba wiesz, że znów dzieją się cuda za sprawą tego ukrzyżowanego Nazarejczyka, o którym zbierałeś informacje. Jego uczniowie wrócili i głoszą, że otrzymali od swojego mistrza czarodziejską moc. Tak buntują ludzi, że rodzice rzucają dzieci, a dzieci rodziców, żeby się do nich przyłączyć. Wielu rezygnuje nawet z majątku, co świadczy, że to naprawdę potężne czary. Pod krążgankami Świątyni codziennie bluźnią Bogu, nie bojąc się rady, wszystko, co posiadają uważają za wspólne i gromadzą się po domach, żeby odprawiać jakieś tajemne obrzędy. Nawet szanowani Żydzi, których nie można by o to posądzać, ulegli nazarejskiej zarazie i uznają go za króla Izraela.

Nic na to nie powiedziałem, bo jakimże nauczycielem mogłem być dla niego? Miał przecież prawo i wolną wolę, żeby iść posłuchać tych dwunastu. Ponieważ nie odpowiedziałem, nachmurzył się, potrząsnął głową i spytał:

— Co ci się stało i do czego zmierzasz, skoro całymi dniami z otwartymi oczami wylegujesz się w pokoju?

— Być może posłucham twojej rady, zbuduję dom i posadzę drzewa — odparłem po chwili zastanowienia, smutno się uśmiechając.

— To równie dobry pomysł jak ten, abym cierpliwie czekał — westchnąłem i dodałem: — Muszę się tylko postarać, aby moje serce nie przywiązało się zbyt do niczego na tej ziemi, abym nie miał rzeczy tak drogiej, z której w razie potrzeby nie byłbym gotów zrezygnować.

— Każdy z nas będzie musiał ustąpić, kiedy przyjdzie jego dzień, ale oby to było jeszcze od nas daleko — powiedział rozsądnie Karanthes i po namyśle spytał nieśmiało: — Podobno ci galilejscy magowie mają eliksir nieśmiertelności?

Także na to pytanie nie odważyłem się odpowiedzieć. Przecież sam mógł wyjaśnić swoje wątpliwości wprost u uczniów Jezusa Nazarejskiego! Karanthes wstał, jeszcze raz

westchnął i rzekł:

— Zmieniłeś się, Rzymianinie, jesteś inny niż przed wyjazdem do Galilei. Nie wiem, czy jesteś lepszy czy gorszy niż przedtem, ale muszę wzdychać nad tobą. Wiem tylko, że Myrina, którą przyprowadziłeś z Galilei, jest dyskretną miłą dziewczyną. Odkąd weszła do tego domu, handel idzie dobrze, a żona przestała mi ciosać kołki na głowie. Ta Myrina byłaby nawet piękna, gdyby trochę przytyła.

— Przestań, Karanthesie, martwić się, czy Myrina jest gruba czy chuda — sprzeciwiłem się, chociaż równocześnie musiałem się roześmiać. — Uważam, że jest piękna taka, jaka jest. Dla mnie będzie najpiękniejsza nawet wtedy, gdy będzie siwa i bezzębna, jeśli dożyjemy tego czasu.

Karanthes wyszedł z pokoju zadowolony, że udało mu się poprawić mi humor. Ja zaś zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że rzeczywiście w moich oczach Myrina wypiękniała z dnia na dzień! Odkąd zrezygnowała z wędrownego życia aktorki i codziennie jadła regularny posiłek, nieco przytyła i nie miała już tak mizernej buzi jak przedtem. Ta myśl wzbudziła moją ku niej czułość i dziwnie mnie ożywiła. Przecież to znaczyło, że nie jest aniołem, tylko podobnie jak ja człowiekiem — kobietą.

Myrina udała się do Świątyni, gdzie codziennie dwaj albo trzej apostołowie nauczali ochrzczonych i ciekawskich, głosili kazania

o zmartwychwstaniu i świadczyli, że Jezus jest Chrystusem. A ja ubrałem się, uczesałem włosy i udałem na spotkanie z moim bankierem Arystenosem, aby przygotować się do wyjazdu z Jeruzalem. Przyjął mnie miło i natychmiast zaczął szybko mówić:

— Kąpiele Tyberiady okazały się dla ciebie zbawienne, skoro już się tak nie gorączkujesz jak przy wyjeździe. Znowu wyglądasz jak Rzymianin. To dobrze, chociaż od razu cię ostrzegam, jeśli tego jeszcze nie wiesz: Galilejczycy wrócili do miasta i spowodowali straszliwe zamieszanie. Otwarcie mówią o zmartwychwstaniu Jezusa Nazarejskiego, chociaż każdy, kto się w tej materii orientuje, wie, na czym rzecz polega. Ale oni nazywają go Mesjaszem, naginają teksty Pisma według swojego widzimisię i twierdzą, że otrzymali od niego władzę odpuszczania grzechów. Jako saduceusz szanuję święte Księgi i nie uznaję ustnych przekazów, uważam też za niedopuszczalną tę interpretację Pisma, którą głoszą faryzeusze. Gadanie o zmartwychwstaniu jest idiotyczne, chociaż faryzeusze są skłonni w to uwierzyć. Nas, Żydów, oskarża się o nietolerancję w sprawach wiary, ale cóż to za nietolerancja, skoro dopuszczamy istnienie różnych sekt! Jezus Nazarejski nie zostałby ukrzyżowany, gdyby nie bluźnił Bogu, bo to jedyne, czego nie tolerujemy. Wydaje się, że pod jego imieniem powstaje nowa sekta. Czas pokaże, czy pozwolimy się jej rozszerzyć, czy też będziemy zmuszeni do prześladowań. Oni chrzczą ludzi, ale i przedtem różni prorocy chrzcili i nie było to uważane za nic zdrożnego. Powiadają, że uzdrawiają chorych, ale to samo robił ich nauczyciel i wcale nie za to go umęczono, choć faryzeusze uważali za niestosowne uzdrawianie w szabat. Ale najgorsze w ich nauczaniu jest to, że głoszą wspólnotę majątkową. Nawet rozsądni ludzie sprzedają teraz swoje pola, otrzymane pieniądze przynoszą apostołom, a ci rozdzielają je każdemu wedle potrzeb. Taka praktyka to jedynie omijanie dziesiętników i najchytrzejszy sposób uchylania się od płacenia

podatków. W ten sposób w ich gromadzie nie ma bogatych ani biednych. Nasza rada straciła już głowę, bo sądziliśmy, że wszystko się uspokoi po ukrzyżowaniu Nazarejczyka. Nie chcemy nikogo prześladować, ale nie rozumiemy, skąd bierze się w nich tyle śmiałości... A może dowiedzieli się, że Poncjusz Piłat nie pozwolił prześladować Galilejczyków? Bo okrężną drogą oznajmił to radzie. Znowu ta nieznośna rzymska polityka! Chyba się nie obrazisz, jeśli powiem wprost, bo znasz mnie i jesteśmy przyjaciółmi. Teraz rzeczywiście prokurator może umyć ręce i drwić sobie: sami widzicie, że obecne podjudzanie jest gorsze od poprzedniego. A łatwowierny naród będzie po jego stronie i prześladowanie nic nie da. Tym mocniej by uwierzyli w rybackie bajeczki opowiadane przez Galilejczyków.

Mówił to wszystko prawie jednym tchem, nie zaczerpując powietrza. Nie mogłem zmilczeć:

— Widzę, że teraz ty jesteś bardziej ode mnie zaangażowany w sprawę Jezusa Nazarejskiego. Uspokój się, Arystenosie, i przypomnij sobie Pismo. Jeśli zamysły galilejskie pochodzą od ludzi, to rozejdą się w próżni i bez twego starania. Jeśli natomiast pochodzą od Boga, to ani ty, ani rada, ani nic na świecie nie będzie ich w stanie obalić.

Szybko oddychając rozważał moje słowa, lecz po namyśle parsknął śmiechem, wyciągnął na zgodę rękę i zawołał:

— A więc ty, Rzymianinie, zachęcasz mnie do badania Pisma?! Nie, te zamysły nieokrzesanych rybaków nie mogą pochodzić od Boga. Nie mogą, bo wtedy nie opłacałoby się więcej żyć, a Świątynia by się rozpadła. To oczywiste, że ich zamiary spełzną na niczym. Przed nimi także byli tacy, co twierdzili, że są kimś, i przepadli. Prostacy nie potrafią długo prorokować, bo wplątują się we własne słowa i wpadają w wykopane przez siebie doły.

W ten sposób uspokoił się, zapytał, jaką mam sprawę, i usłudźnie pozwolił, by księgowy podliczył stan mego posiadania i wymienił mi pieniądze; przecież z tego czerpał zyski. Opowiedziałem, jak doskonale spisał się jego przedstawiciel w Tyberiadzie, a on przytakiwał zadowolony przytkając palcem w cieniutki zwój listu, który trzymał w dłoni. Podając mi go powiedział:

— O mały włos byłbym zapomniał. Ten list zostawiono u twojego bankiera w Aleksandrii, a on przesłał go dalej, żeby tobie doręczyć. Nie posyłałem go do Tyberiady, bo nie wiedziałem, jak długo tam zabawisz, a bałem się, żeby list nie zginął.

Zmrożony dziwnym strachem zerwałem pieczęć i rozwinąłem krótki list. Na pierwszy rzut oka poznałem nerwowe i szybkie pismo Tulii, bo własnoręcznie napisała tak:

„Tulia pozdrawia zdradzieckiego Marka Mezencjusza.

Czy nie można już wierzyć przysięgom żadnego mężczyzny? Czy nie ma już wierności?! Czyżbyś nie przysięgał, że zaczekasz na mnie w Aleksandrii, aż wyjaśnię swoje sprawy w Rzymie i będę należała tylko do Ciebie?! Po Twoim wyjeździe Rzym przestał być Rzymem, ale mądrymi posunięciami utrwaliłam swoją pozycję. I czego się dowiaduję, kiedy chora i bez sił przyjeżdżam po ciężkiej morskiej podróży do

Aleksandrii? Lekkomyślnie przełknąłeś dane mi słowo i pojechałeś sobie do żydowskiego Jeruzalem! Wracaj natychmiast po otrzymaniu tego listu. Mieszkam w zajeździe Dafne niedaleko portu. Czekam!... Ale wiecznie czekać nie będę. Mam tu przyjaciół. Jeśli chcesz nadal zajmować się filozofią żydowską, jak mi tutaj mówiono, przyślij prędko wiadomość, to pojadę za tobą do Jeruzalem. Sądzę, że potrafię błyskawicznie wymieść żydowską mądrość z Twojej głowy. Przyjeżdżaj więc tak szybko, jak możesz. Jestem niecierpliwa. Na próżno płonę żarem, oczekując Cię!"

Każde słowo listu wywoływało kłujące dreszcze całego ciała. Wreszcie wzięłam się w garść, przeczytałam list jeszcze raz, a potem spytałem drżącym głosem:

— Jak długo list tu na mnie czeka?

— Jakies dwa tygodnie — stwierdził Arystenos, policzywszy na palcach. — Wybacz, ale nie przypuszczałem, że tak długo zabawisz w Tyberiadzie.

Zwinąłem list w rulonik i schowałem pod togą na piersiach. Machnąłem ręką i rzekłem:

— Zostaw ten rachunek. Nie jestem w stanie niczego liczyć.

Wyszedłem z domu Arystenosa w strachu, który mrozi krew w żyłach, i biegłem co tchu do bezpiecznego schronienia w domu Karanthesa, nie śmiąc nawet rozejrzeć się dokoła. Nieoczekiwany list Tulii uderzył w moje najczulsze miejsce właśnie wtedy, kiedy sądziłem, że jestem już spokojny i uległy.

Na szczęście Myrina jeszcze nie wróciła. Błyskawicznie przeleciała mi przez głowę kusząca myśl, aby zostawić dla niej sakiewkę u Karanthesa, uciec i jechać najprostszą drogą do Aleksandrii, żeby jeszcze raz zamknąć Tulię w ramionach. Gładziłem palcami jej list i w każdej nerwowo skreślonej literce oczyma duszy widziałem ją samą, a ciało płonęło mi żarem na samą myśl o niej. Jednocześnie zaś usiłowałem chłodno rozumować. Charakterystyczne dla Tulii było to, że atakowała, oskarżając mnie od razu w pierwszej linijce listu. Przecież cierpliwie czekałem na nią cały rok i nie dała najmniejszego znaku życia. A poza tym, co ma znaczyć, że utrwaliła swoją pozycję? Na pewno rozwód i nowe małżeństwo. Przecież nie można wierzyć ani jednemu jej słowu. Jakoby chora i bez sił po podróży morskiej, nie zapomina ukłuć, że ma przyjaciół w Aleksandrii. W czyich ramionach bym ją znalazł, gdybym tam pojechał? Tulia może pozwolić sobie na wybór. Jestem tylko jej zachcianką. Tego jednego mogę być absolutnie pewny: nie tylko dla mnie przyjechała do Aleksandrii, miała i inne powody.

Tulia była ucieleśnieniem mego poprzedniego życia, jego rozkoszy i pustki. Miałem wolny wybór. Jeśli wybiorę Tulię, będę musiał zrezygnować na zawsze z poszukiwania Królestwa, bo wiedziałem doskonale, że ma rację, pisząc o błyskawicznym wymieceniu z mej głowy wszystkich innych myśli, jeśli wrócę do grobowca jej rozkoszy. Rozmyślając o tym, nienawidziłem samego siebie i swej słabości tak rozpaczliwie jak nigdy dotąd. Nie dlatego, żebym jej wciąż pożądał, ale dlatego, że znalazłem się w rozterce, czy nie wrócić, aby mnie nadal męczyła. To było moje największe upokorzenie, bo gdybym był silny, nie wahałbym się ani przez chwilę. Po wszystkim, czego doświadczyłem i co na własne oczy widziałem, mój wybór powinien być zdecydowany, bezdyskusyjny. Precz z Tulią, precz z przeszłością! Ale byłem tak słaby i tak podatny na pokusy, że gorący wiatr

wspomnień potrafił mną miotać w obydwie strony. Zlany potem walczyłem z pokusą i sam siebie nienawidziłem. Wstydiłem się tak bardzo, że nie chciałem, aby Jezus zobaczył, jak się wstydzę. I mimo wszystko musiałem zakryć twarz rękoma i modlić się: „Nie wódź mnie na pokuszenie, ale mnie zbaw ode złego, dla twojego Królestwa.”

Skrzypnęły schody i usłyszałem kroki Myriny. Otworzyła drzwi i spieszenie wchodziła do pokoju z wyciągniętymi rękami, przynosząc wielką nowinę:

— Piotr i Jan—zawołała — Piotr i Jan... —nagle dostrzegła wyraz mojej twarzy. Ręce jej opadły, twarz straciła blask i zbrzydła w moich oczach.

— Przestań mi mówić o tych ludziach! — krzyknąłem z goryczą.

— Nie chcę o nich słyszeć!

Myrina z ociąganiem postąpiła krok w moją stronę, lecz nie ośmieliła się mnie dotknąć. Wcale nie chciałem, by mnie dotykała, więc usunąłem się jej z drogi i oparłem plecami o ścianę.

— Właśnie przed chwilą uzdrowili kalekę od urodzenia, w Świątyni, koło miedzianej bramy — próbowała opowiadać, ale słowa rwały się jej w ustach, kiedy spłoszonym wzrokiem wodziła za mną.

— I co z tego? — fuknąłem. — Wcale nie wątpię w ich moc. Ale co mnie to obchodzi? Dość cudów oglądałem. Już mnie nie wzruszają.

— Piotr wziął go za rękę i podniósł z łóżka — opowiadała jękając się Myrina. — Od razu wzmocniły mu się nogi i stawy. Mnóstwo ludzi ze Świątyni pobiegło do portyku Salomona. Ten człowiek skacze i przed ludźmi chwali Boga, a oni podejrzliwie sprawdzają i macają jego nogi. Natomiast Piotr ogłasza odpuszczenie grzechów.

— Ależ zabawny jest ten cyrk żydowski — zadrwiłem.

— Co ci jest, Marku? Co się stało? — pytała ze łzami w oczach Myrina, która nie mogąc tego dłużej wytrzymać, chwyciła obiema rękami moje dłonie i potrząsnęła mną.

— Płacz, płacz, Myrino! To nie jedyne łzy, które przeze mnie wylejesz. To już wiem na pewno.

— Mów jasno! Co się stało? — puściła mnie, otarła szybko łzy z oczu, wyciągnęła cienką szyję, zaczerwieniła się i tupnęła z gniewu.

Popatrzyłem na nią wyprany z uczuć i zgorzkniały. Te rysy jeszcze rano były mi tak drogie! Teraz poprzez nie widziałem lśniące oczy Tulii, zmęczoną z rozkoszy twarz i dumne usta.

— Dostałem list od Tulii. Czeka na mnie w Aleksandrii — powiedziałem.

Myrina długo wpatrywała się we mnie. Jej twarz jakby zmalala i wydłużyła się. Padła na kolana i pochyliła głowę. Myślę, że się modliła, choć nie widziałem, by poruszała ustami. Umysł miałem zmrożony, nie byłem w stanie myśleć. Patrzyłem tylko na jej głowę, na złociste włosy, i skądś błysnęła myśl, że wystarczyłoby jedno uderzenie miecza, a ta głowa stoczyłaby się na ziemię i byłbym wolny. Myśl była tak zabawna, że

roześmiałem się na głos.

W końcu Myrina wstała nie spojrzawszy nawet na mnie i zaczęła zbierać moje rzeczy, zostawiając ubrania na wierzchu. Najpierw się zdziwiłem, potem przestraszyłem, aż zapytałem:

— Co ty wyprawiasz? Po co zbierasz moje rzeczy?

— Twoja bielizna i płaszczy są w praniu — roztargniona liczyła coś na palcach, dopiero potem odpowiedziała: — Przecież chcesz jechać do Tulii. Szykuję cię do drogi, to moje zadanie.

— Kto ci powiedział, że chcę jechać?! — krzyknąłem, złapałem ją za rękę i zmusiłem, by odłożyła rzeczy. — Wcale tego nie mówiłem! Powiedziałem tylko o liście, żeby coś wspólnie postanowić.

— Nie, nie — potrząsnęła głową Myrina. — W głębi serca podjąłeś decyzję. Gdybym cię zatrzymywała, narastałby w tobie żal. To prawda, jesteś słaby i być może odwołując się do Królestwa mogłabym Cię zatrzymać. Ale nigdy w życiu byś mi tego nie wybaczył! Twój umysł ciągle dręczyłaby myśl, że przeze mnie zrezygnowałeś z niezastąpionej Tulii. Dlatego będzie lepiej, jeśli do niej pojedziesz, skoro na ciebie czeka.

Nie wierzyłem własnym uszom. Myrina jakby oddalała się ode mnie i mogłem stracić jedyne przyjaciela, u którego na tym świecie mogłem szukać schronienia.

— Ale... — wyjąkałem — ale... — Nic więcej nie mogłem powiedzieć.

— W tej sprawie nie mogę ci pomóc. — Myrina zlitowała się nade mną i zrozumiała, o co mi chodzi. — Sam musisz podjąć decyzję. I sam będziesz za to odpowiedzialny. — Uśmiechając się smutno, patrząc na mnie ciągnęła: — Ułatwię ci decyzję. Jedź do Tulii i pozwól, by ci dopiekła, nawtykała gorących szpilek i wyśmiała. Tyle opowiadałeś o niej, że mogę odgadnąć, jaka ona jest. A ja gdzieś z boku będę to wszystko śledziła i pozbieram do kupy te resztki, jakie z ciebie zostaną, kiedy cię porzuci. Nie musisz się obawiać, że mnie stracisz. Jezus Nazarejski dał mi ciebie. Chyba ci wybaczy, podobnie jak i ja w swym sercu wybaczę, bo znam cię dobrze.

Kiedy tak cierpliwie mi tłumaczyła, coraz bardziej traciłem chęć na powrót do Tulii. Przypomniałem sobie wszystkie upokorzenia, jakich od niej doznałem. W końcu zawołałem:

— Zamilcz już, głupia Myrino! Wysyłasz mnie do tej twardej i żadnej uciech niewiasty? Tego się po tobie nie spodziewałem! Powinnaś raczej umocnić moje myśli i odporność. Już cię nie poznaję. Jak możesz zrobić mi coś takiego? Nie jest prawdą, że w głębi serca postanowiłem udać się do niej. Chciałem jedynie, byś mi pomogła. Nie mam zamiaru jechać do Aleksandrii. Zastanawiałem się, jak jej to wszystko najlepiej wytłumaczyć. Przecież muszę do niej napisać kilka słów. W przeciwnym razie pomyśli, że zaginąłem.

— Czy bardzo by żałowała? — spytała cicho Myrina. — Czy też twoja waleczna, męska duma koniecznie się domaga ponizenia jej na piśmie oświadczeniem, że nie chcesz już o niej słyszeć?

— Tulia poniżała mnie tysiące razy — stwierdziłem cierpko.

— Czyli chcesz odplacić złym za zło? Pozwól jej raczej uwierzyć, że przepadłeś bez wieści. Wtedy nie urazisz jej kobiecej dumy. Na pewno ma innych przyjaciół i szybko się pocieszy.

To była ocena tak trafna, aż mnie ukłuło w sercu. Było to tylko takie ukłucie, jak dotknięcie językiem obolałego miejsca po wyrwanym zębie. Ogarnęło mnie uczucie bezgranicznego wyzwolenia, jakbym po długiej chorobie doszedł do siebie.

— Myrino, pozwoliłaś mi zrozumieć, że nie zniosę nawet myśli o tym, że mógłbym cię utracić. Nie jesteś dla mnie tylko siostrą. Myrino, obawiam się, że Kocham cię tak, jak mężczyzna kocha kobiety!

Twarz Myriny znów zaczęła lśnić anielskim blaskiem. Jeszcze piękniejsza mi się wydała mówiąc:

— Myrina i Marek, ty i ja... Serce ci powie, że będę dla ciebie, czym tylko zechcesz. Ale teraz musimy zdecydować, jak ułożymy sobie życie. — Ostrożnie pociągnęła mnie za rękę, abym usiadł koło niej, i zaczęła mówić, jakby długo już nad tym myślała: — Pragnę z całego serca, żeby apostołowie mnie ochrztili i położyli rękę na mej głowie w imię Jezusa Chrystusa Nazarejskiego. Może wówczas przekażą mi siłę dla wytrwania w tym życiu i otrzymam udział w Królestwie oraz Ducha, który płomiennym językiem opadł na ich głowy. Nie jestem Żydówką, ani ty nie jesteś Żydem, lecz oni chrzczą również pobożnych prozelitów z różnych krajów, ludzi, którzy dają się obrzezać i przestrzegają Prawa. Słyszałam też, że są również żyjący w bojaźni Boga prozelici bramy, którzy nie dokonują obrzezania, ale odrzucają bałwochwalstwo, nie wyśmiewają Boga i nie przelewają ludzkiej krwi. Mają zakaz kazirodztwa, złodziejstwa oraz niekoszernego jedzenia i mają żyć nabożnie. Może zgodzą się ochrzcić nas jako prozelitów bramy, jeśli będziemy bardzo o to prosić.

— Wiem to wszystko i myślałem nad tym nie raz. Od czasu spotkania Jezusa Nazarejskiego, syna Bożego, nie mam innych bogów. Nie przedstawiałoby dla mnie wielkiej trudności respektowanie Pisma. Dlaczegoż miałbym nie jeść mięsa z uboju na żydowską modłę? Mięso to mięso. Ale w żaden sposób nie mogę pojąć, dlaczego to ma ze mnie uczynić człowieka mile widzianego przez Jezusa... Nie mogę zobowiązać się do życia nabożnego, bo nie będę nabożny, choćbym nie wiem jak się starał nim zostać. To już wiem na pewno. Mylisz się również bardzo, jeśli sądzisz, że zgodzą się chrzcić prozelitów bramy, choćbym nie wiem jak do tej bramy stukał. Oni nie są tak miłosierni jak ich nauczyciel.

— Być może mój pomysł jest tylko dziecinnym kaprysem — pokornie przyznała Myrina, trzymając mnie mocno za rękę. — Ni e sądzę, abym po chrzcie i błogosławieństwie należała do niego bardziej niż teraz. Zrezygnujmy więc z tej ceremonii i pójdźmy drogą, jaką nam Jezus wskazał. Módlmy się o spełnienie jego woli i przyście Królestwa. On sam jest prawdą i miłosierdziem. Wierzę, że to wystarczy nam, którzyśmy go widzieli na własne oczy.

— Nie możemy uczynić nic innego, jak tylko czekać na Królestwo. Ale jest nas dwoje. We dwoje na pewno łatwiej iść niż w pojedynkę. To jest właśnie miłosierdzie,

jakie nam okazał. Nie wyjechaliśmy jeszcze z Jeruzalem. Najpierw spisałem wszystko, co się wydarzyło, choć być może nie było w tym nic bardziej niż dotychczas dziwnego. Chcę jednak dokładnie zapamiętać, że Duch został zesłany jako szum wichru i ognistymi językami osiadł na głowach dwunastu apostołów, abym nigdy w nich nie zwątpił i nie oceniał ich czynów według swego rozumu.

W tym czasie rada uwięziła Piotra i Jana, ale dzięki protestom ludu już na drugi dzień musiano ich uwolnić. A oni nie ulękli się grózb i mężnie kontynuują swe apostołstwo. Sądzę, że dalsze kilka tysięcy ludzi przyłączyło się do nich, ponieważ swą mocą uzdrowili kalekę przy miedzianej bramie Świątyni. Wszyscy ochrzczeni łamią w swoich domach chleb i błogosławią wino w imię Jezusa Chrystusa, zyskując nieśmiertelność. Nie ma wśród nich nędzarzy, bogaci bowiem rzeczywiście sprzedają domy i pola i rozdzielają między potrzebujących. Myślę, że czynią tak, bo patrzą na wszystko jak na odbicie w lustrze i sądzą, że Królestwo może nadejść każdego dnia. Nie słyszałem jednak, aby Szymon Cyrenejczyk sprzedał swoje pole.

Właśnie kończyłem pisanie, gdy z twierdzy Antonia przysłano zawiadomienie, że prokurator Poncjusz Piłat żąda, abym niezwłocznie opuścił Jeruzalem i całą Judeę objętą jego zarządem. Jeśli nie zgodzę się wyjechać dobrowolnie, legionści mają rozkaz odprowadzić mnie aż do Cezarei. Skąd takie polecenie, nie wiem, ale z jakiegoś powodu Piłat uznał mój dalszy pobyt w Jeruzalem za niepożądany ze względu na interes Rzymu. Nie mam ochoty zobaczyć się z tym człowiekiem. Dlatego postanowiliśmy, Myrina i ja, że pójdziemy do Damaszku. Wybraliśmy Damaszek dlatego, że to miasto pojawiło się Myrinie we śnie, ja zaś nie mam nic przeciwko temu. Bądź co bądź Damaszek leży w przeciwnym kierunku niż Aleksandria.

Przed wyjazdem z Jeruzalem poszliśmy na wzgórze, gdzie Jezusa Nazarejskiego ukrzyżowano między dwoma łotrami. Pokazałem Myrinie również ogród i grób, w którym był pochowany i z którego powstał, gdy zatrzęsa się ziemia. Ale jego Królestwa już tam nie było.

Koniec części pierwszej